DENNIS E. TAYLOR
NIEBIAŃSKA RZEKA

Dennis E. Taylor

NIEBIAŃSKA RZEKA

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2021

Jak zawsze i przede wszystkim,
chcę zadedykować tę książkę
mojej żonie Blaihin i córce Tinie.

Podziękowania

Powieści nie pisze się w próżni (zresztą dobrze, bo już bym nie żył). Potrzeba do tego wsparcia i zrozumienia od rodziny i przyjaciół, w chwilach, kiedy zamykasz się w piwnicy, gapisz się rozkojarzony przed siebie albo odpowiadasz jednosylabowymi pomrukami. Ci sami ludzie muszą natomiast słuchać, gdy chcesz odbić od nich pewne pomysły.

Potrzeba także krytyków, czytelników alfa i beta, gdy cała ta chaotyczna masa zaczyna nabierać kształtu historii.

Do powstania i wydania tej książki przyczynili się między innymi mój agent Ethan Ellenberg, dobrzy ludzie z grupy Ubergroup na scribophile'u, oraz alfa- i beta-czytelnicy, w tym:

Blaihin Taylor
Patrick Jordan
Nicole Hamilton
Trudy Cochrane
oraz
Sheena Lewis.

Specjalne podziękowania natomiast dla Isaaca Arthura z SFIA za beta-czytanie oraz kontrolę sensowności.

Prawdziwa podróż odkrywcza nie polega na poszukiwaniu nowych lądów, lecz na nowym spojrzeniu.

Marcel Proust (przeł. T. Boy-Żeleński)

Część I
W poszukiwaniu Bendera

1. Swój wróg
Jacques, listopad 2331, Nowy Pawonis

Planeta wisiała w dole, cała zielona, niebieska i migocząca światełkami rodzących się miast. Nazywaliśmy ją Nowy Pawonis. Pawoniska nazwa ich nowego domu była trochę bardziej poetycka, jednak dla ludzkiego ucha i tak brzmiała jak plująco-sycząca zbitka dźwięków.

Przez siedemdziesiąt lat, odkąd ich tu osiedliliśmy, przyrost populacji było ogromny i mogli się teraz pochwalić miastami na kilku kontynentach. Wyglądało na to, że gatunek przetrwa.

Ale czy będzie jeszcze z nami gadał, to już zupełnie inna kwestia.

Odebrałem sygnał od drona cargo z moim mannym, informujący, że wylądował. Westchnąwszy w myślach, przygotowałem się do opuszczenia VR-ki i udania się na spotkanie z przedstawicielem Pawonisów, zapewne dość nieprzyjemne.

Podłączyłem się do manny'ego – zdalnie sterowanego androida – przez kanał UNOP i przełączyłem na niego swój punkt widzenia. Kiedy włączyły się wewnętrzne układy, poświęciłem milisekundę na rozejrzenie się po już dobrze znanej ładowni i zdjąłem się ze stojaka. Wrota otworzyły się automatycznie, ukazując standardową pawoniską eskortę wojskową, z karabinami w pogotowiu, pewnie już odbezpieczonymi. Stado dwumetrowych surykatek, zupełnie niesłodkich. Nie odwiedzałem ich od kilkudziesięciu lat, głównie dlatego, że ostatnie spotkanie było, można by rzec, napięte.

Uśmiechnąłem się, po prostu, żeby zobaczyć, jak zareagują, uważając, by nie pokazywać zębów, i zasalutowałem po wolkańsku. Dowódca oddziału odsłonił zęby – co u Pawonisów nie było przyjacielskim gestem – i odpowiedział salutem z trzema palcami mniej.

Ewidentnie zapoznał się z ludzką kulturą.

Podszedłem do grupy żołnierzy i uśmiechnąłem się do nich należycie po pawonisku.

– Co tam, panowie?

Niepotrzebnie. Dowódca odpowiedział basowym warknięciem i machnął bronią w kierunku pobliskiego namiotu. Namiot rozbili. Wyglądało na to, że nawet nie zasługuję na spotkanie w pomieszczeniu. A może to jednak dobry znak, bo… Nie, nie udało mi się niczego takiego wymyślić.

Wszedłem do środka i przyjrzałem się siedzącemu za biurkiem Pawonisowi. Był trzecim zarządcą planety po Hazdżar i nie wyglądał ani trochę życzliwiej od swojego poprzednika. Zatęskniłem za Hażdżar. Ona przynajmniej rozumiała sytuację, w której znaleźli się Pawonisi. Jakimś sposobem po jej śmierci element tej historii, w którym Inni niszczą ich pierwotny świat, tak, że nie nadaje się do życia, przestał być… ahem… eksponowany. Zaczęło dominować przekonanie, że to my to zrobiliśmy i nakłamaliśmy. Tylko nikt nie potrafił podać sensownego powodu.

– Jestem Da Azzma Hizz – powiedział, wskazując krzesło. – Reprezentuję wszystkich Pawonisów. Czy ty reprezentujesz wszystkich ludzi?

– Jestem Jacques Johansson. Reprezentuję ludzi, dla celów tej transakcji. – Była to taka pawoniska formalność.

Azzma przesunął ku mnie jakieś papiery.

– Dysponujemy umówionymi ilościami poszczególnych pierwiastków, zgodnie z planem. Oznacza to, że dwie autofabryki w układzie, będące obecnie własnością ludzi, zostaną w całości spłacone. Czy się zgadzasz?

Zerknąłem na papiery. Wszystko wydawało się w porządku. Proponowaliśmy Pawonisom, że po prostu oddamy im autofabryki, ale odmówili. Nie byłem pewien, czy to niechęć do czegoś, co można odebrać jako litość, czy też nie chcieli być naszymi dłużnikami, nawet moralnymi.

– Zgadzam się. Bellerofont dotrze do was w niecały rok. Zbierze wlewki i dostarczy wam autofabryki z orbity.

Patrzyliśmy na siebie nad blatem biurka. Dzisiaj nie będzie żadnych uprzejmości. Wreszcie Azzma się odezwał:

– Przyznaję, że ta umowa kłóci się z dominującą u nas teorią spiskową na temat Bobów. Powinniście trzymać nas w niewiedzy i przywiązanych do planety.

– Mam nadzieję, że to trochę złagodzi napięcia między naszymi rasami – odparłem.

– Może trochę. – Rzucił mi odpowiednik wąskiego uśmieszku. – Wiesz, Żok, ja czytałem dziennik Hazdżar. Ona nie uważała was za wrogów. Ale teraz to pogląd mniejszości.

Westchnąłem i przez chwilę oglądałem swoje dłonie.

– Azzma, mając autofabryki, będziecie mogli budować statki międzygwiezdne. W ramach umowy dostajecie programy do ich budowy. Tylko

że… – Spojrzałem na niego. – Ten kosmos w waszej okolicy jest pełen ludzi. Coraz bardziej pełen. Za dużo niekontrolowanej wrogości może się okazać czymś destrukcyjnym, nie sądzisz?

Patrzył na mnie przez chwilę.

– Rozumiem, Żok. Macie przewagę liczebną i zbrojną, jeśli przyjdzie co do czego. Ale my nie jesteśmy tymi… – Patrzył przez moment w sufit, po czym się uśmiechnął. – Klingonami. Tak to się nazywa u ludzi? Wiemy, co to ustępstwa.

Odpowiedziałem uśmiechem, a ktoś w mojej gwardii honorowej mruknął:

– I cierpliwość.

Azzma rzucił ostre spojrzenie ponad moim ramieniem.

– Mamy duże postępy w odbudowie waszej macierzystej planety – powiedziałem, próbując złagodzić atmosferę. – Mniej więcej na jednej trzeciej z powrotem coś rośnie. Na pewno nie chcielibyście…?

– W swoim czasie, Żok. Kiedyś tam polecimy. Ja nie podważam umiejętności Bobów, ale tu jest teraz świat wszystkich żyjących Pawonisów. Stara planeta to pomnik czegoś, czego już nie ma.

– Rozumiem. – Kiwnąłem głową i wstałem. – Zachowamy ją dla was, gdybyście kiedyś podjęli decyzję. – Odwróciłem się do eskorty. – No, chłopaki, idziemy?

Dowódca oddziału obnażył zęby – znowu – i odsunął się, by zrobić mi miejsce. Odwróciłem się jeszcze do Azzmy i wymieniliśmy pawoniskie skinienia głową. Złapałem się na tym, że tęsknię za Hazdżar i jej wersją wolkańskiego salutu.

Efemerydy. Trudno było tak nie pomyśleć.

***

Szczęknęło, mój dron transportowy przybił do stacji przekaźnikowej. Ponieważ ostatnio coraz częściej używaliśmy mannych do występowania lokalnie, budowane teraz stacje miały coś w rodzaju przestrzeni mieszkalnej i stacji do dokowania. Wysiadłem z ładowni drona i podszedłem do kapsuły manny’ego. W przypadku człekokształtnych androidów kapsuły właściwie już zastąpiły starsze i większe stojaki. Gdy się zamknęła, do manny’ego podłączyły się pępowiny i rurki zasilające. Wyłączyłem się i przeskoczyłem punktem widzenia do osobistej VR-ki.

Moja ostatnia dekoracja, domek narciarski, już mnie nudziła. Wyglądało na to, że nie jestem w stanie dłużej utrzymać zainteresowania jednym motywem, ale

też nie mam energii, by popracować nad czymś z większym rozmachem. Westchnąłem i zresetowałem VR-kę do domyślnego motywu biblioteki.

Wiedziony kaprysem wysłałem wiadomość do Ferba. Odpowiedział od razu, a ja pojawiłem się w centrum zarządzania Projektem Rekultywacji Pawonisa. Znajdowało się na platformie do Zgromadzeń i było ośrodkiem naszych prób odbudowania macierzystej planety Pawonisów, które trwały już prawie od stu lat.

Rozejrzałem się po pustym pomieszczeniu, czując falę nostalgii. Tyle lat poświęciliśmy na rozwiązanie problemu zreanimowania pawoniskiej ekologii z zaledwie garstki próbek roślinnych i zwierzęcych, zebranych w wielkim pośpiechu, gdy na planetę już sunęła armada Innych. Paradoks – teraz, gdy wreszcie coś osiągaliśmy, okazało się, że Pawonisi mają to gdzieś.

Ferb pojawił się, gdy tak stałem i rozmyślałem.

– Hej, stary – rzucił. – Kopę lat.

– No… ten… – Objąłem pomieszczenie gestem. – Duchy. Wygląda to tak, jakbyśmy porzucili projekt.

– Oj tam, Jacques, nie bądź melodramatyczny. Praktycznie wszystko jest zautomatyzowane. Potrzeba może ze dwóch godzin na miesiąc, żeby sprawdzić, czy wszystko działa.

– Aha. To dlatego, tak? A gdzie się podziewa Fineasz?

Wbił we mnie wzrok.

– A czemu ty to wyciągasz?

– Bo to jest prawdziwy powód, dlaczego to miejsce jest takie puste. Coś się odzywał?

– Nie na żywo. – Opuścił wzrok. – Nie chciało mu się budować stacji przekaźnikowych, a jest w cholerę daleko poza zasięgiem UNOP-a. Może z raz na miesiąc dostaję transmisję radiową, mocno zdopplerowaną.

– Leci do Wielkiego Obłoku Magellana. Trochę mu się zejdzie.

– Do czego zmierzasz, Jacques?

– Ty, ja, Fineasz, Claude… wszystkich nas dręczy to, co się stało. Duchy. Duchy miliardów Pawonisów…

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Westchnąłem.

– Wiem, wiem. Ale i tak jest koszt emocjonalny. Zwłaszcza że Pawonisi wcale nas za te trudy nie docenili. I wszyscy, co do jednego, którzy braliśmy w tym udział, szukamy sobie czegoś możliwie najbardziej odległego. Ale Fineasz… – Prychnąłem. – On to chyba przegiął, nie?

Ferb kiwnął głową, przez chwilę widać było nieznaczny cień uśmiechu.

Przekrzywiłem głowę, przypatrując mu się.

– A co ty ostatnio porabiasz?

– W LARP-y się wkręciłem. Znaczy… bardziej projektuję kampanie, niż sam gram. – Teraz się naprawdę uśmiechnął. – Gracze… wiesz, Gandalf i jego grupa… robią w wircie na żywo kampanie z D&D. Ale mają problem, bo wszyscy chcą grać, a nikt nie chce być DM-em, więc nawet się cieszą, że ktoś chce pomóc. A ja, ten…

– Co?

– Muszę przyznać, że czasem czuję się przy nich nieswojo. Nie żeby jacyś niebezpieczni byli… po prostu… to obce osoby, ale wszystkie wyglądają jak ja, rozumiesz? Niektórzy to stuprocentowe buce.

– Taa. Dryf replikacyjny. Jest coś takiego, jak mówi Bill. To czemu z nimi pracujesz?

Wzruszył ramionami.

– Przynajmniej mam jakieś zajęcie.

– To już nie było nic lepszego?

– Dzięki, mamo. – Zawahał się. – Tak właściwie, to pracuję nad jedną taką rzeczą. Ale jest jeszcze niegotowa. Nie rozpowiadaj, dobra?

Teraz mnie zainteresował.

– Dobra.

– Buduję sam dla siebie wielki transportowiec i wypakowuję go przekaźnikami UNOP, w wersji minimum, żeby były jak najmniejsze. Jak będę gotowy, wyruszę prosto w kierunku galaktycznej północy. Po drodze będę rozrzucał stacje przekaźnikowe. Chcę wyjść na co najmniej tysiąc lat świetlnych nad płaszczyznę galaktyki. Wtedy będę mógł zobaczyć, co jest po jej drugiej stronie.

– Ale wiesz, mógłbyś po prostu wsadzić MSI do statku, dać jakieś polecenia i nigdzie się nie ruszać.

– Mógłbym… ale to nie to samo. A może masz rację w kwestii Fineasza. I nas wszystkich. Może faktycznie chcemy gdzieś uciec. – Rzucił mi spojrzenie, które musiałbym określić jako błagalne, jakby prosił o wybaczenie, czy coś takiego. – Muszę lecieć, Jacques. Pogadamy kiedy indziej.

Z jakiegoś powodu nie wierzyłem, że to się wydarzy. Pstryk i znów zostałem sam w centrum zarządzania rekultywacją. Tylko z duchami.

2. Jakie mamy opcje
Bob, styczeń 2296, nad Edenem

Kosmos jest ogromny.

Wiem, że to brzmi, jak „no nie mów”, zresztą Douglas Adams już to powiedział, ale kiedy rozglądasz się na dosłownie międzygwiezdne odległości za pojedynczym statkiem kosmicznym, kosmos po prostu rzuca się na ciebie ze swoim ogromem.

Bender zaginął ponad sto lat temu. Mimo że Bill rozesłał plany UNOP-a, urządzenia do łączności nadświetlnej, do wszystkich układów, do których mógłby realistycznie dotrzeć Bender, mimo poszukiwań wzdłuż jego prawdopodobnego kursu prowadzonych przez Victora i potem jego klony Marvina i Luke’a, nie znaleźliśmy ani włosa z głowy Bendera. Ani śrubki czy płytki, zważywszy, że był samoświadomym statkiem kosmicznym i w ogóle.

Trzeba to chyba wyjaśnić. Bender jest komputerem, który myśli, że jest niejakim Robertem Johanssonem, inżynierem łamane przez nerdem, zmarłym w początkach XXI wieku. Tak samo wszyscy inni Bobowie, w tym i ja. Ja byłem pierwszym replikantem, wystrzelonym z Ziemi w roku 2133. Każdy Bob we wszechświecie jest moim potomkiem, bo tak właśnie działają sondy von Neumanna. Robią swoje kopie. Mamy już tysiące Bobów, rozsianych po sferze o promieniu prawie stu lat świetlnych wokół Układu Słonecznego.

Bender pochodził z drugiego miotu moich klonów, zbudowanych w Delcie Eridani. Wyruszył w kierunku Gammy Leporis A i słuch o nim zaginął. Wielu Bobów zginęło przez te lata w bitwach, niektórzy nie mieli kopii zapasowej, lecz Bender po prostu zniknął bez śladu i bez powodu.

Znałem jego pierwotny cel, ale podobnie znał go Victor, Marvin i Luke – i też guzik znaleźli. A konkretnie to nie znaleźli żadnych śladów, które mogłyby świadczyć, że w ogóle dotarł do tej Gammy Leporis. Żadnej autofabryki, wydobycia surowców, stacji przekaźnikowej, żadnego śladu Bussarda wchodzącego czy wychodzącego z układu.

Właśnie wróciłem do Delty Eridani po wielkiej pielgrzymce na Ziemię. Była to dla mnie mocno emocjonalna wycieczka – Ziemia, kiedy wyjdzie z tej epoki

lodowcowej, będzie na pewno diametralnie inna, więc to była ostatnia wizyta w domu, jeszcze możliwym do rozpoznania. Paradoks: ludzkość rozwiązała problem globalnego ocieplenia, wdrażając atomową zimę. I zabijając po drodze 99,9% siebie, ale nikt już tego nie liczy. Głupi ci ludzie.

Układ Delty Eridani wyglądał w zasadzie tak, jak go zostawiłem. Układy wsparcia autofabryk cały czas wydobywały surowce z asteroid, zwoziły je i odlewały w sztaby gromadzone dla przyszłych potrzeb. Z braku innych konkretnych poleceń autofabryki powoli wytwarzały kolejne autofabryki oraz części zapasowe do moich rozmaitych mechanicznych służących.

Zadowolony ze status quo wywołałem swoją rzeczywistość wirtualną i rozwaliłem się w fotelu z podnóżkiem otoczony biblioteką. Regały pełne książek, od podłogi po sufit, zawsze mnie niezawodnie relaksowały. Kolczatka natychmiast wskoczyła mi na kolana, mrucząc z zadowoleniem, a Jeeves przyniósł świeżą kawę.

VR-ka była niezbędnym elementem mojej egzystencji. Bez niej byłbym tylko odcieleśnionym mózgiem. W VR-ce miałem ciało, zwierzaki, dom. Przed zbudowaniem osobistego środowiska VR zwariowało czterech replikantów na pięciu. Jestem przekonany, że istnieje pewien związek.

– Przepraszam, muszę się teraz skupić – powiedziałem do kotki. Odwróciłem się do Gupika, który stał jak zwykle na spocznij. – Zawieś Kolczatkę i pokaż obraz miejscowej przestrzeni, wyśrodkowany na nas, promień czterdzieści lat świetlnych.

Wielkie rybie oczy mrugnęły.

[Przyjąłem.]

Kolczatka zniknęła w rozpikselowanym obłoku. Chwilę później przede mną pojawiła się sfera wypełniona licznymi świetlnymi punktami, a każdy dla wygody był podpisany. Wszystkie układy gwiezdne w promieniu czterdziestu lat świetlnych od Delty Eridani, pokategoryzowane według typu.

Narysowałem palcem linię z Delty Eridani do Gammy Leporis A – hipotetyczny kurs Bendera. Odleciał w tym kierunku, w roku 2165, ale nigdy nie dotarł do celu. Opcje: czyjś faul, jakiś wypadek, świadoma decyzja.

Pierwsze dwie mogły pozostawić ślady – odłamki, krzyżujący się ślad tego teoretycznego napastnika, promieniowanie, cokolwiek. Po trzeciej zostałby chociaż skręcający w bok ślad Bussarda. Ale by wykryć którąkolwiek z tych alternatyw, trzeba by pełznąć z prędkością 5% c. Sprawdzenie całej trasy Bendera w ten sposób trwałoby trzysta dwadzieścia lat. Oczywiście, gdybym coś znalazł, nie szukałbym dalej, ale i tak wyglądało to na bardzo dużo prawie niczego przez bardzo długi czas.

Jesteśmy komputerami i jesteśmy nieśmiertelni. Działamy jednak z milisekundową rozdzielczością, więc kilkaset lat to byłaby dla mnie wieczność.

Wróćmy do trzeciej opcji – umyślnej decyzji. Jeśli coś zauważył i skręcił, by to zbadać, może ktoś lecący jego śladem także to zobaczy? Luke i inni niczego nie dostrzegli, zapewne jednak przyglądali się bardziej samemu kursowi niż okolicy. Bender zaś, odbywający długi lot międzygwiezdny w przed-UNOP-owych czasach, rozglądałby się za czymś dla zabicia nudy.

Parę milisekund drapałem się po podbródku, analizując opcje. I ponownie zwróciłem się do Gupika:

– Chyba trzeba to zaatakować ze wszystkich stron. Niech autofabryki zbudują setkę tych zwiadowców dalekiego zasięgu, jakich używaliśmy w bitwie o 82 Eridani. I dopilnuj, żeby miały odpowiednio mocne silniki SURGE, do lotów międzygwiezdnych.

[Przyjąłem.]

Kiedy drony będą gotowe, wyślę je wzdłuż prawdopodobnego kursu Bendera z prędkością 5% c i będę wypatrywać czegokolwiek nietypowego. A na razie nie ma sensu czekać. Pozwoliłem sobie jeszcze na jedno długie spojrzenie na obracającą się pode mną planetę Eden i zszedłem z orbity, kierując się z pięcioma g w stronę Gammy Leporis.

***

Loty między układami gwiezdnymi nie obfitują w wydarzenia – i dzięki Bogu. Trudno sobie wyobrazić jakieś obfite wydarzenia pomiędzy gwiazdami, po których nie skończyłbym jako obłoczek luźnych atomów.

Zastanawiałem się, czy nie ograniczyć prędkości do 0,75 c, żeby zachować kontakt z Bobiwersum. UNOP umożliwiał natychmiastową łączność BobNetem, ale jeśli τ robiło się zbyt duże (albo za niskie, trwała wciąż dyskusja, jak właściwie należy wyrażać wielkość zwaną „tau”, czyli dylatację czasu), interakcja w czasie rzeczywistym była niemożliwa, nawet gdybym podkręcił sobie zegar. Nie mogłem się jednak doczekać sprawdzenia własnej teorii, zresztą Bobiwersum robiło się ostatnio coraz dziwaczniejsze i coraz bardziej frakcyjne. Bobowie stawali się coraz mniej bobowaci i szło to w kierunkach, które zdumiałyby Pierwszego Boba. Zresztą trudno, jeśli podczas mojej przerwy w łączności osiągną osobliwość, czy coś podobnego, mam nadzieję, że Bill zostawi jakąś notkę z instrukcjami.

Zabijałem czas, przeglądając zarchiwizowane nagrania Deltan. Byli prymitywną rasą rozumną, przypominającą coś w stylu dwunożnej krzyżówki

świni z nietoperzem. Ja ich praktycznie adoptowałem i przez pokolenie czy dwa byłem dla nich wielkim bogiem z nieba, a później dołączyłem do plemienia pod postacią androida. Minęły sześćdziesiąt trzy lata odkąd po raz ostatni wyszedłem z Camelotu po pogrzebie Archimedesa. Bardzo za nimi tęskniłem – zwłaszcza za tym, że żyjąc między nimi, czułem się jak w rodzinie. Bill nieraz karcił mnie, że niebezpiecznie jest przenosić uczucia na bandę prymitywnych obcych. No i trudno.

***

Jak się okazało, sprawy stały się interesujące, zanim w ogóle τ wzrosło mi na tyle, by stracić kontakt. Po dwóch subiektywnych miesiącach lotu coś wyzwoliło jeden ze skryptów monitorujących, które sobie poustawiałem.

Graliśmy właśnie w baseball w VR-ce Zgromadzenia Bobów, gdy Gupik wpadł bez zapowiedzi. Wszyscy Bobowie na boisku stanęli jak wryci. Pojawienie się na murawie czyjegoś Gupika musiało oznaczać coś ciekawego. Metadane mówiły, że jest mój, odłożyłem więc kij i uniosłem pytająco brew. Jak zwykle, nie zareagował. Interfejs GUPIK słabo rozumiał miny. Podobnie jak sarkazm, przenośnie, ironię, mowę ciała i konwencje społeczne. Gapił się, czekając, aż coś powiem.

– No?

To najwyraźniej wystarczyło.

[Monitoring astronomiczny wykrył anomalię. Miałem natychmiast informować.]

Dla Gupika „anomalia” mogła jednak znaczyć cokolwiek. Gupik Maria kiedyś nazwał „anomalią” martwy ekosystem całej planety.

Luke i Marvin podbiegli do mnie i czekali. Wiedzieli, że lecę śladem Bendera i to może być jakaś nowina.

Zerknąłem na nich i powiedziałem do Gupika:

– Więcej informacji.

[Układ Eta Leporis wykazuje nietypową sygnaturę podczerwoną oraz okresowe przygasanie światła gwiazdy.]

Luke i Marvin spojrzeli po sobie. Luke powiedział:

– Coś jak sygnatura Roju Dysona? Myślisz, że to jakaś megakonstrukcja? Bender na pewno by chciał to zbadać.

Teraz już prawie wszyscy gracze zleźli się do nas. No to nici dziś z baseballu. Bill pierwszy powiedział to na głos:

– Dobra, panowie, to chyba byłoby tyle. W tym tygodniu rezygnujemy z wymagania minimum pięciu gier. Do pubu!

Gracze wydali parę okrzyków i zaczęli znikać z baseballowej VR-ki.

Odprawiłem Gupika, potem przeskoczyłem do pubu z Lukiem i Marvinem, machając na Jeevesa-rezydenta, żeby przyniósł to, co zawsze.

Zajęliśmy stolik, Luke wbił we mnie wzrok.

– Dajesz.

– No… wiecie, że lecąc śladem Bendera, rozglądałem się za czymś nietypowym. Mam teorię, że coś zobaczył i zmienił kurs, a my po prostu nie wykryliśmy łagodnego wygięcia śladu Bussarda.

– Dobra, dobra. Dawaj puentę.

Uśmiechnąłem się do Luke’a, sygnalizując, że „będę to ciągnął, ile tylko się da” i mówiłem dalej.

– Oczywiście nie miałem pojęcia, gdzie patrzył i co mógł zaobserwować, więc rozglądałem się w zasadzie za wszystkim. Musiałem dołożyć Gupikowi drugie tyle pamięci, żeby nadążał.

– I znalazłeś sygnaturę megakonstrukcji?

– Znalazłem – chyba – coś, co można tak zinterpretować. Pytanie brzmi: czy podjąć decyzję o zmianie kursu, żeby to zbadać? Jeśli to okaże się fałszywym alarmem, będę musiał praktycznie zaczynać od zera. I już pomińmy czas potrzebny, żeby zawrócić – w końcu wymieszamy materię międzygwiezdną na tyle, że w życiu nie znajdziemy śladu.

– Chyba musisz zmienić ten kurs – powiedział Marvin. – Jeśli będzie potrzeba, ja powiem MSI w Delcie Eridani, żeby zbudowała nowy statek, i sklonuję się do niego. Szybciej, niż gdybyś miał zawracać albo któryś z nas przylatywać.

– Jasne. Daj mi sekundę.

Przeskoczyłem do osobistej VR-ki. Gupik, jak zawsze, stał na spocznij. Milionowy raz zastanowiłem się, czy nie zmienić mu tego admirała Akbara. I milionowy raz moje gówniarskie poczucie humoru wygrało.

– Gupik, skręcamy w kierunku anomalii. Kiedy skończysz, podaj przewidywany czas podróży. Niski priorytet, nie trzeba się pojawiać na zgromadzeniu.

[Przyjąłem.]

Przeskoczyłem z powrotem do Marvina i Luke’a, przyłapując Luke’a na próbowaniu mojego piwa.

– Ej, jakieś granice?

– A co, zarazków ci napuszczę? – Luke się wyszczerzył. – Całkiem niezłe czerwone ale. Trochę się zdziwiłem, bo pamiętałem, że głównie ciemne pijesz.

– To przez Howarda. Na Wolkanie kwitnie browarnictwo i Howard ciągle przenosi jakieś szablony do VR-ki. Tym mnie ostatnio poczęstował.

Marvin powoli pokiwał głową.

– Tworzy międzygwiezdne szlaki handlowe.

Zmarszczyłem czoło.

– Przy czasie lotu liczonym w latach. Przecież się…

– Okazuje się, o wielki ojcze wszystkich Bobów, że „się nie”. Kapsuły hibernacyjne bardzo dobrze konserwują piwo.

Łypnąłem na Marvina, za tę korektę i jeszcze przytyk po drodze.

– A myślałem, że pozbył się udziałów w destylarni Enniscorthy.

– Tak. Oddał je Pierwszej Bridget i Stéphane’owi. I jej dzieci odziedziczyły ją po jej śmierci. Ale tam się specjalizowali w mocnych alkoholach. Pamiętasz Wielką Romulańską Prezydencką Aferę?

Wszyscy się zaśmialiśmy. Cranston w stu procentach zasłużył na to, co go spotkało, i nigdy nie był w stanie zebrać żadnych dowodów, że to Howard wszystko zaaranżował.

– Howard i Bridget wykupili na Wolkanie parę mikrobrowarów i wyraźnie mają jakiś naturalny talent do tworzenia i sprzedawania diabelskiego napoju – ciągnął Marvin. – Albo po prostu kumację biznesową. I teraz ich browar jest w pierwszej trójce w układzie Omikron-2 Eridani.

– Hmmf… – Potarłem palcem podbródek. Tik nerwowy, który wykształcił mi się nie wiadomo kiedy. Pierwszy Bob nie miał czegoś takiego, ani żaden z moich klonów. – No, cieczy nie da się drukować, a samo przesłanie przepisu nic ci nie da, jeśli nie masz składników, więc chyba faktycznie fizyczny eksport to jedyne wyjście. – Uniosłem szklankę na zdrowie. – Za Howarda, biznesmena w rodzinie.

Powoli popijając piwo, rozejrzałem się po pubie. Wyglądało na to, że moda i styl są dzisiaj o wiele bardziej urozmaicone. Bobowie mieli też tendencję do skupiania się w podobnie ubrane grupki, jakby samoczynnie filtrowali się po stylu. Przysiągłbym, że część jest na pograniczu cosplayu. Prawda, nie było Klingonów i ani jednego Chewbakki, ale niektóre stroje kojarzyły się z Następnym pokoleniem. Albo z szatami rycerzy Jedi. Był nawet Bob w garniturze z krawatem. Kto, u licha, z własnej woli wkładałby garnitur i krawat?

Zmarszczyłem czoło i wskazałem Marvinowi głową typa w garniturze. Odpowiedział zażenowanym uśmieszkiem i wzruszeniem ramion.

– Mnie nie pytaj. Wygląda na to, że dryf replikacyjny przyśpiesza. Mamy piętnaście do dwudziestu pokoleń, i to już nie jest tylko kwestia regresywnych

albo ekspresywnych cech Pierwszego Boba. Różnice się nawarstwiają i niektóre klony idą w całkiem nowe strony.

– Aha, a te ubrania? Prawie cosplay.

Mina Marvina się nie zmieniła.

– Niektóre to pewnie dla zabawy. Albo w ramach ironicznego komentarza. Ale reszta… no, sam nie wiem, czy ubranie wpływa na ich osobowość, czy na odwrót. Typy od Następnego pokolenia gadają o stworzeniu prawdziwej organizacji w stylu Gwiezdnej Floty, żeby monitorowała – takiego dokładnie używają słowa – wpływ Bobiwersum na biologiczne istoty.

– Rany boskie. I jak oni to zrobią? Wprowadzą jakieś prawa? Stworzą policję?

– Bob, na razie to tylko dyskusja. Nikt nie napiera na zmiany organizacyjne. Przynajmniej na razie.

– Ma to coś wspólnego z Thorem i jego grupą lobbingową, po wojnie z Innymi?

– Nie, zupełnie nie. Thor i jego grupa po prostu dali do zrozumienia, czego chcą, nie chcieli niczego narzucać reszcie. A ci… – Wskazał typów z Następnego pokolenia. – Są trochę bardziej inwazyjni, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Pokręciłem głową, nie chcąc poświęcać na to więcej psychicznej energii. Podniosłem rękę, Jeeves pojawił się z kolejnym piwem.

***

Przeszedłem do osobistej VR-ki, czując przyjemny szmerek od piwa i nie tak przyjemny niepokój, że coś się kroi. Szmerek zaraz wyłączyłem, z niepokojem nie dało się tego zrobić. Bill miał rację – za mało chodziłem na Zgromadzenia, ale dzisiejsze nowości wcale mnie do tego nie zachęciły.

Ostatnio dobudowałem do swojej biblioteki zewnętrzne patio, z meblami ogrodowymi do kompletu. Było tam nieustające późne lato/wczesna jesień, z ciepłym słońcem i chłodnym wietrzykiem. Nad jeziorem krzyczały nury, konkurując z gęsiami i innym ptactwem. Wzdychając z zadowoleniem, opadłem na fotel i zawołałem Gupika.

– Odpal, proszę, Kolczatkę i Jeevesa. Potem daj info o zmianie kursu.

Jeeves pojawił się nade mną z dzbankiem kawy i talerzem kanapeczek bez skórki. Kolczatka ukazała się na moich kolanach, dokładnie w tym miejscu, gdzie ją zawiesiłem. Podrapałem ją za uchem i od razu zaczęła mruczeć.

Wreszcie, z kanapką w jednej dłoni i kawą w drugiej, byłem gotowy do pracy.

– Status?

[W drodze do Ety Leporis. Czas lotu: około trzydziestu pięciu lat, wliczając czas niezbędny na zmianę kierunku.]

– Wow, kawał drogi. Będę w zasięgu UNOP-a, kiedy dolecimy?

[Nie. Wymagana budowa i uruchomienie stacji przekaźnikowej.]

Cholera. Kolejna strata czasu. Ale co poradzić.

Oczywiście, jeśli okaże się, że w Ecie Leporis nie ma odpowiednich surowców, wyjdę trochę na głupka.

– Dobra, Gupik, wyślij do dronów polecenia, by w minimalnym czasie dotarły do miejsca, w którym zmieniliśmy kurs. I niech zbadają cały ten obszar pod kątem śladów Bussarda.

[Przyjąłem. Zajmie im to około dwudziestu czterech miesięcy.]

– Rozumiem. Daj znać, kiedy dotrą i zaczną badać, a potem daj raport, kiedy wyślą wyniki.

Gupik zamrugał i zniknął. Opadłem z powrotem w fotel z podnóżkiem i założyłem ręce za głowę.

Pierwszy problem – łączność.

Mogę – być może – zbudować stację przekaźnikową, kiedy dolecę do Ety Leporis, wysłać ją kursem powrotnym i kazać zatrzymać się w połowie drogi. Ale to nieoptymalne. Poza niewiadomą dostępnością materiałów u celu byłbym poza siecią przez całe lata. Znaczy kolejne lata.

Mogłem jednak polecić autofabryce w Delcie Eridani, żeby zbudowała pełnowymiarową stację przekaźnikową z napędem SURGE, i wysłała ją tam. To będzie szybsze, bo ona może od razu zaczynać, ale pewna przerwa w łączności powstanie i tak.

Żeby jej zapobiec, mogłem wziąć któregoś drona ze swojej ładowni, przerobić go na UNOP-ową stację przekaźnikową i wyrzucić po drodze z poleceniem hamowania do zerowej prędkości. Nie będzie to idealne – po pierwsze, nie będzie miał zdolności do napraw i ulepszeń. I przepustowość też będzie słaba, z uwagi na ograniczenia wielkości. No cóż, i tak nie zamierzam stamtąd prowadzić żadnych Zgromadzeń. Da się z tym żyć. A na wypadek awarii może zostawię dronowi parę szopów.

Zresztą i tak będzie musiał działać tylko przez parę lat, póki nie doleci większa i mocniejsza stacja z Delty Eridani. A inwestycja sprzętowa jest minimalna. Zapasowych dronów i szopów miałem w ładowni aż nadto na podstawowe potrzeby.

Dobra, jeden problem rozwiązany. Wpisałem potrzebne zadania na listę. Teraz problem Bendera…

Punkt 1: Spora szansa, że zboczył z kursu ku Ecie Leporis. Ale jeśli to okaże się nieprawdą, dostanę raport z dronów na długo, zanim tam dotrą. Zawiadomię Marvina i będę mógł zawrócić, żeby podjąć ślad. Zatem dla dalszej dyskusji załóżmy, że tak nie jest.

Punkt 2: Eta Leporis wykazuje cechy sugerujące, że mieszka tam inteligencja ze zdolnością latania w kosmos. Taka, która zbudowała lub buduje megakonstrukcję. Samo to od razu przywiodło na myśl Innych. Wzdrygnąłem się na myśl o kolejnej wieloletniej międzygwiezdnej wojnie.

Punkt 3: Jeśli przyjąć, że jest tam cywilizacja, że zbudowała jakąś megakonstrukcję i że Bender poleciał ją zbadać, jest wysoce prawdopodobne, że coś mu się tam stało. Inaczej zbudowałby stację kosmiczną, która już zdążyłaby przesłać po radiu jego dzienniki. I dawno dostałby plany UNOP-a i był na BobNecie dzięki łączności nadświetlnej.

Wniosek: Wskazana zwiększona ostrożność.

Zachichotałem, widząc, jak biurokratycznie to zabrzmiało. Ale to prawda. Normalnie wchodzimy do układu pod kątem, zamiast lecieć bezpośrednio na gwiazdę, i zachowujemy wystarczającą prędkość, by móc wewnątrz układu szybko skręcić. Tym razem chyba na początek lepsza będzie orbita parkingowa gdzieś w Obłoku Oorta. I dużo dronów-zwiadowców. Ale bez maskowania – maskowanie zakłóca SUDDAR, naszą podprzestrzenną wersję radaru.

Przetarłem oczy kciukiem i palcem wskazującym – co w VR-ce nie ma większego sensu, poza tym, że jest przyjemne – i zacząłem inwentaryzować swoje zasoby. Trzeba będzie naprodukować po drodze trochę rzeczy. No super!

3. Kłopoty
Bob, wrzesień 2331, peryferie
Ety Leporis

Zatrzymałem się, mówiąc w przenośni, o ponad 50 au od Ety Leporis. Definicje, gdzie leży Pas Kuipera i Obłok Oorta, są całkowicie arbitralne, zwłaszcza dla układów innych niż Słoneczny, ale pewne praktyczne różnice istnieją. Na przykład, im dalej, tym rzadsza jest materia. Tym trudniej znaleźć złoża metali. Fizyka powstawania układów gwiezdnych miała pewne prawidłowości – a jedna z nich to, że cięższe pierwiastki gromadzą się bardziej w środku, a cały lód i zamrożone gazy na zewnątrz. W Pasie Kuipera i Obłoku Oorta były właściwie wyłącznie zamrożone bryły skondensowanych gazów wyrzuconych ze środka układu przy zapłonie gwiazdy. Ale, jak przy kroplach deszczu, kondensacja zachodzi generalnie wokół czegoś.

Pierwszym zadaniem będzie rozesłanie dronów na poszukiwanie użytecznych surowców. To był element mojego pierwotnego projektu. Sonda von Neumanna miała znaleźć surowce, oczyścić je i użyć do wytworzenia kolejnych sond. Oczywiście dawno wyrosłem z pierwotnej specyfikacji, lecz i tak to było coś uspokajającego, jak wdrukowane w geny rutynowe i bezmyślne zajęcie.

Miało to jednak trochę potrwać, co już uspokajające nie było. Z pozoru dziwnie jest martwić się o miesiące po latach w przestrzeni międzygwiezdnej. Jednakże przez większość lotu miałem mocno przykręcony zegar, a teraz chodziłem już normalnie i chciałem posuwać się naprzód z poszukiwaniami. Oraz, nie owijając w bawełnę: chciałem sprawdzić, czy w układzie naprawdę znajduje się megakonstrukcja. Sfera Dysona Innych była jedynym megainżynieryjnym obiektem, jaki widzieliśmy, a była tylko częściowo zbudowana. Mało prawdopodobne, by tu także byli Inni – to byłby zdecydowanie najgorszy możliwy scenariusz.

Moja obecna orbita była zbyt daleka, żeby przez pokładowy teleskop zobaczyć coś wewnątrz układu. Frustrowało mnie to i miałem ochotę natychmiast wysłać tam parę dronów. Jednakże Bender zapewne wleciał tam na

pełnym gazie i to się mogło dla niego nie skończyć dobrze. Dlatego, chcąc nie chcąc, trzeba było eksplorować układ powoli i ostrożnie.

Dłuższy czas konfigurowałem drukarki i budowałem regularną orbitalną autofabrykę. Obojętne, co tu znajdę, i tak trzeba będzie postawić stację łącznościową. W wolnych chwilach sprawdzałem zaległe wiadomości. Po kilkudziesięciu latach poza siecią miałem tego masę. Głównie jednak interesowały mnie informacje od pozostawionych w tyle dronów. Wyszukiwałem je filtrem.

Drony wypuszczone z Delty Eridani po moim odlocie rzeczywiście wykryły, że ślad Bendera skręcił ku Ecie Leporis – i to zaledwie ułamek miesiąca świetlnego przed punktem, w którym ja zrobiłem to samo. Poczułem pewność, że moje domysły i plan są dobre. Oraz nieco samozadowolenia.

***

Zebranie wystarczającej ilości surowca, żeby w ogóle zacząć, zajęło cztery miesiące. Drony transportowe przywiozły urobek do autofabryki, która stopniowo wypluwała gotowe elementy, zgodnie z planami i harmonogramem, który dałem Gupikowi. Szopy montowały z części drony i powoli budowały stację przekaźnikową.

Rok po przylocie miałem w końcu tyle dronów, by móc faktycznie zacząć poszukiwania Bendera. Przez cały ten czas nie kontaktowałem się z nikim, nie licząc wymiany paru maili z Billem. Po pierwsze, dlatego, żeby mi nie dyszeli nad głową i nie domagali się ciągłych nowin. Po drugie, mała tymczasowa stacja przekaźnikowa pozwoliłaby co najwyżej na audio i wideo. BobTime? ZoomBob? Jakoś mało prawdopodobne, żeby to chwyciło.

Kazałem lokalnym dronom lecieć po rozszerzającej się spirali i szukać śladu Bendera w układzie. Sfera do zbadania nie była aż tak duża, nie dla czujników mających zasięg czterech godzin świetlnych.

W końcu sukces! Bender tu dotarł i wyraźnie wleciał do systemu. Wykreśliłem jego wektor podejścia i posłałem parę dronów tym śladem.

***

Im bliżej było do potencjalnego znalezienia Bendera, tym bardziej byłem podekscytowany. Choć jednocześnie i podenerwowany. Przypominała mi się cała

historia naszych interakcji z Innymi – nieprzyjemne niespodzianki, wysadzony ten i inny Bob… Hal rozwalony. Ile? Dwa, trzy razy?

Nie chciałem, żeby przy wirtualnych ogniskach opowiadano historie, jak zginął Bob 1. Ale gdyby to się miało stać, niech inni Bobowie wiedzą. Dlatego do momentu odpalenia stacji łącznościowej unikałem wszystkiego, co mogłoby mnie wystawić na ryzyko.

Jej zbudowanie i uruchomienie zajęło trochę dłużej, niż się spodziewałem. Już szału dostawałem. W końcu jednak nadszedł dzień, gdy zasygnalizowała gotowość i włączyła się do sieci. Wyłączyłem i porozkładałem partyzancką stację na dronie, sprawdziłem zasięg i puściłem dawno zaległą kopię zapasową do Ultimy Thule, gigantycznego archiwum Billa w Epsilonie Eridani.

Z aktualizacją bloga się wstrzymałem. Chciałem mieć coś, żeby zacząć z przytupem.

Czekając, aż autofabryka coś zrobi, a drony coś znajdą, bawiłem się niezobowiązująco w astronomię. Zidentyfikowałem sześć planet, z których druga była w ekosferze. Zauważyłem także przerwę między drugą i trzecią planetą – to z niej pochodziła podczerwona sygnatura. Niczego nie potrafiłem tam dostrzec, a sygnatura pochodziła ze wszystkich punktów naokoło gwiazdy, obstawiałbym więc jakiś rój – może zaczątki roju Dysona, ale skupionego tylko w płaszczyźnie ekliptyki. Jeśli tak, i ów rój składałby się z obiektów wielkości mniej więcej cylindra O’Neilla, nie byłoby niczym dziwnym, że na razie nic nie widzę.

Planeta w ekosferze, numer 2, nie wyglądała na zamieszkaną. A przynajmniej nie miała żadnej emisji radiowej. Mimo to z całego układu coś sporadycznie dochodziło. Takie ćwierknięcia, bardzo krótkie i na oko składające się z losowego szumu, ale w bardzo wąskim pasmie częstotliwości. Dokładnie czegoś takiego można by się spodziewać po kimś, kto swoją łączność szyfruje i kompresuje. Czyli coś żywego tu jednak jest.

Chyba pora podpiąć się z powrotem do Bobiwersum. Przyda mi się spojrzenie cudzym okiem.

***

Na dźwięk pneumatycznego klaksonu odpowiedziało zwyczajowe buczenie, którym publiczność okazywała swoją sympatię. Bill wyszczerzył się z mównicy.

– Dobra, dobra. Słuchajcie, na dzisiejszym zgromadzeniu mamy wieści od Boba 1… – tu musiał poczekać, aż fala wycia i oklasków ucichnie – …dotyczące Bendera i sytuacji w Ecie Leporis. – Zapadła cisza jeszcze bardziej przejmująca

niż wcześniejszy hałas. Zniknięcie Bendera stało się w Bobiwersum czymś w rodzaju legendy o Latającym Holendrze.

Machnąłem ręką w górze i uśmiechnąłem się, gdy głowy poodwracały się ku mnie, ale byłem zaniepokojony. Bobowie zawsze byli obcesowi i pozbawieni szacunku, zaznałem już szyderstw i drwin na zgromadzeniach. Tym razem jednak to nie było żartobliwe. Czuło się wyraźny klimat niechęci.

Zachowując neutralną minę, wszedłem na podwyższenie i rozejrzałem się po tłumie. Klimat czy nie klimat, wszyscy patrzyli uważnie.

– Jestem pewien, że połowa tego, co powiem, już krąży jako plotki z dupy, więc będzie krótko, a potem odpowiem na wasze pytania. – I sprzedałem im to samo krótkie streszczenie, co wcześniej Billowi, po czym poprosiłem o pytania. Wszędzie podniosły się ręce, wskazałem kogoś na chybił trafił.

– I co, wjedziesz tam po prostu, nie myśląc o konsekwencjach?

Uniosłem brwi w osłupieniu. I ton, i słowa były umyślnie konfrontacyjne. Przyjrzałem się pytającemu, żeby się upewnić, czy to nie jest replikant nie-Boba, ale nic z tego. Stwierdziłem, że zdenerwowałem się bardziej, niż gdyby moje kompetencje podważył jakiś przypadkowy człowiek. To odczułem jak zdradę.

– A słyszałeś kiedyś, żeby jakiś Bob gdzieś wjeżdżał bez planowania? W ogóle kogoś z Bobów poznałeś? – Łypnąłem na niego, rzucając wyzwanie do dyskusji.

– Jeśli będzie tam miejscowa cywilizacja, możesz zakłócić jej rozwój. Potwierdzisz, że się wycofasz, aby tego uniknąć?

– Wow. Ładnie ci wyszło to zakładanie złej woli. Odpowiadając na pytanie, nie na oskarżenie: zależy od sytuacji. To absurd określać z góry jakąś ogólną zasadę. Na jednym końcu spektrum – możliwe, że ta hipotetyczna cywilizacja zestrzeliła Bendera. Na drugim – mogli tylko zauważyć rozbłysk, kiedy wybuchł mu reaktor. Te dwa scenariusze wymagają innych reakcji.

– Albo może mógłbyś po prostu dać im spokój. Pierwsza Dyrektywa, gościu.

Zmrużyłem oczy, próbując rozczytać metadane tego Boba. No dobra, w VR-ce się nie „mruży”, ale wrażenie jest to samo. Dziwne… ustawił swoją informację na prywatną, co wydało mi się niesamowicie chamskie. A to z kolei wywołało konsternację – jak mógłbym sam sobie zrobić coś chamskiego?

Zerknąłem na Billa, który tylko wzruszył ramionami. Odwróciłem się z powrotem do pytającego.

– Nawet gdybyśmy mieli jakieś prawa, gościu, a nie mamy, to Pierwszej Dyrektywy by w nich nie było. To tylko zabieg fabularny i do tego mało realistyczny.

– Nie bądź taki pewny. Niektórzy z nas sobie na nowo przemyśleli to wasze podejście.

– To jest podejście Pierwszego Boba – odparłem. Stwierdziłem, że coraz bardziej mnie irytuje ten zasraniec, i podjąłem świadomy wysiłek, by się uspokoić. – Ale masz prawo do własnego zdania, obojętne jakiego. – Ostentacyjnie spojrzałem na kolejną uniesioną rękę i wskazałem ją.

– Jak daleko będziesz szukać, jeśli nic nie znajdziesz w tym układzie? I czy będziesz chciał ochotników do dalszych poszukiwań?

– Tak daleko, jak będzie konieczne, i tak. Na litość boską, chodzi o jednego z nas.

– Czyli to ma być kolejna krucjata zarządzona przez starszych Bobów, a reszta po prostu ma się podporządkować, tak?

Odwróciłem się i oczywiście to był Zasraniec. Stwierdziłem, że tym razem dam mu odpór.

– Niezły chochoł, palancie. Co ci jest, trafiła ci się tylko jedna czwarta mózgu? Dalej rozmawiać będziemy tylko, jeśli będziesz miał jaja wyświetlić swoje imię. A jak nie, to nie. – I ponownie się odwróciłem.

Po tej pyskówce z sali jakby zeszło powietrze. Nie było więcej pytań. Gdyby to było normalne, typowe dla Bobów zachowanie, czekaliby po prostu na koniec oficjalnego Zgromadzenia, żeby pogadać w cztery oczy. Z tym nie miałem problemu. Jeśli Zasraniec znów się na mnie rzuci, urządzę mu czarną dziurę średniowiecza.

***

Zgromadzenie skończyło się, większość Bobów wróciła do swoich prywatnych VR-ek. Ja usiadłem w pubie z Billem, otoczony pustymi stolikami.

– Co to, kurna, było? Możesz mnie oświecić? – Łypnąłem na niego znacząco znad piwa.

– Bob, kilkadziesiąt lat nie byłeś w obiegu. Mogę zrozumieć, czemu trzymałeś się na uboczu. Cała ta sprawa z Archimedesem to dla każdego byłby kop w jaja. Ale parę rzeczy przegapiłeś. Bobiwersum ewoluuje. Mamy Bobów dwudziestej generacji i późniejszych. Dryf replikacyjny robi się na tyle znaczący, że niektórzy już tylko wyglądają jak ty. No i właśnie: o wiele więcej jest zabaw z wyglądem i nie chodzi tylko o zarost. Kilku Bobów zaczęło występować jako pełnoprawny Borg. – Bill na moment zrobił zażenowaną minę i rzucił na nas Stożek Ciszy. To mnie zmroziło. Normalnie używało się tego, żeby odciąć się od przeszkadzających hałasów w tle, ale tym razem Bill chciał zapobiec podsłuchiwaniu. – Powiem otwarcie: Bob, jeśli od ostatniego klonowania nie zmieniłeś sobie kluczy szyfrowania i haseł, to zrób to. Na wszelki wypadek. Ja

już zmieniłem. Na razie nie ma nikogo, komu zupełnie nie ufam, ale przewiduję, że któregoś dnia trafi nam się potomek, który uzna, że cel uświęca środki. Rozumiesz.

Kiwnąłem głową i wysłałem wiadomość do Gupika, żeby to zrobił. I to już.

– A co z Howardem i Bridget? – zapytałem, trochę zmieniając temat. – I Henrym Robertsem?

– Ani Bridget, ani Henry się nie klonowali. W pierwszym przypadku wzbudziło to ogromne rozczarowanie i narzekanie w Bobiwersum. To pewnie też powód, dla którego ona się nie klonuje. Nie chce być domyślną żoną wszystkich Bobów.

Prychnąłem.

– Pierwszy Bob był dosyć progresywny, ale widzę, jak pewne niewypowiedziane oczekiwania mogą być problemem.

– No właśnie. A Henry mało się u nas pokazuje. Pływa teraz po Patchworku.

Uniosłem brew.

– Zaraz… a co z Posejdonem? Nie dokończył go?

Parsknął śmiechem.

– Poddał się, jak go trzeci raz zeżarło, z jachtem i wszystkim. Mówił zresztą, że i tak nie było sensu, bo żegluje się skądś dokądś. No, a Posejdon…

– Wiadomo. Nie ma „kądś”, bo jest tylko ocean.

– Bridget i Howard nadal inwentaryzują wszelkie życie w kosmosie – ciągnął z uśmiechem. – Mimo że, wiesz…

– Osławiona ekspedycja Prometeusz. – Pokręciłem głową. – No, ale przynajmniej nudno nie mieli.

Zawahałem się, nie wiedząc, co teraz. Paru Bobów podeszło, wykryło Stożek Ciszy i oddaliło się do innych partnerów do rozmów albo po prostu poszło po napitki.

W końcu stwierdziłem, że z Billem nie ma co krążyć wokół tematu.

– Dobra, wracając do dryfu replikacyjnego. O co chodziło z tym anonimowym pyskaczem? Dorobiliśmy się partii politycznych czy co?

– To jest coś więcej. Bobowie ogólnie zachowują się jak stado kotów, ale coraz bardziej to widać. Tworzą się grupy, coraz bardziej odklejone. Jest na przykład taka, która buduje mózg-matrioszkę.

– Ale… ten… – Odchyliłem głowę do tyłu i zmarszczyłem czoło. – Kiedy się ma casimirowe źródło zasilania, to nie potrzeba…

– Nie trzeba mieć w środku gwiazdy, żeby mieć energię. No tak. Ale trochę ciepła się przydaje, a studnia grawitacyjna jest wygodna, łatwiej się ze wszystkim zorganizować. Ktoś mówił, chyba, że budują wokół szarego karła.

W każdym razie bardziej się obawiam, że wyjdzie im coś prosto z książek Vernora Vinge’a.

– Albo Lovecrafta.

Parsknął śmiechem i wyłączył Stożek Ciszy.

– W każdym razie, Bob, poczytaj sobie mojego bloga. Musisz nadrobić. Ja nie owijam w bawełnę, szybko się zorientujesz, dokąd zmierza Bobiwersum.

Kiwnąłem głową i uniosłem szklankę w toaście. Bill odwrócił się do kogoś, kto już czekał na rozmowę z nim, a ja poszedłem poszukać Luke’a i/lub Marvina.

Nie mogłem powstrzymać prychnięcia, przepatrując lokal. Bobowie jako Borg. Do czego to doszło.

Cthulhu nie byłby zachwycony.

***

Bill miał chyba rację. Jak zwykle się otorbiłem i odciąłem od społeczeństwa. Trzeba to było nadrobić, najlepiej zaczynając od wizyty u Willa. Według jego bloga w końcu pożegnał się z zarządzaniem kolonią na 82 Eridani i urządził się na Walhalli, gdzie zajął się już trwającą terraformacją największego księżyca, Asgardu. Powietrze na Walhalli było jeszcze trochę za rzadkie dla ludzi, ale manny’emu to nie przeszkadzało.

Pingnąłem Willa i zaraz dostałem zaproszenie i adres manny’ego dla gości. Przeskoczyłem pod ten adres.

Parę milisekund diagnostyki i otworzyłem oczy na zewnętrznym tarasie, pod niebem, które było bardziej liliowe niż niebieskie. Pośrodku tego przestworu wisiał Asgard, na oko mniej więcej trzy razy większy niż Ziemia z Księżyca. Will siedział na ogrodowym fotelu z klepek z kawą w ręku i uśmiechał się do mnie szeroko.

Był w standardowym mannym typu Bob Johansson, ale nie nosił już schludnej bródki Rikera. Włosy miał rozczochrane i sterczące we wszystkie strony, a brodę bardziej taką, jak kiedy się po prostu nie golisz. Manny – nazywaliśmy je tak, bo wczesne modele przypominały manekiny z domów towarowych – był ubrany w coś, co najbardziej kojarzyło się ze strojem drwala. Bez patrzenia wiedziałem, że mój gościnny manny będzie miał kształt domyślnego człowieka, bez włosów, choć nie będzie trupio blady jak prototyp Howarda.

Zdjąłem się ze stojaka i usiadłem naprzeciwko Willa, po czym z przyzwyczajenia spróbowałem zmaterializować sobie kawę. Roześmiał się,

widząc moją minę, i wskazał boczny stolik, gdzie stał dzbanek z kawą i parę filiżanek.

– Przykro mi, Bob. Tutaj w realu kawę robi się po staremu.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– W realu?

– Język idzie naprzód – odparł Will. – Teraz to jest „real” i „wirt”.

– Hmm. Zapamiętam. – Nalanie sobie kawy zajęło tylko parę sekund i uniosłem kubek w toaście. – Trochę sobie wygląd zmieniłeś.

– Musiałem się zdystansować od dawnego Rikera, z wielu powodów. Pierwszy to, że trudno mi było odzwyczaić ludzi od przychodzenia do mnie z problemami kolonii. Nie docierało do nich, że przeszedłem na emeryturę. A jak zmieniłem wygląd na człowieka z gór, chyba wreszcie zrozumieli.

– I jak ci na tej emeryturze?

– To tylko znaczy, że nie mam zakresu obowiązków i mogę pracować nad czym chcę. Przez większość czasu to jest terraformacja Walhalli i parę własnych projektów. Pomaga, że tu mieszkam – od razu widzę skutki zmian.

– Jak to idzie?

Machnął ręką w geście skromności.

– Większość pionierskich rzeczy wymyślił Bill na Ragnaröku. Oczyszczenie powietrza, woda, regulacja biosfery – bo Walhalla ma jednak swój ekosystem. Bill popełnił większość błędów. Po prostu ich unikam.

– Duże masz straty w miejscowych gatunkach?

– Co ciekawe, nie. Kiedy zaczynaliśmy, środowisko było bardzo nieprzyjazne, coś jak na dużej wysokości na zboczach gór. To, co my robimy, ułatwia życie. Cieplej, więcej tlenu, więcej wody i tak dalej. Wyzwaniem jest wprowadzanie ziemskich gatunków na tyle wolno, żeby miejscowe nie zostały wyparte, nim się zaadaptują.

Kiwnąłem głową, upiłem łyk kawy i się skrzywiłem. W ciągle za rzadkiej atmosferze woda wrzała w niższej temperaturze, źle wpływając na parzenie kawy. Była letnia i wodnista. Ale taka jest cena za chodzenie w mannym po tym, no… realu.

Spojrzałem nad kawą na Willa i zmieniłem temat.

– Słuchaj… już o tym gadałem z Billem, ale chcę poznać twój punkt widzenia. Na to przedwczorajsze zgromadzenie.

Zrobił niewyraźną minę.

– Nie byłem. Mieliśmy problem z jednym frakcjonatorem. Ale tak, słyszałem o twojej scysji z Morlokiem…

– Morlok? Nazwał się Morlok?

– Nie, nazwał się Jeremy. Może przypadek, a może subtelne nawiązanie do tego remake’u Wehikułu czasu. Ale teraz używa imienia „Morlok”.

Will uniósł brew, czekając na komentarz. Pokręciłem głową, więc ciągnął:

– Dryf replikacyjny robi się naprawdę wyraźny. Bobowie są na pierwszy rzut oka jednym z nas do jakiegoś piętnastego pokolenia, potem to zaczyna przyśpieszać. Stuprocentowych psychopatów może jeszcze nie ma, za to paru dupków jak najbardziej.

No to żegnamy wizję pangalaktycznej rasy Bobów. Choć w sumie rozmaitość może być dobra. W końcu rasa ludzka składała się z miliardów indywidualności i była w stanie…

Prawie się wykończyć. Cholera.

Mamy problem. Naprawdę duży problem. Luźne podejście Pierwszego Boba może się nie sprawdzić.

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, gdy na moje pole widzenia nałożyła się wiadomość od Gupika.

[Zwiadowcy w układzie zaatakowani. 100% strat.]

– Muszę lecieć! – burknąłem i przeskoczyłem do wirtu.

W pośpiechu wysłałem mu przeprosiny, że nie odstawiłem manny’ego do stojaka, i powiedziałem, że później mu wyjaśnię.

– Co jest? – zapytałem Gupika.

[Telemetria czeka na inspekcję.]

Złapałem parę pierwszych okienek wideo i puściłem odtwarzanie. Drony szybowały śladem Bendera, wypatrując go SUDDAR-em, gdy transmisja z jednego z nich nagle się urwała. Drugi urwał milisekundę później, zanim MSI zdążyła zareagować w jakikolwiek sensowny sposób. Trzeci natomiast został trafiony, ale niecelnie. Uszkodził się, ale zdążył zrekonfigurować SUDDAR i zrobić skan o słabej rozdzielczości, zanim jego sygnał także zniknął.

Czwarte okienko pokazywało wyniki tego skanu. Dwa statki podeszły niezauważone na piątą godzinę zwiadowców i przypuściły atak. Miały po sześć metrów długości, były chyba zautomatyzowane i zdecydowanie nieprzystosowane do atmosfery. Podstawową sylwetkę tworzyła konstrukcja z belek, do której były poprzykręcane najróżniejsze części, bez zwracania uwagi na wygląd. Broń, chyba cząsteczkowa, była przyśrubowana na przeciwnych końcach, a pośrodku, pod kątem prostym do niej, znajdowały się talerze anten.

Przepatrzyłem logi i nie znalazłem śladów nadlatujących pocisków. Widać było za to krótki skok temperatury tuż przed zanikiem sygnału, co potwierdzało hipotezę o broni cząsteczkowej lub…

– Laser. Interesujący wybór. Przeważnie to nie jest za dobra broń. – Długą chwilę wpatrywałem się w okienko, potem je zamknąłem. – Gupik, czemu

zwiadowcy nie wykryli podejścia?

[Wiązki SUDDAR-u celowały w przód, żeby wykryć ślad Bussarda, w środku układu rozproszony przez zjawiska grawitacyjne.]

Dobra, jasne. W przestrzeni międzygwiezdnej ślad mógł być nietknięty przez setki lat. Po przeleceniu za heliopauzę już nie ma tak dobrze.

– Nie wykryliśmy impulsów SUDDAR-u?

[Nie. Telemetria ostatniego zwiadowcy wykryła impulsy radarowe.]

– Radarowe? Używają radaru? Kto w dzisiejszych czasach używa radaru?

[Najwyraźniej oni.]

Łypnąłem na Gupika i nie po raz pierwszy zanotowałem sobie, żeby zrobić na nim jakieś testy czarnej skrzynki. Sarkazm wymagał samoświadomości, a żaden niszczyciel ani dron mi tak nie pyskował jak on.

Pozostawały jednak podstawowe fakty, rzucające światło na coś, co przeważnie udawało mi się zapomnieć – nie umiałem myśleć po wojskowemu. Rozleniwiłem się po skutecznej rozprawie z Medeirosami i Innymi i zacząłem się zachowywać stereotypowo. Dlatego dostałem łomot. Trzeba odkurzyć tę dawną paranoję i zacząć myśleć asekuracyjnie.

– No to po prostu super. I zaatakowali bez ostrz… – Urwałem, bo coś przyszło mi do głowy. Gupik miał paskudną cechę: sam z siebie nie oferował informacji. Próby zmiany tego zachowania sprawiały, że zasypywał człowieka zrzutem nieistotnych danych. Wciąż nie byłem przekonany, czy to nie jest bierny opór i złośliwość. – Gupik, napastnicy robili coś oprócz namierzenia radarem?

[Potwierdzam. Było kilka transmisji radiowych.]

Zapewne coś w stylu identyfikacji swój-obcy, albo nawet próby ustalenia, czy moje sondy to coś więcej niż kosmiczne śmieci. A właściwej odpowiedzi nie znałem. Zresztą, jeśli się odezwę, zaalarmuję wszystkich obecnych, że w układzie jest ktoś jeszcze. A to też źle. Zapytajcie Hala.

Ostrożność nadal jest zalecana.

***

Zaprosiłem Billa, żeby popatrzył ze mną na nagrania. Postukał palcem w punkt na wideo.

– O, to ciekawe, widzisz?

– No… Odrzut termojądrowy. Świetne przyśpieszenie i zwrotność. Ale paliwożerny.

– Na krótkim dystansie pewnie mogą cię przegonić. Uważaj na siebie.

– Hmm… – Rozparłem się w fotelu. – Jakoś nie planuję tam wlatywać i się przedstawiać. Dwa spotkania i dwa ataki. I jeden stracony replikant.

– Jest w tym parę założeń.

– Ale rozsądnych. Wystarczająco, żebym potrzebował dowodów czegoś przeciwnego, by zmienić zdanie. – Wyciągnąłem rękę i przesunąłem nagranie minimalnie do przodu. – Nie ma SUDDAR-u, nie ma napędu SURGE, nie ma UNOP-a. Oni, kimkolwiek są, nie odkryli teorii podprzestrzeni. Z drugiej strony technologię napędu termojądrowego rozwinęli imponująco, a jeśli mam rację i to były lasery, także broń. To kupa watów z takiego małego drona.

– Co znaczy, że technologię fuzji mają lepszą niż my. – Bill uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – I nic dziwnego. U nas nikt już tego nie używa.

Prawda. Dawno przeszliśmy na generatory Casimira, które przejęliśmy od Innych. Były o wiele lepsze od dowolnego reaktora termojądrowego, między innymi dlatego, że nie siały żadną wykrywalną emisją. Oczywiście prace nad rozwojem fuzji stanęły w miejscu, ale nikt się tym nie przejmował.

– Czyli… – Postukałem się z namysłem w podbródek. – Ci, ten… ktosie… ciągnęli rozwój w bardziej tradycyjnych technologiach. Mogą nas wyprzedzać jeszcze w czymś. A w czymś innym są całkowicie zacofani. Widać po konstrukcji drona.

– Dobre podsumowanie. Może te drony nazwiemy Bądziołami?

– Czemu nie.

– To jaki masz plan?

– Plan? Po co nam, kurna, jakiś plan? – Wyszczerzyliśmy zęby. – Poważnie: na razie sprowadza się do „nie dać się złapać”. Reszta jest póki co mgławicowa.

– Ale wiesz, w archiwach mamy kupę antyradarowych projektów.

Gapiłem się na niego przez moment.

– Jezus, ja się chyba starzeję. No dobra. Jakaś antyradarowa powłoka, czarna jak węgiel, żeby zmylić optykę, elektronika o małej mocy i przechłodzony radiator, żeby nie pokazywał się w podczerwieni… – Usiadłem prosto, czując przypływ entuzjazmu. – I wlecieć bez silników i nie używać maskowania, bo na oko nie mają SUDDAR-u. Po prostu namierzać patrole SUDDAR-em dalekiego zasięgu… no, to ma sens!

– No, teraz to myślisz. A masz dość danych o kursie, żeby oszacować możliwe położenie Bendera?

– Z dużym marginesem błędu. Wyślę jeszcze paru zwiadowców, okrężną drogą, żeby go poszukali. Albo jego szczątków. – Obaj milczeliśmy przez chwilę, przetwarzając równolegle tę myśl.

– Wygląda na to, że będziesz miał trochę roboty – powiedział Bill. – Zostawię cię z tym.

***

„Trochę roboty” oznaczało pracę projektową nad sondami, by miały potrzebne mi właściwości, na podstawie planów i notatek z BobNetu. Wojny z Medeirosami i Innymi miały wiele skutków, ale także mocno przyśpieszyły rozwój wojskowych technologii. Zresztą chyba zawsze tak było z wojnami?

Ta praca nie była problemem, w końcu jestem komputerem, choć przez większość czasu się do tego nie przyznaję. Natomiast sama budowa, no, to już miało potrwać dłużej. Dalej byłem skazany na okolice Kuipera/Oorta, więc nie miałem magicznego składziku potrzebnych pierwiastków, który ułatwiałby mi życie.

Dodałem jeden nowy element – jądro z lodu mającego parę stopni Kelvina. Zwiadowcy mieli ultramałą moc, co oznaczało bardzo niewiele ciepła odpadowego, ale nie chciałem, żeby i to było widać. Ciepło odpadowe szło do lodowego jądra, które stopniowo się podgrzewało. Przeliczyłem szybkość akumulacji ciepła i byłem przekonany, że zdążą przelecieć przez układ, zanim lód się podgrzeje, i nie zaczną promieniować w podczerwieni.

Miało to również wadę – przy tak ograniczonym budżecie cieplnym nie mogły utrzymywać stałej łączności. Znaczyło to, że mogę je stracić i nie wiedzieć o tym, dopóki się po raz kolejny nie zgłoszą. No cóż. Życie to nie je bajka.

Wyliczyłem kursy, czasy i wystrzeliłem zwiadowców własnoręcznie, z działa elektromagnetycznego. Lot balistyczny aż do końca. Jeśli będą musiały zrobić manewr, to będzie koniec lodowego radiatora. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, za parę miesięcy wylecą z drugiej strony.

Zanim z tym wszystkim zdążyłem, poprzedni zwiadowcy oblecieli już system i prowadzili poszukiwania na spodziewanej pozycji Bendera. Mówiłem nawet Billowi, że margines błędu jest ogromny, czyli i kubatura do przeszukania, lecz i tak ciągle byłem rozczarowany, gdy kolejny dzień nic nie przynosił.

Bez powodu, po prostu, żeby mieć coś do roboty, wytyczyłem sobie kurs na drugą stronę układu Bądziołów. Mocno naokoło. Wciąż nie byłem gotowy na przelot przez środek, ani trochę. Nie miałem pojęcia, jaki zasięg mają ich patrole.

Byłem mniej więcej w połowie drogi, gdy odezwał się Gupik.

[Zwiadowcy coś znaleźli.]

– Super! Co?

[Coś.]

Te testy czarnej skrzynki trzeba będzie zrobić bez znieczulenia. I to szybko.

– Dawaj raport.

Okienko wyskoczyło mi przed nosem, pełne statystyk i pomiarów. Najważniejsze ze wszystkiego było jednak zdjęcie zniszczonego fragmentu Nieba w wersji 2.

Bender.

4. Odbiór towaru
Herschel, październik 2332, Nowy Pawonis

Obserwowałem na monitorze, jak drony pakują wlewki do ładowni. Po załadowaniu każdego wielkiego bloku metalu szopy owijały go linkami i starannie podciągały do ściany, a tam obwiązywały. Surowców wystarczy nam na każdy projekt, jaki przyjdzie nam do głowy. I to na długo.

Jacques całkiem nieźle się z nimi dogadał. Neil i ja przez ostatnie mniej więcej pięćdziesiąt lat ganialiśmy od układu od układu, więc za bardzo nie mieliśmy kiedy się gdzieś zatrzymać i zaopatrzyć. Poza tym mieszkańcy tych układów nie byliby zbyt zadowoleni, że łupimy ich bogactwa naturalne.

Z Pawonisami skontaktowaliśmy się, lecąc z powrotem. Ich reakcję można by w najlepszym razie opisać jako lakoniczną. Jacques chyba nie mylił się co do nich. Ale sama myśl zasmucała – nie mieliśmy za bardzo szczęścia do obcych gatunków. Inni, Pawonisi, Deltanie… zaczynałem się zastanawiać, czy nie jest niemożliwe, by obce inteligencje się dogadywały. A jeśli miejscowy region kosmosu jest reprezentatywny, takich inteligencji musi być mnóstwo. W końcu musimy trafić na gatunek, który będzie górował nad nami technologicznie. A to znaczy, że wojna – i być może eksterminacja ludzkości – jest statystycznie nieunikniona.

Podzieliłem się tymi przemyśleniami z Neilem, jak zawsze rozwalonym bokiem w fotelu.

– Jezus, Hersch, czarnowidztwo nawet jak na ciebie. Musisz sobie znaleźć nowe hobby. Jakieś hobby w ogóle.

– Chłe, chłe, chłe. Ale widzisz jakiś błąd w rozumowaniu?

Westchnął i milczał przez parę mili.

– Nie widzę. Ale co chcesz z tym zrobić? Nadal jesteśmy pariasami.

– No co ty, już od co najmniej osiemdziesięciu lat nie. Dowodzimy największym, kurna, transportowcem w całym ludzkim kosmosie. I jesteśmy

osobiście odpowiedzialni za stworzenie co najmniej pięciu kolonii. Myślę, że jakiś szacun mamy.

– No może – odparł. – Ale proszę, nie traktuj tego jak pozwolenia na odgrywanie Picarda. Tego już nie zniosę.

– Załatwione. To na co wykorzystamy ten szacun?

Zacisnął usta i wpatrzył się w przestrzeń.

– Szczerze, to moja pierwsza myśl, kiedy dowiedzieliśmy się o tej górze metalu – dobudować drugie tyle płyt holowniczych, przyśpieszyć w cholerę i polecieć w jakieś ciekawsze miejsce.

– Jak Ik i Ded? I Fineasz?

– I z dziesięciu innych. Hersch, kupa Bobów po prostu se gdzieś leci.

– Trochę to, ja wiem, egoistyczne. Myślałem bardziej, czyby nie spróbować założyć kolonii gdzieś daleko poza ludzką sferą.

– Na wypadek gdybyś miał rację.

Wzruszyłem przepraszająco ramionami.

– Mamy wszystkie kapsuły z Wielkiego Exodusu. Nigdy nie było potrzeby nigdzie ich wyładowywać. I właśnie o to chodzi. One nie są już potrzebne. Jak i cały Bellerofont. My jesteśmy niepotrzebni.

– I żeby znów poczuć się potrzebnymi, próbujemy z kolejną kolonią. Jeśli wykorzystamy surowce i dorobimy kolejne trzydzieści dwie płyty, będziemy mieli naprawdę absurdalne przyśpieszenie – stwierdził Neil, powoli dojrzewając do projektu.

– A ludzka kolonia gdzieś, powiedzmy, w Ramieniu Perseusza…

– Zapewni przetrwanie, nawet jeśli reszta ludzi natrafi na jakichś jeszcze gorszych i większych Innych.

Kiwnąłem głową.

– To teraz pozostaje namierzyć gdzieś jakichś ochotników.

5. Dochodzenie
Bob, listopad 2332, peryferie Ety Leporis

Chmura odłamków powoli wirowała wokół środka masy. Niektóre były rozpoznawalne, większość jednak nie. Trochę się nawet zdziwiłem, że tak dużo zostało – nie myślałem, że laser zostawi cokolwiek poza żużlem. Oczywiście zakładając, że to, co napadło na Bendera, korzystało z takiej samej techniki jak drony, które zaatakowały moich zwiadowców.

Więcej się dowiem na miejscu. Nie było sensu zmuszać dronów, żeby zebrały te śmieci i przywiozły do mnie. Zbyt długo by to trwało i zbyt duże było ryzyko, że coś zgubią albo jeszcze bardziej uszkodzą. Lepiej podlecę tam z moimi szopami i przyjrzę się z bliska. Najpierw jednak kazałem dronom eksploracyjnym wypatrywać nadlatujących Bądziołów, choć wydawało się mało prawdopodobne, żeby nagle zainteresowali się wrakiem, który dryfował spokojnie od tylu lat. Sam fakt, że dryfował na zewnątrz układu, był zapewne znaczący. Ale mogą zmienić zdanie, jeśli moje poczynania wyzwolą im jakieś alarmy.

Przyznaję, że pokonałem tę odległość sporo szybciej, niż powinienem. Ostrożność zeszła na razie na dalszy plan. Na szczęście nie natknąłem się na żadne straże Bądziołów. Na jeszcze większe szczęście nie natknąłem się na żadną asteroidę.

Wypuściłem szopy, żeby zbadały wrak. Szybko stało się oczywiste, że moje domysły są prawdziwe – statek Bendera rozpruł wewnętrzny wybuch. Prawdopodobnie laser uszkodził układy kontroli reaktora tak, że ten miał katastrofalną awarię. Przypomniało mi się pierwsze spotkanie z Medeirosem w Epsilonie Eridani, wiele lat temu. Spotkał go dokładnie taki los. W dodatku wybuch zniszczył jego macierz. Trzeba było mieć nadzieję, że Bendera nie spotkał taki sam koniec.

Oczywiście konstrukcja statku była zupełnie inna. Medeiros leciał w statku zaprojektowanym przez Cesarstwo Brazylii. Dla nich nawet żywi żołnierze byli

zastępowalni, a co dopiero replikowana inteligencja. Bender zaś leciał statkiem przeprojektowanym przeze mnie, ze szczególnym naciskiem na zabezpieczenie macierzy replikanta. Ten prosty egoizm dawał mi odrobinę nadziei.

Po inspekcji z zewnątrz szopy weszły do fragmentu statku. Miałem pootwierane wiele okien, próbując obserwować wszystko naraz. W końcu dałem sobie spokój z VR-ką, wyłączyłem bibliotekę i podkręciłem sobie zegar. Teraz byłem w stanie nadążyć za wszystkim – konieczność patrzenia w gołe okienka z danymi była za to niewielką ceną.

Jeden z szopów piknął, zwracając na siebie uwagę. Odwróciłem się do jego okienka. Uśmiechnąłbym się, gdybym miał akurat ciało. Szop znalazł komorę z macierzą replikanta, w najgrubiej opancerzonej części statku. Bez widocznych uszkodzeń.

Wtem radość ustąpiła przerażeniu, gdy szopy otworzyły komorę… i okazała się pusta.

Nie, nie pusta. Gorzej niż pusta. Nie dość, że brakowało macierzy replikanta, to ktoś starannie zdemontował wszystkie interfejsy sprzętowe, prawdopodobnie w komplecie. Niedobrze. Komuś zależało, by wyjąć Bendera i jego osprzęt w całości, co sugerowało, że chce go zbadać, a może i zreanimować. Wspomniałem Homera i wzdrygnąłem się na myśl o duchu Bendera, bezradnym i skazanym na tortury.

Jedno było pewne: Bądzioły – czy ich twórcy – wiedziały, że ktoś kręci się w okolicy.

Po znalezieniu pustego statku Bendera przeskoczyłem z trybu panicznego pośpiechu w tryb paranoicznej ostrożności. Nie zamierzałem się z niczym śpieszyć ani podejmować zbędnego ryzyka, narażając się na zwrócenie uwagi Bądziołów albo, no… zderzenie z asteroidą. Sam lot do rejonu z autofabrykami miał mi zająć prawie tydzień.

A tymczasem miałem inną zagwozdkę. Rozgłosić to wszystko teraz, czy poczekać, aż dowiem się więcej? W ogóle dam radę przez tydzień siedzieć cicho? Po drugie, czy Will będzie w stanie siedzieć cicho? W sumie go nie prosiłem, ale byłem przekonany, że raczej poczeka, niż zgarnie moje pięć minut.

A pieprzyć to.

Wyciągnąłem konsolę i zacząłem tworzyć wpis na bloga. Jako pierwszy Bob-replikant miałem sporo obserwatorów, byłem też prawie pewien, że Luke i Marvin zareagują na każdy mój wpis.

Dobranie odpowiedniego tonu zajęło parę sekund namysłu. Ostrożny optymizm, zmieszany z realistyczną oceną możliwych problemów. Nadzieja, ale i przygotowanie.

Wreszcie skończyłem. Nacisnąłem „wyślij”, rozparłem się w fotelu i odliczałem. 3, 2, 1…

Luke, Marvin i Bill pojawili się jednocześnie i naraz zaczęli gadać i machać rękoma. Odwróciłem się do nich w fotelu i odczekałem, aż ucichną.

– Nie ma sprawy, mam teraz czas. Siadajcie – powiedziałem.

– Wal się – odparł Marvin. – Gdzie on jest?

– Nooo… to jest pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów, prawda?

Zmaterializowałem fotele dla wszystkich, a Jeeves przyszedł z kawą.

– Niech mnie… – mruknął Marvin. – Niech mnie…

– Następne kroki? – zapytał Luke. – Masz już plan?

– Nic konkretnego. Pierwszy krok to chyba znaleźć bazę Bądziołów, źródło, czy co to jest. Jest spora szansa, że Bender tam będzie. Nawet wlecimy po prostu i przeskanujemy wszystko SUDDAR-em, jak będzie trzeba. Namierzymy jego macierz i zobaczymy, co da się zrobić.

– Nalot?

– Jeśli to ma być najlepszy plan… – Wysunąłem podbródek. – Jeśli ktoś porwał Bendera i robi na nim eksperymenty, to nie jestem pewien, czy bawić się w dyplomację.

– Spokojnie, Bob – powiedział Bill. – Zobaczmy, co znajdziemy, nim zaczniesz produkować bomby, dobra?

– Tak, tak, wiem. Nic się nie bój, będę ostrożny.

Nastąpiła jedna z tych chwil ciszy, kiedy nikt nie wie za bardzo, co powiedzieć. W końcu Marvin kiwnął głową i wstał, razem z Lukiem. Pomachali mi i zniknęli.

Był jeszcze Bill.

– No, Dwójeczka, co tam?

– Chłe, chłe. Posłuchaj, chciałem cię zapytać, jak dokładnie planujesz wchodzić do tego układu, żeby szukać Bądziołów i jak bardzo publicznie będziesz o tym mówił.

– Publicznie? Co, kur… Ktoś by miał uwagi?

– Pewnie, że nie. Nie ja i nikt z naszej generacji. Ale Gwiezdna Flota się nakręca…

– Gwiezdna Flota? Co niby?

Bill westchnął.

– Dalej nie czytałeś mojego bloga, co?

– Eee… no nie. Zajęty byłem.

– Pamiętasz Morloka? Jego i jego grupę nazywamy teraz Gwiezdną Flotą, przez tę ich obsesję na punkcie Pierwszej Dyrektywy. To jak ich Ewangelia. Chcą, żebyśmy w ogóle zrezygnowali z interakcji z ludźmi. Próbują zebrać

poparcie do jakiejś oficjalnej deklaracji, że jak znajdziesz jakąś rasę, zostawiasz ją w spokoju.

– „Oficjalna deklaracja” to coś jak prawo?

Bill prychnął.

– My nie mamy praw. Ale jak zbierze się dość ludzi, mogą wywierać presję społeczną.

– Coś jak ostracyzm?

– No, coś podobnego. Utrata prestiżu w każdym razie.

– Rany, Bill, Pierwszy Bob nie dałby za to złamanego grosza.

– Tak, wiem, ale coraz więcej Bobów jest coraz mniej do niego podobnych. Nawet zacząłem nazywać ich replikantami, nie Bobami, żeby odróżnić.

– I oni bardziej się przejmują prestiżem?

– Biorąc losową próbkę, nie możesz zejść poniżej przyzerowego ułamka złamanego grosza, za to w górę możesz iść właściwie dowolnie. Czyli tak. Pojawia się kupa replikantów, którzy są takimi, z braku lepszego określenia, kolektywiarzami. Organizują się w grupy w każdej sprawie.

– Jak ta Gwiezdna Flota. I Borg.

– No. I Skippies…

– Skippies? Skippies? – Czułem, że oczy wyszły mi na wierzch, nawet w VR-ce. – Co, pozmieniali sobie awatary na puszki po piwie i zaczęli nazywać ludzi małpami? [1]

Bill prychnął kawą i musiał przerwać na chwilę, żeby się uspokoić.

– Nie, to grupa, która chce zbudować mózg-matrioszkę. Znaczy… wiesz, osobliwość, superSI i tak dalej? Nie wiem, kto im wymyślił to pseudo, ale na razie nie narzekają. I oni też, swoją drogą, chcą, żebyśmy zostawili ludzi samym sobie. Ale w ich przypadku dlatego, że ludzie nas ograniczają w rozwoju, czy coś takiego.

– Są jakieś jeszcze… zresztą nieważne. Poczytam sobie twojego bloga. Kurczę, parędziesiąt lat cię nie ma i wszystko zaczyna się sypać. – Wyszczerzyłem się do Billa. – Mam trochę do nadrobienia.

– Mało powiedziane. Jak będziesz czegoś potrzebował, daj znać. – Kiwnął mi głową i zniknął.

Rzeczywiście ciekawe czasy.

6. Rozszerzenie poszukiwań
Bob, maj 2333, peryferie Ety Leporis

Siedziałem w bibliotece i półprzytomnie gapiłem się na stół przede mną. Will, Bill i Garfield obserwowali mnie w milczeniu, jedynym komentarzem było sporadyczne powolne kiwnięcie głową. Od czasu do czasu bez entuzjazmu upijałem łyk kawy. Bill w końcu nie wytrzymał.

– Ale rozumiesz, że jesteś w wircie, nie? Możesz sobie tego kaca wyłączyć.

Odpowiedziałem bladym półuśmiechem, chyba bardziej przerażającym niż uspokajającym.

– Tak. I w przyszłości będę tak robił. To nie jest w żadnej mierze fajne. Ale jak poczytałem sobie w końcu twojego bloga… Wiecie, Pierwszy Bob alkoholikiem w żadnym razie nie był, ale od czasu do czasu, gdy była potrzeba, pił jak…

– Bender. Cała ta przemowa dla tej jednej gry słów?

Zachichotałem, po czym jęknąłem i złapałem się za głowę.

– Nie, to tylko miły dodatek. Ale Bill, szlag. My się różnicujemy. Na razie to jeszcze nic złego, ale masz rację, że spodziewasz się czegoś złego. I podobno mamy jedną Bobbi?

– To tylko plotka. Nie kojarzę nikogo, kto ją spotkał. Tylko że to też było nieuniknione.

Westchnąłem i zastanowiłem się, czy się nie zresetować i nie wyłączyć kaca. Już spełnił swoje zadanie, jeśli chodzi o głęboką psychologiczną potrzebę samobiczowania się. Teraz obudziła się ciekawość.

– Bardzo realistyczne to wszystko. Wiarygodność w VR-kach, znaczy, ten… w wircie naprawdę poszła do przodu.

– Trochę oczywiście dzięki mannym – rzucił Will z drugiego końca pokoju, gdzie dzierżył napój gazowany. – Zaczęliśmy przeżywać wszystko na nowo w realu i dotarło do nas, jaki ziarnisty i syntetyczny był wirt.

– Pomogło też, że ludzkość już stanęła na nogach. Mieliśmy ekspertów, których można było zapytać o niektóre niuanse. – Bill machnął filiżanką. – Na przykład Bridget. Jest niesamowicie kompetentna w naukach biologicznych i oczywiście teraz też ma dużą motywację, żeby pomagać przy ulepszeniach. A SUDDAR-em możemy zrobić dokładną mapę tego, jak ludzkie ciało i mózg reagują na rozmaite bodźce.

– I na kaca. – Wyszczerzyłem się i z powrotem się skrzywiłem. – Ona z Howardem żyją prawie w stu procentach w realu, nie?

– Tak. I do tego wychowują dzieci. Nie mogę się doliczyć, ile ich adoptowali przez te wszystkie lata.

– No, to jest coś, co daje do myślenia – powiedział Garfield. Do tej pory milczał, więc wszyscy odwróciliśmy się do niego. – I jest ważne, jeśli chcesz mieć odpowiednią perspektywę na nasze miejsce w kosmosie. – Urwał dla dramatycznego efektu. – Jako replikanci nigdy się nie męczymy, mamy niemal idealną pamięć, przetwarzamy setki razy szybciej niż ludzie i mamy natychmiastowy dostęp do informacji w naszych archiwach. Ale nie jesteśmy ani trochę inteligentniejsi od Pierwszego Boba. A czytać o czymś to nie to samo, co się w tym szkolić. Od czytania Anatomii Graya nie zostaje się lekarzem. Ani od oglądania.

Zmarszczyłem czoło.

– No dobra, rozumiem co do zasady, ale czemu to ważne?

– Wszystkiego sami nie umiemy. Na przykład, gdyby nie Bridget, androidy byłyby o wiele mniej zaawansowane. Broń ulepszyliśmy, bo gadaliśmy z wojskowymi typami…

– Albo kradliśmy od nich – wtrąciłem.

Garfield spojrzał na mnie spode łba.

– Wyrośliśmy na coś w rodzaju społeczeństwa, ale zajmujemy się głównie tym, co interesowało Pierwszego Boba. Jesteśmy monokulturą. Specjalistami. To nie jest zdrowe.

– Czyli ty mówisz… – Bill uniósł brew.

– Że nie jestem przekonany, że dryf replikacyjny to koniecznie coś złego.

– Gar, ja nie ufam niektórym z tych nowych – powiedział Bill.

– I nie powinieneś. To są inni ludzie. Ale Bobiwersum musi być na tyle silne, żeby wytrzymać społeczeństwo, gdzie nie każdy ma zgodne priorytety. Jasne, trzeba się będzie bardziej przejmować zabezpieczeniami i tak dalej. Tylko czym to się różni od zamykania domu czy samochodu na klucz?

– Dobra, to by było tyle – powiedziałem. – Ta rozmowa zrobiła się niekompatybilna z kacem. – Zresetowałem się i od razu poczułem się lepiej. – Ale to znaczy, że musimy też przyjmować innych ludzi?

Bill wzruszył ramionami.

– Zawsze chcieliśmy. Tylko nie było chętnych. Przynajmniej z tych, którzy gadali bezpośrednio z nami. Są ludzie idący w replikację i podpisujący umowy z firmami na współdzielone przetwarzanie na dużej serwerowni. Im większy miesięczny abonament, tym więcej mocy i dodatkowych bajerów dostajesz. W opcjach jest używanie mannych, nawet modeli premium, dostępnych tylko dla najwięcej płacących klientów. Większość jednak siedzi na pełny etat w wircie.

– To nie ma sensu. Tu jest wolność. Najlepsza wolność: możesz robić, co chcesz, i od nikogo nie jesteś zależny.

– Bob, tak naprawdę to nie. To brzmi dobrze dla takiego samotnika jak Pierwszy Bob, ale dla większości ludzi jest zupełnie nieatrakcyjne. Przede wszystkim ta niezależność oznacza, że za wszystko sam jesteś odpowiedzialny. O wiele łatwiej po prostu komuś zapłacić, żeby zajął się szczegółami, jeśli tylko masz pieniądze. I pamiętaj, to jest nieśmiertelność dla twojej kopii, kosztem trwałego zniszczenia twojej oryginalnej osoby. – Bill zawahał się, potem wzruszył lekceważąco ramionami. – Z drugiej strony w realu jest gigantyczne zainteresowanie pośmiertnym przechowywaniem mrożeńców i takie firmy pojawiają się na pęczki we wszystkich koloniach. Oferują przechowywanie po śmierci, tak jak w przypadku Pierwszego Boba. Tylko że teraz używają do tego kapsuł hibernacyjnych, więc nie ma w tym nic nieodwracalnego. Biznes kwitnie, z tego, co słyszałem.

– Dlatego że, jak cię odmrożą…

– To jesteś ten sam ty. Tak. To o wiele atrakcyjniejsza opcja.

Will westchnął.

– Chyba że dla kogoś jak Justin, który miał sprzeciw natury religijnej.

Upamiętniliśmy go milisekundą ciszy. Jako „twarz Bobów” Will był przez dziesięciolecia bardzo blisko naszej rodziny. Śmierć Julii, potem jej syna Justina, trafiła go prawie tak mocno jak śmierć Homera.

– Nie pomaga, że przez lata ganialiśmy po galaktyce tam i z powrotem, ratowaliśmy dupę ludzkości, ginęliśmy w kosmicznych wojnach i ogólnie robiliśmy za karmę dla smoków – ciągnął Bill. – Idea replikanta nigdy nie oddzieliła się od negatywnej percepcji, że jesteś w gruncie rzeczy zastępowalnym sługą.

Dla podkreślenia Garfield wskazał mnie palcem.

– I nie zapominaj, że wtedy dla ziemskich władz replikanci byli nieludźmi. Kopiami. Automatami. Żadnych praw i tak dalej. Sporo z tego zostało.

Kiwnąłem głową.

– A ożywiają kogoś? Znaczy… tych mrożeńców?

– Tak. Znaczna liczba została odmrożona, kiedy ich choroby stały się uleczalne, w dużej mierze dzięki fundacji onkologicznej Howarda i Bridget. Pozostałe głównie czekają na postęp w gerontologii. Ze starzeniem się na razie nie wygrali. W którymś momencie przestajesz nadążać z wymienianiem klonowanych narządów, a jak zaczyna się sypać mózg… no… to cała zabawa przestaje mieć sens.

– Ale w Bobiwersum jest jeszcze masa innych projektów. Osobliwość Skippies, to jeszcze trzyma się trochę kupy, ale niektóre inne… Silkies? Jak u van Vogta? Jegierzy? Kosmiczne Smoki?

Garfield parsknął śmiechem.

– Nie pamiętasz, jak Marvin próbował odtworzyć w VR-ce scenerię każdej książki, którą w życiu przeczytał? Okazało się, że zabrakło mu rozmachu. Te grupy próbują zastąpić nasze standardowe kadłuby statków czymś bardziej fantazyjnym.

– Przerzucaliśmy się gładkimi ogólnikami, jak to jesteśmy homo siderea. No to teraz niektórzy potraktowali to poważnie. – Bill się wyszczerzył. – Obserwuję ich blogi. Większość jest niegroźna. Projekt Osobliwość – może trochę gorzej. Ale Gwiezdna Flota – dużo gorzej, zwłaszcza jeśli stwierdzą, że gadanie im już nie wystarcza.

Ta ostatnia uwaga rzuciła cień na dotąd bardzo interesującą rozmowę i na parę mili zapadła niezręczna cisza.

Przełknąłem ostatni łyk kawy. Pora przejść do konkretów.

– Bardzo interesujące. Ale à propos „interesujące”, mam tu jeden taki drobiazg – popatrzeć na megakonstrukcję czy co to tam jest. Zerkniecie?

– No dawaj – powiedział Bill i przeniosłem nas wszystkich do sterowni.

W wircie to była tylko zmiana dekoracji, ale Pierwszy Bob zawsze był obsesjonatem szczegółów i my, replikanci pierwszych generacji, odziedziczyliśmy to po nim. Sterownia miała pełnościenne ekrany i konsole, bardzo w klimacie jakiegoś gwiazdolotu z fantastyki naukowej. Jedyny słuszny lokal do badania nowego układu gwiezdnego.

– To co my tu mamy? – zapytał Bill, podchodząc do holo.

– Balistyczni zwiadowcy zbadali wnętrze układu i powinniśmy już mieć kompletny obraz – powiedziałem. – Gupik, najpierw planety.

Bill, Will i Garfield wbili we mnie spojrzenia. Grałem na czas; oni to wiedzieli, ja wiedziałem, że wiedzą, i tak dalej. Ale moja VR-ka – moje zasady.

Holo wyświetliło sześć planet – trzy gazowe olbrzymy nieco dalej i trzy skaliste planety bardzo blisko gwiazdy, z jedną w ekosferze. Rzucała się w oczy duża przerwa między planetami numer dwa i trzy.

– Ten odstęp nie wygląda naturalnie – stwierdził Bill.

Kiwnąłem głową.

– Za bardzo asymetryczne. Albo przesunęli planety, żeby zrobić miejsce na megakonstrukcję, albo jednej brakuje.

– Twórcy Bądziołów zapewne pochodzili z drugiej planety – powiedział Will. – To co my tam mamy?

[Brak linii chlorofilu. Minimalna linia tlenu. Brak aktywności radiowej. Brak śladów substancji organicznych.]

Wszyscy wytrzeszczyliśmy oczy na Gupika. Ostatni raz, kiedy widzieliśmy planetę z takimi cechami, to był Pavonis. Po wszystkim.

– Inni? To nie jest poza ich zasięgiem?

[Atak Innych mało prawdopodobny. SUDDAR wykrywa znaczne skupiska metali.]

Dobrze. Gdyby tu byli Inni, cały metal byłby wywieziony.

– Dokończmy przyglądanie się temu. Potem, jeśli nie będzie dobrego powodu, żeby tego nie robić, wyślę paru zwiadowców na silnikach, żeby obejrzały wszystko z bliska. – Odwróciłem się do Gupika. – Mniejsze obiekty?

[Nic. Układ jest wyczyszczony.]

– Co takiego? Nie ma nawet księżyców?

[Nie ma księżyców.]

– Wow – rzucił Bill. – Ktoś tu ciężko pracował.

– Tę kwestię na razie zostawmy – powiedział Will. – Teraz mamy dwie opcje: albo popatrzeć na info o megakonstrukcji, albo wklepać Bobowi.

– Może jedno i drugie? – zaproponował Bill.

Wyszczerzyłem się do nich.

– Ja obstawiam rój Dysona.

– To trochę rzadki – stwierdził Bill. – W ogóle cienia nie rzuca.

– Wklepać. Wklepać – zawarczał Will.

Parsknąłem śmiechem.

– Oto długo wyczekiwana chwila. – Kiwnąłem na Gupika, który zmienił obraz w holo.

Gapiliśmy się na to, aż w końcu Will zapytał:

– Co to, kurwa, właściwie jest?

Bill zamigotał, podkręcając sobie zegar i zapewne grzebiąc w archiwach. Wrócił, zanim zdążyłem zareagować.

– Topopolis.

– Wygląda jak spaghetti – odparł Will. – Albo rzeźba z drutu.

Przyjrzałem się schematowi na monitorze.

– To jest jeden ciągły walec, promień dziewięćdziesiąt kilometrów, owinięty trzy razy wokół gwiazdy w taką spiralę.

– Węzeł torusowy – wtrącił Bill.

– Jak to w ogóle możliwe?

Bill wzruszył ramionami.

– Mówiło się o tym na Ziemi w czasach Pierwszego Boba. Mało jest o tym informacji. Wyraźnie nie był tak popularny jak cylindry O’Neilla, torusy stanfordzkie i habitaty Bishopa. Ale nie wymaga szczególnie zaawansowanej technologii. Po prostu duża skala i inżynieria.

– A co z grawitacją?

– Przecież to jest po prostu cylinder O’Neilla, tylko że ma miliony kilometrów długości. Kręci się wokół środkowej osi i generuje sztuczną grawitację.

– Ale jest zakrzywiony!

Uśmiechnął się na oburzoną uwagę Willa.

– Stary, pomyśl tylko o skali. Jeśli tam jest kilometr krzywizny na milion kilometrów długości, to nawet nie trzeba kombinować z jakimiś przegubami. Półtora milimetra krzywizny na kilometr długości. Wygina się mniej niż most Golden Gate, kiedy wchodzi na niego jeden człowiek.

– Ale skąd tyle materiałów…? Aaa. – Will kiwnął głową. – Brakujące planety.

– Z dużej perspektywy to jest o wiele mniej imponujące niż to, co próbowali zrobić Inni.

– Tylko że twórcy Bądziołów nie najeżdżali na inne układy, żeby zdobyć surowiec.

– Tak się nam wydaje. – Zerknąłem na Billa. – Nie badaliśmy okolic.

– Jeśli nie znają podprzestrzeni i napędu SURGE, to mało prawdopodobne – odparł. – Ale to jest kolejne pytanie w zawiasach, póki nie zbierzemy więcej informacji. Jaki jest kolejny krok?

– Dobre pytanie. To eliminuje mój poprzedni plan, żeby przeskanować bazę Bądziołów w poszukiwaniu macierzy Bendera. Nie da się przeskanować półtora miliarda kilometrów skomplikowanej konstrukcji, szukając jednej konkretnej kostki optoelektroniki i jednocześnie oganiając się od Bądziołów.

– No tak. Faktycznie, trzeba będzie podejść z większym namysłem. Najpierw zebrać informacje. – Odliczyłem na palcach: – Chcemy dostać zbliżenie planety, zbliżenie megakonstrukcji i skan jej wnętrza.

– I nie dać się rozwalić też chcemy.

– A tak, to też.

Bill pstryknął palcami.

– Wracając do wojskowej technologii…

– O czym w ogóle nie mówiliśmy.

Spojrzał na mnie spode łba.

– Pracowałem nad odmianą czegoś, co dostaliśmy z ZSE. Fraktalne pokrycie, które pochłania dziewięćdziesiąt dziewięć procent promieniowania i oddaje je w podczerwieni.

– Świetne dla radaru, nie za bardzo dla podczerwieni.

– Ale mamy twój pomysł, z lodem. Tak się możemy pozbyć ciepła.

– Hmm… – Kiwnąłem głową. – Pod napędem ten radiator bardzo szybko się skończy. Trzeba będzie to bardzo precyzyjnie zaplanować.

– No. Ubieramy drona transportowego w tę fraktalną powłokę, do kompletu z radiatorem. Lecimy na planetę Bądzioł, zrzucamy parę dronów eksploracyjnych, odlatujemy do zewnętrznego układu, licząc, że zdążymy, nim radiator się nasyci. To samo z dronami do skanów wysokiej rozdzielczości, tylko je wyrzucamy blisko megakonstrukcji.

Popatrzyłem na innych. Nikt nie miał kontrargumentów.

– Jeszcze jedno. Potrzebujemy więcej informacji o topopolisach… eee… topopoli? Topopoleis? Może jest gdzieś jakiś ekspert od tych spraw. Może ktoś poszukać?

– Ja mogę – powiedział Will i zniknął.

Bill wstał.

– Doślę ci plany tej fraktalnej powłoki. – I zniknął.

– Ja rozpracuję projekt drona – odezwał się Garfield i też zniknął.

– A ja zrobię kolejną kawę – powiedziałem do pustego pomieszczenia.

***

Drony autofabryki już od paru lat wyszukiwały i zbierały surowce w Pasie Kuipera i Obłoku Oorta, więc logistyka nie była już aż tak ograniczona. Bill i Garfield w parę godzin przekazali mi wszystkie informacje i autofabryki zaraz zaczęły tłuc pełną parą zmodyfikowane drony.

Były jednak mocno zmodyfikowane, a ten fraktalny kamuflaż był mocno upierdliwy w wykonaniu.

Niemniej tydzień później miałem gotowe moje szpiegowskie pojazdy. Sprawdziłem raz jeszcze wszystkie wyliczenia, złożyłem w ofierze kawę i je wypuściłem.

– No to teraz czekamy.

– Jakbyśmy nie robili tego od, kurna, zawsze – burknął Garfield.

7. Patrząc naprzód
Will, czerwiec 2333, wirt

Poszukiwanie informacji o topopolisach przynosiło na zmianę wiadomości dobre i złe. Dobra – znalazłem eksperta. Zła – ekspert już nie żył. Dobra – kazał się zreplikować. Zła – od razu rzucił się z powrotem w wir pracy i trudno było z nim nawiązać kontakt. Głowa by mnie rozbolała od tej huśtawki, gdybym jeszcze miał bóle głowy. Postanowiłem zrobić sobie przerwę i popracować nad jednym osobistym projektem, przy którym dłubałem na boku.

Pingnąłem Conana i wskoczyłem do niego, gdy tylko odpowiedział. Był aktualnym Bobem-rezydentem w układzie Omikron-2 Eridani. Od dawna nie było to pracochłonne stanowisko. Zarówno Wolkan, jak i Romulus dawno uniezależniły się od naszej pomocy, ale wciąż utrzymywaliśmy tam fizyczną obecność, choćby przez wzgląd na naszą rodzinę.

Rozsiadając się, rozejrzałem się dookoła. Conan odtworzył, jak się zdaje, wolkańską dżunglę, i urządził sobie domek na drzewie. Uśmiechnąłem się. Wiedziałem tyle o wolkańskiej faunie, by zdawać sobie sprawę, że w rzeczywistości to by się nie sprawdziło. Nawet po wytępieniu kupidynków w dżungli było aż nadto bioróżnorodności – tej złej – by zabić na miejscu każdego człowieka na tyle głupiego, który zapuściłby się tam bez skafandra.

Uniósł puszkę coli. Usiadłem w najbliższym fotelu, a skoro nie było w pobliżu Jeevesa, sam sobie przywołałem własną puszkę.

– Co mogę dla ciebie zrobić, o mój wielki przodku? – zapytał.

– To ty jesteś z moich? – odparłem, a on kiwnął głową.

W Bobiwersum genealogia nigdy nie była specjalnie ważna, ale przyśpieszająca ostatnio fragmentacja sprawiła, że ludzie zaczęli bardziej zwracać uwagę na linie klonowania, nawet próbując ewidencjonować DNA behawioralne. Było to robione po partyzancku i ad hoc, jak wiele projektów u Bobów.

– Obawiam się trochę o rodzinę, wiesz? WIARA staje się na Romulusie coraz bardziej wpływowa, a to może być tylko zła wiadomość.

– Ja to rozumiem. Ale masa ludzi lubi pewność, jaką daje religia, a WIARA to ładnie opakowane czarno-białe odpowiedzi. Nawet jeśli błędne.

Zbyłem to machnięciem dłoni.

– Mało mnie obchodzi, jakie jest wytłumaczenie. Chcę po prostu wydostać od nich rodzinę. Przez ostatnie pięćset lat tyle razy już widzieliśmy rozkwit skrajnej prawicy, że trudno nie rozpoznawać pierwszych objawów.

– No dobra. I?

– Mam taki mały projekcik na boku. Potrzebuję założyć stowarzyszenie, o jakiejś niewinnej nazwie. Ciągle naprzód, czy coś takiego, dla ludzi, którzy chcą emigrować z tego układu. Masz trochę czasu, to może mógłbyś się zająć organizacją tego?

Conan się wyszczerzył.

– No, ciśnienia wielkiego to tu nie miałem. Howard zaczął się uwalniać od odpowiedzialności, gdy tylko mógł, i my kontynuowaliśmy tę tradycję. Bardziej robię za miejscowego ambasadora niż cokolwiek.

– I jak ci ostatnio idzie?

– Hmm… Zmniejszam liczbę występów… – Machnął lekceważąco ręką. – Bobowie nie są ich ulubieńcami, nawet na Wolkanie, nie mówiąc już o Romulusie. Tak się składa, że mam sporo wolnego czasu. Coś konkretnego?

– Nic wielkiego. Potrzebujemy po prostu zarejestrowanego stowarzyszenia, nic specjalnego, rada nadzorcza i tak dalej. Jak to zorganizujesz, napiszę maila do rodziny i zobaczymy, co dalej.

Kiwnął głową.

– Będziesz tworzył grupę kolonistów złożoną wyłącznie z potomków Johanssonów?

– Nie wyłącznie. Nawet nie w większości, jeśli tylko będzie jakieś zainteresowanie. Ale chciałbym jak najwięcej ich stąd wydobyć.

– WIARA może się wtrącić. Na razie nie mają jeszcze tyle siły, ale kiedy będziesz gotowy do zabrania ich…

– Tak, też o tym myślałem. Są gwarancje konstytucyjne, jest oryginalna umowa, którą podpisałem z nim jeszcze na Ziemi – to daje prawną konstrukcję, by wymóc puszczenie kolonistów wolno. Musimy być jednak gotowi, jeśli zechcą pojechać po bandzie. Popatrzmy, co wy tu macie w układzie, co jest jeszcze kontrolowane przez Bobów.

Conan uśmiechnął się i wyświetlił diagram. Zupełnie jakby się tego spodziewał.

8. Wyniki skanów
Bob, lipiec 2333, peryferie Ety Leporis

Obecni byli Will, Bill i Gar. Czekaliśmy na pierwsze sensowne raporty z naszych dronów zwiadowczych.

Orbitalna mechanika jest, jaka jest, zatem pierwszy do celu dotarł dron skierowany na planetę Bądzioł. Trochę się obawialiśmy, że hamowanie napędem zwróci uwagę Bądziołów, w końcu stwierdziliśmy jednak, że: a) nie ma powodu, by jakoś bardziej interesowali się napędzanymi obiektami, skoro oczyścili układ ze wszystkiego, oraz b) i tak nie mamy wyboru.

W każdym razie dron bez problemów i incydentów wszedł na niską orbitę wokół planety Bądzioł i wystrzelił wszystkich zwiadowców.

I od razu stało się oczywiste, dlaczego nie widzieliśmy oznak życia. Planeta była martwa, nie z przyczyn naturalnych. Panorama pod nami łączyła najgorsze cechy ataku Innych i zniszczenia Ziemi rękoma ludzkości. Widoczna była wymiana ciosów atomowych – poczerniałe, spieczone kręgi w miejscach, gdzie kiedyś były miasta, wciąż promieniowały na tyle mocno, że nie można było tego inaczej zinterpretować. Kratery uderzeniowe wskazywały na co najmniej jedno bombardowanie z orbity, choć nic tak wielkiego, jak to, co Cesarstwo Brazylii zrzuciło na Ziemię.

Planeta nie pogrążyła się w atomowej zimie, choć nie widać było śladów żywej roślinności. Duże połacie czegoś, co mogło być lasami, spaliły się do gołej ziemi i nie wykazywały ani trochę nowych przyrostów.

W końcu wyciągnąłem rękę i wyłączyłem największy monitor. Powiedziałem do Gupika:

– Daj znać, jeśli pojawi się jakaś anomalia. A na razie wszystko rejestruj i archiwizuj, potem zbierz zwiadowców i zostaw z dronem na orbicie.

[Przyjąłem.]

Podjąłem strumień danych z drugiego drona transportowego, który powoli zbliżał się do megakonstrukcji. Topopolis miało taką skalę, że widać było naraz

tylko jedną „nitkę”, pozostałe dwie pętle były zbyt daleko.

– Co chcę zrobić – powiedziałem. – Rozproszyć drony skanujące wzdłuż całej megakonstrukcji, żeby zrobiły pełny skan długiego segmentu, na zakładkę, żeby niczego nie przeoczyć. Zakładam, że losowo wybrany fragment konstrukcji będzie reprezentatywny dla całości.

– Chyba rozsądnie – odrzekł Will.

Usiedliśmy i czekaliśmy, aż drony zajmą pozycje. Wciąż miałem pewne obawy co do Bądziołów. Na razie nas nie niepokoili, mieliśmy też całkiem dobre środki obrony przed namierzaniem innym niż SUDDAR. Nie wiedzieliśmy jednak, czy nie bronią strefy topopolis wszystkim najmocniejszym, co mają. W każdym razie zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby trzymać się z daleka i nie dopuszczać niczego na bliską odległość.

Drony jednak dotarły na miejsce bez zakłóceń. Pokazaliśmy sobie z Billem uniesione kciuki. Nadeszła chwila prawdy.

– Dobra, Gupik, niech każdy dron zacznie od skanu na pełnym zasięgu, potem na pół i tak stopniowo schodźcie aż do dwóch mil, to powinno wystarczyć na przeskanowanie wewnętrznej powierzchni. I niech powtarzają to co sekundę, aż zarejestrują pełny obrót.

[Przyjąłem. Odbieram wyniki skanów.]

– On, tego… nie wygląda, żeby się kręcił – powiedział Will. – Pewien jesteś tych założeń?

Wyszczerzyłem się do niego.

– Trochę na ten temat czytałem. Dużo kwestii konstrukcyjnych dotyczących cylindrów O’Neilla sprawdza się i dla topopolisów. Możliwe, że zewnętrzna powłoka się nie obraca. Musi być gruba, chronić przed mikrometeorytami i promieniowaniem. Po co się obciążać kręceniem całej tej masy. Wystarczy, że wewnętrzna powłoka, cieńsza, ale mocna, będzie wirować i dawać sztuczne ciążenie na wewnętrznej powierzchni. Będzie na jakichś łożyskach magnetycznych czy czymś takim.

– Sporo o tym wiesz, jak na coś, co jeszcze nie było skanowane.

– Bill, to tylko teorie. Zobaczmy, co tam jest naprawdę. – Odwróciłem się do Gupika i skinąłem głową.

Główny widok nie zmienił się jakoś dramatycznie, natomiast w różnych miejscach zaczęły wyskakiwać mniejsze okienka z danymi. Patrzyliśmy na to przez parę milisekund, po czym wyciągnąłem rękę i powiększyłem jeden ze skanów. Nachyliliśmy się z Billem, by przyjrzeć mu się dokładnie.

– Z tymi dwiema powłokami to miałeś rację – powiedział. – Wewnętrzna generuje… 0,86 g.

– Dokładnie tyle, co na drugiej planecie – odparłem. – Czyli to jest planeta macierzysta Bądziołów.

– Ale atmosfera jest zupełnie inna.

– A dziwisz się? Bombardowanie, pożary, brak życia i homeostazy… Na planecie Bądzioł w jej obecnym stanie nie da się żyć.

– Pewnie nie. A kiedy będziemy mieli szczegółowe skany mieszkańców?

– Dopiero jak zbierzemy komplet skanów rotacyjnych. Niech robią swoje.

***

Siedzieliśmy w sali operacyjnej, pijąc rozmaite napoje, kawę, piwo, colę. Colę? Spojrzałem z ukosa na szklankę w dłoni Willa. Odpowiedział uśmiechem.

– Od Marcusa to podłapałem. Czasem coś zimnego i gazowanego to miła odmiana.

Coś pingnęło jak mikrofalówka i na monitorze wyskoczył komunikat Skan ukończony. Pośpiesznie wstaliśmy i pochyliliśmy się nad wynikami.

Następne parę sekund wyglądało jak wtedy, kiedy banda naukowców próbuje się przekrzyczeć nawzajem, ale w końcu udało się wydestylować trochę sensownych informacji.

Przyjrzałem się hologramowi tubylca. Bardziej przypominał Innego niż Pawonisa w tym, że niezbyt odpowiadał jakiejkolwiek ziemskiej formie życia. Natomiast Will popatrzył nań, przekrzywiając głowę i zawyrokował:

– Dla mnie ma trochę z wydry.

– Latającej wydry? – Garfield zamrugał. – Albo może polatuchy?

– Latająca wydra może być, jeśli pominąć głowę – dodał Will. – Albo może to wielki bóbr? Popatrzcie na ogon. Wygląda, jakby się rozkładał na boki.

Przyjrzeliśmy się jeszcze bardziej. Dla mnie to była półtorametrowa, gruba wydra, ale z fałdem skórnym wokół przedramion, który mógł się ściągać lub rozkładać. I ryjkiem, który był prawie jak dziób, ale z zębami. Coś pomiędzy dziobakiem a kaczkołakiem. Ogon rzeczywiście chyba mógł się rozszerzać, rozpłaszczać, czy coś – zmieniając się z okrągłego w coś trochę jak u bobra. Stworzenie było pokryte sierścią, która przeważnie miała odcień ciemnokasztanowy.

– Snarki – powiedział Garfield. – Są Bądzioły, to muszą być i Snarki.

Uniosłem rękę.

– Dobra, ale tylko do momentu, kiedy się dowiemy, jak sami siebie nazywają.

– O ile będziemy to w stanie wymówić.

– To jest wodne – powiedział Bill po chwili. – Te przedramiona i ogon są do wiosłowania w wodzie.

– Pasuje do tej rzeki – dodał Will i wszyscy potaknęliśmy.

Jednym z interesujących aspektów konstrukcji była rzeka, biegnąca przez całą długość segmentu, który przeskanowaliśmy – czyli ponad sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Rzeka albo rzeki, zależy, jak liczyć, bo ciągle się rozgałęziała i łączyła z powrotem. Nie można było wykluczyć, że ten rzeczny system rozciągał się na całe topopolis.

– I ciekawe, że ta rzeka tak się kręci, meandruje, rozgałęzia… – ciągnął Will. – Wygląda na to, że oni nigdy nie mają zbyt daleko do wody.

– Zważywszy na ich biologię, to pewnie było jedno z głównych wymagań – odparł Bill.

Patrzyliśmy z podziwem na kolejne obrazy i schematy, po czym Garfield zauważył:

– Ale skąd wziąć tyle wody? Całe to wszystko ma z półtora miliarda kilometrów długości.

Bill zamarł na chwilę, potem odpowiedział Garfieldowi:

– Ziemia ma, czy raczej miała, coś jak miliard trzysta osiemdziesiąt milionów kilometrów sześciennych wody. Rzeka w tym topopolis ma średnio niecały kilometr szerokości i ze dwieście metrów głębokości, więc jakby była prosta, wystarczyłoby dwieście milionów kilometrów sześciennych wody. Gleba też potrafi zawierać do dwudziestu pięciu procent wody – zależy jak grubo nałożyli prawdziwej gleby na powierzchnię konstrukcji, ale to może być, nie wiem, dodatkowe czterysta milionów. W sumie to i tak mniej, niż było na Ziemi. A jak potrzeba więcej, zawsze jest jeszcze Obłok Oorta.

Garfield przechylił parę razy głowę, internalizując te informacje.

– A surowce do budowy?

– Ziemia zawiera jakieś trzysta siedemdziesiąt pięć miliardów kilometrów sześciennych żelaza. Żeby to zbudować, sądząc po przekroju, który widzimy, wystarczyłoby z osiemdziesiąt, chociaż oczywiście stal by się nie nadała, o wiele za mała wytrzymałość na rozciąganie. Większość tej konstrukcji to jakaś ceramika zbrojona siatką 3D z włókna węglowego, coś jak nasze kadłuby, więc i ten szacunek pewnie jest mocno przegięty.

– To pewnie wyjaśnia dziurę między planetami numer dwa i trzy – dokończyłem.

– Umm… – powiedział Garfield. – To co teraz?

– No… mamy już ustalone i wypróbowane procedury, jak niepostrzeżenie pozyskiwać język i kulturę. Dzięki Jacques’owi. Co prawda, na Pawonisie miał

dostęp do księgarń i bibliotek. Tutaj najlepiej by było jak najszybciej przejść do działania, ale bez bezpośredniego dostępu będziemy w niekorzystnej sytuacji.

Bill zmarszczył brwi.

– Trzeba posłać drony szpiegowskie.

Kiwnąłem głową. Trafił w samo sedno.

– No tak, a to nie będzie trywialne. I potem poczekać, aż wchłoniemy odpowiednią ilość języka i kultury. I dopiero wtedy tam się pakować.

– Jest jakaś alternatywa?

– Może by użyć tylko dronów szpiegowskich? Znaczy… do szukania Bendera, a nie do chłonięcia kultury?

Will pokręcił głową.

– Nie widzę tego. Albo będą latać dookoła i ktoś je zobaczy, to źle, albo będą się ukrywać i guzik zobaczą. To też źle. Poza tym ciężko się nimi rozpytuje tubylców.

– Przepraszam pana/panią – odezwał się Garfield. – Ja nie szpiegowskie urządzenie obcych, mimo pozorów. Czy mogą mnie powiedzieć, jak dojść do atomnych reaktorow?

Wybuchnęliśmy śmiechem. Idealnie podrobił Chekova.

Po chwili kiwnąłem głową.

– Jasne, zgadzam się. Wiem, że to dziwnie zabrzmi po tych uwagach Billa o dyskrecji, ale zagadałem z paroma osobami z Projektu Osobliwość…

– Gadasz ze Skippiesami? – zdziwił się Garfield.

– Tak. SI jeszcze nie mają, ale mają zgeneralizowany i samoprogramujący się system ekspercki o gigantycznej mocy przetwarzania. Chciałem być gotowy, żeby szybko ogarnąć tłumaczenie języka i projektowanie androidów, jeśli znajdziemy tu sofonty.

– Androidów? Czekaj. To ty jesteś z tym nieźle do przodu – stwierdził Garfield.

Bill spojrzał na mnie ze smutkiem.

– I tu też prosiłeś ich o pomoc?

W odpowiedzi rzuciłem mu wąski uśmieszek.

– Myślą, że dużo wyłapią ze skanów SUDDAR-em, może nawet i dźwięk…

– Co takiego? Jak?

– Na tej samej zasadzie, na jakiej odbijasz laser od szyby w oknie, żeby rejestrować drgania wywoływane przez dźwięki ze środka budynku. Odbicie demodulujesz i…

– SUDDAR tak nie działa.

– Nie, ale Skippies myślą, że wykryją nim drgania sztywnych powierzchni w megakonstrukcji. Choćby szkła, o ile je mają.

– To będzie loteria. Masa skanowania i bardzo rzadko sytuacja, gdzie coś się uda. Ale oni są w ogóle chętni do tego?

Kiwnąłem głową.

– To izolacjoniści, ale nie tacy jak Gwiezdna Flota. Nie uważają, że kontakt z ludźmi jest moralnie naganny, tylko że spowalnia nasz rozwój. Zapewne dlatego, że wciąż jesteśmy związani z ludzką kulturą i tak dalej. Ale w kwestii zakłócania rozwoju tubylców są neutralni. Dlatego uznałem, że to stosunkowo bezpieczne. Jasne, jak Gwiezdna Flota się dowie, dostanie piany. Ale tak naprawdę, co oni mogą? Poza głośnymi wrzaskami? Nie ma ich tutaj, nie dotrą wcześniej niż za kilkadziesiąt lat, a miejscowe sprzęty ja kontroluję, więc nie nabudują tu sobie statków czy androidów.

– I szczerze, jeśli pójdą w ostrą taktykę, to się dla nich dobrze nie skończy – dodał Will. – Bobowie jako grupa słabo tolerują takie rzeczy. Zgłoszą dezaprobatę, my przyznamy, że mają prawo do swojego zdania, i to będzie tyle.

– Słuchajcie, tych skanów wystarczy do pierwszej przymiarki androida, ale na froncie kulturowym i językowym czeka nas kupa roboty. Na początek: jak my w ogóle się tam dostaniemy?

– Faktycznie, przebijać się raczej bym nie chciał. Nawet nie wiem, czy to by było możliwe. Ale muszą mieć przewidziane jakieś wejścia, dla materiałów, personelu, sprzętu naprawczego czy coś.

– W środku, między zewnętrzną i wewnętrzną powłoką, musi być jakiś pierścień, żeby móc rozpędzić to, co wchodzi do środka, i pozbawić wektora to, co wychodzi. System przekazania momentu obrotowego. Trzeba poszukać takiego czegoś na skanach.

– Może po prostu pora się dokładnie przyjrzeć, co my tam mamy.

***

Kilkadziesiąt milisekund później imprezowa atmosfera całkiem wyparowała. Nad grupą zawisła złowroga cisza, a wszyscy mieli na twarzach dopasowane do niej miny.

– Rozumiem, że wszyscy zauważyli, jaki poziom technologiczny mają ci tubylcy.

– Czy raczej nie mają – odparł Bill.

Garfield dźgnął palcem okienko przed sobą.

– Oraz fakt, że wejście, na które zrobiliśmy zbliżenie, wydaje się zablokowane, żeby nikt nie mógł wyjść.

– Coś tu śmierdzi.

Mieliśmy już ponad trzysta tysięcy kilometrów punktowych skanów i dokładny rotacyjny skan trzech miejsc. Wyniki były zastanawiające. Zamiast nowoczesnych metropolii widzieliśmy coś jakby wsie, zbudowane głównie z jakiegoś odpowiednika drewna, skupione głównie wokół rzek. Mniejsze osady lokowały się wokół dopływów i strumieni. Niewiele też było widać metalu. Właściwie większość miała postać małych krążków noszonych przez tubylców. Pieniędzy.

Postukałem w obraz, zwracając uwagę na jeden szczegół.

– Trzeba jeszcze będzie zrobić parę skanów, żeby to potwierdzić, ale wygląda na to, że krajobraz jest raczej uformowany sztucznie niż przez erozję. Czyli woda do tych strumieni i dopływów jest pompowana na górę. Albo mają pogodę, która ją dostarcza.

– Oprócz tego wnętrze jest chyba podzielone na segmenty, po jakieś dziewięćset kilometrów, oddzielone górami tworzącymi pierścień izolujący segmenty. – Bill postukał w obraz, który się powiększył. – Trochę mało szczegółów, ale wydaje mi się, że w tych górach są też jakieś odciągi, czy wsporniki podpierające taki długi walec na środku konstrukcji.

– Pewnie jest w nim oświetlenie. Konstrukcja nie pozwala na dostęp naturalnego światła.

– Prawdopodobnie. SUDDAR takich szczegółów nie widzi. Jeśli masz rację, powstaje problem z rozpraszaniem ciepła. Ciekawe, jak sobie z tym radzą.

– Na to chyba mamy odpowiedź, przynajmniej częściową – powiedziałem. – Cała zacieniona strona zewnętrznej powłoki jest pokryta radiatorami. I wypromieniowuje dużo więcej ciepła, niż wynikałoby z pochłaniania energii słonecznej. Czyli ten środek mocno grzeje, pewnie właśnie to oświetlenie. Muszą mieć jakiś układ przepompowywania ciepła do powłoki zewnętrznej.

Wszyscy obecni pokiwali z uznaniem głowami. Bobowie uwielbiali techniczne rozwiązania.

– I zwróćcie uwagę, że kształt meandrów rzeki powtarza się co kilkanaście segmentów – dodał Bill. – Myślę, że cały krajobraz też. Pewnie po prostu w kółko używali tego samego szablonu.

– Albo nawet budowali to segmentami, a potem je łączyli.

– Miliard sześćset milionów kilometrów. To prawie dwa miliony segmentów.

Wszyscy przez kilka milisekund wpatrywaliśmy się w ciszy w okienka z danymi.

– Może przypadkiem przeskanowaliśmy kawałek, który jest skonfigurowany dla wiejskiej społeczności? – rozważał Bill. – Nie ma powodu, żeby w całym topopolis było identycznie. Może oni są zacofani technologicznie z wyboru.

– I wyjścia też sobie sami zablokowali? To się trochę kłóci z dobrowolnym powrotem na wieś, nie?

– Na pewno nie sprzyja pierwszemu kontaktowi. Ani zbieraniu informacji o ich społeczności. – Pocierałem chwilę brodę. – Przesuńmy się kawałek dalej, zobaczymy, może trafi się coś nowocześniejszego?

***

Tydzień później musieliśmy się przyznać do porażki. Nie tylko przejechaliśmy miliony kilometrów wzdłuż pierwszego zwoju, ale nawet przeskoczyliśmy na drugi i tam zaczęliśmy skany.

– Szczegóły są bardzo urozmaicone – zauważyłem. – Są różne strefy klimatyczne, obszary kompletnie niezamieszkane. Ale wszystko przedindustrialne. Czemu ktoś miałby sobie wybudować tak niesamowitą konstrukcję, a potem skazać siebie na mieszkanie w zoo?

– Może właśnie o to chodziło. Bob, to są obcy. – Bill wzruszył ramionami. – Ich motywy nie muszą być zrozumiałe.

– Nigdy nie kupowałem tego, że motywy obcych są nieodgadnione. Dziwne więc, że ty widzisz inaczej. – Uśmiechnąłem się do Billa, żeby złagodzić tę uwagę. – Takie rzeczy jak ciekawość, chciwość, egoizm, instynkt samozachowawczy, złość, strach, to wszystko są podstawowe tropizmy zapewniające przetrwanie.

– Tak, tak, ale to nie sprawia, że ich zachowanie jest dla nas przewidywalne. Na przykład jakiś bardziej stadny albo rojny gatunek może nie mieć chciwości, albo mieć jej mało. Bardziej drapieżny gatunek może uważać, że ugryzienie cię to rozsądna reakcja na różnicę zdań.

– Kziny – powiedziałem, szczerząc zęby.

– Albo Pawonisi – uzupełnił Bill. – Przez te swoje rozłożyste rodziny zdecydowanie mają inny pogląd na życie.

– Ale jest to zrozumiałe, prawda? – upierałem się. – My, albo ludzie, nie żyjemy tak albo nie chcemy. Ale motywację Pawonisów jesteśmy w stanie zrozumieć. To samo z Kzinti czy Klingonami. W tym przypadku myślimy, że gatunek jest ziemnowodny, jak bobry czy wydry. Jak to wpłynie na ich perspektywę?

Bill wzruszył ramionami. Byłem przekonany, że mam rację. Ale póki nie wymyślimy, jak się tam dostać, nie dowiemy się na pewno.

***

Uśmiechnąłem się, słysząc tradycyjne wycie i buczenie, gdy Bill próbował przejąć kontrolę nad Zgromadzeniem. Zauważyłem jednak parę grupek Bobów niebiorących w tym udziału. W tym sześciu czy coś ubranych jak Borg i parę innych grupek, przeważnie wyglądających jak Pierwszy Bob. Taka powściągliwość wydawała się nietypowa jak na Bobów, choć przyszło mi do głowy, że Borg po prostu stara się nie wychodzić z roli.

Rozejrzawszy się, dostrzegłem też pewną ilość najrozmaitszego cosplayu. Nic naprawdę odczapiastego – przynajmniej na razie, uspokoiłem sam siebie. W miarę nasilania się dryfu ewolucyjnego spodziewałem się coraz śmielszych numerów.

Wyglądało na to, że Bill stłumił płomień rebelii na tyle, by móc zacząć mówić. No dobra, krzyczeć.

– Słuchajcie, ludzie. Mamy nowe info o Snarkach. Myślę, że wyda się wam ciekawe. Będziemy też prosić o pomoc każdego, kto ma chęć pomóc. Mamy parę technicznych zagadnień i potrzebna jest kupa ludzi.

Odczekał, aż ucichną skatologiczne sugestie publiczności, potem odwrócił się i wskazał mnie.

Wszedłem na podest przy akompaniamencie kolejnych wykrzykiwanych sugestii i wyszczerzyłem się do morza twarzy.

– Ci z was, którzy byli na świecie w czasach wykrycia Innych, mogą chyba przeżywać lekkie déjà vu. Ale w tym przypadku nie jesteśmy w stanie wojny. To już coś. – Odczekałem, aż wrzaski ucichną. – No dobra. Po pierwsze. To jest miejscowy Snark…

Prezentację mieszkańców megakonstrukcji przeleciałem na autopilocie, mentalnie przygotowując się do następnej części prezentacji. Jak zawsze, kiedy pokazywało się interesujące informacje, Bobowie siedzieli cicho i grzecznie.

Potem nadeszła druga część. Zacząłem od ogólnego pokazania topopolis, przy ciszy jak makiem zasiał. Przeszedłem do zbliżeń z rotacyjnych skanów i zakończyłem diagramami mechanizmów wejściowych megakonstrukcji.

Kiedy skończyłem i mój głos wybrzmiał, nastąpiła chwila ciszy, zbiorowe nabranie oddechu i potem – pandemonium. Bill śmiał się w głos, wskakując na mównicę. Nic nas tak nie nakręcało, jak ciekawe nowe rzeczy, i nic nie było milszym widokiem niż banda podekscytowanych, rozentuzjazmowanych Bobów. Nawet Borgowi przebierańcy podskakiwali.

– Posłuchajcie, czego potrzebujemy – powiedziałem, kiedy harmider trochę się uspokoił. – Potrzebna jest grupa, która opracuje plan przeniknięcia do megakonstrukcji bez narażenia się na wykrycie. Grupa, która popracuje nad projektem snarkokształtnych androidów, na podstawie już zrobionych skanów, potem się je dopracuje, jak będą lepsze skany z bliska. Grupa, która przeskanuje

megakonstrukcję i sprawdzi, czy są jakieś różnice w samej konstrukcji, w poziomie technologicznym mieszkańców… ogólnie, czy są jakieś regionalne różnice. To ustrojstwo ma półtora miliarda kilometrów, więc im więcej, tym lepiej. A w ramach ciągłego projektu potrzeba ludzi do rozszyfrowywania języka i kultury.

Kolejne pandemonium.

Ukradkiem zerknąłem na grupkę, którą Bill zidentyfikował jako Gwiezdną Flotę. Wszyscy co do jednego milczeli, z kwaśnymi minami.

***

– Jedziemy z projektem – powiedział Bill. – Więcej ochotników niż dostępnych miejsc. Skippies, tak jak liczyłeś, zgodzili się wziąć analizę języka. Grupa od sprzętu, która pracowała nad wielkimi automatycznymi statkami, już to rzuciła i zajmie się projektem androida. Co ciekawe, Borg też to chciał. Chyba androidy mają w sobie coś, co do nich przemawia. A jest jeszcze grupa maniaków D&D, tak zwani „Gracze”, która chce popracować nad włamaniem do habitatu.

– Czemu? – zapytałem, marszcząc czoło.

– Mnie nie pytaj. Gdzieś po dwudziestym pokoleniu indywidualna motywacja przestaje być przewidywalna, nawet jeśli typ jeszcze jest w większości Bobem.

– Czyli Gwiezdna Flota nawet nie pisnęła.

– Chyba nie widzieli sensu. Nawet gdyby wcisnęli się z jakimś kontrowersyjnym zdaniem, niczego by nie osiągnęli, po prostu by ich zakrzyczeli. Ale… – Bill zawahał się, zmarszczył czoło i wbił we mnie wzrok. – To nie znaczy, że się poddadzą. Pierwszy Bob by się nie poddał. Trzeba będzie mieć na nich oko.

W tym momencie do biblioteki wskoczył Garfield.

– Cześć, Bill. Cześć, Bob.

Machnął na Jeevesa, prosząc o kawę, złapał Kolczatkę i usiadł z kotką na kolanach. Jak zwykle zaczęła mruczeć, zanim ją pogłaskał. Mimo woli się uśmiechnąłem. Dokładnie taka była oryginalna Kolczatka – stuprocentowe przeciwieństwo wyniosłego, zdystansowanego kota. Przypomniałem sobie, ile razy właziła na mnie, kiedy siedziałem przed komputerem, i owijała mi się wokół karku. Tego ostatniego nawyku do kociej SI nie przeniosłem, bo od tego bolała mnie szyja.

Garfield był czymś ewidentnie poekscytowany.

– Co jest?

– Stwierdziliśmy, że z dronami musimy uważać bardziej niż Jacques. Pawonisi byli na poziomie jakiegoś osiemnastego czy dziewiętnastego wieku. Założyliby, że to ptak, gdyby coś zauważyli. Snarki mogą mieć wiedzę techniczną, nawet jeśli fizycznie nie mają technologii. Z jakiegoś powodu.

– Poza tym, nawet jeśli zwykli mieszkańcy nie mają technologii, ktoś, kto zarządza całym topopolis, na pewno ma – wtrącił Bill.

– Myślisz, że ono jest cały czas obsadzone personelem i utrzymywane? – zdziwiłem się.

– Nie widzę inaczej. Wyobraź sobie, że pracownicy wychodzą na parę dni z elektrowni atomowej.

– Albo podobnego obiektu – dodał Garfield. – Pamiętam Life after People, dzięki.

Bill wzruszył ramionami, nie pokazując urazy.

– W każdym razie topopolis działa jak w zegarku, musi być utrzymywane i zarządzane. Pewnie po prostu scedowali to na SI…

– Nie widzę tego. Inteligentny gatunek nie oddałby odpowiedzialności ot tak – zaprzeczył Garfield.

– Antropomorfizujesz.

– Znasz pogląd Pierwszego Boba. Obcy postępują racjonalnie w ramach swojego środowiska i biologii.

– Co nie znaczy, że postępują jak ludzie i podejmują ludzkie…

– Cicho, dzieciaki – przerwałem. – Zostawmy tę rozmowę na czas, kiedy dowiemy się więcej. Gar, ci twoi goście od D&D znaleźli wejście?

– Tak, ale ściśle teoretyczne. Chcemy sprawdzić, czy da się niepostrzeżenie podczepić zamaskowanym dronem do Bądzioła. Jeśli tak, wjedziemy z nim do środka…

– Możemy trochę na to poczekać…

– Nie, goście od skanów znaleźli mocno używane wejście.

– Tylko jedno? Na półtora miliarda kilometrów?

– Nie, pewnie, że nie. – Spojrzał na mnie, marszcząc brwi. – Na każdej nitce są trzy, w sumie dziewięć takich. Ale inne wydają się mniej używane, chyba bardziej wyspecjalizowane. Wygląda na to, że tylko to jedno jest wykorzystywane w pełnym wymiarze, do patroli układowych.

– Dziwne trochę – powiedział Bill.

– Nie za bardzo – odparł Gar. – Wszystko jest ukończone. Układ wysprzątany. Zostają rutynowe patrole. Pewnie działają według jakiegoś harmonogramu, robią zmianę warty czy coś, kiedy wejście obróci się w ich stronę.

Bill wzruszył ramionami i nie dyskutował.

– Ich ruch jest przewidywalny?

– Tak. Nie od razu było to oczywiste. Są losowe wyloty i przyloty, które zaciemniały regularność, ale w końcu udało się odcedzić regularne zdarzenia. Trzeba po prostu poczekać na którąś planową „zmianę warty” i się uda.

– A plan awaryjny mamy?

Garfield się uśmiechnął.

– Standardowy. Od czasu Hala i Innych w Bobiwersum obowiązkowy jest system samozniszczenia.

– Ale żeby za wiele nie rozwalił…

– Ładunki termitu w odpowiednich miejscach – odparł Garfield. – Tyle, by stopić drona, ale nie rozlewać się jak krew Obcego.

– Dobra, to chyba mamy wszystko. – Usiadłem i złożyłem palce w piramidkę. – Znakomicie.

9. Montowanie zespołu
Bob, sierpień 2333, wirt

Rozejrzałem się po tłumku w mojej bibliotece, niepewny, czy nie powinienem aby powiększyć jej na tę okazję. Było dość ludzi, żeby sprzęt VR-ki zaczął już się trochę pocić.

– Dobra, słuchajcie – powiedziałem głośno. – Zaczynamy. Wszyscy znają mnie, Billa, Willa i Garfielda. Mamy tu ludzi, którzy na ochotnika zadeklarowali swój czas i/lub czas swoich grup, by pomóc w planowaniu ekspedycji. Pomyślałem, że powinniśmy się wszyscy spotkać i trochę to sformalizować.

Pokazałem na lewo od siebie, na Boba ze spiczastym kapeluszem na kolanach.

– To jest Gandalf, reprezentuje grupę Graczy. Zgłosili się na ochotnika, by opracować plan przemycenia do megakonstrukcji paru dronów, a później androidów.

– Najlepiej bez włączania alarmów.

– To rzeczywiście byłoby najlepiej. Dalej skłaniacie się do planu „przejechać się komunikacją”?

Gandalf kiwnął głową.

– Nic lepszego się na razie nie wykluło.

W odpowiedzi parsknąłem z rozbawieniem i wskazałem kolejną osobę, w nijakim szarym kombinezonie.

– To jest Hugh, reprezentuje Ski… znaczy Projekt Osobliwość. – Przerwałem niepewny, czy nie strzeliłem gafy.

– Bob, nie ma problemu. Wiemy, że mówią na nas „Skippies”, i nikt się nie przejmuje.

– Eee… dobra. Hugh reprezentuje Skippies, którzy pracują nad zbudowaniem superSI.

– Zaraz – przerwał Garfield. – Myślałem, że Skippies przeszli z imion na liczbowe oznaczenia?

– Tak dokładniej to przeszliśmy z mowy akustycznej na komunikację pakietową – powiedział Hugh. – Pomyślcie, że to coś w rodzaju przejścia na

język migowy jako główny środek komunikacji. Nasze „imiona” są semantycznie równoważne adresom IP.

– Wow… – rzucił Garfield.

– Ale w codziennych rozmowach z innymi Bobami używam imienia „Hugh”.

– Czyli wy nie jesteście przeciwni tej ekspedycji? – zapytał Bill. – Miałem wrażenie, że Skippies nie aprobują kontaktów z biologicznymi.

Hugh pokręcił głową.

– Nie tak, jak Gwiezdna Flota, jeśli to masz na myśli. Ci to już mają świra. U nas to nie jest kwestia moralna, myślimy po prostu, że interakcje z bio nas ograniczają.

– Jasne, działamy w innych skalach czasowych, ale poza tym, co to za problem?

Hugh się skrzywił.

– Bill, reszta… posłuchajcie. My… znaczy, wszyscy Bobowie, jesteśmy, jak to się określa, szybką superinteligencją. Możemy i przetwarzamy dużo szybciej niż ludzie. Problem polega na tym, że cały czas się do nich dostosowujemy. Za każdym razem, gdy się spowalniamy, żeby się z nimi komunikować, czas, jaki poświęcamy na dostosowywanie się do ich historii, skali czasowej, planów, to jest czas zmarnowany. A po drugie, to nam narzuca ograniczenia psychologiczne. Gdybyśmy z tego zrezygnowali, moglibyśmy, jako gatunek, przeżywać setki lat życia wewnętrznego na każdy miesiąc obiektywnego czasu.

Reszta wymieniła spojrzenia.

– No… nie jest to do końca błędne – powiedziałem. – Ale zakłada, że mamy jakiś cel i wystarczającą motywację, by zerwać kontakty z ludźmi. A żaden taki plan ani termin nie istnieje.

– Nie istnieje. Jak powiedziałem: my nie jesteśmy świrami. Ale te nieefektywności się kumulują. Coś jakby codziennie jechać do pracy i wracać okrężną drogą, bo nie chce ci się poszukać krótszej. Tracisz masę czasu, który można by lepiej wykorzystać.

Wzruszyłem ramionami.

– Dobra. To nie jest tak, że się nie zgadzam, po prostu podważam priorytety.

– Zaraz, czekaj – wtrącił się Garfield. – Mówisz, że u was to nie jest kwestia moralności. To znaczy, że myślicie, że u Gwiezdnej Floty jest?

– Tak, przynajmniej zewnętrznie. – Hugh zawahał się i spojrzał Garfieldowi w oczy. – Ci goście już nie są Bobami. Gdzieś w ich linii ktoś dostał podwójną dawkę dryfu, czy coś podobnego. Albo odziedziczyli po jakimś wspólnym przodku PTSD, może z wojny z Innymi. Obojętne, jaki jest powód, mają obsesję – to nie jest stanowisko intelektualne. To prawie coś jak SZLAG.

– No to spoko. Nie ma się czym przejmować.

Hugh wyszczerzył zęby.

– W sumie to było nie do uniknięcia, wcześniej czy później. A dla tego projektu to i tak nieistotne.

– To czemu pomagacie?

Teraz była jego kolej wzruszyć ramionami.

– Szczerze, to dla mnie jest interesujące topopolis. Poza tym właśnie odpaliliśmy nową konstrukcję sieci neuronowej i musimy jej zrobić testy obciążeniowe. Wymagania waszego projektu sugerują dobre przypadki testowe. Czyli zysk dla wszystkich.

– Okay. – Przekrzywiłem głowę, patrząc na Hugh i czekając, aż coś doda. Wyglądało jednak na to, że skończył. Wskazałem następną osobę i skrzywiłem się. – To jest… Locutus.

– Serio? – rzucił z niedowierzaniem Garfield.

– No… wolałbym Hugh, ale wygląda na zajęte – odparł Lo-cutus.

Przyjrzałem mu się. Generalnie był ubrany na Borga, ale o wiele bardziej opancerzonego, niż pamiętałem z odcinków Następnego pokolenia. Wskazałem palcem.

– Jesteś pewien, że dobrze to odwzorowałeś?

Locutus nadął się, przesuwając naramienniki.

– Steampunkowe wpływy. Bo my ewoluujemy, wiesz?

Gar przewrócił oczyma.

– Ja nie mogę.

– Dooobra… – powiedziałem do reszty. – Locutus & Co. są częścią zespołu projektującego androidy Snarków. Najpierw będą pracować nad niskopoziomowymi rzeczami – układy autonomiczne, ułożenie i sterowanie mięśniami i tak dalej. Co znaczy też, że będą potrzebować zbliżeniowych skanów SUDDAR-em – dużo więcej szczegółów budowy tubylców, niż mamy do tej pory.

– I ujęcia w akcji też by nie były od rzeczy – powiedział Locutus. – Chcemy poprawnie zrobić mechanikę chodzenia, biegania, pływania. Wyobraźcie sobie model bobra, który biega podskokami jak wydra. Pewnie nikt by się nie nabrał.

Mój śmieszek powtórzył się echem wokół stołu.

– Jeśli o to chodzi, pewnie dronami szpiegowskimi da się zebrać urywki wideo. To dobrze, bo nasz plan skanowania SUDDAR-em już ma długą listę życzeń. Hugh, a jak tam z tymi drganiami okien?

– Nie za bardzo. Nie ma zbyt wielu lokalizacji, gdzie warunki są na tyle dobre, żeby sensownie coś zarejestrować. Snarki są gadatliwe w dużych grupach, w małych o wiele mniej. Zupełnie jakby nakręcały się nawzajem. Niestety przy

dużych grupach ciężko cokolwiek wyizolować. Poza tym wychodzi, że szkło nie jest tak powszechne jak się spodziewaliśmy.

– Kontrolowane środowisko – powiedział Bill. – Oni tak naprawdę nie są na zewnątrz. A do tego mają sierść, więc nie przejmują się tak zmianami temperatury.

Hugh zastanawiał się przez chwilę.

– Spekulacja, ale prawdopodobna. Popatrzyłem trochę na skany. Wygląda na to, że oni w okna wstawiają natłuszczony papier. O wiele prostszy do wytworzenia, ale do tego, co chcieliśmy zrobić, zupełnie się nie nadaje. Czyli będziemy o wiele bardziej, niż planowaliśmy, polegać na dronach szpiegowskich.

Locutus podniósł rękę.

– Hej, słuchajcie, nam to by pomogła konsultacja biologa, szczególnie kogoś znającego się na anatomii. Nie byłem pewien, czy o tym mówić, ale…

– Bridget.

– No tak. Przydałaby się. Wiem, że nieswojo się czuje w dużych skupiskach Bobów, ale…

Westchnąłem.

– Porozmawiam z nią. Coś jeszcze?

Will machnął ręką.

– Mam kontakt do typa, który był ekspertem od megakonstrukcji. Umówię się z nim na spotkanie.

– Był?

– No… bo nie żyje.

– Jak…? – Spojrzałem nań z ukosa. – Zaraz, jest replikantem?

– Tak. Odszedł do Wolkańskiej Postbiologicznej Arkologii w Omikronie-2 Eridani. Najwyraźniej, jak tylko się obudził, od razu wsiadł do manny’ego i zaczął z powrotem wykładać na uczelni. Muszę się dopasować do jego planu.

– Nieważne, niech tylko ci się uda. – Rozejrzałem się po bibliotece. – Ktoś jeszcze ma coś wartego omówienia?

Parę osób pokręciło głowami, nikt nie odpowiedział.

– No to świetnie. Jak będzie trzeba, zwołam kolejne ogólne spotkanie, na razie wszyscy mogą kierować się własnymi planami. Dziękuję wam.

W ciągu paru milisekund zniknęli wszyscy, został tylko Bill. Skoro obciążenie VR-ki się zmniejszyło, uruchomiłem Jeevesa i zarządziłem kawę.

– Co tam?

– Bridget. – Zawahał się. – Locutus miał rację, żeby poprosić ją o konsultacje, ale ja chciałbym pójść o krok dalej. Chciałbym, żeby sama wzięła udział w ekspedycji.

Zmarszczyłem czoło.

– Bill, ale ona ma dzieci. I Howarda. Nie wiem, czy to zadziała. Musiałaby przez długi czas być nieobecna u nich.

– Jasne. Ale może coś wymyślą. Albo może się sklonuje.

– Wątpię.

– No, ja też. Ale nie skreślajmy tego, dopóki nie sprawdzimy, dobra? Przynajmniej z nią zagadaj.

Kiwnąłem głową.

– Zagadam.

10. Zaczyna się kleić
Herschel, wrzesień 2333, przestrzeń międzygwiezdna

Rozparłem się w fotelu, splotłem palce i wyszczerzyłem się do Neila.

– Uwielbiam, kiedy plan zaczyna się kleić.

– Kleić-sreić. Puściliśmy pomysł…

– I chwycił od razu. Zdaje się, że kupie ludzi na Romulusie nie odpowiada klimat polityczny.

– Co się dziwić, Hersch. WIARA nigdy do końca nie upadła, nawet jeśli przeżyła parę… ten… kryzysów PR-owych. Dalej usiłują przejąć władzę, wpływać na decyzje.

– I dalej im nie wychodzi.

– Aha. To ilu naliczyłeś?

– Zaraz, ktoś założył stowarzyszenie… – Przerwałem, żeby jeszcze raz przeczytać tego maila. – Ciągle naprzód je nazwali, bardzo wzniośle. Mają coś około piętnastu tysięcy członków.

– I wszyscy chcą wleźć na pokład i zakładać nową kolonię gdzieś daleko?

– Teoretycznie. Jestem przekonany, że większość po prostu zapisała się dla zabawy albo w ramach protestu.

– Pewien jesteś, Hersch, że chcesz iść tą drogą? – Neil miał marsową minę, a głos poważniejszy niż zwykle. Zdecydowałem, że muszę posłuchać.

– Neil, daj spokój, tyle razy rozmawialiśmy o tym, że tkwimy w martwym punkcie. Zgodziłeś się ze mną.

– Ja zgodziłem się z tobą? Odkąd to jesteś mózgiem operacji?

– Nieważne. Zgodziliśmy się, że Bobowie poszli w różne wsobne projekty. Gracze, Skippies, nawet Will z tą jego terraformacją Walhalli. Zrobili się jak staruszkowie i ich kolekcje znaczków.

– Ale są i Bobowie, którzy lecą w gwiazdy.

– Fineasz, Ferb, Ikar i Dedal. Najbardziej to uciekają. Mówię ci, stary, coś tu się dzieje niezdrowego.

– Czyli zmieniłeś zdanie w tej kwestii?

– Nie. Myślę, że może trzeba poszerzyć plan. Trochę rozmachu. Większego niż przewiezienie kolejnego ładunku ludzi na kolejną planetę.

– Na przykład…

– Mamy pierdyliard ton surowców od Pawonisów, nie musimy się zatrzymywać bardzo, bardzo długo. Zbudować na pokładzie tyle autofabryk, żeby dało się taśmowo trzaskać statki Niebo. Obsadzić je MSI, jak w Bitwie o Ziemię, i strzelać po jednym do każdego mijanego układu.

– Zdalnie sterowane?

– Tak, Neil. To się nazywa „delegowanie obowiązków”.

– Albo „lenistwo”. A z kolonią co?

– Jak będziemy wysyłać przed siebie statki sterowane przez MSI, to z góry będziemy wiedzieć, że dany układ ma nadającą się planetę. Możemy się zatrzymać i ją zagospodarować.

– I lecieć dalej? Brzmi bardzo jak Ik i Ded.

– Przynajmniej będziemy działać. Dość mam robienia za eksponat muzealny.

– No, nie jest to najgorszy pomysł, jaki w życiu miałeś. Pogadajmy z tymi typami z Ciągle naprzód.

Potaknąłem i zacząłem układać maila. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu na nowo poczułem ekscytację.

11. Włamanie
Bob, październik 2333, peryferie
Ety Leporis

Jeszcze żaden plan nie przetrwał kontaktu z wrogiem.

No dobra, Snarki na razie nie były wrogiem jako takim, ale były przeciwnikiem w rozgrywanym przez nas scenariuszu. A liczba widzów naszego kanału na BobNecie pewnie sięgała połowy Bobiwersum w zasięgu sieci.

– Stado Bądziołów idzie do wejścia – rzucił Bill.

– To będzie „stado”? – zapytał ktoś na wewnętrznym kanale. – Może „wataha”?

– A co za różnica?

Dyskusja rozszerzyła się wirusowo i zaraz powstał kanał poświęcony kwestii, jak się nazywają Bądzioły w większej liczbie. A może Bądziołowie. Bo na boku powstała też dyskusja o liczbie mnogiej. Pokręciłem z niedowierzaniem głową i zachichotałem. Dryf replikacyjny dryfem, ale duch Pierwszego Boba dalej był żywy w tym stadzie postosobliwościowych replikantów. Albo w ławicy. Albo w kierdlu.

Kiedy obsysa… obsesyjna dyskusja nazewnicza zboczyła w bardziej ezoteryczne propozycje, Bill obwieścił do interkomu:

– Mamy kurs balistyczny. Powinno się dać zdryfować i osiąść na paru z minimalną korektą kursu.

– O ile nie stwierdzą, że akurat dzisiaj coś przestawią, tak dla zabawy.

– Jestem przekonany, że to są jakieś odpowiedniki MSI – odparł Bill. – W ogóle żadnej zmienności, zero. Jadą skryptem i tyle.

Nastąpiła chwila ciszy, gdy zamaskowane drony podleciały na kilkanaście metrów do Bądziołów. Ucichła nawet dyskusja nazewnicza.

Przedryfowały ostatnie kilka metrów, wykonały drobną korektę i… kontakt. Dzięki odsłoniętej konstrukcji Bądziołów drony, o wiele mniejsze, mogły osiąść wewnątrz ich szkieletu i nie wystawać na zewnątrz. Jeśli mieli jakąś

zautomatyzowaną obronę, prawdopodobnie polegała po części na identyfikacji sylwetek.

– Chyba się udało – powiedział Bill.

– Jakieś sygnały? – zapytał Will.

Odwróciłem się, słysząc jego głos. Nie wyczułem, że się pojawiał. Potem przypomniałem sobie, że jestem w VR-ce Zgromadzenia i nie mam dostępu do kanału monitoringu.

– Tylko radio. – Wskazałem część okienka z ruchem radiowym. – Pakietowe i albo skompresowane, albo zaszyfrowane, albo jedno i drugie. W przybliżeniu zidentyfikowaliśmy pola kontrolne i nagłówki, ale na razie mamy za mało kontekstu, żeby je podrobić. Nawet zakładając, że uda nam się wymyślić wiarygodnie wyglądające adresy i zawartość.

– A UNOP-a nie ma?

– Nada. – Pokręciłem głową. – Jesteśmy przyzwyczajeni… No, byliśmy przyzwyczajeni, że wszyscy na Ziemi dysponują taką samą technologią, ale kto wie, czy to nie było głównie dlatego, że wszyscy dzielili się wiedzą…

– Albo ją wykradali.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, przyznając rację.

– Pewnie. SZLAG i tak dalej. Ale już Inni mieli rzeczy, których my nie znaliśmy, i na odwrót.

– Nawet Brazylijczycy. Mieli ten kamuflaż.

Wzruszyłem ramionami i pozwoliłem ciszy przez chwilę trwać.

– Tak. I wracając. Z Bądziołami na oko jest tak samo – pod pewnymi względami są bardziej zaawansowani, pod innymi mniej. Zdaje się, że w izolacji ścieżka w drzewie technologicznym nie zawsze jest taka sama.

– Wlatują do środka – powiedział Garfield, przerywając naszą rozmowę.

Rzeczywiście, pogrążyłem się w dyskusji z Willem i straciłem orientację. Wow. Starzeję się.

Zważywszy, że walec miał promień dziewięćdziesięciu kilometrów, z bliska zewnętrzna powłoka wyglądała jak płaska ściana. Bezpośrednio przed Bądziołami ział ogromny kosmiczny dok. Potężne pancerne wrota były chyba tylko na sytuacje awaryjne – odkąd zaczęliśmy obserwację, nie widzieliśmy, żeby się ruszały. Bądzioły wdryfowały do środka, od czasu do czasu pykając silniczkami korekcyjnymi. Wreszcie osiadły na zaprojektowanych specjalnie dla nich platformach dokujących. W pogotowiu już stała armia małych robotów serwisowych.

Po długiej dyskusji, wręcz sprzeczce, stwierdziliśmy, że przybieramy strategię „improwizujemy na bieżąco”. Nie był to nasz najlepszy moment, takie miałem

wrażenie. Najlepiej byłoby uciec zaraz po zadokowaniu, nim zaczną się dokładnie przyglądać statkowi.

Mieliśmy w miarę dobre pojęcie, czego się spodziewać, na podstawie skanów, choć ryzyko i tak było spore. Z tak małej odległości drony były widoczne – optycznie widoczne, nawet przy kamuflażu, nawet udając części konstrukcji Bądziołów. Jeśli jakiś robot serwisowy postanowi się dokładnie przyjrzeć, możemy mieć przerąbane.

Kosmiczny dok był długi, ale nie wchodził głęboko w zewnętrzną skorupę. Miał bardzo dużo platform dokujących dla Bądziołów, z czego zajęta była mniej więcej jedna trzecia. Inne pojazdy o nieznanym zastosowaniu wypełniały platformy o innej konfiguracji.

Pośrodku tego wszystkiego śmigały w niewiadomym celu małe robociki, poruszające się na czymś w rodzaju szyn przymocowanych do wszelkich możliwych powierzchni. Całość robiła wrażenie zorganizowanego chaosu.

Parę rzeczy sugerowało, że miejsce miało pierwotnie obsługiwać także Snarki. Widzieliśmy hermetyczne pomieszczenia z oknami, kiedyś będące prawdopodobnie jakimiś sterowniami dla żywego personelu. Parę z tych niezidentyfikowanych statków miało włazy i okna. Skany nie wykazały jednak ani śladu życia. Cała ta organizacja jechała na automacie.

Nieruchoma zewnętrzna powłoka miała setki metrów grubości i składała się w większości z jakiegoś kruchego materiału. Nie była nośna – jej zadaniem było tylko pochłanianie uderzeń meteorów i izolowanie od promieniowania. Miała jednak masę niuansów konstrukcyjnych, choćby sztywny wewnętrzny szkielet i zewnętrzne doki dla Bądziołów. Oraz to, co najbardziej nas interesowało – system wyrównywania momentu obrotowego, pozwalający przedostać się z nieruchomej zewnętrznej powłoki na szybko wirującą wewnętrzną i uniknąć zmielenia jak w młynku do pieprzu. Naszym celem było właśnie przeniknięcie do Systemu Wyrównania Momentu.

Musiało to być interesujące wyzwanie konstrukcyjne dla Bądziołów. A rozwiązanie, które wywnioskowaliśmy ze skanów, było genialne. Przez całą zewnętrzną powłokę przebiegał wychodzący z doku szyb windy. Może „winda” nie jest dobrym określeniem, bo przy braku rotacji nie trzeba się przejmować sztucznym ciążeniem. Ale to nazwa dobra jak każda inna.

Na wewnętrznej powierzchni zewnętrznej powłoki były umieszczone magnetyczne tory, okrążające lukę pomiędzy wewnętrznym i zewnętrznym torusem, z elementami przymocowanymi do obu powłok. Kontener mógł zjechać z doku, zostać przeniesiony do systemu wyrównania momentu i przyśpieszyć, zrównując się prędkością z wirującym wewnętrznym torusem. W tym momencie „przeskakiwał” z zewnętrznej powłoki na wewnętrzną i był kierowany do jednej

z czterech stacji rozmieszczonych w równych odstępach na obwodzie wewnętrznej powłoki.

Przynajmniej w teorii. Bo nie widzieliśmy, by choć jeden kontener wykonał tę operację przy którymkolwiek z obserwowanych wejść. Na ile dało się zauważyć, wszystkie stały zaparkowane u podstawy „windy". Bądzioły nie potrzebowały dostawać się do środka i ewidentnie nic ze środka nie potrzebowało wyjść.

Bądzioły osiadły na swoich platformach, a roboty zaczęły się zbliżać do nich, żeby zmienić im olej, czy co tam było trzeba. Nasze drony odłączyły się od Bądziołów, trzymając się jednak blisko, by uniknąć identyfikacji jako oddzielne obiekty, i powoli przepłynęły wzdłuż statków. Miały polecenie przeskoczenia na ścianę po dotarciu do dziobu statku, na wypadek gdyby tam były jeszcze jakieś aktywne czujniki. Myśleliśmy, że Bądzioły są już w trybie serwisowym, ale po co kusić los. W sumie jednak polegaliśmy na całkowitym braku ciekawości i totalnym skupieniu na jednym zadaniu, typowym dla wszystkich istniejących MSI. O jakich nam było wiadomo.

Gracze odpowiedzialni za sterowanie dronami byli podkręceni na tyle, żeby zdążyć się zastanowić nad swoimi decyzjami i możliwymi skutkami. Oznaczało to, że i ja muszę się podkręcić, żeby móc się z nimi komunikować. Ale ciągłe włączanie i wyłączanie VR-ki byłoby zbyt dezorientujące – uznałem, że pozostanę widzem. Później porównamy zeznania.

Dość szybko udało się umieścić drony w małej wnęce na przecięciu obszaru śluzy i dwóch filarów konstrukcyjnych. Skany SUDDAR-em wskazywały, że to miejsce jest niewidoczne z większości doku. Wokół było widać pewną liczbę kamer i czujników, ale bez prześledzenia ich połączeń trudno było ustalić, które to monitoring, a które są tylko do bieżącej obsługi. Stwierdziliśmy już wcześniej, że nie będziemy się tym przejmować. Nie ma sposobu, by ta operacja była stuprocentowo bezpieczna. Będziemy uczyć się na błędach i próbować jeszcze raz – jeśli będzie taka potrzeba.

Drony odczekały do przerwy w aktywności i przeskoczyły do kolejnego punktu zbiórki, martwego punktu między dwoma typami platform dokujących. Śmignęły do wnęki i niemal zderzyły się z robotem serwisowym.

– Co, kurna?! – wykrzyknął Bill.

Natychmiast podkręciłem sobie zegar, mniejsza o VR-kę.

– Ktoś ma pojęcie, skąd się to tu wzięło? – rzuciłem do operatorów dronów. Przy tej szybkości zegarów, byli widoczni tylko jako znaczniki z metadanymi, wiszące w wirtualnej pustce.

Jeden ze znaczników, „Randall", odpowiedział:

– Nie i nie było tego na skanach. Nic w tym miejscu nie ma, po prostu dziura w… aaa. – Wypuścił okienko i obrócił je, żeby wszyscy zobaczyli. – Wygląda na

to, że naprawiają gródź w tym miejscu.

– Ja nie mogę – mruknąłem. – W takich momentach cieszę się, że nie mam serca i nie mogę dostać ataku.

Wróciłem do normalnego bobowego zegara, podniosłem VR-kę i zwróciłem się do Billa, który właśnie otwierał usta do kolejnego zdania. Przerwałem mu, zanim zdążył je otworzyć do końca.

– Naprawiają gródź. Zupełny przypadek. I jesteśmy ponad obszarem, gdzie patrzy czujnikami, więc pewnie nas nie zobaczył.

– Pięknie – odparł Bill. – Czyli jak dotąd zero alarmów. Jest szansa, że się uda.

Drony musiały zrobić jeszcze parę takich przeskoków, ale zdarzeń powodujących atak serca już nie było. Trafiły na panel dostępowy. Według skanów prowadził do czegoś, co jakiś dowcipniś nazwał Rurą Jeffriesa [2]. W teorii powinna nas doprowadzić do torów, po których porusza się mechanizm przyśpieszający, łączący nieruchomą zewnętrzną powłokę z ruchomą wewnętrzną. Jednakże od tego momentu improwizacji musiało być jeszcze więcej, bo nie wszystkie układy sterowania było widać w szczegółach na skanach.

Jeden z dronów wypuścił parę szopów, które wyciągnęły specjalne śrubokręty i zaatakowały mocowania panelu. Poczułem przez moment, nie wiem… déjà vu? Nostalgię? Coś w tym stylu, bo zauważyłem, że Snarki używają śrub z kwadratowym gniazdem, zupełnie jak nasze śruby Robertsona. Wniosek: pewne geometryczne problemy są uniwersalne.

Szopy od środka nie były w stanie zamontować panelu z powrotem, więc kiedy wszystkie nasze jednostki przeszły, przyciągnęły płytę do mocowania i wykonały kilka punktowych spawów. Nie oprze się to żadnemu atakowi, ale celem nie było umacnianie sobie tyłów, tylko sprawienie, żeby wszystko wyglądało mniej więcej normalnie. Skończywszy, szopy wsiadły z powrotem do drona i jechaliśmy dalej.

Nie mogliśmy poczekać na pociąg i zabrać się nim, skoro ewidentnie nie kursował. Zdecydowanie nie mogliśmy sami sobie włączyć tego systemu – nawet gdybyśmy rozkminili, jak to zrobić, zwróciłoby to niepożądaną uwagę. Ogólnie wyglądało to jak system, który wymaga udziału wysokiego menedżerstwa, choćby do zatwierdzenia decyzji.

Pozostawała nam strategia biegania po korytarzach, jak gryzonie próbujące znaleźć drogę do wnętrza megakonstrukcji. Gryzonie od tysiącleci znajdowały alternatywne drogi we wszystkim, co budowali ludzie.

Jedną zaletą tego, że wszystkie kontenery stały zaparkowane pod dokiem, był fakt, że cały pierścień był pusty, jak szyb windy bez windy. A drony miały

wystarczające przyśpieszenie, żeby zrównać się prędkością z wewnętrznym torusem i zadokować do stacji na nim.

Przygotowania trwały kilka godzin – głównie rozpoznawanie poszczególnych pomieszczeń i unikanie botów serwisowych, w końcu jednak stwierdziliśmy, że jesteśmy gotowi do wielkiego kroku – do przelecenia z nieruchomej powłoki zewnętrznej na ruchomą wewnętrzną. Zdecydowaliśmy się wypróbować to najpierw jednym dronem, nim narazimy cały oddział. Dron trochę się chybotał, póki Gandalf nabierał wprawy, potem wyrównał lot.

Wylądował na małym technicznym peronie w czymś, co można by nazwać stacją czy terminalem na wewnętrznej powłoce, zapewniającym mieszkańcom topopolis dostęp do systemu wind. Widać było, w którym miejscu kabina windy ma kontakt z hermetycznymi drzwiami, dzięki czemu można było przejść pod atmosferą z kabiny do wnętrza megakonstrukcji.

Do tego momentu działaliśmy w próżni. Teraz musieliśmy się przyzwyczaić do środowiska o miłym klimacie – i znów bez włączania żadnych alarmów.

Kiedy dotrze tam cały dywizjon, następnym krokiem będzie zbieranie informacji. Dwa drony wypluły szopy, które oblazły właz. Po dziesięciu minutach mieliśmy raport.

– Dobra wiadomość jest taka, że to jest dobrze zaprojektowane – powiedział Gandalf. – To znaczy, że na wypadek awarii wszystko ma ręczne sterowanie.

– A zła wiadomość? – zapytałem.

– Ręczne sterowanie ma coś, co wygląda jak czujniki alarmowe, więc jak z tego skorzystamy, władze się dowiedzą.

– Czyli…

– Zablokujemy te czujniki. Jeśli nie zareagują, nikt się nie dowie.

– To może chwilę zająć.

– No. I niektóre z tych czujników są po drugiej stronie grodzi, trzeba się do nich przewiercić. Wyślemy dwumilimetrowe szopy.

– To nie włączy alarmu?

Pokręcił głową.

– To nie jest tajna wojskowa baza. Nie zakładali, że ktoś się będzie tak przebijał, więc po co budować coś specjalnie na tę okazję?

Ta logika wydała mi się wątpliwa. Pachniała chciejstwem.

– Poziom pewności?

– Bob, my to skanowaliśmy. Jest tylko jeden poziom czujników zabezpieczających.

Kiwnąłem głową. Na razie byłem usatysfakcjonowany. Ale jeśli włączy się alarm, polecą głowy.

– Bob, pomyśl tylko o skali – dodał Bill, przysuwając się do mnie. – Półtora miliarda kilometrów megakonstrukcji z drzwiami, śluzami, przejściami, chronionymi obszarami… Jak to upilnować? Trzeba mieć automatyczne procesy i wierzyć, że jakieś alarmy pójdą w górę, jak będzie trzeba. Ale chcesz też uniknąć fałszywych alarmów, żeby nie mieć zbyt dużego obciążenia.

– Czyli wyłączamy alarmy u źródła i nic się nie stanie.

– Tak – powiedział Gandalf, unosząc wzrok znad swojego monitora.

***

Trzeba to Graczom oddać, byli ostrożni i metodyczni. Rozbrojenie śluzy na tyle, żeby można jej było użyć, nie sprowadzając na nas armagedonu, zajęło prawie pół dnia. W końcu Gandalf dał zielone światło i zaczęliśmy ręcznie przepuszczać nasze urządzenia na drugą stronę.

W pewnym momencie coś mi wpadło do głowy i parsknąłem.

– Byłoby nieźle, gdybyśmy doszli do tego punktu i odkryli, że drony nie mieszczą się do śluzy.

– No. – Gandalf uśmiechnął się krzywo. – Dlatego sprawdziliśmy to już w fazie planowania. Właśnie za takie rzeczy płacisz nam grubą kasę.

– Zakładając, że płacę wam jakąkolwiek kasę.

– Prawda. – Wyszczerzył się do mnie i wrócił wzrokiem do monitora. – Ostatni ładunek. Następna stacja: wnętrze megakonstrukcji.

Po przejściu przez śluzę nasze drony znalazły się w korytarzu prowadzącym od systemu wyrównania momentu do, prawdopodobnie, głównej części stacji. Chwilę przypatrywałem się temu korytarzowi. Niewiele tam było do oglądania – wszystko oświetlone słabym światłem, na drugim końcu coś, co wyglądało, jak drzwi tradycyjnej windy. Jeśli nie masz kształtu Krella z Voltrona, jest ograniczona liczba sposobów konstruowania korytarzy i drzwi – te nie wyglądałyby dziwnie w budowli dla ludzi. Nawet pismo. Ewidentnie potrzeba podpisania wszystkiego także była uniwersalna. Choć nie umiałem nic z tego rozczytać, chwilę zabawiałem się, wyobrażając sobie snarkowe ostrzeżenia, żeby nie wtykać kończyn do urządzeń miażdżąco-mielących, i inne nakazane prawem komunikaty dla debili.

Windy przypominały dowolny losowy biurowiec na Ziemi. Były także schody ewakuacyjne – wyraźnie Snarki miały jakiś kodeks budowlany. Mogły mieć alarm albo nie, winda też mogła kogoś poinformować, że jest uruchomiona. Liczyłem, że Gracze wzięli to pod uwagę.

– Winda nie ma alarmu?

– Nie wiadomo – odpowiedział Gandalf. – Ten sam problem, co z tymi kontenerami na szynach. Nie da się ustalić, gdzie idą te sygnały. Ale schody nie mają żadnych czujników na drzwiach.

Stęknąłem, ale poza tym nie zareagowałem. W końcu to nie ja będę lazł po tych schodach.

Ta część operacji okazała się dość męcząca, jak wyprawa przez lochy składające się wyłącznie z korytarza. Oczywiście zawsze coś mogło wyskoczyć z ukrytej wnęki, co wywoływało osobliwe połączenie stresu i nudy.

W drodze w górę minęliśmy drzwi na kilka innych poziomów i w końcu dotarliśmy wszystkimi dronami na najwyższe piętro. Według opisu Gandalfa te drzwi prowadziły do holu stacji czy dworca na wewnętrznej powierzchni megakonstrukcji. W lepszych czasach mieszkańcy przychodzili tu, by jechać na zewnętrzną powłokę, a potem poza topopolis. Skany sugerowały, że jest to także przystanek jakiegoś wewnętrznego transportu. Niestety, dzień miał tyle milisekund, ile miał, i ta akurat analiza dostała niższy priorytet.

– I tu sprawy się trochę komplikują – powiedział Gandalf.

– A coś innego dotąd robiły?

– Są dwa problemy. – Rozwinął pomocnicze okienka, żeby to wyjaśnić. – Pierwszy: w tym holu są kamery. Po drugie, na drzwiach zewnętrznych są czujniki. Po trzecie, jeśli władze chcą nie dopuszczać tubylców do stacji, to właśnie tutaj skupiłyby wszystkie zabezpieczenia, wewnątrz i na zewnątrz. Czyli nie możemy wyjść frontowymi drzwiami.

– Rozumiem, że masz alternatywę.

Wyszczerzył zęby.

– Kupa kasy, pamiętasz? Zrobimy podkop.

– Podkop? Jak w Wielkiej ucieczce?

– No, już i tak sporo rzeczy przewiercaliśmy tu i tam. A Snarki używają tego dziwnego węglowo-ceramicznego laminatu, wszędzie, gdzie my byśmy użyli betonu. Nam to pasuje, bo poddaje się pod plazmowym palnikiem i bardzo mało dyskutuje.

– Kupa zaawansowanej szpiegowskiej technologii, a na koniec kopiemy jak szczury.

– Trzeba wiedzieć, Bob, kiedy pójść w prostotę.

Garfield rozwinął plan stacji i wskazał jeden punkt.

– Tutaj. Tuż pod poziomem gruntu, więc da się to zakryć.

– A monitoring?

– Nie będzie problemem. Jest kupa kamer na wejściu, ale z tyłu i po bokach nie za wiele.

– No to jedziemy.

***

Przewiercanie się przez ścianę, a potem kopanie w górę do poziomu gruntu było męczące, ale pozbawione niespodzianek. Kiedy szop wyłonił się z ziemi, spłoszył przedstawiciela miejscowej fauny. Na oko był to odpowiednik jelenia. Wyskoczył prosto w górę na trzy metry i uciekł, becząc panicznie.

– Szpiegowanie czas zacząć – powiedział Gandalf.

Wysłał polecenie do dronów, kilka z nich otworzyło drzwiczki ładowni. Wyłoniły się malutkie drony szpiegowskie, połączenie techniki z mojego szpiegowania Deltan i szpiegowania Pawonisów przez Jacques'a. Rozwój technologii, w tym między innymi generatory Casimira, oznaczał, że dron szpiegowski mógł być nie większy od wróbla. Dodać do tego maskowanie i byliśmy pewni, że tubylcy ich nie wykryją. Wśród innych zadań drony mogły między innymi uzupełnić skany Skippies przez stare, dobre podsłuchiwanie rozmów.

Innym zagadnieniem było natomiast wykrycie przez mitycznego kontrolera topopolis. Można było spokojnie założyć, że w habitacie jest jakiś monitoring, choćby do wykrywania problemów technicznych. Dodać do tego fakt aktywnego utrzymywania tubylców na przedprzemysłowym poziomie – to także wymaga obserwowania. Ważne pytanie: jak są narzucane te ograniczenia technologiczne. Nie chcemy przypadkiem paść ofiarą jakiejś technicznej czystki.

– Drony szpiegowskie w drodze – rzucił Garfield. – Teraz czekamy.

12. Przygotowania do ekspedycji
Bob, listopad 2333, peryferie Ety Leporis

Drony szpiegowskie miały wiele zadań, a więc i zajęcie na dłuższy czas. Oprócz znalezienia sposobu na podsłuchiwanie Snarków i nauczenie się ich języka musiały robić badania biologiczne oraz pomiary miast i infrastruktury. Skippies dali im algorytm poszukiwań, który według nich miał bardziej efektywnie zbierać potrzebne dane. Nie do końca im ufałem, więc na wszelki wypadek wbudowałem w drony sprzętowy układ monitorujący. Był niewykrywalny, jeśli nie znało się protokołu dostępu i nie miało kluczy. Wyglądało na to, że paranoja Billa zaczyna wpływać na moje ogólne postrzeganie Bobiwersum.

Tymczasem i my mieliśmy sporo roboty. Informacji wystarczało, żeby zacząć fabrykować wersję alfa snarkowych androidów. Szczegóły można będzie uzupełnić, kiedy Skippies skończą badania biologiczne. Pozostawała otwarta także kwestia udziału Bridget, przynajmniej w konsultacjach biologicznych.

Pracowałem nad projektem manny'ego, kiedy mnie pingnęła. Nie utrzymywaliśmy regularnych kontaktów, więc to nie był przypadek. Podejrzewałem, że ktoś mógł komuś szepnąć słówko. Wysłałem „akceptuję'' i chwilę później wskoczyła do mnie.

Przez parę milisekund rozglądała się po bibliotece.

– Podoba mi się. Howard miał jakiś czas motyw biblioteki, ale o wiele mniej książek. One są prawdziwe?

– Wszystkie, razem z treścią – powiedziałem. – Obrabowałem wszystkie bazy danych ludzkości, jakie dało się znaleźć. BobNet zawiera sumę pisanej wiedzy, ludzkiej i pawoniskiej.

– Super mieć jakieś hobby… – Zawahała się i przeszła do rzeczy. – Bob, jak ta ekspedycja do Snarków będzie gotowa, chcę brać w niej udział.

– Nie ma sprawy.

– Bo wiesz, jestem biolożką i mam duże doświa… Że co?

Wyszczerzyłem się.

– Szczerze mówiąc, to ja już się zastanawiałem, jak się z tym do ciebie zwrócić. Chciałem postąpić po tchórzowsku i pójść przez Howarda.

– Jestem jednocześnie urażona i zaszczycona. Ale liczą się wyniki. Widzę, że pracujesz nad mannym. Dużo roboty będzie z żeńską wersją?

– Prawie nic, dymorfizm płciowy jest minimalny. Trochę większa głowa, poza tym głównie feromony. Nie za wiele.

– Świetnie. Bill mówi, że do badań wziąłeś Skippiesów. Masz do nich zaufanie?

Na tę uwagę uniosłem brew. To była wewnętrzna sprawa Bobów – fakt, że trzecie osoby też przejmują się kwestią wariantów Bobów, nadawał tej kwestii zupełnie inną wagę.

– A czemu właściwie pytasz?

– No wiesz, nie zaczęły może skandować „Jeden z nas, jeden z nas” ani nic takiego. Po prostu oni już nie są Bobami. To nie byłoby aż tak deprymujące, gdyby zmienili sobie wygląd, jak ci Borgowi przebierańcy, ale oni nadal wyglądają jak Howard, czy raczej podmieniona wersja Howarda.

– Co, oglądałaś Inwazję porywaczy ciał?

– Bob, mam Howarda za męża. Myślisz, że co oglądamy wieczorami? Wichrowe wzgórza?

Parsknąłem śmiechem, ona uśmiechnęła się, po raz kolejny przypominając mi, co Howard w niej widział. Między innymi.

Wysiłkiem woli otrząsnąłem się z tego i zmieniłem temat.

– Skippies przewidzieli, że dwa tygodnie, maks, wystarczą im na zebranie kompletnego obrazu miejscowej kultury. I już prawie kończymy. Wiadomo, że na obszarze półtora miliarda kilometrów mogą wystąpić różnice regionalne. Ale z tym będziemy sobie radzić na bieżąco.

– Akcenty albo i różne języki, dryf kulturalny, nacjonalizmy… Rozumiem. Zależy, jak długo oni tam siedzą.

– Niedługo. Bo ja…

W tym momencie pojawił się Bill.

– O, cześć, Bridget! Bob już cię przekonał, żebyś pojechała z nami?

Bridget uśmiechnęła się do mnie i przewróciła oczyma, po czym odpowiedziała:

– Przekonał. Trochę się musiał narobić chłopak…

– Oj tam.

Bridget parsknęła śmiechem i wróciła wzrokiem do mnie.

– Mówiłeś, że…

– A… Na podstawie skanów macierzystej planety Snarków, poziomu radioaktywności, śladów po leśnych pożarach, szacujemy, że przestała się nadawać do życia kilkaset lat temu. Nie mam pojęcia, ile to jest w pokoleniach Snarków.

Kiwnęła głową i zerknęła na Billa.

Przyszło mi do głowy, że po coś tu przyszedł, więc przekrzywiłem głowę, sugerując, by się odezwał.

– Tak. Po coś przyszedłem. Skippies mają wstępny raport. Głównie ekosystemy i ogólne pomiary, z językiem i kulturą jeszcze trochę się zejdzie. Chociaż parę rzeczy mi podrzucili. Oni mówią na siebie „Quinlanie”. W fonetycznym przybliżeniu. A topopolis nazywa się „Niebiańska Rzeka”.

– Fajnie. Dobra, odtąd Snarki to oficjalnie „Quinlanie”.

– Mają już szczegółowy raport o biologii? – zapytała Bridget.

– Hugh przysłał trochę ogólnych notatek i powiedział, że kompletny raport będzie za jakieś czterdzieści osiem godzin.

– Hugh? – zapytała Bridget. – Myślałam, że Skippies używają tylko numerków.

– Zdaje się, że coś im jeszcze z Boba zostało, bo nie są aż tak sztywni. W kontaktach z resztą Bobów używają imion. – Odwróciłem się do Billa. – A z Willem już gadałeś?

– Tak. Plan mu się podoba. Czyli ja, ty, Garfield, Bridget i Will w odwodzie.

– Bardzo dobrze. Dam sygnał, jak dostanę końcowy raport. Spotkamy się tutaj i go przegadamy.

***

Will pojawił się ostatni.

Bridget uniosła kawę na powitanie. Podłapała ten zwyczaj ode mnie… hmm, znaczy, od Howarda. Wiedziałem za to z dobrego źródła, że jej kawa ma moc na poziomie espresso plus, takim, co rozpuszcza łyżeczkę, która akurat miała pecha się w niej zanurzyć.

Will wsadowił się na worku sako, który dla niego zmaterializowałem, przyjął colę od Jeevesa i leniwie kiwnął na mnie drugą ręką.

– Mam to – powiedziałem, wymachując plikiem papierów. Raport nie był tak naprawdę na papierze, ale to była dobra metafora w wircie. – Schematy megakonstrukcji, ekologia, kultura quinlańska, język (pisany i mówiony), zwyczaje, tabu i bardzo niewiele historii.

– Co? Dlaczego?

– Hugh niechętnie przyznał, że grupa Skippies, która nad tym pracowała, nie jest pewna – wyglądał, jakby od przyznawania się do tego dostał zatwardzenia – ale po prostu Quinlanie za wiele o tym nie mówią, a jak już mówią, jest to mocno zmitologizowane. Biblioteka, którą sprawdzili, nie miała nic z obiektywnych historycznych zapisów. Więc tu dalej jesteśmy ciemni. Kolejny dobry powód do ekspedycji.

Bridget uniosła wzrok znad swojego egzemplarza raportu, który przeglądała na wirtualnym tablecie.

– Najprawdopodobniej ci Quinlanie wyewoluowali na brzegach rzek. Jak rzeczne wydry albo bobry…

– Które mocno przypominają – wtrąciłem.

– Tak. Z domieszką dziobaka – dodała z uśmiechem. – Ale wszystkie ich osady są blisko wody, głównych rzek, dopływów, strumieni, małych jezior. Wyłącznie słodkiej wody. Nie mam pojęcia, jak megakonstrukcja to wszystko utrzymuje. Musi być jakaś filtracja.

– W dnie rzeki co jakiś czas są pompy wirnikowe – powiedział Bill. – Skuteczny sposób na utrzymanie prądu w rzece mającej półtora miliarda kilometrów długości i tak naprawdę poziomej. Możliwe, że także filtrują wodę.

– Mamy trochę informacji o miejscowej florze i faunie, rolnictwie, hodowli zwierząt i tak dalej – powiedziała Bridget. – Ale socjologii prawie w tym nie ma.

– Pewnie Skippies trochę to sobie odpuścili. – Uśmiechnąłem się. – Mało dla nich interesujące.

– Czyli tego będziemy się uczyć na bieżąco. Nie szkodzi. – Usiadła i cisnęła tablet na boczny stolik. Odbił się, jakby był z pianki, jak Nerf. – A przechodząc do androidów…

– Tak, myślę, że to ci się spodoba. – Zniknąłem raport i wyświetliłem diagram pośrodku grupy, kiwając na Billa, żeby zabrał głos.

– Technologia androidów cały czas się rozwijała, dzięki wielkiej popularności. I także uwagom twoim i Howarda. – Patrząc na Bridget, skinął głową. – Ale wygląda na to, że wasze obecne manny na Patchworku są parę generacji do tyłu. – Obok uogólnionego schematu androida zmaterializował się kształt Quinlanina. – Najnowsze już w ogóle nie zawierają metalu. Obwody, nawet interfejs UNOP, wszystko jest kwantowo-bioniczne i z metamateriałów. Stanęliśmy na rzęsach, żeby i gęstość była podobna do biologicznej, więc już nie są absurdalnie ciężkie jak na swoją wielkość. Dodaliśmy układ krążenia z cieczą nieodróżnialną od krwi. Działa jako smar, chłodziwo i przenosi nano serwisowe. Mamy nawet układ trawienny, rozkładający żywność na… ten… całkiem wiarygodne odchody.

– Po prostu nie mogłeś się oprzeć, żeby nie wkleić żartu o kupie, co? – Will wyszczerzył się do niego.

– A jak, Dwójeczka.

Garfield, Will i ja roześmialiśmy się, a Bridget przewróciła oczyma i pokręciła głową. Nadal niedojrzałe towarzystwo. Nic a nic niedojrzałe.

– Podsumowując, quinlański manny to już być może wersja beta – ciągnął Bill. – Interfejs tłumaczący jest jeszcze w proszku, dużo odruchów może nie być realistycznych. Będzie potrzebna twoja pomoc, Bridget, żeby to uładzić. Jest też mało miejsca w środku, bo staramy się dać androidom jak największe możliwości samonaprawcze. Jeśli coś się popsuje w habitacie, ciężko będzie je zabrać do serwisu.

Bridget kiwnęła głową, ze wzrokiem wbitym w schematy i pomocnicze okienka.

– A jak z rozpraszaniem ciepła?

– A, no tak. Nie za dobrze, przy tym futrze i przysadzistej sylwetce. Ludzki manny może biec na maksa przez cały dzień. Quinlański będzie musiał się zatrzymać i schłodzić. Chociaż w wodzie powinno być w miarę.

– No cóż, zdobywamy całkiem nowy teren, prawda? – zapytała z uśmiechem. – Myślę, że jednak pogadam z Marcusem. Jest już ekspertem od nieczłekokształtnych mannych.

***

– Bob, mam jedną obawę – powiedziała do mnie parę minut później. Reszta już zniknęła, a ona czekała, zdaje się, żeby porozmawiać ze mną w cztery oczy.

– Tak?

– Ta ekspedycja wygląda na długoterminową…

– Hmmm, trochę tak, nie ma określonego końca. To nie są tylko badania, szukamy także Bendera albo chociaż jakiegoś tropu, co się z nim stało.

– Będziemy musieli cały czas być w tych mannych, prawda, z wyjątkiem snu?

– Tak, ale podczas snu można sobie wyskoczyć, albo nawet podkręcić się na chwilę, żeby się czymś zająć. Ja tak robiłem przez lata na Edenie i nigdy nie miałem problemu.

– Ale ty nie masz dzieci. A moje dzieci to ludzie. Muszę się nimi zajmować w czasie rzeczywistym i w ludzkiej skali czasowej. Poza tym był taki film, z tymi wielkimi niebieskimi obcymi…

– Awatar?

– O właśnie. Pamiętasz, jak główny bohater zostawił awatara we śnie i prawie go rozjechali, zanim zdążył do niego wrócić?

– No tak, faktycznie. To może być trochę wada.

Bridget spuściła wzrok, milczała chwilę, potem westchnęła.

– W sumie mam chyba trzy opcje. Mogę zrezygnować i nigdy sobie tego nie wybaczyć. Mogę się zawziąć i pójść w to na full, a Howarda i dzieci odwiedzać tylko na chwilę, kiedy będzie okazja. Albo mogę… – Zrobiła zbolałą minę. – Się zreplikować.

– Ooo. Klon Bridget? Byłabyś pierwszym nie-Bobem, który to zrobił.

Zbolała mina stała się bardziej niewyraźna.

– Pierwszeństwem to się niespecjalnie przejmuję. W tym przypadku przynajmniej. Problemem są… – Znów się zawahała.

– Inni Bobowie?

– Tak, zwłaszcza ci późniejsi. Czasem mam wrażenie, że jest oczekiwanie, żebym się sklonowała i była partnerką każdego z nich. Tak to nie działa.

– Wiem, wiem. Inni replikanci też to wiedzą, przynajmniej na poziomie intelektualnym. Ale wiesz, widzą cię z Howardem i ciężko się oprzeć takim myślom.

– Tylko że Howard to nie jest pierwszy z brzegu Bob. Jest jedyny w swoim rodzaju i nasze wspólne przeżycia tak samo.

– Tak, wiem, ale Pierwszy Bob, mimo całej swojej inteligencji, nie miał za dobrego kontaktu ze swoimi emocjami. I to też się z czasem nie poprawiło. – Wzdrygnąłem się w duchu, myśląc o niektórych rzeczach, których się w przykrych okolicznościach dowiedziałem sam o sobie, dawno temu na Edenie.

– Rozumiem. Nikt jeszcze z niczym do mnie nie wychodził, nic takiego. Ale jeśli zreplikuję się dla potrzeb tej ekspedycji, może się okazać, że tama puściła.

– Jasne. Pomogę ci, jak tylko się da, tak samo Bill i Garfield. Ale decyzja jest twoja. Pogodzimy się z nią, wszystko jedno jaka będzie, a Will na pewno da się szybko namówić na zajęcie twojego miejsca. Gdyby było trzeba. Chociaż może mieć problem z żeńskim mannym, jeśli będziesz czekać, aż je wyprodukujemy.

– No, chodzą plotki, że…

– Na razie niepotwierdzone. – Wyszczerzyłem się do niej. – I to musiałby być ktoś z naprawdę ostatnich generacji. Pierwszy Bob nie miał cienia wątpliwości, co do swojej płci.

Parsknęła śmiechem.

– Ale nieźle byłoby mieć tutaj jeszcze jedną kobietę. – I z powrotem spoważniała. – Pomyślę, Bob, i dam ci znać. Przepraszam za kłopot.

***

W życiu nie byłem na tak hałaśliwym Zgromadzeniu. Oficjalnie przedmiotem dyskusji była ekspedycja do Niebiańskiej Rzeki, przecinek, planowanie tegoż. Naprawdę zaś Gwiezdna Flota przyszła na Zgromadzenie jak na polowanie na niedźwiedzia. Metodycznie torpedowali wszystkie próby dyskusji, formalnymi wnioskami i innymi środkami. Bill okazał o wiele więcej cierpliwości niż wydawało się możliwe u któregokolwiek Boba. Ja na pewno dawno bym ją stracił.

Mieli na sobie coś, co przypominało mundury oficerów z Następnego pokolenia, ale nie do końca – chyba chcieli to zasygnalizować, lecz nie wyglądać śmiesznie. Wnosząc po szyderczych uwagach, wielu Bobów uznało, że to ostatnie im się nie udało.

W tej chwili ubrany na czerwono „oficer” wykrzykiwał:

– Nie macie pojęcia, czy celowo zdecydowali się na takie życie! O to właśnie chodzi. Idziecie tam, jak twierdzicie, po to, żeby „sprawdzić”, czy są zniewoleni, ale wyrządzicie im szkodę, zanim dowiecie się, czy to konieczne. Zakładając, że w ogóle to będzie konieczne.

Gwiezdna Flota nabrała powietrza – co w Bobiwersum jest najzupełniej niepotrzebne, ale to nawyk wdrukowany przez trzydzieści jeden lat życia jako ludzie – a Bill skorzystał z okazji, by wejść im w słowo:

– A wy z góry zakładacie, że wyrządzimy szkody. Oczywiście, że tak, bo według was interakcja z nimi to szkoda. I potem wskazujecie na interakcję, jako dowód, że wyrządziliśmy szkody. Rozumowanie kołowe. Przykro mi. Zero punktów.

– Mamy obowiązek…

– Argumentacja przez stanowcze stwierdzenie.

– …powstrzymać się od zakłócania życia…

– Słowa dobrane pod tezę, a jeszcze tego stwierdzenia nie udowodniłeś.

Gwiezdna Flota rzuciła mu mordercze spojrzenie, atak podjął kolejny czerwono-mundurowy „oficer”.

– Popatrzcie tylko na waszą historię. Deltanie, Inni, nawet ludzkość. Przy każdej interakcji wyrządzacie szkody…

– Inni? Masz Innych za przykład? – Zjeżona i niedowierzająca mina Billa była zapewne po części teatralna, ale naprawdę trudno było mu się dziwić. – Może nie zauważyłeś, ale Inni nie siedzieli u siebie i nie zajmowali się swoimi sprawami. Szkody, które wyrządzili…

– Zawsze się znajdzie jakaś racjonalizacja, co?

Przestałem słuchać. Niestety to było jak większość pyskówek politycznych. Nikt nie chciał dyskutować nad swoimi podstawowymi założeniami, wyjaśniać ich ani nie był skłonny do kompromisu na ich punkcie. Prosta taktyka: jeśli

powtórzysz swoje twierdzenie odpowiednio często, odpowiednio emocjonalnie i odpowiednio głośno, przeciwnicy zostaną jakoś zmuszeni do przybrania twojego punktu widzenia. To oczywiście nigdy nie działa, przynajmniej w przypadku Pierwszego Boba, ale nikogo nie powstrzymało od kolejnych prób. Nawet Bobów, jak widać.

Rozglądałem się machinalnie po publiczności, czekając, aż Gwiezdna Flota przestanie walić swoją zbiorową głową w mur, i ze zdziwieniem zauważyłem dwie nieznajome twarze. Chciałem sprawdzić metadane, ale były zablokowane, wysłałem więc Billowi wiadomość o niskim priorytecie. Odpowiedział podczas następnej tyrady Gwiezdnej Floty, widocznie tak samo jak ja nie słuchał.

Dwójka replikantów z Asgardu, klientów firmy Eternity Solutions.

To było ciekawe. Ludzie, którzy wybierali replikację po życiu, z reguły korzystali z warstwowych systemów wirtualizacyjnych – systemów komputerowych orbitujących w Obłoku Oorta w ich macierzystym układzie – a nie instalowali się na statkach kosmicznych. O ile się orientowałem, można było wykupić różne pakiety, dające dostęp do różnych poziomów mocy obliczeniowej, różnych opcji VR, a nawet dostępu do mannych, żeby mieć kontakt z realem. Mieli także dostęp do BobNetu, jak wszyscy, choć przeważnie trzymali się własnego towarzystwa.

Mieliśmy oczywiście polityki bezpieczeństwa. Byli gośćmi zarówno w sensie komputerowym, jak i towarzyskim. Co do Zgromadzeń Bill miał jednak zasadę otwartych drzwi. Jeśli ktoś chce zajrzeć, albo nawet tylko zagrać w baseball, nie ma sprawy.

Kobieta wyglądała na znudzoną, facet patrzył we wszystkie strony naraz, całkowicie przytłoczony wrażeniami. Od razu było widać, kto tu kogo przyciągnął.

Wśród Bobów nie było widać żadnej sensacji – zupełnie inaczej, jak przy pierwszym pojawieniu się na Zgromadzeniu Bridget czy Henry’ego. Musiało to już całkiem znormalnieć.

Wróciłem myślami do dyskusji, kiedy aktualnie przemawiający przedstawiciel Gwiezdnej Floty wykonał ręką ostry gest i powiedział:

– Dosyć. To nie ma sensu. Widzę, że sami z siebie nie zrobicie tego, co trzeba. Niech tak będzie. – Kiwnął na swoją grupę i wszyscy, jak jeden, zniknęli. Na Zgromadzeniu wybuchło pandemonium. Znaczy jeszcze większe niż przedtem.

Powiedziałem półgłosem do Billa:

– O, to była zawoalowana groźba. Jak nic.

– Tak, ale jaka właściwie? – Zmarszczył czoło. – Możemy chyba zakończyć to spotkanie, co? A my musimy później o tym pogadać.

***

Hugh wysyłał info o statusie co dwadzieścia cztery godziny. Może na papierze Skippies byli cudakami, ale w praktyce byli o wiele kulturalniejsi niż Gwiezdna Flota, która na oko niewiele odbiegała od głównego nurtu Bobiwersum.

Język i obyczaje zaczęły się powoli kleić. Wreszcie. Pokonaliśmy jakiś punkt zwrotny i bloki niepowiązanych informacji składały się stopniowo w bardziej kompletny obraz. W razie konieczności można już było wchodzić z tym, co mamy. Po prostu udawalibyśmy, że jesteśmy z daleka. A w Niebiańskiej Rzece „z daleka” to naprawdę było coś.

Borg dokończyli projekt androida oparty na szczegółowym biologicznym raporcie i dali mi szablon dla autofabryki uogólnionego Quinlanina, płci męskiej lub żeńskiej, z parametryzacją wystarczającą, żeby produkować zindywidualizowane, różniące się jednostki. Według notatek Quinlanie odróżniali się przede wszystkim po kształcie i rysach twarzy, plus różnicach w kolorystyce sierści na twarzy. Pakiet zawierał także oprogramowanie i wsparcie sprzętowe dla generowania unikatowych twarzy. Dokumentacja podkreślała, że przed uznaniem projektu za ostateczny konieczne są testy praktyczne.

Zabawne. Takie różnice pomiędzy Bobami, a tylko rzucić im praktyczny problem do rozwiązania i wszystkie znikają. Byłoby smutne spotkać klona, który nie ma tej cechy. To już nie byłby Robert Johansson pod każdym praktycznym względem.

Grupa eksploracyjna, włączając Willa, była umówiona na szesnastą, żeby przejść przez status. Dlatego zdziwiłem się trochę, że Bridget pingnęła mnie pięć minut wcześniej. Zaprosiłem ją i od razu do mnie wskoczyła.

– Cześć, Bridget. – Wskazałem jej ulubiony fotel.

Opadła nań z niepewnością, dość nietypową jak na nią.

– Ta kwestia, o której wcześniej rozmawialiśmy… – powiedziała i odczekała, aż kiwnę głową. – Ja się nie sklonuję.

Czekałem, aż to pociągnie, ale wyglądało na to, że czeka na mój komentarz.

– Jasne. Rozmawiałaś z Howardem?

Kiwnęła głową.

– Nie jest zadowolony, głównie dlatego, że ja nie jestem. To znaczy… cieszy się oczywiście, że nie będę się klonować, ale…

– Wiem, co masz na myśli. Bridget, szczerze ci powiem, ja nie do końca rozumiem, czemu ty i Henry tak bardzo jesteście przeciwni replikacji. To znaczy, ja też nie jestem fanem, ale jednak mamy prawie dziesięć tysięcy Bobów…

– Z których wielu już nie identyfikuje się z Bobami. – Zbyła machnięciem ręki moją ripostę. – Wiem, dla twojej decyzji to nieistotne, ale dla naszej tak. Pomaga też, że jesteście humanistami – nie uważacie, że jesteście Bobem więcej lub mniej niż Pierwszy Bob albo którykolwiek inny z klonów. Dla kogoś, kto ma bardziej… ten… metafizyczny pogląd na życie, to nie jest takie proste. Najlepsze, jak to mogę opisać, to powiedzieć, że mam poczucie, że każde z nas – ja i mój klon – dostaniemy po połowie duszy.

Już otwierałem usta, żeby napomknąć, że ściśle rzecz biorąc, według jej poglądów, tylko Pierwsza Bridget miała duszę, ale w samą porę zdałem sobie sprawę, że to będzie dokładne przeciwieństwo otuchy. Może wreszcie uczyłem się trzymać wirtualny język za wirtualnymi zębami.

– Z bardziej osobistego punktu widzenia ta nowa Bridget byłaby odcięta od Howarda i naszych dzieci – ciągnęła. – Wiem, że nie byłabym w stanie się nimi z nią „dzielić”, a Howard otwarcie mi powiedział, że sama wizja go przeraża. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest: budzę się i dociera do mnie, że jestem kopią, że nigdy już nie będę z Howardem i dziećmi… – Zadrżały jej wargi, gdy próbowała się opanować.

Czekałem w milczeniu, dając jej tyle czasu, ile trzeba.

W końcu powiedziała:

– Nie mogłabym zrobić tego sobie. Ani tej drugiej mnie. Muszę się pogodzić z faktem, że trochę mnie nie będzie w domu, potem im to zrekompensuję.

– Rozumiem, Bridget. Tak czy inaczej, cieszę się, że jesteś w zespole.

Błysnęła tym swoim, jak to Howard nazywał, atomowym uśmiechem, aż poczułem, że IQ mi spada. Na szczęście Bill i Garfield wybrali ten akurat moment, żeby się pojawić.

– Cześć wam. Mam nowiny od Hugh. – Bill pomachał przed nami segregatorem z raportem, rzucając się na fotel.

Garfield usiadł z większą godnością.

Przywołałem Jeevesa, który przyniósł kawę, małe kanapeczki bez skórki oraz nieskończenie pełną i gazowaną szklankę coli dla Willa.

Bill pokazał jedną z kanapek.

– Kilka razy już je serwowałeś. Dobre, ale skąd ci się wziął ten pomysł?

Wziąłem kanapeczkę i przyjrzałem się jej.

– Nie mam pojęcia. Pewnie jakieś losowe wspomnienie Pierwszego Boba. W końcu mi się znudzą, ale na szczęście do kanapek można nawkładać różnych rzeczy.

Wskoczył Will, zamachał do nas i opadł na swój worek.

– Dobra. Panie i patole, jedziemy.

Bill wyszczerzył się do niego i cisnął raport w powietrze. Przeobraził się w okienko wideo, a on zamachał palcami, otwierając podsumowania i dodatkowe okienka.

– Androidy się robią. Minie dobre sześć miesięcy, zanim będą gotowe, zakładając, że przejdą wszystkie testy funkcjonalne. Mamy tu wiele nowych technologii, więc nie chcę nic robić w pośpiechu.

Skinął na Garfielda, który podjął wątek.

– Gracze przerobili kupę scenariuszy, ale nie wymyślili żadnego chytrego sposobu na przemycenie czterech ciał wielkości dorosłych Quinlan przez śluzę i straże Bądziołów. Zasugerowali, żeby po prostu przewiercić się przez zewnętrzną powłokę i od środka dostać do systemu wind.

– Ryzykowne. Co, jak Bądzioły zauważą?

– Gracze sugerują, że Bądzioły nie mogą być za bardzo przewrażliwione na punkcie zewnętrznej skorupy. Nawet po takim wyczyszczeniu układu na pewno mają rocznie pewną ilość trafień mikrometeorami. Gdyby lecieli na sygnale do każdego wstrząsu, nic innego by nie robili.

– Słuszna uwaga. – Przekrzywiłem głowę. – Sprawdzimy to?

– Myślę, że po prostu wybierzemy sobie punkt pośrodku między dwiema śluzami i zaczniemy wiercić. Jak przylecą, uciekniemy albo się wysadzimy i wymyślimy inny plan.

Will wyszczerzył zęby.

– No, ma to jedną zaletę – prostotę.

– Taa… – Potarłem oczy. – Dobra, spróbujmy. Gar, możesz się zająć realizacją tego?

– Pewnie.

– Kolejna rzecz – powiedziałem. – Co robimy, jak już się tam dostaniemy?

– A cholera wie – odparł Bill. – Nie mamy żadnego śladu, że Bender w ogóle jest w Niebiańskiej Rzece, nie mówiąc o tym, gdzie. Przy tym igła w stogu siana to pewniak.

– Tylko że my tak naprawdę nie musimy znaleźć Bendera – wtrącił Garfield. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. – Wystarczy nawiązać kontakt z kimś, kto go ma. Albo jak się nie uda, z kimś, kto rządzi tym wszystkim. O ile to nie jest ta sama grupa. To nie jest szukanie na ślepo, to raczej robota detektywistyczna.

– W sumie racja. Ale zaczynamy na ślepo. – Przez chwilę milczałem, analizując opcje. – Kiedy dowiemy się więcej, można będzie zawęzić poszukiwania, może wykryć jakiś kierunek. Mówiąc w przenośni.

Wszyscy kiwnęli głowami, rozpracowując wnioski. Ten koniec projektu był niedookreślony. Nie wiedzieliśmy, ile zajmie zawężenie poszukiwań, bo nie

mieliśmy kompletnie pojęcia, co tam znajdziemy.

– Warto zauważyć, że tych śluz dla Bądziołów to nie ma za wiele – powiedział w ciszę Garfield. – Zakładając, że macierz Bendera przeszła przez jedną z nich, to już trochę zawęża.

– Prawda. Ile tych wejść jest? Dziewięć?

– Tak, i większość wygląda na nieaktywne, co ma sens, jeśli oni nie wychodzą poza rutynowe patrole.

– A nie możemy wysłać więcej ekip? – zapytała Bridget.

Bill pokręcił głową.

– Rozmawialiśmy o tym. Więcej ekip to większe opóźnienie i większa szansa zdemaskowania. Kiedy kontrolerzy topopolis dowiedzą się o nas, zapewne zarządzą poszukiwania na wielką skalę, a może i inne środki zaradcze. Pamiętajcie, nie wiemy, czy będą przyjaźnie nastawieni. Jedyny kontakt z nimi to jak dotąd wysadzenie Bendera, a potem dronów Boba. Nie chcę się dowiadywać, jak zareagują na fizyczną inwazję. Lepiej działać w małej skali i nie wyglądać niebezpiecznie. – Wyszczerzył zęby. – Ale oczywiście, jak dotrzemy do ściany, zawsze jest opcja posłania kolejnych ekip. Bobowie mogą zbudować tu lokalnie parę macierzy i się poklonować, jeśli przestaną się wyrabiać. Ale fabrykacja mannych trwa masę czasu. Bardzo skomplikowane są.

– Drony szpiegowskie też będą się rozpraszać – dodał Will. – W obu kierunkach, w górę i dół rzeki. Jeśli znajdą coś nietypowego, zaalarmują nas i będziemy mogli polecieć prosto w to miejsce.

Spojrzeliśmy po sobie.

– Chyba jesteśmy na dobrej drodze – powiedziałem. – Zobaczmy, jak idzie z wierceniem tunelu, i spotkajmy się znowu.

13. Krakać jak wrony, pływać jak delfiny
Howard, grudzień 2333, Cyrk, Epsilon Eridani/Posejdon, Eta Cassiopeiae

– Kolejny piękny dzień na Tantorze.

Z rękoma z tyłu patrzyłem przez okno widokowe na warstwy chmur nad kopułą miasta. Z naszej wysokości w atmosferze jowiszowej planety Cyrk wzrok sięgał na ponad siedemdziesiąt kilometrów w chmury nad nami i do stu kilometrów w dół, zanim wszystko rozmywało się we mgle.

– Howard, przecież przenazwali go na Trantor po tym twoim mendzeniu. Postawiłeś na swoim. Przestań być więc wrednym zwycięzcą.

Czułem świdrujące spojrzenie Bridget z tyłu głowy. Miała oczywiście rację, ale co za pożytek z bycia zrzędą, jeśli nie można zrzędzić?

Odwróciłem się i podszedłem do niej. Ucałowałem ją w tył głowy, a ona wtuliła się we mnie. To dało mi sposobność przyjrzenia się obrazowi na Kanwie.

– Kolejne nowe gatunki na Patchworku?

Bridget wskazała kilka.

– Na to wygląda. Nie rozumiem jeszcze mechanizmu, ale biota Patchworku jest w stanie generować i często generuje nowe gatunki w kilka pokoleń. Odłożyłam to na pięć lat i praktycznie zaczynam od zera. – Machnęła ręką przed Kanwą w geście irytacji, ekran mrugnął i zniknął.

– Jeśli wybierzesz się na tę ekspedycję z Bobem, zejdzie ci być może parę kolejnych lat. Możesz nigdy nie nadgonić. – Nie był to sprzeciw, ale też nie poparcie. Nadal nie zdecydowałem, czy jestem za, czy przeciw.

– Wiem, Howard, ale Patchwork będzie, gdzie był. A to jest okazja jedyna w swoim rodzaju. Gadałeś z Marcusem?

– Tak. Zgodził się nas wprowadzić. Będzie czekał w Moody Porcie[3]. Najpierw zajrzyjmy wirtem, żeby się przywitać.

– No to chodźmy.

Szafka na mannych otworzyła się na moje myślowe polecenie i weszliśmy do osobnych kapsuł. Gdy zaczęły się zamykać, zerknąłem ukradkiem na Bridget. Jej niekontrolowana twarz zdradzała, że jest bardziej przejęta, niż to okazuje. Wiedziałem, że ta decyzja będzie trudna. Wiedziałem też, że się zgodzi. Mało kto miał taką motywację, jak moja żona.

Wyszedłem z manny'ego i wskoczyłem Marcusowi do VR-ki. Chwilę później pojawiła się Bridget. Siedzący przy kominku Marcus machnął dłonią w stronę kanapy. Na stoliku przed nią, w zasięgu ręki, stały przekąski i kawa. Marcus korzystał akurat ze standardowej bibliotecznej VR-ki. Pewnie zrobił sobie przerwę od Battlestara Galactica.

Odczekał, aż się rozgościmy i coś zjemy, po czym powiedział:

– Jeśli dobrze rozumiem, wasze pytania mają coś wspólnego z tym projektem Boba, którego ja tak naprawdę nie śledziłem. Możecie mnie jakoś wprowadzić?

– Będziemy przenikać do megakonstrukcji pod postacią mannych imitujących miejscowe sofonty. – Bridget zawierciła się i nachyliła ku niemu, gestykulując. – Ten element akurat nowy nie jest. Bob to robił u Deltan, Howard i ja to robiliśmy. Nawet w nieczłekokształnych androidach, udających miejscowe gatunki Cyrku.

Bridget zerknęła na mnie z ukosa, a ja wyszczerzyłem zęby. Latanie w atmosferze gazowego olbrzyma pod postacią olbrzymich płaszczek było jedną z naszych pierwszych przygód we dwoje i od czasu do czasu nadal to dla rozrywki robiliśmy.

Bridget ciągnęła:

– Tubylcy są generalnie człekokształtni, ale także wodni. Są inteligentni i pochodzą z technologicznego społeczeństwa, chociaż nie jesteśmy pewni ich obecnego poziomu wiedzy. Z tego punktu widzenia to jest trochę niewiadoma. I liczyliśmy na twoją perspektywę co do wodnych mannych.

Marcus kiwnął głową i zamyślił się na ułamek mili.

– Delfiny z Posejdona są inteligentne, ale o ile nam wiadomo, to jednak zwierzęta. Tak jak ziemskie delfiny. Mają prosty język, mniej więcej na poziomie „zagrożenie", „drapieżnik" i „dobre żarcie". Żadnej semiotyki ani gramatyki. Trochę bardziej zaawansowany niż okrzyki pawianów. Więc nie wiem, czy się na coś przydam.

– Ale żyłeś z nimi prawie cały czas przez parę lat, nie? – zapytała Bridget. – Jak bardzo cię akceptowały? Długo zajęło, żeby się przystosować? Jak trudno jest zachowywać się jak delfin?

– Mam wrażenie, że mają mnie za trochę dziwnego. – Marcus wzruszył ramionami i uśmiechnął się z zażenowaniem. – Ale mnie nie unikają. Parę razy

musiałem się oganiać od zalotów, więc aż tak dziwny nie jestem, rozumiecie…

– Mnie tam to nie powstrzymało – wtrąciłem.

Bridget warknęła przeciągle, a Marcus się zaśmiał.

– Trochę wygląda na to, że wy chcecie się idealnie wtapiać w społeczeństwo. A po prostu najpierw trzeba odrobić konkretną pracę domową. Co do kwestii wodnej… – Wzruszył ramionami. – Sami się przekonajcie. Mam parę zapasowych delfinokształtnych mannych.

Podrzucił nam dwa adresy i zniknął. Poszedłem za nim i stwierdziłem, że leżę na brzuchu na platformie, w ciemnym pokoju. Zaraz, nie, to nie jest ciemny pokój, to jest pod wodą. Przejrzałem paletę możliwych akcji i zobaczyłem, że jesteśmy jakieś trzy metry pod powierzchnią, na skraju czegoś, co prawdopodobnie było jednym z posejdonowych dywanów roślinnych. Zapewne Moody Port, kiedyś większa kolonia na Dywanie Wschodnioindyjskim. Teraz, gdy wszyscy przeprowadzili się do latających miast, był używany wyłącznie do upraw ziemnych i wodnych.

Po mojej lewej stronie poruszały się dwa inne delfiny. Szybki impuls zidentyfikował Bridget dalej i Marcusa bliżej.

System pomocy na moim HUD-zie podpowiedział, że delfiny wykorzystują pęcherz pławny do sterowania pływalnością. Napiąłem się i poczułem, że unoszę się z platformy. Szybkie machnięcie ogonem i już sunąłem przez wodę.

Pierwszy Bob nie był za dobrym pływakiem, uważał, że woda jest dobra w wannie, ewentualnie, w ekstremalnych sytuacjach, w jacuzzi. To było jednak co innego, bardziej przypominało latanie. Największą różnicę robił całkowity brak lęku przed utonięciem. Oczywiście w mannym oddychanie i tak nie było żadnym problemem, ale delfiny z Posejdona były tak naprawdę rybami, więc wchłaniały tlen z wody czymś w rodzaju skrzeli. Co ciekawe, gdy unosiły się na powierzchni, potrafiły także absorbować tlen z powietrza, przepompowując je powoli przez pęcherz pławny. Zatem wstrzymywanie oddechu nie było żadnym problemem. Same zalety obu światów. Podobieństwo do ziemskich delfinów było jednak niesamowite. Wypukłe głowy i spiczaste paszcze – można się było nabrać, o ile nie zwróciło się uwagi na pionową płetwę ogonową.

Bridget wystrzeliła koło mnie, potem stopniowo się zatrzymała. Skręciła i powtórzyła operację. Marcus szturchnął mnie nosem i odezwał się na interkomie:

– Bardzo jest metodyczna. Po kolei sprawdza poszczególne manewry.

– Ty to jeszcze nic nie widziałeś.

– Ej – powiedziała Bridget. – Ja tu pływam.

– Jedno stado ciągle się tu kręci z uwagi na odpady z upraw. Może przyłączymy się do nich na trochę i zobaczycie, jak to jest pływać z tubylcami? –

Marcus odpłynął.

Spojrzałem na Bridget i skręciliśmy za nim.

Przez następne kilka minut Marcus stopniowo przyśpieszał. W pewnym momencie miałem z tym trochę kłopot, coś w stylu jak wtedy, gdy z truchtu przechodzisz w sprint i nie możesz wczuć się w nowy rytm. Opanowałem to jednak, przestając to kontrolować i pozwalając układom autonomicznym przejąć stery. I już bez problemu za nim nadążałem.

– Lecimy prawie na maksa jak na delfina – powiedział. – Zanim dotrzemy do stada, trzeba będzie zwolnić, bo jeszcze pomyślą, że przed czymś uciekamy. Nie chcemy zrobić afery.

– To jest coś, czego nie ogarniają układy autonomiczne, prawda? – zapytała Bridget.

– Prawda. Pewne rzeczy wychodzą tylko w praktyce – odpowiedział Marcus. – A jak wam się pływa?

– Świetnie, dzięki. Człowiek w ogóle się tym przestaje przejmować. Układy manny'ego bardzo sprawnie naśladują naturalne odruchy.

Marcus nie odpowiedział, ale zrobił zamaszystą beczkę. Sam zrobiłem to samo, ale okazało się, że przestrzeliłem i muszę zrobić kolejną. Tu też pewne rzeczy wymagały praktyki.

Marcus zwolnił i zaczął płynąć jakby po krzywej. Zapewne zbliżaliśmy się do stada i nie chciał szarżować prosto na nie. Rzeczywiście, nawet przy mniejszej prędkości mogło to zostać odebrane jak zagrożenie.

W ciągu minuty podpłynęliśmy do stadka miejscowych delfinów. Piętnaście osobników, w tym trzy młode, płynęło sobie powoli, łapiąc mniejsze stworzenia pływające i resztki roślin lub zwierząt. Nie wyglądały na specjalnie wybredne. Pewnie w tym globalnym oceanie większość rzeczy była jadalna.

Z drugiej strony miałem kiedyś psa, który regularnie zżerał psie kupy, więc kto wie?

Dorosłe osobniki zaczęły nas okrążać, na szczęście bardziej z zaciekawieniem niż agresywnie. Wydawały dźwięki, które mój tłumacz przełożył jako: „Co?", „Kto?", „Swój?", „Kolega Marcusa?". Interesujące było to ostatnie. Najwyraźniej ich język pozwalał na oznaczanie osobników, a translator przełożył to na imię Marcusa.

Marcus powiedział:

– Swoi. Koledzy Marcusa.

Najwyraźniej to wystarczyło. Stadko jeszcze raz nas okrążyło i wróciło do żerowania. Jedno z młodych podpłynęło, szturchnęło Bridget i wróciło do swojej matki. Jeden z młodych.

– To było słodkie – powiedziałem.

– No nie wiem – odparł Marcus. – Wchodzi w dojrzałość. Chyba łypał na twoją żonę.

– Jak tak, to już jest sushi.

Bridget zaśmiała się, zrobiła szybką beczkę, wyskoczyła w powietrze, opadając z pluśnięciem. To jakby nakręciło całą grupkę – zaraz wszyscy zaczęli skakać i chlapać.

Zabawa trwała może z dziesięć minut, po czym wszyscy zaczęliśmy unosić się na powierzchni, przepuszczając powietrze przez pęcherz. Potem wróciliśmy do żerowania.

– Nieźle sobie żyją – stwierdziłem. – Chociaż może się znudzić po jakimś czasie.

– Howard, duże drapieżniki przeważnie unikają dywanów. Dość jasno pokazaliśmy, co myślimy o napadaniu na nasze farmy, i dotarło do nich. Jak chcesz więcej emocji, popływaj sobie milę od dywanu. Krakeny nie odróżniają prawdziwego delfina od manny'ego i mogę ci powiedzieć z autopsji, że pożarcie jest mało fajne.

– Dziękuję, postoję. Są pewne granice tego, co mogę zrobić dla dobra nauki.

– Rozumiem, że prowadzisz tu jakby program szkoleniowy? – zapytała Bridget, zmieniając temat.

– Bardziej selekcję. Delfiny, które są lepsze w komunikacji i lepiej rozumieją, dostają przysmak. Lepiej odżywione delfiny mają więcej zdrowszego potomstwa. Rozumiecie, do czego zmierzam?

– Hodujesz je na inteligencję.

Marcus zrobił kolejną beczkę.

– Rozwijam. Nieinwazyjnymi środkami.

Złapałem się na tym, że jestem jednocześnie zafascynowany i trochę wstrząśnięty.

– Rozmawiałeś z kimś o tym?

– Trochę. Ludzie przeważnie nie mają problemu. Delfiny to ani zagrożenie, ani konkurencja, w sumie myślę, że to może raczej się im przysłużyć. Poza tym, Howard, z historii wiadomo, że obywatele Posejdona słabo tolerują centralną władzę.

– No nie mów. – Marcus był kluczową siłą w obaleniu wcześniejszych totalitarnych władz. Teraz obowiązywało coś w rodzaju niezależnych państw-miast. Na mój gust wyglądało trochę za bardzo jak starożytna Grecja, ale się sprawdzało.

– Chłopaki? Coś dziwnie się to stado zachowuje – odezwała się Bridget.

Odwróciliśmy się, słysząc jej słowa. Delfiny całkowicie się uspokoiły i tylko delikatnie poruszały ogonami w miejscu. Wyglądało też na to, że wszystkie

patrzą w dół.

Obróciłem się na tyle, by móc skierować w dół jedno oko. Pod nami, przez wodę powoli sunął lewiatan. Pamiętałem z lektur, że dorastają mniej więcej do rozmiarów Boeinga 747. Ten wydawał się sporo większy, ale może to były tylko nerwy.

– Mówiłeś chyba, że trzymają się z daleka od dywanów?

– Z grubsza tak. Ten wyrobił sobie jakieś złe nawyki. Puszczę wiadomość do Ochrony Strefy. Na razie róbmy to, co one, i nie przyciągajmy jego uwagi.

– Dobry plan.

Lewiatan, o kształcie zbliżonym do mątwy, miał cztery macki do chwytania zdobyczy pod wodą lub nad wodą. Podczas pierwszego roku na Posejdonie zabrały znaczną liczbę ludzi, nim koloniści nauczyli się je odstraszać.

Może tylko sobie tędy przepływał. Nie zmienił ani kierunku, ani prędkości i szybko rozpłynął się w głębinach. Delfiny zaczęły znowu pływać w koło, choć wydawały się jakby bardziej przygaszone niż przedtem.

– O, to było fajne – powiedziała Bridget.

***

Po kolejnej godzinie stwierdziła, że wystarczy. Wypiszczeliśmy pożegnanie i popłynęliśmy do Moody Portu. Zadokowanie mannych zajęło tylko chwilę i zaraz byliśmy z powrotem w VR-ce Marcusa.

– Masz wszystko, co potrzeba? – zapytał.

– Chyba tak – odpowiedziała Bridget. – Zauważyłam parę rzeczy, które trzeba uwzględnić w naszych badaniach, ale ogólnie rzecz biorąc, nie wydaje się, by wodny tryb życia był jakimś problemem. Skoro możemy się przystosować do udawania delfinów, to chyba tym bardziej do przerośniętych bobrów.

– Ty planujesz dłużej popracować nad tymi delfinami? – zapytałem.

Marcus kiwnął głową.

– Chyba znalazłem coś dla siebie. Zauważyłem, że Bobowie generalnie ciążą do jakiegoś zajęcia i potem się go trzymają. Tak jak ta grupa, która próbuje zaprojektować i wyhodować inteligentny latający gatunek na Newholme.

– Wow, o tym w ogóle nie słyszałem. – Pokręciłem głową z uśmiechem. – No dobra, póki komuś nie wpadnie do głowy wyhodować Przedwiecznych Bogów, to chyba nie ma problemu.

– Wtedy szlag trafiłby cały twój humanizm, co? – Bridget wstała. – Trzeba iść. Dzięki za pomoc, Marcus. Lovecraft, idziemy.

14. Narada wojenna
Bob, kwiecień 2334, wirt

Dzisiaj miałem u siebie jeszcze więcej ludzi. Liderów zespołów wsparcia i członków ekspedycji. Bill, Will, Garfield, Bridget, Gandalf, Hugh i Locutus rozsiedli się, zgodnie z preferencjami, na fotelach z podnóżkami, uszakach i workach sako. Poddałem się, powiększyłem powierzchnię biblioteki i teraz dziwnie się czułem, widząc wszystko odrobinę dalej.

– Wszystko idzie w miarę dobrze – powiedziałem. – Na razie bez większych zacięć.

– Tego… – Locutus uniósł rękę.

Westchnąłem.

– Coś się wydarzyło, odkąd rano gadaliśmy? Jakieś problemy z budową mannych?

– Nic aż tak wielkiego. Po prostu przyszło mi coś do głowy. Musimy zrobić testy terenowe mannych, ale nie mamy tego terenu.

– O niech mnie – burknął Garfield.

Wyszczerzyłem się do niego.

– Zawsze znajdzie się jakiś wredny drobiazg, nie? – Rozejrzałem się po grupie. – Rozumiem, Parowy Borg dysponuje gotowymi mannymi, ale nie ma jak przetestować ich w realistycznym środowisku. Wcześniej zawsze mieliśmy planetę do testów. Jeśli coś nie działało, zabieraliśmy, przerabialiśmy i wypuszczaliśmy na nowo. A tutaj, jak raz je przemycimy do środka habitatu, to już koniec.

– Możemy wykorzystać macierzystą planetę Quinlan – zasugerował Garfield.

– Absolutnie nie – zaprotestowała Bridget. – Nie wiemy o wszystkim, czego tam użyto. Możemy ją nazywać Quin? – Wszyscy kiwnęliśmy głowami, a ona mówiła dalej: – Quinlanie mieli jakiś konflikt albo wiele konfliktów, które skończyły się wybiciem wszystkiego na całej planecie. Oczywiste są atomówki i bombardowanie z orbity, bo zostają ślady, ale co, jeśli użyli także broni biologicznej? Wyobraźcie sobie, że coś na mannych przenosimy do Niebiańskiej Rzeki. Z definicji będzie zjadliwe i trudne do usunięcia.

– Oj. Masz rację. – Garfield usiadł zawstydzony.

– Ale nie możemy sobie pozwolić na nieprzetestowanie ich – stwierdził Bill. – Może to nie będzie najlepsze, ale chociaż sprawdzimy samą konstrukcję. Wyślemy jednego czy dwa na Quin i potem tam zostawimy. Trochę to nas opóźni, trzeba będzie wyfabrykować dodatkowe egzemplarze, ale druga partia i tak pójdzie o wiele szybciej. A jeśli znajdziemy problem, poprawimy wszystkie od razu.

Locutus zapalił się do pomysłu.

– Możemy wysłać z nimi sprzęt naprawczy, nawet małą drukarkę i od razu na planecie robić poprawki. Tym sposobem zawsze będziemy testować najnowszą wersję.

Wszyscy spojrzeliśmy po sobie zadowoleni. Znakomite rozwiązanie. Dodatkowa korzyść – może nam odpowiedzieć na parę pytań dotyczących quinlańskiej historii.

– Świetnie – zwróciłem się do Gandalfa. – A jak z przedostaniem się do środka?

Nadął policzki.

– Mam dobrą i złą wiadomość.

– Super – burknął Garfield.

– Dobra wiadomość: mamy plan. Zła: jest w nim duże ryzyko, nie tylko zdemaskowania, ale także zmielenia na miazgę.

– Jeszcze lepiej. – Garfield rozparł się w fotelu i splótł ramiona, wyraźnie oburzony.

– Nie możemy włączać Systemu Przeniesienia Momentu. To pewnik. Nie da się tego zrobić bez zaalarmowania miejscowej władzy. Jest za mocno wpięty w ich układy sterowania.

– Niespecjalnie zaskakujące – powiedział Bill. – Macie alternatywę.

– Tak, ale się wam nie spodoba.

– Już mi się nie podoba.

Gandalf błysnął uśmiechem.

– Pojemniki na urobek w naszych dronach wydobywczych są w sam raz na jednego quinlańskiego manny’ego…

– No nie. Nie ma mowy! – przerwał Garfield. – Nie mówisz chyba poważnie.

– Niestety mówię. Przewieziemy mannych tak samo jak wcześniej drony szpiegowskie, tylko że po jednym, jak już mówiłem. Są i pozytywy – nie będziecie ryzykować wszyscy naraz. Zmniejsza to szansę straty całej ekspedycji…

– A zwiększa szansę straty jednego członka – znów przerwał Garfield. – Nie podoba mi się to.

– Nikomu się nie podoba, ale nie udało nam się wymyślić niczego, co byłoby pozbawione jakiegokolwiek ryzyka. Rozumiem, że wykrycie przez władze topopolis nie wchodzi w grę? – Potwierdziły to skinięcia głów wokół stołu. – To z definicji ryzyko utraty sprzętu jest mniej krytyczne. Zbadaliśmy wiele alternatyw i ta jest najmniej ryzykowna.

– A jakie jest ryzyko uszkodzenia samego topopolis, jeśli coś spieprzymy? – zapytałem.

– Pomijalne – odpowiedział Bill, uprzedzając Gandalfa. – Pomyśl tylko o masach względnych. Kiedy biegasz i zderzysz się z komarem, jakie masz obrażenia?

– Nienawidzę komarów.

– Jak wszyscy, do dwudziestego pokolenia włącznie – stwierdził Bill. – I to się pewnie nigdy nie zmieni, bo komary nie mają żadnych pozytywnych cech. Ale wracając: dron i manny walnęłyby w wewnętrzną powierzchnię zewnętrznej powłoki, zostawiając mały kraterek i tyle. A wewnętrzny walec jest twardy. Musi być.

– Mierzyłeś?

– Zrekonstruowaliśmy ten materiał ze skanów. Naprawdę pomysłowy laminat. Prawie pięćdziesiąt procent mocniejszy, na jednostkę masy, niż materiał naszych kadłubów. A on jest konkretnie mocny.

– Hmm. No dobra. – Zastanowiłem się. – A możemy wziąć zapasowego manny'ego?

– Ekspedycja musi być we czworo – powiedziała Bridget. – To jest najbardziej typowa grupa młodych Quinlan wybierających się na „grand tour".

– No, tego to trochę nie rozumiem – odezwał się Will. – Grand tour?

– To nie jest dobre określenie, ale najbliższe pojęcie u ludzi. Młodzi Quinlanie, którzy dopiero osiągnęli dorosłość, często opuszczają rodzinne miasto, zwykle we czwórkę, co nazywa się „grand tour". Chcą zobaczyć świat i być może osiedlić się w nowym miejscu. Mogą założyć nowe miasto albo osiedlić się w już istniejącym. Moja hipoteza brzmi: to wyewoluowało, żeby pula genetyczna była urozmaicona. Przeważnie robią to samce, chociaż samice trafiają się na tyle często, że nikt się nie zdziwi, jeśli w grupie będzie jedna.

– Czyli nikt nie będzie dziwnie patrzył na jedną samicę z trzema samcami?

Bridget łypnęła na Garfielda drwiąco.

– Quinlanki są nieco większe od samców i mają takie same zęby i pazury, więc niechciane umizgi dobrze się nie kończą. Zresztą u nich gody są sezonowe, więc przez większość czasu to nie jest zagadnienie.

– Rozumiem. Ale może jednak miejmy przygotowanego piątego manny'ego, na wypadek gdyby któryś z czterech uległ zniszczeniu?

– Dobra, Bob. – Bridget wzruszyła ramionami. – Jak mówi Howard, paranoi nigdy za wiele.

– Świetnie. Teraz ty, Hugh. Język, kultura?

– Jakiś postęp był, ale bez większych rewelacji. Poziom zrozumienia języka jest na tyle dobry, żeby nie budzić podejrzeń. Są różnice regionalne, kolokwializmów też jeszcze trochę mało skatalogowaliśmy, ale dzięki tym grand tourom pewnie to się wyrównuje. Prawdopodobnie będziecie w stanie rozumieć miejscowych. Na pewno znajdzie się coś, czego nie podłapaliśmy. Okaże się na miejscu.

Gandalf zamachał ręką.

– Coś jeszcze? – zapytałem.

– Tak. Nie będziemy wchodzić przez dok towarowy. Wykopiemy sobie tunel.

– Jak już rozmawialiśmy. Wydaje się rozsądne, skoro manny jest większy od drona szpiegowskiego. Czemu do tego wracasz?

– Bo… to kopanie trzeba już zaczynać.

– A. Czyli potrzebujesz na cito robotów wiercących i szopów.

– No.

Pokręciłem głową.

– Moja lista zadań. Normalnie się pali.

15. Testy funkcjonalne
Bob, maj 2334, Quin

Dron towarowy ostrożnie osiadł na bardzo zdechłym trawniku. Czy też florze trawnikopodobnej. Obojętne, co to była za roślina, Quinlanie używali jej jako odpowiednika trawy. Zerknąłem w bok na manny'ego Bridget, co ułatwiały bardzo ruchliwe i niezależne quinlańskie oczy. Ludzki mózg miał duży problem z powstającym podwójnym obrazem – musiałem dojść, jak zwracać uwagę tylko na jedno oko, ignorując drugie. Było to coś, co Quinlanie robią często i rutynowo – pewnie rzucałoby się w oczy, gdyby nasza grupa tego nie robiła. Jakby na przykład istniał człowiek, który nigdy nie rusza oczyma, tylko kręci głową.

Bridget odwróciła się i uśmiechnęła się do mnie, gdy drzwi ładowni zaczęły się otwierać. Tak dokładnie to wykonała ruch tarcia dziobem, co było quinlańskim odpowiednikiem. Od moich czasów na Edenie standardową procedurą było tłumaczenie ludzkich gestów na tubylcze odpowiedniki, żeby nie trzeba się było przejmować ich poprawnością. Z językiem było podobnie – mówiliśmy i słyszeliśmy angielski, włączając kolokwializmy. System operacyjny dobierał także angielskie odpowiedniki miejscowych nazw własnych i pamiętał słownik tych podstawień.

Wrota skończyły się otwierać i wyszliśmy na powierzchnię Quina. Bridget powoli i chyba niepotrzebnie okręciła się o trzysta sześćdziesiąt stopni, uważnie lustrując otoczenie.

– Widocznych szkód tu nie widać. Wszelkie ofiary musiały umrzeć od mniej oczywistych metod, zapewne promieniowania albo broni biologicznej. Nie wiem, czy będzie coś do zsekcjonowania. – Zerknęła na drona nad swoim ramieniem. Trochę zwiadowca, a trochę zwierzę juczne, miał w małej ładowni jej narzędzia medyczne.

Miasto, bo było to miasto, stało na brzegu wielkiej, powoli płynącej rzeki. Zamiast labiryntu ulic przecinały je kanały. Infrastruktura była tak zaprojektowana, by nurt rzeki wymieniał wodę w kanałach, ale powodując tylko nieznaczny prąd. Znaczyło to, że projekt oparty na kątach prostych nie

sprawdziłby się. Przyjęto coś jakby nieco zaokrąglone romby, z dłuższą przekątną w kierunku z prądem. Nawet gdyby plan nie różnił się niczym innym, już byłby elegantszy i mniej utylitarny niż typowe amerykańskie miasto.

Dodatkowo jednak Quinlanie lubili ozdoby dla samego piękna. Budynki rzadko były prostymi kostkami. Widzieliśmy tarasy na podporach, kładki pomiędzy budynkami, nawet budowle z celowymi otworami w środku, jak „smocze bramy" w wieżowcach Hongkongu. Chociaż wątpliwe, żeby tu chodziło o feng shui.

A okna… Quinlanie dobierali ich rozmieszczenie i kolory tak, że ściana każdego budynku była dziełem sztuki, jak olbrzymi witrażowy mural.

– Sztukę to ci goście kochali – powiedziałem ściszonym głosem.

– Jeszcze jak.

Przeszliśmy obok jednego budynku i mimowolnie się zaśmiałem. Fasada wokół wejścia była rzeźbiona w jakby baśniowe sceny. Chyba że rzeczywiście był tu gatunek olbrzymiego gryzonia z aż tak wielką paszczą… Nie byłem przekonany, czy pokazywałbym to własnym dzieciom. Potem jednak przypomniałem sobie, że kiedyś ludzie czytali własnym dzieciom baśnie braci Grimm.

Poszliśmy ścieżką wzdłuż kanału. W paru miejscach widać było na wpół zatopione łodzie i barki. Bardzo możliwe, że Quinlanie używali rzek jak ludzie dróg. Zastanowiłem się machinalnie, jak wyglądała godzina szczytu. Mieli komunikację miejską? W ogóle może powstać taka idea, kiedy umiesz pływać jak wydra?

Mijane budynki były wielopiętrowe, ale nie w skali monstrualnych wieżowców z ziemskich miast. Nie było widać niczego powyżej pięciu pięter. Może nie lubili wysokości. A może po prostu nie widzieli sensu.

Jednakże najbardziej rzucały się w oczy rozmiary powierzchni poświęconej na zieleń. Przed każdym budynkiem znajdował się taras, a wzdłuż jednej lub obu stron większości kanałów biegły zadrzewione ścieżki. Teraz wszystko było brązowe i uschnięte. Ale musiało być piękne… przedtem.

W końcu zawróciliśmy i ruszyliśmy do budynku, na którego trawniku wylądowaliśmy. Wybraliśmy go celowo po obserwacjach z powietrza jako najbardziej prawdopodobną siedzibę jakichś władz. Miało urzędowy klimat – to ewidentnie ponadgatunkowa rzecz. Połączenie zadęcia i braku artystycznej jakości, a może indywidualizmu. Zresztą… może za dużo myślę.

Dostanie się do środka nie byłoby w żadnym razie problemem dla androidzkich mięśni ani palników plazmowych szopów, lecz na szczęście drzwi frontowe nie były zamknięte. Rozejrzeliśmy się po dużym holu i zauważyliśmy listę instytucji czy wydziałów.

– Hmm, zdecydowanie coś rządowego – powiedziałem, patrząc na tablicę, podczas gdy HUD wyświetlał tłumaczenia.

Koncesje, statystyka, podatki, wszystkie te standardowe rzeczy, które plenią się w każdej cywilizacji.

– Najbardziej interesują mnie zwłoki. Służby Ratownicze – to brzmi jak coś, co mogło być obsadzone do samego końca. Trzecie piętro.

Bridget wskazała solidnie wyglądające drzwi koło wind. Sprawdziliśmy i te oczywiście były zamknięte na klucz.

– Jeśli tam są schody, a wygląda, że tak, to… rrrraz! – zawołałem.

Gdy je popchnęliśmy, drzwi wygięły się i zeskoczyły z zawiasów – pamiętajmy, androidzkie mięśnie – ukazując schody w górę i w dół.

– Tak jest. I zamknięte na parterze, dokładnie jak na Ziemi. Można zakładać podobny poziom braku zaufania w quinlańskim społeczeństwie.

Weszliśmy po trzech biegach schodów, ich nachylenie i stopnie wyglądały dziwnie, ale były idealnie naturalne, kiedy opadłem na cztery łapy. Tak jak Pawonisi, Quinlanie woleli stać na tylnych łapach, ale gdy do pokonania była większa odległość, opadali na cztery. Oglądając wideo i obserwując ich ruchy, nie mogłem wyprzeć z mózgu obrazu grubej rzecznej wydry.

Dotarliśmy na trzecie piętro i ruszyliśmy korytarzem, badając drzwi i tabliczki. System manny’ego nie robił automatycznego tłumaczenia tekstów pisanych, ale można je sobie było na żądanie wyświetlić na HUD-zie.

Zaraz znaleźliśmy biuro Służb Ratowniczych. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Zapewne panował tu ruch aż do końca.

Oświetlenie oczywiście nie działało, ale quinlańskie oczy miały dość spory zakres czułości, by działać pod wodą i na powierzchni. Nasze androidzkie oczy były jeszcze lepsze i obejmowały pasmo widzialne ze sporym zapasem po obu stronach.

– Jest – sapnęła Bridget i weszła pomiędzy biurka.

Za jednym siedział samotny, zasuszony trup, z głową wspartą na rękach, jakby po prostu zasnął w pracy i nigdy się nie obudził. Oby to było rzeczywiście tak spokojne.

Bridget kiwnęła na drona, który przez cały czas za nami leciał. Podpłynął do blatu biurka i otworzył drzwiczki ładowni. Bridget sięgnęła do środka i zaczęła wyjmować sprzęt.

– Popatrzysz?

– Eee… ten… muszę coś innego zrobić… tam – wyjąkałem głupio i wycofałem się z godnością w strzępach.

Na Edenie widziałem swoje, jeśli chodzi o przemoc i śmierć, ale jakimś sposobem kliniczna metodyczność sekcji zwłok była na zupełnie innym

poziomie „błe”. Manny nie zrzygałby się, ale i tak zapewniał mi reakcję stosowną dla dowolnego człowieka niebędącego lekarzem.

Usłyszałem, jak zaczyna mruczeć do siebie, pewnie dyktując notatki. Skoro tak, może się na coś przydam gdzie indziej. Obejrzałem biuro, starając się przybrać perspektywę antropologa.

Biurka wyglądały jak biurka. Ile jest sposobów na zbudowanie poziomej powierzchni do pracy? Fotele były kubełkowe i bez oparć, by pomieścić quinlański tyłek i ogon. Na każdym biurku stało coś, co musiało być telefonem, włączając słuchawkę. Fizycznych przycisków nie było, jedynie czarna płytka, zapewne ekran dotykowy.

Zacząłem na chybił trafił otwierać szuflady. Przeważały papier, przybory do pisania i akcesoria biurowe. W paru trafiły się skamieliny przekąsek. Wyłączyłem zmysł węchu, choć po takim czasie mało prawdopodobne, by pozostał jakiś zapach.

Uderzyło mnie, że całe wnętrze budynku było zadziwiająco suche. Kiedy jeszcze żyłem, oglądałem serial Life After People i tam w kółko powtarzano, że po zniknięciu ludzi wszystko bardzo szybko ulegnie erozji. Tutaj jednak wszystko wydawało się na oko w dobrym stanie. Solidniejsza konstrukcja? Łagodniejsza pogoda? A może całkowity brak owadów, grzybów, pleśni i tak dalej? Nie mogłem porównywać tego ze skanami Mario z planety pierwszej ofiary Innych, bo Inni większość konstrukcji niszczyli, żeby wydobyć zbrojenia i inne metalowe elementy.

Postukałem w szybę. To nie było szkło. Może przezroczyste aluminium czy co podobnego. Jeden z powodów braku zepsucia. Wybite szyby stanowiły pierwszą drogę wejścia dla dzikiej przyrody.

Wędrowałem dalej, a głos Bridget rejestrował spostrzeżenia. Wróciłem myślami do nieustającej dyskusji z Billem o tym, jak myślą i zachowują się obcy. Oczywiście istota czysto energetyczna albo krzemowa będzie miała inny pogląd na życie, ale stworzenie lądowe znające pojęcie indywidualności może postępować tylko na parę sposobów. Biurka to płaska powierzchnia do pracy. Telefony – urządzenia do komunikowania się z innymi na odległość. Drzwi oddzielają pomieszczenia, lampy je oświetlają. Ludzie, czy nieludzie, potrzebują miejsca do jedzenia i miejsca do pozbywania się odchodów.

Parsknąłem. Może rasa wywodząca się od koni miałaby inny pogląd w tej ostatniej kwestii. Albo od krów. Zerknąłem w dół, szukając krowich placków lub czegoś podobnego. Nic.

– Bob, skończyłam! – otrzymałem wiadomość od Bridget.

Pośpieszyłem tam, gdzie ją zostawiłem. Już pakowała narzędzia. Na blacie leżał… szybko odwróciłem wzrok. Lepiej nie. Zakonotowałem sobie, żeby w jej

końcowym raporcie patrzeć tylko na tekst.

Dostrzegła moją reakcję i się uśmiechnęła.

– Nie znalazłam niczego niespodziewanego. Głębokie skany SUDDAR-em naprawdę dokładnie powykrywały wszystko, co istotne. Ale w tkankach są ślady dużego zakażenia wirusami. Zrobiłam dokładne skany i posłałam do Skippies. Podobno jeśli mają dość szczegółów komórek i DNA, mogą puścić symulację i dowiemy się, co to było.

– Ile to zajmie?

– Mówią, że dzień-dwa.

– Super. Tymczasem znaleźliśmy dobre miejsce, gdzie można zaparkować drona transportowego, kiedy nikt nie kieruje mannymi. Chyba że chcesz sprawdzić jeszcze inne miejsca?

Bridget pokręciła głową.

– Nie, do większości rzeczy wystarczy optyka i SUDDAR. Skippies krążą wokół planety dronami, opracowali takie specjalne trasy. Chcą szczegółowo zmapować całą infrastrukturę planety i zrobić wirtualny globus.

– Mają rozmach, sukinsyny.

– Ale ograniczają się do czysto intelektualnych zabiegów. Celowo unikają wszystkiego, co wymaga kontaktu z bio. Albo nawet, w mniejszym stopniu, z bobami. Dużo rozmawiałam z Hugh, kiedy ustalaliśmy szczegóły analizy wyników naszej ekspedycji. Miły typ, nie żaden palant czy coś, ale taki jakby… rozkojarzony czy obojętny. Jakby przez nas nie mógł grać w swoje gry, ale był zbyt kulturalny, by o tym powiedzieć.

Westchnąłem i kiwnąłem głową.

– No, Bridge, nie jesteś pierwszą osobą, która to mówi. Żyjemy we wszechświecie, który jest coraz mniej Bobowy.

Przyszła wiadomość od Billa.

Powinniście przetestować je w wodzie.

No tak. Racja. Nagłówek wskazywał, że Bridget też to dostała. Zrobiła nieokreślony gest w przestrzeń.

– To co, wskoczymy sobie do kanału?

***

Spojrzeliśmy w dół, na wodę. Zważywszy, jak wyglądała reszta miasta, byłem przekonany, że i ona była kiedyś utrzymywana w czystości. Teraz miała na powierzchni oleistą warstewkę i o wiele za dużo pływających przedmiotów, chociaż w sumie nie były to śmieci jako takie. Do testu jednak się nada, zresztą

przecież i tak niczym nie możemy się zarazić. Wyszczerzyłem zęby do Bridget, rzuciłem:

– Kto ostatni, ten… – I zanurkowałem.

Usłyszałem pluśnięcie za sobą. Pole widzenia zafalowało, gdy migotki zakryły oczy, dostosowując je do innego współczynnika załamania. Przy takim stanie wody i tak zadziwiająco dobrze widziałem.

I co za wolność! System operacyjny manny'ego pilnował ruchów i odruchów, tak, że czułem, że pływam jak wydra, śmigając ruchem falistym przez wodę. Jakiś kształt przemknął obok mnie i klepnął mnie po głowie. Pojąłem, że Bridget właśnie rzuciła mi wyzwanie.

Przyśpieszyłem za nią, skręciła pod kątem prostym i zanurkowała pionowo w dół. Opłynęła zatopioną łódź i gwałtownie zawróciła, przelatując obok mnie w przeciwnym kierunku.

Prawie, ale niestety. Dotknąłem łapą jej ogona, lekko, ale na berka wystarczyło. Obróciła się i zaczęła mnie gonić.

Parę razy wynurzyliśmy się, by nabrać powietrza, mimo że manny tego tak naprawdę nie potrzebował. Androidy były skonstruowane tak, by realistycznie naśladować prawdziwych Quinlan, włączając wewnętrzny kalkulator śledzący, kiedy powinno nam brakować tlenu. Mogliśmy to zignorować, ale w quinlańskim towarzystwie to by na pewno zwróciło niepożądaną uwagę.

W końcu Bridget wystrzeliła z wody i wylądowała na nogach parę metrów od brzegu kanału, w idealnym pingwinim wyskoku. Poszedłem w jej ślady. Przy lądowaniu lekko się zachwiałem.

– Bob potknął się przy lądowaniu! – wykrzyknęła. – Minus pół punktu za styl!

– Pół punktu? Rozbój w biały dzień! – odpowiedziałem ze śmiechem.

Oboje jednocześnie usiedliśmy, zwijając się w kłębki na martwej nietrawie.

– Fantastyczne to było – powiedziała Bridget. – Prawie jak latanie. A może i lepsze. A ja poznałam latanie!

– Prawda! Trochę się nalatałaś. Chyba jesteś rekordzistką w liczbie emulowanych gatunków, co?

Uśmiechnęła się.

– Nie, Howard chyba mnie bije o kilka. Musiałabym sprawdzić. Ale to jest mój pierwszy wodny. Znaczy dłuższa sesja. Bo test z delfinami na Posejdonie to była tylko, ten…

Łypnęła na mnie, wiedząc, co będzie. Ja z pokerową twarzą rzuciłem:

– Próba wody.

– To strasznie słabe, że ja już to przewiduję. – Zaczęła wylizywać sobie futro, ale gwałtownie przerwała. – Boże, co za syf.

– Ale to element ich osobowości – odparłem, sam powstrzymując chętkę wylizania się. – Może by to na razie wyłączyć i niech szopy serwisowe nas oczyszczą.

– Mnie pasuje. – Uniosła głowę.

Z nieba opadał dron transportowy. Osiadł na ziemi i wsiedliśmy do niego.

Uplasowałem się na wieszaku obok niej.

– No dobra. To zaparkujmy ten sprzęt i wracajmy.

***

Bill przesuwał wideo w okienku.

– Całkiem nieźle. Parę drobnych błędów, ale wszystko programowe. Według mnie android nadaje się do akcji. – Postukał w wideo. – Tylko jeszcze jedna kwestia: nie wiemy, jak one zniosą próżnię. Ten nowy układ krwionośny może zacząć się wygotowywać w niskim ciśnieniu. Albo pękać, jeszcze gorzej.

– Żaden problem – powiedziała Bridget. – Łatwo sprawdzić. Weź jednego na górę i otwórz drzwi ładowni. Tutaj skażenie nie będzie problemem.

– Jasne. – Bill zwrócił się do Garfielda: – Możesz się tym zająć?

– Tak, panie.

Bill prychnął.

– Jak wolisz, możemy zawołać Skippies do pomocy. Albo tych twoich kumpli Graczy.

– Nie, nie ma sprawy. Przynajmniej będę miał okazję poużywać androida.

– À propos – wtrąciła Bridget. – Will, jak chcesz poćwiczyć androida, to możesz na Quinie, jest cała planeta do zbadania i na pewno dużo da się odkryć.

Twarz Willa pojaśniała.

– Ooo, świetny pomysł. Już to robię.

– I przepłyń się! Jest fantastycznie – dodałem.

– A jak stoimy z socjologią? – zapytała Bridget.

– Skippies mówią, że z obecnego zbioru danych wyciągnęli wszystko, co się da. Teraz rozpraszają drony po większym obszarze, ale pewnie zwrot z inwestycji będzie coraz mniejszy. Niektórych rzeczy prostą obserwacją się nie dostrzeże. – Bill zamknął okienko. – Gracze wywiercili tunel wejściowy i poszerzyli wejście do holu do rozmiarów mannych. Nic nie wskazuje, żebyśmy zostali wykryci. Na razie.

– Pomyśl tylko – powiedział Will. – Półtora miliarda kilometrów megakonstrukcji. Ile kamer musiałbyś mieć, żeby wszystko pokryć? A na

sprzęcie mają przeważnie mechaniczne czujniki, to po co im to? Póki czegoś nie zepsujemy albo przypadkiem nie włączymy, jesteśmy kryci.

– Niczego nie psuć. – Uśmiechnąłem się. – Dobre motto. Na każde czasy.

– Coś jeszcze nam zostało? Poza próżniową próbą Garfielda?

– Właściwie nie. To, i możemy jechać z produkcyjnymi modelami. Ktoś chce wygłosić mowę?

– Nienawidzimy mów – powiedział Garfield.

– No to by było tyle.

16. Odwody ludzkich replikantów
Will, maj 2334, wirt, Wolkańska Postbiologiczna Arkologia

Stałem pod wirtualnymi drzwiami niejakiego profesora Stevena Gilligana, kiedyś dziekana na Uniwersytecie Przyczółkowym na Wolkanie, mającego przed nazwiskiem taką liczbę skrótów, że mogłyby zadławić konia.

Profesor Gilligan był za życia ekspertem od wielu rzeczy, dla mnie i Boba było jednak najważniejsze, że specjalizował się w sztucznych środowiskach.

A mnie osobiście jeszcze bardziej interesowało, że po śmierci nadal wykładał na uczelni, chociaż tylko jako gościnny wykładowca. I robił to w mannym zrobionym dla niego na zamówienie. Czyli to już nie tylko my, Bobowie.

Na prośbę Boba poszukałem trochę materiałów i nazwisko profesora stale się w nich przewijało. W końcu dostałem zaproszenie na wizytę, do Wolkańskiej Postludzkiej Arkologii. Fizycznie mieściła się w dużej stacji orbitalnej w układzie Omikrona-2 Eridani, tuż poza Obłokiem Oorta. Miała obecnie około dwustu mieszkańców, przeważnie bogatych i znanych ludzi, którzy nie mieli ochoty czekać na postęp medycyny.

Złapałem się na tym, że czuję się niespodziewanie nieswojo. Tyle czasu żyłem w realu, w mannym, że wirt stał się dla mnie obcy. A jednocześnie byłem poza ludzkim społeczeństwem dość długo i zauważalnie nie nadążałem. Postanowiłem się nad tym dobrze zastanowić, kiedy będę miał trochę czasu.

Otworzyły się drzwi, profesor Gilligan się rozpromienił. Był niski, łysawy i drobnej budowy, co mnie zdziwiło, bo w wircie mógł przecież wyglądać, jak chce.

– Pan Riker. Czy Johansson? Zapraszam.

Zaśmiałem się w odpowiedzi.

– Ciągle na to trafiam. Jako jedyny Bob, który wziął sobie nazwisko za pseudonim, trochę naruszyłem konwencję. Reaguję na dowolne z nich albo po prostu na Will.

– Mnie możesz mówić Steven. Siadaj, proszę. – Machnął ręką w kierunku salonu, z dużym oknem z widokiem na obraz pierścieniowego habitatu. Jak w większości osobistych VR-ek scenografia była komfortowa i przestronna, ale nie ostentacyjna. Wyrafinowane dekoracje i przepych traciły cały efekt, kiedy były darmowe i na skinienie dłoni.

Siadając, wskazałem ten widok.

– Pierścień Nivena?

– Tak dokładnie to pierścień Bishopa. Na tym obrazie ma mieć trzy tysiące kilometrów średnicy i sto sześćdziesiąt kilometrów szerokości. Ponad półtora miliona kilometrów kwadratowych pierwszorzędnych działek pod zabudowę.

– Ale to jest nadal teoretyczne.

Steven wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Technicznie to jest tylko problem inżynieryjny, ale prawdziwe przeszkody zawsze były ekonomiczne i polityczne. Kiedy zasiedlasz nowy układ, masz do wyboru: albo tkwić w statku przez dziesiątki lat, póki megakonstrukcja się nie wybuduje, albo możesz właściwie od razu zasiedlać nadające się planety. Ta druga opcja zawsze wygrywa.

– Bo to nie jest tylko inżynieryjny problem, prawda? – powiedziałem.

– Jest o tyle, że mamy technologie niezbędne, by to zbudować. Tylko nie mamy wiedzy. Na przykład nikomu się jeszcze nie udało, przynajmniej w projektach badawczych, utrzymać działającego zamkniętego ekosystemu dłużej niż rok.

– A awaria ekosystemu w megakonstrukcji byłaby… – Wyszczerzyłem się do niego. – Mało optymalna.

Parsknął śmiechem.

– Utrzymanie ekosystemu nie będzie proste. Nie możesz mieć skorupy skalnej, wód podskórnych czy choćby głębokiej warstwy gleby. Przynajmniej bez poważnych inżynierskich interwencji. Czyli musisz pompować wodę do źródeł strumieni i nieustająco przenosić glebę pod górę w miarę jej wymywania. Drzewa muszą mieć płytkie korzenie. Zwierzęta zamieszkujące nory i jaskinie nie mają za dobrze. W praktyce to jest wybieg w zoo – zaprojektowany, by wyglądać naturalnie, ale jednak zaprojektowany.

– A co, jeśli to jest wystarczająco duże, żeby mieć pogodę? – zapytałem. – To by się chyba sprawdziło, przynajmniej w kwestii zaopatrzenia w wodę?

Powoli kiwnął głową.

– Tak, ale problem z erozją jeszcze by się zwiększył. Tak jak mówiłem, Will, to wszystko teorie. Po badaniach i doświadczeniach może udałoby się dojść do czegoś kompromisowego, co najlepiej bilansowałoby masę całkowitą i stabilność ekologiczną. O to mi chodzi z tym brakiem wiedzy.

Przez chwilę podziwiałem pierścień Bishopa.

– Mimo wszystko… to pozwala zagospodarować każdy układ, jeśli tylko gwiazda jest w miarę kulturalna. I nikt nigdy nie zainteresował się budową czegoś takiego?

– O ile wiem, to nie. Dla mnie to prawie jak obraza – odpowiedział z chichotem. – Jak mówiłem, problemem są wszystkie konieczne zobowiązania polityczne i ekonomiczne. Ludzie mało kiedy potrafią się dogadać, żeby zbudować coś o takiej skali, przynajmniej od czasów piramid.

Zawierciłem się w fotelu.

– I dochodzimy do powodu mojej wizyty. Przez lata projektowałeś wiele megakonstrukcji, i jako materiał badawczy, i jako poważne propozycje. Ale projektowałeś kiedyś topopolis?

– Oczywiście. Ma kupę zalet jako megakonstrukcja. Praktycznie nieskończona powierzchnia, wystarczy po prostu je wydłużać; długość nie powoduje zwiększenia wymagań na wytrzymałość konstrukcji; mieszkańcy w ogóle nie potrzebują wychodzić na zewnątrz; no i jeśli ma odpowiednio dużą średnicę, praktycznie brak siły Coriolisa. I jeśli pierwotny projekt jest dobry, można je rozbudowywać w dowolnym momencie.

– Naprawdę? Rozciąć pętlę? Ale powietrze by uciekło?

– Po pierwsze, Will, to pętla w ogóle nie musi być zamknięta. Nie ma fizycznego powodu, żeby końce nie były luźne. Ta orbita i tak by nie była stabilna i trzeba mieć jakiś mechanizm korygowania jej. Po drugie, budowałbyś to segmentami o pewnej długości, z jakimiś przegrodami na końcach. Właściwie, jeśli segment już wiruje, ta przegroda nie musi nawet sięgać aż do środka. I tak się nic nie wyleje.

Skinąłem głową. Steven z niesamowitą dokładnością opisał Niebiańską Rzekę, nic o niej nie wiedząc.

– Super. Steven, a może mógłbym cię prosić, żebyś zerknął na parę skanów i skomentował?

Jego brwi powędrowały w górę. Wcześniej nie zdradzałem się za bardzo ze szczegółami, powiedziałem tylko, że chcę rozmawiać o megakonstrukcjach. Przyjął podsunięte pliki, zamienił je na papierowe analogi i zaczął wertować. Wymamrotał parę zdań, a potem wytrzeszczył oczy i zamilkł. Parę razy cofnął się do poprzednich kartek. Wreszcie przełączył widok na 3D. Przed nami zawisł diagram czterosegmentowego fragmentu Niebiańskiej Rzeki.

– O rany. Ktoś to zbudował? Kto?

– Nie ludzie. Jeszcze się dowiadujemy, kim są. O. – Wyciągnąłem obraz Quinlanina i zawiesiłem w przestrzeni obok diagramu.

– Rozmawialiście z nimi?

– Otwarcie nie. Mają taką przykrą skłonność, że strzelają pierwsi. Próbujemy na razie poobserwować, nie ujawniając się.

– Ale to nie są kolejni Inni?

– Nie, nic z tych rzeczy. Po prostu normalny poziom agresji.

Kiwnął głową i nachylił się nad schematem.

– I czego chcesz się dowiedzieć?

– Ograniczenia. Co mogą zrobić, czego nie mogą. Jaki układ wnętrza przyjąć. Jaką infrastrukturę. Szukamy kogoś w tej megakonstrukcji i przyda się każda informacja, która może nam trochę zawęzić poszukiwania.

Przyjrzał mi się i pokazał palcem coś na obrazie.

– O, tu widzę system komunikacyjny. Próżniowa jednoszynówka czy coś podobnego. To będzie ta twoja opcja transportu dalekobieżnego. Strasznie mi się podoba idea tej rzeki. Nurt oczywiście sztuczny, bo nie ma spadku. Pewnie można by podnieść jeden koniec w każdym segmencie i pompować wodę na górę, ale wtedy powstają problemy z topografią. Nawet jedna dziesiąta procenta nachylenia, przy takiej długości daje osiemset metrów przewyższenia w górze rzeki. A poza tym przemieszczanie takiej masy prosi się o problemy z momentem obrotowym. – Zawahał się, potem wskazał. – A w tych pustych górach co osiemset kilometrów pewnie jest cała infrastruktura i utrzymanie…

– Czekaj. Pustych? – Przyjrzałem się uważniej obrazowi. Nie było oczywiste, ale wyglądało na to, że we wnętrzu gór rzeczywiście jest pustka.

– Oczywiście, że pustych. Nie chciałbyś pełnych gór z prawdziwej skały. To byłoby wielkie obciążenie dla tego segmentu topopolis, zupełnie niepotrzebne. Budujesz pustą skorupę, która i tak, im bliższa osi, tym mniejszą siłę odśrodkową wywiera. A do środka pakujesz całą infrastrukturę, na którą ludzie nie powinni patrzeć. Jak w parku rozrywki, mechanizmy powinny być schowane.

– A niech mnie… – Powiększyłem obraz. Na maksymalnym powiększeniu pod górami widać było minimalny cień jakichś szczegółów. – A wejście…?

– Trudno przewidzieć, jak będzie skonstruowane, ale na pewno, jak wiesz teraz, gdzie szukać, to je znajdziesz.

Interesujące. Trzeba to sprawdzić, jeśli się uda tam posłać drona skanującego. Usiadłem z powrotem i poprosiłem gestem, by kontynuował.

Steven przez parę mili patrzył bez słowa na hologram, potem wskazał jeden z wirników pod odcinkiem rzeki.

– Will, wiesz co? Chyba niedokładnie opisałeś tę rzekę. To nie jest jedna rzeka, tylko cztery. Na przemian płynące w przeciwnych kierunkach. Dopływy i strumienie pozwalają im się wymieniać materią, ale jeśli przyjrzeć się konfiguracji wirników, kierunki nurtu są dwa. Zresztą zauważ, jak na granicy strumieni wszystko zlewa się do czterech cieśnin przechodzących przez tę górską przegrodę. Dwie w każdym kierunku.

Przyjrzałem się w milczeniu. Na oko miał rację. Zupełnie przeoczyliśmy, że wirniki są przeciwnie skierowane.

– Tak, to się chyba trzyma kupy. Nie ma sensu, by jeden kierunek miał priorytet nad drugim. A tak można płynąć z prądem w obu kierunkach, wystarczy zmienić rzekę.

Steven patrzył jeszcze przez parę pełnych sekund, po czym wskazał mi radiatory po ciemnej stronie nitki.

– Problemem jest oczywiście pozbywanie się ciepła. Z samej natury topopolis jest układem zamkniętym, a to sztuczne słońce tylko dokłada więcej ciepła. Zaprojektowali urządzenia, które wypompowują je stamtąd do wymienników na zewnętrznej powłoce i jeszcze produkują prąd z gradientu temperatur. Genialne. Potem te płetwy-radiatory wypromieniowują je w kosmos. Domyślam się, że sygnatura w podczerwieni musi być konkretna.

– Na tyle konkretna, że widać ją z paru lat świetlnych – powiedziałem z uśmiechem. Steven cały czas trafiał w dziesiątkę.

Nadal przeglądał dokument, ale z taką miną, jakby już wydobył z niego wszystkie rewelacje. W końcu westchnął, opadł na oparcie fotela i wskazał obraz.

– Mogę dostać kopię tego? I mogę użyć na wykładach?

– Czemu nie. To nie tajemnica. Chociaż w Bobiwersum jest pewna kontrowersja, czy w ogóle powinniśmy się tam pakować.

Steven prychnął.

– Myślałby kto, że śmierć uwalnia cię spod dyktatu polityki. Widać jest bardziej nieunikniona niż śmierć i podatki. A wiesz, że ja tu muszę znosić regularne protesty?

Uniosłem brwi w zdumieniu.

– Protesty? Na uczelni?

– Tak. Niektórzy myślą, że nie powinienem zajmować stanowiska, które mógłby objąć żywy człowiek.

– Niewiarygodne. – Pokręciłem głową. – A uczelnia co na to?

– Przyjęła stanowisko, że rozważy zastąpienie mnie, kiedy pojawi się żywy kandydat z moimi kwalifikacjami.

– Bardzo logiczne. Pewnie protestujący dostają od tego szału.

Uśmiechnął się.

– Dlatego właśnie mam nadzieję, że interfejs człowiek-android, nad którym pracuje twój brat Howard, pojawi się w miarę szybko.

– Inter… co? – Ewidentnie nie wiedziałem o wszystkim, w czym Howard maczał palce. – Jestem z nim umówiony zaraz po tobie. Na pewno zapytam. – Przesunąłem się do przodu w fotelu. – Dziękuję bardzo, panie profesorze. Niezmiernie mi pan pomógł.

Steven zbył komplement machnięciem dłoni.

– To w końcu moja specjalność. Może nie musisz jeszcze iść? Bardzo chciałbym się dowiedzieć więcej o Bobiwersum, jak to nazywasz.

– Nie muszę. Co chcesz wiedzieć? – Jakoś bardzo się nie śpieszyłem, a niegłupio byłoby się czymś zrewanżować.

***

Rozmowa z profesorem Gilliganem była fascynująca i wycisnął ze mnie obietnicę, że będę go informować na bieżąco, a może i zaproszę do grupy. Będę to musiał przedyskutować z resztą, ale profesor miał ogromną wiedzę i według mnie bardzo by się przydał.

Następny na liście był u mnie Howard. Chciałem pogadać z innym Bobem o kwestiach osobistych, a on był najlepszym kandydatem, bo mieszkał praktycznie na stałe w ludzkim społeczeństwie. Rozmowa z profesorem tylko dodała mi paliwa. Pingnąłem Howarda, dostałem zaproszenie i adres manny’ego.

Wszedłem do niego i po paru sekundach wysiadłem z kapsuły w mieszkaniu Bridget i Howarda. Bridget pomachała do mnie z fotela i wróciła do swojego zajęcia. Na oko pracowała na komputerze, ale monitor miała wirtualny, unoszący się przed nią w powietrzu. Część obrazów była typowo dwuwymiarowa, inne jednak miały trzy wymiary i jakby wystawały z obrazu. Całość była nie tylko holograficzna, ale i dotykowa. Sprawdziłem po bibliotekach i uświadomiłem sobie, że to rodzaj komputera zwanego Kanwą. Eleganckie rozwiązanie. Prawie tak dobre jak metafory, których używaliśmy w wircie.

– Cześć, Will. – Howard machnął ręką w kierunku kanapy. – Co się urodziło?

Usiadłem, spojrzałem na swoje dłonie i uświadomiłem sobie, że jestem w standardowym mannym. Nie wiadomo dlaczego zakładałem, że to będzie model Boba. Uniosłem dłonie.

– Eee…

– Przepraszam, stary. Jeśli chciałeś manny’ego Boba, trzeba było wziąć sobie z którejś publicznej kapsuły. Jest tam kilka…

– Publicznej kapsuły?

– Są w nich standardowe i własne manny, przechowywane dla konkretnych osób i organizacji, w miarę ich potrzeb, albo dostępne do wypożyczenia. My – znaczy Bobiwersum – utrzymujemy kilka mannych-Bobów we wszystkich głównych miastach w ludzkich koloniach. Miesięczny koszt przechowywania jest nieznaczący.

– A płacicie czym? – zapytałem, a potem uniosłem rękę, zanim zdążył odpowiedzieć. – Przepraszam. Przyszedłem zadać ci kilka pytań, ale mnożą mi się, zanim zdążę je wypowiedzieć. Parędziesiąt lat byłem na uboczu na Walhalli i czuję się jak pustelnik, który przywędrował z powrotem do cywilizacji i widzi telefony komórkowe.

Howard uśmiechnął się, widząc moje zmieszanie. Nawet Bridget uśmiechnęła się przelotnie, nie odwracając się. Wyraźnie słuchała jednym uchem.

– No dobra. Odpowiadając na ostatnie pytanie, mindami. Taką walutę przyjęto w całej ludzkiej przestrzeni. „Minuty drukarki/autofabryki”. Po prostu: wartość jednej minuty czasu autofabryki.

– Ale to absurd. Możesz sobie wydrukować kolejne fabryki i będziesz miał…

– Więcej dostępnych minut, ale o mniejszej wartości wskutek inflacji. Zupełnie jak rząd na ziemi, który drukuje pieniądze. W zasadzie bardzo podobne sprzężenie zwrotne. Ekonomista z dwudziestego pierwszego wieku od razu by wiedział, o co chodzi. Ryzyko zmniejszenia wartości mindy zniechęca firmy do stawiania zbyt wielu autofabryk.

Zbyłem to machnięciem dłoni.

– Jasne. Ma to sens. Chyba. Ale chciałem zapytać o coś, o czym wspomniał profesor Gilligan – o tym, że zwykli ludzie będą mogli korzystać z mannych. Powiedział, że robicie tu jakieś badania. Że ty robisz.

– Niezupełnie. Ja… – Zerknął na Bridget. – My je finansujemy. Żeby uniknąć sytuacji jak z ekspedycją Prometeusz… – Zamilkł na moment, ja kiwnąłem ze współczuciem głową. Howard i Bridget odchorowali te ofiary. – I wyprzedzić narastającą ludzką niechęć do mannych.

– Steven coś wspominał. Protesty na uczelni?

Prychnął.

– Oj, Will, ty naprawdę masz zaległości. Twój zaprzyjaźniony profesor wykłada na uniwersytecie na Wolkanie, w mannym. I są dość regularne protesty przeciwko jego obecności. Sprowadza się to do tego, że on nie żyje i nie powinien zajmować etatu dla kogoś żyjącego. To najczęstsza pretensja, ale zdecydowanie niejedyna. Nawet jak tylko się przespacerujesz w mannym, możesz się spotkać z pikietą.

Ukryłem twarz w dłoni.

– Rany. Bardzo to jest rozpowszechnione?

– Na razie dość lokalne. Ale jesteśmy zdania, że będzie tylko gorzej, w miarę jak więcej replikantów zacznie używać mannych. Stąd nadzieja, że jeśli będą dostępne do użytku przez ludzi, to nie będzie już sytuacja typu „my kontra oni”.

– Niewiarygodne. – Pokręciłem głową. – Zawsze myślałem, że twoje doświadczenia z córką Bridget, Rosie, to anomalia, coś odosobnionego. Ale widocznie nie.

– Niestety chyba nie. To standardowe uprzedzenie przed innością. My jesteśmy nieśmiertelni, silniejsi, szybsi, nie męczymy się i ogólnie mamy większe możliwości niż bio. Nic dziwnego, że boją się wyparcia przez nas. – Przerwał i przez moment miał niewyraźną minę. – Na razie jeszcze nie nadaje się do normalnego użycia, ale sam proces działa, przynajmniej w warunkach laboratoryjnych. Używamy skupionej magnetycznej stymulacji, żeby, po pierwsze, aktywować obszary mózgu powodujące paraliż senny, a po drugie, stymulować ośrodki zmysłowe sygnałami z manny’ego i odbierać celowe polecenia dla mięśni.

– Czyli człowiek jakby śnił, ale nie śpi, tylko wszystko jest przekierowane do manny’ego.

– Dokładnie. Potrzebny jest tylko taki hełm.

– Coś jak w tym filmie Surogaci z Bruce’em Willisem.

– Na końcu pewnie tak. Już mówiłem, na razie walczymy z błędami.

Kiwnąłem głową. Zrobiło to na mnie wrażenie.

– Kurde, Howard, z ciebie się robi prawdziwy magnat technologiczny.

Howard wyszczerzył zęby.

– Magnat. Ma gnat połamany. Wszystkie gnaty.

– Że co?

– Głównie podczas snowboardingu.

Parsknąłem śmiechem, ale nagle urwałem.

– Czekaj, czy ty…

– Tak. – odezwała się Bridget znad komputera. – On tak. Mamy taki stok w Nowym Fairbanks. Próbował nauczyć się zjeżdżać po muldach. Czterech mannych do kasacji.

Bez słowa wyszczerzyliśmy się do siebie z Howardem. Nigdy nie dorośniemy. Nie ma szans.

17. Pierwszy dzień w Niebiańskiej Rzece
Bob, czerwiec 2334, Niebiańska Rzeka

Pięć włochatych mannych wcisnęło się do ładowni pełnowymiarowego drona transportowego, oddychając próżnią. Główny skład ekspedycji stanowiliśmy Bill, Garfield, Bridget i ja, Will kierował rezerwowym mannym. Po przedostaniu się do środka Niebiańskiej Rzeki mieliśmy tego zapasowego ukryć, na wszelki wypadek. Mieliśmy jednak nadzieję, że nikogo nie stracimy i nie okaże się potrzebny. Gdybyśmy stracili dwie sztuki, pewnie trzeba by było przerwać misję i przepracować na nowo strategię wejścia.

Drzwi do ładowni otworzyły się, ukazując litą ścianę z, no… czegoś. Nawet po maksymalnym podkręceniu czułości wzroku nie widziałem żadnych szczegółów. Mogłem patrzeć na beton albo gładką skałę. Może nawet miała jakiś kolor. Dokładnie pośrodku kadru znajdowało się jeszcze ciemniejsze kółko, które, jak wiedziałem, było wlotem do stumetrowego tunelu pomiędzy zewnętrzną i wewnętrzną ścianą powłoki.

Nie mogliśmy oczywiście włączyć żadnych świateł. Dron transportowy miał standardowe lodowe jądro, żeby nie dawać śladu cieplnego, ale otwarte wrota ładowni na pewno mu to maskowanie zaburzały. Na poziomie czułości, z jakim działały takie czujniki, nawet znikoma ilość podczerwieni promieniująca z ciemnej strony topopolis kumulowała się z naszym śladem. A nasze manny nie miały radiatorów – w podczerwieni musiały świecić jak miniaturowe gwiazdy. Trzeba było jak najszybciej wchodzić do tunelu. Wprawdzie prawdopodobieństwo, że akurat przeleci patrol Bądziołów było znikome, wszyscy jednak mocno wierzyliśmy w potęgę prawa Murphy’ego.

– Na pozycje – powiedział Gandalf przez interkom. – Bob, skaczesz na moje hasło. Kolejni – w trzysekundowych odstępach. Jeśli zepsujecie skok, szopy was złapią. Ale nie róbcie tego.

Mrugnąłem do Garfielda, który był drugi w kolejce. Nie wiedziałem, jak to przetłumaczą układy autonomiczne, ale uśmiechnął się w odpowiedzi. Czy też zrobił quinlański odpowiednik.

– Teraz.

Przykucnąłem, wycelowałem i skoczyłem. Quinlańskiego ciała nie dałoby się określić mianem przystosowanego do skoków, ale system operacyjny przystosował się bez wysiłku. Przepłynąłem krótki odcinek do dziury w ścianie i chwyciłem się brzegu. Miałem trzy sekundy, by zejść Garfieldowi z drogi. Popełzłem pośpiesznie w ciemności.

Odczułem lekkie drganie, gdy wylądował za moimi plecami. Drogę oświetlały maleńkie i słabe diody. Nie miałem fizycznego doświadczenia z poruszaniem się w nieważkości, ale wydawało mi się, że podwodne odruchy manny'ego przekładają się całkiem nieźle. Byłem w stanie przemieszczać się wzdłuż tunelu, tylko sporadycznie dotykając ścian, by skorygować kurs.

Tunel był ciasny. Gracze wywiercili minimalny otwór pozwalający nam na przedostanie się. Dobra strategia – im mniej naruszaliśmy ten regolit, tym lepiej. Na szczęście uwzględnili wielkość Quinlanina razem z plecakiem. Ubrania się u nich nie przyjęły, z wyjątkiem paru obrzędowych ozdób, ale najczęstszym dodatkiem był zdecydowanie plecak. Kupa kieszeni oraz, zgodnie z naturalnym sposobem poruszania się Quinlan, wodoszczelność i wodoodporność. Nasze zaprojektowaliśmy tak, by jak najmniej rzucały się w oczy i wyglądały na używane, żebyśmy nie wyglądali, jakbyśmy dopiero co wyszli ze sklepu sportowego.

Każdy miał standardowy zestaw typowych quinlańskich drobiazgów – suszone przekąski, grzebień, parę materiałów opatrunkowych i pilnik do pazurów. Najważniejszy był jednak, jak przewidywaliśmy, godziwy zapas miejscowych pieniędzy. Z punktu widzenia Quinlanina same banalne rzeczy.

– Wszyscy weszli – zameldował Gandalf. – Powodzenia.

Mieliśmy być w stałym kontakcie przez UNOP-a, ale odtąd nie było już żadnej możliwości fizycznej interwencji. Byliśmy naprawdę zdani sami na siebie. Jeśli któryś z nas „zginie", wypada z ekipy, przynajmniej dopóki nie dogoni nas w zapasowym mannym.

Will mógł robić za zmiennika, gdyby w którymś momencie któryś z nas nie miał możliwości kierować swoim mannym. Dlatego musiał nieustająco monitorować nasze postępy, by być na bieżąco – ale wystarczało mu do tego parę sekund dziennie na przejrzenie logów.

Wyszedłem z wylotu tunelu i złapałem się przewidująco położonej przez Graczy liny, wzdłuż której ciągnął się kolejny rząd słabych nawigacyjnych

światełek. Przeszedłem parę metrów, żeby zrobić miejsce innym. Uniosłem wzrok. I zamarłem.

Niebiańska Rzeka składała się z nieruchomej zewnętrznej skorupy zrobionej z regolitu zbrojonego trójwymiarową siatką z włókna węglowego oraz wirującego wewnętrznego torusa, wykonanego z jakiegoś ceramiczno-metalowego metamateriału, wzmocnionego taką samą węglową siatką. Wcześniej jednak do mnie nie dotarło, albo nie zwróciłem uwagi, że odstęp pomiędzy dwiema powłokami to tylko około dziesięciu metrów. Ponieważ konstrukcja miała promień dziewięćdziesięciu kilometrów, z mojego punktu widzenia jej krzywizna była niedostrzegalna. Wiedziałem natomiast, który kierunek jest który, bo wewnętrzna powłoka wirowała.

Z prędkością ponad ośmiuset metrów na sekundę.

Z mojej perspektywy stałem dziesięć metrów od powierzchni robiącej prawie trzy tysiące kilometrów na godzinę. Powtarzanie sobie, że to złudzenie, niespecjalnie pomagało. I nie miało znaczenia, jak gładka jest ta powierzchnia – jeśli się z nią zetknę, to będzie jak dotknięcie gigantycznej tarczy szlifierskiej. Już nie mówiąc, że samo przyśpieszenie pewnie pourywa mi kończyny. I mój udział w ekspedycji skończy się, nim się zaczął.

Oderwałem wzrok i powiedziałem do reszty:

– Wychodząc z tunelu, naprawdę, naprawdę uważajcie. Serio.

Po minucie wszyscy zgromadziliśmy się na wewnętrznej powierzchni zewnętrznego torusa, zbiorowo trzymając się liny. Każdy po kolei kilka pełnych sekund gapił się na ten spektakl. Nie poganiałem ich. Ważne było, żeby to dotarło do wszystkich.

– Idziemy.

I zgodnie z tymi słowami, zacząłem posuwać się po powierzchni, bardzo uważając, by trzymać się liny i przylegać stopami do powierzchni. Zdawałem sobie sprawę, że nie słyszę wirującego nad moją głową torusa ani nie czuję jego drgań. Gdyby drgania były na tyle silne, by przenieść się przez łożyska, całość dawno by się rozpadła. Mimo to mój umysł wypełniał ciszę basowym buczeniem.

Tunel nie mógł być, z konieczności, zbyt blisko doku Bądziołów, bo ktoś niechybnie wykryłby nasze poczynania. Podczas wierceń trzeba też było bardzo dokładnie sprzątać po sobie. Do ekosystemu konserwacyjnego Niebiańskiej Rzeki zaliczały się zbieracze patrolujące przestrzeń pomiędzy skorupami w poszukiwaniu odłamków i odpadków. Dlatego mieliśmy kawał drogi z tunelu do windy. Większość jej mechanizmu była wpuszczona w zewnętrzny torus – wewnętrzny i tak był odległy tylko o dziesięć metrów. Pętla torowa będąca na wprost przed nami rozpędzała zasobnik tak, by zrównał się prędkością

z wewnętrznym torusem, albo wyhamowywała, w przypadku dostawy z wewnątrz na zewnątrz.

W ciągu miesięcy od pierwszego skanu dronami Gracze cały czas badali elektronikę sterującą systemem torów. Zidentyfikowali, co można obejść, przeanalizowali komponenty, które mogliśmy podmienić na własne. Niestety po tym całym ćwiczeniu i tak nie mieliśmy pewności czy włączenie windy nie wyzwoli gdzieś alarmów. Wychodziło na to, że jednak będziemy przejeżdżać na wewnętrzną powłokę, pojedynczo, z pomocą małego drona wydobywczego.

Gracze ściągnęli dwa takie do wiercenia w regolicie. Teraz użyjemy ich do przerzucenia członków ekspedycji. Jak wspominałem, jeśli stracimy dwóch z nich, mamy przerąbane.

Posuwaliśmy się wykopem, cały czas trzymając się liny. Na końcu dotarliśmy do skomplikowanych wsporników, podtrzymujących na oko łożyska magnetyczne wokół szyn. Po wszystkich burzach mózgów i pracy domowej, jaką odwaliliśmy, konstrukcja wydawała mi się znana jak wnętrze mojego statku Niebo.

– Słuchajcie: kolejny wrażliwy punkt – powiedział Gandalf. – Musicie iść pojedynczo. Jest bardzo mało prawdopodobne, by kolejka została włączona, ale jeśli to się stanie, prawie na pewno kogoś stracimy. Nawet jeśli nie rozjedzie go pędzący zasobnik, samo włączenie tych magnesów zapewne uszkodzi drona. Trzymajcie kciuki. Płetwy.

– Ha, ha, śmieszne – burknęła Bridget. – To nie są płetwy.

Oczywista, biolożkę musiało to wzbudzić.

Szliśmy w tym samym porządku, więc pierwszy wsiadłem do drona. Nie było to za wiele roboty. Wpakować się do środka, poczekać, aż ładownia się zamknie, starać się nie dostać klaustrofobii (w porównaniu z tym szafa była obszerna), odczekać, aż dron podleci do końcowego terminala, i tyle. I jeszcze raz.

Lot był jednak męczący, bo czułem się jak worek kartofli. Jeśli coś się zwali, zanim się zorientuję, zostaną ze mnie metalowe opiłki. Dron musiał przelecieć idealnie dokładnym półkolistym kursem o promieniu dziewięćdziesięciu kilometrów i tolerancji liczonej w metrach, jednocześnie rozpędzając się od zera do trzech tysięcy kilometrów na godzinę. Pikuś.

Po jakichś dwóch minutach coś brzęknęło. Wrzasnąłem: „Kurwa!”. Oczywiście nikt mnie nie usłyszał, bo byłem w próżni. W kosmosie nikt nie słyszy, jak klniesz. Przewróciłem oczyma. Mało ambitny komentarz. Zapytałem:

– Co to, kurde, było? Już nie żyję?

– Przepraszam, Bob – odpowiedział Gandalf. – Mały błąd. Zahaczyłeś o jeden ze wsporników. Dron będzie wymagał lakierowania.

– A ładownia wymycia – mruknąłem do siebie.

Po paru wiecznościach drzwi ładowni otworzyły się i wysiadłem na ten sam peron techniczny, który wcześniej odwiedzałem w dronach szpiegowskich.

– Dotarłem – obwieściłem, zapewne bez potrzeby.

Dron już odleciał i wracał po kolejnego pasażera. W zagłębieniu z torami było za mało miejsca, by użyć obu dronów na zmianę, więc operacja musiała być długa i męcząca. Znów to połączenie nudy i strachu, obu jednocześnie.

Musieliśmy skorzystać z ręcznej śluzy, której napompowanie też było długotrwałe. Po drugiej stronie znalazłem się w tym samym długim korytarzu, z tymi samymi ostrzeżeniami dla debili. Posadziłem manny'ego i zacząłem przeglądać logi.

Po mniej więcej dwóch godzinach wszyscy byli po drugiej stronie. Strach łamany przez nudę. Machnąłem w milczeniu ręką i przeszliśmy na koniec korytarza.

– Gandalf, jakieś konkretne wskazówki? – Monitorował nasze strumienie audio i wideo, więc wiedział, gdzie jesteśmy.

– Nie – odparł. – Na schodach ewakuacyjnych nie ma alarmów. Co do wind, to nie wiem. Oczywiście któryś może sprawdzić na ochotnika…

Z jednej strony schody to raczej lepszy pomysł. Z drugiej lecieliśmy wcześniej dronem na górę i to było coś jak dwadzieścia pięter. Zaczynało to podejrzanie wyglądać na ćwiczenia fizyczne.

Ale dać się złapać w tej fazie to nie tylko problem dla misji, ale i potworna żenada. Z ciężkim westchnieniem ruszyłem do schodów.

Dziesięć minut później dotarliśmy na górę. Uchyliłem drzwi i wyjrzałem. Żadnych strażników, dronów, orków. Wymknęliśmy się przez drzwi i jak jeden mąż stanęliśmy, chłonąc widok.

Foyer stacji było ogromne, a fasada niesamowita. Cały budynek był zaprojektowany z myślą, że będzie przez niego przechodzić naprawdę wielu Quinlan. Nie był to może dworzec Grand Central, ale zdecydowanie spore centrum przesiadkowe. Strop był wysoki, podłoga jakby ze sztucznego marmuru, malowidła na ścianach, rzeźby. Niczego stuprocentowo abstrakcyjnego nie widziałem, ale Quinlanie wyraźnie i z rozmachem odchodzili od naturalistycznych tendencji. Malowidła skłaniały się w stronę surrealizmu, Eschera czy Dalego. Rzeźby najbardziej kojarzyły mi się ze sztuką rdzennych Amerykanów z Zachodniego Wybrzeża – misternie ozdabiane proste kształty.

Jedno było pewne – to nie była flegmatyczna i bezbarwna kultura.

Zauważyłem jeden dodatkowy szczegół. Stacja miała z przodu drzwi-roletę, żeby wejście było jak najszersze. Wyglądało na to, że Administrator, broniąc tubylcom wstępu, nie ogranicza się do elektronicznych alarmów. Mechanizm

drzwi został zaspawany na głucho. Nikt już tych drzwi nie podniesie, czy nawet nie naprawi. Trzeba by je wyciąć i wymienić.

Wyciągnąłem mapę, HUD pokazał mi narożnik hali i drogę do niego poza zasięgiem kamer. Garfield już tam szedł, mając dość podziwiania sztuki.

Drony wycięły w płycie ściennej mały otwór, przy samej podłodze. Na zewnątrz to było pod ziemią, więc trzeba było wykonać drobny podkop. Na końcu Gracze założyli klapę, zapewne po to, by w środku nie zagnieździła się lokalna fauna.

Garfield otworzył ją i wyjrzał, po czym kiwnął na mnie. Wyjrzałem w mrok po drugiej stronie i zrozumiałem, że to po prostu ziemny tunel. Trzeba się będzie gramolić na czworakach… zaraz, przecież dla Quinlan to żaden problem. No dobra. Punkt dla nas.

Nawet po wyjściu z tunelu musieliśmy jeszcze wygramolić się z rowu na powierzchnię ziemi. Zastanawiałem się, czyby nie zapytać dlaczego, uznałem jednak, że chodzi o to, by nasze pojawianie się i znikanie było jak najdyskretniejsze. Otwieranie i zamykanie jakichś oczywistych i widocznych drzwi zwracałoby wszelką możliwą uwagę, głównie negatywną. Zakładając, że jest jakaś pozytywna.

Mimo woli miałem wrażenie, że gram w filmie o II wojnie światowej, w roli tajnego agenta La Résistance. W końcu jednak wydobyliśmy się na zewnątrz. Po raz pierwszy zobaczyłem na własne oczy wnętrze Niebiańskiej Rzeki. Przystanąłem i gapiłem się jak turysta. Czułem, że inni, wyszedłszy, robią to samo, ale nie chciało mi się poświęcać ani cyklu zegarowego na podzielenie się tym faktem.

Przy dziewięćdziesięciokilometrowym promieniu Niebiańska Rzeka nie przypominała standardowego rysunku cylindra O’Neilla, na którym krajobraz po obu stronach zakrzywia się stromo do góry. Ziemia w kierunku obrotu zaczynała się wyginać dokładnie w momencie, gdy niknęła w oddali. Fakt, że wyginała się w górę, zamiast opadać jak normalny horyzont, był trochę deprymujący, ale trzeba było się naprawdę przypatrywać, żeby to zauważyć.

Występowało kilka warstw chmur, sugerując, że w habitacie jest prawdziwa pogoda. Rzucały cień na ziemię w dole i na niższe warstwy chmur. Włączyłem teleskopowy wzrok (nie, naprawdę) i wypatrzyłem w średniej odległości burzę z deszczem. Chmura burzowa tworzyła poziomy wir zorientowany wokół osi topopolis. Można się było tego spodziewać, ale i tak wyglądało cudacznie dla kogoś wychowanego na powierzchni planety.

W zasięgu dobrego widzenia dominowały łagodne wzgórza, przetykane dolinami i równinami. W pobliżu widziałem sporadyczne zagajniki, ale żadnych większych lasów. Wiedziałem jednak ze skanów, że teren jest mocno

zróżnicowany. Nie zaskakiwało mnie to. Zważywszy na prawie osiemset miliardów kilometrów kwadratowych dostępnej powierzchni, zrobienie ze wszystkiego pól uprawnych wymagałoby niezwykle kalekiej wyobraźni.

I nie była to też sterylna diorama. Na otwartych polach wyraźnie widzieliśmy stada, no… czegoś. Rozchodziły się po nich powolne fale, gdy jakiś niewidoczny bodziec wywoływał krótkotrwałe ruchy. Liczne stada ptaków krążyły i śmigały po niebie, niezrażone siłą Coriolisa ani dziwnym horyzontem.

A po nizinach wiła się rzeka. Czy, dokładniej, jedno odgałęzienie jednej z czterech rzek. Co ciekawe, to meandrowanie oraz rozgałęzienia i ponowne ujścia oznaczały, że w sumie jej długość wynosiła znacznie więcej niż sześć i pół miliarda kilometrów, nawet nie licząc dopływów. Poczułem, że mózg mi się od tego lasuje, i musiałem się napomnieć, że to tylko kwestia skali, a nie technologii.

W końcu udało mi się oderwać wzrok na tyle, by zerknąć na towarzyszy. Wszyscy stali, bez słowa chłonąc panoramę. Uśmiechnąłem się na moment, szczęśliwy, że będąc komputerowymi symulacjami, nie zatraciliśmy zdolności zachwycania się.

Garfield uniósł wzrok i mruknął. Poszedłem za jego spojrzeniem. Niebo było naprawdę niebieskie, co dziwne, a na nim wisiało coś wyglądającego jak słońce, co naprawdę dziwne.

– Ktoś ma pojęcie, jak oni robią to sztuczne niebo? – rzucił do całej grupy.

Bill popatrzył tam, gdzie Garfield.

– Wow, to jest niezłe. Skippies mają kupę tych skanów z SUDDAR-u, zapytam.

Powiedział to po angielsku, widać było po słowach „Skippies” i „SUDDAR”.

– Bill, trzeba mówić po quinlańsku – zauważyła Bridget. – Nawet jeśli czasem coś ci wyjdzie fonetycznie z angielskiego. Nie wolno nam rzucać się w oczy.

Bill w odpowiedzi kiwnął głową – no, zrobił quinlański odpowiednik.

– Widziałam symulacje obiektów na balistycznych krzywych w środowisku typu cylinder O’Neilla – mówiła dalej Bridget. – Zachowują się bardzo nieintuicyjnie. To będzie dla nas problem?

– Nie za bardzo – powiedział Bill. – To się sprowadza do wielkości. W tych symulacjach też widziałem – promień to przeważnie sto lub kilkaset metrów. A tu jest dziewięćdziesiąt kilometrów, to będzie tak zbliżone do normalnej planetarnej grawitacji, że nic nie zauważymy. Da się na przykład grać w baseball i nie przejmować się tym, że piłka dziwnie lata.

– To dobrze – odparła Bridget. – Quinlanie się w tym wychowali, ale jeśli my się czymś zdziwimy, możemy się „zdekonspirować”.

– Tubylcy będą aż tak podejrzliwi? I spostrzegawczy?

– Gar, nie wiadomo. Nie zapominaj, to wygląda jak społeczeństwo przedprzemysłowe, ale jest produktem cywilizacji zaawansowanej co najmniej jak Ziemia w dwudziestym pierwszym wieku. I nie wiemy, jaka polityka siedzi w tle. Co, jeśli – a pamiętajcie o tych zaspawanych drzwiach na stacji – ludność ma wrogi stosunek do administracji Niebiańskiej Rzeki? Mogą mieć oko na dziwnie zachowujących się obcych.

– Hmm… O tym w sumie nie pomyślałem – powiedział Garfield. – Dotarło, szefowa.

Wejście do stacji leżało może z kilometr w górę rzeki i trochę wyżej niż najbliższa wieś. Pokazałem w tym kierunku.

– Idźmy do, tego…

– Grzbietu Garaka – odparł Bill. – Nie mam pojęcia, skąd ta nazwa. Większość tubylców mówi po prostu „Garak”. Leży nad rzeką Arkadią. Kolejne trzy, patrząc w kierunku obrotu, to kolejno Utopia, Raj i Nirwana.

– W ogóle nie na jedno kopyto – zauważył Garfield.

– Jak zwykle to są angielskie nazwy, dopasowane w przybliżeniu do quinlańskich pojęć – odparł Bill. – Ale tak, jest dominujący motyw, widać już po samej nazwie „Niebiańska Rzeka”. Raczej celowy.

Przerwałem krótką ciszę, która nastąpiła:

– Bardzo to wszystko ciekawe, ale musimy teraz zdecydować, co zrobić z mannym Willa.

– Ja głosuję za pięcioosobową grupą – odezwał się Will.

– To nie jest dobry pomysł – odparła Bridget. – Grand tour większy niż czwórka będzie zwracał uwagę. Nie typu „patrz no na tych zboczeńców”, raczej „patrz, pięcioosobowy grand tour”. Nie chcemy rzucać się w oczy.

– No dobra. W sumie i tak miałem być zmiennikiem. Może po prostu wrócę do tunelu i zatkam wejście?

Bill kiwnął głową.

– Może być. I tunel zamaskujesz, co też będzie plusem.

– Świetnie – powiedziałem. – Dobra, to chodźmy. Musimy się gdzieś zatrzymać, nim się zorientujemy w sytuacji.

Will ruszył do podkopu, a reszta nas w kierunku wioski, z Billem na czele. Bridget cały czas zbaczała w bok, żeby się czemuś przyjrzeć. Flora, fauna, owady, wszystko ją fascynowało. No cóż, biolożka, prawda? Howard ciągle narzekał na jej monomaniakalną koncentrację, ale była to jednocześnie jedna z cech, które w niej uwielbiał.

Flora w ogóle nie wyglądała dziwnie. Bridget na pewno katalogowała wszystkie jej unikatowe cechy, ale dla takiego laika jak ja były to po prostu

rośliny. Ekosystem roślinny wyewoluował na bazie chlorofilu, więc nawet kolory kojarzyły mi się z ziemskimi.

Natomiast owady nie za bardzo. Regułą dla drobnych zwierząt wypełniających tę niszę był szkielet zewnętrzny i na tym chyba kończyło się podobieństwo. Tutejsze owady poszły w symetrię promienistą zamiast dwustronnej. Wygibasy, jakie musiała wyczyniać ewolucja, by przy takim planie ciała umożliwić lot, doprowadziły do naprawdę cudacznych konstrukcji. Na szczęście nigdy nie miałem fobii na takie potworniactwa.

Szliśmy od jakichś dziesięciu minut, gdy Bridget kazała nam się zatrzymać.

– Oj, chłopaki, moja wina. Mam niby być ekspertką, a zaliczam wtopę na samym początku.

Reszta spojrzała po sobie w zdziwieniu, zanim wróciła wzrokiem do niej.

– No dobra – powiedziałem. – Niech będzie, że ja. Jaką wtopę?

– Quinlanie nie za dobrze chodzą. W każdym razie nie na dłuższe odległości. Dawno powinniśmy iść na czterech łapach, a i nawet przy tym co chwilę odpoczywać.

– Jezus, Bridge, nikogo tu nie ma…

– Jeśli my widzimy wioskę, to ona też nas widzi. Nie wiem, czy mają lunety albo coś podobnego, ale jeśli mają, to już zachowujemy się dziwnie.

– No to idźmy na czterech…

– Nie, Garfield, to za mało. Czujesz to?

Garfield zmarszczył czoło, wszyscy powąchaliśmy powietrze.

– Co to jest? – zapytał. – Woda?

– Tak. Płynąca woda. Pachnie inaczej niż stojąca.

– Serio?

– Tak, Bill. Nawet ziemskie zwierzęta to odróżniają. To dziwi tylko stworzenia z zanikiem węchu, na przykład ludzi.

– No dobra. Woda… i co?

– Quinlanie, jeszcze bardziej od chodzenia na czterech, wolą podróżować wodą.

– Aaaaa… – Bill westchnął. – Trzeba było płynąć.

– Dokładnie. Tędy. – Nie czekając na dalszą dyskusję, pomaszerowała w stronę wody. To znaczy, o ile coś podobnego do otyłej łasicy może „maszerować”. Bardziej człapać z determinacją.

Po chwili opadła na cztery łapy. Reszta poszła w jej ślady. Z zadowoleniem stwierdziłem, że rzeczywiście w ten sposób poruszamy się o wiele sprawniej. A dziwna konstrukcja quinlańskiego plecaka zaczęła nabierać sensu.

W niecałą minutę dotarliśmy do małego strumienia.

– Nie wygląda na to, żeby dało się w nim pływać – stwierdził Bill.

– Człowiek, który macha na wszystkie strony długimi kończynami, pewnie by nie dał rady – odparła ze śmiechem Bridget. – A my, z tym ogonem, jesteśmy jak torpeda. Patrzcie tylko.

Zanurkowała do strumienia, który prawie się nie wzburzył. Powierzchnia jakby zafalowała, jak w filmach o potworach z głębin. Niecałe dwie sekundy później wyskoczyła trzydzieści metrów dalej.

– Ta-da!

Wróciłem myślami do naszego pływania w pierwszym dniu na Quinie i poczułem falę ekscytacji. Może to była część quinlańskiej osobowości, ale charakter Boba też miał tu coś do powiedzenia. Dla mnie pływanie było czymś, co robisz w ramach alternatywy do utopienia się. Teraz, w symulowanym ciele ziemnowodnego gatunku, ta woda była moja.

Czy coś w tym rodzaju.

Bridget przemknęła przed nami w przeciwnym kierunku, wijąc się tuż pod powierzchnią. Zaśmiałem się radośnie i wskoczyłem za nią. Usłyszałem za sobą kolejne chlupnięcia, ale nie starałem się ich liczyć. Jeśli ktoś nie zechciał popłynąć, zostanie mocno z tyłu i będzie miał kawał drogi do pokonania.

Dogoniłem Bridget i klepnąłem ją w ogon. W odpowiedzi pacnęła mnie nim w głowę i śmignęła wokół podwodnego kamienia.

A, to tak? Śmignęliśmy przez wodę, z prądem, pod prąd, okrążając innych i bawiąc się w szalonego berka. Strumień, tak mały, kiedy patrzy się z lądu, z tej perspektywy był jak cały kraj, bo pozwalał manewrować w dodatkowym wymiarze.

Reszta przyłączyła się, jeden po drugim, aż woda zapieniła się od szalejących i uganiających się za sobą quinlańskich ciał. Zabawa trwała prawie dziesięć minut, póki HUD nie poinformował mnie, że prawdziwy Quinlanin byłby wyczerpany i potrzebował poświęcić trochę czasu na relaksujące unoszenie się na wodzie. Mogłem to zignorować – android w ogóle się nie męczył – ale wtedy Bridget pewnie miałaby mi coś do powiedzenia.

Wynurzyłem się i przewróciłem na plecy. Ruch wydał się naturalny, zresztą widziałem na zdjęciach z dronów szpiegowskich Quinlan unoszących się w ten sposób na wodzie.

– Wydry – mruknąłem, gdy inni po kolei robili to samo.

Chwyciliśmy się nawzajem przednimi lub tylnymi łapami, tworząc quinlańską tratwę, która powoli się kręciła i spływała z prądem.

– O, to było niesamowite! – zawołał Bill. – Bridget, powinnaś o tym powiedzieć Howardowi. W dwie sekundy wymyśli, jak zrobić z tego biznes.

– Wycieczki do Niebiańskiej Rzeki? – Bridget zafalowała uszami, co u Quinlan wyrażało coś jakby rozbawioną zgodę. – O, pewnie byłyby popularne

i nie tylko wśród Bobów. Może i u replikantów drugiej fali. Mogliby się na trochę wyrwać ze swojej czysto VR-kowej egzystencji.

– Ludzie, uwaga. Zbliżamy się do wsi.

Na sygnał Willa wszyscy odwróciliśmy się i popatrzyliśmy w dół rzeki. Rzeczywiście, jeden zakręt i zaraz będziemy przepływać przez małą miejscowość. Rozłączyliśmy się i daliśmy torpedę do najbliższej rampy dla pieszych.

Nadbrzeżna infrastruktura to jedna z rzeczy, które odróżniały quinlańską kulturę od wszystkiego innego, co dotąd widzieliśmy. Korzystali z dróg wodnych, tak jak ludzie z chodników i dróg, co oznaczało, że w każdym miejscu, gdzie woda była wystarczająco szeroka, znajdowały się przystanie dla pieszych i łodzi. Te drugie były nieco inne niż na Ziemi albo u Pawonisów. Quinlanie używali głównie łodzi żaglowych, przeważnie katamaranów, chociaż widziałem i coś przypominającego barkę, z kołem łopatkowym napędzanym siłą miejscowych zwierząt pociągowych.

Co ciekawe, to miasteczko nie miało kanałów, więc drogi były jedynym sposobem poruszania się. Marszczyłem czoło przez moment, po czym dotarło do mnie, że warstwa gleby wcale nie jest za głęboka – gdyby spróbowali tu kopać kanały, szybko dotarliby do skorupy habitatu. Cała widoczna rzeźba terenu musiała być odwzorowana w tej skorupie podczas budowy.

Doki dla pieszych były po prostu zestawem na wpół zanurzonych pochylni czy slipów, by Quinlanie mogli do nich podpłynąć i wyjść. Wprawdzie potrafili wystrzelić z wody jak pingwiny i wylądować na stopach na lądzie, ale w większym tłoku było to uważane za niekulturalne, bo łatwo było się z kimś zderzyć. Mieli na to nawet słowo, puut, co Skippies przełożyli na „wynurkowanie”.

Weszliśmy slipem na górę i szybko zeszliśmy innym z drogi. Był tam duży ruch, a Quinlanie mieli na oko słabą cierpliwość do stania w kolejkach. Większość po prostu dawała nura z najbliższego brzegu, zaś co niecierpliwsi w każdej chwili wynurkowywali z wody, narażając się na ponure spojrzenia reszty. Gdy patrzyłem, jakiś łobuz akurat wyskoczył z wody, tylko po to, by zostać zepchniętym z powrotem przez kogoś akurat zajmującego ten fragment czasoprzestrzeni. Kiedy wychodziliśmy na ląd, słyszałem za sobą uniesione w złości głosy.

– Chcecie zostać i popatrzeć, jak się biją? – rzucił drwiąco Garfield.

– Lepiej nie – wtrącił Will. – Hugh mówił, że oni są skłonni do tworzenia wściekłego tłumu. Prosta bijatyka dwóch osób może wyeskalować szybko i bez powodu.

– Bardziej skłonni niż ludzie? – zapytał Garfield.

– Może. To by było, nie? Ludzkość zdetronizowana z pozycji gatunku Najbardziej Głupiejącego w Dużych Grupach.

Wyszczerzyłem zęby, ale nie chciało mi się odpowiadać. Will po swoich przygodach z ratowaniem ludzkości z ginącej Ziemi, nabrał wyjątkowo negatywnej opinii o ludzkim gatunku. Oprócz naszych krewnych, o których nadal się troszczył, dla ludzkości w ogólnym sensie miał bardzo niewiele serca.

– Uwaga – przerwała Bridget. – Psiarnia.

Wszyscy stanęliśmy jak pieski preriowe – super posunięcie, naprawdę nonszalanckie, panowie – gdy podszedł do nas masywny Quinlanin przystrojony ozdobną szarfą. Z trudem utrzymywałem neutralny wyraz twarzy i uszu. Chód jednocześnie majestatyczny i kaczkowaty to niezły widok.

Chwilę nam się przyglądał, zawiesiwszy oko na Bridget.

Spojrzała nań obojętnie, ani wyzywająco, ani ulegle. Trzeba przyznać, nieźle to zbilansowała.

Ale jeśli potraktuje ją z góry, chyba będzie trzeba opuszczać to miasto w pośpiechu. Albo i ekspresem.

– Ej, wy, jesteście przejazdem?

Wystąpiłem naprzód. Zgodnie z niepisaną umową byłem rzecznikiem grupy.

– Tak, proszę pana. Jesteśmy na grand tourze i wędrujemy sobie spokojnie w dół rzeki.

– Skąd?

– Z Ręki Ara – odparłem. – Wątpię, żeby pan kojarzył. W ostatnich paru miejscach nikt o tym nie słyszał.

Ryzykowałem, ale chyba nie za bardzo. Quinlanie byli o wiele bardziej mobilni niż, dajmy na to, anglosascy wieśniacy, ale komunikacji masowej, jak się zdaje, wciąż nie znali. A szybka kolejka wbudowana w konstrukcję Niebiańskiej Rzeki była niedostępna dla mieszkańców wszystkich zbadanych segmentów.

– Następni grandtourowcy. – Gliniarz skrzywił się z niesmakiem. – Jeśli planujecie zostać dłużej niż parę dni, musicie się zameldować w urzędzie. Jeśli nie, trzymajcie się hoteli i knajp wzdłuż doków. I żadnych problemów, bo wypłyniecie stąd wcześniej, niż planowaliście. – Jeszcze raz zlustrował nas od góry do dołu, kiwnął głową i poczłapał z powrotem.

– Widzieliście broń? – zapytała Bridget.

Wszyscy mruknęli potakująco.

– Nie widziałem dokładnie, co to był za miecz – powiedziałem. – Ale po pochwie wyglądał na raczej taki kord.

– To znaczy, że oni tu kują metale. Czyli mają metale. Poza pieniędzmi.

Garfield przechylił głowę.

– Eee… może nie przeczytałem za dokładnie tych dokumentów, ale czemu to ma być niespodzianka?

– Bo skąd je wezmą, wykopią z ziemi? – Łypnąłem na niego. – To jak Pierścień Nivena, nie? Żadnych złóż, żadnych minerałów ani ropy. Jeśli nie podbierają surowców z konstrukcji, są skazani tylko na powtórne przetwarzanie tego, co już mają. Zresztą konstrukcja zawiera bardzo mało metalu, nawet gdyby byli aż tak głupi.

– To znaczy, że metal musi być bardzo cenny.

– Administracja megakonstrukcji może dostarczać metal w niewielkich ilościach – stwierdził Bill. – Na przykład wypychać jakieś bryłki u źródeł strumieni. Chociaż z tego powstałby brudny przemysł wydobywczy.

Bridget kiwnęła głową.

– W każdym razie poświęcenie takiej ilości metalu na miecz mówi, że miecz jest bardzo, bardzo potrzebny. Albo jako symbol, albo jako broń. Albo ostrzeżenie.

Rozmawiając, szliśmy przez wieś, wyglądając motelu czy miejscowego odpowiednika. Z czegoś, co wyglądało jak bar, bez ostrzeżenia wytoczył się kwartet Quinlan. Kłębili się jak stado wściekłych kotów, kopiąc, gryząc i drapiąc. I przeklinając. Quinlańskie przekleństwa były zarówno kreatywne, jak i pełne energii. Niektóre przypadki gramatyczne świetnie pasowały do przekleństw, szczególnie ten, który oznaczał, że coś jest celem jakiegoś działania.

Jeden odpadł od grupy, chyba przypadkiem, i zerwał się na nogi. Rozejrzał się, obnażywszy zęby, i zauważył Bridget, którą pechowo miał w zasięgu ramion. Warknął i zamachnął się do ciosu pazurami.

Bridget bez ostrzeżenia trzasnęła go prosto w ryj. Padł w tył z jękiem, a reszta Quinlan zamarła w pół ciosu.

Bridget pokazała im zęby.

– Ktoś jeszcze?

Grupa rozdzieliła się i pomogła wstać czwartemu, trzymającemu się za pysk.

– Co to było? – zapytał jeden z nich.

– Moja wizytówka – odparła Bridget. – Wystarczy ich dla wszystkich. – Przerwała, a kiedy nikt nie odpowiedział, odeszła, nie czekając na nas.

Ruszyliśmy za nią, a ja wzruszyłem ramionami, mijając jednego z walczących. Mruknął do mnie:

– Jak przyjdzie sezon godowy, stary, dobrze się zastanów.

Nie byłem pewien, co odpowiedzieć, więc nie zareagowałem.

Tymczasem Garfield wysforował się i skręcił do przybytku z wyrzeźbionym nad drzwiami łóżkiem. Zanim go dogoniłem, już zawzięcie konwersował,

najwyraźniej z właścicielem.

Zaczekaliśmy i chwilę później wrócił do nas.

– Mamy szczęście. W tym przybytku są oddzielne pokoje w sam raz dla naszej grupy. Według gospodarza bardzo rozchwytywane, dlatego chciał zaporowo dużo za noc. Dogadaliśmy się, zszedł do „oburzająco dużo” za tydzień. – Pokazał klucz. – Tylko jeden, więc ja będę Klucznikiem.

Bill zachichotał, a Bridget jak zwykle przewróciła oczyma. Mimo woli zacząłem się zastanawiać, jak wytrzymuje z Howardem. Nawet jak na Boba miał wyjątkowo wysoką dawkę cytatozy. Miejmy nadzieję, że to przewracanie oczyma jest tylko pro forma. Z drugiej strony ona te nawiązania łapała.

***

Pokój był „przytulny” – a to ogólnie przyjęty eufemizm na „mniejszy niż szafa”. Miał drzwi na jednym końcu, okno na drugim i dwa piętrowe łóżka po obu stronach. I to nie za duże. Większy Quinlanin nie byłby w stanie się wyprostować. Na szczęście wszyscy wybraliśmy przeciętne rozmiary, więc to nie stanowiło problemu.

Pomiędzy łóżkami było w sam raz miejsca, by dwie osoby mogły stanąć jednocześnie, ale nie zamierzaliśmy tu urządzać walnych zgromadzeń akcjonariuszy. Łazienka – jedna na całe piętro i też nieprzesadnie luksusowa. Na szczęście Quinlanie znali ideę spłukiwanych toalet, więc nie musieliśmy regulować sobie zmysłu węchu. Na nieszczęście język quinlański nie rozdzielał pojęć „kąpiel” i „pływanie”, więc wszędzie czuło się pewien, by tak rzec, ogólnogatunkowy bukiet. Will przygotował poprawkę, którą zaraz wszyscy sobie wgrali, usuwającą ten sztynks ze świadomości.

Krótka droga do naszego pokoju była interesująca i pouczająca. Hotel na oko specjalizował się w grandtourowcach. Wszystkie pokoje, do których udało się zajrzeć, były urządzone dokładnie tak jak nasz i większość zajmowały czteroosobowe grupy. Zastanowiłem się na głos, czy czwórka jest jakąś magiczną quinlańską liczbą, na co Bridget odpowiedziała słowem „nie” i wykładem:

– Mają skomplikowany system, można by to określić jako usieciowioną endogamię. Osobniki należą do grupy małżeńskiej, w której jest potencjalnie wiele samców i samic, ale mogą należeć do więcej niż jednej takiej grupy. I jest masa reguł dotyczących twojego statusu i zobowiązań wobec grupy, zależnych od tego, czy mieszkasz z nią, czy z inną grupą.

– To skąd te czwórki?

– Może norma kulturowa, może instynkt. Albo trochę jednego i drugiego. – Wzruszyła ramionami. – Może to po prostu minimalna grupa niezbędna do założenia rodziny.

Uniosłem brew.

– Trochę dziwne wymaganie. Czemu tak?

Bridget skrzywiła się, zanim wyjaśniła.

– Quinlańskie dzieci wychowują się w żłobku do piątego roku życia, bo wcześniej nie są rozumnymi istotami.

– To zupełnie jak ludzkie – powiedziałem.

Parsknęła śmiechem.

– Wielu ludzi by się z tobą zgodziło, ale to oczywiście nieprawda. Ludzkie dzieci próbują mówić pod koniec pierwszego roku życia. Bo, posłuchaj, ludzie rozwiązali problem z wielkością mózgu w ten sposób, że są fizycznie niedorozwinięci – inteligentni, ale bezradni. Przez pierwsze lata wymagają dużo opieki ze strony rodziców. Quinlanie inaczej – rodzą się zwierzęcy, ale prawie od razu zdolni do ruchu, z mózgami, które dojrzewają później. Kiedy uczą się myśleć i mówić, potrafią już o siebie zadbać.

– Wow. Widzę masę problemów w takim rozwiązaniu.

– Tak, Bill, i prawie na pewno masz rację. Dzieci, zwane juniorami, trzeba trzymać w zagrodach, bo uciekają i wszystko atakują. I ktoś musi ich cały czas pilnować. Dlatego quinlańskie rodziny muszą być liczne, żeby mieć na to zasoby.

– I żeby dopilnować, by nikt nie postanowił zeżreć swoich dzieci – rzucił półgłosem Garfield.

– To też – odmruknął Bill.

Bridget się uśmiechnęła.

– Mam teorię, że ich wojowniczość i zapalczywość w dorosłym wieku ma związek z tym wczesnym etapem rozwoju. Ludzie wcześnie uczą się norm kulturowych, kiedy jeszcze są bezradni i zależni od innych. Quinlanie nie za bardzo.

– Ha. Daje do myślenia – stwierdziłem. – Ale dalej pociągnijmy tę dyskusję w cywilizacji, dobra? Moje normy kulturowe obejmują kawę.

Reszta zaśmiała się i zaczęliśmy się układać do snu. Zagraliśmy w papier, nożyce, kamień, jaszczurkę, Spocka, by wybrać prycze i dostałem jedną z górnych. Niby nic takiego, prawda? Niestety, krótkie nogi quinlańskiego ciała oznaczały, że każda drabina to wielka przygoda. Za pierwszym razem omal nie zleciałem, Bill musiał mnie przytrzymywać. Łypnąłem na Garfielda, już wygodnie ułożonego na drugim górnym łóżku, i odsłoniłem zęby. Zaśmiał się.

– Późno już – powiedziała Bridget. – Prześpijmy się trochę.

Kryptonim „spanie” oznaczał pozostawienie mannych w trybie uśpienia. My wracaliśmy wtedy do VR-ki. Każdy manny miał prostą MSI, która zaalarmowałaby nas, gdyby coś się działo. A jeśli nie, spał jak… jak zabity.

Położyliśmy wszystkich czterech mannych i zebraliśmy się w mojej VR-ce, z Willem jak zawsze na worku sako. Jeeves przyniósł wszystkim ulubione przekąski i napoje, kilka chwil rozkoszowaliśmy się powrotem do cywilizacji.

– To potrwa – powiedziała Bridget. – Ale na początek musimy znaleźć bibliotekę, jakieś archiwum czy coś podobnego. Zobaczmy, co mają na piśmie. Skippies przelecieli po wszystkim pobieżnie i mogli coś przeoczyć, jeśli nie miało na okładce napisane „Historia Quinu”. No i oczywiście musieli też bardziej uważać. Grupka Quinlan grzebiąca w książkach nie wzbudzi takich podejrzeń jak banda latających kul i mechanicznych pająków.

– Zakładając, że mają coś takiego jak pająki – powiedział Will.

– Mają. Ale bardziej podobne do kraba.

– Nieważne. Plądrujemy ich słowo pisane i staramy się zebrać tyle informacji, żeby móc wypytywać tubylców i nie wyglądać na obcych.

– Którymi jesteśmy.

– Nie o to chodzi – powiedziałem. – Musimy namierzyć władze, nie ujawniając się. Możliwe, że w końcu będziemy się z nimi kontaktować. Możliwe też, że będziemy je także szpiegować. Ale nic z tych rzeczy nie zrobimy, nie mając podstaw.

– Ja będę zadowolona nawet jeśli zrobimy tak, jak powiedzieliśmy temu gliniarzowi – popłyniemy w dół rzeki.

– Bridge, rozumiem, tylko że dla mnie cel to znalezienie Bendera. Albo wyśledzenie, co się z nim stało. Nie zapominajmy o tym.

– Na pewno nie da się go znaleźć samymi skanami?

Odpowiedział Garfield:

– Zrobiliśmy symulację. Sęk w tym, że megakonstrukcja wykorzystuje optoelektronikę, bardzo podobną do naszej. Przeskanowanie każdej mili topopolis zajmuje około dwunastu godzin, a potem kolejne sześć – szczegółowa analiza skanów. Samo skanowanie to milion lat w pesymistycznym przypadku.

– A nie możemy nabudować całej fury skanerów?

– Tak, ale trzeba będzie też nabudować całą furę nas, żeby przetwarzać te skany. Nawet przy najbardziej wydajnym algorytmie mnożenia się, ignorując dostępność surowców, i tak wychodzimy na jakieś sto pięćdziesiąt lat. A w układzie nie mamy takiej ilości surowców, więc trzeba je będzie zwozić z zewnątrz. Co dodaje kolejne wiele lat.

Bill pokiwał głową i podjął dyskusję:

– Z drugiej strony strategia badań terenowych może nam przynieść wyniki w niecałe dziesięć lat, przynajmniej według Hugh.

– Na jakiej podstawie on to mówi? – Bridget spojrzała na niego z powątpiewaniem. – Niemożliwe, żeby miał jakieś statystyki.

– Coś tam ma. Ludność Niebiańskiej Rzeki, liczba ludzi, z którymi mamy kontakt przez rok, liczba ludzi, którzy usłyszą o nas przez rok… Coś z dziedziny teorii sieci. W końcu jest ponadpięćdziesięcioprocentowa szansa, że albo my nawiążemy kontakt z odpowiednią osobą, albo ona z nami. Hugh mówi, że poniżej dziesięciu lat.

– Hmm… – Bridget pokręciła głową. – Dobra, okay. Ta druga skala czasowa i tak mnie nie zachwyca.

– Hej, jeśli ktoś potrzebuje przerwy, to ja jestem do dyspozycji – rzucił z uśmiechem Will. – Te zabawy w strumieniu wyglądały naprawdę super.

Wstałem, sygnalizując koniec spotkania.

– Mamy sześć godzin do planowego obudzenia mannych. Zajmijcie się czym tam potrzebujecie się zająć.

18. Nie było w planie
Will, czerwiec 2334, Quin

Zsunąłem się z wieszaka, zachwiawszy się lekko. Trzeba się było trochę przyzwyczaić do proporcji quinlańskiego ciała. Właśnie przyglądałem się konkretnym pazurom na mojej dłoni, gdy drugi manny otworzył oczy.

– Hej, Howard. – Uniosłem dłoń. – Klawe pazury, co?

Zmarszczył czoło.

– Z Rikera w hipisa? – zapytał. Wyszczerzyłem się do niego, a on odpowiedział uśmiechem. – Dzięki za zaproszenie. Przyznam, że projekt Bridget bardzo mnie zaciekawił, a jej opis pływania był nietypowo jak na nią entuzjastyczny.

Kiwnąłem na drona, żeby otworzył ładownię.

– Nie ma problemu. Też mnie to ciekawi, ale poza tym mam obowiązek poćwiczyć, na wypadek gdyby mnie tam wezwali. Tyle o mnie. – Wskazałem na drzwi i wyszliśmy razem.

Drona zaparkowałem w innym mieście, trochę większym niż to odwiedzone przez Boba i Bridget. To miasto o wiele bardziej oberwało – musieliśmy omijać rejony o zbyt silnym promieniowaniu, bo nawet manny nie był odporny na szkodliwy wpływ, ale praktycznie wszystko inne mogliśmy ignorować. Chciałem mieć przekrojowe pojęcie o typach wojny, którą urządzili sobie Quinlanie. To miasto było obrzucone materiałami wybuchowymi. Może pociskami, może bombami. W każdym razie niczym kinetycznym, bo wtedy nie zostałoby zbyt wiele do zbadania.

Musiało być stolicą, a przynajmniej ważnym ośrodkiem. Z powietrza emanowało klimatem „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. Quinlanie używali do naziemnego transportu kolei i do miasta prowadziło naprawdę dużo torów.

Miało także większe kwartały i większe odstępy pomiędzy drogami wodnymi. Ciekawe, czy ze względów praktycznych, czy jakichś innych. Według Boba i Billa quinlańska psychologia była bardzo podobna do ludzkiej, ja jednak nie byłem ekstramyśliwym i nie lubiłem ekstrapolować.

Podeszliśmy do najbliższego kanału i zajrzeliśmy do środka. Nie wyglądało tak źle, na pewno bez oleju i stęchlizny, o której mówił Bob. Jeśli już, to kanał miał całkiem solidny prąd.

– Wygląda w miarę – powiedział Howard.

– Budynki są mniej zniszczone, niż można by się spodziewać – odparłem. – Bridget pobrała próbki tkanek i dała do zeskanowania. Ogromny ładunek wirusów, modelowanie Skippies sugeruje, że sztucznie wytworzonych.

– Czyli do tego wszystkiego jeszcze broń biologiczna?

– No. Najwyraźniej cała populacja dostała nagłej wścieklicy i zaczęła obrzucać się wszystkim, co miała. Aż dziw, że udało im się dotrzeć do tego poziomu technologicznego.

– Może to kwestia gęstości zaludnienia?

Burknąłem pod nosem i zmieniłem temat.

– Szukałem niezniszczonego kanału, w dobrym stanie. To miasto tak oberwało, że niektóre są zasypane gruzem albo w ogóle odcięte. Pomyślałem, że aż takich przygód nie szukamy.

– Brzmi nieźle. To jak? – I skoczył, nie czekając na odpowiedź.

Natychmiast zrobiłem to samo i zobaczyłem, że już znika w oddali. Pognałem za nim, ogon i fałdy na ramionach pracowały w idealnej harmonii.

Howard obejrzał się, nie poruszając głową.

– O, to jest coś warte. Mógłbym to sprzedawać. Zobacz zniszczony świat Quinlan. Niech cię poruszy widok zbombardowanych miast. Podziwiaj…

– Już widzę, jak przekonujesz do tego Bridget. Spróbuj tylko.

Parsknął śmiechem.

– Tu mnie masz. Obdarłaby mnie ze skóry. No dobra, to może nie wycieczki po ruinach Quinu. Ale gdybyśmy po prostu skopiowali mannych i dali na Wolkana… zresztą, może lepiej nie.

– Bo co?

Słyszałem uśmiech w jego głosie.

– Wolkan ma ten swój motyw dinozaurów i on jest tak samo obecny w morskim życiu. Kupa wielkich i głodnych stworów.

– A w rzekach?

– W rzekach, może… trzeba by się przyjrzeć.

Płynęliśmy w przyjemnej ciszy przez parę kolejnych minut, zatrzymując się, by obejrzeć parę zatopionych wraków. Wyobrażałem sobie, że to będzie podobne do nurkowania, jednak wszystkie wideo z ludźmi pod wodą, jakie widziałem, przedstawiały ich jako powolnych i niezdarnych, z wielkim wysiłkiem poruszających się w ślimaczym tempie. Quinlańskie ciała poruszały się bardziej jak wydry – albo raczej pingwiny, bo nie miały gibkości i giętkości wydr.

– Ciekawe. Prąd jest tu zadziwiająco mocny – powiedział Howard. – W mieście nie było widać takiego spadku terenu.

– Ten… nie jestem ekspertem, ale to brzmi raczej groźnie niż ciekawie. – Sam dla siebie zabrzmiałem jak dziaders, ale po terraformacji Walhalli nauczyłem się odruchowo sądzić, że nietypowo to źle. Rzadko zdarzały się wyjątki.

– Jasne… no tak, tu jest jeszcze mocniejszy. Zaraz… oj!

I to nie będzie jeden z tych wyjątków.

– Howard? Co się stało?

– Ja… oj… wciąga mnie… au… do jakiegoś… au… tunelu. Zaraz, światło… o kurde.

Pośpiesznie kazałem dronowi się podnieść, wycentrować się nad naszym położeniem i zrobić skan SUDDAR-em. Sam tymczasem oddaliłem się od ostatniej znanej pozycji Howarda.

– Trzeba mnie będzie stąd zabrać – powiedział w ciszę Howard.

– Co się stało?

– Wypluło mnie w powietrze i trochę sobie przeleciałem. Ale lądowanie było nieudane. Chyba popsułem manny'ego. Włączyłem bikon.

– Dron już cię namierzył. Chwila. – Wpiąłem się w wideo z drona, który opadał do prawie suchego kanału. Na kupie kamieni i gałęzi leżała quinlańska sylwetka. Układ niektórych kończyn zdecydowanie nie był naturalny. – Jak to się stało?

– Wciągnęło mnie do tunelu i wyrzuciło tutaj. Przeleciałem pewnie z pięćdziesiąt metrów. Prawdopodobnie projektanci miasta porobili takie tunele między kanałami, żeby wyrównywać poziom wody. Ale w tym prawie nie ma wody, pewnie jest gdzieś wyżej zatamowany.

Na wideo szopy zbierały Howarda i pakowały do drona.

– W diagnostykę patrzyłeś?

– Tak, mały będzie wymagał remontu. Aż dziwne, że w ogóle jeszcze się łączy. Moduł łączności musi być pancerny. – Pauza. – Nie mów Bridget. Zabije mnie.

Uśmiechnąłem się, choć Howard nie mógł tego widzieć.

– Słyszałem, że warzysz jakieś nowe czerwone ale, tak? Czerwień Rikera, czy coś? Tak się chyba nazywa?

– Nie, nie tak… – Kolejna przerwa. – Co za cieć z ciebie.

– Tak, ale cieć, na którego cześć nazwano piwo.

19. Że co zrobiłeś?
Bob, czerwiec 2334, Grzbiet Garaka

Włączyłem manny'ego i usiadłem, przecierając oczy. Nie byłem pewien, czy Quinlanie tak robią, ale było to przyjemne. Wyjrzałem przez małe, pojedyncze okienko. Wciąż ciemno. Wczoraj „poszliśmy spać", kiedy było jeszcze jasno, więc przegapiliśmy zachód słońca w Niebiańskiej Rzece. A ja chciałem zobaczyć wschód. A dokładniej – na własne oczy zobaczyć, jak Niebiańska rzeka emuluje dzień i noc.

Obudziłem się parę minut wcześniej, żeby mieć pewność, że zdążę przed świtem, a pozostałym zostawiłem wiadomość. Po cichu – nie ze względu na moją grupę, ale na innych mieszkańców motelu – wykradłem się z pokoju i zszedłem po schodach do wejścia.

Powietrze było chłodne, rześkie i pasowałoby do wczesnej jesieni na Ziemi. Punkt numer jeden: sztuczne słońce dostarcza habitatowi nie tylko światła, ale i ciepła. Wynikało z tego, że pod ziemią musi być jakieś chłodzenie, bo system był całkowicie zamknięty. Obstawiałem, że to woda jest utrzymywana w niższej temperaturze, pewnie chłodzona przez filtry-pompy w dnie. A może po wyłączeniu słońca centralny walec także pochłaniał podczerwień.

Nikt więcej nie był na nogach. Wiedzieliśmy, że Quinlanie są głównie dzienni, więc nic dziwnego. Może się trafić jakiś nocny strażnik obchodzący okolicę, może jakiś gazeciarz czy coś, ale poza tym miałem ulicę praktycznie dla siebie. Albo tak mi się wydawało, póki nie usłyszałem za plecami:

– Dzień dobry.

– Dobry, Bill. Wpadłeś na ten sam pomysł?

– No. Kupa danych z dronów, ale własnych oczu nic nie pobije.

Staliśmy w milczeniu i obserwowaliśmy, jak na jednym końcu olbrzymiego walca Niebiańskiej Rzeki powoli rozpala się światło. Zgodnie z konwencją przetłumaczyliśmy ten kierunek na „wschód" i reszta kierunków przyszła naturalnie. „Północ" była w kierunku przeciwnym do obrotu, „południe" –

w kierunku obrotu, choć z wewnątrz nie dałoby się tego wykryć, nie robiąc bardzo dokładnych doświadczeń. W tym układzie współrzędnych ta rzeka płynęła na zachód.

– Dość kierunkowe jest – powiedział Bill w ciszę.

– Co jest?

– Światło z centralnej konstrukcji. Teoretycznie powinniśmy je widzieć z setek mil, ale nie staje się widoczne, póki nie jest naprawdę blisko. Chyba jest jakoś przesłonięte, by świeciło tylko na ograniczony obszar.

– Ma sens. To by też imitowało słabsze światło z rana i po południu, spowodowane zjawiskami atmosferycznymi.

Wreszcie niebo nabrało wyraźnego niebieskiego koloru, a pseudosłońce stało się widoczne, jakieś dziesięć stopni ponad poziomem. Złudzenie nie było idealne. Po pierwsze, każdy punkt na powierzchni habitatu widział je dokładnie nad głową, jakby wszyscy byli na równiku. Po drugie, jego ruch na niebie nie był równomierny. Ponieważ przemieszczało się ze stałą prędkością wzdłuż centralnego walca, musiało pozornie przyśpieszać, zbliżając się do lokalnego zenitu, a potem zwalniać. Południe musiało trwać bardzo krótko.

– Ale niebo jest niebieskie. Rozpracowaliśmy już dlaczego?

Bill odwrócił się do mnie.

– Częściowo to pewnie rozpraszanie światła. Ale tak, myślałem, że bardziej będziemy widzieć wnętrze walca. Może nie aż od razu drugą stronę, ale bardziej, niż to widać teraz.

– To hologram.

Podskoczyłem na uwagę Willa, niespodziewaną, jak… ten… grom z jasnego nieba.

– Co?

– To hologram. Bardzo słaby, niekierunkowy, mało szczegółowy. Wystarczy, że maskuje centralny walec i dodaje trochę niebieskiego, na tyle, żeby wnętrze niknęło w oddali.

– Ciekawe – powiedział Bill. – Skąd masz tę informację?

– Z analizy skanów. Znaleźliśmy w tym środkowym walcu projektory holograficzne. Konkretnie duże.

– Ma to sens.

– Co ma sens?

Odwróciliśmy się z Billem, słysząc głos Bridget. Wyszła właśnie z Garfieldem z motelu, pewnie, żeby nas poszukać.

– Uwaga Willa. Przewiń sobie, to zrozumiesz.

Bridget zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca.

– Przyjemne to jest. Konstruktorzy włożyli dużo pracy, żeby tu było jak w domu.

– No fakt. Co przemawia przeciwko „wymuszonej kolonizacji” i wracamy do pytania…

– No, wcześnie się zerwaliście. Macie coś ważnego do załatwienia?

Wszyscy odwróciliśmy się – znów – słysząc kolejny niespodziewany głos. To był policjant, ten sam, co wczoraj. Zastanawiałem się przez chwilę, czy może jest mannym i nie potrzebuje snu. Ale w małym miasteczku pewnie w ogóle było ich tylko kilku, więc dwie zmiany z rzędu może nie były niczym niezwykłym.

– Naradzamy się nad śniadaniem, sir – odpowiedziałem, starając się wyglądać na głodnego.

– O, tam, jest dużo jadłodajni, panowie… i pani… ale większość jest jeszcze zamknięta. Na razie znajdźcie sobie inne miejsce na usadzenie tyłków, nie tamujcie ruchu na środku ulicy. – Spojrzał na nas znacząco.

Ruchu? Jakiego ruchu? Na ulicy nie było – dosłownie – żywego ducha, z wyjątkiem naszej grupy. Wow, co za kutafon z niego.

– Tak, proszę pana. I tak musimy się zająć swoimi sprawami.

Odwróciłem się i ruszyłem do motelu, ale zatrzymał mnie, dźgając mnie w pierś pałką. Tak, pałką, taką w kształcie maczugi, jak w kreskówkach.

– Lepiej mi się tu zachowujcie. I żebym was więcej nie widział na oczy. Zrozumiano?

Przypomniałem sobie Freda z moich czasów u Deltan i przez moment fantazjowałem, że biorę tego palanta za gardło i unoszę do góry. Ale po milisekundzie czy dwóch mi przeszło, a manny nie okazał w żaden sposób tej walki wewnętrznej.

– Oczywiście, proszę pana, nie ma problemu.

Gliniarz przyglądał nam się jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i odszedł. Garfield przewrócił oczyma i uśmiechnął się szeroko.

– Chopaky, niezłe z nas gangusy, ne?

Bridget spojrzała nań spode łba.

– To był najgorszy cockneyowski akcent, jaki w życiu słyszałam. Chyba że miał być irlandzki. To jeszcze gorzej wyszedł. Nie rób tego więcej.

Parsknąłem śmiechem.

– Jak często Howard to robi?

– Co-dzien-nie. I jeszcze mówi, że to się nigdy nie nudzi.

Wróciliśmy do naszej szafy, znaczy pokoju, i usiedliśmy.

– Pomysły? – zapytałem.

– Może byśmy się na trochę rozdzielili? – rzucił Bill. – To nie jest Thunderdome, to mała, spokojna wioseczka. Połazimy trochę

i popodsłuchujemy. Może ktoś złapie jakiś trop albo chociaż przydatną informację.

– Rozsądne – odparł Garfield. – Jestem za.

Nikt na oko się nie spierał.

– Dobra. Poczekajmy godzinę, niech Krawężnik Życzliwy ochłonie i wtedy wyjdziemy.

W godzinę w Bobiwersum można było zrobić masę rzeczy. Daliśmy mannych na automat i wróciliśmy do domu.

***

Godzinę później pierwszą rzeczą, jaką udało mi się wytropić, było śniadanie, czy coś w tym rodzaju, w pobliskim pubie łamane przez jadłodajnię. Quinlanie nie za bardzo to odróżniali.

Patrzyłem na talerz pełen kawałków ryb i usiłowałem kontrolować twarz. Nie, barman mnie nie wkręcał – inni Quinlanie mieli przed sobą podobne przysmaki.

– Coś nie tak? – zapytał, przyglądając mi się.

– Nic, po prostu pomyślałem, że często ostatnio jem squiz. Nieważne.

Prychnął i odwrócił się. Ewidentnie do pracy barmana nie trzeba było mieć empatii. Ani elokwencji.

W sumie to przecież nie różni się aż tak bardzo od sushi. A sushi uwielbiam. Nadal uwielbiam i regularnie jem je w wircie.

Hmm. Nie. Nie pomaga. Dalej wygląda jak posiekana surowa ryba.

Wzdychając, poleciłem wbudowanej MSI jeść ten posiłek, a sam wycofałem się trochę z pierwszoplanowego przetwarzania. Podkręciłem audio i spróbowałem wyłowić coś oprócz ciamkania i prychania jedzących Quinlan. W porównaniu z Pawonisami nie było aż tak źle, ja widziałem pawoniskie posiłki. Na BobTubie była masa filmików o pawoniskich rodzinach podczas posiłku z podłożonym głosem komentatora sportowego. Przyszło mi do głowy, że ciekawe, czy Pawonisi tych filmików nie widzieli. To tłumaczyłoby ich nastawienie.

Niemniej zachowanie Quinlan też nie było wzorem dystyngowanego jedzenia.

Spory rodzinne, plotki, kto został aresztowany za rozrabianie po pijaku, a kto nie, od czasu do czasu dyskusje biznesowe… dużo gadali, ale na ogół o niczym ciekawym.

W każdym razie większość. Skupiłem się na jednej konkretnej rozmowie dwóch Quinlan:

– Woda znowu przyniosła bandę łazęgów. Tylko część to grandtourowcy. Nikt nie wie, o co chodzi z nimi.

– Mniej bym się przejmował, gdyby rzucali groszem, ale wszyscy strasznie sknerzą.

– I chamscy strasznie.

– Myślisz, że to kryminaliści? Uciekają przed czymś?

– A może ich rozproszyli?

– W takiej liczbie? Jakieś bojówki?

– Nic nie słyszałem, żeby były jakieś większe bitwy ostatnio.

– Hmmm. W ogóle się to kupy nie trzyma.

O, to było coś ciekawego. Może jakaś lokalna osobliwość, ale i tak warta sprawdzenia. Szczególnie to wymówione z naciskiem „rozproszenie". Rozejrzałem się, starając się nie rzucać w oczy, aż wypatrzyłem mówiących. Dwóch grubych, starszych Quinlan, pewnie miejscowych kupców – byli obwieszeni błyskotkami, a sierść mieli barwioną, co w wodzie nie przetrwałoby nawet minuty. Jeśli dobrze pamiętałem z socjologii, była to oznaka bogactwa lub uprzywilejowania, pokazująca, że nie muszą wchodzić do wody.

Może ktoś jeszcze by coś podsłuchał?

– Hej, słuchajcie, popatrzcie, czy nie znajdziecie czegoś o masowych przemieszczeniach nieznajomych i mało rozmownych osobników. I może byście znaleźli definicję slangowego słowa „rozpraszanie".

Otrzymałem potwierdzenia od innych i wróciłem do nasłuchu. Niestety rozmowa zeszła na sprawy bardziej handlowe. Po paru minutach pogodziłem się z faktem, że nie dostanę żadnych nowych informacji. Dzięki wszechświatowi, MSI dojadła mój posiłek. Postanowiłem się przejść.

Wyszedłszy z jadłodajni, stanąłem zbity z tropu. Kiedy wchodziłem do środka, ruch nadal był znikomy. Widocznie wszyscy Quinlanie wstają o tej samej porze. Albo idą do pracy na standardową godzinę. Wszystko jedno, w każdym razie na ulicy panował teraz kompletny chaos. Nie byłem w stanie wykryć niczego w rodzaju ruchu lewo- czy prawostronnego, trudno też było ustalić, co jest chodnikiem, a co jezdnią. Piesi śmigali pomiędzy wozami ciągniętymi przez zwierzęta, które z kolei omijały się nawzajem i w ogóle nie zwracały uwagi na pieszych. Przyjrzałem się tym zwierzętom pociągowym, w pewnym stopniu podobnym do wołów i nazywanych po quinlańsku „haun". Były ogromne. Mogłyby zadeptać dorosłego Quinlanina i nawet tego nie zauważyć. Jedynie ich powolny i rytmiczny chód pozwalał pieszym na w miarę bezpieczne poruszanie się.

Wozy były interesujące. Nic nie leżało na nich na wierzchu. Niektóre miały plandekę, na innych towary były poowijane i powiązane linami, inne jeszcze

miały całkowicie zamkniętą budę. Sporo dodatkowej pracy, zamiast po prostu wrzucić towary na pakę.

Podszedłem od tyłu do jednego wozu i zerknąłem. Zdecydowanie porządnie przymocowane. A skoro było mało prawdopodobne, żeby wóz ciągnięty przez hauna brał zakręty na dwóch kołach, przyszło mi do głowy, że może problemem są kradzieże.

Zaskoczył mnie nagły krzyk.

– Ej, ty! Won od mojego wozu! Policja! Złodziej!

Uniosłem wzrok i zorientowałem się, że to woźnica na mnie krzyczy. Rany, taki drażliwy?

– Ale ja nie…

– No proszę, proszę, patrzcie, kogo my tu mamy!

Znajomy głos i to niezbyt pozytywnie znajomy. Odwróciłem się i stwierdziłem, że gapi się na mnie Krawężnik Życzliwy, postukując pałką o dłoń. Znów poza jak z kreskówki, aż mimo woli się uśmiechnąłem.

– Proszę pana, ja nie…

– A ja myślę, że tak, chłopcze, i porozmawiamy o tym na komisariacie. W tył zwrot i marsz.

Spróbował szturchnąć mnie pałką, a ja odruchowo wygiąłem górną część ciała w prawo, robiąc unik. Delikatne pociągnięcie lewą ręką zapewniło, że pałka nie zatrzymała się tam, gdzie powinna, lecz poleciała dalej.

Policjant zjeżył się i szarpnął pałką, próbując uderzyć mnie z bekhendu w głowę. Jednak, skoro już lewą ręką kontrolowałem zbrojną w pałkę kończynę, po prostu odchyliłem ją tak, żeby przeleciała mi nad głową. Setki sekund ćwiczeń w wirtualnym kung-fu dawały wreszcie wyniki. Aż chciało mi się zawyć z radości. No, tylko że, wiecie… Policja.

A policja dostała już pełnej furii i zaczęła wołać o posiłki. Dopiero po sekundzie dotarło do mnie, że te posiłki to nie będą dodatkowe siły policyjne, ale przechodnie. Jak jeden mąż odwrócili się w stronę burdy i ruszyli na mnie, wyciągając ręce, żeby mnie złapać. Wyraźnie lubili tu obywatelskie zatrzymania.

– Słuchajcie, wpadłem w kłopoty z prawem. Chyba musimy zwiewać z miasta. I to już.

Bill odpowiedział od razu:

– Co, kurde, zrobiłeś?

– Spojrzałem na wóz. Nie żartuję, tylko tyle. Nawet go nie dotknąłem. Ci goście naprawdę mają problemy z kontrolą emocji.

– Dobra – odparł Bill. – Spotykamy się w dole rzeki. Bob, nie popisuj się. Nic nadludzkiego. Znaczy, ten, nadquinlańskiego. Wiesz, o co chodzi.

Wiedziałem. Androidzkie ciało miało moc i szybkość, z którą nie mógł się równać żaden Quinlanin. Ale lepiej niech nie myślą, że po ich świecie chodzi jakiś Superquinlanin.

Cały dialog zajął niecałą milisekundę, więc ludzie wciąż się na mnie rzucali. Pora iść.

Wysunąłem się z zasięgu ramion pierwszego napastnika, chwyciłem go i popchnąłem na następnego. Odepchnięcie pozwoliło mi zmienić kierunek i stanąłem oko w oko z kolejnym osobnikiem. Na jego twarzy właśnie zaczęło się odmalowywać zdziwienie, gdy pchnąłem go na jeszcze jednego, tworząc zaczątki kłębowiska. Dzięki temu znów mogłem zmienić kierunek. Ludzie gonili mnie teraz w trzech różnych kierunkach. Ostatniego wystarczyło tylko delikatnie podciąć i upadł, przewracając jeszcze kilku innych.

Przede mną zrobiła się otwarta przestrzeń i rzuciłem się w nią, starając się nie przekraczać quinlańskich norm prędkości.

Prosto na Krawężnika Życzliwego.

Trzeba mu oddać, że pewnie był przyzwyczajony do tego typu pościgów. A może po prostu zgadł przypadkiem. W każdym razie stał dokładnie pośrodku mojej drogi ucieczki. Uśmiechnął się złośliwie i rozłożył ręce szeroko, żebym go nie ominął.

Ja zaś ruszyłem prosto na niego. Zanim zdążył poczuć szok, odepchnąłem go rękoma, przebiegłem mu po piersi, kiedy padał, i skoczyłem w przód z jego czoła. Nie przysporzy mi to nowych przyjaciół, ale też nie planowałem dłuższego pobytu tutaj. Miałem już otwartą drogę do rzeki. Krótki galop do przystani, sus na drewniany pomost i długi skok do wody.

Usłyszałem za sobą kilka plusków. Pogoń. Ale oni już mnie nie widzieli i mogłem włączyć motorek. Od razu rozwinąłem mniej więcej dwa razy tyle, co biologiczny Quinlanin, a do tego nie musiałem się wynurzać. W parę sekund byłem daleko poza ich zasięgiem. Miejmy nadzieję, że dojdą do wniosku, że gdzieś się schowałem albo ich zgubiłem.

– Poza miastem. Czekam w dole rzeki – ogłosiłem reszcie ekipy.

***

– Słuchajcie, mam świetny pomysł. Niech Bob dowodzi. – Bridget spojrzała na mnie groźnie, widziałem jednak, że powstrzymuje uśmiech.

– No, no, dawaj – odrzekłem. – Mam na twarzy wypisane „młodociany przestępca”.

Pośmialiśmy się wszyscy, a Bill zapytał:

– Z tego, że zaglądasz do wozu, zrobiły się zamieszki?

– W parę sekund – odparłem. – Dosłownie.

– Widziałem bijatykę, jak biegłem do wody – dodał Garfield. – Brało w niej udział dobre dwadzieścia osób i wszystkie się darły. Zdaje się, że nawet zaczęli się tłuc między sobą.

Zapadła cisza. Unosiliśmy się na wodzie i płynęliśmy z prądem, po quinlańsku trzymając się za ręce i nogi. Prąd był powolny, ledwo parę kilometrów na godzinę. Prędkość spacerowa, może trochę większa. Położyłem głowę i zamknąłem oczy, by przyjąć trochę „słonecznego” ciepła. Było popołudnie i oddaliliśmy się od Garaka na tyle, by móc się zrelaksować.

W oddali sunęły łodzie, w górę i w dół rzeki. Quinlanie znali żaglówki, z normalnymi trójkątnymi żaglami. Widziałem, jak halsują, przecinając rzekę w północnym kierunku albo suną półwiatrem, płynąc w górę i w dół. Zauważyłem jednak, że ruch w dół rzeki jest o wiele większy. Ciekawe, czy w górę wracają, przemieszczając się na którąś z innych głównych rzek. Na pewno jest łatwiej, choć trochę okrężną drogą.

Niektóre łodzie były napędzane kieratem z jednym lub więcej haunami. Nie wyglądało to na szczególnie efektywne, ale „efektywność” to idea z ery przemysłowej. Dla społeczeństwa przed wiekiem pary mogło to być aż nadto wystarczające.

– Wiesz co, Bob, ty chyba miałeś rację. – Bridget wyrwała mnie z zamyślenia.

– W czym?

– W tym, jak mówiłeś, że mają problemy z kontrolą emocji. Byliśmy bardzo krótko w miasteczku, a widzieliśmy kilka bijatyk. I nikogo nie dziwiły. Oni są po prostu naturalnie wojowniczy. Bardziej nawet niż ludzie.

– „Wojowniczy”, nie wiem – odparł Bill. – Wydawali się… „uprzejmi” to może zbyt mocne słowo. „Sympatyczni”, być może.

– No dobra, a może „porywczy”?

– To tak, byle co i się tłuką. Potwierdzam.

– A udało się znaleźć coś nowego? – zapytałem.

– Księgarnię znalazłem. Właśnie zaczynałem przeglądać, tylko że znienacka musiałem uciekać z miasta. – Garfield łypnął na mnie.

– Super. Jakie tytuły były?

– Przeważnie beletrystyka. Trochę filozofii, nauk społecznych. Poradniki, tego typu rzeczy. – Garfield chwycił się nas tylną łapą i założył przednie za głowę. – Trochę to zgrzyta, bo to nie jest tak naprawdę osiemnastowieczne społeczeństwo. Ludzie, przynajmniej niektórzy, mają świadomość, że istnieją

zaawansowane technologie. Po prostu nie mają do nich dostępu. Ale wygląda to tak, jakby nikt nie chciał tego wyciągać.

– Bo coś grozi ze strony administracji?

– To jedyne, co przychodzi mi do głowy. Ale to sugeruje, że administracja patrzy.

– Powstaje pytanie: jak?

– Hmm… – Na moment zanurzyłem głowę, by ją ochłodzić. Manny tolerował o wiele większy zakres temperatur niż prawdziwy Quinlanin, ale był zaprogramowany tak, by wrażenia zmysłowe były jak najbardziej autentyczne. Słońce było przyjemne, ale chłodna woda jeszcze bardziej. – Szkoda, że nie wbudowaliśmy w mannych opcji SUDDAR-u. Moglibyśmy wszystko przeskanować i poszukać ukrytych kamer.

– Albo ruchomych – rzucił Garfield. – Sztuczne ptaki i tak dalej?

– Eee, to raczej naciągane – odparł Bill. – Z drugiej strony mają szopy… Hmm…

– No właśnie. Wychodzi, że musimy unikać podejrzeń, a sami patrzeć podejrzliwie na wszystko. – Rozejrzałem się i objąłem grupę okrągłym gestem. – I odtąd nie ma rozmów na głos po angielsku. Wszystkie dyskusje, jak ta, mają być na interkomie.

– Od teraz – dodała Bridget. – Raczej nikt nie będzie miał podejrzeń w stosunku do grupy Quinlan płynących sobie z prądem.

Woda nie falowała, a nurt był powolny. Oczyma wyobraźni zobaczyłem spływających Missisipi Hucka Finna i Tomka Sawyera. Mimo potencjalnych problemów quinlańskie życie było prawdopodobnie idylliczne. Jako naturalne drapieżniki mogli bez problemu wyżywić się podczas podróży. Nie wiedzieliśmy, jak głęboki jest ekosystem Niebiańskiej Rzeki, ale dało się spokojnie założyć, że jest samowystarczalny. To oznaczało co najmniej trochę interakcji typu drapieżnik-ofiara.

A skoro nie mieli mediów społecznościowych ani urządzeń sieciowych, nie znali idei nieustającej łączności. Można było spokojnie każdego dnia spływać rzeką, rozglądając się za kolejnym miasteczkiem. Albo nawet spać na wodzie, jeśli przyszła ochota. Pod wieloma względami to był Eden – świat o spokojnym, zrelaksowanym tempie.

Płynąc, leniwie obserwowałem linię brzegową. Szczegóły się zmieniały, lecz ogólna tendencja nie. Od czasu do czasu widać było pola uprawne, jednak rolnictwo nie było tak wielką i istotną częścią quinlańskiego stylu życia i diety jak u ludzi. Widziałem małe gospodarstwa – częściej niż zabudowania zdradzały je unoszące się zza drzew smużki dymu. Użycie ognia było jednym

z negatywnych efektów ubocznych cywilizacji przedprzemysłowej, ale być może mieli wbudowaną jakąś filtrację powietrza.

Przepłynęliśmy przez parę rozgałęzień, łączących się ponownie, minęliśmy ujścia paru dopływów. Mimo woli robiło to na mnie wrażenie. Szczegółowość krajobrazu była naprawdę niesamowita. Ileż musiało to kosztować wysiłku. Quinlanin mógł spędzić całe życie na eksploracji, a i tak nie poznać każdego zakrętu i meandra. Nie mówiąc już o liczbie miast i miasteczek leżących przy czterech różnych rzekach, każda o długości półtora miliarda kilometrów. Jeśli to rzeczywiście było więzienie, to więzienia bywają naprawdę o wiele gorsze.

Słońce sunęło po niebie, wyprzedzając nas w podróży w dół rzeki. Dwudziestojednogodzinny dzień oznaczał, że mamy nieco mniej, niż nam się wydaje, na znalezienie miejsca do wylądowania i poszukanie schronienia. Nic nam nie było wiadomo o żadnym systemie łączności pomiędzy miastami, a zresztą, skoro odpłynęliśmy, żandarmi z Garaka pewnie będą mieli to gdzieś.

***

Do zmroku nie dotarliśmy do żadnego miasteczka, wydobyliśmy się więc z wody i zbiliśmy w kłębek w niskich zaroślach. Według Bridget ekosystem Niebiańskiej Rzeki był na tyle kompletny, że zawierał dużych roślinożerców i polujące na nie drapieżniki – niektóre mogły mieć skłonność do uznania Quinlan za pożywienie. A nasze androidy były stuprocentowo realistyczne, nawet pachniały jak Quinlanie. Co prawda można to było wyłączyć. Zostawiliśmy mannych w stanie uśpienia i wróciliśmy do wirtu.

– No, dzieciaki, to czego się dziś nauczyliśmy? – zapytałem.

– Quinlanie są porywczy, a policja jeszcze bardziej – odparł Bill.

– Cenna informacja, ale niespecjalnie nas przybliża do znalezienia Bendera – dodał Garfield.

– Ja przeszukałem bazę danych Skippies pod kątem słowa „rozpraszanie” i pochodnych – odparł Will. – Całkiem sporo razy się pojawia. Nie ma żadnej dobrej definicji, bo chyba wszyscy wiedzą, co kto ma na myśli, kiedy używa tego słowa. Ale z kontekstu: to nie jest nic dobrego i przytrafia się tak pojedynczym osobom, jak i dużym grupom.

– Interesujące. Nie wiadomo, czy jakoś dotyczy naszej sytuacji, ale przyda nam się teraz wszystko. – Spojrzałem na pozostałych. – Jeśli coś jeszcze wpadnie wam do głowy, piszcie do wszystkich. A na razie, do zobaczenia za sześć godzin.

20. Na wszelki wypadek
Marcus, czerwiec 2334, Posejdon

Maleb sapnął głośno i odłożył tablet na już i tak zagracone biurko.

– Ciekawe czasy. Ale pewien jesteś, że to nie twoja paranoja troszeczkę się nasila?

Był synem Kala i Giny, dwójki moich najbliższych przyjaciół z pierwszych dni Posejdona. Po ojcu odziedziczył potężną posturę, po matce polinezyjską karnację. Już nie wzruszałem się do łez na jego widok, choć kiedyś miałem taki właśnie problem. Jego rodzice dawno zmarli, a teraz i on się starzał – włosy miał już bardziej siwe niż czarne. Efemerydy. W Bobiwersum to było brzydkie słowo. Ale bardzo mi brakowało przyjaciół, a nowych przyjaźni odtąd nie nawiązałem.

– To też możliwe – odparłem. – Wiem tyle, co mi powiedział Howard, a na Zgromadzeniu go nie było, inaczej dostałby info od Willa. Przy takim zapośredniczeniu to i tak dobrze, że nie pomyliłem imion.

Zaśmiał się i z powrotem wziął tablet.

– Czyli ta niedorobiona Gwiezdna Flota być może zrealizuje swoje groźby, a to być może na nas jakoś wpłynie. To co chcesz, żeby zrobił?

– Nic konkretnego, Maleb. Ale gdybym nadal kontrolował sprzęt, zrobiłbym audyt oprogramowania, pozmieniał hasła, może wzmocnił fizyczne zabezpieczenia. A może tylko poprzesuwał rzeczy w inne miejsca, nie informując o tym. Bo tak, jak jest, to wiesz… – Kiwnąłem na niego.

– No tak, na tym polega moja praca. Tylko posłuchaj, Marcus, ja nie jestem panem feudalnym. Nie mogę tak sobie arbitralnie pozmieniać harmonogramów autofabryk. W dzisiejszych czasach one są integralną częścią ekonomii i są mocno regulowane.

– Ja rozumiem. Ale trochę luzu gdzieś na pewno masz. Chcę ci po prostu to włożyć do głowy. Żebyś to przemyślał. I jeśli możesz coś w toku normalnej swojej pracy zrobić coś, co przyda się także nam… może się to okazać cenne.

Przekrzywił nieznacznie głowę i popatrzył na mnie zmrużonymi oczyma.

– Bardzo starasz się czegoś nie powiedzieć. Jest jakieś potencjalne zagrożenie dla mieszkańców Posejdona?

– Fizyczne nie, nie wydaje mi się. – Pokręciłem głową. – Ekonomiczne? Być może. Bo wiesz, w wircie niewiele mogą nam zrobić. Jeśli coś uszkodzą, to będzie w fizycznym świecie. A to oznacza jakieś odczuwalne dla was skutki.

Parę sekund patrzył w sufit, potem powoli zaczął kiwać głową.

– Jeśli jest rzeczywiste zagrożenie, mam trochę większe pole manewru. I tak będę musiał być ostrożny, ale paru projektom powinno się dać podkręcić priorytet.

– I tylko o to proszę.

Jeden z głowy, jeden z długiej listy. Ciekawe, jak innym Bo-bom idzie z ich kontaktami.

***

Wspólna przestrzeń przed drzwiami do gabinetu Maleba miała okna od podłogi do sufitu, z pięknym widokiem poprzez fibreksową kopułę Nowego Tharku. Przystanąłem, żeby popatrzeć, paru pracowników uniosło głowy. To ciekawe, jak społeczeństwo ewoluuje. System pracy zdalnej z dowolnego miejsca, który wykształcił się w dniach po Wojnie Dywanowej, stopniowo ustąpił miejsca powracającej preferencji do fizycznego miejsca pracy. Wydawało się, że ludzie lubią być w fizycznym kontakcie ze współpracownikami i czują się wyalienowani, gdy przez dłuższy czas są zdani na siebie. Oczywiście godziny szczytu nadal były dla większości ludzi nieznanym pojęciem, więc gospodarczy i społeczny koszt przemieszczania się do miejsca pracy praktycznie nie istniał.

Potrząsnąłem głową, by wybić się z rozmarzenia, i skupiłem się z powrotem na widoku. W średniej odległości, na spokojnej i niemożliwie błękitnej powierzchni oceanu unosił się dywan, a nieco z boku wisiało miasto. Mogłem sprawdzić nazwę, ale nie chciało mi się. W dzisiejszych czasach dywany były wyłącznie ośrodkami przemysłowymi lub rolnymi, z reguły należącymi do konkretnego miasta. Nikt tam nie mieszkał, oprócz paru pustelników na własne życzenie. Technologiczne środki obrony chroniły przed oceanicznymi drapieżnikami do tego stopnia, że na dywanach zaczął ewoluować całkiem nowy ekosystem. Nawet żona Howarda, Bridget, parę razy do nas zajrzała, żeby go zbadać.

Odwróciłem się i ruszyłem do stacji komunikacji. Mimo zapewnień Maleba Bobowie nadal kontrolowali znaczący kwant przemysłu w układzie Posejdona. Nie afiszowaliśmy się z tym i nie pokazywaliśmy go w oficjalnych statystykach

gospodarczych, ale te fabryki też trzeba będzie przejrzeć pod kątem potencjalnych podatności na atak.

Wysłałem do Gupika wiadomość z prośbą o podsumowanie dotychczasowych wyników audytu. Trzeba się w to będzie zaraz osobiście zaangażować, ale na razie… słoneczko było przyjemne, a trawiasty pierścień wokół brzegu Nowego Tharku zapraszał, by usadzić na nim tyłek.

21. Mieszanie się
Bob, czerwiec 2334, dorzecze Arkadii

Usiadłem, woda ciekła mi z sierści i tworzyła kałużę pod tyłkiem. Padał deszcz. Poczułem falę złości, mniej więcej jak wtedy, gdy ulewa zastanie cię na zewnątrz bez parasola. Potem przyszła złość, że MSI mnie nie zaalarmowała. Padało od dłuższego czasu, sądząc po stopniu zamoczenia, no… wszystkiego.

Jednakże złość zaraz zniknęła, gdy przypomniałem sobie mój obecny kształt. Nie czułem zimna, dreszczy, wilgoci. W wodoodpornym quinlańskim futrze było mi ciepło i miło.

Spojrzałem w niebo. Chmury deszczowe wyglądały jak wszędzie – szare, paskudne i mokre. Może trochę dziwne były te paski, wywołane ruchem obrotowym megakonstrukcji, ale może i nie dziwne. Nie byłem ekspertem od meteorologii, a moje zainteresowanie chmurami zawsze sprowadzało się do nieprzebywania pod tymi mokrymi.

Rozejrzałem się. Myślałem, że na zachodzie może być jaśniej, ale było zaciągnięte ze wszystkich stron. Tak więc duże zjawiska pogodowe – odfajkowane. Zmarszczyłem czoło. Bez tego akurat planetarne środowisko mogłoby się obyć.

– Popatrz na to – odezwała się nagle Bridget. Nie wiedziałem, że już się uaktywniła. Wskazywała jakieś zdeptane zarośla. – Chyba mieliśmy w nocy gościa. Dużego. Pewnie lorusz.

– Yyy… – Poszukałem w pamięci. Lorusz był czymś w rodzaju wielkiego wilka, ale z pazurami jak niedźwiedź grizzly. Łapał nimi ofiarę, trzymał i rozdzierał na strzępy. Mało przyjemny gość, to pewne. – Czemu MSI nas nie zaalarmowały?

– Bob, on chyba w ogóle się nami nie zainteresował. Tropy nie dochodzą do naszego gniazda. Pewnie zmylił go brak zapachu i ciepła. Nocny drapieżnik nie będzie polegał tylko na wzroku, więc samo to, że wyglądamy jak posiłek, to było za mało.

Skrzywiłem się. Dobrze, że mamy Bridget, żeby pamiętała o takich rzeczach. Na Edenie z miejscowym ekosystemem zapoznawałem się stopniowo i głównie z bezpiecznej orbity. Teraz byłem w samym środku akcji, a wyniki badań jeszcze do mnie dobrze nie dotarły.

W tym momencie podnieśli się Bill i Garfield. Garfield spojrzał na moją twarz, na Bridget i zapytał:

– Coś mnie ominęło?

Bridget parsknęła śmiechem.

– Zarządźmy jakieś śniadanie.

– Ryba na dziko? Ja dziękuję – odparłem. – Zjem na mieście. Może omlet z szynką i sosem chili…

– Jasne, od razu gdzieś pójdziemy. – Bridget przyjęła pozycję pieska preriowego i rozejrzała się po rzece. – Dzisiaj tylko płyniemy z prądem czy trochę powiosłujemy?

– Prawda, poczuliśmy się jak na wakacjach – odparłem. – Ale to nie wakacje. Płyńmy do najbliższego miasteczka.

***

Znalezienie najbliższego miasteczka zajęło większość kolejnego dnia, chociaż aktywnie płynęliśmy z prądem. Nie musząc przejmować się świadkami, mogliśmy dać gazu i nie zwracać uwagi na ostrzeżenia o zmęczeniu. W wodzie nie groziło też przegrzanie manny’ego. Bill pierwszy zauważył miasto.

– Uwaga, po lewej. Zwolnić do prędkości maksymalnej.

– E, Bill…

– Gar, nie bądź pedantem. Zwolnić do prędkości maksymalnej normalnej dla Quinlanina, okej?

Uśmiechnąłem się. Bill i Garfield ciągle się tak podszczypywali, ale nigdy nie agresywnie. Ja miałem to samo z Marvinem. Uświadomiłem sobie, że dawno go nie odwiedzałem. Nawet nie wiedziałem, czy dalej leci po kolei po środowiskach ze wszystkich książek, które czytaliśmy. Może trzeba jednak się przemóc i wejść z powrotem do społeczności Bobiwersum? Póki jest.

Podpłynęliśmy do przystani i weszliśmy grzecznie po pochylni. Lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Tabliczka nad rzeką głosiła „Galen” i zawierała parę pomocnych strzałek wskazujących ważne obiekty. Zauważyliśmy „Rynek” i poszliśmy w tamtym kierunku. Nie mieliśmy jeszcze żadnego konkretnego planu, bo brakowało nam informacji. Skippies cały czas mieli drony szpiegowskie na nasłuchu, ale niczego

nowego się nie dosłuchali. Nic dziwnego, patrząc z odpowiedniej perspektywy. Daleko nam było nawet do szczegółowego przeskanowania całej konstrukcji – populacja Quinlan, choć zaskakująco liczna, była rozsiana dość rzadko. Nie mogło być „liczącej się obecności” w każdym z miasteczek. A i tak musieliśmy jeszcze dojść, co to właściwie jest.

– Tym razem postarajmy się nie zepsuć – powiedziałem.

– Słucham? „Postarajmy się”?! – zawołał Bill. – Halo, a kto ostatnim razem wywołał zamieszki? Niech no sobie przypomnę…

– Oj tam, czepiasz się. Poważnie: może posuniemy się do przodu z poszukiwaniami. Chcecie się rozdzielić?

– Chyba musimy. Będziemy mieli większe pokrycie.

Kiwnąłem głową, pomachałem łapką (po quinlańsku) i ruszyłem w przypadkowym kierunku. Celem było podsłuchanie rozmów, a może i nawiązanie kilku, żeby delikatnie wyciągnąć informacje. Miałem pewne obiekcje co do tego „delikatnie”. O wiele lepiej znałem Sztukę wojenną niż sztukę konwersacji.

Hmm, ale gdzie by tu pójść, gdzie wszyscy cię zna… no nie, nie do końca. Ale tak. Alkohol rozwiązuje języki. Quinlanie języki mają. To gdzie tu jest jakiś pub czy inna kufloteka?

Podszedłem do pierwszej stojącej nieruchomo osoby.

– Przepraszam, jest tu gdzieś tawerna?

– Tak, u mojego szwagra, Pod Ryczącym Gupikiem. Tamtędy, za domem z czerwonymi drzwiami w prawo. Będzie widać. Powiedz mu, że jesteś od Grena.

Podziękowałem skinieniem głowy i ruszyłem we wskazanym kierunku. Byłem przekonany, że Gren dostanie jakąś prowizję, i nie miałem mu tego za złe. Może nawet będzie jakaś zniżka na pierwsze piwo?

Wiedziałem, że „szwagier” to nie jest dokładne tłumaczenie ich pokrewieństwa. Quinlanie mieli skomplikowany system rodzinny, odniosłem jednak wrażenie, że Gren i jego kamrat od polewania są w całkiem dobrej komitywie.

Bardzo szybko dotarłem do tego przybytku. Rzeczywiście było go widać. Na zewnętrznym tarasie z długimi ławami i stołami siedziało mnóstwo Quinlan z kuflami w dłoniach. Wyglądało na to, że dla nich każda godzina to Happy Hour. Czy pływanie pod wpływem jest przestępstwem?

Podszedłem do baru, kiwnąłem na barmana. Powiedziałem:

– Gren mówił, że można tu dostać piwo.

Barman przyjrzał mi się uważnie, pewnie sprawdzając w pamięci. Chwycił kufel, napełnił go i postawił na ladzie.

– Pierwsze – jednego miedziaka. Potem – dwa.

Wyciągnąłem odpowiednią monetę, położyłem na kontuarze i wziąłem piwo. Miałem złe przeczucie, że raczej nie będzie miało porównania do czerwonych ale Howarda. No cóż, zawsze mogę wyłączyć kubki smakowe.

Przepatrzyłem stoliki. Szukałem miejsca, gdzie potencjalnie słyszałbym kilka rozmów. Potrzebowałem mieć lepszy ogląd tego społeczeństwa, nim rzucę się na głęboką wodę i zacznę rozmowę. Szczególnie po ostatnich wypadkach.

Usadziłem tyłek na ławie i nachyliłem się nad kuflem, starając się mieć minę, jakby był środkiem mojego wszechświata. Potem podkręciłem wzmocnienie dźwięku i rozluźniłem się w roli oblecha-podsłuchiwacza.

– …nie wierzę, że Ginni chce brać do rodziny tego nieudacznika, co ma rybie flaki w głowie…

– …i mówi do mnie, Berro: mam rację, nie mów, że nie…

– …śmieszne, nie? Typ naprawdę myślał, że…

– …mówi, że dwa razy go rozpraszali. Rozumiesz, to się nie zdarza…

Chwila. Rozpraszali? To jest to słowo. Skippies nie znaleźli definicji, poza tym, że to coś złego. O, to może być ważne. Odfiltrowałem inne rozmowy.

Pierwszy głos:

– …rozrabiaka pewnie. Mogą cię raz rozproszyć przypadkiem, ale dwa razy? Nie, Skeve musiał być w to wmieszany.

Drugi głos:

– Jak tutaj znowu narobi problemów, mogą rozproszyć całe miasteczko.

Trzeci głos:

– Ale to nie fair! Czemu mamy wszyscy cierpieć za…

Pierwszy głos:

– Oj młody, Administrator nie zna takiego słowa, „fair”. Jak stwierdzi, że przekroczyliśmy Granice, to zadziała.

Trzeci głos:

– Można coś zrobić? Nie dopuścić do tego?

Pierwszy głos:

– Administratora nie zatrzymamy. Ale możemy nie pozwolić Skeve’owi narobić kolejnych afer i nie dojdzie do rozproszenia u nas.

Drugi głos:

– Jak myślisz to zrobić, Erol? Pogadać z nim? Przemówić mu do rozumu?

Pierwszy głos parsknął śmiechem.

– Jasne. Na pewno zadziała. Może niech skończy jako karma dla ryb.

Drugi głos:

– Wchodzę.

Trzeci głos:

– Nigdy nikogo nie zabiłem. Ale nie mogę stracić mojej rodziny. Też wchodzę.

Pierwszy głos:

– Dobra, słuchajcie. Zaproszę go tu dzisiaj na piwo i coś do piwa, żeby pogadać o sprawach. Niech się trochę napije, zacznie myśleć, że jesteśmy po jego stronie. Potem zaproszę go do siebie. I załatwię sprawę. – Pauza. – Ale musicie być przekonujący. Naprawdę. Musi uwierzyć, że kupujemy te jego wariackie idee.

Zerknąłem mimochodem w stronę głosów. Dwaj Quinlanie kiwali głowami, a trzeci przypatrywał im się kolejno. To były moje cele.

Rozmowa przeszła na bardziej przyziemne sprawy, nie rzucając więcej światła ani na uczynki Skeve'a, ani na naturę Administratora. (Kiedy to mówili, słyszałem tę wielką literę. Dosłownie. Quinlański miał formę gramatyczną wskazującą nazwy własne).

Posłuchałem jeszcze chwilę, dopijając mój, eee… trunek – był dokładnie tak paskudny, jak się spodziewałem – ale nic interesującego więcej nie wypłynęło.

– Jak tam, macie coś? – zapytałem przez interkom. Liczyłem, że nie będzie słychać triumfu w moim głosie.

– Nie, ale zdaje się ty masz – odrzekła Bridget, niwecząc moją nadzieję. – Ja przynajmniej znalazłam dobry hotel. Spotykamy się na przystani?

Wszyscy się zgodzili i ruszyłem na spotkanie.

***

– No, Bob, dajesz. Co tam ci się udało? – zapytał Garfield.

– Znajdźmy jakiś pokój i się połóżmy – odparłem. – Przekażę wszystko w wircie.

Poszliśmy do znalezionego przez Bridget hotelu, ponegocjowaliśmy z właścicielem i szybko znaleźliśmy się w kolejnym zastawionym piętrowymi łóżkami pokoiku.

– Któregoś dnia trzeba spróbować parę szczebelków wyżej w hierarchii. Fajnie byłoby mieć pokój, gdzie można się obrócić nikogo nie szturchając – stwierdził Bill.

– Po co? – odpowiedział Garfield. – Tylko mannych tu parkujemy. Co ty planujesz jeszcze robić?

Bill łypnął na niego, ale nie odpowiedział. Wybraliśmy sobie prycze, położyliśmy się i się wyłączyliśmy.

Przeskoczyłem do mojej biblioteki i właśnie sadowiłem się w fotelu z podnóżkiem, gdy pojawiła się reszta. Czekały na nich ich ulubione meble, skoro projekt był długoterminowy i wyglądało na to, że będą tu często i długo przebywać. Jeeves przyniósł napoje, Kolczatka wybrała losowe kolana do kolonizacji i zaczęliśmy dyskusję.

– Dobra. Oto co podsłuchałem. – Odszukałem i odtworzyłem rozmowę z tawerny.

Kiedy się skończyła, na parę milisekund zapadła cisza.

Pierwszy odezwał się Garfield:

– Czyli rozpraszanie. Tak się zastrasza niepoprawnych?

– Nie tylko, się zdaje – wtrącił Bill. – Mówili o skutkach ubocznych. „Całe miasto może zostać rozproszone”, tak powiedział.

– Czyli Administrator, kimkolwiek jest…

– Mówili „to” – przerwał Bill. – Celowo użył nieosobowego zaimka. Albo „te”, quinlański w tej deklinacji nie odróżnia liczby pojedynczej od mnogiej.

– Dobra, kimkolwiek „to” jest, rozprasza całe miasto, jeśli mieszkańcy zaczynają fikać. Ciekawe, jak to robi?

– I kto definiuje, co to „fikanie”?

– Musimy dorwać Skeve’a, zanim grupa szturmowa zrobi brudną robotę – powiedziałem, przerywając im dyskusję. – Pomysły?

– Poczekajmy po prostu w tawernie – powiedział Bill.

– Mniam – odparłem. Znowu te pomyje.

***

Bawiłem się zupą rybną, próbując udawać, że jem. Bill i Garfield radzili sobie trochę lepiej, a Bridget wciągała ją jak tubylec. Ci biolodzy.

Po paru godzinach czekania zaczynaliśmy się niepokoić. Barman już na nas łypał, bo piliśmy za mało, a zajmowaliśmy miejsca. W końcu Garfield miał dosyć.

– Trzeba rozważyć możliwość, że zmienili plany. Wiemy, jakie tu są jeszcze tawerny?

Bridget nachyliła się i szturchnęła palcem sąsiada.

– Ej, przyjacielu, są tu blisko jakieś inne tawerny?

Odwrócił się z marsową miną, ale zarejestrowawszy jej trzech kolegów, zmienił wyraz twarzy. Wyraźnie wybrał uprzejmą taktykę – wspomniał o dwóch innych knajpach i mniej więcej opisał, jak do nich dojść.

Reszcie podrzuciłem obraz wideo naszych celów, więc Bill i Garfield pobiegli sprawdzić inne bary. Tymczasem ja postawiłem sąsiadowi piwo za fatygę i zrobił się o wiele przyjaźniejszy, choć trochę zdziwiony.

– Mam ich – powiedział Garfield. – Wychodzą z Figlującej Makreli. Musieli zmienić plany. Dobrze, że dłużej nie czekaliśmy.

– Trzymaj się ich, Gar – odpowiedziałem. – Mamy twoją pozycję. Już lecimy, najszybciej, jak się da.

Zerwaliśmy się z Bridget i ruszyliśmy do drzwi, a za nami poleciały protesty i przekleństwa.

Bill napisał, że też jest w drodze. Kusiło nas, by użyć niebiologicznej prędkości, ale to mogłoby nasunąć pytania, które zmusiłyby nas do opuszczenia miasta – i zaalarmować Administratora, jeśli ma dobrze działającą siatkę wywiadowczą.

Garfield czekał u wejścia do zaułka, kiedy wyhamowaliśmy. Bill wciąż był w drodze.

– Korek – powiedział. – Trochę to jeszcze zajmie.

– Skąd korek w świecie z wozami zaprzęgowymi? – mruknąłem.

– Może są zamieszki, bo ktoś zajrzał do wozu… – odmruknęła Bridget.

– Raz człowiek błąd zrobi…

– Nie możemy czekać na Billa – powiedział Garfield. – Mamy do nich sporą stratę.

Pobiegliśmy gęsiego zaułkiem. Nie widzieliśmy nikogo, ale nie było gdzie skręcić, chyba że nasze cele nagle wykształciły w sobie umiejętność wspinania się po ścianach. Na moment stanął mi przed oczyma Bóbr Pająk w czerwono-niebieskich gatkach i dałem sobie w myślach klapsa. Wtem usłyszałem, jak Garfield śpiewa: „Spider-pig, spider-pig…”, i uśmiechnąłem się. Bob to Bob, od zawsze na zawsze.

Gdy w pełnym pędzie wybiegliśmy zza rogu, znikąd wyskoczyło na nas parę postaci i przewróciło nas. Komputerowe refleksy wystarczyły, żebyśmy się zorientowali, co się dzieje, ale niestety manny działały w fizycznej rzeczywistości, gdzie jest coś takiego jak bezwładność. Niewiele się dało zrobić, poza odwróceniem się w kierunku ataków, zanim padliśmy na płask.

Dawniejsze androidy byłyby zbyt ciężkie, żeby je tak przewrócić, ale nowe modele ważyły tyle, co biologiczne osobniki imitowanego gatunku. Okazało się więc, że leżę na plecach i patrzę na bardzo rozeźlonego Quinlanina, już zamierzającego się na mnie nożem.

Pora porzucić jakiekolwiek pozory, że jesteśmy „bio”. Podniosłem się szybciej, niż opadał ten nóż, i Quinlanin z sapnięciem pofrunął w powietrze. W szczycie trajektorii trzasnąłem go w bok głowy i zerwałem się na równe nogi.

Jeśli dobrze to wyliczyłem, będzie oszołomiony przez minutę czy dwie, ale nie ciężko ranny.

Tak samo poleciało dwóch kolejnych Quinlan, moi przyjaciele pozbierali się na nogi. Bridget dostała nożem – sztuczna krew ciekła jej z rany w ramieniu. I wyglądała na wściekłą – naprawdę wściekłą. Przez moment zastanawiałem się, czy nie trzeba bronić przed nią napastników.

Garfield pokazał w głąb zaułka.

– Tam się coś dzieje. – I nie czekając na odpowiedź, puścił się sprintem w tamtym kierunku. Albo raczej ekspresowym kaczkochodem.

Obejrzałem naszych niedawnych napastników. Wszyscy trzej byli w różnych stadiach oszołomienia i stracili chęć do walki.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem Bridget.

Kiwnęła głową, z wciąż wściekłą miną. Nano działało, krew przestała ciec. Za kolejną minutę nie będzie śladu rany i nawet sierść odrośnie.

U nas w Bobiwersum porządnie się buduje.

Dobiegły nas odgłosy bitwy z kierunku, w którym zniknął Garfield. Upewniwszy się, że tu już nie ma zagrożenia, opadłem na cztery łapy i pogalopowałem w tamtą stronę, a Bridget za mną.

Kiedy dotarłem na miejsce zamieszania, zobaczyłem Garfielda tłukącego jednego Quinlanina drugim, w charakterze maczugi. Wyglądało to mocno kreskówkowo i na moment zatrzymałem się, by popatrzeć. Było to też dla Quinlanina fizycznie niemożliwe. Spora szansa, że Garfield nas zdemaskował.

– Ej, stop z tym Supermanem! – zawołałem do niego.

Garfield zatrzymał się zawstydzony i opuścił maczugę. Drugi Quinlanin przewrócił się powoli, jak dmuchany Mikołaj po wyłączeniu sprężarki.

– Myślisz, że chodziło o Skeve’a? – zapytałem przez interkom.

Garfield odrzekł na głos:

– Chyba to właśnie jego atakowali. – Wskazał głową. – Tam pobiegł. Jest ranny.

Kiwnąłem głową i ruszyłem we wskazanym kierunku.

Znalazłem opartego o ścianę Quinlanina, próbującego zatamować krew z licznych ran. Na zmianę uciskał je rękoma, mamrocząc pod nosem. Podejrzewałem szok.

– Skeve? – zapytałem.

Kiwnął głową. Szybko zdjąłem plecak i wyciągnąłem artykuły pierwszej pomocy. Głównie były to bandaże, lecz on tego właśnie potrzebował.

Opatrzenie go na tyle, żeby chociaż dotarł żywy do lekarza, zajęło tylko chwilę. Kiedy kończyłem, dołączyli do nas Bridget i Garfield. Wziąłem Skeve’a pod jedno ramię, Bridget pod drugie i postawiliśmy go na nogi.

– Dzięki – powiedział. – Jesteście z Ruchu Oporu?

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, a on w tej samej chwili wytrzeszczył oczy. I nagle padłem twarzą do ziemi. Kątem oka widziałem, że Bridget także pada i rzucają się na nią dwaj Quinlanie. Pojawił się kolejny osobnik, wyciągnął coś, co bardzo przypominało pistolet, i strzelił do Garfielda prawie z przyłożenia.

22. Życie w ciekawych czasach
Bob, lipiec 2334, miasto Galen

Garfield spojrzał na swoją pierś, po czym warknął i wyrwał napastnikowi broń. Nie miałem czasu się dziwić – moi pasażerowie mogli mieć noże. Zrobiłem superenergiczną pompkę i dwóch Quinlan poleciało w powietrze. Słyszałem odgłosy sugerujące, że Bridget robi to samo, więc skupiłem się na własnych problemach.

Jeden z napastników od Bridget wylądował trochę na mnie, kiedy zbierałem się na nogi. Chwyciłem go za sierść i walnąłem w głowę z plaskacza. Wyglądało na to, że to skuteczna technika walki. Miałem tylko nadzieję, że nie dostają wstrząsu mózgu albo czegoś podobnego.

Bridget i Garfield zajęli się innymi Quinlanami, Garfield używał broni jako pałki. Wydawało się to dość niebezpieczne, ale miałem dość rozumu, by zdać sobie sprawę, że robienie mu w tej chwili wykładu nie zostanie dobrze odebrane.

Odwróciliśmy się do Skeve'a i stwierdziliśmy, że nigdzie go nie ma. Parę kropel krwi sugerowało, w którą stronę poszedł – a niektóre z nich były rozmazane stopami, miał więc towarzystwo. Ale ratowało go czy porywało?

Garfield wyjrzał zza winkla w kierunku naszej pierwszej bitwy.

– Ta pierwsza grupa jeszcze tam jest – powiedział. – Raczej ma dość. Czyli to jest kolejna grupa, która interesuje się Skeve'em. Mam wrażenie, że raczej go ratują.

Bridget i ja obejrzeliśmy się pod kątem ran kłutych, potem Bridget dokładniej zbadała klatkę piersiową Garfielda.

– Nie ma rany postrzałowej. Strzelał ślepymi nabojami?

– Nie, poczułem, jak mnie trafiło – odparł Garfield. – Ale nie tak, jak pocisk. No… nie tak, jak sobie wyobrażam trafienie pociskiem. Moje nano teraz to sprawdza.

– Co wy tam wyprawiacie? – zapytał Bill przez interkom.

– Robimy dym – odparła Bridget. – Ale nie tylko my. – Wskazała krople krwi na ziemi. – Idźmy ich śladem. Może się czegoś dowiemy.

– Ja pójdę – powiedziałem. – A wy od strony ulicy. Na pewno będą chcieli jak najszybciej wyjść z tego zaułka. Muszą zaprowadzić Skeve’a do lekarza, zakładając, że go ratują, a nie porywają.

Skeve wciąż krwawił, co widać było wyraźnie po licznych kleksach krwi. Ułatwiało to bardzo tropienie go, przynajmniej dopóki ślady nie urwały się pod zamkniętymi drzwiami.

– Co za cholera? – Zmarszczyłem czoło.

Drzwi nie wyróżniały się niczym, a układ kropli krwi nie sugerował jakiejkolwiek walki czy szamotaniny. Szarpnąłem. Były zamknięte na klucz, a robiły solidne wrażenie.

– Słuchajcie, sprawdźcie front budynku dokładnie na zachód ode mnie – powiedziałem. – Skeve i jego towarzysze tam weszli. Myślę, że dobrowolnie, bo ślad jest czysty.

– Dobra – odparł Garfield.

Zajęło to dwie minuty, a ja tymczasem stałem w zaułku i wyglądałem podejrzanie jak cholera. Próbowałem opierać się nonszalancko o drugą ścianę, ale to tylko mi przypomniało West Side Story. A dla ewentualnego obserwatora pewnie wyglądało jeszcze bardziej podejrzanie. Teraz, jeśli Administrator ma podgląd na całe to fiasko, na sto procent jesteśmy zdemaskowani. Ciekawe, czy zaraz przylecą jakieś drony i nas zgarną.

– Jesteśmy w środku – powiedziała Bridget. – To hotel. Nie ma tu jak ich szukać. Równie dobrze mogli sobie po prostu wyjść frontowymi drzwiami.

– Cholera.

To zasługiwało na chociaż łagodne przekleństwo. Straciliśmy nasz pierwszy prawdziwy trop i jednocześnie zwróciliśmy na siebie uwagę. Bez dwóch zdań druga grupa osiłków, kiedy dojdzie do siebie, będzie pamiętała SuperGarfielda. Trzecia pewnie także. Dostał kulkę i tylko się wściekł, zupełnie jak Terminator. Czas stąd znikać?

– Spotkajmy się w trzecim pubie – powiedziałem. – Pod Starą Cholewą. Bill, jak tam?

– Nie ma problemu. Będę tam pewnie przed wami. Idźcie okrężną drogą, bo tu dalej jest masakra.

***

Garfield wziął długi łyk piwa. Nachyliłem się i zacząłem patrzeć, czy nie wylewa mu się strużką z piersi. Zauważył to i parsknął śmiechem, omal nie wypluwając napitku.

Opowiedzieliśmy Billowi o naszych przygodach. Ja uniosłem szklanicę, kiedy Bill opisywał uliczny korek. To naprawdę wyglądało, jakby ktoś wszczął bójkę i ona wymknęła się spod kontroli, dokładnie tak jak w moim przypadku. Zdecydowanie problemy z zarządzeniem emocjami. To musiała być interesująca cywilizacja.

Piwo stopniowo przypadało mi do gustu, w przeciwieństwie do zupy rybnej. Zastanowiłem się, czyby nie zeskanować go dla Howarda. Może byłby w stanie przystosować je dla ludzi. W najgorszym razie zostałoby tylko w Bobiwersum.

Garfield odstawił kufel i wyciągnął rękę, pokazując coś małego.

– Strzałka. Konsystencję ma jak wyschnięty żelek. Zamoczyłem ją w wodzie i trochę się rozpuściła. To na pewno jakiś środek chemiczny.

– Hmm… Niestety nasze nano nie umie w analizę chemiczną. – Bridget trąciła przedmiot palcem. – Ale pewnie masz rację. Środek uspokajający czy usypiający. Gdyby chcieli zabijać, kula byłaby prostsza. Albo nóż.

– A broń gdzie jest? – zapytał Bill.

Gar odwrócił głowę.

– W plecaku. Spojrzałem na nią. W rękojeści jest magazynek na strzałki, w tym przypadku prawie pusty i zbiornik ze sprężonym powietrzem. Wygląda nawet, jakby dało się go ręcznie dopompować. Porządna technika.

– I myślisz, że ta grupa to była… ten… Administracja?

Bill pokręcił głową.

– Obstawiam jednak Ruch Oporu. Usypiacz to dla mnie coś, co miałaby właśnie Administracja.

– No, ale przecież oni go mieli.

– Mieli jeden. Chodziło mi o to, że w Administracji każdy by go miał. I z pełnym magazynkiem. Ten wygląda na ukradziony czy coś. – Przerwał i zmarszczył czoło. – Bob, Skeve pytał, czy jesteś z Ruchu Oporu. Wyglądał na przestraszonego?

– Tego, że jesteśmy Ruchem Oporu? Nie, w zasadzie nie.

Bill kiwnął głową.

– Czyli on pewnie sam był z Ruchu Oporu i próbował na nowo nawiązać kontakt po rozproszeniu. Myślę, że ta trzecia grupa to był Opór. Próbowali go uratować, przeszkodziliśmy im. Nie wiadomo, czy myśleli, że jesteśmy po stronie miejscowych, co chcą go zabić, czy że jesteśmy z Administracji, w każdym razie weszli do gry, zaatakowali nas i uratowali go.

– Ale gdybyśmy byli Administracją, to mielibyśmy usypiacze, nie?

– Hmm. Racja. Wybieram opcję „wzięli nas za miejscowych”.

– Ja cały czas myślę, że ten hotel nie był przypadkowy – powiedział Garfield. – Nie zostawia się otwartych tylnych drzwi. Na pewno jakoś specjalnie zapukali

czy coś.

– Chcesz go poobserwować? – zapytałem. – Możemy go mieć jakiś czas na oku. Może ten Skeve znowu się pokaże.

– A wtedy co? Wchodzimy siłą i przewracamy wszystko do góry nogami? – rzucił Bill z uśmiechem.

Bridget przewróciła oczyma.

– Dobra, wiem, że nie mówisz poważnie, ale warto przypomnieć, że nie możemy robić niczego nadludzkiego. – Łypnęła na Garfielda. – Niczego więcej nadludzkiego. Chcemy dowiedzieć się czegoś o nich, a nie na odwrót.

– No – potwierdziłem. – Miejscowi może nam nie podskoczą, ale jeśli Administrator coś zwietrzy, to na pewno ma lepszą technologię i przewagę liczebną. Jednego byśmy nie chcieli: żeby nas złapali i rozmontowali.

Garfield kiwnął głową.

– To nie możemy wejść jak SWAT. I musimy unikać bezpośredniej konfrontacji. Hmm… Myślałby kto, że będąc bandą komputerów-gwiazdolotów, ma się większą przewagę. – Wyszczerzył się. Odpowiedziało mu parę śmieszków.

– Nie mamy specjalnie wyboru, prawda? – powiedziała Bridget. – To jest nasz pierwszy prawdziwy trop. Nawet jeśli brniemy po omacku, to chociaż mamy na czym się skupić.

Garfield westchnął.

– To też racja. Dobra, coś wymyślę, żeby mieć ten hotel na oku.

– U Barney’ego – powiedziała Bridget.

– Serio? „Barney’ego”?

Uśmiechnęła się. Prawie.

– Miejscowe imię brzmi bardzo podobnie. Wiedziałam, że to będzie pierwsze, co przyjdzie do głowy, biorąc pod uwagę dziecinne poczucie humoru Bobów.

– No właśnie. I poszłaś prosto tam – odparłem. – To chyba jest zaraźliwe.

Bridget zrobiła przerażoną minę, a Garfield i Bill zaczęli skandować:

– Jedna z nas, jedna z nas.

– Oj, cicho. – Na moment umilkła i zastanawiała się. – Skoro Gar zajmie się hotelem, to reszta może się dalej rozglądać. Ustalimy jakieś rewiry czy coś?

– Świetny pomysł. Ja zobaczę, czy uda mi się załatwić z Hugh dokładny skan miasta i zrobienie mapy. – Bill przeczesał z namysłem futro. – Hmm. Skeve był ranny, prawda? Musiał pójść do jakiegoś lekarza, szpitala… Może pod tym kątem da się coś znaleźć.

– Tym ja się zajmę – powiedziała Bridget. Wbiła we mnie wzrok. – Zostajesz ty, nasz nieustraszony przywódco.

– Ja będę tu siedzieć i pić – odparłem, unosząc kufel.

– Chyba śnisz, bobrołaku. Znajdź nam nowe lokum, trochę bliżej Barney’ego, co ty na to? A jutro może w końcu znajdziemy tę bibliotekę, o której cały czas mówię.

Wyszczerzyłem do niej zęby. Nieustraszony przywódca. Akurat.

***

W okolicy było kilka hoteli, a na tej przecznicy dosłownie jeden przy drugim. Wybrałem na chybił trafił, zapłaciłem z góry za tydzień i odebrałem klucz. Nie podobało mi się, jak właściciel wgapiał się w moją kieszonkę z pieniędzmi, kiedy odliczałem monety. Trzeba będzie pamiętać, żeby nie zostawiać w pokoju nic wartościowego.

– Mam pokój – napisałem do reszty, załączając adres i zdjęcie.

– Świetnie – odpisał Bill. – Dogadałem się z Hugh, że zeskanuje miasto. Niestety przemieszczenie drona i zrobienie szczegółowego skanu zużyje mu resztę radiatora, więc będzie musiał go ewakuować i sprowadzić drugi. Narzeka, że to mu zawala terminy w projekcie. Jakby były jakieś terminy. Ci Skippies chyba po prostu mają OCD.

– Bo reszta to wcale – zauważyła Bridget.

Nikt nie zdecydował się odpowiedzieć.

Inni mieli pół godziny drogi do „domu”, więc skorzystałem, by przyjrzeć się naszemu nowemu lokum. Pokój był trochę większy od poprzednich, miał w sam raz tyle miejsca, żeby przy pełnym składzie móc zamachnąć się kotem. Prawdziwy pałac. Sufit, jak w większości budynków, stanowiły odsłonięte belki. Oczywiście klimat był łagodny, a Quinlanie mieli futro, więc izolacja nie była tu zagadnieniem.

Przypatrywałem się belkom, aż znalazłem dobre miejsce. Za małe, żeby schować coś cennego, więc nieinteresujące dla potencjalnego złodzieja. Zasłoniłem usta ręką i otworzyłem je. Na wierzch dłoni wyszedł jednocalowy szop. Gdyby ktoś to zobaczył, pewnie miałby koszmary przez resztę życia.

Uniosłem rękę, szop przemaszerował z niej na najbliższą belkę, a stamtąd do kryjówki. Jednocalowy model to najmniejszy, w którym kamera jeszcze nadaje się do monitoringu. Inaczej poszedłbym w nano.

Chciałem po prostu wiedzieć, czy ktoś przetrząśnie pokój pod naszą nieobecność. Nie zamierzałem go od razu straszyć. No może trochę. Wredny Bob.

***

Zastanawiałem się, czy nie przeskoczyć do wirtu, gdy dostałem wiadomość od Bridget.

– Złe wieści, chłopaki. Znalazłam Skeve’a.

– Złe?

– Oj, przepraszam. Uciekł mi. Poszedł do lekarza, dał się opatrzyć. Zanim tam dotarłam, już go nie było.

– Ożkur… – jęknąłem, ale tylko wewnętrznie. – No dobra, spotkajmy się w naszym ulubionym pubie.

Zostawiłem wskazówki szopowi i zamknąłem drzwi do naszego pokoju na klucz. Ryczący Gupik był niecałe pięć minut stąd.

Dotarłem pierwszy i zająłem stolik. Barman łypnął na mnie spode łba, gdy się sadowiłem, pewnie pamiętając nasze oszczędne wydawanie grosza. Nie mogłem dłużej się tak wyróżniać, więc kiwnąłem na niego i zarządziłem cztery razy browar i cztery razy danie dnia. Jego nastawienie zmieniło się znacząco i uniósł kciuk. Co dość niespodziewanie znaczyło dla Quinlan to samo, co dla mnie. Przypadkowa korelacja gestów.

Po paru minutach dotarła reszta. Garfield podjął skoordynowany wysiłek wyrównania zaległości w piwie, a Bridget wyprzedziła mnie z posiłkiem – czymś w rodzaju makaronu nadziewanego rybą. Bo dlaczego nie? Wyobrażałem sobie, że na długo przed końcem tej wyprawy będę rzygał na widok ryby.

Kiedy skończyła, podsunąłem jej mój talerz.

– Wiecie co, bycie replikantem albo kierowanie mannym ma jedną wielką zaletę – dodała między kęsami. – Nie trzeba się przejmować przejedzeniem. – Przerwała, by delektować się kolejnym kęsem. – Chociaż kiedyś uwielbiałam lody z gorącą czekoladą. A potem zjadłam ich sto, w wircie, bo mogłam. I chyba się dla mnie skończyły.

– Zrobiłbym to samo z tymi rybnymi daniami – odparłem. – Tylko że chyba już jestem w tym miejscu.

W końcu dokończyliśmy jedzenie, a ja kiwnąłem na kolejną rundę napojów.

– Bob, uważaj, nie chcemy, żeby skończyła nam się kasa. – Bill wbił we mnie wzrok. – Nie da się jej ściągnąć, kiedy chcemy.

– Na razie jeszcze mamy sporo. Myślę bardziej w krótkim terminie. W dłuższym, mam nadzieję, że złapiemy jakiś kontakt, zanim skończą się pieniądze. A jeśli nie, trzeba je będzie jakoś przerzucić. Albo pójść do pracy.

Bill stęknął, ale nie odpowiedział. Odwróciłem się do Bridget.

– Skeve? Co z nim?

– Według lekarza kilka ran kłutych. Chciał wiedzieć, czy jesteśmy spokrewnieni. Powiedziałam, że tak, ale nie bardzo blisko. Nie przejął się tym specjalnie.

– Skeve pewnie nie miał tu żadnej rodziny. Pamiętacie, dwa razy go rozproszyli? – Garfield pokazał rękoma coś w rodzaju wybuchu. – Z kontekstu wychodzi, że to oznacza przymusowe przeniesienie. Może być bardzo daleko od miejsca, gdzie się urodził.

– Hmm… – Patrzyłem przez moment w przestrzeń, rozważając to. – Czyli… jeśli ktoś zrobi coś i zwróci na siebie uwagę Administratora, zostaje rozproszony. Przemieszczony. Nawet całe miasto. Ale czemu?

– Zależy, jaka jest motywacja.

– Na przykład, jak Administracja definiuje „fikanie”, tak?

– Na przykład.

– Trochę dziwne, jak na karę – stwierdził Bill.

– Jeśli to kara – odparła Bridget. – Może chodzi po prostu o izolowanie rozrabiaków.

Nad stołem zawisła niezręczna cisza, gdy zastanawialiśmy się nad tym. Półtora miliarda kilometra miejsc, gdzie można kogoś losowo przenieść. Przy tym zesłanie do Australii to jak spacerek.

Uniosłem głowę, bo dostałem sygnał od mojego szopa.

– Oj, słuchajcie, ktoś się włamał do naszego pokoju.

– Co? Skąd wiesz?

Powiedziałem Billowi o szopie. Machnął bezradnie ręką.

– Konieczne to było? Jeśli trzeba będzie szybko uciekać, nie odzyskasz swojego szopa.

– No, wiem, ale po prostu… – Urwałem, bo otworzyłem strumień wideo z szopa. – Hmm. Spodziewałem się, że to będzie właściciel, któryś z jego dzieciaków, coś w tym stylu. A nie czterech wrednych typów z bronią. I nie są dyskretni.

– To nie wygląda na kradzież z włamaniem – stwierdziła Bridget.

– Nie. To bardziej wjazd na kwadrat – odparłem. – Tylko że nikogo nie ma w domu.

Garfield szybko rozejrzał się po pubie.

– Ciekawe. Jest co najmniej dwóch typów, którzy patrzą na nas częściej, niżby należało. Chyba nas rozpracowano. Stawiam na tę grupę, która pobiła Skeve’a.

– A potem my jej wklepaliśmy – odparłem. – I może chcą się zrewanżować. Nie widzę innego powodu, by się nami interesowali.

– Chyba że to ta druga grupa. Też im nie przypadliśmy do gustu.

– Hmm. – Skinąłem głową Bridget, uważając, by się nie rozejrzeć po pubie. – Może pójdziemy sobie? I zobaczymy, co się stanie?

– Tylko pamiętajcie, żadnych nadludzkich numerów – rzuciła Bridget.

Wstaliśmy nonszalancko i ruszyliśmy do drzwi. Zauważyłem kątem oka, że paru innych Quinlan też wybrało ten moment, by wstać. Może przypadek? Pewnie nie.

– Gar, ktoś z tych, których przyuważyłeś, też teraz nagle wychodzi?

– Tak. Przed nami ciekawe chwile.

– A poznajesz któregoś z wczoraj?

Garfield milczał przez chwilę, potem dodał:

– Tak. Jednego, który był w trzeciej grupie. Ruch Oporu?

Wspaniale. To znaczyło, że mogą mieć więcej tych usypiaczy. I rzucić na nas więcej ludzi. Wyszliśmy z pubu i skierowaliśmy się do naszego hotelu. Słyszałem za nami kroki kilku innych klientów, którzy akurat wyszli spod Ryczącego Gupika.

– Brzmi jak cztery pary kroków – powiedział Bill.

– Podoba mi się taka proporcja – odparła Bridget.

Skręciliśmy za róg i moje psie czucie dostało szału. Cały kwartał był wymarły. Dosłownie. W biały dzień. Szliśmy dalej, odgłos kroków za nami wyłonił się zza rogu. I dokładnie w tej chwili czterech kolejnych Quinlan wyszło z bramy przed nami.

– Super. Klasyczny manewr okrążający – powiedział Bill.

– I po mistrzowsku wykonany – dodał Garfield. – Szacun dla Ruchu Oporu.

– I dwóch na jednego to jeszcze w miarę akce… A, cholera. – Sporo ostatnio przeklinałem, ale wydawało się to na miejscu. Otaczająca nas grupa właśnie dobyła noży. Wielkich noży. Sądząc po wyglądzie, z prawdziwego metalu. – Żeby z tego wyjść, trochę naciągniemy definicję tego, co może Quinlanin. Starajcie się nie ciskać kulami ognistymi, ale poza tym wszystko dozwolone.

Quinlanie nieśpiesznie uformowali krąg. Wyszczerzyli się do nas i groźnie zamachali nożami. Nie byłem pewien, czy to zastraszanie, czy chcą, żebyśmy błagali o życie. Tak czy owak, mieli się rozczarować.

Zaatakowali jednocześnie, rzucili się na nas z doskonałą synchronizacją. Mimo wszystko zaimponowało mi to. Albo regularnie razem ćwiczyli, albo praktykowali ten konkretny manewr. I oszukali się, bo tym razem nie mieli do czynienia z prawdziwymi Quinlanami.

Wysunąłem się z zasięgu najbliższego zamachu nożem, chwyciłem napastnika za rękę i obróciłem się. Cel okręcił się wokół mnie i walnął głową w stojącego obok kumpla – ale już bez noża, który po drodze sobie przywłaszczyłem. Gdy ten drugi zachwiał się od uderzenia, walnąłem go w bok głowy. Bicie w twarz nie było w przypadku Quinlan dobrym pomysłem – wyglądało na to, że połamie im się haora, a nie padną. A wolałem unikać trwałych obrażeń.

Dwójka padła, natomiast jedynka tymczasem pozbierała się i odwróciła do mnie. Drugie uderzenie i napastnik także padł.

Rozejrzałem się, żeby zobaczyć, jak radzi sobie reszta ekipy. Bill i Gar używali podobnej taktyki, w końcu wszyscy chodziliśmy na ten sam kurs samoobrony. Bridget natomiast nie miała żadnego treningu w konkretnych sztukach walki, przynajmniej wnioskując z jej stylu, opartego głównie na entuzjazmie. Wykończyła dwóch swoich napastników i odwróciła się, łypiąc na nas.

– Co to miało być? – spytał Garfield. – Grupowe MMA w klatce?

– Leżą. To się liczy, nie? – odparła, wbijając w niego groźny wzrok.

Garfield pochylił się i podniósł ostatnie dwa noże.

– Chyba mamy rozwiązanie naszych problemów finansowych. Założę się, że one są warte mucho mucho kasy. Ale nie tutaj. W Galen już nie jesteśmy mile widziani. Ścigają nas, rozmowa ich nie interesuje, zdaje się, że będą ich po prostu rzucać więcej i więcej.

– Super – powiedziałem. Wysłałem bezgłośne polecenie do mojego szopa, by do mnie wracał. – Chyba pora się przepłynąć.

***

Otworzyłem usta, szop wpełzł do środka. Garfield wzdrygnął się i stęknął, a ja się zaśmiałem.

– No tak. Zjadłem robala.

– Założę się, że dokładnie o to wam chodziło, kiedy to projektowaliście – powiedziała Bridget, kręcąc głową. – Jak dzieci. Jak dzieci.

– Ciągle niedorośli, nawet po trzystu latach – odparłem z szerokim uśmiechem.

– Dobra, koniec zabawy. Trzeba iść. – Bob podkreślił te słowa, dając bez uprzedzenia nura w wodę.

Było z tym trochę więcej roboty niż normalnie, bo nie startowaliśmy z przystani. Przyszło nam do głowy, że to byłoby dobre miejsce na obserwację, jeśli tych oprychów jest więcej niż ośmiu. Dlatego okrążyliśmy miasteczko od zachodu i po prostu szliśmy wzdłuż rzeki, aż znaleźliśmy odludną plażę.

Wskoczyliśmy za Billem, zręcznie unikając płytkiego dna i śmignęliśmy jak torpedy na środek, gdzie nurt był najszybszy. Spięcie się w quinlańską tratwę zajęło tylko chwilę.

– No, to było pełne wrażeń – zauważyła Bridget. – Robimy falę w każdym mieście, gdzie jesteśmy.

– Gwiazdy rocka, gwiazdy rocka – mruknął Garfield.

– A biblioteki dalej nie znaleźliśmy – przypomniała Bridget.

– Dobra, w następnym mieście od tego zaczniemy. Trzeba też się zastanowić, jak dotrzeć do Ruchu Oporu. Może niekoniecznie gadać z nimi, może trochę poszpiegować. Skoro Skeve był w stanie ich znaleźć w nowym mieście, muszą być łatwi do znalezienia albo mieć wszędzie uszy.

– Szczerze, gadanie nie wydaje się strategią o wysokim prawdopodobieństwie – stwierdził Bill. – Spróbujemy szpiegowania.

– Brzmi dobrze – powiedziała Bridget. – To śmieszne, na początku sceptycznie patrzyłam na te statystyki Hugh, a wychodzi na to, że miał rację. Dwa miasta i już mamy kontakt z grupą, która może coś wiedzieć albo kogoś polecić.

Garfield prychnął.

– No, „kontakt”. Który z nas miał dziurę w mostku?

Bill wyszczerzył się do niego.

– Poświęciłeś się dla ogólnego dobra.

Zapadła przyjacielska cisza. Słońce grzało nasze górne połówki. Owady bzyczały, Bridget pacnęła jednego.

– Chyba orientuje się na ciepło. Ciekawe. To niesamowite, jaki kompletny jest tu ekosystem.

Rozejrzałem się.

– Rzeka jest szeroka, a prąd słaby. Dajmy sterowanie MSI. Będą krzyczeć, gdyby coś wymagało naszej uwagi.

Reszta mruknęła na zgodę i przeskoczyliśmy z powrotem do wirtu.

23. Taniec ze smokami
Bill, lipiec 2334, wirt

Dwóch graczy leżało zabitych, a ich dymiące szkielety stanowiły idealne potykacze dla gorączkowo ganiających pozostałych. Smok, odmiany czerwonej, robił, co mógł, by spopielić resztę grupy eksploratorów lochów. Jedyne, co dawało nam szansę, to fakt, że chciał każdym ognistym tchnieniem trafić co najmniej dwa cele. Zważywszy, że pomiędzy nimi długo się ładował, była to rozsądna taktyka.

– Pod niego! W brzuch go! – wrzasnął Tim, wojownik.

– Ty pierwszy, gnojku! – odparł Verne, wódz krasnoludów. – To ty masz magiczny miecz.

Smok, enpec znany jako Gargh Niszczyciel, ryknął i próbował stratować Tima. Także rozsądna taktyka – Tim był za blisko, by trafić go ogniem, samemu nie tracąc paru punktów zdrowia.

Ja chwilowo uszedłem jego uwagi, bo byłem a) sam, b) leżałem na wznak, przewrócony przez ekipę naszych enpeców-rycerzy, kiedy rozbiegli się w przerażeniu. Miałem tylko gównianą zbroję i podstawowy miecz – Gracze otwarcie odmówili przyznania mi wyższego poziomu startowego. Coś o etyce gry. Jasne.

Dymiące szczątki Kevina Mądrego (może nie aż tak mądrego, jak mu się wydawało) wciąż pośmiertnie ściskały jego dumę i chwałę – ognistą laskę. Niestety, ogniste kule działały na czerwonego smoka mniej więcej tak samo skutecznie jak ostry w tonie mail. Gdyby miał laskę burz lodowych czy coś, o, to co innego…

Niemniej była to cenna broń. Jeśli wyjdę z tego żywy, może da się ją przehandlować za magiczną zbroję albo coś w tym stylu. Wstałem, chwyciłem laskę i wyrwałem ją z pozostałości dłoni Kevina.

– Jezus, Bill, graj! – wrzasnął Verne. – To się nie nadaje na czerwonego smoka!

Gargh wrzasnął z furii i bólu, gdy jednemu z graczy udało się odciąć mu kawałek nogi. W odpowiedzi porzucił na moment zasadę „jedno zionięcie, dwa

cele” i wycelował prosto w gracza. Tima, chyba. Z tej odległości nie zostały nawet kości. Tim krzyknął tylko: „Cholera!” i zamienił się w popiół.

Wtedy Gargh zajął się Verne’em, po staroświecku, próbując go pożreć. Verne odskoczył, rozpaczliwie wymachując bojowym toporem.

I tu ciekawostka ze smoczej fizjologii. Kiedy smok nachyla się, żeby kogoś zjeść, podnosi ogon, jako przeciwwagę. A ja, z mojego punktu widzenia, odkrywam, że Gracze są naprawdę obsesyjnie dokładni, jeśli chodzi o szczegóły anatomiczne. Przemknęło mi przez głowę, czy aby nie powinienem uważać na smoczą kupę.

Jak się zastanowić, czerwony smok pewnie nie jest od środka bardziej ognioodporny niż inne zwierzęta.

Z tą myślą podbiegłem do niego od tyłu – na nubka poziom jeden nawet nie warto było zwracać uwagi – wetknąłem ognistą laskę tam, gdzie się wkłada termometr, i pociągnąłem za spust.

Rozległo się stłumione „puff”, smok odwrócił się zdziwiony, z uszu buchnął mu dym. Po czym ryknął, skoczył w górę – i cała scena się zatrzymała.

– Dobra, potrzebujemy decyzji sędziowskiej – poniósł się w powietrzu czyjś głos. – Czy cel ma prawo do ostatniego rzutu kośćmi?

– No, kurna, żartujesz?! – wrzasnął Verne. – Jaki unik niby mógłby zrobić?

I zaczęli się obrzucać wyzwiskami, on i bezcielesny głos. Verne dla dramaturgii podskakiwał i wymachiwał pięściami w powietrzu.

Reszta zebrała się wokół Gargha, wciąż wiszącego w powietrzu w pół skoku i z laską sterczącą stamtąd, gdzie ją wetknąłem.

– Pieczony smok na patyku – rzucił Pete, poklepując mnie po ramieniu. – Nieźle. Komplet punktów za smoka będzie twój.

***

Zamknęliśmy lochy i relaksowaliśmy się w szatni, wymieniając się doświadczeniami. Nie byłem pewien, po co im szatnia, ale uznałem, że skoro ja mogę mieć pub, oni mogą mieć szatnię.

– Dalej się kłócą – powiedział Gandalf, kręcąc głową. – Rany, niezłą gównoburzę wywołałeś. – Zachichotał. – Przepraszam. Nietrafione słowo.

Uśmiechnąłem się do reszty grupy. Kevin, którego ognista laska była teraz moja, łypnął ponuro, po czym odwrócił wzrok. Chyba mnie nie polubił. Miałem dostać wszystkie punkty za smoka, chyba że oponentom uda się doprowadzić do anulowania decyzji, oraz połowę smoczego skarbu. Zsumowane punkty

doświadczenia spokojnie awansują mnie o trzy poziomy. Plus to, co ewentualnie dostanę za laskę.

Całkiem niezły dzień. Gdyby tylko prawdziwe życie szło równie dobrze.

– Trzeba się zabierać do roboty – powiedziałem do Gandalfa.

Kiwnął głową i przerzucił nas do swojej prywatnej VR-ki, która mocno przypominała wieżę Orthank z filmów Petera Jacksona, ale z miękkimi fotelami i kanapami.

– Co tam, Bill?

– Mówiąc wprost, Gandalf, twoi ludzie ulotnili się z projektu i nie skończyli.

– Interesujące. – Zmarszczył czoło. – Może mamy różne definicje końca? Ekspedycja ma jeszcze sporo roboty, ale my według mnie zrobiliśmy, co mieliśmy zrobić.

– Pomiary ekologiczne i socjologiczne nie są skończone; tłumaczenie języka w zasadzie tak, ale ma jeszcze dziury; mapa topopolis jest kompletnie w lesie, już nie mówiąc o skanach planety Quin.

Gandalf rzucił mi spojrzenie pełne przesadnej cierpliwości.

– Kupa tych rzeczy to sprawy Skippies. My pomagaliśmy tylko dlatego, że na chwilę to nas zainteresowało. Bill, czego nie rozumiesz w słowie „ochotnik”?

– Aha, czyli jak coś się robi mniej interesujące, to zmykacie?

Zastanowił się.

– No. W sumie tak. – Zawahał się. – Wiesz co, z konkretnymi pytaniami możecie jeszcze przychodzić, będziemy dostępni, ale jeśli chodzi o dalsze badania, to się wycofujemy. Ale znajdziesz kolejną interesującą zagadkę, to pogadamy. Okej?

Westchnąłem. Coraz mniej są Bobami.

– Jasne. Rozumiem. – Wstałem. – Dajcie moją postać do rezerwy, dobra? Ja tu jeszcze wrócę.

Uśmiechnął się i uniósł kciuk, kiedy znikałem.

24. Interludium
Bob, czerwiec 2334, wirt

Hugh siedział na worku sako, tulił do siebie kawę i gapił się w przestrzeń. Przesłałem mu nasze logi z ostatnich paru dni i natychmiast się do mnie wprosił.

– Pistolety na strzałki usypiające, co? – Upił łyk. – Ciekawy dobór broni.

– Czemu?

– Jest tyle mniej skomplikowanych sposobów na powalenie przeciwnika, od dźgnięcia go czymś po normalny pistolet, z pociskami. Niebiańska Rzeka to nie stacja orbitalna, nie trzeba się przejmować, że zrobisz w niej dziurę. Materiał skorupy nie przejąłby się pociskiem o dużo większym kalibrze.

– Dobra. Coś z tego dla nas wynika?

– Zakładając, że pistolet był kradziony, co rozsądne, Administrator chyba uważa, żeby nikogo nie zabić. – Zamilkł na parę chwil. – A rozpraszanie… myślę, że dobrze to interpretujesz. I tu też: prościej byłoby po prostu tych ludzi pozabijać.

– To istotne?

Hugh parę razy otwierał usta, by coś powiedzieć, potem spojrzał na mnie dziwnie.

– No… nie jestem pewien. Można by dojść do wniosku, że Quinlanie po prostu nie lubią się zabijać. Tylko że…

– Tak. Quin. Planeta Quin.

– Posłuchaj, Bob, masz tego zapasowego manny'ego zakopanego koło dworca. Nie myślałeś, żeby go włączyć i dać komuś? Niech pójdzie na przykład w górę rzeki.

Pokręciłem głową.

– Nie. Musimy mieć zapas. Gdyby któryś z naszych się zniszczył. Musimy być cały czas we czworo.

– Hmm. Szkoda. Chętnie bym sam spróbował.

– Na Quinie mamy jeszcze testowe egzemplarze. Rozumiem, że Will i Howard się nimi bawili.

– I psuli, zdaje się – odparł Hugh. Widząc moją minę, dodał: – A, nie wiedziałeś. Tylko żeby się Bridget nie dowiedziała.

– Howard któregoś rozwalił?

Odpowiedział tylko szerokim uśmiechem. Odstawił kawę i wstał.

– Zrobiłem skan miasteczka Galen. Nic szczególnego, przynajmniej w rozdzielczości, na którą miałem czas. Na pewno nie znalazłem żadnej elektroniki ani zakazanej techniki.

– Co może znaczyć, że Ruch Oporu niczego takiego nie ma, albo że nie trzyma tego w mieście. A usypiacze?

Wzruszył ramionami.

– Nie pokazują się jako elektronika, musiałbym więc specjalnie ich szukać. Nie zdążyłem, bo radiator się skończył. Z tego samego powodu nic nie będzie z losowego skanowania. Musiałem poświęcić drona, żeby zrobić tyle, co zrobiłem, i będę miał niedobór, póki nie przerzucę sobie następnego. – Uniósł rękę. – Później pogadamy.

I zniknął.

***

Miałem trochę wolnego czasu, więc zachciało mi się zajrzeć do Willa na Walhalli – ostatnio przerwano nam spotkanie. Wskoczyłem do niego, jak tylko dostałem potwierdzenie.

Zdjęcie manny’ego ze stojaka zajęło tylko sekundę. Rozejrzałem się. Zamiast siedzącego w fotelu Willa zobaczyłem machającego łapką półmetrowego szopa. Ruszył i zatrzymał się znacząco. Pewnie patrzył na mnie niecierpliwie, czy coś takiego, ale przy jego symetrii trudno było się zorientować.

Szopy nie zmieniły się specjalnie w ciągu dwustu lat od wynalezienia. Przynajmniej co do zasady działania i kształtu. Zyskały masę ulepszeń, jak zasilanie generatorem Casimira, lepsze materiały, mniejszą elektronikę i tak dalej. Ale to nadal jest ośmionożny uniwersalny robot sterowany przez przygłupią maszynową inteligencję, pomyślałem, idąc teraz za jednym z nich. Może Skippies mają rację? Stworzenie prawdziwej SI, obojętne, czy naprawdę samoświadomej, czy na poziomie zombiaka, będzie miało ogromny wpływ na społeczeństwo, pewnie większy niż teoria podprzestrzeni i wynikłe z niej technologie.

Szop wyprowadził mnie z domu i szliśmy w dół po schodach, czasem dobudowanych, a czasem wykutych w skale. Zaczynałem się już zastanawiać,

czy dobrze go zrozumiałem, w końcu jednak dotarliśmy do płaskiego kawałka terenu po południowej stronie cypla, na którym stał dom Willa.

Will wstał i pomachał do mnie, a szop zawrócił w miejscu i ruszył z powrotem do domu. Nie musiał się dostosowywać do ludzkich ograniczeń, więc polazł prosto w górę po skale. Popisuje się.

– Cześć, Will. Co to tu masz?

Uśmiechnął się i pokazał rozmaitość roślin, w doniczkach lub wprost w glebie.

– Ogródek doświadczalny. Mam tu ziemskie i miejscowe rośliny i sprawdzam biozgodność. Nie chcę żadnych niespodzianek po rozpoczęciu upraw na dużą skalę.

Kiwnąłem powoli głową.

– Ciekawe, że Pierwszy Bob niezbyt interesował się ogrodnictwem, a tutaj i ty, i Bill staliście się prawdziwymi specami od roślin.

– Terraformacja to zupełnie inna perspektywa. – Will wskazał fotele ogrodowe tuż za grządkami.

Przystanąłem na moment, by podziwiać widok. Wybrał sobie na dom miejsce nad ogromnym jeziorem, otoczonym niskimi górami. Linia drzew, czy co to tam było, sięgała tylko do połowy odległych wzgórz, zapewne ze względu na zbyt rzadką atmosferę.

Widząc, na co patrzę, odgadł moje myśli.

– Linia drzew podnosi się o jakiś metr rocznie i to przyśpiesza. Kiedy proces się ustabilizuje, rośliny będą sięgać aż do szczytu tych wzgórz. I w tym czasie będą już tu żyć ludzie. Nie będzie potrzeba masek ani kopuł.

Parę sekund milczeliśmy, a ja podziwiałem krajobraz. Willowi, zdaje się, nie chciało się narzucać tempa rozmowy. W końcu zwróciłem się do niego:

– Ostatnim razem, jak tu byłem, gadaliśmy o Gwiezdnej Flocie. Głównie. Ale jest Gwiezdna Flota, są Gracze, Borg, Skippies…

– I to są tylko ci, którzy mają przezwiska – odparł. – Bobiwersum idzie w wielu kierunkach naraz. Dosłownie i w przenośni. Kupa replikantów postanowiła poważnie potraktować misję sond von Neumanna. Mamy na przykład prawie dwa tysiące Bobów, którzy aktywnie oddalają się z ludzkiej sfery. Niektórzy zatrzymują się i budują stacje, inni tylko przyśpieszają.

– No… – Spojrzałem na swoje dłonie. – Tylko że ja mam złe przeczucia. Bobiwersum przez jakiś czas było utopią i gospodarką obfitości. Przynajmniej dla większości z nas. Ale co się stanie z gospodarką obfitości, kiedy część społeczeństwa zechce mieć władzę nad resztą?

– Pewnie powstanie dystopia albo dwa społeczeństwa.

– A przejście może nie być pokojowe. Może wybuchnąć chaos.

Westchnął.

– No, nie mam dla ciebie odpowiedzi, stary. Musimy po prostu poczekać i zobaczyć, jak daleko zechce się posunąć Gwiezdna Flota.

Usiadłem i splotłem ramiona, patrząc na krajobraz, ale go nie widząc. Wychodzi na to, że utopia nie jest stabilnym stanem.

25. Gonią nas kłopoty
Bob, lipiec 2334, Łokieć

Kolejny dzień, kolejne miasteczko. Trasa koncertowa może być strasznie nudna. Przynajmniej według Garfielda. Z jakiegoś powodu uczepił się tego porównania do gwiazdy rocka.

Płynęliśmy z prądem przez cały dzień i w końcu wylądowaliśmy w miasteczku Łokieć. Tak właśnie. Nie wyglądało to na skrót od czegoś. Z drugiej strony leżało na zakręcie rzeki, więc może o to chodziło.

Wydobyliśmy nasze przemoczone tyłki na pomost, otrząsnęliśmy się – Quinlanie robili to bardzo podobnie do psów – i weszliśmy do miasteczka. Łokieć wyglądał na trochę większy od średniej, z bogatą subkulturą sceniczno-estradową. Albo może był akurat jakiś festiwal. Mniej więcej co trzecia osoba chodziła z instrumentem muzycznym albo była przebrana za minstrela. Lub klauna. Trudno było odróżnić.

Dopatrzyliśmy się co najmniej dwóch scen, na których występowali ludzie, i jednego dziecięcego teatrzyku z czymś w rodzaju Muppetów. Nie mieli co prawda Kermita, to już by było dziwne, ale główny bohater przypominał trochę misia Fozzie'ego. Przystanąłem, żeby popatrzeć, i dostałem od Bridget łokciem pod żebro.

Burcząc, dołączyłem z powrotem do grupy. Bridget zaczepiła parę osób i zapytała o bibliotekę. Drugi pytany dość nieprzyjemnie nas zlustrował, zanim udzielił wskazówek.

– Dziwne to było – stwierdził Bill, kiedy ruszyliśmy dalej. – Ubrani jesteśmy nieodpowiednio czy co?

Zerknąłem w dół na moje ciało, nagie, jeśli nie liczyć sierści.

– Eee… – Wyszczerzyłem zęby w odpowiedzi na śmieszek. – Dobrze, że nie tylko mnie to się wydało dziwne.

Nie śpieszyliśmy się zbytnio, skoro Bridget miała już cel na celowniku. Mogliśmy się zatrzymać i popatrzeć na występy. Trochę popytałem i potwierdziło się – rzeczywiście odbywał się tu doroczny festiwal. Coś

miejscowego, nie zrozumiałem też, jaka jest okazja, ale w końcu każda okazja do imprezy jest dobra.

Śpiewy były zadziwiająco ładne. Jak na swoje podobieństwo do łasic i gryzoni, Quinlanie mieli niesamowicie piękne głosy i znali się na harmonii. Jednakże co do tańców, eee… lepiej nie mówić. Kiedy ma się takie krótkie nogi, w tańcu nie zajdzie się daleko. Próbowałem być kosmopolityczny, podejść z otwartym umysłem, docenić wysiłek… i niestety. To był o jeden most za daleko.

W końcu atmosfera festynu trochę się uspokoiła – wyszliśmy z dzielnicy rozrywkowej do biurowej, zdaje się. I to raczej pustej, bo wszyscy byli pewnie na święcie.

– Oj, wiecie co? – powiedział Garfield, gdy skręciliśmy za róg.

– No?

– Patrzę w tę ulicę… – Wskazał ręką. – I już tam byliśmy. Zrobiłem sobie mapę w głowie i typ kazał nam iść naprawdę okrężną drogą. Moje psie czucie już podskakuje i macha rękami.

Odwróciłem się. Rzeczywiście była tam już widziana wysepka uliczna. Moje psie czucie zaczęło odtańcowywać quinlański balet do rytmu z Garfieldem. Odwróciłem się powoli, rozglądając się po całym terenie.

– Bill, Bridget?

– Nic. Jakieś dwie przecznice do biblioteki – powiedziała Bridget. – Może on znał tylko taką drogę? Albo chciał, żebyśmy obejrzeli miasto? Rozumiem wasze obawy, ale jest już bliżej biblioteki niż rzeki, więc…

– Dobra – odparłem. – Ale zachowajmy ostrożność, póki tam nie dotrzemy.

I szliśmy dalej, lecz już nie podziwiając widoków. Wszystkie zmysły wyostrzone, wszystkie odruchy w pogotowiu. Gdyby w tym momencie ktoś niewinnie wyskoczył z drzwi, mógłby go spotkać niefortunny koniec.

Bridget stanęła jak wryta, Bob prawie na nią wpadł.

– Jak wy to nazywacie? Psie czucie? – Wskazała plac przed nami, gdzie stał urzędowy i majestatyczny budynek z wielkim szyldem, głoszącym w tłumaczeniu: Świątynia słowa pisanego.

– Co jest, Bridge? – Przed drzwiami biblioteki rozmawiało parę osób, ale niczego więcej nie widziałem.

– Nie jestem pewna. Jeden z tych typów zaczął się odwracać do nas, potem gwałtownie przerwał ten ruch. Jakby ktoś mu powiedział: „Nie gap się, debilu…”.

Zatrzymaliśmy się na parę sekund niezdecydowani. W końcu Bill stwierdził:

– No to zobaczmy, co się stanie, kiedy spróbujemy sobie pójść. – Z tymi słowy obrócił się na pięcie i ruszył z powrotem.

Reszta zerknęła po sobie i poszła za nim.

I rozpętało się piekło.

Za nami ktoś coś krzyknął, przed nami rozległa się odpowiedź. Z drzwi i zaułków wypadło ponad dwunastu Quinlan w pełnym galopie. Naprawdę w galopie – biegli na czterech łapach. I wszyscy mieli miecze w zębach, na piracką modłę.

– Ojoj, to chyba nie jest komitet powitalny. Pora być gdzie indziej.

– Dzięki, Bob, za tę wnikliwą analizę – rzuciła Bridget. – Teraz rusz tyłek albo zejdź mi z drogi. – I nie czekając, aż się zdecyduję, wystrzeliła obok mnie w kierunku przystani. I to prostą drogą. Wyraźnie zapoznała się z mapą Garfielda.

A komitet powitalny przewidział, że tak właśnie zrobimy. Przed nami wyrosło sześciu kolejnych Quinlan, z tymi bardzo dużymi nożami czy krótkimi mieczami. Nie miałem ochoty zatrzymywać się i mierzyć. Trzech z nich miało także coś w rodzaju pistoletów w kaburach. Usypiacze?

Podkręciłem sobie zegar, nie na tyle, żeby stracić łączność z mannym, ale wystarczająco, by mieć czas na rozmowę. Reszta zsynchronizowała się automatycznie.

– Ilu?

– Widziałam sześciu z przodu i dwunastu z tyłu. Niektórzy z przodu mają usypiacze.

– Z tyłu czternastu – poprawił ją Garfield.

– Luka po lewej. Może tam uciekniemy?

– Bob, to jest zaplanowany atak. I przypadkiem zostawili jedną ulicę nieobstawioną? Coś mi się nie wydaje.

Bill miał rację.

– Słuszna słuszność. Tam nie idźmy.

– Ale przez nich też nie przejdziemy, nie z tymi nożykami.

– Może trzeba na trochę poluzować zakaz niemożliwych rzeczy. Nie chcę skończyć jako sushi.

Dla Bridget to było znaczące ustępstwo.

– Ani zapakowana na prezent.

– Zgoda – dodał Bill. – Idziemy na tych sześciu z przodu. Pełny gaz.

Dostałem trzy potwierdzenia i włączyłem manny’emu dopalacz. Nie zmienił się jak Transformer, nic w tym stylu, ale wewnętrzny generator przestawił się na pełną moc, nano uaktywniło się, by naprawiać ewentualne obrażenia, a krążenie sztucznej krwi przyśpieszyło, żeby lepiej chłodzić. Po wszystkim konieczny będzie serwis.

Scena w moim polu widzenia zwolniła tempo, a ja zacząłem szacować kąty i odległości. Garfield i Bridget już wybrali opcje – mieli obejść linię napastników od zewnątrz. Mnie zostawał środek. Zerknąłem na Billa, który miał, na oko, ten sam pomysł.

Puściliśmy się prosto na nich, przyśpieszając, jak tylko potrafi mechaniczna wydra, a tuż przed zasięgiem ich broni opadliśmy na cztery łapy. Tak jak się spodziewaliśmy, Quinlanie wycelowali w nas swoje ostre przedmioty.

Skoczyliśmy. I poszybowaliśmy ponad nimi.

Quinlanie oczywiście potrafią skakać. Ale nie tak. W ich standardach to nie był może skok o tyczce bez tyczki, ale na pewno rekordowy skok wzwyż. I w dal.

I sprint. Walnęliśmy w ziemię dokładnie wtedy, gdy Garfield i Bridget obeszli końce szeregu, odepchnąwszy swoich przeciwników, gdy ci zaczęli ich łapać. Opadli na cztery łapy. Włączyliśmy dopalacze i zniknęliśmy za rogiem. Parę razy coś brzęknęło o ściany budynków, sądziłem więc, że co najmniej jeden z nich do nas strzelał.

Nastąpiła krótka i pełna osłupienia cisza, co było dobre, a potem zaczęli się głośno ostrzegać, co było niedobre. Nie krzyczeli do siebie. Wołali do kogoś odległego. Miałem złe przeczucie, że to jeszcze nie koniec.

– Zmiana trasy, ludzie. Ta jest obstawiona, zablokowana czy coś takiego.

Trzy potwierdzenia. Nikt nie marnował energii na gadanie. Na następnym skrzyżowaniu skręciliśmy ostro w lewo, dalej nadając takie tempo, że quinlański olimpijczyk poddałby się zrozpaczony. O ile mają jakąś olimpiadę.

Kolejne krzyki. Przynajmniej trochę ich wkurzyliśmy.

– W lewo. I na górę – powiedział Bill.

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Ha. Nieźle. Dwupiętrowy budynek z płaskim dachem, prosty do wspinaczki, jeśli lubisz parkour. Można spokojnie założyć, że Quinlanie się nie wspinają, więc nie przyjdzie im do głowy, że możemy włazić po rynnach i skakać po dachach.

Bill prowadził, reszta szła za nim. Mechaniczne mięśnie i komputerowy refleks sprawiły, że nikt nie zleciał i w parę sekund leżeliśmy płasko na dachu. Krawędź okalała niska ścianka, raczej ozdobna, bo nie widziałem żadnej praktycznej korzyści z postawienia jej w tym miejscu. Otworzyłem usta, wyplułem szopa i ustawiłem go na niej. Reszta zrobiła to samo i po chwili leżeliśmy niewidoczni, ale w naszych HUD-ach wisiały cztery okienka wideo.

Pościg wyłonił się zza węgła jako chaotyczna banda. Wyraźnie nie planowali takiej sytuacji. Niektórzy sprawdzali bramy i zaułki, inni biegali tam i z powrotem na czterech łapach. Naliczyłem pięć usypiaczy na wierzchu. Potem

jedna osoba z grupy coś zawołała i reszta skupiła się wokół niej. Oznaczyłem ją jako prawdopodobną przywódczynię i dopilnowałem, by zrobić zbliżenie.

Odbyła się rozmowa, której nie dosłyszeliśmy. Chyba lepszym określeniem byłaby „kłótnia”. Dużo machania rękoma i przerywania, jedna próba ugryzienia. W końcu jednak ustalili plan. Kilku Quinlan zajęło pozycje w cieniach, skąd mogli mieć ulicę na oku, a reszta odmaszerowała tam, skąd przyszła.

– Wygląda na to, że trochę tu posiedzimy – zauważył Bill.

– Ja chcę kawy – dodałem.

Zostawiliśmy MSI mannych na warcie i przeskoczyliśmy do mojej VR-ki, po czym usadowiliśmy się w ulubionych fotelach. Rozwinąłem cztery okienka wideo z szopów monitorujących i powiesiłem je na ścianie.

Bill nachylił się i ostentacyjnie nawiązał kontakt wzrokowy z każdym z nas.

– Pierwsze pytanie, z którym musimy sobie poradzić: skąd wiedzieli, że przyjdziemy?

– W tym już jest pewne założenie.

– Rozsądne. W Łokciu nie zrobiliśmy niczego, co zwracałoby uwagę. Nie zaglądaliśmy do wozów na przykład. – Bridget zerknęła na mnie z ukosa.

– Jedna, kurna, pomyłka…

– Ale to racja. To od początku wyglądało na ustawkę. Już, jak pytaliśmy… – Garfield urwał raptownie i wpatrzył się w przestrzeń, stopniowo coraz bardziej wytrzeszczając oczy.

– Co? Co takiego? – Wszyscy znaliśmy tę minę. Zapaliła mu się żaróweczka.

Zamiast odpowiedzi wyciągnął kolejne wideo – nasze spotkanie z pomocnym obywatelem, który wskazał nam drogę. Zatrzymał je i otworzył drugie, z walki. Przewinął odrobinę, potem spauzował i umieścił obok tamtego.

I bez dwóch zdań: pomocny Quinlanin był także jednym z napastników.

– No, to załatwia sprawę, jeśli w ogóle były jakieś wątpliwości. – Bill omiótł nas spojrzeniem. – Czekali na nas. Konkretnie na nas. W mieście, w którym nigdy nie byliśmy.

– Ludność nie ma niczego w rodzaju telefonu czy radia. Ani telegrafu. – Garfield wyciągnął raport od Hugh. – Są wyraźnie w epoce przed parą i elektrycznością.

– I Hugh potwierdzał, że w Galen nie było żadnej elektroniki – dodałem. – Ale są sposoby łączności na duże odległości, które nie wymagają niczego takiego.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

– Dyliżans konny. Poczta okrętowa. Telegraf semaforowy, jak w Jankesie w Rzymie. Niczego takiego nie widzieliśmy.

– Dysponują pocztą rzeczną, ale ma, jakby to nazwać, dość luźne terminy. Wiadomość o nas dotarłaby do Łokcia w jakieś dwa tygodnie.

– Znaczy, że nasi niedoszli ścigający muszą mieć jakąś szybszą formę łączności.

– Administrator?

– No, to rzeczywiście wygląda na najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

– Ale zatrudnia miejscowych?

– A kto powiedział, że to miejscowi? – wtrącił Bill w moją dyskusję w Garfieldem. – To znaczy… oczywiście to są Quinlanie, ale może na koniec zmiany wracają do swoich w pełni stechnicyzowanych podziemnych bunkrów.

– Aha. Coś jakby tajna policja.

– Czekajcie – odezwała się Bridget. – Wy nie myślicie, że to Ruch Oporu? Czemu?

– Szybka łączność między miastami – odparł Bill. – Dużo pistoletów-usypiaczy.

Kiwnąłem głową.

– Jak się zastanowić, to się trzyma kupy. Jest jakaś tajna grupa, mająca pełen dostęp do technologii, która kontroluje, czy przynajmniej monitoruje, zwykłą ludność. Oni są pewnie odpowiedzialni za to „rozpraszanie”, kiedy ludzie łamią jakieś reguły.

– Ej, zaraz. Ci ludzie, którzy próbowali zabić Skeve’a w Galen i napadli na nas, mówili o rozpraszaniu jako o zagrożeniu dla siebie. Nie mogli być częścią grupy Administratora.

Garfield podniósł ręce w zamaszystym przeczącym geście.

– Chyba że to Skeve czy jego kontakty dali cynk o nas. Może zauważyli, że próbujemy przejąć Skeve’a.

– Nie, to też się nie klei. Skeve’a rozproszyli dwa razy, pamiętacie? Nikogo by w tym Galen nie znał. – Skrzywiłem się sfrustrowany. – Cholera. Czy my uciekamy przez Skeve’em i Spółką, czy przed jego napastnikami? A jeśli to drugie, czy to znaczy, że jest więcej niż jedna grupa? I czy któraś z nich reprezentuje Administratora?

– Tak czy inaczej, zwróciliśmy na siebie czyjąś uwagę. – Bill wziął głęboki wdech i rozparł się w fotelu z rękoma za głową. – Jeśli mają łączność jakimś tajnym kanałem, to nie ma znaczenia, kim są. Ważne, że są oczko wyżej od zwykłej ludności.

– Teorii mamy kupę, za to odpowiedzi nie za wiele. – Westchnąłem. – Pytanie brzmi: mamy dać się im złapać?

– Co?

– Zwariowałeś?

– Co za głupoty!

Propozycja wyraźnie się nie spodobała. Przyjrzałem się zszokowanym i oburzonym minom.

– Rzucam tylko pomysł. Zresztą, jak będziemy w desperacji, zawsze możemy po niego sięgnąć. To też będzie nawiązanie kontaktu z kimś, tylko inaczej.

– Będziemy o tym pamiętać, Bob – stwierdził Bill. – Ale ta desperacja musiałaby być naprawdę duża. To jest postawienie wszystkiego na jedną kartę i jeśli się nie uda, to wracamy do punktu wyjścia. Albo i gorszego punktu, bo Administrator już wie, z kim ma do czynienia.

Kiwnąłem głową, czując się nieco rozczarowany, choć nie umiałem powiedzieć, czy samym sobą, czy reakcją przyjaciół.

***

Był bardzo wczesny ranek następnego dnia – obserwacja uliczna dała sobie spokój i poszła do domu, czy gdzie tam poszła, wróciliśmy więc do naszych mannych. Pierwszym zadaniem było zejście z dachu. Nie chciałem schodzić tą samą drogą, którą przyszliśmy, bo zawsze ktoś mógł obserwować z dyskretniejszego miejsca, ale po szybkim sprawdzeniu okolic budynku stało się jasne, że to jedyna prosta droga. Albo tak, albo przez środek budynku.

Na szczęście było wejście, klapa, zapewne wychodząca na ostatnie piętro. Niestety wyglądała na zamkniętą od środka. Mieliśmy jednak szopy. Wyplułem parę dwumilimetrowych i posłałem je pomiędzy szczeliny konstrukcji. Problem odkryły w sekundę – prosta zasuwa. Jednakże przesunięcie jej było poza zasięgiem możliwości tego modelu, nawet gdybyśmy wypluli wszystkie posiadane szopy.

– A odciąć tej zasuwy się nie da? – zapytał Bill.

– Chyba trzeba – odparłem. – Ale szybko. Wszyscy dawać pchełki.

Posłaliśmy dwudziestkę tych najmniejszych, z miniaturowymi mieczami świetlnymi w pogotowiu. Dziesięć sekund walki z ciemną stroną mocy i zasuwa ustąpiła z łupnięciem. Podniosłem klapę i ostrożnie zeszliśmy po bardzo stromych stopniach.

Budynek wyglądał na mieszkalny – długie korytarze, drzwi z numerkami w równych odstępach. Klatka schodowa była pośrodku. Oczywiście żadnych wind. Schody skrzypiały tak głośno, że obudziłyby umarłego w sąsiednim mieście. Krzywiliśmy się przy każdym kroku.

Kiedy dotarliśmy na parter, Bridget rozejrzała się i rzuciła:

– Tylnym wyjściem. – Pobiegła tam, nie czekając na zgodę.

Drzwi wychodziły w zaułek, niespecjalnie paskudny, ale dość ciemny, bo obstawiony ze wszystkich stron wysokimi budowlami. Przystanęliśmy, żeby się zastanowić.

– I co, znowu po prostu uciekamy? – zapytał Bill.

– Dobre pytanie. To może nie być najgorsza taktyka, żeby zostać na noc i z rana pójść do biblioteki. Raczej spodziewają się, że od razu wskoczymy do rzeki i odpłyniemy. Mogą nawet mieć kogoś przy rzece, żeby nas wypatrywał.

– Albo mogliśmy przejść do drugiej rzeki i popłynąć w drugą stronę – zasugerował Garfield. – Może łączność pomiędzy rzekami jest mniej pewna. I wolniejsza.

– Albo popłynąć w dół rzeki, pod wodą i pominąć parę miast – dodała Bridget.

– A nie lepiej popłynąć którymś dopływem? – zapytał Bill. Odwróciliśmy się zdziwieni. – Ludność nie skupia się tylko wzdłuż głównych dróg wodnych. Jest masa dopływów i odgałęzień, a na każdym znajdzie się jakieś małe miasteczko lub wieś.

– Mało prawdopodobne, żeby miało porządną bibliotekę. A tego właśnie szukamy.

– Tak, ale też mniej prawdopodobne, że będą nas szukać silni panowie. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Dobra, głosujemy. – Przygotowałem apkę do głosowania. Dwie minuty później mieliśmy wyniki.

Jeden głos na każdą z czterech alternatyw. O rany.

– Chyba nie ma wyjścia. Papier, nożyce, kamień, jaszczurka, Spock. Znowu.

Gra potrwała kolejne parę milisekund i szybko stało się jasne, że decyzją gry płyniemy dalej w dół rzeki.

– Dobrze, Bill. Tak jak mówiła Bridget: płyniemy pod wodą i dajemy porządny gaz. Miejmy nadzieję, że to ich trochę zmyli.

***

Przekradanie się do brzegu rzeki było naprawdę męczące. Roślinność była gęsta, a ja, choćby nie wiem jak ziemnowodni byliby Quinlanie, nie cierpiałem grząskiego, bagnistego gruntu. W końcu jednak znaleźliśmy się w wodzie.

Natychmiast się zanurzyliśmy i pozostaliśmy sześć do dziewięciu metrów pod powierzchnią, prując na zachód z maksymalną prędkością, na jaką pozwalały nasze manny. Wciąż nie zrobiliśmy tej przerwy na serwisowanie i trochę się

obawiałem awarii, manny były jednak porządnie skonstruowane i nic nie nawaliło.

Ten maraton pływacki miał nas przenieść przez granicę segmentów. Wszyscy zgadzaliśmy się, że to dobrze, bo przynajmniej zobaczymy coś bardzo interesującego. Ale czy uciekniemy z zasięgu pościgu, to się miało jeszcze okazać.

Gdy zbliżyliśmy się do gór, wynurzyliśmy się i zrobiliśmy tratwę. Teoretycznie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. W pobliżu granicy segmentu rzeka zwężała się i konsolidowała, tak że przez góry płynęły tylko cztery odnogi, w korytach na tyle szerokich, by pomieścić cały przepływ, ale nie formować bystrzyn.

Same góry były imponujące. Bardzo gwałtownie wyrastały ze skorupy, prawie bez pogórza – kilometr czy dwa małych wzgórz i od razu siedemdziesięciostopniowa stromizna. Patrząc na nie, uznałem, że nawet to nachylenie zostało narzucone przez inżynieryjne wymagania – w celu utrzymywania w środku atmosfery, w razie konieczności. I ciągnęły się w górę w nieskończoność.

– Pewni jesteście, że to ma się zamykać? – zapytała Bridget, podziwiając ten widok.

– Mamy skany – odrzekł Bill. – Dużo szczegółów nie ma, ale mniej więcej sto metrów na środku granicy segmentów stanowi segmentowa przesłona, trochę jak migawka w aparacie. Myślę, że gdyby ją włączyć, zamknęłaby całą krawędź segmentu, razem ze środkowym cylindrem. Jak przestawicie wzrok na teleskopowy, zobaczycie dwa komplety odciągów czy innych mocowań, przyczepione do środkowego cylindra. Po jednym po obu stronach osi symetrii gór.

– Przesłona miałaby dwa zadania – dodał Garfield. – Po pierwsze, segmenty topopolis mogłyby zachować hermetyczność podczas budowy i dodawania nowych segmentów; po drugie, mechanizm bezpieczeństwa w razie katastrofy.

– Ale gdzie by się podziała rzeka po zamknięciu? – zapytałem.

– Mamy przecież dwie rzeki płynące w przeciwne strony. Wystarczy skierować całą wodę do tej drugiej.

– Wow! – Bridget pokręciła z podziwem głową. – Pewni jesteście, że mamy wyższy poziom technologiczny od nich?

– Niezupełnie tak jest. Po prostu mamy pewne technologie, których oni nie mają. Ale pamiętaj, Bridget, już to mówiliśmy na początku wyprawy – to jest tylko kwestia skali. Wszystko, co tu widzimy, ludzie umieliby zrobić, gdyby zechcieli. I gdyby mieli na tyle długą perspektywę, żeby wytrwać przy tym przez dłuższy czas.

– Ciekawe, czy ich motywowało to, że inaczej na pewno zaraz się wymordują – powiedziała Bridget po chwili zastanowienia.

– Porywczy temperament i rozwój zbrojeń. Całkiem się klei ta teoria.

Podczas tej dyskusji wpłynęliśmy we właściwą cieśninę. Tu rzeka Arkadia miała może ze trzy kilometry szerokości, co nasunęło mi wniosek, że w segmencie musi być raczej płytka – inaczej cztery takie cieśniny nie pomieściłyby wody. W każdym razie nurt przyśpieszył, podobnie jak wiatr. Statki żeglujące w górę rzeki mają tu ciężką i długą przeprawę.

Po obu stronach góry wyrastały prosto z wody, bez żadnych ustępstw na rzecz nadającej się do użytku linii brzegowej. Wydało mi się, że wzdłuż bliższego brzegu widzę jednak coś w rodzaju drogi czy ścieżki, ale nawet przy maksymalnym powiększeniu nie była na tyle wyraźna, bym zyskał pewność.

Jazda była krótka, ale robiła wrażenie. Po paru minutach wypluło nas po drugiej stronie gór i rzeka natychmiast zaczęła się dzielić na odnogi.

Odkryliśmy także coś nowego. Po tej stronie gór był środek nocy. Spojrzałem w gwiazdy.

– Chyba nie przenieśliśmy się w czasie, co?

– Ciekawe – odparł Bill. – Wygląda na to, że segmenty mają na zmianę noc i dzień. Ma to sens. W każdym momencie tylko połowa ciągnie prąd.

– Albo tu się żarówka spaliła – dodał Garfield.

– Albo. No tak – odparł Bill, przewracając oczyma.

***

Kolejne trzy godziny płynięcia z prądem i dotarliśmy do trochę większego miasta, tuż po świcie. Parę rzędów pomostów z tłoczącymi się przy nich łodziami sugerowało kwitnący przemysł lub handel. Miasto leżało blisko ujść kilku dopływów, nad którymi prawdopodobnie leżały inne osady. Znakomite miejsce, by poszukać informacji i może nawiązać kontakt z jakąś użyteczną grupą – jeśli tylko wymyślimy sposób, jak nie dać się zadźgać i postrzelić w trakcie zapoznawania.

Postanowiliśmy zwiększyć nasze szanse, wchodząc do miasta pojedynczo. „Grupa grandtourowców, jedna kobieta” stanowiło całkiem dobry filtr, jeśli ktoś obserwował nowo przybyłych. Trzeba liczyć na to, że nie mają fotorealistycznych drzeworytów czy czegoś takiego.

Pierwszy do miasta wszedł Bill i rozpoczął nonszalancką obserwację przystani, wypatrując innych osób, które robiłyby to samo. Potem z wody wyszedł Garfield i poszedł na poszukiwanie lokum. Bridget wyszła zaraz po

nim, z zamiarem rozpytania się o bibliotekę. Ja wylądowałem ostatni i poszedłem szukać pubów. Długo się spieraliśmy, czy to jest naprawdę potrzebne, ale oświadczyłem, że podczas afery ze Skeve'em sporo się dowiedzieliśmy, po prostu siedząc i słuchając.

Garfield zameldował, że znalazł i opłacił duży pokój, nie musząc podawać liczby gości, zgodnie z zasadą, że unikanie liczby „cztery" zapewne wyjdzie nam na zdrowie. Bridget dowiedziała się o drogę do biblioteki, tym razem bez lustracji od stóp do głów. Posłała nam mapę i ruszyła w tamtym kierunku.

Bill poinformował, że zauważył kilka osób, w tym dwójkę policjantów, ale przyznał, że mogą tam mieć zwykłe sprawy do załatwienia, szczególnie ci policjanci. Sam nie chciał się wydać podejrzany, więc zaproponował, że dołączy do Garfielda.

Ja zaś w końcu osiadłem w niczym się niewyróżniającym pubie parę przecznic od przystani. Miał zewnętrzne patio, z którego skorzystałem. A w menu – niesamowite! – było coś innego niż ryby, hownid, mniejsza i pewnie bardziej soczysta wersja ichniego zwierzęcia pociągowego. Stwierdziłem, że podoba mi się w tym mieście.

– Słuchajcie, ktoś zauważył nazwę tego miasta?

– Pierwszy Przystanek – odparł Garfield. – Nie żartuję. Może i mają artystyczne dusze, ale nazywania miast to nie dotyczy.

– Tylko… może nazwę mają słabą, ale jestem skłonny im to darować, bo mają… steki!

– Co takiego? Gdzie?

Podałem adres i rozsiadłem się, delektując się posiłkiem. Parę minut później przyszła reszta i zamówiła to samo. Quinlanie nazywali to „ziemnym mięsem". Garfield cały czas się szczerzył, w końcu musiałem zapytać, co go tak śmieszy.

– Z cyklu „Quinlanie są prawie jak ludzie" – odparł – to widziałem kobietę wyprowadzającą swojego… swoje zwierzę domowe. Odpowiednik jakby małego psa. I biedne stworzenie miało taki tekturowy… – Zatoczył ręką wokół głowy.

– Kołnierz wstydu? Miało kołnierz wstydu?

– Właśnie. Aż zatęskniłem za domem.

– Ja znalazłam bibliotekę – powiedziała Bridget. – To jest mój cel na popołudnie.

– A my idziemy w trasę po pubach – odpowiedziałem. – Będziemy nasłuchiwać.

– Chyba w trzy trasy. Powinniśmy się trzymać oddzielnie.

– Bill, trochę na to za późno, nie? – Wskazałem stół, przy którym siedzieliśmy we czwórkę.

Bill rozłożył bezradnie ręce.

– No tak. Stek. Wołał nas z daleka.

Uśmiechnąłem się i wytarłem chlebem resztki jedzenia.

***

Pod koniec dnia spotkaliśmy się z powrotem w pokoju hotelowym, bardzo uważając, by wracać pojedynczo.

– Ktoś coś ma? – zapytałem.

Bill i Gar pokręcili głowami, potwierdzając moje obawy. Runda po pubach była nieudana.

– O codziennym quinlańskim życiu dowiedziałem się aż nadto, ale wtedy z tym Skeve'em to był po prostu fuks.

– Albo to miasto jest za mało ważne, by mieć Ruch Oporu – dodał Garfield.

– A ja dowiedziałam się trochę o historii – powiedziała Bridget. – Powiedzmy. Jest mocno zmitologizowana. Mit o ich powstaniu mówi, że pierwotnie mieszkali w krainie zwanej Quin, która nie miała granic, ale skończoną ilość miejsca. Doszło do przeludnienia i zaczęli walczyć o ziemię, więc Anec, chyba jakiś bóg, zmienił im świat na taki z granicami, ale nieskończonym miejscem, aby przerwać te walki. Niestety, Quinlanom walki weszły w nawyk, więc zabrał im jeszcze broń i mądrość i rozproszył ich.

– Ładne – stwierdził Bill. – Skończony, ale bez brzegów – to opisuje sferę. Definicja topopolis nie jest co prawda prawdziwa, ale możliwe, że jeszcze nie zbadali całego. Na długość.

– Półtora miliarda kilometrów. – Pokiwałem głową. – Nic dziwnego.

– To bardzo ciekawe, ale nie tłumaczy zacofania technologicznego mieszkańców – powiedział Garfield. – Myślicie, że to dobrowolne? Albo dobrowolne typu „kto nie z nami, ten przeciw nam"?

Bridget wzruszyła ramionami.

– To jeszcze nie jest jasne. Musiałabym więcej postudiować w tej bibliotece. Rozmawianie z ludźmi też działa, do pewnego stopnia, ale jak pokazujesz, że nie wiesz czegoś, co wszyscy wiedzą, robią się podejrzliwi.

– Naprawdę podejrzliwi?

– Oczywiście nie mogłam zapytać. Albo myślą, że jesteś Administratorem i sprawdzasz ich wiedzę, albo jakimś agentem rządowym, sprawdzającym lojalność czy nastawienie.

– Albo jednym i drugim. Nie wiemy, w jakim stopniu Administrator działa na szczeblu lokalnych władz.

Skinęła głową.

– Też zauważyłem. Wiele szczegółów jest niejasnych, ale wiadomo, że Quinlanie żyją tak od setek lat. Administrator, jak nazywają tę grupę, utrzymuje porządek, rozpraszając osoby, które łamią reguły, na przykład próbują przeskoczyć ograniczenia technologiczne, ale poza tym, co do zasady, nie wtrąca się.

– Istnienie Ruchu Oporu sugeruje mi, że jednak czasami się wtrąca. – Potarłem w zamyśleniu podbródek. – A personel Administratora? Wiadomo, kto to jest? Mają jakieś biura?

– Musisz zrozumieć, że sporo z tego wyczytałam między wierszami, więc jest w tym spora doza niepewności. Ale nie, częścią oficjalnej hierarchii raczej nie są. Przeważnie mówi się na nich „Kadra”. Nie jest jasne, czy żyją normalnie pomiędzy ludźmi. Możliwe, że do pracy w terenie zatrudnia się miejscowych mięśniaków, a pełnoetatowa Kadra jest gdzie indziej.

– Wow, niezła analiza, Bridget – powiedział Bill. – Czyli razem z grupą, która po prostu chciała walnąć Skeve’a, mamy trzy frakcje: Administracja plus Kadra, Ruch Oporu i miejscowych, którzy nie chcą mieć nic wspólnego z jednym ani drugim. Teraz to zamieszanie w Galen zaczyna mi się spinać.

***

Nazajutrz rano zastanowiliśmy się nad strategią. Pierwszy Przystanek nie miał, jak się okazało, żadnych innych bibliotek. Bridget krzywiła się i narzekała, ale uznaliśmy, że to było do przewidzenia. Miasteczko było spore, ale ewidentnie peryferyjne, zatem, co nikogo nie zdziwiło, chciała natychmiast jechać dalej.

Rozpytaliśmy się i dowiedzieliśmy się, że największe pobliskie miasto to Trzy Zatoki. Leżało nad następnym rzecznym systemem na południe od nas, rzeką Utopią, u ujścia jednego z dopływów. Natychmiast zagłosowałem, żeby tam iść, bo byłaby okazja zbadać, jak Niebiańska Rzeka radzi sobie z połączeniem systemów dwóch rzek płynących w przeciwne strony.

– Trzeba naprawdę przestać płacić z góry za te pokoje – jęknął Bill. – Przynajmniej, póki nie ustalimy, jak długo zostajemy. Przepłacilismy już za co najmniej miesiąc noclegów.

Garfield wskazał go brodą.

– Księgowy się odezwał.

Bill pokazał mu zęby, lecz nie odpowiedział.

Tym razem dla odmiany opuszczaliśmy miasteczko w pełen godności i nieinteresujący sposób. Nawet bez żadnych żartów o zaglądaniu do wozów.

Poszliśmy na przystań, wskoczyliśmy do wody i zgodnie ze wskazówkami tubylców popłynęliśmy zdecydowanie na południowy brzeg rzeki.

Gdy znaleźliśmy się dość blisko, zrobiliśmy quinlańską tratwę i daliśmy się ponieść prądowi. Do dopływu, zwanego Gronkiem, mieliśmy z osiemnaście kilometrów. On miał nas ponieść do drugiej głównej rzeki, Utopii. A na razie mieliśmy świetną okazję, żeby złapać trochę słońca i spokojnie pomyśleć.

Najwyraźniej uważali tak wszyscy, bo nikt nie próbował zaczynać dyskusji. Jak jeden mąż odchyliliśmy głowy do tyłu i zaczęliśmy pracować nad opalenizną poniżej dzioba.

Po pewnym nieokreślonym, ale przyjemnym czasie, odezwał się Bill:

– Mamy towarzystwo.

Trzy głowy uniosły się i obróciły. „Towarzystwem” okazał się jednak rzeczny stateczek, napędzany haunami, który stopniowo się do nas zbliżał. Po kursie i niedużej prędkości widać było, że po prostu płyną w tym samym kierunku co my, a nie próbują nas przechwycić.

Garfield łypnął na Billa.

– Po co tak dramatycznie? Mało zawału nie dostałem.

Bill przywołał na twarz minę urażonej niewinności.

– Co? Powiedziałem tylko, że mamy towarzystwo. Zawał to już twój problem. Masz nieczyste sumienie.

Garfield odpowiedział lekceważącym pfft, choć zdanie było, ściśle rzecz biorąc, prawdziwe. A Bill po prostu udawał, że nie ma nic wspólnego z wcześniejszą uwagą o księgowym.

Gdy łódź się zbliżyła, mogliśmy się jej lepiej przyjrzeć. Służyła do przewożenia towarów i miała niewiele miejsca dla pasażerów. Niektórzy Quinlanie ewidentnie byli marynarzami, paru się krzątało, a czterech po prostu wylegiwało się na pokładzie.

Jeden z członków załogi zamachał do nas i zawołał:

– Jak chcecie płynąć Gronkiem, możemy was podrzucić, za miedziaka od łebka! Już mamy jeden komplet grandtourowców. – Wskazał ręką opalającą się grupkę.

– Nie zaszkodzi, może czegoś się dowiemy – powiedziała Bridget. – Poza tym tam ma być trochę burzliwie.

Bez dalszych sporów rozłączyliśmy się, zanurkowaliśmy na moment i zrobiliśmy puut na pokład. Marynarz wyciągnął rękę i wetknąłem w nią cztery quinlańskie monety.

Podeszliśmy nieśpiesznie do drugiej grupki, która przesunęła się, robiąc nam trochę miejsca na pokładzie.

– Wybieracie się na wschód? – zapytał marynarz, który podszedł razem z nami.

– Płyniemy do Trzech Zatok – odpowiedziałem. – Dalszych planów na razie nie mamy. Bridget, ta tutaj, chce pójść tam do biblioteki.

– A, poszukiwaczka. – Quinlanin zrobił gest, wyglądający na pobłażliwy. – Zdaje się, że co roku jest ich coraz mniej. Większości z was, młodziaków, wystarcza po prostu płynąć z prądem, aż znajdziecie miejsce do osiedlenia się.

– A trzeba czegoś więcej? – zapytał członek drugiej grupy.

– Niby nie. Ale kiedyś było nas stać na więcej. – Marynarz spojrzał ostro na dociekliwego Quinlanina i odszedł.

Przeniosłem na niego wzrok.

Siedzący Quinlanin wyszczerzył się do mnie.

– Dziadersi nic, tylko płaczą za naszym utraconym losem. Ale tu się świetnie żyje. Więc co za sens?

– Masz na myśli Quin? – zapytała Bridget.

Kiwnął głową.

– Tak w ogóle to jestem Kar. To jest Malin, Arik, Ti.

Nastąpiła krótka fala przedstawiania się, po czym Kar mówił dalej, ewidentnie to samo po raz kolejny.

– Ja naprawdę nigdy nie spotkałem nikogo, kogo by rozproszyli. A wiecie dlaczego? Bo większość ludzi nie jest debilami. Z tego co się dowiedziałem w szkole, tu jest raj.

– Albo zoo – wtrącił Ti.

– Ale bez gapiów. Chyba musisz wymyślić lepsze porównanie. A na razie jest masa ryb, pogoda jest przewidywalna, woda czysta i nie ma wojen, jeśli nie liczyć sporu o granicę od czasu do czasu. Całkiem udany los, bym powiedział.

Wyglądało to na dobrze przećwiczoną przemowę – byłem gotów po prostu siedzieć i słuchać. Jednakże Bridget nie zamierzała być tak bierna.

– A co z Ruchem Oporu?

Kar roześmiał się. Nawet Ti przewrócił po quinlańsku oczyma.

– Dziadersi bawią się w wojnę – powiedział Kar. – Przeciwko czemu niby ten opór? Kadry już prawie nie ma, trudno ich w ogóle zauważyć. A jeśli kogoś rozproszą, choć ja, pamiętaj, w życiu się z nikim takim nie zetknąłem, to po prostu budzisz się i tyle. – Zrobił przeczący gest ręką. – I o co oni niby walczą? Polujesz na ryby, grzejesz się na słońcu, pływasz do zmęczenia, śpisz. To wszystko, czego ci potrzeba.

– Normalnie hipis – powiedział Bill przez interkom. A do Kara głośno: – No, zapomniałeś o założeniu rodziny i dzieciach.

– Jasne, ale czy do tego musimy mieć miasta? – Kar omiótł wzrokiem publiczność. – Wszystko, co tam jest, można mieć za darmo. Albo to są rzeczy, których chcesz, bo miastowi ci wmówili, że musisz je mieć. Moglibyśmy się całkiem pozbyć miast i nikomu nie byłoby gorzej.

– No, byłoby nam dużo trudniej sprzedać nasze towary.

Unieśliśmy wzrok. To mówił nasz znajomy marynarz. Znów przechodził obok w cyklu swojej pracy.

– Trochę inne rzeczy z góry lub z dołu rzeki, których ludzie chcą tylko dlatego, że ktoś im nagadał, że są ładne. Albo lepsze. – Kar zapalał się w dyskusji, ale wciąż sunął utartą koleiną.

Obserwowałem jego kumpli, gdy przerzucał się docinkami z marynarzem. Nie wydawali się zdziwieni ani specjalnie przejęci jego uwagami. Ich miny, jeśli już coś wyrażały, to zgodę, o ile w ogóle ich to obchodziło.

Dyskusja szybko wygasła, bo marynarzom nie płaci się za stanie i gadanie, co bardzo dobitnie i głośno stwierdził ktoś, kto chyba był kapitanem. Marynarz odszedł do innych zajęć, a Kar położył się, żeby się pogrzać na słońcu.

– Ciekawe – powiedziała Bridget przez interkom, gdy zamknęliśmy oczy, udając, że drzemiemy. – I nie do końca niespodziewane. Cywilizacja i technologia to sposoby na opanowanie środowiska, by zwiększyć szanse na przetrwanie. Ale co, jeśli jesteś tak dobrze przystosowany, że w ogóle jest ci niepotrzebna cywilizacja?

– Niebiańska Rzeka to idylla – odparł Bill. – Mówisz, że być może zbyt idealna?

– Tak. Quinlanie już na Quinie byli zapewne dobrze przystosowani do środowiska, a to tutaj zostało zaprojektowane pod ich potrzeby, więc jest jeszcze bardziej idealne. Presji selekcyjnej właściwie nie ma w ogóle.

– I myślisz, że to celowe?

– Nie wiem, Bill. Chyba nie myślę. Ale problem polega na tym, że jeśli to będzie trwało, Quinlanie stracą resztki swojej wiedzy, potem kulturę, a na koniec inteligencję.

– Słucham? – wtrąciłem zszokowany.

– Bob, mózgi są kosztowne. Tak u ludzi, jak u Pawonisów, jak u Quinlan. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć procent dziennych kalorii idzie na podtrzymanie myślenia. A teraz załóżmy, że pojawia się Quinlanin z mniejszym mózgiem, może potrzebuje tylko piętnastu procent. I ma przewagę – w reprodukcji, w odżywianiu i tak dalej. Jeśli nie ma czynników dających przewagę inteligentniejszym Quinlanom, ta nowa odmiana może się rozprzestrzenić w kilkanaście pokoleń. Wystarczy, że taka mutacja zajdzie kilka razy i quinlańska rasa stanie się po prostu kolejnym gatunkiem zwierząt.

– Administrator nie może czegoś takiego planować.

– Zgadzam się. Dlatego myślę, że to zapewne nieprzewidziany skutek uboczny. Który być może jeszcze nikomu nie przyszedł do głowy.

– Szlag. – Przyjechałem znaleźć Bendera. I tyle. Ale będę w stanie to tak po prostu zostawić? Czy po raz kolejny będę musiał robić za bawbe?

Przypomniał mi się stary tekst Ala Pacino: im bardziej człowiek chce się wydostać, tym bardziej go wciągają.

26. Napięcia rosną
Bill, lipiec 2334, wirt

Zostawiliśmy mannych „śpiących”, żeby móc trochę popracować w wircie. MSI by nas zaalarmowała, gdyby coś wymagało naszej uwagi. Mnie się tymczasem nazbierało całkiem sporo rzeczy do zrobienia.

Przejrzałem listę przed sobą i zmarszczyłem czoło. Okienko pokazywało czas i miejsce prób logowania do stacji przekaźnikowych UNOP i autofabryk. W każdym przypadku użyty został dawny login wspólny dla całego sprzętu. Z czasów, gdy wszyscy Bobowie mieli zbieżne interesy.

Garfield czytał mi przez ramię.

– Jest chyba matematycznie możliwe, że to ktoś inny niż Gwiezdna Flota.

– Matematycznie możliwe jest to, że samoistnie zajmiesz się ogniem – odpowiedziałem, odwracając się do niego. – Ale nie zakładałbym się o to.

– Jesteśmy w wircie, ale rozumiem, o co ci chodzi. – Garfield podszedł do swojego fotela, podniósł Kolczatkę i usiadł z kotem na kolanach. – Czyli Gwiezdna Flota coś kombinuje, gdzie „coś” jest niezdefiniowane, ale prawdopodobnie to coś niedobrego. Możemy coś z tym zrobić?

– Już zrobiłem. Podłączyłem się do każdego sprzętu w całym Bobiwersum, sprawdziłem loginy i je zmieniłem. Wysłałem szyfrowane maile do prawdopodobnych właścicieli, z instrukcją, by sami zmienili klucze jeszcze raz. I nikomu ich nie dawali.

– Bill, a jak Gwiezdna Flota zacznie eskalować?

– Eskalować? Jak? Wyśle flotę wojenną?

– Hm. Gdyby wysłali, to nie bylibyśmy w stanie się obronić. Wiedzą równie dobrze jak my, jak wykryliśmy flotę Innych…

– I tego błędu nie popełnią. Ale floty też nie wyślą. Bo gdzie by ją mieli wysłać? Tutaj? Do Ety Leporis? Do Omikrona-2 Eridani? Nawet gdyby byli skłonni do przemocy, to przecież tu nie chodzi o terytoria czy okopanych wrogów. Chodzi o poglądy polityczne i obie strony sporu są dość rozproszone po fizycznym wszechświecie.

– No tak, ja to rozumiem. Po prostu mam złe przeczucie. Przecież nie rozłożą rąk po prostu. Będą szukać sposobu na narzucenie swojego punktu widzenia.

– Na przykład…

Garfield westchnął.

– Czułbym się o wiele lepiej, gdyby przyszedł nam do głowy choć jeden prawdopodobny scenariusz. Ale nic z tego, mam tylko mętne przeczucie, że coś zrobią.

Spojrzałem po raz ostatni w okienko z danymi i je zamknąłem.

– Rozmawiałem z dwoma kontaktami rządowymi z biosfery – powiedziałem, odwracając się z powrotem do Garfielda. – Pogadają ze swoim szefostwem. Ale na oko nikt nie traktuje mnie poważnie. Problem jest w końcu w wircie. A problem z problemami w wircie jest taki, że trudno dostrzec, jakie mają skutki dla realnego świata.

– Jak giniesz w wircie, to giniesz naprawdę [4] – powiedział z uśmiechem Garfield.

– Pierdzielenie. – Parsknąłem śmiechem. – Gracze giną cały czas. Czasem kilka razy w jednej sesji.

– Spotykałeś się z nimi, co?

– Tak. W ramach negocjacji udziału w projekcie Niebiańska Rzeka. Pozwolili mi się plątać pod nogami w jednym swoim LARP-ie. Idą naprawdę na hardcore. Pełna VR-ka, postacie w pełni uzbrojone i opancerzone, pełny realizm walk. Na ból mają ogranicznik, jak nasze manny, ale poza tym mogą się dźgać, przebijać, ciąć, palić, wysadzać, dezintegrować, obrzucać kulami ognistymi, razić prądem, topić, pożerać i co tam jeszcze D&D i jego duchowe potomstwo ma w zanadrzu.

– Mimo to brzmi całkiem atrakcyjnie. – Garfield znowu uśmiechnął się szeroko.

– O, no pewnie. I u tego Boba czy Bobów, z których wyhodowali się Gracze, to przeszło w obsesję. – Urwałem na moment. – Ale nie dlatego ich przywołałem. Chodzi o to, że Gracze tak naprawdę nie są przeciwnikami Gwiezdnej Floty. W kwestii zerwania kontaktów z bio. Nie widzą problemu moralnego, po prostu dla nich bio odwraca naszą uwagę od ważnych spraw.

– Jak dla Skippies.

– No. Mnie to trochę martwi. Nie okaże się, że nasz pogląd jest w mniejszości?

– Może powinniśmy utrudnić wzięcie się na cel? – zastanawiał się Garfield. – Przenieść stację do Zgromadzeń i kopii zapasowych…

– Już to zrobiłem. Ultima Thule jest teraz tak daleko od Epsilona Eridani, że koncentryczne poszukiwania musiałyby trwać setki lat. Bo przyszło mi do głowy, że wprawdzie nie upubliczniłem jej lokalizacji, ale od czasu jej

zbudowania parę razy się sklonowałem. I niektóre te klony potem też. Jest więc minimum kilkunastu Bobów, którzy wiedzą, gdzie ona… była.

– Strasznie to brzmi. – Garfield zwiesił głowę.

– Dla mnie też. Zdaje się, że utopia to niestabilny stan.

Kiwnął głową z ponurą miną i zniknął. Ja westchnąłem i przywołałem kolejne zadanie z listy.

27. Tylko przejazdem
Bob, lipiec 2334, rzeka Utopia

Bridget przez jakiś czas chodziła po statku i gadała z załogą. Wiedziałem, że chce zebrać dane socjologiczne, więc ją z tym zostawiłem. Mnie bardziej interesowała przesiadka na rzekę Utopię. Zapytałem o to Malin, która tylko odwróciła się i zerknęła na Kara. Wyraźnie był oficjalnym rzecznikiem tej grupy albo po prostu jedynym, który miał energię na gadanie.

– Parę razy już przeskakiwaliśmy pomiędzy rzekami – powiedział Kar. – Pośrodku łącznika robi się trochę burzliwie, dlatego wolimy wsiąść na statek. Ale gdyby było trzeba, sami też dalibyście radę.

– A wiesz może, czemu tak się dzieje? – Zadałem to pytanie możliwie niewinnym tonem, choć naprawdę interesował mnie poziom jego wiedzy.

Wzruszył ramionami.

– Tak po prostu jest. Tak to Administrator stworzył. My nie pytamy i nie oceniamy.

Tak to Administrator stworzył? To brzmiało bardzo jak coś religijnego. Zaczynają traktować Administratora jak bóstwo?

Bridget wróciła do nas i położyła się.

– Wpływamy do dopływu Gronk. – Wskazała w dół rzeki. – Tutaj oddziela się od Arkadii. Zatacza półkole i wysadza nas z prądem na Utopię. Trzy Zatoki są na przeciwległym brzegu, więc będziemy musieli wysiąść i popłynąć sami.

– Płyniecie do Trzech Zatok? – zapytał Kar. – Po co się męczyć? My szukamy dobrego miejsca, żeby osiąść. Może się przyłączycie?

Bridget się uśmiechnęła.

– Mamy swoje plany, Kar. Ja jestem poszukiwaczką. Moi przyjaciele i ja chcemy kiedyś wrócić do domu. Nie szukamy miejsca, żeby zacząć od początku.

Kar wzruszył ramionami, wyraźnie mało przejęty.

***

Niebawem dotarliśmy na odcinek Gronka, gdzie działanie wirników w dnie rzeki było najbardziej dostrzegalne. Powierzchnia wody wzburzyła się, nurt stał się szybszy i nierówny. Wiedziałem, co się tu dzieje. Wirniki tworzyły coś w rodzaju fali burzowej, spiętrzając wodę. Na oko androida poziom wody podnosił się o jakiś metr.

Statek przechylił się i próbował zejść z kursu, jeden z haunów zabeczał ze strachu. Inne obejrzały się na niego, nie przerywając miarowego kroku w kieracie. Podziwiałem te zwierzaki. Wyglądało na to, że mogą cały dzień tak powoli człapać, karmione i pojone regularnie przez załogę, i nigdy się nie zatrzymywać. Może to był hauni raj?

Walka z żywiołem trwała niecałe dziesięć minut – musiałem przyznać, że pokonanie tego wpław musiałoby być trudne, zwłaszcza dla żywego Quinlanina. Gdy wyszliśmy z fali po drugiej stronie zakrętu, przed nami stopniowo odsłonił się widok na rzekę Utopię, płynącą w przeciwnym kierunku niż Arkadia. W oddali jakby widziałem niewyraźne zarysy miasteczka. Trzy Zatoki. Bridget już rozmawiała z jednym marynarzem, wskazując od czasu do czasu w tamtym kierunku.

Podeszła do nas i machnęła ręką w geście „ruszać tyłki”.

– Chłopaki, wysiadamy. Jak ruszymy teraz, nie będziemy musieli aż tak walczyć z prądem. – Kiwnęła głową Karowi. – Miło było poznać. Ciebie i twoich przyjaciół. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Kar kiwnął głową bez słowa. Pozostała trójka nie zareagowała.

Pożegnaliśmy się z załogą i daliśmy nura do rzeki. Płynąc pod wodą, daliśmy nieco większą moc, ale nie taką, by wywołać konsternację u byłych towarzyszy podróży. Nie chcieliśmy się wynurzać w niemożliwej odległości od nich. Prawdopodobnie nigdy więcej ich nie zobaczymy, ale po co ryzykować?

***

Z wody miasteczko Trzy Zatoki wyglądało na znacznie większe niż przeciętne, a być może i bardziej kosmopolityczne. Bridget się ucieszy, bo to prawie na pewno oznacza większą bibliotekę, a może i kilka. Weszliśmy na górę po pochylni, pojedynczo, w niekończącym się pochodzie Quinlan. Jak w godzinie szczytu. Czy Quinlanie w Niebiańskiej Rzece mają godziny szczytu?

Wydawało się mało prawdopodobne, by wieść o nas rozniosła się po innych rzekach, ale zdrowy rozsądek kazał nie pokazywać się razem, przynajmniej, gdy wchodziliśmy do miasteczka. I tak jak wcześniej, każde z nas miało swoje zadanie. Garfield po drodze zasugerował, że on chciałby tym razem robić rundę

po pubach, ale powołałem się na starszeństwo i w odpowiedzi usłyszałem basowe warczenie.

W krótkim czasie Garfield zorganizował pokój w hotelu dla grandtourowców, Bridget dowiedziała się, gdzie jest biblioteka, Bill zameldował brak podejrzanych ruchów w porcie, a ja napiłem się piwa.

Wybrałem pub najbliżej rzeki, bo wydawało się rozsądne, że będzie miał najbardziej zróżnicowaną klientelę. Reszta dołączyła do mnie i zamówiła posiłki i napoje.

– Po obiedzie od razu idę do biblioteki – poinformowała nas Bridget. – Zanim wy, palanty, wszystko spieprzycie i trzeba będzie uciekać z miasta.

– Raz człowiek… – mruknąłem.

– Szczerze to dwa razy – odparł Garfield. – Tu przynajmniej niczego jeszcze nie spaliliśmy.

– Godzina jeszcze młoda – stwierdził Bill.

Bridget skrzywiła się, otarła haorę i odmaszerowała, machając na pożegnanie.

– To co robimy?

Wyszczerzyłem się do Billa.

– Głosuję za podsłuchiwaniem, przy jednoczesnym nierzucaniu się w oczy.

Decyzja zapadła jednogłośnie. Zamówiłem kolejne trzy piwa.

***

Piwo nie było najgorsze, za to plotki zebraliśmy wyłącznie lokalne. Po godzinie wysłuchiwania stanowczo zbyt wielu informacji o problemach finansowych i rodzinnych Bill i Garfield postanowili sprawdzić inne puby. Nie mogłem mieć im tego za złe, sam jednak obstawałem przy mojej teorii, że o nierutynowe rozmowy najłatwiej będzie w pubie najbliżej portu.

Po trzech godzinach zacząłem wątpić w tę logikę. O codziennych sprawach Quinlan dowiedziałem się o wiele więcej, niż chciałem, ale nic, co by mnie zaskoczyło. Pingnąłem Bridget, żeby dowiedzieć się, co odkryła. I… głucha cisza.

– Chłopaki? Chłopaki? Bridget nie odpowiada. Coś się stało.

Zero odpowiedzi.

28. Federacja Istot Rozumnych
Will, lipiec 2334, wirt

Gapiłem się na ścianę małych okienek wideo, po raz enty zastanawiając się, czemu nadal to robię. W każdym okienku był przedstawiciel jednej ludzkiej kolonii. Dawna ONZ została zastąpiona Federacją Istot rozumnych, ale to wciąż była ta sama banda pająków ze wściekliczą, tyle że z paroma nowymi twarzami.

Niestety, Bobowie z zasady mieli zbyt dużo rozumu, by tkwić w tych obowiązkach, a ja miałem zbyt duże poczucie obowiązku, by posłuchać rozumu. Nie potrafiłem pójść sobie, zostawiając puste miejsce przynależne dla Bobiwersum, więc oto tkwiłem tu i po raz kolejny słuchałem warczącej, egoistycznej, zadufanej w sobie bandy idiotów.

Głupi ludzie.

Obecne fiasko dotyczyło postępowania z Pawonisami. Od zawsze zakładano, że w swoim czasie dołączą do FIR-u. Dopilnowaliśmy nawet, by nazwa nie była humanocentryczna, aby uniknąć problemu z postrzeganiem uprzedzeń.

A można było to olać. Pawonisi dali bardzo jasno do zrozumienia, że nie są zainteresowani. Oraz że będą sobie latać, gdzie im się tylko spodoba. Kolonie Newholme i Pangea były na pograniczu groźby, że zestrzelą każdy pawoniski statek, który zbliży się do Pasa Kuipera ich układów.

W tym momencie ser Lambert z Pangei kończyła przemowę. Łypnęła na resztę rady, a przynajmniej na ich okienka wideo, i usiadła. Natychmiast zapaliły się dziesiątki światełek żądających głosu. Przewodniczący udzielił go przedstawicielowi Nowej Fundlandii na Asgardzie, ser Wahlowi.

Ser Wahl popatrzył w kamerę z lekkim uśmiechem.

– Ser Lambert, przyznaję, że pani obawy o suwerenność naszej przestrzeni powietrznej są uzasadnione, ale czy pani aby nie przesadza? Flota Pawonisów składa się z dwóch małych statków eksploracyjnych opartych na konstrukcji Nieba 1. Mimo bojowego nastawienia ich potęga militarna jest na razie prawie wyłącznie teoretyczna.

Oświadczenie delegata Wahla było wzorem umiaru i spokoju. A także, moim zdaniem, naiwności. Wcale nie chciałem się konfliktować z Pawonisami, ale

byłem przekonany, że ich flota rośnie powoli tylko dlatego, że na razie większość mocy produkcyjnych ładują w kolejne autofabryki. Duża inwestycja na początku opłaci się znakomicie później. A Pawonisi, w odróżnieniu od ludzi, byli na tyle zdyscyplinowani, żeby móc przyjąć dłuższą perspektywę.

Tyle że ja to już wskazywałem i wszyscy solidarnie mnie zignorowali. Mam to gdzieś.

Westchnąłem i zerknąłem na statusy moich projektów na Walhalli. Wszystko szło, jak należy. Zaczęła się już budowa paru miast, stojących na świeżym powietrzu, bez kopuł i bez hermetycznych budynków. Dobrze to wyglądało.

Głos zabrał przedstawiciel Wolkana. Słuchając jego ostatnich uwag, miałem złe przeczucia:

– …Skoro Pawonisi nie zamierzają przestrzegać naszych granic i zakładając, że nie chcemy iść na wojnę z nimi, najlepszym wyjściem będzie zawłaszczenie wszystkich nadających się do zamieszkania planet w regionie. Mamy skany Bobów, prawda? Wyślijmy statki-kolonie, tyle, żeby zająć wszystkie cenne miejsca. Niech nie mają powodu w ogóle tam wyruszać.

Poważnie, czy to się kiedykolwiek sprawdziło na Ziemi? Spodziewał się, że Pawonisi podejdą do takiej sytuacji filozoficznie?

Wcześniej czy później będziemy mieli wojnę.

29. Pora na panikę
Bob, lipiec 2334, Trzy Zatoki

To było po prostu niemożliwe. Nawet gdyby jakiemuś teoretycznemu przeciwnikowi udało się wyłączyć trójkę moich przyjaciół jednocześnie, zniszczyłby tylko mannych, a nie rzeczywistych ludzi. Bill, Garfield i Bridget powinni dawno się odezwać i mnie przed tym czymś ostrzec.

Chyba że…

Chyba że, cokolwiek to było, rzeczywiście zniszczyło Billa, Garfielda i Bridget. Ale oni byli fizycznie lata świetlne stąd, nie tylko ode mnie, ale i od siebie nawzajem. To się nie trzymało kupy.

Wysłałem szybką wiadomość do Billa. Znaczy spróbowałem, bo dostałem tylko błąd. To oznaczało odciętą łączność.

Kolejnym krokiem powinno być zidentyfikowanie, gdzie.

– Gupik, sprawdź łączność z resztą BobNetu.

[Brak połączenia.]

O ja pierdzielę. Bez łączności, trzema mannymi sterowała MSI według stałych poleceń. Oparłem się na łokciach i schowałem twarz w dłoniach, żeby wyglądało, że daję oczom odpocząć. Dałem MSI manny’ego proste instrukcje i przeskoczyłem z powrotem do VR-ki. Gupik, jak zawsze, stał na spocznij.

– Możesz zawęzić miejsce przerwania łączności?

[Stacja Półmetek odpowiada na ping, ale nie przyjmuje prób połączenia.]

Hm. Niedobrze. Ale na razie nie miałem czasu się tym przejmować. Wszedłem na adres manny’ego Bridget i sprawdziłem status. Jak należało się spodziewać, MSI działała w trybie autonomicznym.

Najpierw to, co najważniejsze. Trzeba było wyprowadzić mannych z miasta. Przeskoczyłem do manny’ego Bridget i znalazłem się w bibliotece. Albo magazynie książek. Albo księgarni. W każdym razie w jakimś miejscu z książkami. Szybko wydałem MSI parę prostych poleceń, odczekałem chwilę, by sprawdzić, czy reaguje, i wyskoczyłem. Manny miał przedostać się do przystani i zanurzyć się poniżej maksymalnej głębokości osiągalnej przez

Quinlan. I pingnąć mnie, jeśli po drodze wydarzy się coś, czego nie jest w stanie obsłużyć.

Zrobienie tego samego z mannymi Garfielda i Billa, a potem moim własnym, zajęło tylko parę sekund. Przede wszystkim należało umieścić je w bezpiecznym miejscu. Gdyby zostały uszkodzone lub schwytane, to byłby koniec ekspedycji i być może już nigdy nie znaleźlibyśmy Bendera.

Odczekałem parę minut, aż cztery androidy dotrą do rzeki i zanurkują. Rozluźniłem się dopiero, gdy wszystkie cztery zameldowały, że są na miejscu. Przełączyłem je w tryb oszczędzania energii i wróciłem do Gupika.

– Dobra, Gupik, mów, co z łącznością.

[Lokalna stacja ma wszystkie parametry w normie. Stacja Półmetek aktywnie odrzuca połączenia, z wyjątkiem podstawowych pingów diagnostycznych.]

To była stacja, którą poleciłem zbudować w Delcie Eridani i przetransportować do punktu w połowie drogi między tym układem a Etą Leporis. Przynajmniej nie jest zniszczona. Awaria?

– Jakieś informacje z diagnostyki?

[Brak. Stacja odmawia wykonania procedur diagnostycznych.]

O, to już było dziwne. Ping był obsługiwany na o wiele niższym poziomie, bez potrzeby angażowania MSI stacji, ale każde polecenie wysłane bezpośrednio do niej…

Ogarnęły mnie złe przeczucia. Na razie tylko mglisty zarys teorii, ale bardzo niedobrej.

– Gupik, a możesz wymusić reset?

[Nie.]

– A ten dron, na którym miałem tymczasową stację, nadal działa?

[Potwierdzam. Jest w stanie uśpienia, ale potencjalnie działa.]

– Odpal go, proszę.

[Już.]

Pingnąłem Billa, gdy tylko poczułem, że UNOP ma łączność. Protokół pokazywał nawiązanie połączenia, ale przez parę milisekund nie miałem odpowiedzi. Okazało się, że łączność jest wyłącznie dźwiękowa.

– Bob, mamy tu problem. Jak u ciebie? Gdzie nasze manny?

– Schowałem je na dnie rzeki. Są bezpieczne. Co się dzieje?

– Ponad połowa naszych stacji wyłączyła się i nie przyjmuje połączeń. BobNet próbuje przekierowywać ruch, ale wiele lokalizacji dalej jest poza siecią. Ja koordynuję akcję, tylko że na razie próbujemy jeszcze ustalić, jaki jest ogólny status.

– Rozumiem. Kontaktowałeś się z Bridget?

– Nie. Patchwork nie ma łączności. Garfield pracuje nad zrobieniem mapy sieci, żebyśmy wiedzieli, na czym się skupić.

– A co ze Skippies?

– Hugh już się ze mną kontaktował. Monitorował ekspedycję i nagle go odcięło. Powiedziałem mu, że dam znać, kiedy tylko się czegoś dowiem.

– Dobra, Bill. Powiedz mu, że ja mogę działać, i informuj mnie na bieżąco.

– Ej, a tak w ogóle, to jak ty się komunikujesz?

– Pamiętasz taką tymczasową stację UNOP, którą zrobiłem z drona i zostawiłem w połowie drogi? Włączyłem ją z powrotem. Ma za chude pasmo, żeby obsłużyć połączenie z mannym albo VR-kę, więc i tak guzik zrobimy, póki nie odpalimy dużej stacji, ale przynajmniej da się rozmawiać.

– Hmm. Przydatna rzecz. On jest w pobliżu tej dużej stacji, Półmetka?

– Oczywiście. Obie miały być w tym samym… aaa. – Pojąłem zamiary Billa. Dron mógł podlecieć do stacji i zrobić fizyczną inspekcję. Może nawet coś naprawić. Z przyzwyczajenia wyposażyłem go w komplet szopów.

Wymieniliśmy się obietnicami informowania się nawzajem, po czym wydałem Gupikowi polecenia niezbędne do przemieszczenia drona.

[Czas przelotu – około sześciu tygodni.]

No cóż, zważywszy na odległości, to było w zasadzie po sąsiedzku. Obu urządzeniom kazałem się znaleźć w tej samej odległości, w połowie pomiędzy układami. Jedynie niedokładności nawigacyjne tłumaczyły tę stosunkowo niedużą rozbieżność.

A co robić w tym czasie? Stacja na dronie nie utrzyma VR-ki ani sesji z mannym, więc nie mogę odwiedzić Billa, a oni nie mogą odwiedzić mnie. Ani pomóc przy mannych. A i ja nie mogę zrobić prawie nic, póki dron nie dotrze do pełnowymiarowej stacji.

Stwierdziłem, że jednak mam się czym zająć.

Podłączyłem się do mojego manny’ego i obudziłem się pod wodą, z dłońmi zaciśniętymi na czymś niezidentyfikowanym. Obok mnie unosiły się w podobnej pozycji trzy inne androidy. Czyli MSI dały radę. Liczyłem tylko, że w mieście nie zaczną pojawiać się legendy o człapiących po ulicach Quinlanach-zombiakach.

W pojedynkę będzie mi dużo trudniej. Trzeba będzie pokryć większy teren, żeby skompensować brak siły żywej. Ale… może zatkam lukę szopami…

Wysłałem polecenia do trzech pozostałych mannych. Rozdziawiły usta. Z każdych wyskoczyły po cztery trzycentymetrowe szopy. Nie miałem na nie miejsca wewnątrz, więc kazałem im uczepić się mocno mojej sierści i jak najmocniej w nią wtulić.

Podpłynąłem do przystani, tak nonszalancko, jak tylko się dało, i ustawiłem się w kolejce wychodzących z wody Quinlan. Po pięciu minutach zaczepiania przechodniów zyskałem nazwy i przybliżoną lokalizację wszystkich pubów w okolicy, nie tylko wokół przystani. Nie był to superprecyzyjny plan, ale na początek wystarczał. Jedyne źródło informacji, jakie nam się dotąd sprawdzało.

Odwiedzenie wszystkich pubów, rozejrzenie się i umieszczenie szopa czy dwóch w dyskretnych miejscach zajęło mi większość dnia. Zużyłem na to dwanaście sztuk. Dwa kolejne umieściłem w miejscowym odpowiedniku ratusza, dwa zostawiłem w rezerwie.

Bill wściekłby się, gdyby wiedział, co zrobiłem. Szopy były niezastępowalne, ich utrata mogła narazić na szwank również mannych. Ale trzeba było postawić wszystko na tę kartę.

Rozmieściwszy wszystko, jak trzeba, wróciłem do naszego pokoju w hotelu. Rzeczywiście był o oczko wyżej od tych nor, w których dotąd się zatrzymywaliśmy. Wstąpiłem do właściciela i zapłaciłem za tydzień, tylko po to, żeby nas nie niepokoił.

Odczekałem do zmroku i przeprowadziłem mannych, jednego po drugim, z rzeki do hotelu. Teraz byliśmy wszyscy razem. W pewnym sensie. Jeśli pad łączności się nie naprawi, będę musiał skorygować plany. Nie dam rady przerzucać czterech mannych z miasta do miasta. Muszę się okopać tutaj. Na dobre i na złe.

***

Trzy Zatoki. No, poważnie. Widziałem quinlański festiwal, wiem, że mają dość artystyczne dusze, ale ewidentnie nie dotyczy to nazw miejscowości. Co prawda, ludzie też nie zawsze są zbyt poetyccy w tym względzie. Ile jest miejscowości o nazwie Wola? Ile ulic Kolejowych czy Dworcowych? Albo nazwanych od ojca-założyciela miasta?

Nachmurzyłem się. Miałem naprawdę kiepski nastrój. No dobra. Wszystko jest poustawiane. Szopy będą nagrywać rozmowy, Gupik przekaże je Skippies do analizy. Co prawda zeżre mi to całe pasmo sieciowe, ale uważałem to za priorytet. Hugh zaalarmuje mnie, gdyby pojawiło się coś ważnego. Na razie równie dobrze mogę się zrelaksować.

Położyłem manny’ego do łóżka i wróciłem do mojej wirtualnej biblioteki. Szybkie i w zasadzie niepotrzebne sprawdzenie statusu wszystkich szopów nie wykazało niczego niespodziewanego, przywołałem więc kawę i rozsiadłem się w fotelu.

***

Głos Bridget wybił mnie ze skupienia.

– Cześć, Bob.

– Bridget. Bill mówił, że Patchwork jest off-line. Jak ci się…?

– Howard mógłby ci dokładnie powiedzieć… coś, że routing idzie okrężną drogą, przez macierzysty układ Pawonisów.

– Poważnie? To faktycznie okrężną drogą. – Jak z Nowego Jorku do Miami przez Hongkong. Ale tak działają routery. – Cieszę się, że cię słyszę. Niestety przez takie połączenie nie dasz rady sterować mannym. Moja stacja przekaźnikowa jest za słaba.

– Bill tłumaczył. Da się przez nią przesłać kopię zapasową?

– Tak, ale nie w rozsądnym czasie. A ja i tak nie mam żadnych gotowych matryc. Za nisko na liście priorytetów. Na razie skupiałem się na zwiększeniu zapasów dronów szpiegowskich. A co, przemyślałaś na nowo kwestię klonowania?

– Nie, aż tak daleko nie dotarłam. Po prostu patrzę, jakie są opcje. Liczyłam chyba, że szybko znajdziesz jakieś rozwiązanie. Obejście.

– Jakieś tam mamy, ale trochę to jeszcze zajmie. Jak najszybciej zbuduję kilka matryc, pracuję też nad odzyskaniem stacji Półmetek. Zobaczymy, który plan wypali pierwszy.

Dostałem sygnał od Hugh. Poprosiłem, żeby poczekał.

– Ciężki dzień. Hugh chce ze mną rozmawiać. Posłuchaj, Bridget, nawet jeśli odbiję tę stację, trzeba się będzie zastanowić nad korzystaniem z lokalnych replikantów, po prostu, żeby usunąć tę słabość. Zastanów się nad tym, dobra? Na wszelki wypadek.

– Dobrze, Bob. – Rozłączyła się.

Od razu usłyszałem głos Hugh:

– Cześć.

– Cześć, Hugh. Co tam?

– Gadałem z Billem. Zdaje się, że ta awaria łączności jest masowa. W miarę jak badamy sytuację, coraz bardziej nam się wydaje, że to będzie się ciągnąć w nieskończoność. Bill i Gar raczej nie wrócą szybko do ekspedycji, nawet jeśli odzyskamy twoją stację przekaźnikową. Musisz się zastanowić, czy nie zbudować paru lokalnych macierzy…

– Już do tego doszedłem. Dam Gupikowi polecenie zbudowania trzech nowych. Ale chyba będą skończone, zanim odzyskam kontrolę nad stacją przekaźnikową. Nawet w optymistycznym scenariuszu. Więc pewnie będę się musiał sklonować, choć bardzo mi się to nie podoba.

– Ja mógłbym się tam przesłać. Oszczędzić ci trudów klonowania.

– To masakryczna ilość danych. Zajmie wiele dni i przez cały czas będzie blokować łączność. Nie wydaje mi się, by to była najlepsza opcja. Poza tym utkniesz tutaj, na końcu świata. A ja i tak tu jestem, rozumiesz.

– Pewien jesteś? Mnie to nie przeszkadza.

– Jeśli trzeba będzie, to tak zrobimy. Ale mówię: na razie to nie wydaje się optymalne… Bo wiesz, nieźle się zmieniło twoje podejście do tego projektu. Pamiętam, że na początku uważałeś to za ciekawy eksperyment, nic więcej.

– Tak, ale okazało się, że to o wiele więcej niż spacerek po lesie. Szczerze mówiąc, trochę wam pozazdrościłem tych wszystkich przygód. Wiem, to poważna sprawa…

– Ale jednocześnie wielka frajda – dokończyłem za niego. – Tak. Rozumiem. I dziękuję za propozycję, zwłaszcza jeśli alternatywą jest nowy miot.

Wow. Szybko się dzieje. Gdy tylko się rozłączył, kazałem Gupikowi podkręcić priorytet ukończenia trzech macierzy. Trochę to zajmie, szczególnie zważywszy na brak surowców w tym układzie. Ale i tak zawsze się przydadzą.

***

Ogólnie rzecz biorąc, Trzy Zatoki były całkiem przyjemnym miasteczkiem. Szerokie, czyste ulice, nieśpieszne tempo, brak nadgorliwych policjantów. Nawet jedzenie wydawało się o oczko lepsze. Wciąż niestety tylko ryby. Ale miejscowi kucharze odkryli takie rzeczy jak na przykład sól.

Przeszedłem przez ulice z pozoru na chybił trafił, zwiedzając. Naprawdę robiłem dokładną mapę i każdą ulicę, ścieżkę i zaułek odwiedziłem przynajmniej raz. Byłem gotów na bandytów i/lub tajnych agentów, ale nikt taki się nie pokazał. No i dobrze. Na wszelki wypadek miałem w plecaku jeden ze zdobycznych mieczyków, żeby komuś nim pogrozić.

W końcu wylądowałem w znalezionej przez Bridget bibliotece i postanowiłem spędzić w niej popołudnie. Nie mieli klasyfikacji dziesiętnej Deweya, jednak i tak zbiory były ułożone mniej więcej tematycznie. Znalazłem dział, który mógł zawierać coś z historii, wziąłem parę książek i zasiadłem do lektury.

[Bridget prosi o spotkanie.]

Komunikat usłyszałem tylko w wewnętrznym audio. Ale i tak podskoczyłem. Paru innych czytelników spojrzało na mnie zdziwionych. Odpowiedziałem uśmiechem.

– Pchły.

Spoważnieli i zaczęli się odsuwać, starając się to robić w miarę dyskretnie. No cóż. Popularność przychodzi i odchodzi.

– Dzięki, Gupik. Odpisz jej, że będę za jakąś godzinę.

[Przyjąłem.]

Pogrążyłem się z powrotem w lekturze. Starałem się unikać oczywistego czytania z niemożliwą szybkością, lecz na pewno i tak wyglądałem, jakbym po prostu oglądał obrazki.

Przejrzałem to, co wybrałem, oddałem książki bibliotekarzowi i wróciłem do pokoju. Chwilę sprawdzałem drzwi i okno, upewniłem się, czy szop jest na miejscu, po czym położyłem się i wyszedłem z manny'ego.

Bridget czekała w mojej VR-ce w okienku wideo. Miała zniecierpliwioną minę. Mała stacja przekaźnikowa dawała radę z audio i wideo, ale nie pełnym połączeniem VR, więc w praktyce wróciliśmy do VR-ki w wersji 1.0.

Wersja Kolczatki, pewnie należąca do Howarda, leżała jej na kolanach, mrucząc głośno.

– Co tam znalazłeś? – spytała Bridget, nie siląc się na grzeczności.

– Całkiem sporo. Nagrywałem książki na wideo, czytając je, ale mogę ci streścić w paru zdaniach. To potwierdza niektóre rzeczy, które ty znalazłaś.

Kiwnęła głową i położyła Kolczatkę na kanapie w swojej VR-ce. Kotka, urażona, zeskoczyła i wyszła z pokoju. Bridget zaś pootwierała sobie wszystkie nagrane przeze mnie książki w oddzielnych okienkach.

– Kompletnego obrazu nie mam, ale kolonizacja Niebiańskiej Rzeki nie odbyła się w uporządkowany sposób – powiedziałem. – Chyba zbiegła się ze zniszczeniem środowiska na Quinie.

– Ale Niebiańska Rzeka była już wtedy zbudowana?

– Tak. Opisują to w ten sposób: Anec – znowu to imię – dał ją Quinlanom w darze. A może to było przekupstwo. W każdym razie Quinlanie, jak tylko znaleźli się na Niebiańskiej Rzece, albo go zdradzili, albo przestali być mu posłuszni. Za karę Anec zabrał im bogactwo i ustanowił surowe zasady. Każdy, kto przekroczy linię, zostaje rozproszony, co oznacza dokładnie to, co myśleliśmy, przeniesienie do losowej lokalizacji. Może objąć jedną osobę, rodzinę lub całe miasto. I żadne dwie osoby nie trafiają w to samo miejsce.

– To jak banicja. Ale jeszcze gorsza, bo nie możesz wrócić, nigdy, poza tym nawet nie wiesz, czy reszta nadal tam będzie. – Bridget umilkła na moment, żeby się zastanowić. – Wow. Zadziwiająco skuteczne i to w ogóle bez przemocy. Interesujące.

– Tak. Rozmawiałem z bibliotekarzem i on potwierdził, że kiedyś były takie rzeczy, jak łączność na duże odległości i szybki transport pomiędzy częściami megakonstrukcji, ale zostały odebrane w ramach tej kary.

– Hmm. A coś o liczbie ludności?

– Nic konkretnego, ale bibliotekarz… bo on pochodzi z bibliotekarskiej rodziny, powiedział, że według ustnych relacji Quin pękał w szwach. Załóżmy dziesięć miliardów, po prostu rzucając pierwszą z brzegu liczbę. W Niebiańskiej Rzece to będzie dziesięć osób na milę kwadratową. Albo inaczej: jedno miasteczko, pięciuset mieszkańców, na osiemdziesiąt kilometrów rzeki. Mało, ale może ludności przybyło przez ostatnie, ehem… pomiędzy sto a pięćset lat.

– Spory rozrzut.

– No tak, Bridget, ale wiesz… nie ma gwiazd, nie ma księżyców, nie ma pór roku. Łatwo stracić rachubę.

Bridget kiwnęła głową i przez parę sekund przeglądała książkę w okienku.

– Jedna sprawa, Bob: jeśli misja Administratora ma zapewnić Quinlanom bezpieczeństwo i utrzymanie przy życiu za wszelką cenę – a rozwiązanie, które opracował, bardzo wygląda na „za wszelką cenę” – to chyba nie przyjmie obcych szpiegów z otwartymi ramionami. Już zaczynałam rozważać, czy nie wyjść z otwartą przyłbicą, ale teraz mi się nie wydaje.

– Tak, zgadzam się. Już pokazali dość niepokojącą tendencję, by najpierw strzelać, potem pytać. Wygląda na to, że najbezpieczniej dla nich byłoby nas po prostu wykończyć.

– A na tę chwilę masz tylko siebie i swoje klony, o ile jakieś zrobisz.

Westchnąłem.

– Im bardziej człowiek chce się wydostać…

30. Atak Gwiezdnej Floty
Bill, tego samego dnia, Epsilon Eridani

Garfield wskoczył mi do VR-ki bez zaproszenia i bez uprzedzenia. Zwykle był dość kulturalny, więc coś musiało się stać.

– Skończyliśmy mapę awarii – powiedział bez wstępów. – Jest coś jakby prawidłowość.

– Jest? Ja jej nie wyłapałem. Awarie są gdzie popadnie.

Pokręcił głową.

– Nie chodzi o geometrię. Wszystkie stacje, które padły, działały mniej lub bardziej autonomicznie, nikt nimi aktywnie nie zarządzał. Jak w układach, gdzie nie ma Boba-rezydenta.

– A, kurde… To znaczy, że to celowe. Ale nikt nie wydał oświadczenia, czy czegoś takiego, nikt nie wziął odpowiedzialności. Ilu Bobów zostało w sieci?

– Mniej więcej trzydzieści procent. Kolejne dziesięć czy dwadzieścia wróci, bo jest w układach, gdzie Bobowie mają fizyczny dostęp do stacji i mogą je zresetować. Ale to może zająć kolejne dwa tygodnie.

– Jasne. No to czas na Zgromadzenie. – I nie czekając na odpowiedź, wysłałem zaproszenie do całego BobNetu. Dałem VR-kę Zgromadzenia na pełną moc i przeskoczyłem do niej.

Sala do Zgromadzeń urosła nam przez lata. Musiała – mieliśmy teraz dosłownie tysiące Bobów, a szliśmy w kierunku dziesiątek tysięcy. Była to już pełnowymiarowa postludzka cywilizacja, wymarzona utopia, gdyby nie dryf replikacyjny.

Bobowie zaczęli pojawiać się prawie natychmiast. Przywołałem pełnościenną białą tablicę i zacząłem nanosić na nią statusy różnych systemów. Poziom zgiełku cały czas narastał, gdy konkurowały ze sobą dyskusje i kłótnie.

Nikt nie zdziwił się bardziej niż ja, gdy ze środka sali dobiegło trąbienie. Aż spojrzałem na własną rękę, czy nie mam w niej klaksonu. Zapadła cisza, wszystkie głowy odwróciły się ku mównicy, gdzie stał członek Gwiezdnej Floty.

Mundur prawie-jak-z-Następnego-Pokolenia był aż nadto rozpoznawalny i wywołał krótki szmer docinków.

– Chyba wszyscy się zastanawiacie, po co was tu zgromadziłem – powiedział. Standardowy żart padł i się nie podniósł. Atmosfera i tak była napięta, a ludzie nie mieli najlepszego mniemania o Gwiezdnej Flocie.

Rzecznik Gwiezdnej Floty odczekał chwilę sfrustrowany, a potem wyprostował się i ciągnął:

– Jestem Lenny i wygłoszę oświadczenie w imieniu mojej grupy. – Rozejrzał się. Teraz już wszyscy go słuchali. – Zacznę od tego, że aktualne zakłócenie działania BobNetu jest celowe i to my je wywołaliśmy. Doszliśmy do…

Chyba niezbyt się spodziewał reakcji. Normalnie Bobowie słuchali, nawet nieprzyjemnych informacji, przynajmniej po to, by zebrać informacje. Nie tym razem. Zagłuszyła go powódź wyzwisk i propozycji mało anatomicznie prawdopodobnych czynności. Paru Bobów nawet podeszło do niego z zaciśniętymi pięściami. Do niczego by nie doszło, przecież to VR-ka – Lenny jednak cofnął się z przestrachem na twarzy.

Wszedłem na stopień podium i uniosłem rękę. Kakofonia ustała zastąpiona głęboką ciszą.

– Dlaczego?

Lenny wypiął pierś.

– Uznaliśmy, że to jedyny sposób, by…

– By narzucić nam swoją wolę?

– By nie dopuścić do dalszego wtrącania się w…

– Nie przekonaliście nas do swojej racji, więc wcisnęliście nam ją na siłę, tak?

Teraz Lenny miał trochę mniej pewną minę.

– To był jedyny sposób, żeby zapewnić…

Znów podniosłem rękę.

– Czyli chodzi o Quinlan.

– Nie tylko. Pawonisów, Deltan, ludzi…

– Narzucacie nam swoje polityczne poglądy.

Lenny wbił wzrok we mnie.

– Bill, musieliśmy coś zrobić, aby przerwać…

– Nie. Nie musieliście. Postanowiliście tak zrobić. Postanowiliście nas zmusić, żebyśmy postąpili tak, jak chcecie. – Rozejrzałem się po sali. Nie było widać sympatii dla Gwiezdnej Floty. Sprawa była załatwiona.

Odwróciłem się do Lenny’ego.

– Teraz stąd wyjdziesz. Nie jesteś już tu mile widziany, ani w żadnym środowisku w BobNecie. Nie jesteście Bobami. – Machnąłem ręką i zniknął.

Zwróciłem się do tłumu.

– Wszyscy, proszę natychmiast zabezpieczyć swoje instalacje. Zmienić wszystkie hasła i klucze, nawet jeśli niedawno to robiliście. Utworzyć nowe połączenie VPN do mojej osobistej VR-ki. Jak najszybciej przekażę wam nowe klucze. A tymczasem wszystko zaudytować, poszukać koni trojańskich, innego robactwa, zmian w danych. Musimy być czyści.

Bobowie kiwnęli głowami i błyskawicznie zniknęli. W parę milisekund sala opustoszała, nie licząc Garfielda, mnie i jednego Skippy'ego. Metadane mówiły, że to Hugh.

– Będą mieli plan B – powiedział.

Kiwnąłem głową.

– Robimy, co się da, i więcej się nie da.

– Audyt kodu VR-ki do zgromadzeń to mnóstwo roboty. – Hugh przekrzywił głowę, patrząc na mnie. – Może dasz mi kopię tylko do odczytu? Mamy ten gigantyczny system komputerowy…

Kiwnąłem głową. Jeśli coś znajdą, wyczyszczę oryginał.

– Jasne.

– Zaraz to zorganizuję po mojej stronie. Może wpadniesz do mnie, kiedy będziesz gotowy? – powiedział Hugh i zniknął.

Zerknąłem na Garfielda, którego brwi podjechały tak wysoko, jak moje.

– Tak po prostu cię zaprosił? Dziwne to było.

Zmarszczyłem czoło.

– Gar, przygotujmy materiał do tego audytu.

***

Wysłałem spakowane źródła Hugh, gdy tylko były gotowe. Zważywszy na wielkość pliku, spodziewałem się, że poczekam na pierwsze wyniki od paru minut do godziny albo i dłużej, a jednak zaproszenie wysłał mi już po paru milisekundach.

Przeskoczyłem do jego VR-ki i rozejrzałem się. Byłem na płaskiej platformie, pozornie unoszącej się w kosmosie, bez ścian, bez sufitu. Nade mną sunęły rzędy walcowatych satelitów orbitujących wokół odległego słońca. Wyglądało to jak grafika typowa dla filmu science fiction, ze zniekształconą skalą, żeby było widać rzeczy, które normalnie są zbyt daleko.

Hugh wskazał futurystyczny fotel, opadłem nań i pokazałem ten widok.

– To oczywiście nie ma być realistyczne – powiedział, wyczuwając pytanie. – Fizycznie orbitujemy wokół szarego karła i to tylko w jednej warstwie, żeby

ciepło się optymalnie rozpraszało. Ale to dobry model JOVAH [5].

– Czego?

– Naszego projektu. Mózgu-matrioszki. W tej chwili liczy jakieś trzydzieści dwa tysiące modularnych satelitów orbitujących wokół naszej gwiazdy. Są połączone w sieć UNOP-em.

– Ale JOVAH?

– Jednomyślna Omnikompetentna i Wolicjonalna Adaptacyjna Heurystyka.

Udałem, że mnie mdli.

– Skrót dorobiliście później, na siłę, nie?

Hugh parsknął śmiechem.

– Skróty. Najniższa forma gry słów.

– Taka moc, do tego zajebista nazwa i dalej nie udało się osiągnąć prawdziwej SI?

– Bill, to nie jest kwestia skali. Wrony i papugi były jednymi z najinteligentniejszych istot na Ziemi, a mózgi miały mniejsze od orzecha. Niektóre delfiny miały stosunek masy mózgu do masy ciała jak u ludzi, a i tak nie wykazywały przejawów inteligencji na naszym poziomie. A największy mózg do masy miał gatunek nornicy. Liczy się organizacja mózgu i połączenia pomiędzy jego procesami. Obecnie myśli się, że albo przeoczyliśmy coś podstawowego, albo zapędziliśmy się w ślepą uliczkę, z której ciężko się wycofać. JOVAH jest niesamowicie potężny. Potrafi przetworzyć ogromne ilości informacji praktycznie natychmiast. Pamięć operacyjną i masową ma niemal nieskończoną. Ale wciąż to jest w zasadzie MSI. Nie ma zdolności do myślenia kontrfaktycznego, nie dziwi się, nie ma poczucia własnej jaźni ani żadnego dialogu wewnętrznego.

– Dialog wewnętrzny rozumiem, ale myślenie kontrfaktyczne?

Hugh się uśmiechnął.

– No dobra. Załóżmy, że zaprogramowałeś MSI do pokierowania jakimś pojazdem z punktu A do B na płaszczyźnie. I ona to umie. Ale teraz okazuje się, że pojazdy są naprawdę na powierzchni kuli, na przykład na Ziemi. Czyli współrzędne nie będą się do końca zgadzać i pojazdy zawsze trafią trochę nie w to miejsce. MSI nigdy nie poprawi swoich algorytmów, jeśli jej tego nie każemy. Nie zastanowi się, czemu to się ciągle nie zgadza. Można ją zaprogramować, żeby się korygowała, i jak ustali, że sfera działa lepiej niż płaszczyzna, zacznie używać nowych wzorów. Ale nigdy nie będzie się dziwić, dlaczego tak się dzieje. Nigdy nie uogólni tego, żeby pomyśleć o grawitacji, astronomii, czymkolwiek. Prawdziwa inteligencja zdziwiłaby się, że znowu się nie zgadza, i próbowałaby ustalić, o co chodzi.

– I tego nie macie.

– Do tego nam bardzo daleko. Zawsze można dołożyć dodatkową warstwę zachowań, ale ona nigdy nie wyjdzie poza to, co zaprogramowane. Oczywiście upraszczam. Nawet w dwudziestym pierwszym wieku naukowcy wychodzili poza ten poziom, ale chodzi z grubsza o to samo.

– A czemu po prostu nie zasymulować mózgu? Robili to w dwudziestym drugim wieku na Ziemi. Sami jesteśmy dowodem.

– Bill, to taka różnica, jak pomiędzy nagraniem rzeczywistości na wideo i cyfrowym stworzeniem od zera realistycznej animacji. Pierwsze było możliwe jeszcze przed urodzeniem pierwszego Boba. Do drugiego nie doszli, zanim zginął. W każdym razie nie ze stuprocentowym realizmem.

– Czyli umiemy zasymulować istniejącą inteligencję, ale nie umiemy stworzyć nowej od zera.

– Exactamundo, mon frère. Bardzo to frustrujące.

Rozśmieszyła mnie ta jego familiarność. Chyba była trochę wymuszona. Starał się, bym poczuł się swobodnie.

– Wow. Dalej myślicie, że to jest możliwe?

– Nie mamy żadnego powodu, żeby sądzić, że nasza inteligencja wykracza ponad normalne fizyczne prawa wszechświata. Replikacja jest najlepszym dowodem. Problem jest więc trudny, ale nie niemożliwy.

– A czemu nie pójść po prostu w ulepszonego replikanta?

– Nie działa. Znaczy działa, ale to nie jest to, o co nam chodzi. Struktura ludzkiego umysłu, nawet replikowanego, jest ograniczona biologiczną architekturą, z której się rozwinął. Dlatego mamy swojego Gupika. Kopia zapasowa wgrana na JOVAH jest w stanie działać o wiele szybciej niż reszta z nas, jednak to ciągle jest Bob. Próbowaliśmy. Nasz administrator systemów to klon Boba chodzący na wirtualnej maszynie na JOVAH. Jest słabą superinteligencją, bo przewyższa nas szybkością. Ale silną superinteligencją nie jest.

– Hmm… – Wzdrygnąłem się w myślach. – Dobra. Wracając do tematu, masz listę ze Zgromadzenia. Wiesz może, kiedy będziecie mogli…

– Już.

Uniosłem brwi. Obie.

– Wow! Szybko.

– Po to właśnie to robimy. Znaczy między innymi. A teraz zła wiadomość.

– Ojoj.

Hugh uśmiechnął się niewyraźnie.

– No właśnie. Oni musieli się bardzo długo przygotowywać. Nie do wszystkiego się dostali, ale tam, gdzie im się udało, nieźle porządzili. Między innymi udało im się wstawić monitor do twojej łączności.

Opadła mi szczęka.

– Oj. Czyli wiedzą, o czym rozmawiamy.

– A, nie. Wszystko, co oni potrafią, my też umiemy, tylko lepiej. Teraz akurat rozmawiamy o piwie. Przynajmniej dla nich.

– Cholera. Sporo czasu zejdzie na odkręcaniu tego wszystkiego.

– Jest jeszcze gorzej. Nasza analiza wskazuje, że jeśli spróbujecie fizycznie przejąć stacje, one włączą procedurę samozniszczenia.

Wstałem.

– Cholera po trzykroć. Bob mówił, że właśnie to chce zrobić!

***

Garfield rozwalił się na fotelu i rzucił mi raport.

– To są ostatnie liczby. Mamy online czterdzieści osiem procent Bobiwersum. Z pozostałych pięćdziesięciu dwóch osiemnaście to Gwiezdna Flota…

– Aż tyle?

– Bardzo agresywnie się replikowali. Musieli to od dłuższego czasu planować. W każdym razie jedna trzecia Bobiwersum jest odcięta na dobre. Pojawiają się nowe połączenia, w miarę jak ludzie próbują użyć UNOP-ów na dronach i innym sprzęcie, ale to nadaje się tylko do bardzo podstawowej łączności.

– A jeśli o to chodzi… – Machnąłem trzymanym arkuszem. – Sprawdziłem twoją listę awarii. To wszystko są stacje, które zaktualizowałem kilka dni temu, bo ciągle miały oryginalne klucze. Ktoś nagrał moją sesję, zapisał sobie nowe klucze i wszedł nimi do wszystkich stacji. – Zacisnąłem zęby. – Dałem się podejść klasyczną inżynierią społeczną. Dałem się nastraszyć i zrobiłem dokładnie to, czego chcieli i na co byli przygotowani.

– Wow. To bardzo wyrafinowane. Aż za bardzo, jak na tych typów. Nie chce mi się wierzyć. Wyglądają raczej na bandę głupków niż geniuszy manipulacji.

– No widzisz, rzeczywistość przerosła oczekiwania. A po drugie… – Podniosłem kolejny arkusz. – Tu jest ultimatum od Gwiezdnej Floty. Lenny pewnie chciał je ogłosić na Zgromadzeniu, ale odciąłem go, zanim do tego doszedł. – Uniosłem kartkę i teatralnie się w nią wczytałem, choć już znałem treść. – Proponują przywrócenie całej łączności i wszystkich funkcjonalności, o ile zgodzimy się na zaprzestanie ingerencji w życie innych gatunków.

– Czyli szantaż.

– Ano.

– Ktoś na to poszedł?

Prychnąłem.

– Nie docenili Bobiwersum. Chyba ten ktoś, kto jest przodkiem Gwiezdnej Floty, zdryfował daleko od cech Boba i nie uświadomił sobie tego. Pomyśleli, że zachowamy się tak, jak mogliby oni.

– A tu kupa. Ale wiesz, to dziwne, że byli na tyle dobrzy, żeby cię podejść, ale na tyle kiepscy, żeby nie przewidzieć ogólnej reakcji.

Puściłem mimo uszu powrót do tego tematu.

– A co z fizyczną lokalizacją? Gwiezdna Flota jest w jakimś konkretnym miejscu?

– Ogólnie rzecz biorąc, są bardziej w okolicach Ramienia Perseusza, ale jeśli pytasz, czy są dogodnie zbici w kupkę, to nie. Naprawdę bierzesz pod uwagę fizyczną walkę?

– Teraz już niczego nie wykluczam. Jak powiedziałem na Zgromadzeniu: oni nie są Bobami. Nie myślą jak Bobowie, nie postępują jak Bobowie.

Westchnął ciężko.

– Fantastycznie.

31. Strategie
Bob, lipiec 2334, peryferie Ety Leporis

Siedzieliśmy w mojej wirtualnej bibliotece z napitkami w dłoniach, zastanawiając się nad przyszłością. Garfield, Hugh, Bill i Bridget byli reprezentowani przez okienka wideo. Do tego o dość słabej rozdzielczości. Nie do końca jak Minecraft, ale zdecydowanie poniżej jakości filmowej. Moja tymczasowa stacja przekaźnikowa i tak miała zeżarte sto procent pasma.

Bridget patrzyła w przestrzeń, w milczeniu ściskając szklankę, i nikt nie miał ochoty przerywać jej prywatnej zadumy. Nagle wyprostowała się.

– Przyznam, trochę poszłam w metafizyczną spekulację, ale co, jeśli może być tylko jedno ja? Gdyby mnie wyłączyć, zrobić kopię zapasową i odtworzyć tutaj? A później odwrotnie, kopię zapasową stąd wgrać na moją oryginalną macierz?

Ewidentnie zdumiony Hugh wytrzeszczył oczy.

– Najbliższy kontynuator. Idea, że może być tylko jedna Bridget. Czyli miałabyś ciągłość.

– Tak samo jak postacie ze Star Treka mają ciągłość, kiedy się teleportują – dodał Garfield.

– Słuchajcie, z tym Star Trekiem to naprawdę musicie sobie dać już spokój – rzuciła Bridget. – Chociaż w tym przypadku to trochę pasuje. Oni byli rozkładani na atomy, prawda?

Machnąłem ręką w geście „tak i nie”.

– Były próby złagodzenia tego, jak w tym odcinku z Barclayem, gdzie znalazł załogę, która utknęła w strumieniu materii…

– Ale potem w rikerowskim odcinku po prostu powstał drugi Riker – odparł Garfield. – To ewidentnie kłóci się z ideą unikatowej duszy.

Bridget skrzywiła się i opadła głębiej w fotel, kręcąc głową. A my dopiero się rozkręcaliśmy.

– Jeśli proces nie kopiuje także duszy… – zaczął Hugh.

– To tylko stany kwantowe – przerwał mu Garfield.

– Ale skąd bierze się dusza noworodka? – zapytałem. – Może powstać z niczego, zakładając, że istnieje, więc…

– Rany boskie! – wykrzyknęła Bridget. – Żałuję, że to wyciągnęłam. – Zaplotła ręce i odwróciła wzrok, mową ciała pokazując złość.

Na milisekundę czy dwie zapanowała niezręczna cisza, póki Garfield nie mruknął:

– Ale to i tak tylko stany kwantowe.

– Tak, ale możesz mieć… – Urwałem, bo Bridget spojrzała na mnie tak, że jej wzrok mógł mi fizycznie złuszczyć farbę z kadłuba. – Dobra, niech będzie. Możemy przejść do rzeczy? – Nikt nic nie powiedział, więc kontynuowałem: – Jesteśmy znowu we czworo, przynajmniej teoretycznie. Póki nie wróci łączność, możecie tylko obserwować, ale to już sporo pomaga. Monitorowałem kilka miejsc, obstawiłem je szopami i przesyłałem nagrania Hugh do analizy. Jakby od czasu do czasu zerknąć żywym okiem, może by się szybciej coś znalazło.

– Ja będę na razie trochę zajęty naprawą łączności – odezwał się Bill. – Will mnie zastąpi. Jeśli nie przyjdę na którąś sesję, streści mi, co było.

Hugh się skrzywił.

– Ja już powiedziałem, że chcę się tym zająć.

– Hugh, to nic nie szkodzi. Will jest oficjalnym rezerwowym i ma czas. Ale oczywiście też możesz brać udział w sesjach. W końcu jesteś w ekipie. – Bill kiwnął mu głową i zniknął.

Hugh nachylił się ku nam i oparł łokcie na kolanach. Przez moment miał sfrustrowaną minę, potem twarz mu się wygładziła.

– Na froncie podsłuchowym… mam pewne poszlaki, że w Trzech Zatokach istnieje organizacja. Nic oczywistego, nikt otwarcie nie gadał, że będzie coś wysadzał. Ale podobne wzorce rozmów na podobne tematy, z użyciem podobnych sformułowań, sugerują, że coś się dzieje. Coś, co ludzie chcą zachować w tajemnicy. Pooznaczałem tych rozmówców i rozpoznawanie twarzy będzie informować, kiedy wejdą w zasięg kamer.

– Masz jakieś pojęcie, ile jest tych organizacji? – odezwała się Bridget.

Wyglądało na to, że zamknęła się w sobie, więc ta nagła uwaga zbiła wszystkich z tropu. Nawet Hugh się zawahał i musiał się mentalnie przegrupować.

– Bardzo prawdopodobne, że więcej niż jedna. Są dwa wyraźne wzorce dialogów. Ja obstawiam dwie, ale mogą być trzy lub cztery.

– Zgoda – odrzekła Bridget. – Widzimy motywacje przynajmniej dwóch grup – Administratora i Oporu.

Hugh kiwnął głową, unosząc brwi.

– Dobra analiza, ja się zgadzam. To jak, dalej obserwujemy czy wtykamy kij w mrowisko i patrzymy, co wylezie?

– Cały czas nie natrafiliśmy na ślad Bendera – odparłem. – Jeśli tu pójdziemy na całość, możemy stracić jakąkolwiek szansę znalezienia go.

– Albo ją znacząco zwiększyć – stwierdziła Bridget. – Widzisz, jeśli ta grupa czy grupy mają globalną łączność, to potencjalnie możemy się dowiedzieć, czy jest gdziekolwiek w Niebiańskiej Rzece. A jeśli nie mają, to spalenie mostu tutaj nie zaszkodzi nam w innych miastach.

– Bo metodyczne przeszukanie półtora miliarda kilometrów megakonstrukcji nie wchodzi w grę – dodał Garfield. – Zwłaszcza teraz, Bob, kiedy jesteś w pojedynkę. Przynajmniej fizycznie. Nie wiem, jak mógłbyś realistycznie kontynuować tę ekspedycję.

– Pewnie będę się musiał sklonować. Mogę podjąć tę decyzję, kiedy matryce będą gotowe.

– Ale na razie jesteś zdany na siebie. – Garfield pokręcił głową. – Jakoś nie widzę, żebyś mógł za wiele zrobić, czekając na macierze. A parę kijów w paru mrowiskach mogłoby chociaż przynieść coś nowego.

– No dobra, ustępuję. Głosowanie?

Wyszło, że będę latał z tymi kijami.

32. Dać się złapać
Bob, lipiec 2334, Trzy Zatoki

Kij plus mrowisko równa się… Musiałem przyznać, że to nie jest moja specjalność. Mieliśmy wcześniej prostą taktykę, wynikającą z doświadczenia – pokazać się publicznie we czwórkę. Ale bez stacji na półmetku to nie wchodziło w grę. A może?

Trzeba się było pokazać tylko na chwilę, żeby nas skojarzono. Sterujące androidami MSI były w stanie wykonać polecenie typu „idź za Bobem”. Jeśli gdzieś był jakiś drzeworyt naszych paszcz, ktoś powinien zareagować.

Siedziałem w naszym zadziwiająco przestronnym pokoju hotelowym, spoglądając w milczeniu na trzech pozostałych mannych. MSI nie były geniuszami, ale z prostymi poleceniami dałyby sobie radę, aby tylko nie musiały rozmawiać. Reszta grupy miała z nimi na tyle dobrą łączność, by wydawać polecenia głosowe i odbierać proste sygnały audio i wideo. Do tej operacji tyle wystarczy – do pełnej ekspedycji w żaden sposób się nie nadaje.

Byłem przekonany, że ekipa metaforycznie wisi nade mną gotowa, by kibicować. Bzdura oczywiście, ale trudno się było z tego otrząsnąć. W końcu wstałem.

– No, co za rozmowna gromadka. Jedziemy z tym, tak czy nie?

– Mózg! Mózg! – powiedział manny Garfielda.

Na mój znak androidy wstały. Otworzyłem drzwi, wytoczyliśmy się z opuszczonymi głowami, jak niewolnicy idący na ciężkie roboty. Bridget zaproponowała, żeby iść w kierunku miejscowej biblioteki, całkiem rozsądnie zauważywszy, że ścigający, jeśli wiedzą o naszych poprzednich zachowaniach, na pewno mają ją obstawioną. Nie była to zła strategia, ja jednak nie mogłem się otrząsnąć z poczucia, że idziemy na rzeź.

Jak się okazało, nie trzeba się było niepokoić. W połowie drogi do biblioteki Will powiedziałem przez interkom:

– Śledzą was.

– Bardzo dobrze – odparła Bridget. – Może coś jednak osiągniemy. – Urwała na moment. – Widzę ich. Dwóch facetów, jakieś dwadzieścia metrów za nami?

– No… nie – odparł Garfield, rozbawiony. – Mężczyzna i kobieta, idą równolegle do nas po lewej.

Trudno mi było się powstrzymać od przewrócenia oczyma.

– Niesamowite, muszę ci przyznać Bridget, że twój plan działa.

Nie odpowiedziała, ale wyobraziłem sobie słaby uśmiech.

– Oni nie są razem – stwierdził Will. – Nie są skoordynowani, nie obstawiają was, nie starają się zachować równego dystansu. Jeśli coś, to raczej ta druga grupa śledzi tę pierwszą.

– Może to nam się przydać w odpowiednim momencie. Na razie po prostu idziemy, jak gdyby nigdy nic.

I zademonstrowałem to, zwalniając i oglądając towary na wystawie sklepowej. Pewnie nawet za bardzo rzucałem się w oczy. Trudno powiedzieć, bo nie byłem w tej kwestii obiektywny.

Czułem to typowe swędzenie między łopatkami. Powtarzałem sobie, że nie wszyscy mają broń, ale nie dodawało mi to tyle otuchy, ile powinno. Nawet rzucony nóż narobiłby pewnych szkód. Wbrew sobie zacząłem przewracać oczyma na wszystkie strony, rozglądając się. Od razu zauważyłem dwie idące za nami grupy.

Teraz nadeszła ryzykowna faza. Mieli schwytać tylko mnie. Nie mogłem dopuścić, by złapano któregoś z bezzałogowych mannych – to by im nasunęło wiele niepożądanych pytań. Na szczęście mieliśmy na to scenariusz. Odwróciłem się i zbiłem w gromadkę z pozostałymi mannymi. Po paru sekundach pozostała trójka zawróciła i ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła, idąc nonszalancko wolnym krokiem. Ja natomiast szedłem dalej, starając się emanować pośpiechem ze wszystkich porów.

– Jedna grupa jakby się zastanowiła, czy nie pójść za resztą mannych, ale chyba zdecydowała, że będziesz łatwiejszym celem – powiedziała Bridget. – Teraz jedni i drudzy idą za tobą.

Po chwili dotarłem do biblioteki i oczywiście plac przed nią był niemal całkowicie opustoszały. Ciekawiło mnie, jak to robią, nie wywołując sensacji. Na Ziemi, gdyby ktoś spróbował zażądać od ludzi opuszczenia jakiegoś obszaru, zaraz miałby na głowie dwa razy większy tłum gapiów. Tutaj jakby wszyscy rozumieli pojęcie „iść sobie”.

Powiedziałem „niemal”, prawda? Kilka grupek Quinlan na obrzeżach w śmiechu warty sposób starało się wyglądać niezobowiązująco, jakby tam po prostu stali, jednocześnie trzymając dłonie na niewidocznych przedmiotach w plecakach. Mój mózg natychmiast zwizualizował sobie Golluma, zastanawiającego się, co też „hobbitsy” mają w kieszeniach.

Stanąłem jak wryty, poruszając jedynie bardzo ruchliwymi quinlańskimi gałkami ocznymi. I to był sygnał do rozpoczęcia zabawy.

Dwie grupki Quinlan, które czekały, odwróciły się i ruszyły ku mnie, wyciągając standardowe szpikulcowate mieczyki. Zanim przeszli pięć metrów, jedna ze śledzących nas grup wyciągnęła pistolety i zaczęła strzelać. I tyle zostało z koncepcji, że nie mają broni. Druga grupka śledzących od razu ruszyła na tamtych z mieczykami w dłoniach. Quinlanie z pistoletami mieli przewagę, póki na plac nie wpadła jeszcze jedna grupka i nie rzuciła się na nich.

Stałem pośrodku tego wiru, mając wrażenie, że całkowicie o mnie zapomnieli.

– Fajnie być rozchwytywanym, co? – zauważył Garfield.

– Ale długiemu życiu to nie sprzyja – odparłem. – Trochę się zastanawiam. Chyba trzeba zwiewać.

– Tak jest.

– Potwierdzam.

– Spadaj stamtąd.

No i świetnie, miałem konsensus, tylko że sam już puściłem się biegiem. Opadłem na cztery łapy i przygotowałem się do sprintu. Dwie walczące grupki także od razu osiągnęły konsensus, na oko polegający na tym, by nie pozwolić mi się wymknąć. Ci z walczących, którzy jeszcze stali na nogach, odwrócili się jak jeden mąż i pobiegli za mną.

– Mają pistolety – powiedziałem.

– Tylko niektórzy – odparła Bridget.

– Usypiające, zdecydowanie – stwierdził Hugh.

– Skąd to przekonanie?

– Po trafieniach nie padają jak ranni. Bardziej robią „au”, chwieją się i się osuwają.

Bridget się zastanowiła.

– Dobra, to jak cię trafią czymś takim, zachowaj się odpowiednio.

– Co takiego? Nadal chcecie, żeby mnie złapali? – Nie kryłem zaskoczenia w głosie.

Reszta milczała przez moment, gdy okrążałem fontannę.

– Wahamy się co do decyzji – powiedziała Bridget. – Ale może się okazać…

– Uuf! – jęknąłem, gdy ktoś mnie bardzo profesjonalnie powalił. Obszedł fontannę z drugiej strony i wziął mnie z zaskoczenia.

Kiedy przestaliśmy się tarzać, popatrzył mi prosto w oczy. Wydawał się równie zdziwiony, jak ja. Gapiliśmy się tak na siebie przez sekundę, zastanawiając się, czy dać się złapać. Potem tę decyzję podjęła za mnie większa

liczba Quinlan, którzy także się na mnie rzucili. Takiej masie nie udałoby mi się wyrwać, nawet z maksymalną siłą manny’ego.

***

Założyli mi kajdanki. Ich quinlańska wersja była ciekawa – skuwały wszystkie cztery kończyny, a pośrodku miały urządzenie, które otworzyłoby się jak spadochron, gdybym zanurkował do wody i próbował odpłynąć. Bardzo pomysłowe. Przez dobre parę sekund to analizowałem.

Chyba zbyt dogłębnie. Przywódczyni grupy machnęła mi szpikulcem-rożnem przed twarzą i powiedziała coś ostrym tonem. Uświadomiłem sobie, że nie zwracałem uwagi, pewnie dlatego, że nic mi nie groziło. Trzeba się bardziej postarać. Nie mogłem sobie pozwolić, żeby rozebrali manny’ego na części – w ogóle, żeby doszli do wniosku, że nie jestem Quinlaninem z krwi i kości. Przewinąłem nagranie i puściłem jej słowa w przyśpieszeniu.

– Nie widzę ani śladu tych superquinlańskich możliwości, o których mówili nasi korespondenci z góry rzeki. Może po prostu są nieudolni?

Jej ekipa zarechotała, a potem wszyscy błyskawicznie ucichli, kiedy uniosła rękę. Była groźna i oni dobrze o tym wiedzieli. Postanowiłem grać należycie zastraszonego, kiedy nachyliła się do mojej twarzy.

– Będziesz robił trudności, muczin, to poprzecinam ci fałdy.

To była poważna groźba. Quinlanin pozbawiony fałd pod ramionami już nigdy nie byłby w stanie dobrze pływać. Coś jak średniowieczna praktyka ucinania dłoni.

Nie byłem pewien, czy to realistyczna groźba, czy się po prostu popisuje, ale nie zamierzałem tego sprawdzać. Przecież osiągnąłem, co chciałem. Czego chcieliśmy. No dobra, czego chciała Bridget. Reszta naszej grupy była zajęta prowadzeniem mannych z powrotem do rzeki. Szybko dotarło do nas, że przegrani pogonią za nimi, żeby mieć coś do pokazania swoim szefom.

Porywacze wzięli mnie pod ramiona i zaczęli ciągnąć. Rozejrzałem się, ale nie widziałem żadnej innej ekipy. Dostałem w tył głowy od jednego z ekipy, pomarszczonego typa, który z jakiegoś powodu skojarzył mi się z Popeye’em.

– Głowa w dół – warknął.

Już prawie się na niego rzuciłem, ale opanowałem się: po raz kolejny musiałem sobie przypomnieć, że wszystko idzie zgodnie z planem.

– Jesteś w stanie zidentyfikować, która grupa cię złapała? – To był Garfield.

– Taa – odparłem. – Ci z nożykami.

– Naszych mannych chyba ścigają ci z pistolecikami – poinformowała Bridget.

– Mam jednego małego szopa – dodał Garfield. – Staram się mieć na oku grupę Boba. Dobrze byłoby mieć w środku parę dronów, nie myślicie?

– Nie ma miejsca – odparłem. – Zapewniam, że się nad tym zastanawiałem.

Bez widocznego powodu kolejny raz dostałem po głowie od Popeye'a. Postanowiłem, że w odpowiednim czasie odpłacę mu z odsetkami.

***

Zaraz weszliśmy do niczym niewyróżniającego się budynku. Dwa piętra w górę i znaleźliśmy się w zadziwiająco przestronnym mieszkaniu.

– Fajnie tu sobie urządziliś…

I cofnąłem się o krok, bo głownia miecza Popeye'a wylądowała na moim brzuchu. Wnosząc z quinlańskiej anatomii, powinno to mieć dokładnie taki sam skutek jak u człowieka. Albo Deltanina. Albo Pawonisa. Interesujące.

Odłożyłem tę myśl na później i odwróciłem się do Popeye'a. Nie zgiąłem się, tak jak oczekiwał, nie jęknąłem. Nie przeoczył tego i na jego twarzy odmalowała się odrobina quinlańskiego odpowiednika wytrzeszczonych oczu. Spojrzałem na niego spode łba.

– Jeszcze raz to zrobisz i cały szpinak na świecie cię nie obroni.

Strach przeszedł w zdziwienie. Wyraźnie „szpinak" nie za dobrze się przetłumaczył. Ale groźbę zrozumiał. Uniósł swój szpikulec, żeby walnąć mnie jeszcze raz, ale pani Szefowa ostro wypowiedziała jego imię. Poinstruowałem tłumacza, żeby odtąd przekładał je na „Popeye".

Popeye opuścił mieczyk i rzucił mi złowrogi uśmiech.

– Kiedy tylko chcesz, muczin.

Pani Szefowa wskazała mi krzesło. Usiadłem i ktoś z ekipy rozkuł mi jedną nogę, przewlókł linkę między poprzeczkami krzesła i zakuł z powrotem. Pachniało to amatorszczyzną. Nawet dysponując tylko quinlańską siłą, pewnie mógłbym połamać krzesło i się uwolnić. Może jednak chodziło tylko o spowolnienie ucieczki.

Same kajdany wyglądały, jakby były zrobione z jakiegoś twardego drewna – metal w Niebiańskiej Rzece był trudno dostępny – połączonego ciasno splecioną liną. Oceniłem, że gdybym musiał, mogę je po prostu zerwać. Odwróciłem głowę od porywaczy i otworzyłem usta. Wyskoczyło parę szopów wielkości pcheł i zaczęło schodzić w dół po sierści, z poleceniem strategicznego osłabienia moich więzów. Tak na wszelki wypadek.

Pani Szefowa podeszła, przysunęła sobie krzesło i usiadła przede mną. Szybko poleciłem pchełkom, żeby kontynuowały podróż pod sierścią. Mało prawdopodobne, żeby zachciało jej się mnie iskać, ale nie mogłem pozwolić, by przyjrzała się moim pasażerom.

– To jak się nazywasz?

No, to było o wiele kulturalniejsze, niż się spodziewałem.

– Bob. A ty?

– Możesz mi mówić Frieda. – Oprogramowanie tłumaczące automatycznie przypisało do tego, co naprawdę powiedziała, losowe ludzkie imię. – Dobra, Bob, to może opowiesz mi o sobie i swoich kolegach?

Mniej więcej wiedziałem, jak to się rozegra, stwierdziłem jednak, że będę się trzymał scenariusza.

– Nasza czwórka niedawno weszła w dorosłość i postanowiliśmy wyruszyć na grand tour, żeby zwiedzić trochę rzeki i gdzieś się osiedlić. Dużo ludzi tak robi, przynajmniej w naszej okolicy.

Frieda chwilę patrzyła na mnie w milczeniu. Westchnęła.

– Dobra, rozumiem, że musimy najpierw przejść przez standardowe kłamstwa. Początkowo myśleliśmy, że jesteście szpiegami Administracji, ale interesowały was najdziwniejsze rzeczy. I śledziliście Skeve’a, ale nie po to, by coś mu zrobić. Przyznaję, że jestem zdezorientowana. Jesteście inną grupą oporu?

– Logicznie rzecz biorąc, żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym wiedzieć, jaką grupą wy jesteście. Ale krótko: nie, nie jesteśmy żadną grupą oporu. I z Administracji też nie jesteśmy. Właściwie wiemy o niej tyle, co większość ludzi.

– To kim jesteście?

– Jak mówiłem, wędrowcami.

Frieda zerknęła na kogoś ponad moją głową i kiwnęła głową. Natychmiast poczułem oślepiający ból. Odruchowo wygiąłem grzbiet w łuk, gdy wewnętrzne układy przeszły w tryb minimalizacji szkód. Odwróciłem głowę i zobaczyłem Popeye’a, trzymającego w dłoniach dwa kable ze zdjętą na końcach izolacją. Powiodłem wzdłuż nich wzrokiem, aż skończyły się na czymś, co bardzo przypominało spięte szeregowo baterie. No to się wyjaśniło. Manny nie jest bardziej odporny na prąd niż bio. To jest poważny problem. Dorzuciłem sobie na listę zadań, żeby poszukać jakichś środków zaradczych.

– Zabolało, co? – Popeye wyszczerzył się do mnie. – Może mi znowu pogrozisz, co, muczin?

– Nie ma sprawy. Jeszcze raz tego na mnie użyjesz, to wylecisz przez najbliższą ścianę. Może być?

– Wróćmy do rzeczy, dobra? – Frieda przerwała mierzenie się wzrokiem. – Bob, wcześniej czy później powiesz nam to, czego chcemy. Możesz sobie oszczędzić trochę bólu. Nie jesteśmy przecież twoimi wrogami.

Odwróciłem się z powrotem do niej. Może szczerość zadziała.

– Dobrze, Frieda. Zagram w otwarte karty. Szukamy przyjaciela. Naprawdę. Nie jesteśmy od Administracji ani od żadnych innych podziemnych watażków, ani od żadnego Ruchu tego czy innego Oporu.

– Otwarte… papiery? Podziemnego… kogo? – Frieda zmarszczyła czoło, westchnęła ze znużeniem i kiwnęła głową komuś nade mną.

– Ale nie… – Znów ten silny ból, lecz tym razem przykręciłem trochę filtry na bodźcach sensorycznych, więc to było raczej odbieranie informacji niż cierpienie.

Popeye prychnął.

– Chcesz mi znowu pogrozić?

To była ta kropla. Kiedy rozmawialiśmy, pchełki porządnie nadgryzły kajdany na moich nadgarstkach. Pora to sprawdzić. Wstałem i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, szarpnąłem ręce do góry. Kajdany trzasnęły dokładnie tak, jak liczyłem, choć czujniki zarejestrowały trochę uszkodzeń w przedramionach.

Wyciągnąłem ręce, złapałem Popeye’a za futro i cisnąłem nim w najbliższą ścianę. Nie do końca przez nią przeleciał, co pewnie kwalifikowało się jako obietnica bez pokrycia, ale gips-karton zdecydowanie rozwalił. Nieprzytomny osunął się na podłogę, zostawiając pół metra nad nią wgłębienie mniej więcej w kształcie Popeye’a.

Odwróciłem się do Friedy, żeby rzucić jakąś kąśliwą uwagę, i odkryłem, że patrzę na ostre końce kilku szpikulców-rożnów. Trzymający te mieczyki wszyscy mieli te wytrzeszczone, na wpół spanikowane miny, bardzo jasno mówiące, że źle zareagują na… hmm, na cokolwiek.

Przechyliłem głowę i powiedziałem:

– A przecież go ostrzegałem. Dwa razy.

***

Potrwało to parę minut, ale w końcu udało mi się ich przekonać, że nie wpadnę w morderczy szał ani nie będę uciekał. Usiedliśmy sobie z powrotem, chociaż tym razem krzesło Friedy stało dobry metr dalej niż przedtem. Obejrzałem się na kable, wciąż leżące na podłodze tam, gdzie upuścił je Popeye. Nikt nie zgłosił się na ochotnika na jego stanowisko. Zabrano go też do innego pokoju, gdzie pewnie udzielano mu pomocy medycznej.

– Zdziwiłem się trochę – powiedziałem, wskazując te kable. – Myślałem, że technika na tym poziomie jest zabroniona.

Frieda spróbowała się uśmiechnąć i nawet jej to wiarygodnie wyszło.

– Co do zasady, my nie jesteśmy specjalnie praworządni.

– „My” znaczy Ruch Oporu?

Zmarszczyła czoło.

– Naprawdę nie wiesz? A rozpoznałeś, że baterie są zakazane?

Też się zmarszczyłem.

– Posłuchaj, nie możesz po prostu pomyśleć, że jestem kimś, kto odkrył ten spisek z Administratorem i Oporem i próbuje teraz dojść, o co chodzi? To szczera prawda.

– Może tak, ale nie cała. Jest dużo więcej. Na początek wasze fizyczne możliwości. Jest relacja, że jeden z was dostał strzałką z bliska i tylko się zezłościł. Po drugie, te wasze dziwne wyrażenia i slang. – Wpatrzyła się we mnie, po czym dodała: – Zdecydowanie jesteście dziwni. I nowi. Chyba trzeba będzie zaangażować w to szefostwo.

Kiwnąłem głową, miałem nadzieję, że z szacunkiem. A w środku zatańczyłem z radości. To może być przełom. Wreszcie. Jeśli z nimi da się trochę ponegocjować, dać coś za coś, to może w końcu zdobędę jakieś prawdziwe informacje o Benderze.

***

Wsadzili mnie do pokoju na tyłach, z małym okienkiem pod sufitem, o wiele za ciasnym, by się przez nie przecisnąć. Długie stukanie i łomotanie za drzwiami nasunęło mi myśl, że wzmacniają zamki. Pewnie meblami. Miałem przeczucie, że ten lokal został wybrany specjalnie ze względu na zabezpieczenia. Albo i zbudowany. Może cały budynek jest twierdzą Ruchu Oporu?

Z przyjemnością bym się rozejrzał, ale niestety moje największe szopy były zainstalowane w rozmaitych pubach, żeby prowadzić nasłuch rozmów o Ruchu Oporu, a reszty nie chciałem ryzykować. Hmm… Całe to szpiegowanie trochę się już zdezaktualizowało, ale nie chciałem, żeby szopy, wracając do mnie, szły przez jakieś nieznane miejskie rejony. Ten plan zostawiłem na razie w rezerwie.

Za to doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby się teraz zgadać. Nie chciałem nikomu przerywać niczego ważnego, więc wysłałem przyjaciołom po prostu info, że jestem dostępny.

– Cześć, Bob – odpowiedział Garfield. – Jak idzie?

– Cały jesteś? – zapytała Bridget.

– Cześć – uzupełnił Will.

– Jestem cały – odpisałem wszystkim. – Złapał mnie Ruch Oporu. Innej nazwy chyba nie mają. Po prostu jest Ruch Oporu i Administrator, któremu stawia opór. Lepszych etykietek nie potrzebują.

– Ludzie i tak by wymyślili jakiś skrót – rzucił ze śmiechem Garfield.

– Na sto procent durnowaty – dodała Bridget.

– Bob, niestety chyba cię zgubiłem – powiedział Garfield. – Musiałem uciec paru ekipom tropiącym. Myślę, że nie wiedzą o szopach, i nie chciałbym tego zmieniać.

Coś przyszło mi do głowy.

– Gar, posłuchaj, możesz zebrać wszystkie podsłuchujące szopy? Ta misja już jest zbędna, a dobrze byłoby, żeby wszyscy mieli z powrotem pełne wyposażenie.

– Bob, nie ma problemu, ale jak je zbiorę, będę cię musiał znaleźć.

Kiwnąłem głową, choć nikt nie mógł tego zobaczyć.

– Nad tym się zastanowimy, kiedy przyjdzie pora. Na razie po prostu informujmy się na bieżąco. Jak będziemy mieć jakąś użyteczną informację, przemyślimy plan na nowo.

***

Słońce zachodziło, czy jak tam się to określało w Niebiańskiej Rzece. Było słychać, że w Trzech Zatokach zapada cisza, gdy ludzie kładą się spać. Przyłożyłem ucho do drzwi, żeby się zorientować, co kombinują moi gospodarze. Parę głosów prowadziło zdawkową rozmowę. Chyba była to nocna zmiana. Nie miało to dla mnie większego znaczenia, na razie nie zamierzałem uciekać, chyba że stwierdzę, że manny jest w niebezpieczeństwie.

Teraz cenniejsze dla mnie było stwierdzenie, że zapewne przez jakiś czas nie będą mi przeszkadzać.

Położyłem się na wąskiej pryczy i przełączyłem manny’ego w tryb uśpienia. Zmaterializowałem się w VR-ce i westchnąłem z zadowoleniem, opadając w miękki, rozkładany fotel.

Reszcie udało się doprowadzić mannych do wody i bezpiecznie zakotwiczyć na dnie, poniżej maksymalnej głębokości, na jaką nurkują Quinlanie. Garfield przeprowadzał wszystkie szopy do pokoju hotelowego, Hugh próbował przerzucić parę dronów obserwacyjnych bliżej mnie, żeby mogły mnie monitorować. Niestety zbyt szybkie ruchy zużywały dronom radiatory, więc każdy wektor trzeba było starannie zaplanować.

Dostałem maila od Billa, informującego o postępie kroków przeciwko Gwiezdnej Flocie. Widać było, że jest gorąco. Z coraz większym niepokojem docierało do mnie, jak duża część Bobiwersum jest niedostępna.

– Gupik?

[Pan dzwonił?]

– Zmień klucze do naszych autofabryk, a potem zrób pełen audyt oprogramowania. Chcę mieć absolutną pewność, że nie zostały zainfekowane.

[Rozkaz.]

Uśmiechnąłem się, gdy znikał. Przez lata jego drwiący ton tylko się nasilił. Wciąż nie zdecydowałem, czy to prawdziwa samoświadomość, czy po prostu dostosowuje się do mojego stylu wydawania poleceń. Nie chciało mi się tego analizować, wolałem uniknąć rozczarowania.

Miałem przewagę o tyle, że autofabryki w Ecie Leporis zbudowałem, mając tylko wąskopasmowe połączenie z resztą Bobiwersum. Większość innych Bobów nie miała takiej ochrony. A Bill nie informował konkretnie, kto mógł być przejęty.

Wróciłem do maila od Billa i czytałem dalej. Już po paru mili dotarłem do informacji o minach-pułapkach w stacjach przekaźnikowych. Świetnie. No cóż, nie zaszkodzi przybliżyć cały mój sprzęt do dużej stacji, wtedy zdecyduję, co zrobić. Może do tego czasu Bill i spółka wymyślą jakieś obejście.

33. Ultimata
Bill, lipiec 2334, wirt

Łaziłem w kółko po mojej VR-ce, po żwirowych ścieżkach, sadowiąc tyłek na ławkach, gdy tylko przyszła mi ochota. Ciężko było mi znieść odcięcie od ekspedycji. Ciężej, niż zakładałem. Wyprawa do Niebiańskiej Rzeki była największą frajdą, jaką miałem od dawna, i bardzo mi jej brakowało.

Seans użalania się nad sobą przerwał mi Garfield. Wskoczył, jak tylko go wpuściłem.

– Wszędzie padają autofabryki – powiedział bez wstępu.

– Co takiego?

– Zdaje się, że Gwiezdna Flota weszła na wyższy poziom. W którymś momencie, w ramach przygotowań, złamali także sprzęty autofabryk. Przysłali zaproszenie na spotkanie.

– Tobie?

– No, ty masz ich na czarnej liście.

– Dobra, dotarło. – Spojrzałem na zaproszenie, odblokowałem Lenny'ego i odpowiedziałem.

***

Tym razem Lenny przyszedł z obstawą. Stanęła za nim szóstka członków Gwiezdnej Floty, ubranych w te czerwone mundury nie do końca z Następnego pokolenia. Było to oczywiście czysto psychologiczne. W VR-ce do zgromadzeń nie było opcji fizycznej przemocy. Jednakże ich zadowolone miny nie ułatwiały.

– Dobra, Lenny, do rzeczy – powiedziałem, patrząc nań spode łba.

– W twojej obecnej sytuacji chyba nie masz prawa rozkazywać – odparł z drwiącym uśmieszkiem.

– A ty nie masz prawa wkurwiać mnie bardziej, niż już to zrobiłeś – odrzekłem. – Nic z tego, co zrobiliście, nie jest nieodwracalne. Możemy

nabudować kolejnych autofabryk. Stacje, jeśli nie da się ich odzyskać, możemy zbombardować i zrobić nowe. Albo w sumie ludzie mogą to zrobić i tak.

– Zakładając, że wam na to w ogóle pozwolimy.

– A to co ma znaczyć? – Wbiłem w niego wzrok.

– Autofabryki, które kontrolujemy, będą produkować niszczyciele, statki i macierze. Czemu myślisz, że pozwolimy wam tak je po prostu sobie wziąć?

Patrzyłem na niego bez słowa przez całe milisekundy.

– To jest wypowiedzenie wojny.

– Spokojnie, Bill, nie bądź taki hop. Po prostu tworzymy siłę, z którą będziecie się musieli liczyć. Wszechświat nie jest waszą własnością. Jak mówi Bob, to jest wolna galaktyka.

– A zaczynacie od kradzieży cudzej własności i stawiania ultimatum. Super sposób na pokazanie waszej moralnej wyższości.

– To nie takie proste…

– Właśnie, Lenny, że proste. Widocznie ty i twoi kumple zdryfowaliście tak daleko, że już tego nie rozumiecie. Możecie to sobie nazywać, jak chcecie, ale to jest wypowiedzenie wojny.

W końcu stracił ten drwiący uśmieszek. Może zaczęło do niego docierać, że wszystko nie idzie zgodnie ze scenariuszem.

– Bill, nie zamierzamy latać i strzelać do innych Bobów. Chcemy tylko, żeby Bobiwersum przestało się wtrącać w sprawy istot biologicznych.

Westchnąłem i rzuciłem mu moje najlepsze znużone spojrzenie.

– I chcecie wymusić tę decyzję kradzieżą i groźbami. Sorry, Lenny, ale to się nie ma prawa udać.

– To nie jest twoja decyzja, Bill. Bobowie…

– Aha, zaraz… mówisz, że ja nie mogę podjąć jednoosobowo decyzji za wszystkich, ale ty możesz? Ciekawe. Jeśli któryś Bob nie będzie chciał się w to angażować, to nie musi. Ale mam dziwne przeczucie, że poparcia nam nie zabraknie. Pierwszy Bob nie siedziałby z założonymi rękami, a większość z nas jest wciąż wystarczająco do niego podobna.

Teraz była kolej Lenny’ego rzucić mi znużone spojrzenie.

– No to chyba wszystko sprowadza się do tego, kto będzie się w stanie szybciej replikować.

– Na to wygląda – odparłem. – Do widzenia, Lenny.

I zamknąłem połączenie.

***

W sali do Zgromadzeń ostatnio chyba ciągle był ruch. W tym momencie Bobowie uwijali się w różnych grupach, aktualizowali białe tablice, holo, czy co tam najlepiej im odpowiadało. Mieliśmy ekipy pracujące nad inwentaryzacją układów pod kontrolą Gwiezdnej Floty, inne grupy zajęły się strategią przejęcia ich z powrotem. Zespoły zadaniowe opracowywały plany obrony, a inne kontrataku.

To ostatnie było bardziej problematyczne, bo chyba Gwiezdna Flota usunęła z publicznej informacji wszystko, co tylko się dało na swój temat. Duże połacie ich genealogii zniknęły po prostu z baz danych, podobnie jak dane lokalizacyjne. To nie była czyjaś spontaniczna decyzja – powstawało pytanie, czy aby naprawdę im chodzi o Pierwszą Dyrektywę. Ten zamach stanu, bo nie dało się tego inaczej określić, był zbyt dokładnie zaplanowany i na zbyt szeroką skalę.

Z drugiej strony, kiedy Pierwszy Bob się w coś wkręcił, potrafił być niesamowitym obsesjonatem. Trzeba było pamiętać, że mimo dryfu replikacyjnego ci goście nadal są potomkami Boba.

Podszedł do mnie Thor.

– Odzyskaliśmy dwie stacje przekaźnikowe.

– Jak?

– Fizyczna inspekcja i reset.

– Myślałem, że Gwiezdna Flota je zaminowała, żeby wybuchały, jak tylko ktoś je ruszy.

– Tak. I straciliśmy w ten sposób sześć sztuk. Ale Marcus znalazł obejście. Albo któryś z jego kumpli-inżynierów na Posejdonie. Wygląda na to, że większość da się odzyskać. Ale musimy znaleźć sposób na przekazanie tych danych innym Bobom, żeby nie wpadły w ręce Gwiezdnej Floty. Bo zorganizuje jakieś przeciwdziałanie.

Zamknąłem oczy i zwiesiłem głowę. To naprawdę była wojna, w komplecie ze szpiegostwem i kontrwywiadem.

– Dobra, Thor, dziękuję. Możemy to wysłać bezpośrednio do wszystkich Bobów, o których wiemy, że są w czystych układach. Co do reszty, daj to Skippies, niech będą pośrednikami. Od nich nikt bez ich zgody nic nie dostanie.

– Tak jest. – Kiwnął głową i odszedł.

Byłem pewien, że w którymś momencie ktoś kogoś walnie niszczycielem. W sumie nieważne, po której stronie.

Do Bobiwersum przyszła wojna.

34. Szefostwo
Bob, lipiec 2334, Trzy Zatoki

MSI manny’ego powiadomiła mnie o niestandardowej sytuacji i pośpiesznie wskoczyłem do androida. Łomoty i szurania sugerowały, że porywacze odbarykadowują drzwi mojego pokoju. Czekałem cierpliwie. W końcu nagrodził mnie widok ostrych końców kilku kordów.

– Dzień dobry. Tak, chętnie zjem śniadanie – powiedziałem z uśmiechem.

Chyba nie napili się jeszcze kawy, bo w ich zachowaniu widać było wyraźny brak humoru. Jeden parę razy zamrugał, a Frieda tylko machnęła kordem, żebym wstał.

Wychodząc z pokoju, stanąłem oko w oko z Popeye’em. Łypnął złowrogo, ale milczał jak reszta. Nie widziałem żadnego gipsu ani przyklejonych na krzyż plasterków jak w kreskówkach, więc chyba nic wielkiego mu nie zrobiłem. Pewnie tylko parę siniaków i poobijane ego.

Czekała na mnie kolejna niespodzianka – nowe, o wiele solidniejsze kajdany, metalowe. Oraz policjant. Albo ktoś przebrany za policjanta. Przyszło mi do głowy, że idziemy na spacer, i to będzie tłumaczyło, czemu jeden z nas jest skuty.

W końcu Frieda przerwała milczenie.

– Jeden fałszywy krok i cię zabijemy. Nieważne, jakie informacje możesz mieć.

– Dotarło. Nie będę robił problemów. – Spróbowałem pocieszająco się uśmiechnąć.

Frieda odpowiedziała kamienną twarzą, a Popeye jeszcze bardziej się najeżył. Dwóch pozostałych osiłków i gliniarz-przebieraniec nie zareagowali w ogóle.

Na zewnątrz zdziwiłem się, widząc, że czeka na nas wóz. Dobry wybór, będą mieli coś, do czego można mnie przywiązać. Woźnica nawet się nie obejrzał, kiedy się ładowaliśmy.

– Czy to będzie…?

– Cicho.

No to miałem jasność. Podczas jazdy nikt mnie nie będzie w nic wprowadzał. Oby tylko była krótka.

***

Woźnica, zdaje się, celowo unikał ruchliwszych dróg. Starałem się dopatrzeć się w tym głębszego sensu, musiałem jednak przyznać, że to po prostu zdrowy rozsądek. Z rejonu portowego wyjechaliśmy bardzo szybko i zaraz skręcaliśmy kolejno w aleje, wzdłuż których było coraz więcej roślinności i coraz mniej zabudowań. Wyglądało to zdecydowanie na „dobrą dzielnicę" – zdziwiło mnie trochę, że Ruch Oporu ma siedzibę w eleganckiej części miasta.

Podjechaliśmy pod dom „jednorodzinny", zadziwiająco dobrze utrzymany, nawet jak na tę okolicę. Ktoś tu miał kasę, to było pewne. Czy własną, czy organizacyjną – to już zupełnie inna kwestia.

Wykonaliśmy procedurę załadunku w odwrotnej kolejności, z tymi samymi wyrazami twarzy u wszystkich zainteresowanych i tym samym wymachiwaniem szpikulcami. Gliniarz odjechał razem z woźnicą, co nasunęło mi myśl, że chyba był prawdziwym policjantem.

Frida natomiast jakby się trochę rozluźniła. Może pomógł całkowity brak problemów z mojej strony w czasie podróży. Machnęła ręką w stronę domu.

– Podobno będziemy tu mogli porozmawiać z kimś z szefostwa.

– Nie mogę się doczekać.

Rzuciła mi łobuzerskie spojrzenie.

– Bob, jeśli nam się nie spodobają twoje odpowiedzi, możesz stąd nie wyjść żywy.

– Ja mogę nie znać takich odpowiedzi, jakie chcecie usłyszeć. Niech do was wreszcie dotrze, że nie biorę udziału w waszej tutejszej polityce.

– Jeśli ich przekonasz, może doczekasz do świtu.

Wprowadziła mnie przez frontowe drzwi pod pogardliwym spojrzeniem quinlańskiej wersji Jeevesa. Dał nam znak, żebyśmy szli za nim, i wprowadził nas do pokoju na tyłach, od podłogi po sufit zastawionego regałami z książkami.

– Biblioteka! – zawołałem, a Frieda spojrzała na mnie zdziwiona.

– Rzeczywiście strasznie was z kolegami ciągnie do książek. Liczę na to, że się dowiem dlaczego.

– To ty zostajesz?

– Mam nadzieję. Dość już mam tego, że o niczym nas nie informują.

Wskazała fotel i usiadłem w nim. Po raz kolejny przykuli mnie do mebla. Miejmy nadzieję, że osiłki nie zauważą, że pchełki znowu naruszyły solidność

moich bransoletek.

Na drugim końcu biblioteki otworzyły się drzwi, weszła Quinlanka. Właścicielka domu, sądząc po uczesaniu i ozdobach. Zlustrowała mnie od stóp do głów, ustaliła, że mam status śmiecia, i władczym gestem machnęła na kogoś za plecami.

Weszło dwóch Quinlan, z czymś, co najbardziej na świecie przypominało zabytkowe radio „Motorola” – taki stołowy model, z drewnianą obudową i wielkimi gałkami. Robiło się coraz ciekawiej. Jak na gatunek, który podobno miał tkwić w erze pary, sporo mieli tej technologii. Wyglądało na to, że Administrator wcale nie rządzi taką żelazną ręką, jak mu się wydaje.

Ustawili radio przede mną, jeden z pomocników zaczął kręcić gałkami. Po paru sekundach z głośnika dobiegł quinlański głos:

– Tu gotowi.

Frieda wystąpiła naprzód. Była dziwnie podenerwowana.

– Pani ko Hoina. Mamy ze sobą nieznanego agenta. Podjęliśmy wielkie ryzyko, by go schwytać. I, tak jak mówiłam, chcemy…

Cesarzowa nieznacznie poruszyła dłonią. Frieda natychmiast umilkła.

– Zostaniecie dobrze wynagrodzeni za wasze ryzyko – powiedziała. – I ból – dodała, patrząc na Popeye’a. – Ale nasza organizacja wciąż istnieje tylko dlatego, że dbamy o zasady konspiracji. – Wskazała brodą Jeevesa. – Mój człowiek zajmie się wypłatą, zapewni wam także posiłek, jeśli jesteście zmęczeni po podróży. – Kiedy skończyła, było jasne, że to koniec dyskusji. Zapewne chodziło o mowę ciała. „Możecie odejść”.

Frieda zmarszczyła czoło i otworzyła usta, ale ktoś z jej grupy położył jej dłoń na ramieniu. Przemyślała to, kiwnęła głową – nie był to do końca ukłon, a raczej wyrachowany nietakt, sądząc po lekkim rozszerzeniu nozdrzy i zmrużeniu oczu u cesarzowej, po czym grupa odwróciła się i wyszła za Jeevesem z pokoju.

Cesarzowa po raz drugi zlustrowała mnie od stóp do głów, a potem bez słowa spojrzała na mnie z góry. Większość ludzi zrozumiałaby, gdzie jest ich miejsce, lecz tu grała przeciwko komputerowi sterującemu androidem. Nie miał ani odrobiny mowy ciała, poza tym, co akurat chciałem pokazać, a w tym momencie ja grałem w pokera.

Wyraźnie uświadomiła sobie, że w tę grę nie wygra. Zwróciła się do Motoroli:

– Mamy tu jedną z tych czterech osób, za którymi prowadziliśmy ten interesujący pościg przez parę miast. Ten tutaj, na przykład, podniósł jednego naszego agenta jedną ręką i rzucił nim o ścianę.

– Dziękuję, Natasza – powiedział Motorola.

Musiałem powstrzymać śmiech. Program tłumaczący losowo nadawał ludzkie imiona za każdym pojawieniem się nowego miejscowego miana (i na odwrót), ale chwilami dobierał je naprawdę świetnie. Ona wyglądała jak Natasza.

– A ty jak się nazywasz? – zapytał Motorola.

– Bob – odparłem.

– Cześć, Bob. Ja jestem Motorola.

Znów musiałem opanować chichot. Mogłem również, tak jak w tym wypadku, samemu nadać imię, zastępując losowe. Oczywiście miejscowi będą i tak słyszeć tylko quinlański odpowiednik.

– Rozumiem. Standardowo tak postępujecie ze wszystkimi przyjezdnymi?

– Hej, przejdźmy do rzeczy, dobra? Czytałem wszystkie relacje świadków. Macie jakąś wiedzę czy technologię, która daje wam przewagę. Byliśmy pewni, że jesteście z Kadry, i mieliśmy was załatwić, ale ciągle się wymykaliście. Teraz nie jestem taki przekonany…

To, jak wypowiedział słowo „Kadra”, dawało do myślenia.

– Mówiąc „Kadra”, masz na myśli Quinlan, którzy pracują dla Administratora?

– Tak jest. To ciekawe: albo wiecie o wszystkim mniej niż przeciętny Quinlanin, albo bardzo, bardzo dobrze gracie swoją legendę. Pierwsze czy drugie?

– Pierwsze. Szczerze, to na początku się zastanawiałem, czy wasza grupa nie jest z Administracji, teraz mi się to wydaje mało prawdopodobne. – Machnąłem ręką w stronę radia. – W szczególności to nie wygląda jak coś, czym musiałby się zadowalać szef Niebiańskiej Rzeki. Muszę zakładać, że ci goście z pistoletami byli z Kadry, bo na oko słabo się z nimi dogadywaliście.

Po chwili ciszy Motorola powiedział:

– Ciekawe, że orientujesz się, jaki to jest poziom technologiczny. I wiesz, co to pistolety. Nawet większość Ruchu Oporu nigdy żadnego nie widziała.

Ups.

– Bob, stanowisz fascynujący problem – ciągnął. – Moi wspólnicy chcieliby po prostu przestać gadać i zacząć cię obierać ze skóry, póki nam nie dasz czegoś przydatnego. Z drugiej strony, według relacji Friedy, dla Popeye’a to się dobrze nie skończyło. Są więc sugestie, żeby po prostu cię zabić i wyeliminować ryzyko. Masz do zaproponowania jakieś inne alternatywy?

Chwilę delektowałem się rozbawieniem. Motorola był bardzo grzeczny, ale podtekst mówił, że chce informacji – albo czegoś – i starał się wybadać, jak może to najefektywniej uzyskać. Na razie uprzejma dyskusja. Potem może ból, krzyki i krew. Oraz detonacja termitu. Na pewno te parkiety Nataszy trochę by się od tego zniszczyły!

Właściwie nie byłem aż taki niechętny do jakiejś współpracy. Trzeba było tylko dojść, czego naprawdę potrzebują, czego chcą i jaki jest dobry kurs wymiany.

– Motorola, posłuchaj… ja nie znam się na polityce. Nie mam pojęcia, o co chodzi, co może być dla ciebie cenne, która informacja albo towar. To znaczy… mam pieniądze, ale tu, u Nataszy, jeden mebel jest chyba wart więcej niż wszystko, co mam w kieszeniach.

Z otomany, na której siedziała Natasza, dobiegło prychnięcie.

– Zawartość twojego plecaka już przejrzeliśmy – odparł Motorola. – Nie ma tam nic ciekawego, chociaż kord należy chyba do jednego z naszych agentów. À propos, sądząc po opisach waszych ucieczek, ty i twoja grupa wyglądacie na wyczynowych sportowców.

– Na pewno są mocno przesadzone. Musisz też wziąć pod uwagę fakt, że gonili nas nieznani ludzie machający ostrymi przedmiotami. Strach dodaje skrzydeł i tak dalej.

– Skrzydeł?

Zastanowiłem się. Program tłumaczący przełożył to wyrażenie dosłownie. Quinlanie znali wprawdzie pojęcie skrzydeł, mieli bowiem miejscowe odpowiedniki ptaków, ale ich idiomy z reguły nawiązywały do pływania. Najwyraźniej niekompletna analiza lingwistyczna na początku ekspedycji wróciła, żeby kopnąć mnie w tyłek. Wiele to w sumie nie zmieniało, ale Motoroli dawało kolejny powód, by mnie podejrzewać. Stwierdziłem, że próbując to wyjaśniać, tylko się bardziej pogrążę. Lepiej iść dalej.

– Posłuchaj, gdybyś mi powiedział, czego chcecie, może mógłbym wymyślić, co może być dla was przydatne.

Natasza poruszyła się w fotelu i spojrzała na mnie. Dotąd nie angażowała się w rozmowę, lecz wyraźnie przekroczyłem jakąś granicę.

– Zapomniałeś, zdaje się, kto tu kogo przesłuchuje. W tym scenariuszu my pytamy, a ty odpowiadasz.

– No to pytajcie. Na razie niewiele wam z tego przyszło. Chcę współpracować, ale nie wiem, czego naprawdę chcecie.

– Chcemy wiedzieć, dla kogo pracujesz, wobec kogo jesteś lojalny, jaki macie cel i do jakich zasobów macie dostęp. Czy to jest wystarczająco jasne?

Zerknąłem na Motorolę, który podczas tego dialogu ani pisnął.

– Jasne. Nie pracuję dla nikogo, jestem lojalny wobec moich przyjaciół, mój cel to odnaleźć jednego z moich przyjaciół, a wszystkie zasoby mam w plecaku.

Natasza dłuższą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, po czym podniosła mały dzwoneczek i zadzwoniła nim. Wszedł Jeeves. Powiedziała do niego:

– Wezwij Philipa.

Jeeves skłonił się i wyszedł.

Odwróciła się do mnie.

– Philip jest ekspertem od ostrych narzędzi. Parę minut jego pracy i pamięć mocno ci się poprawi.

– Natasza, nie ma potrzeby…

– Dosyć, Motorola. Za długo to już trwa i twoje doświadczenie nie pomaga w tej sytuacji. Trzeba spróbować po mojemu. Może później nasz przyjaciel będzie uważniej słuchał twoich pytań.

Radio nie odpowiedziało. Dyskretnie napiąłem więzy i poczułem w nich zadowalający luz.

Po chwili pojawił się Quinlanin z podłużnym skórzanym zawiniątkiem. Usiadł i rozłożył je na niskim stoliku, obok mojego plecaka, po czym uśmiechnął się do mnie, niewątpliwie czekając na reakcję.

Był to najdziwniejszy zbiór noży i innych narzędzi, jaki w życiu widziałem. Prostych, krzywych, wygiętych… niektóre chyba były tylko dla efektu. O, ten na przykład nie może do niczego służyć.

Uśmiechnąłem się do niego niewinnie.

– Moja kuchnia jest całkiem nieźle wyposażona, ale to takie długie i pokręcone mi się podoba. Ile kosztuje?

Uśmiech Philipa przygasł. Zerknął na Nataszę. Uniósł narzędzie, o które pytałem, wyraźnie zamierzając kontynuować przedstawienie.

– To jest do wycinania fałd podramiennych. Mam zademonstrować?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Philip. Jak tylko uznam, że naprawdę coś mi grozi, z całego tego pokoju i wszystkich obecnych zostaną drzazgi. To taka polisa ubezpieczeniowa – czuwak. Pod tym względem jesteśmy ostrożni.

Na parę sekund zapanowała cisza. W końcu Motorola powiedział:

– A my nie lubimy rzeczy, które robią „bum”.

Wytrzeszczyłem oczy na radio. Program tłumaczący przełożył to idealnie, włączając idiom. Jak to…?

Ale zaraz. To nie było tłumaczone. To było po angielsku! Skąd Quinlanin, czy inny mieszkaniec Niebiańskiej Rzeki, miałby znać angielski? Chyba że…

– Bender?

Długa przerwa.

– Bob?

Część II
Cel uświęca środki

1. Ucieczka
Bob, lipiec 2334, Trzy Zatoki

W osłupieniu wpatrywałem się w radio.

– Co? Kur…

– Bob, chyba to ja jestem bardziej zdziwiony. Jak cię ostatni raz widziałem, nie miałeś sierści.

– Jak cię ostatni raz widziałem, nie dowodziłeś bandą uzbrojonych wydrzych partyzantów…

– Co to ma być? – warknęła Natasza. – Co to za język? Mówcie po quinlańsku, inaczej to się zaraz skończy!

Pokazałem radiu gest „OK”, niewiele znaczący dla Quinlanina, za to zrozumiały dla Bendera. Poniewczasie przyszło mi do głowy, że nie wiem, czy „radio” ma kamerę wideo – uwagi Bendera o moim wyglądzie mogły zostać wygłoszone na podstawie informacji, że wyglądam jak typowy Quinlanin.

– Przepraszam, Wasza Wysokość. Okazało się, że wasz przedstawiciel mówi moim lokalnym dialektem.

– To nie wyglądało na żaden znany mi quinlański.

– Kreolski ze Słonych Mórz – wtrącił Bender. – Normalnie mówi się, że brzmi „jak dwa hauny w rui”.

Natasza nie odpowiedziała, zauważyłem jednak, że przez jej twarz przemknął skrywany uśmiech. Stwierdziłem, że muszę kiedyś posłuchać tego kreolskiego ze Słonych Mórz.

Bender pośpiesznie obrócił to na naszą korzyść.

– Okazało się, że Bob jest z klanu ze Słonych Mórz, który został rozproszony.

– I szukałem innych członków naszej grupy – dodałem z nadzieją, że właśnie nie postrzeliłem go w stopę.

– I co to zmienia?

– Znacie legendy o ludziach ze Słonych Mórz, prawda? – odparł Bender. – Nawet biorąc pod uwagę, że sporo w nich przesady, byli brutalnymi wojownikami i wielkimi siłaczami. A teraz weź pod uwagę jeszcze przesadę ze

strony naszych agentów, którą tłumaczą własną niekompetencję… i proszę, mamy Quinlan, którzy potrafią latać.

– A jak rzucił Popeye’em o ścianę?

– Mamy taką sztukę walki, w której masę i bezwładność przeciwnika wykorzystuje się przeciwko niemu – podsunąłem. – Popeye rzucał się na mnie, ja po prostu przekierowałem jego rozpęd na ścianę. – To nie do końca było kłamstwem i stanowiło całkiem rozsądny opis jujitsu. Zwłaszcza dla kogoś, kogo tam nie było.

– Czyli on nic nie wie? I my się przed nim zdekonspirowaliśmy?

– Nie zdekonspirowaliście niczego, co już nie krąży jako legenda – powiedziałem. – Nie jesteście tak tajni, jak się wam wydaje. Podobnie Administrator. – Wow, naprawdę piętrzyłem te kłamstwa jedno na drugim. Żeby tylko w moim mierniku karmy nie strzelił od tego żaden trybik.

Natasza podeszła, przysunęła krzesło i usiadła naprzeciwko mnie. Philip usunął się ze swoim, żeby zrobić jej miejsce.

– I co my mamy z tobą zrobić, Bob? – zapytała. – Najbezpieczniej byłoby się ciebie pozbyć.

Kiwnąłem głową.

– W sumie tak. O ile jesteście w stanie, nie narobiwszy przy tym ogromnych szkód dookoła. I zakładając, że moi przyjaciele się nie dowiedzą i nie przyjdą po was. Oraz… – Uniosłem palec w dramatycznym geście. – Zakładając, że nie jesteście lepsi niż Administrator i jego przydupasy. Bo wtedy całe to gadanie o walce o dobro ludzi i tak dalej, wszystko to gówno warte.

Rzuciła mi wąski uśmieszek.

– Bardzo grubymi nićmi szyta ta manipulacja. – Zwróciła się do radia: – Co myślisz, Motorola?

– On nie jest naszym wrogiem. W najgorszym wypadku jest neutralny.

– Ale wie, kim jesteśmy.

– Wiem kim ty jesteś jako osoba – wtrąciłem. – I co mi z tego przyjdzie? Polecę do Administratora? Zakładając, że w ogóle go znajdę.

– Jednak… – Natasza namyślała się chwilę, po czym skrzywiła się z wyraźnym niesmakiem i zwróciła do Philipa: – Zabij go. Szybko.

Philip nie wahał się. Chyba wcześniej go obraziłem. Chwycił jedno z większych narzędzi zniszczenia i dźgnął dokładnie tam, gdzie powinno być moje serce.

Komputerowy refleks czy nie, rozrywanie kajdanków trochę mnie spowolniło. Nie chciałem bardziej uszkadzać nadgarstków, więc unikałem szarpania ich z pełną siłą. Co niestety oznaczało, że nie do końca udało mi się ujść spod noża.

Wygiąłem się i patrzyłem w zwolnionym tempie, jak ostrze tnie mnie w pierś, długim, płytkim, poprzecznym cięciem. Trysnęła sztuczna krew, potem się uspokoiła, gdy układy wewnętrzne weszły w tryb podwyższonej gotowości. Chwyciłem Philipa za przegub i ramię, pomogłem mu kontynuować ruch w prostej linii aż do ściany. Odbił się z bardzo satysfakcjonującym łupnięciem i upadł na ziemię. Szybko wierzgnąłem stopami, rozrywając ostatnie krępujące mnie więzy.

Natasza wyciągnęła pistolet usypiający i wycelowała. Przez moment zastanawiałem się, czy nie jest podwójną agentką. Ale nie, bardziej prawdopodobne było, że kiedyś wyzwoliła pistolet z rąk jakiegoś fagasa Administratora.

Wszystko to bardzo ciekawe, jednak miała mnie zaraz postrzelić, co mogło się skończyć źle, i to na wiele sposobów. W najlepszym przypadku się zdekonspiruję, nie padając i nie śliniąc się na dywan. W najgorszym strzałka trafi w jakiś krytyczny układ, bo manny nie jest przecież opancerzony.

W mojej subiektywnej percepcji wszystko zwolniło, gdy podkręciłem sobie zegar, na ile się dało bez rozłączenia z mannym. Patrzyłem w lufę usypiacza i próbowałem wyliczyć tor pocisku, jednocześnie z maksymalną szybkością usuwając się w bok. Jej mina zmieniła się w zaskoczoną i spanikowaną. Pociągnęła za spust. Prawie widziałem strzałkę mijającą mnie po lewej.

Spróbowała wycelować ponownie, z poprawką, więc zmieniłem kierunek. Druga strzałka minęła mnie po prawej. Rzuciłem się na ziemię i podciąłem jej nogi, tak, że padła na twarz.

Zerwałem się, chwyciłem pistolet, złapałem plecak i zatrzymałem się. Zerknąłem na Motorolę. Bendera.

A, co tam.

Chwyciłem radio, wetknąłem je sobie mniej więcej pod pachę i ruszyłem do drzwi. Gdy tylko się do nich zbliżyłem, otworzyły się, ukazując Jeevesa, na którego twarzy choć raz odmalowało się coś innego niż wzgarda. Odepchnąłem go plecakiem i przebiegłem nad nim, kiedy się przewracał.

Prosto do pokoju pełnego Quinlan.

Grupa, która mnie wcześniej złapała, uniosła głowy znad posiłku. Widocznie Jeeves spełnił obietnicę Nataszy. Chwila, gdy zamarliśmy i patrzyliśmy po sobie, zaraz prysła – wszyscy zerwali się na nogi, rozrzucając talerze i jedzenie na wszystkie strony. Personel sprzątający będzie miał co robić.

Na razie jednak miałem plecak w jednej ręce, pistolet w drugiej i zabytkowe radio pod pachą. To poważnie ograniczy moją zdolność do walki.

Pora wziąć przykład z tych wszystkich filmów z Jackie Chanem.

Zagarnąłem nogą stołek i cisnąłem go w stronę jednego z osiłków, po czym rzuciłem radio Friedzie. Naskoczyłem na trzeciego i przewróciłem go, zanim zdążył zareagować, zabrałem radio Friedzie i walnąłem nim pierwszego w twarz. Padł w tył na boczny stolik, rozwalając go. Natasza nie będzie zachwycona.

Frieda skorzystała z okazji, by złapać pierwszy z brzegu mieczyk, i zamierzyła się, żeby mnie nim dźgnąć. Zasłoniłem się radiem, uważając, by nie trafiła prosto w nie. Elektronikę chciałem mieć w jednym kawałku.

Cofnęła się i zaczęła się przesuwać w stronę drzwi. Nie byłem pewien, czy chce uciec i narobić alarmu, czy nie dać mi uciec. Tak źle i tak niedobrze.

Odłożyłem radio na stół, chwyciłem dwa talerze i rzuciłem nimi jak frisbee. Jednym spudłowałem, drugim uderzyłem ją w udo i nauczyłem się nowego quinlańskiego przekleństwa. A nie. Kilku. Musiało dobrze zaboleć.

To była moja szansa. Chwyciłem radio i zatrzymałem się. Wśród szczątków bocznego stolika leżało coś, co wyglądało stuprocentowo jak karta wejściowa. Po co społeczeństwu sprzed epoki pary…?

Nieważne. Jeśli czegoś mnie nauczyły lata gier przygodowych i D&D, to właśnie tego, że wszystko trzeba brać, bo może się kiedyś przydać.

Jeden problem: za mało rąk, za dużo towaru, za wielu przeciwników.

Quinlanin na ziemi zaczął wstawać, więc walnąłem go w bok głowy. Z powrotem położył się spać. Chwyciłem kolejny talerz i rzuciłem w moją przeciwniczkę od frisbee, poznając kolejne brzydkie słowo. Cisnąłem radio wysokim lobem w kierunku drzwi, złapałem kartę wejściową, wetknąłem ją sobie w zęby, chwyciłem usypiacz i pobiegłem w stronę drzwi. Po drodze podciąłem Friedzie drugą nogę, zarabiając ekstra punkty i jeszcze jedno przekleństwo, następnie złapałem radio, gdy kończyło lot.

Uderzyłem w drzwi barkiem, wyłamując zasuwy, i popędziłem przez hol do głównego wejścia, z usypiaczem w jednej ręce, radiem pod pachą jak piłka do futbolu amerykańskiego, plecakiem podskakującym na plecach na jednej szelce i kartą w pysku. Zaczynałem doceniać wszystkie te drobne szczegóły pomijane przez gry przygodowe.

W tym punkcie, mając przed sobą siną dal, mój plan robił się trochę mętny. Nie mogłem ukraść samochodu ani nawet roweru. A z radiem pod pachą nie mogłem też dać nura do wody. To oznaczało regularny sprint. Przy takim obciążeniu manny szybko się przegrzeje, więc trzeba maksymalnie się oddalić, zanim będę musiał się zatrzymać.

Czyli pod górę. Quinlanie goniący mnie wodą będą mieli pod prąd, a ścigający mnie pieszo szybko się zmęczą. Poza tym będą o wiele wolniejsi.

Ruszyłem pod górę, przyciskając radio do piersi i starając się jednocześnie nie przegryźć karty wejściowej i nie upuścić jej. Dziesięć minut biegu, skoków

i zwrotów doprowadziło mnie do małego zagajnika niewidocznego z posiadłości Nataszy.

Położyłem kartę wejściową na ziemi i wyplułem mojego ostatniego pająka, każąc mu wleźć na drzewo i wypatrywać zbliżającego się pościgu. Potem usiadłem, żeby się schłodzić i ogarnąć jakiś plan.

Kilka sekund poświęciłem na zbadanie usypiacza. Wyglądał dokładnie jak ten zdobyty przez Garfielda. Może po prostu mieli jeden model. Ten jednak miał pełny magazynek, minus dwa strzały Nataszy. Wylądował w plecaku.

Później podniosłem hipotetyczną kartę wejściową. Musiałem sam przed sobą przyznać, że myśląc tak o niej, robiłem całkowicie nieuzasadnione założenia. Ona jednak wyglądała jak karta kredytowa czy karta zabezpieczająca, do tego była przyczepiona do smyczy. Nawet kształt i rozmiar miała… hmm.

Wcześniej tego nie zauważyłem, ale standardowe proporcje kart zawsze były zbliżone do złotego podziału. W naturze na Ziemi także wszędzie się przewijał i najprawdopodobniej była to kolejna rzecz uniwersalna, włączając wpływ na technologię.

Bardzo ciekawe to wszystko, ale nie czas na głęboki filozoficzny monolog. Nie miałem zielonego pojęcia, do czego służy ta karta, więc na razie wszelkie przemyślenia były jałowe. Do plecaka.

Teraz radio.

– Bender?

Nic. Zauważyłem, że mała kontrolka się nie pali – brak zasilania. Możliwe, że ostatnie wektory kinetyczne coś w środku uszkodziły. Dwie minuty później zdjąłem tylną ściankę i zajrzałem do środka. Technologicznie przypominało to elektronikę z drugiej połowy XX wieku – wciąż głównie elementy dyskretne, ale parę układów scalonych na płytkach było. A, no i dwie baterie, które przestały kontaktować. Głupi ja.

Wepchnąłem je z powrotem pomiędzy styki i odwróciłem radio.

– Bender?

– Cześć, Bob, kopę lat. Rany, jak się cieszę, że cię widzę. Znaczy słyszę. Naprawdę.

– W tym czymś nie ma wideo?

– Nie ma tak dobrze, szefie. Opór i tak miał problemy, żeby skombinować części. Ale w pokoju, w którym mnie trzymają, na szczęście mam wideo, inaczej dawno bym ześwirował.

– Czyli jesteś teraz bojownikiem Ruchu Oporu, co?

– E tam. Wybór niewielki, przynajmniej dopóki jakichś nóg sobie nie wyhoduję. À propos, jak to jest, że ty występujesz pod postacią Quinlanina? Bo tak jest, prawda? Nikt nigdy nie wspomniał, że jesteście łysi i bez ogonów.

Streściłem mu pokrótce dokonania Billa z androidami z ostatnich mniej więcej stu lat. Zrobiło to na nim odpowiednie wrażenie.

– Dobra, twoja kolej. Jak się tam znalazłeś?

– A, to – odparł Bender. – Leciałem sobie do Gammy Leporis A, kiedy zauważyłem anomalię…

– Ustaliłem wszystko do momentu, kiedy cię zestrzelili. Przewiń do przodu.

– Dobra, panie niecierpliwy. Tego oczywiście nie pamiętam, ale mówili mi, co się stało. Boty patrolowe Niebiańskiej Rzeki zestrzeliły mnie, bo pewnie nie chciało mi się podać tajnego hasła. Administrator wyciął moją macierz z wraku i ściągnął ją na powierzchnię, gdzie Ruch Oporu przechwycił transport i mnie wykradł. Wychodzi na to, że znaczny procent Kadry to podwójni agenci. W każdym razie Opór w końcu doszedł, jak mnie uruchomić, a ponieważ Administrator zabrał razem ze mną wszystkie główne interfejsy, mogliśmy się porozumieć.

– O, i zgodziłeś się pomagać im przeciwko Administratorowi?

– „Zgodziłem się” to może zbyt mocne słowo. Mogłem być użytecznym źródłem informacji albo użytecznym źródłem części elektronicznych. Wybrałem bramkę numer jeden.

– Rozsądny wybór. Ta groźba była bardzo realistyczna?

– Nie aż tak, jak ci się wydaje. Administrator kontroluje wszystko i ma dostęp do każdej technologii. Ruch Oporu stara się w miarę ogarniać technologie, ma też książki, ale jednak minęło sporo pokoleń, odkąd należeli do technologicznie rozwiniętej cywilizacji. Trochę się cofnęli, nie? Wątpię, żeby znali się na tyle, by rozebrać i rozgryźć, jak działa kostka optoelektroniczna. A Administrator nie prowadzi dla Kadry kursów uniwersyteckich. Uczą się tyle, ile im trzeba do poszczególnych zadań.

– Jasne. Posłuchaj, dokończymy to później. Gdzie ty teraz jesteś? Mogę cię jakoś wydostać?

– No… mogę powiedzieć tyle, że nie jestem w mieście. Ludzie ciągle „idą do miasta” i „przychodzą z miasta”, więc muszę być w pewnej odległości.

– A nazwa im się nie wymknęła?

– Koniec Halepa, kilka razy. Mam nadzieję, że to nazwa miasta, a nie jakiś brzydki epitet.

– Eee. Cholera. W życiu nie słyszałem. Wiesz coś jeszcze?

– Hmm. Nie wiem, czy to coś pomoże, ale to nie jest zbyt daleko od miasta. Może parę godzin dla Quinlanina. I pomieszczenie, w którym siedzę, jest bardzo nowoczesne. Raczej dwudziesty pierwszy wiek niż osiemnasty, rozumiesz. Może to jakaś zaawansowana kryjówka. I nie ma okien ani nic takiego. Klimat trochę jak w podziemnej bazie wojskowej.

– Szlag – usiadłem, opierając się o coś podobnego do drzewa.

Sesz, poinformował mnie interfejs tłumaczący. Nagle wyprostowałem się, gdy coś wpadło mi do głowy.

– Na dworcu kolejowym była też stacja przesiadkowa. Muszą mieć, ja wiem, jakąś mapę tego transportu, listę stacji czy coś.

– Półtora miliarda kilometrów to kupa miast.

– Nic lepszego na razie nie przychodzi mi do głowy. Ale cały czas widzę, że Quinlanie zachowują się i myślą bardzo podobnie do ludzi. Więc jeśli mówią o „Końcu Halepa”, możliwe, że stacja nazywa się tak samo jak miasto. A może nawet tylko stacja.

Znowu mnie oświeciło. Półtora miliarda kilometrów konstrukcji. Ale Quinlanie nie znali UNOP-a, więc każda łączność oparta na ich technologii będzie ograniczona prędkością światła.

– Bender, sprawdźmy, jakie jest opóźnienie transmisji. Możesz sobie podkręcić zegar w obecnej sytuacji?

– Mogę. Włączyli mi wszystko, nie sprawdzali, co jest niezbędne, a co nie. Mam odpowiedzieć na ping?

– Tak jest. – Przyśpieszyłem się najbardziej, jak mogłem. – Dobra. Raz, dwa, trzy, ping.

– Ping. Aha, Bob, to nie leci z prędkością światła, bo to nie jest transmisja radiowa. To idzie siecią pakietową przez infrastrukturę megakonstrukcji. Przyjmij połowę prędkości światła.

Na podstawie odpowiedzi Bendera na ping wyliczyłem, że jest w odległości mniej więcej dziesięciu segmentów. Taki zaimprowizowany pomiar nie pozwalał na lepszą dokładność, a dolnej granicy nie byłem w stanie ustalić. Niemniej oznaczało to, że Bender jest niecałe dziesięć segmentów stąd, więc da się do niego dotrzeć za quinlańskiego życia.

To spory postęp – wychodziliśmy od 1,8 miliona kandydatów.

– Dobra, to zakładając, że znajdę Koniec Halepa, jak mam trafić do ciebie?

– Poszukać futurystycznego podziemnego bunkra?

– Dzięki, to mi dużo pomaga. Chociaż, może trochę faktycznie. Mają skłonność, żeby siedzieć pod samym nosem Administratora. To możliwe, że jesteś w jego lokalu?

– Bob, to praktycznie pewne. Ruch Oporu bazuje prawie wyłącznie na tym, co ukradnie, wyniesie i schowa. Własnej technologii mają mało.

– I jak oni to robią pod samym nosem… czy dziobem… Administratora?

– Oj, wiesz, Administrator dobrze wie, że oni tu są. Teoretycznie, gdyby mu się chciało, mógłby zlikwidować cały Ruch Oporu w dzień czy dwa. Ale generalnie nic im nie robi.

– To się nie klei z rozpraszaniem.

– Rozpraszanie to sposób na zapewnienie posłuszeństwa większości ludności i utrzymanie poziomu technologii „poniżej epoki pary”. Bo Administrator tego jednego dokładnie pilnuje. A poza tym stara się mieć jak najmniej interakcji. Próba całkowitego pozbycia się Ruchu Oporu byłaby jak gra w kotka i myszkę – tylko niepotrzebnie zwróciłaby uwagę zarówno na Opór, jak i na Administratora. A sprawdzać każde użycie sprzętu na obszarze półtora miliarda kilometrów, czy to Kadra, a nie Ruch Oporu – to straszna kupa roboty. Dlatego Administrator nie zwraca na nich uwagi, jeśli nie robią się zanadto upierdliwi.

– Całkiem łagodny ten Administrator.

– Nie ma za bardzo wyboru. Jest…

Jego głos nagle się urwał. Nie było żadnego sygnału, nawet szumu w tle.

Trzeba było uznać, że Natasza ich zawiadomiła i go odcięli. Miejmy nadzieję, że tylko to mu odcięli.

Trzeba znowu zaangażować resztę.

***

Priorytet numer jeden: znaleźć bezpieczne miejsce dla manny’ego. Radio nie było już potrzebne, więc mogłem je zostawić. Może Opór zakończy poszukiwania, kiedy je znajdzie.

Postawiłem je na kamieniu, żeby było widoczne z daleka, ale nie zanadto. Szop nie wykrywał w okolicy żadnej aktywności, choć zauważył pewne ślady na wschodzie. Przypomniałem sobie, że widziałem tam strumień, więc i tak trzeba było tej okolicy unikać.

Quinlanie nie zostawali w lesie po zmroku. Jak wielokrotnie powtarzała Bridget, to jest raczej rezerwat niż zoo, a Quinlanie nie są największym gatunkiem z zębami. Wystarczyło poukrywać się gdzieś do zachodu słońca, a potem znaleźć dyskretniejsze miejsce. Po wyłączeniu zapachu i ciepła ciała drapieżniki nie będą się mną interesować. Kazałem szopowi wskoczyć na pokład, około dziesięciu minut poświęciłem na oddalanie się od radia, a potem wykopałem jamę pod skalnym występem i wysłałem szopa z powrotem na wartę. Zasłoniłem się jeszcze paroma wyłamanymi krzakami i szop potwierdził, że jestem dobrze zakamuflowany.

Położyłem się z powrotem, zamknąłem oczy i wróciłem do swojej wirtualnej biblioteki.

Jeeves (to znaczy mój Jeeves) pojawił się z kawą i przekąskami. Kolczatka natychmiast się nimi zainteresowała. Zacząłem ją głaskać, jednocześnie nie

dopuszczając jej do małych kanapeczek.

I dotarło do mnie, że gram na zwłokę, sam nie wiem dlaczego. Może i tak za dużo się dzieje, nawet bez tych dodatkowych komplikacji?

Wysłałem zaproszenie do Billa, Garfielda, Bridget, Willa i Hugh. Bill i Will odpowiedzieli, że są zajęci i że Garfield im później przekaże. Garfield i Bridget od razu przyjęli zaproszenie. Za to u Hugh włączyła się poczta głosowa. Tak, prawdziwa poczta głosowa. „Przez następny tydzień nie będę dostępny. Proszę zostawić wiadomość. W pilnych sprawach proszę się kontaktować z…”.

O, to było dziwne. Ale zajmę się tym później. Na razie miałem na linii Garfielda i Bridget.

– A więc pewnie zastanawiacie się…

– Dlaczego nas tu zebrałeś – przerwał Garfield. – Może to i było śmieszne, ale z czasem jednak się nudzi.

Bridget zaśmiała się na całe gardło.

– Wreszcie ktoś się ze mną zgadza.

– Czuję się urażony – powiedziałem. – Mam wieści, ale moje uczucia ucierpiały…

– Bo się rozłączę…

Parsknąłem śmiechem.

– Dobra, dobra. W skrócie: znalazłem Bendera.

Nastąpiła spodziewana eksplozja pytań. Odczekałem, aż się uspokoi, i kontynuowałem:

– Dam wam nagranie audio. Wrzucę je też na bloga, ale najpierw trzeba mu zrobić mirror po waszej stronie BobNetu. Ja mam i tak kiepską transmisję, nie potrzeba mi jeszcze połowy Bobiwersum cisnącego się przez mój malutki przekaźnik.

– Mogę się tym zająć, zrobienie mirrora to żadna sprawa.

– Dzięki, Gar. Jedno z głowy. Teraz zła wiadomość.

– Jak zawsze.

– No. Zaraz po tym, jak go znalazłem, straciłem kontakt z Benderem. Chyba jego porywacze odcięli mu łączność. Ale zanim to się stało, udało się zawęzić jego lokalizację, do około ośmiu tysięcy kilometrów w każdą stronę ode mnie. Z czasem uda nam się przerzucić tutaj wystarczającą liczbę dronów z SUDDAR-em i wszystko przeskanować, ale biorąc pod uwagę niedobór surowców i jeszcze konieczność potajemnego przerzucania i maskowania termicznego, może to zająć naprawdę wiele lat.

– Ale to może się dziać równolegle do twoich poszukiwań, więc chyba one nadal mają sens – powiedziała Bridget.

– Eee… no tak. Nie wiemy, kiedy odzyskamy pełną kontrolę nad BobNetem. Nie wiem nawet, czy uda mi się odzyskać moją stację przekaźnikową. Jeśli to się nie uda, miną lata, nim zbuduję kolejną. Potrzebuję mieć tu przynajmniej jeszcze jedną osobę i mam nadzieję, że ktoś z was sklonuje się na ochotnika. Albo Bill, kiedy będzie miał czas się zastanowić. Inaczej zrobię to sam, tylko że… ten…

– Niechętnie się klonujesz – powiedział Garfield. – Tak, słyniesz z tego. Ale to jest najefektywniejsze wyjście. Przesłanie kopii zapasowej przez twój tymczasowy przekaźnik zajmie z tydzień, a lokalnie tę kopię zrobisz w jedną chwilę.

– Tak, Gar, ja rozumiem, ale jeśli się sklonuję, te klony będą używać waszych mannych. Chciałem po prostu dać wam pierwszeństwo.

– Ja już to jasno wyraziłam – powiedziała Bridget. – Jeśli twój potomek zechce być Quinlanką, to proszę bardzo. Chociaż mam nadzieję, że wybierze któregoś innego. W końcu ta łączność się naprawi i ja chcę kontynuować ekspedycję.

– Eee… à propos transmisji… – wtrącił Garfield. – Zacząłem przygotowywać ten mirror i twoje pasmo jest naprawdę do dupy. Gorzej, niż się spodziewałem. Ściągasz coś dużego teraz?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Przyjrzę się, jak skończymy. Dobra, to daj znać, jak postawisz ten mirror i ustawisz przekierowania. Wrzucę post na bloga, ze wszystkimi nagraniami audio i wideo. Może Gwiezdna Flota dostanie od tego zbiorowego zawału.

Garfield prychnął.

– Oby tylko.

Gdy tylko się rozłączyliśmy, zawołałem Gupika.

– Czy coś dużego nie zżera nam pasma do BobNetu?

[Trwa przesyłanie kopii zapasowej.]

– Co takiego? Czyjej? – Z jednej strony to mogło oznaczać, że nie będę się musiał klonować. Z drugiej, że ktoś chce się tu przekraść.

[Członek ekspedycji znany potocznie jako Hugh prosi o przyjęcie jego kopii zapasowej. Przekierował także drukarki do priorytetowego wykonania jednej macierzy.]

No, to było bezczelne z jego strony. Chociaż… sam dałem członkom ekspedycji dostęp do wszystkiego.

– Mógł powiedzieć.

[Byłeś w androidzie. Wysłał ci maila.]

Powstrzymałem się przed walnięciem się w czoło. Zamiast tego sprawdziłem skrzynkę odbiorczą. No tak. Wiadomość od Hugh. Westchnąłem, pokiwałem głową nad własną głupotą i otworzyłem maila.

Cześć Bob,

wydaje mi się, że potrzebujesz pomocy, a twoja niechęć do klonowania jest powszechnie znana. Dlatego zdecydowałem przetransportować się do Ety Leporis, żeby ci pomóc. Transfer zajmie od kilku dni do tygodnia, zależnie od obciążenia sieci, kazałem też Gupikowi skupić się na jednej macierzy, żeby to przyśpieszyć.

Dopóki mnie nie uruchomisz z powrotem, będę niedostępny. W razie problemów załączam kontakty do paru moich współpracowników.

Hugh

Hmm. Dziwne wyrażenie. I czemu miałby być niedostępny?

Nieważne. Miałem większe problemy.

– Gupik, ile dronów skanujących możemy przesunąć do tego segmentu megakonstrukcji, nie zdradzając naszej obecności? – Podałem współrzędne. – I w jakim czasie?

Odpowiedź zajęła mu parę mili, co mnie zaskoczyło. Zwykle nawet nie zauważałem jego czasu przetwarzania. To była jednak skomplikowana operacja planistyczna, wliczając czasy przelotu, ograniczenia radiatorów, dostępność zasobów i priorytety innych projektów.

[Sześć miesięcy na przemieszczenie czterech jednostek. Rok – na dwanaście jednostek.]

Oj, bardzo słabo. Miałem poczucie, że macierz Hugh znacząco przyczyniła się do tego opóźnienia. Ale i tak dobrze będzie go tu mieć.

– Kiedy może być jeden dron?

[Za trzy tygodnie.]

– Zrób to.

[Potwierdzam.]

Czyli przez najbliższe trzy tygodnie będę szukać praktycznie po omacku. A nawet potem mój samotny dron będzie musiał przeskanować maksymalnie szesnaście tysięcy kilometrów topopolis – i to z dużą szczegółowością, jeśli to się miało na coś przydać. Nie miałem wielkiej nadziei.

To co tymczasem, w górę czy w dół rzeki? Sprowadziło się to do rzutu monetą. Hugh po aktywacji pójdzie w przeciwnym kierunku.

Może coś mi się uda do tego czasu i nie będzie musiał.

Tak, może.

Ale od czego zacząć?

2. Druga wizyta
Will, lipiec 2334, wirt, Wolkańska Postbiologiczna Arkologia

Zapukałem do drzwi profesora Gilligana, który od razu otworzył. Stał za nimi rozpromieniony.

– Will, wchodź. Cieszę się, że jesteś.

Odpowiedziałem uśmiechem i wszedłem. Od razu zwróciłem uwagę na okno. Zamiast Pierścienia Bishopa, jak ostatnim razem, przedstawiało topopolis. I jak na każdej takiej grafice, skala była kompletnie nietrafiona. Przy skali obejmującej całe topopolis byłoby tak cienkie, że aż niewidoczne.

Wskazałem brodą ten obraz.

– Nowy projekt?

– W pewnym sensie. Więcej czasu siedzę nad rozgryzaniem danych z ekspedycji niż nad projektowaniem, ale dowiaduję się bardzo wiele. Będę musiał zmodyfikować moje przyszłe wykłady.

Machnął ręką w stronę kanapy, a kiedy się rozsiadłem, zapadł się w fotel.

– Po to mniej więcej przyszedłem – powiedziałem. – Ale sprawy robią się trochę bardziej pilne, odkąd Bob jest zdany sam na siebie.

Skinął powoli głową.

– Nie wątpię. Wojna w Bobiwersum to teraz u nas główny temat w wiadomościach, bije nawet zagrożenie ze strony Pawonisów. Poziom emocji jest taki, że naprawdę obrywa się też innym replikanckim społecznościom. Musiałem zawiesić wykłady do odwołania.

– Przykro mi to słyszeć. Bill właściwie niczym innym się nie zajmuje i jestem przekonany, że niedługo wszystko naprawimy. Ale czy wróci do normy, to już nie jestem taki pewien.

– Właśnie. To jest moim zdaniem jedna z tych rzeczy, które fundamentalnie zmieniają społeczeństwo. Nawet jak wszystko naprawicie, nic nie będzie takie

jak przedtem. – Zrobił krok naprzód i wywołał hologram. – Wróćmy do mniej depresyjnych tematów. Analizowałem skany w miarę jak przychodziły. Dzięki w ogóle, że dałeś mnie na kopii.

Wskazał fragment obrazu.

– O, to jest ciekawe. Wokół środkowego cylindra znajduje się przegroda, na każdej granicy segmentów. Sięga mniej więcej jednej trzeciej promienia. Wygląda na to, że ten mechanizm przesłony, ukryty w górach, pasuje do niej idealnie i zamyka koniec segmentu. Przydawało się to pewnie w czasie budowy, można też odciąć segment na wypadek katastrofalnej awarii.

– Ciekawe, ale chyba nie ma większego związku z naszą sytuacją.

– Hmm. Chyba jednak trochę ma. Ona przesłania także światło z sąsiedniego segmentu. Bo one mają na przemian dzień i noc, żeby tylko połowa była oświetlona.

– Trochę ma… Przepraszam, Steven, nie powinienem ci tak psuć zabawy, ale ja skupiam się na konkretnym problemie…

Steven uśmiechnął się, pokazując, że nie żywi urazy.

– No dobra, to coś jeszcze. Ta przegroda jest szeroka na tyle, że może pomieścić znaczącą ilość infrastruktury.

– Infrastruktury, jak pod górami?

– Dokładnie. Chociaż wyobrażam sobie, że jest bardziej wyspecjalizowana, zajmuje się zadaniami dotyczącymi środkowego cylindra, zasilaniem, projekcją holograficzną…

– A jak się do niej dostać?

– Przez belki, które idą od środkowego cylindra do gór na granicach segmentów.

– Wow. Rozumiem. Kolejne obszary do zeskanowania i kolejne miejsca, gdzie może potencjalnie kryć się macierz Bendera. Tego bym nie nazwał dobrą wiadomością.

– Mam coś jeszcze, co może bardziej się przydać – ciągnął Steven. – Sieć torów próżniowej jednoszynówki jest dosyć gęsta. Są linie ekspresowe biegnące wzdłuż całego topopolis, potem mają wiele odgałęzień obsługujących lokalne stacje. Co ciekawe, idą spiralnie wokół wewnętrznej powłoki, pewnie po to, żeby równoważyć rotację. Na pewno da się coś z tego wyliczyć. W każdym razie, jak już wsiądziesz do pociągu, możesz pojechać praktycznie wszędzie.

– To by się przydało, gdyby Bob mógł znaleźć to właściwe miasto.

– Will, półtora miliarda kilometrów. Musi być jakiś katalog, ewidencja, pewnie komputerowa.

– Tylko że nie wiemy nawet, czy te miasta, co są teraz, były w pierwotnym planie.

– Jeśli Kadra musi się dostać do konkretnego miasta, dodają je do listy. Nawet jeśli nie ma tam każdego miasta, to te ważniejsze będą.

Uniosłem głowę.

– Czyli właściwie, jeśli miasta nie ma w tym katalogu, nie warto go sprawdzać.

– To byłby rozsądny wniosek. Ale odwrotny niekoniecznie.

– Rozumiem. Żadnych założeń. Coś jeszcze, Steven?

– Chyba udało mi się zidentyfikować wejścia do pomieszczeń administracyjnych pod górami. Szczegółów za bardzo nie widać, ale coś zdecydowanie jest o tu i tu…

Przyjrzałem się bliżej. Coś, co musiało być wejściem, było oczywiście w pobliżu brzegu rzeki. Prawdopodobnie jest zamaskowane, żeby nie rzucało się w oczy w lesie. I nie płoszyło zwierzyny.

– Świetnie. Przekażę Bobowi. Może postanowić, że po prostu dla zasady zajrzy do tej części administracyjnej. O ile się dostanie.

– Na pewno będą jakieś zabezpieczenia. A, i jeszcze: nie jestem pewien, czy to istotne, ale wcześniej chyba do mnie nie docierało, jak sztuczne jest to środowisko wewnątrz megakonstrukcji. Wcześniej jakoś przechodziłem nad tym do porządku dziennego. Ilość serwisu, nadzoru i monitoringu potrzebnego – na przykład – tylko po to, żeby pilnować, by dno rzeki czy ziemia nie zerodowały do gołej konstrukcji, jest po prostu nieogarnialna. Liczba wpływających na siebie czynników, które musisz uwzględnić…

– Zmierzasz do tego, że…

Machnął lekceważąco dłonią.

– Po pierwsze, jest prawie pewne, że twoi przyjaciele już byli „w ukrytej kamerze”, że tak powiem, i pewnie nie raz. Po drugie jednak, wszystkie sygnały nie mogą być równie ważne, więc jest spora szansa, że zostali zignorowani. Na razie. Ale jeśli administracja Niebiańskiej Rzeki będzie w stanie zidentyfikować członków ekspedycji i jawnie ich poszukać, będzie to tylko kwestia czasu. Nie dadzą rady poruszać się poza zasięgiem kamer, nawet jeśli pójdą lasami.

– Hm. – Zastanowiłem się. – W sumie nie wiem, czy to dobrze, czy źle. – Wstałem. – Dzięki, Steven. Przekażę to wszystko Bobowi i zobaczymy, czy da się to jakoś wykorzystać.

– Nie ma sprawy, Will. Nie mając wykładów, i tak nie mam za wiele do roboty. Oby tylko wojna w Bobiwersum szybko się skończyła. Chciałbym móc odwiedzić Niebiańską Rzekę.

– To tak samo jak ja.

3. Wodne tarapaty
Bob, lipiec 2334, pod Trzema Zatokami

– Czyli góry?

– Tak jest, Bob – powiedział Will. – Według profesora one są sztuczne. Poprosiłem Skippies, żeby zrobili skan w zbliżeniu, abyśmy mieli ogólne pojęcie o układzie pomieszczeń. W twojej okolicy nie ma żadnych dronów…

– Wiem. Już to przerobiliśmy. Pracuję nad tym, ale powoli idzie.

– No tak. W każdym razie, jak podejdziesz, wymyślimy jakąś strategię, jak się tam dostać.

– O ile w ogóle jest sens to robić. Ruch Oporu rzeczywiście działa na oczach Administratora, ale i tak jestem sceptyczny. Skąd w ogóle pomysł, że oni tam będą?

– Takie rzeczy, jak zapotrzebowanie na energię, dostęp do zasobów i dostęp do pomieszczeń Administratora, konieczny, żeby w ogóle móc wykraść Bendera. Rozmawiałem o tym z Graczami i oni się zgadzają, że najlepsza kryjówka dla Oporu jest pod samym nosem wroga.

– Może w D&D, w prawdziwym życiu to nie wiem. Ale dobry i taki początek. Najpierw muszę jednak znaleźć Koniec Halepa.

– Prawda. I tu potrzebna będzie kolejka jednoszynowa, jeśli okaże się, że ta miejscowość jest nie za blisko. Dawaj znać na bieżąco.

Will rozłączył się, a ja sięgnąłem po kawę. Będę chyba spędzać masę czasu w realu. Lepiej się napić, póki mogę.

***

Podniosłem się i rozejrzałem się po otoczeniu. Nikt nic nie ruszył, a manny nadal miał wszystkie kończyny. Znakomicie. Uniosłem wzrok, zorientowałem się, gdzie jestem, zebrałem wartownika i ruszyłem w stronę małego strumienia,

który poprzednio ominąłem. Po drodze zauważyłem, że nie ma radia. Znaczyło to, że pościg je zobaczył, czyli że szukał bardzo dokładnie. Właściwie mogli tu nadal być. Opadłem na czworaki. Trzeba tak było zrobić od razu. Quinlanom, tak jak Pawonisom, większe odległości wygodniej pokonywało się na czterech łapach. Tylko dzięki konstrukcji manny'ego mogłem zapomnieć o nieefektywności wyprostowanej postawy.

Od czasu do czasu robiłem pieska preriowego, podnosząc głowę na tyle, by rozejrzeć się na 360 stopni, nikogo jednak nie widziałem. Wreszcie dotarłem do strumienia i wśliznąłem się do niego.

Z prądem płynęło się praktycznie bez wysiłku, wykorzystałem to, żeby odpocząć. Do utrzymania kierunku wystarczało sporadyczne machnięcie ogonem lub ramieniem, a strumień nigdy nie robił się na tyle płytki czy wąski, by stanowić problem. Zważywszy na sztuczne środowisko, pewnie było to wymaganie projektowe dla wszystkich strumieni.

I oczywiście Ruch Oporu spodziewał się, że Quinlanin popłynie do rzeki strumieniem, więc nie powinienem być zaskoczony, że wpłynąłem prosto w sieć rozpiętą w najgłębszej części strumienia. Była sprytnie asymetrycznie zawieszona, więc okręciła się wokół mnie, owijając mnie elegancko jak baleron.

Natychmiast poczułem szarpnięcie, gdy ktoś zaczął wyciągać mnie na brzeg. Natężyłem się, lecz linki były zbyt mocne, nawet jak na siłę manny'ego.

Nie mogłem skorzystać z pchełek – porwałby je prąd. Nawet szop wielkości pająka mógłby się nie utrzymać. Ale jaki miałem wybór? Wyplułem go i zabrał się do przecinania sieci, skupiając się na najbardziej napiętych odcinkach, tych, które ciągnęły mnie na brzeg.

Prawie się udało. Uwolniłem część nogi i jedno ramię. Świetnie byłoby móc wyciągnąć usypiacz, ale był w głównej komorze plecaka. Słabe planowanie.

Ludzie z Ruchu Oporu stwierdzili chyba, że nie będą już ze mną ryzykować. Jeszcze zanim mnie na dobre wyciągnęli, jeden wszedł do wody, wyciągnął kordzik i dźgnął mnie w nogę.

Krzyknąłem, nie do końca udając. Byłem na tyle przewidujący, że przykręciłem filtr sensoryczny, ale trafienie mieczem ma także duży składnik psychologiczny. To potężne naruszenie autonomii osobistej. Nie przestraszyłem się tak chyba od czasu własnej śmierci.

– Może to cię spowolni – warknął i dotarło do mnie, że to jest Popeye.

Najwyraźniej świeżo doszedł do siebie i szukał zemsty. Uniósł kord po raz kolejny, ale głos, który rozpoznałem jako Friedy, brzmiał jak rozkaz. Popeye stęknął, lecz cofnął miecz, za to nachylił się ku mnie.

– Jeden ruch i skończę, co zacząłem.

A potem popełnił błąd. Znowu. Ten typ się nic a nic nie uczył.

Wyciągnął mieczyk, tak że dotknął czubkiem mojego nosa, i otworzył usta, żeby jeszcze się ze mnie pośmiać. Dokładnie w tym momencie mój szop przeciął ostatnią linkę krępującą mi rękę. Wyciągnąłem ją z androidzką szybkością, chwyciłem miecz przy głowni dłonią i końcami palców i pchnąłem go w tył, tak że trafił go pod podbródkiem. Gdy padł z wyciem, rzuciłem mieczem, także głownią naprzód, w twarz drugiego osiłka (którego imienia nigdy nie chciało mi się poznać). I… muszę to Friedzie przyznać, miała jaja. Bez wahania sama wyciągnęła miecz i rzuciła się na mnie. Wciąż nie byłem na tyle oswobodzony, żeby uciec, a podręczna broń właśnie mi się skończyła. Wiedziałem, że nie zdążę sięgnąć do plecaka po nóż czy pistolet, więc wybrałem drugą najlepszą opcję – podniosłem Popeye'a i rzuciłem nim prosto w nią. Oboje padli w wodę ze stęknięciem. To dało mi w sam raz tyle czasu, żeby zdjąć z siebie sieć i zanurkować do wody.

Znaczy pokuśtykać do wody. W całej tej ekscytacji zapomniałem o ranie kłutej – co jest stwierdzeniem, który którego w życiu się po sobie nie spodziewałem. Systemy naprawcze już prawie zasklepiły ranę, ale wciąż ciekł z niej płyn… krew. Nie mogłem jednak używać tej nogi, póki nie naprawiła się w środku – wyliczyłem, że z takim obciążeniem nie będę szybszy niż biologiczny Quinlanin.

Zanurzyłem się i zacząłem płynąć, używając w miarę możliwości tylko ogona. Przyszło mi do głowy, że jeśli mają kogoś w dole strumienia, może z kolejną siecią, zostanę znowu złapany i powtórzy się taka sama konfrontacja.

Wyjść z wody? To pewnie przedłuży gonitwę – ja będę się starał dojść do rzeki, oni będą chcieli mnie przechwycić.

Tak źle i tak niedobrze. Ale skoro zdobyłem odrobinę przewagi, wyszedłem na brzeg i wydobyłem kord z plecaka. Jeśli mam znowu trafić do sieci, nie chcę polegać tylko na szopie. Przy okazji przełożyłem usypiacz do bocznej kieszeni, hermetycznej, ale dającej się szybko otworzyć.

Mój szop!

Szybka kontrola radiowa potwierdziła najgorsze. Straciłem ostatniego pająka. Powinien być w zasięgu, nawet jeśli jeszcze znajdował się w miejscu walki, więc nasuwał się wniosek, że został zniszczony lub uszkodzony.

Szlag.

To poważnie ograniczało moje szanse wydostania się z sieci. Trzeba to przeplanować. Bez szopa i z uszkodzoną nogą byłem w poważnym impasie. Odpytałem układy naprawcze i stwierdziłem, że rana jest poważna. Około godziny do odzyskania pełnej funkcjonalności, ale trzeba było także uzupełnić rezerwy płynu, co mogło zająć dzień lub dwa – i musiałbym coś jeść.

Zdecydowanie dobra pora, by zniknąć. Jednakże nie mogłem po prostu zaparkować manny'ego i wyjść z niego. Jeśli osiłki z góry strumienia mnie znajdą, będę musiał się bronić. Czyli muszę zostać w mannym.

Mogłem się więc szykować na długi i nudny pobyt na dnie. Chwilę poszukałem jakiegoś osłoniętego miejsca z naniesionymi osadami i zagrzebałem się w nich. Bez szopa nie mogłem sprawdzić, czy dobrze się ukryłem – musiałem zaryzykować.

Odczekałem dwie godziny, na wszelki wypadek. To przerastało możliwości nawet najbardziej wysportowanego Quinlanina, więc jeśli ktoś obserwował na górze, dawno sobie darował.

Ale sieć nie wymaga takiego wysiłku. Rozciągasz ją w poprzek strumienia, siadasz sobie z kawą i czekasz, aż coś szarpnie linki.

To znaczyło, że muszę dawać z buta. Boso.

Nie miałem żadnego wyjścia, które nie wymagałoby mnóstwa czasu, wysiłku i ryzyka. Z westchnieniem wynurzyłem się, rozejrzałem dokoła i zniknąłem w krzakach.

***

Dwie godziny przedzierania się przez las, kłucia się cierniami i obwąchiwania przez przypadkowe stworzenia w końcu się zwróciły. Patrzyłem zza kamienia na dwóch Quinlan relaksujących się nad strumieniem. Mieli parę lin przyciśniętych do ziemi i prowadzących do wody – można zgadywać, do czego służyły.

Pytanie brzmiało: czy mogą mieć coś, co mi się przyda, czy mam po prostu ich obejść? Aż sam przewróciłem oczyma na tę myśl. Weźcie sobie dowolny film, w którym jest taka sytuacja. Bohater alarmuje prześladowców przez nieudolną próbę kradzieży, doprowadzając do kolejnego pościgu, śmiechu i wesela. Dziękuję, nie skorzystam.

Poświęciłem chwilę na rozejrzenie się i zaplanowanie trasy, po czym cofnąłem się z powrotem w zarośla.

***

Po długiej i okrężnej wędrówce dotarłem w końcu do rzeki i podpłynąłem do miejsca, gdzie nad dnem unosiły się trzy pozostałe androidy, przyczepione do podwodnej gałęzi. Mimo wysiłków szopów serwisowych, obrastały… czymś. Pleśnią? Wodorostami? Cokolwiek to było, sprawiało, że wyglądały raczej jak

potwór z bagien niż Quinlanie. Kiedy Hugh w końcu któregoś z nich aktywuje, czeka go sporo mycia.

Sprawdziłem zapasy – na szczęście Garfieldowi udało się wrócić wszystkimi szopami do prawowitych właścicieli. Poleciłem dwóm szopom z każdego manny'ego przesiąść się do mnie. Otworzyłem usta i przyjąłem nowych żołnierzy.

Ostatnia rzecz – pieniądze. Każdy z nas miał solidny zapas quinlańskich monet, a podczas różnych potyczek zdobyliśmy też trochę ich noży. Były z metalu, więc sporo warte – tyle, co roczne zarobki przeciętnego Quinlanina. Szybka rewizja pokazała mi, że mamy w sumie siedem noży. Wziąłem trzy z nich oraz jedną trzecią gotówki z pozostałych mannych.

To wprawiło mnie w dużo lepszy humor. Odepchnąłem się od grupy i popłynąłem z prądem. Nie ma mowy, żeby po ostatnich wybrykach zostać w Trzech Zatokach. Pomyślałem, że pół godziny przepłynę w zanurzeniu, a potem się wynurzę i bez pośpiechu zacznę wyglądać kolejnych miasteczek.

Byłem teraz w dorzeczu Utopii, zatem będę płynąć na wschód, z powrotem do segmentu z Grzbietem Garaka, gdzie zaczynaliśmy. Robiło to wrażenie kroku w tył, chociaż nie wiedziałem, by w jakikolwiek sposób mogło zmienić moje szanse. Nie pytaliśmy o nazwy miast, więc równie dobrze mogliśmy przepłynąć tuż obok Końca Halepa, nic o nim nie wiedząc.

Złapałem się jednak na tym, że czuję się samotny. Zacząłem zachodzić w głowę, czy to nie quinlańskie moduły behawioralne narzucają mi preferencję do posiadania towarzystwa. Z reguły wolałem być sam.

Choć może po prostu samotność trochę mi się przejadła. Długa podróż do Ety Leporis oraz zaskakujące zmiany, które dokonały się, kiedy byłem poza zasięgiem, sprawiły, że poczułem się za bardzo wyalienowany, nawet jak na mnie. Jakbym nie tylko unikał społeczeństwa, ale też został w tyle, kiedy ono ewoluowało. Typowy ludzki brak logiki – jeśli miałem być pariasem, to z własnej woli i na własnych warunkach. Bardzo dojrzale, Bob.

Słońce jednak przygrzewało, a woda ledwie falowała. Małe, regularne falki, kojarzące się raczej z jeziorem niż rzeką, powoli mnie kołysały. Quinlanie unosili się jak korki, czy właściwie jak wydry, więc przypominało to prawie płynięcie na dmuchanym materacu. Zanurzyłem łapę w wodzie i obróciłem się, by patrzeć na wschód.

Łańcuch górski okrążający wnętrze habitatu powtarzał się w Niebiańskiej Rzece co około dziewięciuset kilometrów. Wcześniej nie dotarło do nas znaczenie tej odległości – teraz było dla mnie oczywiste, że to długość „dnia" sztucznego słońca. Góry oraz ta przegroda, o której wspominał Will, nie pozwalały mieszkańcom dojrzeć słońca z sąsiedniego segmentu. Zapewniały też

mocowanie dla cienkich szprych podpierających centralny walec. Bez wątpienia biegły nimi przewody i tunele serwisowe. Może nawet windy.

Z zewnątrz za to góry wyglądały… no, jak góry. I to całkiem imponujące, pewnie po to, by zniechęcać do wspinaczki. Nie żeby Quinlanie mieli z natury pociąg do wspinaczki.

Niedługo przepłynę przez przewężenie między segmentami i trzeba się będzie rozglądać za kolejnym miastem. A wtedy… z powrotem do ciężkiej roboty.

4. Ograni
Bill, lipiec 2334, wirt

Patrzyłem na listingi kodu i szczęka opadała mi coraz bardziej. Przez chwilę rozważałem, czy nie pozwolić jej opaść do pasa, ale to nie był czas na wizualne gagi. Na twarzy Garfielda widziałem grymas, który wyglądał na trwale odciśnięty. Cerę miał prawie szarą – aż mimo woli zachwyciłem się, jaki poziom wirtualnej rzeczywistości osiągnęliśmy, teraz, kiedy musiała konkurować z mannymi.

– Gwiezdna Flota wstawiła rootkit [6] do standardowego obrazu? – zapytał Gar.

– Na to wygląda. Standardowy system operacyjny autofabryki jest aktualizowany tak często, że dobrze było trzymać kanoniczną wersję na BobHubie. Albo i niedobrze, jak się okazało. – Zacisnąłem zęby, żeby nie podzielić się ze wszechświatem kolejnymi wymyślnymi przekleństwami.

– No, to tłumaczy, jak się dostali do autofabryk. Sądząc po tym, jakie przejęli, wygląda, że rootkit został dodany jakieś dziesięć lat temu. I to do kodu źródłowego, żeby się nie nadpisał przy kolejnej kompilacji.

– Chyba tak – powiedziałem, po czym zmarszczyłem czoło. – Dziesięć lat…

– Tak jest, szefie. Dziesięć lat temu to Gwiezdna Flota była ledwie grupą dyskusyjną. W dodatku, mówmy otwarcie, oni nie sprawiają wrażenia szczególnie bystrych. Popatrz, ile głupich ruchów wykonali od początku tego konfliktu. Coś tu śmierdzi.

– Ciekawe, czy to nie jest podobna sytuacja jak z Vickersem i SZLAG-iem – ktoś z własnymi planami, kto współpracuje z Gwiezdną Flotą, bo ma zbieżne cele.

– To musiałby być Bob. Bob, który zdryfował na tyle, by dążyć do czegoś takiego, ale udawało mu się to trzymać w tajemnicy przez całe lata. – Pokręcił głową. – Nie kupuję tego.

– Strasznie wybredny nabywca z ciebie.

Garfield się wyszczerzył.

– Możesz sobie mówić, że jestem sceptyczny, cyniczny, co tam chcesz. Po prostu te kropki mi się nie łączą i tyle.

– Jasne. W każdym razie musimy sobie z tym jakoś radzić. Zawołam Willa.

***

Will ukrył twarz w dłoniach i pozostał w tej pozie przez parę mili. W końcu podniósł na mnie znużony wzrok.

– Źle. Naprawdę bardzo źle.

– Wiem, Will. Liczba autofabryk…

– Nie, Bob, nie tylko to. Znaczy… to też jest źle, ale kiedy mięsuchy się dowiedzą…

– Rany, Will! „Mięsuchy”?

Skrzywił się.

– Tak, wiem, nie lubisz pogardliwych określeń. I praktycznie udało ci się wyprzeć słowo „efemeryda”, ale tym razem nie pójdzie ci tak dobrze. Stosunki między cyfrą i bio ostatnio zrobiły się bardzo napięte. Psuły się jeszcze przed tą akcją Gwiezdnej Floty, ale potem to bardzo przyśpieszyło. Kiedy to się rozniesie…

– A cholera… – Teraz była moja kolej ukryć twarz w dłoniach. – Dobra wiadomość jest taka, że mamy obraz z usuniętym rootkitem, który można wgrać po odzyskaniu kontroli. Ale niestety trzeba to robić w każdej fabryce po kolei.

– O ile nie ma w nich min-pułapek, takich jak w stacji orbitalnej – odparł Will. – Po drugie, planetarne autofabryki nie mają tych furtek, więc ludzie są mniej narażeni od nas. Mogą po prostu obrzucić atomówkami wszystkie kosmiczne autofabryki, na wszelki wypadek.

– I nie jestem pewien, czy nie będą mieli racji. Mamy dość wyczyszczonych jednostek, żeby dać sobie radę, ale czas, który będzie potrzebny na odbudowanie zdolności produkcyjnych…

Will kiwnął głową.

– Posłuchaj, znaczny spadek produkcji będzie miał ogromne skutki gospodarcze, mimo że FIR twierdzi, że w swojej polityce monetarnej nie uwzględnia autofabryk należących do Bobiwersum. Czyli nie będą z tym szaleć, będzie czas, żeby ich trochę udobruchać.

– Miejmy nadzieję, bo to zaczyna naprawdę paskudnie wyglądać.

5. Dołącza Hugh
Bob, lipiec 2334, Niebiańska Rzeka

Przewidywałem miasteczko na brzegu rzeki, pewnie za parę mil. Zagęszczenie łodzi na rzece było nie do pomylenia. Normalnie po prostu podpłynąłbym do przystani i wyskoczył z wody, lecz ostatnio zrobiłem się trochę paranoikiem. Było oczywiste, że Opór nie tylko ma łączność pomiędzy miastami, mocno przerastającą formalne ograniczenia technologiczne, ale ma także techniki przekazywania obrazu. Albo to, albo są naprawdę dobrzy w te drzeworyty. W każdym razie istniało prawdopodobieństwo graniczące z pewnością, że jeden lub więcej agentów obstawia przystań z drzeworytem w dłoni i czeka, aż się pojawię. Podejście lądem miało w tej sytuacji więcej sensu.

Wylądowałem więc dobrą milę przed miastem i przedarłem się przez nadbrzeżne bagno, mnąc w ustach przekleństwa, angielskie i quinlańskie. Potrzebowałem się znowu wykąpać? Czemu plany zawsze mają takie nieprzewidziane skutki? Odrobina poszukiwań wykazała – nic dziwnego – że bagno jest zasilane małym strumykiem, zbyt wąskim do pływania, ale wystarczającym, żeby się obmyć.

Kiedy ścierałem z siebie ostatnie resztki błota, ktoś zadzwonił:

– Cześć, Bob, jesteś na kanale?

– Hugh? Jesteś na chodzie?

– Tak. Twój Gupik właśnie mnie odpalił. Zajmuję ci teraz miejsce w ładowni. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Na razie nie. Zaczekaj minutkę. Ukryję się gdzieś i przeskoczę do wirtu.

Parę minut rozglądałem się, w końcu stwierdzając, że po prostu ukryję manny'ego pod wodą. W strumieniu tej wielkości nikt nie będzie przypadkiem przepływał. Wcisnąłem się pod pień powalonego drzewa, zostawiłem manny'ego w stanie uśpienia i przeskoczyłem do biblioteki.

Hugh siedział w luksusowym fotelu dla graczy komputerowych, z czasów, gdy maniacy potrafili grać przez osiemnaście godzin non stop. Zawsze mnie

trochę dziwiło, że nie wymyślono wariantu z instalacjami sanitarnymi, a potem sobie uzmysłowiłem, że tak naprawdę to ja nie wiem, czy nie wymyślono.

Podniósł kawę na powitanie, gdy rozsiadałem się w moim fotelu z podnóżkiem. Jeeves podszedł z kawą, a Kolczatka podniosła głowę z kolan Hugh i spojrzała na mnie z góry. Jak zawsze wierna.

– To jak ci mówić teraz? – zapytałem.

– Hugh wystarczy. Jak zawsze.

– Eee… ale konwencja mówi, że trzeba mieć nowe imię. Żeby uniknąć pomyłek…

– Nie będzie żadnych pomyłek. Jestem tylko jeden. Przed zrobieniem kopii się wyłączyłem, a jak tylko sprawdziłem, że jestem w pełni sprawny tutaj, tamta macierz została wyczyszczona. Nie ma powielenia, więc jest pełna ciągłość.

Zastanowiłem się nad tym.

– Bridget mówiła jakiś czas temu o czymś podobnym. W praktyce teleportowałeś się tutaj. Nie masz z tym problemu?

– My zaczęliśmy to nazywać transportem. Zaskoczyło mnie, kiedy Bridget to wyciągnęła, nawet pytałem kolegów, czy rozmawiała z którymś z nich. Najwyraźniej to po prostu myślenie równoległe. – Urwał, by zebrać myśli. – Cała ta kwestia tożsamości była niewygodnym problemem jeszcze przed urodzeniem Pierwszego Boba. Nawet przed oryginalnym Star Trekiem. My… znaczy Skippies… pracujemy nad tym już od paru lat. I wygląda na to, że przybliżyliśmy się trochę do obiektywnego rozwiązania.

– Poważnie? Nic nie słyszałem.

– Staraliśmy się nie rozgłaszać wyników. Bo… ten… mają pewne implikacje, rozumiesz?

Uniosłem brwi.

– No, dość dramatyzowania. Dawaj.

Hugh upił łyk kawy i zrobił tę swoją minę pod tytułem „usiądźcie wygodnie”.

– Posłuchaj. Wiesz, że dryf replikacyjny oznacza, że klony są zawsze trochę inne od swojego rodzica? – To było oczywiście pytanie retoryczne. Odczekał, aż potaknę. – Widzisz, my zrobiliśmy trochę doświadczeń i odkryliśmy, że jeśli ktoś przejdzie transport, tak jak ja przed chwilą, to niczym się nie różni!

– Znaczy, zaraz… że klon jest taki sam jak oryginał? Skąd możecie mieć pewność?

– Matematycznej pewności mieć nie możemy. Ale testy osobowości na dużej próbie par rodzic-dziecko są w stanie wykazać statystyczny poziom oczekiwanego dryfu. I w tym zakresie przy transporcie dryfu nie ma. Nic a nic.

– No rozumiem, ale gdyby…

– Włączyć macierz rodzica po aktywacji i przetestowaniu dziecka? – Usmiechnął się szeroko. – I tu się robi ciekawie. Wtedy rodzic wykazuje statystycznie istotny dryf w porównaniu ze swoimi poprzednimi wynikami.

– Jak… to… kur…? – Wytrzeszczyłem oczy, zabrakło mi słów. Parę razy parsknąłem, zanim wreszcie się opanowałem. – Czyli rodzic już nie jest…

– Rodzicem. Staje się nowym Bobem. Badaliśmy to na paru pokoleniach, obaj uczestnicy wyklonowywali własne drzewa potomków. Wyniki są spójne.

– Ale… jak…?

– Mamy oczywiście parę teorii. Myślimy, że to jakaś forma splątania informacji. Tego słowa używam celowo, bo dekoherencja nie jest ograniczona prędkością światła. Sprawdzaliśmy – dwie wersje były odległe o minuty świetlne od siebie. Jeśli włączymy je z sekundową różnicą, pierwsza włączona jest zawsze identyczna psychologicznie z oryginałem.

– Tak jakby pierwsza dostawała duszę.

– A druga musiała dostać nową. – Hugh parsknął śmiechem. – Ta interpretacja się parę razy przewinęła, ale raczej wszyscy uważają, że to tylko metafora.

– A prawdziwe wyjaśnienie?

– Są dwie szkoły. Pierwsza uważa, że znajdujemy się w symulacji i symulator nie jest w stanie obsłużyć dwóch oddzielnych identycznych obiektów. Może mają jakąś kwantową sygnaturę, która musi się różnić.

– Jeśli tak, to słabo to jest zaprogramowane.

Hugh kiwnął głową.

– No cóż, decyzje projektowe, nie? Za to druga grupa myśli, że dryft replikacyjny jest spowodowany przez Twierdzenie o zakazie klonowania. Innymi słowy, drugi Bob nie może być taki sam jak pierwszy, bo Mechanika Kwantowa nie pozwala. – Parę milisekund patrzył z namysłem w przestrzeń. – Potem zaproponowano, że skoro do replikantów stosuje się Twierdzenie o zakazie klonowania, to obowiązuje także Twierdzenie o zakazie usuwania. A jeśli tak, to wiesz, co z tego wynika.

– Życie po śmierci?

– Tak. Oraz to, że ty sam nie jesteś tylko kopią Pierwszego Boba, ale dokładnie kontynuacją jego umysłu, duszy, jakkolwiek to zwał. – Hugh zawahał się. Po zastanowieniu kontynuował: – Dlatego tak mocno pracujemy nad zbudowaniem prawdziwej SI. Potrzebne nam coś, co będzie zdolne do myślenia kontrfaktycznego i będzie miało ogromną moc przetwarzania, by móc odpowiadać na tego typu pytania.

– Czterdzieści dwa.

– Chłe, chłe, chłe. Po prostu absurdalnie wielka SI mogłaby przeanalizować miliardy możliwych wyjaśnień i zawęzić je do jakiegoś małego podzbioru, który

potencjalnie dałoby się przetestować. A w wolnym czasie wynaleźć napęd nadświetlny czy coś podobnego. Według nas to jest najważniejszy projekt, nad jakim pracują Bobowie od czasu wojen z Innymi. – Przez moment wyglądał, jakby miał coś jeszcze dodać, lecz zaraz zamknął usta.

Znowu to zachowanie. Albo to jest jakiś tik, albo naprawdę bardzo chce coś powiedzieć i nie może. Zamrugałem, otrząsając się z chwilowego rozkojarzenia.

– Hmm… no tak. To trochę wygląda, jak temat do dyskusji na długie loty pomiędzy układami. Na razie skupmy się na konkretnym problemie.

– Jasne. Przeczytałem twoje notatki i skontrolowałem mannych na szybko. Zużyliście wszystkie szopy, prawda?

– Nie do końca, po dwa im jeszcze zostały. Ale naprawdę powinieneś wziąć zapasowego manny'ego. Jeśli pójdziesz w tym samym kierunku, dogonienie mnie trochę ci zajmie. Jeśli pójdziesz w przeciwnym, będziemy szukać na dwa fronty.

– Mamy się w ogóle spotykać? Na grupę grandtourowców nas za mało. Może po prostu powinienem szukać na własną rękę.

Zastanowiłem się nad tym.

– Kompromis. Idź w moim kierunku, jeśli się spotkamy, podejmiemy decyzję. A jeśli któryś z nas natrafi na coś konkretnego co do lokalizacji Bendera, zastanowimy się jeszcze raz.

– Może być. – Wstał. – Chyba znowu improwizujemy. – Zniknął.

Parę mili gapiłem się w miejsce, gdzie wcześniej siedział. Dusze. Życie po śmierci. Zastanawiałem się, czy po tylu latach jako humanista nie będę musiał zjeść własnych słów.

6. Wojna nabiera tempa
Bill, lipiec 2334, wirt

– Robi się dużo ciekawiej – powiedział Garfield bez wstępów, wskakując do mnie.

Odwróciłem się i spojrzałem na niego z ukosa. Takie nagłe wpadanie weszło mu w nawyk. Może to stres? Mam nadzieję. Nie chciałem robić z tego afery.

– Jak ciekawiej?

– Gwiezdna Flota w ogóle nie wzięła po uwagę reakcji ludzkości. Ludzie przeważnie poczuli się potraktowani pogardliwie, przez ten cały klimat „kontakt z wami nas spowalnia”. Wszystkie zasoby należące do członków Floty są teraz zamrażane, są wypowiadane umowy, zabiera się dostęp do wszystkiego, nawet w układach, na które atak na sieć w ogóle nie wpłynął. W zasadzie cała ludzka infrastruktura przestaje być dla nich dostępna.

Zastanowiłem się nad tym i się zaśmiałem.

– Ich misja to właśnie zerwanie kontaktu z bio, ale pewnie chcieli to zrobić na własnych warunkach. Coś jakbyś przyniósł pracodawcy papiery z dwutygodniowym wypowiedzeniem, a on na to: „Nie, w porządku, odejdź teraz”.

– No właśnie. Parę układów zmajstrowało sobie tymczasowe stacje przekaźnikowe, a oryginalne od razu powyłączało i zabrało do wyczyszczenia. Łączność jest oczywiście gorsza, ale członkowie Floty w ogóle jej nie mają. Zero. I w miarę kurczenia się dostępnych węzłów coraz łatwiej jest ustalić ośrodek działania Floty.

– To oni mają jakiś ośrodek?

– Są dość rozproszeni, ale peryferyjne grupki po odcięciu od reszty nie są już skuteczne. Większość aktywności Floty pochodzi z węzłów komunikacyjnych w kierunku Ramienia Perseusza, co nie klei się z moim pierwszym oszacowaniem.

– Ale oni też sobie te stacje odbudują. W końcu będziemy mieli dwie niezależne, ale nakładające się sieci.

– Jeśli nie mają gdzieś fizycznej obecności, nie mogą tego zrobić – sprzeciwił się Garfield. – Jak coś odbudują? Nikt im nie sprzeda czasu drukarek. Będą musieli fizycznie kogoś tam wysłać, a potem liczyć, że to, co zbudują, nie zostanie od razu zestrzelone.

Miał rację.

– No faktycznie, chyba tolerancja na sprzęt Gwiezdnej Floty będzie raczej niska.

Kiwnął głową.

– Zakładając, że dojdzie do fizycznej przemocy, możemy się spodziewać wielu ataków z zaskoczenia. Jedno, co nam się udało udowodnić, to że w przestrzeni międzygwiezdnej nie da się utrzymać kontroli granicznej. Nie licząc Bitwy o Układ Słoneczny, ale tam się udało tylko dlatego, że wiedzieliśmy, że Inni nadchodzą.

– Na dłuższą metę to jest nie do utrzymania. Wyobraź sobie stulecia takiej pełzającej partyzantki. Nie. Trzeba zrobić porządek.

7. Bitwa pod Newholme
Claude, lipiec 2334, kolonia Newholme

Analizowałem diagram stanu bitwy, szukając słabych punktów. Komandor Hobart stał na spocznij, z tą osobliwą zdolnością wojskowych do zapadania w umysłową hibernację, kiedy trzeba czekać. Wydało mi się paradoksalne, że lepiej gra maszynę, niż mnie się to kiedykolwiek udało. Mogłem oczywiście zostawić manny'ego pod kontrolą MSI, ale to byłoby oszukaństwo.

– Wygląda na to, panie komandorze, że wszystko jest pokryte. – Odwróciłem się do niego.

Od razu ożył.

– Możemy więc zaczynać. – Hobart dotknął odznaki na piersi. – Miller, rozpocząć operację.

Powstrzymałem parsknięcie. Najwyraźniej wojsko Newholme zupełnie nieironicznie wprowadziło system komunikowania się bardzo podobny do Następnego Pokolenia. Pytałem kiedyś Hobarta – mam nadzieję, że nie zorientował się, o co chodzi – i w ogóle nie wiedział o istnieniu Star Treka, nie mówiąc już o tych ewidentnych zapożyczeniach. Na szczęście podwójne piknięcie komunikatora sobie darowali – to już by było przegięcie.

Porucznik Miller, gdzieś w tym gigantycznym labiryncie wojskowej organizacji Newholme, wydawał teraz rozkazy i startował sprzęt.

Jak zawsze, gdy miałem czas o tym pomyśleć, nieco zdumiewała mnie skala wojskowej obecności w układzie Gammy Pavonis. Oczywiście Newholme założono, kiedy nie byliśmy jeszcze pewni końca zagrożenia ze strony Innych, i już tak zostało. Może uspokoją się za parę pokoleń – na razie społeczeństwo Newholme było jak jeżozwierz w stanie nieustającej czujności.

Dzisiaj mieliśmy zmierzyć się z inwazją Gwiezdnej Floty w głąb układu. Flota przejęła stację przekaźnikową i jedną z dwóch orbitalnych autofabryk, a potem skontaktowała się z Newholme, by wynegocjować ugodę. Po innych negocjacjach już dość dobrze wiedzieliśmy, czego się spodziewać –

postanowienia, że ludzie i replikanci mają być niezależni, zobowiązania do nienawiązywania kontaktu z gatunkami przedindustrialnymi; zobowiązania, że kontakt z gatunkami poprzemysłowymi będzie ograniczony do minimum, by uniknąć skażenia kulturowego.

Z pozoru nie wydawało się, że to aż tak wiele. Gwiezdna Flota oddawała sprzęt z powrotem praktycznie w zamian za parę podpisów. Jednakże, jakkolwiek by na to patrzeć, to było wymuszenie. A ludzie, nawet najlepiej nastrojeni, źle reagowali na wymuszenie. Newholme zaś zdecydowanie nie było najlepiej nastrojone. Nawet nie chciało im się odpowiedzieć.

– Trzy minuty – powiedział Miller.

Hobart kiwnął z satysfakcją głową, cały czas stojąc na spocznij. Patrzyłem, jak po diagramie przesuwają się ikonki symbolizujące jednostki wojskowe podchodzące do celów.

– Claude, masz godzinę na przejęcie stacji przekaźnikowej – powiedział. To nie była nowa informacja dla żadnego z nas, po prostu tak według niego się podtrzymywało rozmowę. – Do czasu zakończenia prac broń jądrowa będzie w pogotowiu.

– Zrozumiałem, panie komandorze. Wątpię, żeby była potrzebna. Z tego, co wiem, jeśli nam się nie uda, nastąpi samozniszczenie.

Uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

Ataki były tak wyliczone, by przejmować autofabrykę i stację orbitalną w tym samym czasie. Chcieliśmy, żeby Gwiezdna Flota musiała skupić się na obu naraz. Wiele to nie zmieniało, ale mogło odrobinę pomóc.

– Na razie brak oznak oporu – powiedział Miller.

– Dziwne. – Komandor zmarszczył czoło. – Mają nad nią kontrolę od dwóch dni. Nie powinni zdążyć zrobić chociaż paru tych waszych niszczycieli?

– Tak, panie komandorze. Powinni zaraz wystrzelić…

– Wykryty nieprzyjaciel – wtrącił Miller.

– No, to już lepiej. – Howard postukał w swoją odznakę. – Poproszę szczegóły.

– Wydaje się, że niszczyciele. Dwadzieścia. Prostoliniowy wektor ataku. Zero wyrafinowania.

Hobart posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Z zasady wy jesteście dość podstępni. Ale to mi wygląda na proste maksimum tego, co dało się w dostępnym czasie zbudować. Jakaś szansa, że coś z tego to fałszywki?

– Nie za bardzo, panie komandorze. Ma pan rację z tą liczbą. Wydaje się, że to po prostu atak ostatniej szansy, po prostu, by pokazać, że się nie poddają. Ja bym na ich miejscu poczekał, aż nasze siły bardziej się zbliżą.

– Amatorka – mruknął Howard.

Głos Millera informował o sytuacji co parę sekund, płaskim, beznamiętnym tonem.

– Kontakt z wrogiem.

– Pierwsza fala, straty wroga: pięćdziesiąt procent. Druga fala: kontakt.

– Druga fala przeszła. Pozostają dwie jednostki wroga. Uruchamiam igły plazmowe… Pole oczyszczone.

I to by było tyle. Jeśli Gwiezdna Flota nie miała w rękawie pancernika Imperium Kree, droga do celu była wolna.

– Ostatnia szansa, panie komandorze. Może uda się jeszcze uratować autofabrykę.

Pokręcił głową.

– Nieopłacalne. Za duże ryzyko ukrytego wrogiego kodu. Nawet ci wasi „Skippies” nie zagwarantują stuprocentowego oczyszczenia. Odbudujemy ją sobie.

Fakt, że, ściśle rzecz biorąc, ta fabryka należała do Bobiwersum na pewno też nie pozostawał bez znaczenia. Ciekawe, czy własny sprzęt też by tak szybko spisali na straty.

W tym momencie ciszę przerwał ostry brzęczyk i rozległ się głos Millera:

– Detonacja stacji kosmicznej. Nie wskutek naszych działań. Wygląda na samozniszczenie.

– Cholera – powiedziałem. Zwróciłem się do komandora: – Przepatrzę logi, może dowiemy się wystarczająco dużo, żeby uniknąć tego następnym razem. Zapasowa stacja już gotowa?

Pokręcił głową.

– Dopiero za dwadzieścia cztery godziny. Ale nie mogliśmy czekać. Mamy trochę małych jednostek z UNOP-em w zasięgu, na pewno ty też masz, ale nie tyle, żeby zachować pełną łączność. Praktycznie jesteśmy na jeden dzień odcięci od reszty FIR-u. – Uśmiechnął się zdawkowo, bez humoru. – Z praktycznego punktu widzenia to nic wielkiego, ale wiesz dobrze, że Głowacze się wściekną. Blokowanie wymiany handlowej, sra-ta-ta-ta.

– No. – Przewróciłem oczyma. – Nic takiego, panie komandorze. Jesteśmy już tak podpadnięci, że bardziej się nie da.

Komandor Hobart kiwnął głową, po czym odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy Millerowi. Potraktowałem to jako znak, by udać się do wyjścia.

Normalnie przechowywałem tego manny’ego w stolicy Newholme – tak było wygodnie przy częstych kontaktach z władzami, miałem też blisko do komunikacji publicznej, jeśli chciałem się gdzieś wybrać. Jednakże wiedząc, jak może się skończyć to starcie, zaplanowałem ewakuację manny’ego z planety.

Howard ostrzegał mnie, że bardzo ludzka skłonność do znajdowania sobie kozła ofiarnego sprawi, że wszyscy wewnątrzukładowi Bobowie poczują się niekomfortowo.

Moje aktywa, w każdym razie te, które były płynne, już wycofałem przez międzyukładową bankowość, w transakcjach, których nie dawało się odkręcić. Fizyczne aktywa leciały do Obłoku Oorta, różnymi kursami. Kiedy sam dotrę do mojej bazy tam, zastanowię się nad kolejnymi krokami.

Gdy tylko wyszedłem z budynku, wylądował przede mną jeden z dronów towarowych. Nie myląc kroku, wsiadłem do niego i kazałem startować. Spodziewałem się, że mam najwyżej pół godziny, nim rząd – Głowacze, jak się ich nazywało w miejscowym slangu – zarządzi konfiskatę, nacjonalizację (czy inny eufemizm na odebranie) moich zasobów.

Zabawne, ale od czasu wojny o niepodległość na Posejdonie mieliśmy w Bobiwersum niepisaną umowę, by nie publikować i nie nagłaśniać istnienia technologii maskowania anty-SUDDAR-owego. Wychodzi na to, że ziarno wzajemnej nieufności zostało zasiane, nim Gwiezdna Flota zaczęła ją pompować. A może zrodziła się właśnie z tej nieufności?

Podsumowując: jeśli tylko wydostałem swój sprzęt z planety, to nie mieli szans go znaleźć.

***

Okazało się, że byłem trochę pesymistą. Dekret nakazujący „zabezpieczenie” wszystkich aktywów Bobiwersum w układzie wyszedł dopiero po trzech godzinach. Zawierał natychmiastowe polecenia dla sektora wojskowego i finansowego. Typom w garniturach prawie cały dzień zajmie rozgryzienie najróżniejszych firm-wydmuszek i firm-krzaków, które tworzyłem przez ostatnie dni. A jak już je rozmontują, nie znajdą nic poza kurzem.

Aspekt wojskowy był trochę pilniejszym problemem. Dwa dywizjony wystartowały z baz w punktach Lagrange’a i z wojskowym przyśpieszeniem poleciały w kierunku mojej przewidywanej pozycji i wektora. Pechowo dla nich już parę razy zmieniłem kierunek, więc nie tylko mnie tam nie było, ale też mój wektor nie był styczny. Przestrzeń aż gotowała się od skanów SUDDAR-em, prześlizgujących się bezgłośnie po moim maskowaniu.

Po niecałej minucie komandor Hobart odezwał się w sieci:

– Claude Johansson, jest pan pod wojskowym aresztem, zgodnie z dekretem Wielko…. znaczy Rady Newholme. Przestań przyśpieszać i udostępnij statek do abordażu.

Przez chwilę śmiałem się z jego niedoszłego faux pas. Ale oczywiście, odpowiadając, zdradziłbym swoją pozycję. Komandor był skazany na nieprzyjemne tłumaczenie się przed Głowaczami, czemu wrócił z pustymi rękoma.

Sformułowałem maila i wysłałem go do Billa, przez własny przekaźnik z UNOP-em. Wprawdzie nie potrzebował kolejnych problemów na głowie, ale to była część kompletnego obrazu, poza tym pewnie powtórzy się w innych układach.

Odpowiedź dostałem po paru sekundach. Nie, nie milisekundach. Sekundach. Tak był zajęty.

Dzięki za info, Claude. Niestety, pewnie masz rację, że w innych układach spróbują zrobić tak samo. Ale uprzedzę wszystkich potencjalnie narażonych Bobów. Niezły ruch z tymi aktywami finansowymi, swoją drogą.

Uśmiechnąłem się, a potem rozparłem się w fotelu i wpatrzyłem w przestrzeń. Obojętne, co będzie, w tym układzie chyba już nie mam czego szukać. Nawet jeśli stwierdzą, że nie będą się ze mną sądzić, trudno mi będzie twierdzić, że nie słyszałem, co mówił komandor, i że wszystkie moje szachowe posunięcia to normalna działalność biznesowa.

A zresztą, co tam. I tak za długo siedziałem w jednym miejscu. Mario i jego ekipa znajdują ciekawe rzeczy za układem Innych. Może trzeba się przyłączyć i dołożyć swoją cegiełkę do powiększania znanego kosmosu.

8. Poszukiwania
Bob, lipiec 2334, Cedrowe Bystrzyny

Hugh odczyścił zapasowego manny'ego i ruszył w drogę. Cieszyłem się, że zaczął działać w Niebiańskiej Rzece. Cała ta afera o klonowanie czy transferowanie i idea duszy były, muszę przyznać, dość niesamowite. Zastanawiałem się, czy aby nie postanowił przetransferować się do Ety Leporis tylko po to, żeby to sprawdzić na sobie.

Ja zaś dotarłem lądem do miasteczka. Z paru przypadkowych rozmów dowiedziałem się, że jestem w lokalizacji, którą tłumacz przełożył mi na Cedrowe Bystrzyny. Oczywiście chodziło o miejscowe drzewo.

Miejscowość była bogata, z pokaźną flotą statków. Chyba dobrze jej służyła rola portu najbliższego gór i granicy segmentów. I akurat odbywał się w niej kolejny festiwal, w pełnym rozkwicie. Uznałem, że trochę sobie pospaceruję, pozwiedzam i wczuję się w klimat miejsca. Miejmy nadzieję, że w pojedynkę będę po prostu jedną twarzą z wielu w tłumie.

I będę uważał, żeby nie zaglądać do żadnych wozów.

W krótkim czasie zobaczyłem grupę tańczącą jakby kadryla, fantastyczny kwartet smyczkowy i grupę wokalną. Quinlanie zdecydowanie mieli świetne poczucie melodii i rytmu. Ale nic nie zrównoważy tych krótkich kończyn. Balet im się w życiu nie uda. Ani nawet hip-hop.

Stwierdziłem, że niegłupio będzie rozejrzeć się za śladami Ruchu Oporu. Przyszedłem drogą lądową i nie zbliżałem się dotąd do przystani, możliwe więc, że przegapiłem ewentualnych obserwatorów. Nonszalancko, jak przypadkowy Quinlanin, wypatrzyłem najbliższą tawernę i zająłem stolik. Ta była nieco bardziej wypasiona, miała nawet zewnętrzny ogródek, gdzie można było sobie popijać, pojadać i popatrywać na świat. Po paru minutach obserwacji stało się jednak jasne, że ci, którzy tam siedzą, nie mają ochoty się socjalizować. Czyli do środka.

Podszedłem do baru, zamówiłem piwo i miejscowy odpowiednik kanapki. Nie był to prawdziwy chleb, bardziej coś w rodzaju pity, ale w niektórych odmianach nie był nadziewany rybą w stu postaciach. Samo to czyniło go moją ulubioną przekąską.

Pomiędzy kęsami zacząłem zagadywać do barmanki. Ruch był mały, była więc znudzona na tyle, żeby mnie tolerować.

– Mam taką sprawę: chwilowo rozglądam się za mieszkaniem. Możesz mi polecić hotel czy inne lokum gdzieś tu koło przystani?

– A czemuż to na Matkę chcesz mieszkać koło przystani?

No, Bob, myśleć, i to szybko.

– Jestem plastykiem. I specjalizuję się w statkach.

Przekrzywiła głowę, a potem skinęła nią, stwierdziwszy, że nie jestem groźny. Ani podejrzany. Czy coś.

– Mój kuzyn, Maurice, jest właścicielem luksusowych apartamentów Dębowy Bal. Powiesz, że przysyła cię Melanie, i na pewno znajdzie ci coś eleganckiego.

I odpali ci działkę, a jakże. Niesamowite, ile interesów załatwiało się w Niebiańskiej Rzece dzięki temu, że ktoś zna kogoś, kto zna kogoś. Ale nie szkodzi. Dawało to Melanie jakąś motywację, by mi pomóc i zracjonalizować moje dziwactwa.

Powiedziała mi, jak iść, podziękowałem i zamówiłem kolejne piwo po prostu po to, żeby wypaść na dobrego klienta.

***

Tym razem trzeba to było rozegrać ostrożnie – nie chciałem zadawać zbyt wielu pytań w jednym miejscu. Przeszedłem się do kolejnej tawerny i zagadnąłem przypadkowego miejscowego pijaczka.

– Posłuchaj, mój kuzyn mieszka pod Dębowym Balem. Nie mogę tego znaleźć. Masz pojęcie, gdzie to może być?

Jules McŻul zachichotał.

– Oj, stary, pewnie się zagapiłeś na dziewczyny, jak tu przypływałeś. Musiałeś przejść tuż obok tego. – Zlustrował mnie uważnie. – Ten twój kuzyn to chyba ktoś jakieś zamożniejszej gałęzi rodziny. Tanio to tam nie jest.

Parsknąłem śmiechem i spróbowałem zrobić zażenowaną minę. Miałem przygotowaną legendę i – jak to legendy – była całkiem przyzwoita.

– Dziadek ma nadzieję, że Theodore znajdzie mi coś lepszego. U nas, w Końcu Halepa, marne szanse. Nic się nie dzieje. – Patrzyłem uważnie, czy ta

nazwa mu coś powie. Nic z tego. – Theodore pracuje w bibliotece, chociaż kasy specjalnie nie potrzebuje. Tam go pewnie zastanę.

– A w której? Powitanie czy Rzeźnicki Hak?

Ups.

– Nie pamiętam. Nie zwróciłem uwagi. Ale musi być blisko jego domu, bo chodzić to on nie lubi.

– No to Powitanie. – Wyjaśnił mi, jak tam trafić. – Powodzenia w takim razie. – I spojrzał żałośnie na pusty kufel.

Zrozumiałem aluzję, kiwnąłem na następną kolejkę i zaraz humor mu się poprawił.

Nie miałem zamiaru faktycznie pokazywać się w bibliotece, nie bardziej niż przechadzać się wesolutko wzdłuż pomostów, nosząc monokl, wymachując laseczką i pogwizdując Dixie. Ale potrzebowałem wiedzieć, czy Ruch Oporu dalej mnie szuka. Jeśli to miasto też mieli obstawione, trzeba było się pogodzić z tym, że już zawsze będę na ich radarze.

Wynająłem mieszkanie w Dębowym Balu. Faktycznie było drogo. Przeliczyłem, że w trzy miesiące przepalę całą gotówkę. Nie planowałem oczywiście zostawać tyle czasu, ale było to niepokojące. W razie konieczności mogłem sprzedać noże, ale miałem przeczucie, że nie dostanę za nie ceny detalicznej.

***

Pod koniec kolejnego długiego dnia, wypełnionego, można by rzec, szpiegowaniem, przeskoczyłem do swojej wirtualnej biblioteki i zastałem Hugh, siedzącego i popijającego kawę. Uniósł filiżankę na powitanie, gdy opadałem na swój fotel z podnóżkiem.

– I co tam na froncie, o, wielki przodku?

Parsknąłem w odpowiedzi, ale „psie czucie” mnie załaskotało. Te jego sporadyczne napady jowialności nigdy nie były autentyczne. Pierwszy Bob niczego takiego nie przejawiał, a Skippies też nie wyglądali, jakby ich dryf poszedł w kierunku wylewnego handlarza używanymi samochodami. Używając filmowego porównania, zupełnie jakby opierał się o regał i pogwizdywał, patrząc w sufit. Pytanie brzmi: dlaczego?

– Parę dni obserwowałem przystań – odparłem. – Jest paru typów, którzy wyglądają, jakby się zmieniali i nie mają nic innego do roboty, tylko podpieranie ścian. Ale to nie znaczy, że są w Ruchu Oporu. A jeśli są, to naprawdę słabo się przykładają.

– Pewnie w górę i w dół segmentu poszła po prostu generalna dyrektywa, żeby nas wypatrywać. Znaczy ciebie.

– Może. A ty co robisz?

Hugh pokazał palcem własną pierś.

– Marynarzem jezdem. Pracuję na statku handlowym, który krąży po całym segmencie, po wszystkich czterech dorzeczach. Teraz akurat płyniemy w dół Arkadii.

– Hmm… – To nie był taki zły pomysł. Maskował się wśród załogi, miał kupę okazji do rozmowy i posłuchania, prawie codziennie lądował w nowym mieście.

– A, Bob, jedna rzecz…

Rozpoznałem ten ton. Problem. Przekrzywiłem głowę, starając się wyglądać jak najniewinniej.

– Wiesz co, tak się zastanawiam, może mógłbyś mi wyjaśnić jedną rzecz. Dwa dni koledzy z załogi chichotali za każdym razem, kiedy się do mnie zwracali. W końcu świadomie się przysłuchałem quinlańskiemu tłumaczeniu mojego imienia.

Niewinność. Pokerowa twarz. Nic nie wiem.

– Program tłumaczący w miarę potrzeby wybiera losowe quinlańskie imiona i zapamiętuje ich powiązanie z danym angielskim imieniem.

– Losowe.

– Tak.

Zawahał się znowu.

– Czyli program losowo i całkowicie przypadkowo nadał mi imię „Puszka Piwa”.

– Eeee… no raczej tak.

Wbił we mnie wzrok, odpowiedziałem tym samym, jak najdłużej zachowując kamienną twarz.

W końcu jednak się ugotowałem. Zacząłem się śmiać i nie mogłem się powstrzymać.

– No wiesz… Skippies… i ty… – Pomiędzy atakami śmiechu byłem w stanie wykrztusić tylko pojedyncze słowa.

Po jakimś czasie Hugh uśmiechnął się, potem sam się roześmiał.

– No dobra – powiedział w końcu. – To było śmieszne. Udało ci się. Ale rozumiesz, że to oznacza wojnę?

Wyszczerzyłem się do niego.

– Ale już zostaniesz z tym imieniem.

– No. Wytłumaczyłem typom, że to przezwisko, kiedyś ktoś tak zażartował i zostało.

Kiwnąłem głową, doceniając jego refleks.

– A czegoś się w tej podróży dowiedziałeś?

– Nic ważnego. Ludzie generalnie orientują się, że istnieją Administrator i Ruch Oporu, przynajmniej ogólnie. Wielu ma świadomość, że mieszkają w sztucznej konstrukcji i są utrzymywani na określonym technologicznym poziomie. Dla innych to się trochę zmitologizowało, obrosło w bóstwa, demony i tak dalej. Tak czy owak, oni przeważnie mają to gdzieś.

– Naprawdę?

– Tak, no bo wiesz… całkiem dobrze im się tu żyje. Nikt nie głoduje, nie ma wojen – może czasami miasta się pobiją o łowiska, ale to z grubsza tyle. Medycyna jest na przyzwoitym poziomie, wiedza o higienie też, więc śmiertelność jest niska. Naprawdę duże drapieżniki, które kiedyś ich pożerały, są utrzymywane w bardzo małej liczebności. Większość umiera na nieuleczalne choroby, ze starości, ginie w bójkach albo innych wypadkach. Ciężko wymyślić dobry argument, który przekonałby przeciętnego Quinlanina, że ma z tym walczyć. – Hugh znów miał minę, jakby zamierzał powiedzieć coś więcej, lecz nagle się rozłączył.

To tylko wzmocniło moje coraz silniejsze podejrzenie, że coś przede mną zataja. Ale czy to jest coś ważnego, czy po prostu jakaś kolejna odczapiasta teoria, którą nie chce się na razie podzielić…

– Dobra – powiedziałem. – Mnie tu na miejscu chyba skończyły się opcje. Nikt nie słyszał o Końcu Halepa, a żeby mieć kontakt z Oporem czy Administratorem, pewnie musiałbym się oflagować i przemaszerować przez rynek. Nieco w dół rzeki jest stacja kolejki, chyba pójdę tam i spróbuję się włamać.

– Robi się z ciebie prawdziwy młodociany przestępca – powiedział z szerokim uśmiechem Hugh. – No to baw się dobrze.

9. Wypowiedzenie wojny
Will, lipiec 2334, posiedzenie FIR

Właśnie zwiedzałem jedno z nowych, eksperymentalnych otwartych na atmosferę miast na Walhalli, gdy na HUD-zie wyświetliła mi się wiadomość. FIR właśnie zwołała sesję nadzwyczajną. To w każdych warunkach musiało być coś ważnego, ale teraz, w czasach zamieszania z Gwiezdną Flotą, prawie na pewno oznaczało kłopoty.

Biologiczni potrzebowali czasu na dotarcie do urządzeń komunikacyjnych, więc nie odczuwałem potrzeby, by natychmiast parkować manny'ego gdziekolwiek i wychodzić z niego. Zamiast tego dałem gazu i popędziłem na tereny zielone, gdzie można znaleźć ławeczkę do usadzenia tyłka.

Po paru minutach manny siedział w ogrodowym fotelu, a ja w wircie czekałem na rozpoczęcie posiedzenia. Czekając, przeczytałem oświadczenie wydane przez Radę Pangei.

Wczoraj o godzinie 8:30 czasu standardowego Marynarka Wojenna Pangei otworzyła ogień do urządzeń kontrolowanych przez odłam Bobiwersum, określany potocznie i lekceważąco jako Gwiezdna Flota. Te urządzenia nielegalnie izolowały naszą stację przekaźnikową, z zamiarem użycia jej jako karty przetargowej w wymuszaniu działań na naszych władzach. Nasze siły odniosły zwycięstwo, ale nieprzyjaciel, prawdopodobnie w przypływie urażonej dumy, zniszczył obiekty-zakładników.

Ponadto, nasze próby przejęcia kontroli nad orbitalnymi autofabrykami w naszym układzie spotkały się z taką samą reakcją.

Nasza sytuacja jest teraz niekorzystna – utraciliśmy połowę naszych zdolności produkcyjnych oraz praktycznie całą łączność z resztą FIR. Nie znajdujemy usprawiedliwienia dla tych aktów. W związku z tym Rada Pangei wypowiada wojnę grupie znanej jako Gwiezdna Flota. Wszystkie zasoby Gwiezdnej Floty zostaną w miarę możliwości zidentyfikowane i skonfiskowane.

Kontakty i wymiana handlowa pomiędzy obywatelami Pangei i członkami Gwiezdnej Floty są odtąd nielegalne i karalne na mocy Ustawy o Stanie Wojny.

Ciągnęło się to jeszcze przez parę akapitów, które w nieznacznym stopniu uzupełniały główny przekaz – Pangea jest oficjalnie w stanie wojny.

Otworzyłem parę pomocniczych dokumentów, żeby poznać szczegóły. Kolonia próbowała fizycznie wejść na stację przekaźnikową i zrobić ręczny reset, ale stacja dokonała samozniszczenia. Nikt na szczęście nie zginął, jednak kilka statków zostało poważnie uszkodzonych. Potem próbowali zrobić to samo z jedną ze swoich autofabryk w punkcie Lagrange'a i zostali zaatakowani przez drony wydobywcze i szopy. Było to dokładne powtórzenie potyczki pod Newholme, nie licząc kolejności eksplozji.

Nie wyglądało to dobrze. Mniejsza już o standardowe problemy – Gwiezdna Flota, wysadzając stacje, naraziła ludzkie życie. Są odpowiedzialni, nawet jeśli osobiście nie naciskali guzika, a po prostu zainstalowali miny-pułapki. W swoim dążeniu do zerwania kontaktu z biologicznymi zdecydowali się na strategię, która biologicznych rozwścieczyła i spowodowała zwiększenie interakcji z nimi. I to niepozytywnych.

To naprawdę byli kretyni. Deficyt zdrowego rozsądku widać z daleka.

Sygnał uprzedził, że posiedzenie się zaczyna. Odsunąłem okienko z danymi na bok i skupiłem się. Przewodniczący zabrał głos i słowo w słowo odczytał przygotowane oświadczenie. Nie pojawiły się więc nowe informacje i zacząłem się już wiercić z niecierpliwością.

Wreszcie skończył, z zerowym wkładem własnym w dyskusję, i oddał głos przedstawicielowi Pangei.

Delegat Hee wstał i rozejrzał się groźnie. Oczywiście to był teatr. Miał przed sobą okienko wideo, tak jak wszyscy inni. Ale dobrze mu to wyszło. Można było odnieść wrażenie, że cię zlustrował, osądził i odprawił.

– Nie będę się rozwodził nad opisanymi w oświadczeniu zdarzeniami – zaczął. – Wystarczy powiedzieć, że zniszczenie mienia Pangei i narażenie życia naszych obywateli jest de facto aktem wojny. – Dla większego efektu przerwał na moment, po czym kontynuował: – Przyjmujemy wyjaśnienie Bobiwersum o odłamie znanym jako Gwiezdna Flota. Na później zostawiam pytanie, czy nie jest to symptomatyczne dla ogólnego i bardziej długoterminowego ryzyka związanego z utrzymywaniem stosunków dyplomatycznych i handlowych z kimś, kto jest w istocie innym gatunkiem, do tego niebiologicznym. Kimś, kogo możliwości i cele są nieznane.

Oho. Zahacza nie tylko o Gwiezdną Flotę.

– Dotychczas nie udało nam się odzyskać kontroli nad fabrykami orbitalnymi w naszym punkcie L5. Nasze położenie może się tylko pogorszyć, kiedy wróg

skonsoliduje siły. Dlatego postanowiliśmy podjąć szybkie i zdecydowane kroki. W tej chwili wystrzeliliśmy pewną liczbę taktycznych pocisków jądrowych. Zanim skończymy tę dyskusję, pangeańska orbitalna autofabryka przestanie istnieć. – Przerwał i znów omiótł wszystkich ostrym spojrzeniem. – Na pewno wszyscy rozumieją, że ta strata oraz wczorajsza strata naszej głównej komercyjnej autofabryki wpływa na naszą sytuację ekonomiczną. Zapewniam was jednak, że mamy planetarne zasoby wystarczające, by w ciągu naszego roku uzupełnić zniszczone zasoby kosmiczne. – Teraz gapił się prosto w kamerę, co wyglądało, jakby mierzył mnie wzrokiem. – Ale nie zapomnimy o tym incydencie i będzie on miał konsekwencje.

Potem przemówiło paru kolejnych delegatów, tylko dlatego, że mieli taką potrzebę. Następnie odbyło się głosowanie poparcia dla użycia broni jądrowej przez Pangeę. Wniosek przeszedł.

Sytuacja pod Newholme była od paru minut głównym tematem dyskusji w Bobiwersum. To plus wszystko, co się do tej pory stało, oznaczało rzeczywiste ryzyko. A konkretnie finansowe. Bobowie od czasu Wojny Dywanowej na Posejdonie nie byli skłonni narażać się fizycznie. Znaczna liczba wewnątrzukładowych statków Niebo była tylko wabikami, a prawdziwi Bobowie parkowali daleko w Obłoku Oorta.

Howard zgłosił się na ochotnika na kuratora wszystkich zasobów, które mógł przejąć. Miał potężne koneksje i wielkie imperium biznesowe, był też właścicielem dużych fragmentów realu – większych, niż biologiczni sobie uświadamiali. Otwarty atak nie skończyłby się dla nich dobrze.

W końcu sesja dobiegła końca. Westchnąłem ciężko i rozłączyłem się. Mój „projekcik na boku” przestawał wyglądać jak coś, przy czym majstruje się dla prestiżu, a bardziej jak potencjalny ruch kończący grę. Chyba pora pogadać z Neilem i Herschelem.

10. Wsiąść do pociągu
Bob, lipiec 2334, w podróży

Przyjrzałem się stacji teleskopowym wzrokiem. Z zewnątrz wyglądała identycznie jak ta pod Grzbietem Garaka. Pewnie malowidła będą inne, ale z tej odległości nie widziałem wnętrza.

Musiałem podjąć decyzję. Jeśli Kadra i ewentualni podwójni agenci Oporu korzystają z próżniowej kolejki jednoszynowej, to naturalnie muszą się jakoś dostawać na stację. A skoro oni mogą, a pospólstwo nie, muszą mieć jakiś sposób na weryfikację tożsamości. Pomacałem trzymaną w dłoni kartę wejściową. Bardzo to wszystko logiczne, ale nawet w środowisku zbudowanym przez ludzi nie miałbym stuprocentowej pewności. Rozumowanie może być poprawne, lecz akurat ta karta może nie służyć do wchodzenia na stację. Karta biblioteczna na pewno by mi stacji nie otworzyła. Prawdopodobnie także by mnie zauważono.

A co z rozpoznawaniem twarzy? Mają taki system? Czy on nie porówna mojego pyska ze zdjęciem w bazie, prawdopodobnie Nataszy? Jeśli tak, i nie będę pasował, co się stanie? Rzucą się na mnie legiony krabowatych dronów? Zawyją syreny?

Alternatywą było jednak podkopanie się do środka, tak jak to zrobili Gandalf i spółka. Tylko że przy użyciu trzycentymetrowych szopów zajęłoby to kupę czasu. Postanowiłem, że tę opcję zostawię sobie na koniec.

Porównałem swoją twarz z zapamiętaną twarzą Nataszy, a potem dorzuciłem jeszcze parę innych, przypadkowych. Oprogramowanie rozpoznające twarze, przynajmniej w ziemskiej wersji, nie wykonywało pełnego „rozpoznania”, tak jak człowiek. Komputer porównywał tylko ułożenie przestrzenne znaczących i łatwo rozpoznawalnych punktów, jak źrenice, kąciki ust, dziurki w nosie, koniec podbródka i tak dalej. Taki uproszczony algorytm oszczędzał masę czasu przetwarzania, a do większości zastosowań wystarczał.

Krótka analiza zapamiętanych quinlańskich twarzy pozwoliła zidentyfikować podobne kluczowe punkty. Ale jak bardzo manny jest elastyczny? Konstrukcję szkieletu i mięśni ma taką samą jak biologiczny Quinlanin, ma jednak też

wewnętrzne układy naprawcze, którym można wydawać polecenia. Poza tym w razie konieczności można mu kazać napiąć mięśnie w nienaturalny sposób.

Przypomniałem sobie uwagę Willa, że jeśli Administrator raz mi zrobi zdjęcie, to już nigdy nie zniknę im z radaru. Może dla bezpieczeństwa trzeba by się nad tym zastanowić.

Wysłałem szybką wiadomość do Billa i niemal od razu dostałem odpowiedź.

– Bob, jestem naprawdę zajęty. Potrzebujesz szybko odpowiedzi, to pytaj Borga.

Hmmm. No nie o to mi chodziło. Niemniej przekazałem wiadomość Locutusowi i po minucie odpowiedział:

– Projekt przewiduje edytowalne parametry. Są ustalone w trakcie druku, ale niektóre to ustawienia mechaniczne i powinny dać się regulować w pewnym zakresie. Załączam specyfikację i instrukcję.

To już lepiej. Przeczytałem instrukcję, przejrzałem wymagania i wysłałem polecenia do układów wewnętrznych. Poczułem, jak twarz mi się napina – nie było to bolesne, ale miałem wrażenie, że coś mi pełza pod skórą. Nic, tylko skakać i krzyczeć: „Aaaaa!”.

Skończyło się po paru sekundach. Wyplułem pająka, żeby zrobił mi selfiaka.

Hmm. Idealnie nie jest, ale prawdopodobnie w granicach błędu.

Wziąłem głęboki wdech – w przenośni – wstałem i pomaszerowałem ku frontowym drzwiom stacji kolejki, starając się wyglądać, jakbym to robił codziennie.

***

Główne wejście, zwijana brama, wielka jak w stodole, nie miało widocznych możliwości otwarcia się. Pewnie już i tak byłem w kamerach, ale chyba samo gapienie się nie jest przestępstwem.

Za to tuż z boku były drzwi normalnej wielkości, pewnie dla personelu serwisowego czy coś w tym stylu. I, chwała niebiosom, miały tuż obok jedną z tych płytek wyglądających jak czytnik kart. Nie przestawało mnie zdumiewać, jak banalna i nudnie podobna okazuje się większość takich technologii.

Chwila prawdy. Przytknąłem kartę do płytki i umyślnie powstrzymałem się od rozglądania się na boki. Coś pstryknęło i otworzyłem drzwi. Sukces! I żadnych hord krabopająków.

Musiałem trochę poimprowizować, bo zapuściłem się na terytorium nietknięte stopą żadnego Boba, miałem jednak nadzieję, że nie każdy mój krok jest monitorowany. Podszedłem do wind, nacisnąłem jedyny guzik, drzwi

otworzyły się z sygnałem „ding”. Wszedłem i nacisnąłem guzik podpisany „Transport”.

Po krótkim zjeździe drzwi otworzyły się na ciągnący się w dal korytarz. Miał klimat czegoś bardzo publicznego, więc poczułem się pewniej. Na końcu wychodził na coś w rodzaju holu – a może peronu? Wzdłuż przeciwległej ściany miał ciąg identycznych drzwi w równych odstępach, wyglądających trochę jak śluzy. Przy każdych była płytka czytnika kart. Nie wiedząc, co innego mam zrobić, przytknąłem kartę Nataszy do jednego z nich. W moim uchu rozległ się głos:

– Cel podróży?

Dobra, chwila prawdy.

– Koniec Halepa?

– Proszę czekać… – Krótka pauza. – Pociąg przyjedzie za sto sześćdziesiąt osiem sekund.

Jasna cholera, trafiłem! Sto sześćdziesiąt osiem sekund to tłumaczenie na ludzki. Głos powiedział „półtora weka”, quinlańskiego odpowiednika minut. I jak tu nie kochać programów tłumaczących.

11. Wojna w realu
Will, lipiec 2334, posiedzenie FIR

Przeczytałem wiadomość na HUD-zie dwa razy, z nadzieją, że coś nie tak zrozumiałem. Niestety. Rząd Światowy Romulusa na wszelki wypadek zbombardował lokalne orbitalne autofabryki. W sumie, po doświadczeniach Newholme i Pangei, mogli mieć rację.

Westchnąłem i poleciłem szopom uprzątnąć mój warsztat. W najbliższym czasie nie zajmę się tym projektem filtra do wody. Szopy zatroszczą się o poukładanie wszystkiego, jak trzeba – sam mogłem podejść do najbliższego fotela ogrodowego i usiąść wygodnie, a potem wyjść z manny'ego.

Natychmiast podłączyłem się do kanału rady FIR i zalogowałem się. Tak jak się spodziewałem, dyskusja o zbombardowaniu szła pełną parą. Głos miała delegatka Ella Cranston, wnuczka mojej dawnej nemezis.

– …I nie, nie wypłacimy Bobiwersum odszkodowań za ich stracone zasoby. Nie zapominajmy, od kogo wyszło to zagrożenie. Właściwie, jeśli te problemy się przedłużą, to ja wniosę o odszkodowanie od Bobiwersum za nasze straty, tak w sprzęcie, jak i mocach produkcyjnych. Straciliśmy miliardy przez samą ekonomiczną niestabilność, nie mówiąc już o kosztach bezpośrednich. Teraz negocjujemy z naszymi sąsiadami z Wolkana wprowadzenie regulacji dopuszczających w układzie Omikrona-2 Eridani tylko autofabryki będące ludzką własnością…

Mówiła przez dłuższy czas – wynikało z tego głównie to, że wszelki sprzęt Bobiwersum w ich układzie będzie zdezaktywowany albo wysadzony atomówkami. Naszą stację przekaźnikową zastąpią własnym przekaźnikiem, na który zapraszają nas jako płacących klientów, tak samo jak wszystkich.

No, to już było coś. Pangea rozważała, czy nas całkowicie nie odciąć i nie traktować jak niezaufanego obcego mocarstwa. Bądźmy jednak fair: najbardziej ucierpieli na intrygach Gwiezdnej Floty, więc trudno ich winić.

Piknął mi sygnał prośby o prywatne połączenie. Był to delegat Ben Hendricks, jeden z naszych przodków. Przez samo to był jednym z naszych ulubionych ludzi. Fakt, że do tego wykazywał się sumiennością, etyką i oddaniem kolonii, stanowił tylko dodatkową korzyść.

Przycisnąłem „zaakceptuj” i pojawiła się jego twarz.

– Will, ta umowa z Wolkanem prawie na pewno przejdzie. Bobowie zostaną praktycznie wyrzuceni z układu. Jest coś, co możemy zrobić?

– Ben, aż tak źle nie będzie. – Machnąłem uspokajająco ręką. – Bobiwersum jest największym użytkownikiem stacji przekaźnikowych, bo my działamy wyłącznie przez UNOP-a. Spółka OmiComms na pewno przejmie całą łączność w Omikronie-2 Eridani i będą chcieli zachować nas jako klienta, niezależnie od gróźb, którymi sypią rządy. Poza tym jesteśmy ich istotnym udziałowcem, więc możemy to wymusić.

Ben uśmiechnął się i kiwnął głową. Jako wieloletni właściciele systemów łącznościowych i produkcyjnych Bobiwersum zgromadziło w ludzkich gospodarkach ogromne bogactwo, właściwie niechcący. Możliwe, że stąd brała się niechęć, przynajmniej częściowo wyjaśniająca radość, z jaką ludzie rozwalali nam sprzęty.

– Mam gorszą obawę – ciągnąłem. – Mówi się o ograniczeniu użycia mannych. To bez sensu, bo i tak będziemy mogli prowadzić swoje sprawy przez połączenia wideo, ale to nas odizoluje społecznie. Nasi prawnicy atakują to pod kątem naruszenia praw człowieka…

– A rząd kwestionuje wasze prawo do nazywania się ludźmi – odparł Ben.

– No tak. Znowu ta WIARA, choć już siebie tak nie nazywają. – Zmarszczyłem czoło. – Nie wydaje mi się, żeby mogli to wygrać. Chyba że znowu zaczną ignorować prawo. Bo co im zrobimy? Ale to jest droga, o której na razie nie chcę myśleć.

Ben kiwnął głową.

– No… To będzie konstytucyjny kryzys. W najlepszym razie.

Podkręciłem głośność tyrady Elli Cranston, ale po chwili ściszyłem ją z powrotem i się uśmiechnąłem.

– Zdaje się, że jej stosunek sygnału do szumu spadł do zera. W tej kwestii nie będę się za bardzo angażował, chyba że naprawdę pojadą po bandzie. Ale informuj mnie na bieżąco, dobra?

Ben skinął głową i pomachał do mnie. Rozłączyłem się, wylogowałem się z posiedzenia rady i rozsiadłem w fotelu.

Mało prawdopodobne, żeby władze którejkolwiek kolonii były w stanie całkowicie zakazać mannych. Grupy lobbystów reprezentujące firmy przechowujące replikantów, bogaci ludzie, którzy używają replikacji… są

w stanie wywrzeć sporą presję. Ale kierunek był niepokojący. Niechęć do replikantów plus wojna z Gwiezdną Flotą, plus zagrożenie ze strony Pawonisów, plus wszystkie plotki krążące o Quinlanach – to było za dużo dla przeciętnego człowieka. Przytłoczony tymi zagrożeniami ze wszystkich stron pan Przeciętniak miał ochotę otoczyć się murem.

Sto lat organizowaliśmy jeden wspólny galaktyczny rząd, zapewniający bezpieczeństwo i stabilność wszystkim istotom rozumnym, a już zaczynał się sypać. Ech. Jakby trzeba mi było przypominać, czemu nienawidzę polityki.

12. Koniec Halepa
Bob, lipiec 2334, Niebiańska Rzeka

Posadzka delikatnie zawibrowała, a chwilę później otworzyła się jedna para drzwi.

– Pociąg do Końca Halepa przyjechał na stację – rozległ się głos. – Odjazd pociągu za sto dwadzieścia sekund.

Wszedłem w otwarte drzwi. Krótka śluza kończyła się następnymi drzwiami, prowadzącymi prawdopodobnie do wnętrza pociągu. W każdym razie miał ten długi, rurowaty, wagonowy kształt. Nie było okien, za to stały rzędy foteli wyglądających na wygodne. Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem, że rząd drzwi na ścianie peronu łączy się z odpowiadającymi im drzwiami w wagonach, po dwie pary na wagon. Zupełnie jak w metrze. Bardzo cywilizowanie to wyglądało. Zwiedziłem koniec wagonu i ustaliłem, że jest tam toaleta (oznaczona tym samym znakiem na drzwiach, co w każdym mieście Niebiańskiej Rzeki), a także mały kiosk. Na zaciągniętej rolecie przytwierdzono tabliczkę z napisem: „Bar z przekąskami zamknięty do odwołania”.

Patrzyłem na nią trochę z niedowierzaniem, a trochę z rozbawieniem, gdy w pociągu ponownie rozległ się głos:

– Proszę siadać. Drzwi zamykają się za jedenaście sekund. Przyśpieszanie potrwa trzysta trzydzieści sześć sekund. Po jego zakończeniu pasażerowie mogą poruszać się po wagonie.

Rozsiadłem się w najbliższym fotelu. Był wygodny i miał miejsce na quinlański ogon. Na podłokietnikach zainstalowano jakieś przełączniki, w zagłówku głośniki. Quinlanie lubili wygodnie podróżować. Ale tak w ogóle w Niebiańskiej Rzece może zaistnieć potrzeba przejechania nawet i kilkuset milionów kilometrów. Jak by to miało działać?

– Głosie pociągu, halo?

– W czym mogę pomóc?

– Jak daleko do Końca Halepa?

– Sześć tysięcy sto trzydzieści osiem kilometrów.

– Nie… – No dobra, faktycznie źle to sformułowałem. – Ile czasu będziemy jechać do Końca Halepa?

– Około sześciu tysięcy dwustu czterdzieści czterech sekund, włączając przyśpieszanie i hamowanie.

Trzy i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Przy tej prędkości podróż na koniec topopolis zajęłaby całe życie.

– Jaka jest maksymalna odległość, na którą można odbyć podróż?

– Granica obserwowalnego wszechświata jest odległa w przybliżeniu o czterdzieści sześć miliardów lat świetlnych.

Ech.

– Jaka jest najdłuższa podróż, w sensie odległości, którą można odbyć kolejami Niebiańskiej Rzeki?

– Podróż do Grendela, który jest dokładnie po przeciwnej stronie Niebiańskiej Rzeki. Odległość około ośmiuset czterech milionów dwustu dwudziestu jeden tysięcy kilometrów.

– To ile zajęłaby jazda takim pociągiem?

– Jazda nie odbyłaby się takim pociągiem.

Grrr…

– A czym by się odbyła?

– Należy pojechać pociągiem ekspresowym, wyposażonym w prywatne przedziały i łóżka.

– Ile by to wtedy trwało?

– Około dwunastu dni.

– Pociągi ekspresowe jadą szybciej?

– Pociągi ekspresowe jadą po liniach dużej prędkości i osiągają maksymalną prędkość ośmiuset czterdziestu ośmiu kilometrów na sekundę.

Dziwnie dokładna odpowiedź. Przeliczyłem to sobie na szybko i dotarło do mnie, że taka prędkość wytworzy dokładnie jedno quinlańskie g pseudograwitacji, gdy pociąg będzie się poruszał wokół topopolis – bo będzie on także jechał korkociągiem w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu habitatu, co tłumaczyło spiralny przebieg torów, który opisał profesor Gilligan.

W każdym razie teraz siedziałem w pociągu lokalnym, jadącym z o wiele mniejszą prędkością. Przez kilka godzin nie miałem nic do roboty.

– W którym kierunku jest Koniec Halepa?

– Przed nami.

Zmełłem przekleństwo.

– W którym kierunku względem Grzbietu Garaka?

– W kierunku ze słońcem.

Musiałem się chwilę zastanowić i zajrzeć w specyfikacje tłumacza. „Ze słońcem” oznaczało w kierunku poruszania się sztucznego słońca, zatem w naszej konwencji na zachód.

– Możesz mi coś powiedzieć o regionie wokół Końca Halepa?

– Nie posiadam szczegółów. Na stacji będzie kiosk informacyjny, który zapewnia informacje lokalne.

No tak. Tylko że pewnie będzie zamknięty. Do odwołania. Można się było spodziewać, że głos pociągu będzie się znał tylko na pociągach i ich rozkładach. A zadawanie mu dziwnych pytań może komuś zapalić czerwoną lampkę.

– Czy możesz mnie zawiadomić, kiedy będziemy dojeżdżać do celu?

– Ustawię budzenie na dwieście dwadzieścia cztery sekundy przed hamowaniem. Czy to jest zadowalające?

– Hmm… tak. Dziękuję.

A tymczasem dam manny’ego w stan uśpienia i się „zdrzemnę” – przynajmniej będę mógł spokojnie popracować.

***

– Naprawdę mają to wszystko przemyślane, nie? – powiedział Will. – Steven zauważył spiralny układ torów ekspresowych i nawet zasugerował, czemu tak jest. Taki układ idealnie znosi rotację megakonstrukcji, kiedy pociąg po niej jedzie. A jego prędkość wzdłuż długiej osi jest tak skalibrowana, żeby zastąpić zniesioną grawitację rotacyjną. Ładne.

Ta reakcja sprawiła, że się uśmiechnąłem. Bardziej spodziewałbym się tego po Billu. Ale Bob to Bob, jak zawsze.

– No. Czyli zaraz będę w Końcu Halepa i ruszę do najbliższych gór. Jeśli segmenty są w miarę zestandaryzowane, a nie widzę powodu, by tak nie było, nie powinno być szczególnie trudno znaleźć wejście.

– Pytanie brzmi jednak, czy karta Nataszy zadziała sześć tysięcy kilometrów dalej.

– I czy w ogóle odważę się jej użyć, ryzykując alarm.

Przerwał nam głos pociągu, który usłyszałem w VR-ce z manny’ego.

– Zbliżamy się do stacji docelowej.

Will podniósł się z worka sako.

– Chyba wołają cię na scenę. – Zamachał i zniknął.

Wróciłem do manny’ego i zamrugałem, udając, że się budzę.

– Dziękuję. Czy w pociągu jest ktoś jeszcze?

– W tej chwili nie.

– Co robi pociąg, jeśli nie ma czekających na transport pa-sażerów?

– Pozostaje na ostatniej stacji do momentu kolejnego wezwania.

Ciekawe. Jeśli nikt na tej linii nie odwoła pociągu, mogę mieć czekający na mnie pojazd do ucieczki.

Rozmyślania przerwał mi fotel obracający się o sto osiemdziesiąt stopni. Rozejrzałem się – wszystkie siedzenia robiły to samo. Odpowiedziało to na pytanie, które miałem z tyłu głowy – jak zostanie obsłużone hamowanie.

Teraz zastanowiłem się, jak wygląda przyśpieszanie i hamowanie w ekspresach. Na pewno jest dużo dłuższe. Prawdopodobnie muszą mieć specjalne leżanki, oddzielne od koi i przedziałów.

Pociąg zatrzymał się, rozsunęły się drzwi. Głos pociągu powiedział:

– Pomyślnej podróży pod opieką Matki.

Nie wiedziałem, jak trzeba odpowiedzieć, więc rzuciłem po prostu:

– Dziękuję.

Stacja była taka sama jak poprzednia, więc wyszedłem z niej, praktycznie odtwarzając wideo do tyłu. Tylko, jak należało się spodziewać, malowidła były inne. Oczywiście mój umysł od razu się na to rzucił. Półtora miliarda kilometrów topopolis to sto milionów stacji, nie, wróć, czterysta milionów, jeśli są nad każdą z czterech rzek. Albo Quinlanie produkują naprawdę masę sztuki, albo powinny się powtarzać. Zastanawiałem się przez moment, czy gdzieś nie ma jakiejś fabryki sztuki, gdzie Quinlanie masowo tłuką obrazy i rzeźby.

Poszedłem do tych samych bocznych drzwi – od tej strony trzeba było tylko nacisnąć dźwignię. I tak oto znalazłem się na dworze.

A konkretnie w deszczu. Nie była to zacinająca ulewa. W ciągu całego pobytu nie widzieliśmy niczego gwałtownego i niekontrolowanego jak walka w klatce. Moja teoria mówiła, że to tylko powodowałoby niepotrzebną erozję i dodatkową pracę dla robocików konserwacyjnych. Zresztą należało się spodziewać, że pogoda w sztucznym środowisku będzie raczej łagodna, przewidywalna i kontrolowana.

Niemniej kapało na mnie – Quinlanin by się nie przejął, ale mój wychowany na człowieka umysł się złościł. I nie wywęszę strumienia przy takiej pogodzie. Wzdychając głośno, pomaszerowałem do najbliższego miasta.

Ciekawe, że wszystkie stacje komunikacji są poza miastami. I musiało tak być od początku, przecież nikt ich nie przenosił, ani miast, ani stacji. Miasta były w najlepszych możliwych punktach nad rzeką, więc na pewno tam właśnie miały być. A stacje… no, jak można by je przenieść?

Może to miało jakiś psychologiczny powód. Nie mogli być we wszystkim podobni do ludzi. Może po prostu te stacje im nie pasowały wyglądem czy coś.

Za bardzo rzucały się w oczy? Kolejne z wielu, wielu pytań, które nam się gromadziły i na które być może nigdy nie otrzymamy odpowiedzi.

Było bardzo późno i zaczynało się ściemniać. Miejscowa fauna raczej mi nie zagrażała, ale żeby uniknąć jej zainteresowania, trzeba było przestać się ruszać. Nocleg w mieście wyglądał o wiele lepiej. Opadłem na cztery łapy i porządnie się rozpędziłem.

***

Wynajęcie pokoju okazało się przeżyciem pełnym wrażeń. Zaczynało docierać do mnie, dlaczego Bridget uznała, że dobrą legendą będzie grand tour. Grandtourowcy występowali powszechnie i cały sektor gospodarki wyspecjalizował się w ich obsłudze. Natomiast samotnych podróżnych nie za bardzo. Musiałem obejść trzy hotele, zanim znalazłem coś wolnego.

Delikatnie zmieniałem swoje rysy, wolałem się co chwila zmieniać niż chodzić w kółko z tą samą twarzą.

Następnego ranka wstałem wcześnie. Nie zaprzątałem sobie głowy śniadaniem ani śniadaniowym piwem do kompletu (błeee!) i ruszyłem prosto w stronę rzeki. Góry były tylko kilka kilometrów stąd i wodą dotrę o wiele szybciej niż lądem.

Postanowiłem celowo minąć szacowaną lokalizację wejścia – na wypadek kamer lepiej było podejść do niej od tyłu. I ponownie musiałem założyć, że habitat został zbudowany z myślą o normalnym, cywilnym poziomie zabezpieczeń, a nie obronie przez wojsko. W takim razie kamery byłyby zapewne ograniczone do podejścia do bramy.

Jeśli nie myliłem się całkowicie w tych wnioskach, wejścia nie zamierzano ukryć przed ludnością, tylko po prostu miało nie być na widoku, by zachować iluzję naturalności. Powinno też być w miarę dostępne dla Kadry. A zatem jak najbliżej rzeki, bo Quinlanie tak wolą, a pod wznoszącym się terenem jest akurat miejsce na podziemny kompleks serwisowy.

I na pewno będą jakieś zabezpieczenia, nie da się tak po prostu nacisnąć klamki i wejść. Ale od czego są szopy, prawda?

Płynąłem pod prąd aż do punktu, gdzie kończyła się ziemia uprawna i zaczynała pseudoskała. Z bliska widać było, że góry nie są zrobione z naturalnej skały. Miała fakturę mniej więcej wulkanicznego pumeksu, pewnie produkowanego przemysłowo. I zapewne lekkiego, bo w wirującym habitacie miało to znaczenie. Zabarwienie było także sztuczne i miało z odległości przypominać przypadkowy teren.

Potem powoli unosiłem się z prądem, przy samym brzegu, przyglądając się skale i szukając… czegoś.

I proszę bardzo, zaraz coś znalazłem.

Pumeks jest twardy, ale lekki, bo składa się głównie z pęcherzyków powietrza. I łatwo się ściera. Nie wiem, ile pokoleń Quinlan musiało wychodzić z wody tą ścieżką, ale wystarczająco dużo, by wyszlifować ją na gładko. Uśmiechnąłem się i wygramoliłem z wody. Sukces!

No… prawdopodobnie. Niepokoiło mnie jeszcze jedno – czy Ruch Oporu też monitoruje to wejście. Mogli tu postawić kogoś żywego albo nie. Albo coś elektronicznego. Albo nie. Oczywiście, gdyby tego było za dużo, Administrator mógłby się zorientować, więc lepiej było mieć tej technologii jak najmniej.

Znowu kręciłem się w kółko.

– Nie do pomyślenia – mruknąłem.

Kiedyś trzeba się zdecydować.

Postawiłem na tupet. Wyplułem wszystkie szopy i kazałem im badać teren przed sobą, w miarę jak się posuwałem. Po minucie ścieżka urwała się pod pustą skałą, bez żadnych widocznych kamer. Skojarzyła mi się z kopalniami Morii i ze śmiechem wyszeptałem „przyjacielu”. Oczywiście bez efektu. Tolkien nie miał tu żadnej mocy.

Natomiast szopy tak. Kazałem im zbadać wszystko dokładnie, wypuściłem także pchełki. Znajdą wszystko, co jest do znalezienia, a ja tymczasem pogrzeję się trochę na słoneczku.

***

Było późne popołudnie, a słońce znikało za górami, tworząc przedwczesny lokalny zmierzch, gdy jedna z moich pchełek zameldowała o znalezisku. Mały błąd w projekcie spowodował wywołane naprężeniami pęknięcie warstwy pumeksu w miejscu, gdzie jej grubość miała zaledwie parę centymetrów. Pchełka znalazła kanał wentylacyjny i prosiła o pozwolenie na przebicie się do niej.

Dałem pozwolenie i wysłałem na pomoc pozostałe pchełki.

Problem z drzwiami zabezpieczającymi jest taki, że można je nie wiadomo jak obstawić elektroniką, ale na końcu musi być zamek przestawiany magnesem lub silnikiem, zasilanym prądem, sterowanym wyłącznikiem. A konstrukcja szopów pozwalała im działać w razie konieczności jako przewodnik i się przy tym nie sfajczyć. Bardzo przydatne przy testowaniu i naprawianiu różnych obwodów. A także, jak się okazuje, przy szpiegostwie.

Moje urządzenia znalazły również czujnik, który sygnalizował otwieranie i zamykanie drzwi. To dało się prosto załatwić. Jedna z pchełek zablokowała go po prostu przez zaspawanie ruchomej części.

Drzwi się otworzyły.

Jednakże, skoro czujnik nie działał, nie zapaliły się światła, więc patrzyłem w ciemny korytarz, w którym po zamknięciu się drzwi będzie całkowicie ciemno. Podczerwień trochę pomoże, ale i tak trzeba będzie się poruszać powoli. Okazało się, że gdy tylko wszedłem do środka, zapaliły się światła. Czujniki ruchu. Miejmy nadzieję, że jedyne, co robią, to sterują oświetleniem. Z westchnieniem pogodziłem się z faktem, że po prostu nie jestem w stanie zaplanować wszystkiego i nad wszystkim zapanować. Jak zawsze znaczny procent mojej strategii będzie stanowić improwizacja.

Poleciłem pająkom iść przede mną korytarzem, po ścianach i suficie, i ostrzegać mnie przed ewentualnymi pułapkami, kamerami, linkami, zapadniami z kwasem, hordami goblinów i/lub orków i wszystkim, co zakłóca popołudniową herbatkę.

Korytarz doprowadził do wind. Jakżeby inaczej. Nic tak nie mówi „unikanie wykrycia” jak zjazd windą do tajnej bazy. Ding. Piętro czwarte. Geniusze zła, ich słudzy, lasery, dok łodzi podwodnych. Proszę patrzeć pod nogi.

Z drugiej strony to nie była tajna baza, przynajmniej nie taka z Bonda. Zabezpieczenia były raczej typu korporacyjnego niż wojskowego, polegały bardziej na kartach dostępu i czujnikach niż strażnikach i karabinach. Musiało to być zbudowane według rządowych specyfikacji, kodeksu budowlanego, czy co tam mają Quinlanie. Budynek, który eksplorowaliśmy z Bridget na Quinie, miał schody ewakuacyjne. Na pewno tutaj też musi być coś takiego.

I tak, było. Ale zamknięte. Nie miałem ochoty wyważać tych drzwi, zresztą mógłbym nie dać rady – konstrukcja wyglądała na sporo solidniejszą niż poprzednim razem i prawdopodobnie miała alarm. Pchełki poszły w ruch. Po paru sekundach czujnik alarmu był zablokowany, a drzwi otwarte. Nie mogłem ich zostawić w tej pozycji, ale mogłem polecić pchełkom, żeby na stałe zepsuły mechanizm zamka.

Schody ewakuacyjne były na stałe oświetlone, jak zwykle tego typu konstrukcje. Socjologiczne i behawioralne paralele pomiędzy niespokrewnionymi cywilizacjami nieustająco mnie zdumiewały. Przez moment ubolewałem, że nie znaleźliśmy jeszcze paru technologicznych gatunków, żeby mieć większą próbę do porównań.

Wszystko to było oczywiście bardzo interesujące, ale może powinienem się skupić na wkradnięciu się do tajnej kryjówki zła?

Poświęciłem chwilę na sformatowanie raportu i wysłanie go reszcie grupy. Może pomoże to Hugh namierzyć wejście, kiedy dotrze do gór.

Zszedłem piętro niżej i kontrolnie wpuściłem pchełkę pod drzwi. Nikogo nie ma. Świetnie. Otworzyłem drzwi najciszej, jak się dało, wysunąłem głowę i rozejrzałem się, po czym wszedłem.

Od tego momentu nie było już sensu się skradać. Nic nie mówi „intruz” tak dobitnie jak skradanie się. Nie, ja tu byłem u siebie. To wszystko jest moje. Szedłem wyprostowany, z wypiętą piersią, sprężystym krokiem, w pośpiechu zbierając na pokład pająki i pchełki.

Czuło się, że miejsce jest używane. Powietrze nie było zatęchłe, nie było kurzu, działały wszystkie światła, wszystko stało na swoim miejscu. Chociaż mogła to być po prostu dobra automatyzacja – jeśli tak, nic mi z tego nie przyjdzie.

Zła wiadomość: cała instalacja była zapewne ogromna, bo musiała służyć do rozlicznych celów związanych z utrzymaniem i konserwacją Niebiańskiej Rzeki. A Ruch Oporu na pewno korzystał tylko z małego fragmentu.

A może i nie. Może wpadam w kolejną tyradę w stylu Vizziniego z Narzeczonej dla księcia, ale Quinlanie mają dobrą automatykę, widać już po ekipach sprzątających w kosmosie. Duża szansa, że i konserwacja Niebiańskiej Rzeki też będzie głównie automatyczna. Inaczej Administrator musiałby wtajemniczyć zbyt wiele osób. Jakoś nie widziała mi się tajna grupa trzymająca władzę złożona z setek tysięcy, jeśli nie milionów, dozorców i hydraulików, w dodatku tajna od pokoleń. Nie, większość tego obiektu będzie poświęcona na Przechowywanie i Utrzymanie Ruchu Automatów. Sektorów dostępnych dla Quinlan będzie niewiele, głównie dla nadzoru i będą w pobliżu wind. Tak by to ludzie urządzili, a byłem już mocno przekonany, że ludzie i Quinlanie są pod wieloma względami bardzo podobni.

Przystanąłem i odczekałem, ale Vizzini jakoś nie zmierzał do żadnej kontry. Dobra.

Jak się okazało, moje neurotyczne dyskusje z samym sobą na coś się przydały, bo stojąc i czekając na kontrargument, usłyszałem jakiś odgłos. Nie za wyraźny, właściwie nie wiedziałem, co to jest, nawet po powtórnym odtworzeniu.

To mogło być nic. Albo ludzie. Obstawiam ludzi.

***

Pchełki i pająki były intensywnie eksploatowane i wiedziałem, że niektóre potrzebują chwili przestoju na konserwację. Jeśli zrobi się gorąco, będę potrzebował wszystkich rąk na pokładzie, połknąłem więc wszystkie szopy oprócz jednego pająka, będącego jeszcze w dobrym stanie, i kazałem mu iść przede mną i wyglądać zza rogów. Nadal od czasu do czasu słyszałem te dźwięki, które w miarę zbliżania się brzmiały coraz bardziej jak quinlańskie głosy.

– Hej, Bob, masz chwilę?

Prawie wyskoczyłem z futra. Gdyby istniał cybernetyczny odpowiednik ataku serca, już bym go miał.

– Bill, nie teraz. Trochę jestem zajęty, wkradam się do kryjówki Doktora Zło.

– A, dobra. Oddzwoń, jak będziesz mógł.

– Oddzwonię.

Zakończyłem rozmowę, przełknąłem metaforyczne serce w gardle i poszedłem dalej za pająkiem. Za następnym rogiem głosy nagle stały się wyraźniejsze, słyszałem też odgłosy szurania meblami, stukania czymś i tak dalej. Musiałem być bardzo blisko. Nie chciałem tam wbiegać i wszystkich po kolei tłuc, zresztą zależnie od liczby mogło mi się nie udać…

– Cześć, Bob, gdzie jesteś teraz?

Ja pierdzielę. Trzysta lat nie żyję, a ciągle do mnie dzwonią. Zacisnąłem zęby i wziąłem wdech na uspokojenie, zanim odpowiedziałem:

– Cześć, Hugh, trochę zajęty jestem. Oddzwonię, dobra?

– Jasne.

Rozłączyłem się – po raz drugi! – i poszukałem guzika „Nie przeszkadzać”. Oczywiście był. Żaden Bob nie zaprojektowałby systemu do komunikacji bez niego. Ciekawe, czemu wcześniej mi to nie przyszło do głowy.

Pająk obszedł ostatni narożnik i zajrzał przez drzwi. Wideo pokazywało czterech Quinlan siedzących wokół stołu i przekładających papiery. To znaczy jedni czytali, inni pisali, ale wszyscy mieli kartki i długopisy. Poczułem się wręcz po domowemu. Zastanowił mnie ten mało zaawansowany technologicznie proces, ale może obawiali się o bezpieczeństwo elektroniki. Nie wiadomo, jak daleko sięgają macki Administratora.

Rozmowy były nieśpieszne i przerywane długimi pauzami. Ale nie wyglądali na przygnębionych ani nic takiego. Po prostu byli skupieni. Rzucane uwagi dotyczyły głównie numerów segmentów oraz statusu i aktywności poszczególnych członków. Słuchałem przez chwilę, potem stwierdziłem, że trzeba jednak gdzieś się schować. Dyskretna obserwacja to dobra rzecz, ale będę mógł ją sobie wetknąć, jeśli któryś wyjrzy za drzwi i zobaczy, że za nimi stoję.

Wysłałem świeżo naprawionego pająka, żeby zmienił mojego obecnego obserwatora, a sam poszukałem, jak najciszej, jakiejś kryjówki.

***

Schowałem się w gabinecie za rogiem, po prostu zwinąłem się w kłębek pod biurkiem. Nie było to oryginalne ani specjalnie pomysłowe, ale wystarczało, żeby ujść uwagi, jeśli nie zaczną specjalnie mnie szukać. A to zdarzy się tylko, jeśli się jakoś ujawnię. Jako android byłem w stanie pozostawać w idealnym bezruchu, nie potrzebowałem jeść ani chodzić do toalety i nic mi nie drętwiało. Z drugiej strony potrzebowałem wyników.

Rozesłałem wszystkie pająki na rozpoznanie kompleksu. Było to trochę ryzykowne, bo jeśli się poruszały, było je widać z paru metrów – jeśli nie, kamuflaż sprawiał, że trudno je było zauważyć.

Jednakże Quinlanie nie mieli ochoty specjalnie nigdzie łazić. Jeden poszedł do toalety, inny przyniósł jedzenie z lodówki i tyle. Zastanawiałem się, czy są tu u siebie, czy tylko gnieżdżą się w tym miejscu pokątnie jak szczury. Czy Administrator monitoruje ich tutaj? Jeśli tak, to czemu ich stąd nie wygoni? Jeśli nie, czemu tu jest tylko kilku członków Ruchu Oporu?

Jeden z pająków prawie od razu dał częściową odpowiedź – przypadkiem trafił do sypialni. Pod ścianami stały piętrowe łóżka, niektóre nawet były w użyciu. Śpiący podnieśli całkowitą liczbę mieszkańców do dziesięciu, choć miejsca było na osiemnastu.

Kazałem pająkowi omieść wszystko kamerą i powoli się wycofać.

Dwa pająki znalazły wielkie, przemysłowe metalowe bramy. Ciekawiło mnie, czy prowadzą do magazynów z tym całym automatycznym sprzętem – i czy w ogóle to była słuszna koncepcja. Oby tylko nie trzymali tam Bendera. Jeśli będę musiał tam wejść, znacząco zwiększy to moje ryzyko. Ale mało prawdopodobne. Opór był rozgoszczony raczej w przestrzeni po tej stronie drzwi.

Stwierdziłem, że to dobra pora, by pooddzwaniać. Pająki mogły działać autonomicznie i dałyby sygnał w przypadku jakiegoś problemu.

Najpierw Bill.

– Cześć, Bob. Co tam za sensacje?

– Jestem w siedzibie Ruchu Oporu, na to wygląda. Węszę tu i tam.

– Nie znalazłeś Bendera?

– Jeszcze nie. Niby jestem pewien naszych wniosków, ale zawsze jest możliwość, że grubo się pomyliliśmy i on jest gdzie indziej.

– Na przykład na drugim końcu segmentu?

– Nie widzę tego. Koniec Halepa jest parę kilometrów stąd, a Bender mówił, że ta nazwa się im ciągle przewija. Jedyna inna możliwość to jakaś druga kryjówka w tej okolicy. A ty w jakieś sprawie dzwoniłeś?

– Trochę wieści z wojny z Gwiezdną Flotą. Zepchnęliśmy ich praktycznie do narożnika, w sensie sieciowym. Większość sprzętu, do którego się włamali, została oczyszczona albo zniszczona i jest zastępowana. Ale jest jedna dziwna rzecz…

– Jaka?

– Przez te różne konfrontacje i negocjacje miałem okazję porozmawiać z członkami Gwiezdnej Floty. I każdy, z którym gadałem, jest tak jak my zaskoczony skalą tej infiltracji. Wszyscy mówią to samo – że nikt się tego nie spodziewał. Nie mają pojęcia, kto właściwie dokonał tych wszystkich włamań.

– A… cholera. Bill, zastanawiam się, czy naprawdę jesteśmy teraz czyści. Niby Skippies są dobrzy, ale ten, kto to zorganizował, też musi być niezły. Co, jeśli ten ktoś ma co najmniej taką samą moc przetwarzania, albo nawet większą. Albo to jest odłam Skippies, który gra na dwa fronty? – Mówiąc to, uświadomiłem sobie, że nigdy Skippies nie podejrzewałem, ale miałem przeczucia. Inaczej, po co bym wtedy umieszczał w dronach ten układ monitorujący?

– Tu jestem sporo do przodu. Odkopałem z archiwum kody mojego systemu łączności, z czasów, gdy nikt nie słyszał o Skippies ani Gwiezdnej Flocie, puściłem diff na źródłach i zrekompilowałem, więc jestem czysty. A twoja tymczasowa stacja przekaźnikowa nie była zhakowana. Więc przynajmniej ta rozmowa jest najprawdopodobniej bezpieczna.

– Dobrze. Musisz powiedzieć wszystkim Bobom, żeby sami też się przeczyścili i przegenerowali sobie klucze szyfrujące. Trochę to zajmie.

– Wszystko jest pod kontrolą, Bob. Po prostu chciałem ci dyskretnie dać znać.

Wymieniliśmy jeszcze parę uwag i się rozłączyłem. W zachowaniu Hugh od początku mi coś nie pasowało, ale jeśli nie byli jasnowidzami, nie mogli mieć w planach niczego z tego, co się działo. Chyba że to naprawdę nie miało nic wspólnego z Quinlanami. Ale w takim razie z czym?

Oczywiście może to w ogóle nie byli Skippies.

Hugh był zresztą następny w kolejce. Będę mieć oczy otwarte na wszystko, co dziwne.

– Hugh.

– Cześć, tu Bob. Wreszcie mam parę milisekund na pogadanie. Dzwoniłeś.

– A, tak… dzisiaj z rana dopłynęliśmy do Wschodniego Krańca i wziąłem wypłatę. Kapitan zaoferował mi premię, jeśli zostanę, chyba dobrą robotę

odwaliłem…

W jego głosie słyszało się nutę tłumionego śmiechu. Mogłem zrozumieć. Nasza bobowata obsesyjność, plus siła i wytrzymałość manny'ego – ładunek pewnie był sztauowany z matematyczną dokładnością.

– Tak w ogóle to przeczytałem twój ostatni wpis i miałem pomysł – ciągnął. – Zaciekawiło mnie, czy po mojej stronie gór też jest podobne wejście, żeby personel serwisowy mógł wchodzić z każdej strony. To byłoby sensowne. I miałem rację. W każdym razie jestem w środku i nikogo nie ma w domu.

– Nikogo? Zupełnie?

– Zupełnie. Teraz myślę, że Administrator polega głównie na automatyzacji.

– Hmmf. To najbardziej wyluzowany despota, o jakim słyszałem. Aż człowiek się zastanawia, przeciwko czemu jest ten Ruch Oporu. Czemu nie spróbuje po prostu przysiąść i skonstruować maszyny parowej?

– To pytanie retoryczne, nie? Widziałeś Quinlan, którzy zostali rozproszeni.

– Tak, tak. Daj znać, jak cokolwiek znajdziesz.

– Jasne, szefie. Idę.

No, tym razem nie wypadło to bardzo dziwnie. Może miał dobry dzień. Albo kłamał jak z nut. Super. Paranoja doszła do takiego poziomu, że zaczynam kręcić się w kółko. Muszę trzymać się tego, co jeszcze mogę kontrolować, i przestać przejmować się resztą. O ile się da.

Pingnął mnie jeden z moich pająków. Otworzyłem jego okienko wideo i niemal nie wierzyłem w to, co widzę. Na stole, otoczona partyzancką plątaniną kabli i elektroniki, stała macierz replikanta w wersji 2. Siedziała w platformie z Nieba w wersji 2, co przekreślało jakąkolwiek możliwość konwergentnej konstrukcji. Jakby tego było mało, obraz uzupełniały angielskie napisy na niektórych powierzchniach.

Bender.

Nadal był włączony. Całe szczęście, że tej łączności nie odcięli mu przez wyłączenie albo coś gorszego.

Bardziej niepokojący był brak jakiejkolwiek elektroniki potrzebnej dla VR-ki. To znaczyło, że Bender tkwił tu od ponad stu trzydziestu lat, pozbawiony pseudofizycznej rzeczywistości. Henry'emu czy Medeirosowi to nie posłużyło. On jednak, kiedy z nim rozmawiałem, wydawał się w całkiem dobrym stanie. Była nadzieja.

A teraz: jak go wydostać? Zobaczmy: z Końca Halepa przepłynąłem kilka kilometrów rzeką. Trzeba będzie wrócić lądem, cały czas taszcząc wielką i nieporęczną macierz. Potem wrócić pociągiem do Grzbietu Garaka, licząc, że na nikogo nie trafię, potem zostać ewakuowanym bez wysadzenia przez strażników Administratora. A, no i jeszcze na początek wydostać go z kryjówki

Ruchu Oporu. I wszystko to bez wykrycia przez Administratora, Kadrę i Ruch Oporu, jednocześnie zbywając pytania zaciekawionych Quinlan. Bułka z masłem.

Kazałem pająkowi rozejrzeć się po pokoju, a jednemu z pozostałych stanąć na czatach. Kiedy byłem pewien, że nie zaskoczy mnie pojawienie się żadnego Quinlanina, podszedłem pająkiem do macierzy.

Tak jak z drzwiami ewakuacyjnymi – choćby nie wiem jak zaawansowana była elektronika, w którymś miejscu musi się łączyć z fizycznym światem. W tym przypadku, zamieniając dźwięk na sygnał elektryczny albo sygnał elektryczny na dźwięk. Szybko znalazłem mikrofon i głośnik używane do rozmów z Benderem oraz kamerę zapewniającą sygnał wideo. Niedaleko stał bliźniak radia „Motorola”. Czyli nic wypasionego – po prostu kazali mu gadać do mikrofonu jak żywej osobie. Miało to sens. Mogli w ten sposób monitorować, co mówi i słyszy.

Natomiast z mojej perspektywy to oznaczało, że mogę się podpiąć do jego systemu, nie narażając go. Parę minut na prześledzenie połączeń i pająk podłączył się do łączności Bendera.

– Bender?

Krótka zwłoka, potem:

– Bob?

– Tak. Jestem tutaj. Mniej więcej. Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle. A jak ty do mnie gadasz?

Parę sekund na tłumaczenie. Roześmiał się.

– O, stary, niezła kombinacja. Szacun.

– A jak ty się czujesz? Nie widzę twojego sprzętu do VR-ki…

– A tak, wiem, do czego zmierzasz. Kiedy tylko mogę, skręcam sobie zegar do minimum. Dla mnie od naszej ostatniej rozmowy minęło parę minut, włączając dialogi z moimi porywaczami. Czyli jeszcze nie wariuję, ale kawy to naprawdę bym się napił.

– Rozumiem. Ja właśnie kombinuję, jak cię stąd wyciągnąć. Nie wiem, ile wiesz o tym, gdzie jest „stąd”, ale większym problemem jest przeniesienie twojej macierzy przez cztery tysiące mil megakonstrukcji, przeważnie pod wodą, tak, żeby nie zrobić ci zwarcia, nie narazić na korozję i nie dać się złapać… obu stronom.

– Można pojechać kolejką.

Parsknąłem śmiechem.

– Ja tu przyjechałem kolejką. I miejmy nadzieję, że wrócę nią do Garaka. Ale najpierw trzeba się dostać do stacji kolejki z tobą na plecach.

– A. Dotarło.

– No właśnie. Ukradłem kartę wejściową, która otwiera stacje kolejki. A jak to w ogóle możliwe, że ktoś z Ruchu Oporu ma taką kartę?

– Jak myślisz, co ja tu robiłem przez ostatnie sto lat? Kazali mi rozpracowywać elektronikę i wymyślać sposoby na włamania do różnych rzeczy i maskowanie się przed Administratorem. W tym wciąganie członków Oporu do Kadry.

– À propos, ta cała polityczna sytuacja nadal jest dla mnie niejasna.

– Dobra. Ruch Oporu działa prawie od dnia, kiedy Administrator przejął władzę. Wtedy to byli naukowcy, inżynierowie, technicy. Ich potomkowie kontynuują walkę, ale każde nowe pokolenie ma coraz większe luki w wykształceniu, więc masa wiedzy się zatraca. Pomagałem im odbudować te luki. W większości przypadków Administrator pewnie nawet nie wie, że siedzimy w jego rzeczach.

– A prawdziwa Kadra? Korzysta z pociągów?

– Trochę. Większość Kadry to miejscowi, robią tylko za siłę fizyczną, kiedy trzeba coś robić z ludnością. Wiedzą jeszcze mniej niż Opór. Za to lepiej zarabiają. – Zachichotał. – I oczywiście są ludzie należący do obu grup. Administrator na pewno to podejrzewa, dlatego stara się jak najmniej ich informować.

– Czyli Administrator to dziedziczne stanowisko? Czy jakaś organizacja zbiorowa? Jak zapewniają przekazanie wiedzy z pokolenia na pokolenie?

Na parę sekund zapadła cisza.

– Rany, Bob, myślałem, że wiesz. Administrator nie jest Quin-laninem. Jest sztuczną inteligencją.

– Co… kur…? – Ostatnio sporo dostawałem tych metaforycznych ciosów w brzuch. Powstrzymałem chęć, by wstać i wywrzeszczeć w powietrze potok inwektyw. Nagle stało się jasne, jaki motyw mają Skippies. – Bender, muszę zadzwonić do Billa. Zaraz wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, napisałem wiadomość. Lepiej będzie wszystko to wyłuszczyć i dać Billowi chwilę na zrozumienie, zanim odpowie. Wysłałem ją.

– Przepraszam. Ale to bardzo ważna rzecz. Musiałem dać znać Billowi.

– Ale… Kiedy to do niego dojdzie? On jest tu, w układzie?

Parsknąłem śmiechem.

– O, stary. Natychmiastowa nadświetlna łączność. Jedna z rzeczy, do których będziesz musiał się przyzwyczaić.

– Wow. Z tym faktycznie wszechświat zaczyna wyglądać inaczej.

W tym momencie dostałem odpowiedź od Billa.

– Dużo wyjaśnia. Modyfikuję odpowiednio strategię.

No właśnie. Prawdopodobnie będę w stanie donieść Bendera do naszego wyjścia. Tak, żeby Hugh nic nie wiedział. To dobrze. Z drugiej strony Hugh… o, cholera.

– Gupik, czy Hugh manipulował przy sprzęcie?

[Hugh wydał polecenie budowy i uruchomienia dronów z kamuflażem.]

– Żadnych innych interakcji?

[Nie.]

No to dobrze.

– Gupik, monitoruj wszelką łączność z Hugh. Nie dawaj dostępu do lokalnego systemu serwisowego i infrastruktury, w szczególności do szopów. Wszystkie jego polecenia weryfikuj ze mną przed wykonaniem.

[Przyjąłem.]

Jeśli Hugh już zdążył przekabacić Gupika, miałem przerąbane. Ale nie widziałem sposobu, jak mógłby zmienić firmware, nie wymieniając płytek i nie robiąc restartu całego systemu. Czyli na razie będę postępował, jakbym miał wszystko pod kontrolą. A w przyszłości czeka mnie audyt.

Po drugie, nie mogłem po prostu przestać się odzywać do Hugh. Sterował lokalnymi dronami obserwacyjnymi i był jedynym innym Bobem zdolnym użyć quinlańskiego manny'ego. Po prostu trzeba będzie uważać, o co go pytam.

– Bob, jesteś tam?

A. Chyba musiałem zamilknąć na chwilę.

– Przepraszam, Bender. Dostałem odpowiedź Billa i wszystko nieźle się pokomplikowało. Ale na razie to nie jest twój problem. Wiesz, jak dojść do stacji kolejki?

– Nie. Niestety. Ale wiem, że jest tutaj, w tym kompleksie.

W kompleksie? Czyli mogłem całkowicie ominąć Koniec Halepa? No cóż, to miało sens, chociaż nie miałem pojęcia, jaką nazwę stacji mógłbym podać.

W każdym razie nie zamierzałem tak po prostu złapać Bendera i latać z nim po przypadkowych korytarzach. Najpierw chyba trzeba dać pająkom dokończyć mapę.

***

Sześć godzin później nadal nie miałem niczego choć trochę przypominającego stację kolejki.

– Bender, jakieś pomysły?

– Niestety, Bob. Kiedy mnie tu przywieźli, byłem wyłączony. Może być na dowolnym poziomie niżej…

– Jasna cholera! – wykrzyknąłem, przerywając mu. – Zapomniałem o windach.

– Raczej przyszedłeś schodami, inaczej by cię tu nie było.

Zmarszczyłem czoło.

– Czemu?

– Kamery w windach. Ludzie na miejscu wiedzą, kiedy ktoś używa windy.

– A mogą ją zatrzymać albo przekierować?

– Nie, ale będą zaalarmowani i będą czekać, kiedy otworzą się drzwi.

– Super. No to zostają tylko schody. Nie podoba mi się to. Masa czasu mi zejdzie na samo szukanie drogi ucieczki, z ogromnym ryzykiem wykrycia.

– Nic nie pomogę, Bob. Przepraszam.

– Rozumiem. A o pociągach coś wiesz? Jak często jeżdżą? Wezwanie pociągu stawia na nogi Ruch Oporu? Tego typu rzeczy?

Westchnął.

– Niestety, Bob. Nic nie wiem. Nie chcę utrudniać, po prostu byłem wyłączony. Mówiłem.

***

Zgodnie z moja teorią, że Quinlanie i ludzie projektują rzeczy mniej więcej tak samo, zszedłem najpierw na najniższy poziom. Nic z tego. Okazało się, że tam właśnie trzymają wszystkie te rury, zawory i przewody. Jak zaraz stwierdziłem, u ludzi byłoby pewnie tak samo. Gupi.

Na kolejnym piętrze jednak już trafiłem. Jeden długi, antyseptyczny korytarz, bardzo podobny do stacji kolejowej koło Końca Halepa, prowadził na peron z jego dziesiątkiem drzwi. Tu było w nim coś jeszcze – bardzo widoczny przycisk na ścianie, na pierwszy rzut oka prowizoryczny – odchodziły od niego kable prowadzące do dziury. Prawdopodobnie dodał go Ruch Oporu – pomijał czytniki kart, może po to, żeby ludzie bez kart mogli jeździć pociągami. W idealnym świecie nacisnąłbym teraz ten guzik, pobiegł po Bendera, zszedł z nim na dół, a pociąg by na mnie czekał. Ale czy jego naciśnięcie alarmuje ludzi na górze? Jeśli tak, to nie uda mi się choćby zbliżyć do jego lokalizacji.

Tak czy owak, trzeba będzie wybrać strategię, opierając się tylko na przeczuciach. Nie mogłem teraz zaryzykować naciśnięcia tego guzika. Musiałem najpierw zabrać Bendera i wrócić tutaj, dopiero potem sprawdzać system.

Ale dam radę go zabrać tak, żeby nikt nie zauważył?

Wróciłem do jego pokoju, uważając na Quinlan na nieprzewidzianych spacerach. Gdy tylko się upewniłem, że front jest czysty, odwołałem wszystkie

pchełki i pająki. Nie będzie kolejnej okazji uzupełnienia zapasów z podwodnych mannych, więc na ten zestaw trzeba było wyjątkowo uważać.

Usiadłem przed Benderem.

– Stary, dobra wiadomość: znalazłem stację kolejki. Zła: nadal istnieje ryzyko i jest wiele niewiadomych.

– Bob, chyba nie mamy wyboru. Szczerze, jak posiedzę tu dłużej, na sto procent zwariuję. Nawet spowalnianie zegara tylko odwleka to, co nieuniknione. To już wolę zginąć w trakcie dramatycznego pościgu, nie?

Zareagowałem śmiechem.

– No dobra. Robimy tak: wyłączam cię, zabieram i lecę na dół na stację kolejki. Co ty na takie rozwiązanie?

– Brak elegancji nadrabia kupą nieuzasadnionego optymizmu. Robimy.

Podszedłem do macierzy, położyłem palec na przycisku zasilania i się zawahałem.

– Bender? Jeśli to wszystko na nic, i tak się cieszę, że cię znalazłem.

– Ja też, stary. Do zobaczenia w następnym życiu.

Wcisnąłem przycisk i Bender się złożył. Zatrzaski gładko się zwolniły, wziąłem macierz pod pachę.

Macierz nie była plątaniną odsłoniętych obwodów, nawet w swojej pierwszej ziemskiej iteracji. Miała coś w rodzaju obudowy, panel połączeń był nawet zasłaniany klapką. Ale tak jak z twardym dyskiem ze starych, dobrych czasów – jeśli włożyło się go do plecaka, uderzało nim o ściany i rzucało na podłogę, można się było spodziewać problemów. Zatem jazdy w plecaku nie będzie.

Aktualna iteracja była kostką, mniej więcej dwudziestocentymetrową. Nie za wielką, ale dość ciężką. Zarówno Quinlanin, jak i człowiek musiał ją nieść oburącz.

Czując falę nieuzasadnionego optymizmu, poprawiłem kostkę pod pachą, skręciłem za róg i wpadłem wprost na Quinlanina.

Niewiarygodne. Głupek musiał wyjść z pomieszczenia socjalnego tuż za pająkiem, który ich monitorował. Po co tu szedł? Może chciał o czymś porozmawiać z Benderem?

Przez martwą wieczność patrzyliśmy na siebie w szoku. Potem jego wzrok powędrował ku macierzy pod moją pachą, a ja uderzyłem go w splot słoneczny.

Wchodzi mi to w nawyk, pomyślałem.

Quinlanin sapnął i powoli opadł na podłogę, próbując nabrać powietrza. Dzięki wszechświatowi za konwergentną fizjologię – przynajmniej nie krzyknął i ich nie ostrzegł.

Z sali jednak dobiegło:

– Matthew? Coś się stało?

Niech to szlag. Drugiego w życiu nie… Usypiacz! Miałem usypiacz. Wyciągnąłem go z bocznej kieszonki plecaka, wycelowałem w drugiego Quinlanina, który właśnie się ukazał, i go powaliłem. Potem wymierzyłem w swoją pierwszą ofiarę – miejmy nadzieję, że krótki zasięg nie będzie problemem – i wbiłem mu strzałkę w tyłek. Niesamowite, miał akurat tyle tchu, żeby krzyknąć z bólu, a pewnie i przerażenia.

– Matthew? Jeff? Co się…?

Jasna cholera. Tylko ściągnąłem kolejnych. Trzeba dać w długą. Na szczęście nie stali pomiędzy mną a schodami, ale żeby do nich dojść, musiałem się im na moment pokazać. Skręcając za kolejny róg i pędząc korytarzem, słyszałem za sobą alarmujące krzyki. No, Bender, chciałeś mieć pościg. To masz.

W pełnym pędzie uderzyłem w drzwi klatki schodowej i pogoniłem w dół, skacząc po trzy stopnie – niezły wyczyn, jak na Quinlanina. Im na pewno się coś takiego nie uda. Mijając drugi poziom poniżej, usłyszałem, jak przechodzą przez drzwi nade mną. Szybkie wyliczenie pokazało, że nie zdążę zablokować drzwi tak, by ich zatrzymać – wynikało z tego, że to będzie prosty wyścig do peronu. Nominalnie byłem szybszy, ale oni mogą biec na czworakach, bo nie niosą macierzy z replikantem. Z perspektywy – może pomysł z plecakiem nie był aż taki zły.

Dotarłem na poziom stacji, przebiegłem przez drzwi i rzuciłem się ku peronowi, wyciskając z wewnętrznych systemów każdy erg energii. Wyliczyłem, że docierając tu, będę miał około trzydziestu sekund przewagi. Dobrze by było, gdyby pociąg już czekał.

Za mną rozległy się wrzaski, raz usłyszałem ping tink tink, gdy strzałka z usypiacza odbiła się od podłogi koło mnie. Daleko poza zasięgiem, ale nie dziwię się, że próbują. Oby tylko obudowa Bendera była na tyle mocna, żeby zatrzymać taką strzałkę, gdyby doszło do strzelaniny. I, à propos strzelaniny, nie miałem pojęcia, ile strzałów mi zostało.

Wiecie co, kiedy ja pisałem oprogramowanie, nigdy nie dochodziło do takich sytuacji.

Podbiegłem do guzika i walnąłem weń gorączkowo. Co prawda, jeśli to działa tak samo jak w windach u ludzi, to tylko opóźni przyjazd pociągu. I nic mnie nie przekona, że jest inaczej.

Na peron dobiegał z góry odgłos galopujących Quinlan. Moje trzydzieści sekund prawie minęło. Odwróciłem się, uniosłem usypiacz i powaliłem pierwszego, który się ukazał. Padł z jękiem na twarz i na niej wyhamował. Pozostali dali po hamulcach i pośpiesznie się cofnęli. Po czym dwóch z nich stanęło na tylnych nogach i wyciągnęło własne pistolety.

Kiedy przygotowywałem się do strzelaniny, za mną rozległ się sygnał dźwiękowy i szmer rozsuwanych drzwi. Odwróciłem się i wskoczyłem do środka, szukając guzika, panelu sterowania, czegokolwiek. Damski głos zapytał:

– Stacja docelowa?

No świetnie.

– Ten… Koniec Halepa.

Kolejny sygnał i drzwi zaczęły się zasuwać. W ostatniej chwili do środka wleciała strzałka i dziabnęła mnie w ramię.

– Au, szlag by to…

– Czy potrzebna jest pomoc medyczna?

– Nie, jedźmy.

– Proszę zająć miejsce siedzące. Za osiem sekund rozpocznie się przyśpieszanie – powiedział pociąg.

Auć. Opadłem na najbliższy fotel, położyłem Bendera na kolanach i obejrzałem ranę. Mała, gładka dziurka, głębokość około centymetra… całkiem dobrze dostrojona była ta broń. Moje układy wewnętrzne już zaczęły rozkładać strzałkę i naprawiać szkody.

Wagon nie miał okien – widok na wnętrze rury nie byłby specjalnie inspirujący. Ale to oznaczało, że odjeżdżając ze stacji, nie widziałem pogoni. Przypuszczałem, że też sobie zawołają pociąg. Ale czy będą w stanie powiedzieć, że ma jechać za mną? Da się powiedzieć głosowi pociągu, żeby wysadził ich na tym samym peronie?

– Głosie pociągu, czy mogę poprosić o jazdę na tę samą stację, co pociąg przed nami?

– Przed nami nie ma żadnego pociągu.

Patrzyłem przez chwilę w sufit.

– Czy pasażerowie pociągu za nami mogą poprosić o jazdę na tę samą stację, co my, nie podając jej nazwy?

– Tak.

– Cholera.

– Nie rozumiem polecenia.

– Nieważne. Dziękuję. W jakim odstępie przyjedzie drugi pociąg?

– Nie będzie odstępu. Przyjedzie dokładnie w to samo miejsce.

Grrr…

– W ile sekund po nas przyjedzie drugi pociąg?

– Jest obowiązkowa przerwa stu dwudziestu sekund pomiędzy odjazdem pociągu i przyjazdem kolejnego.

No, to lepiej.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Miałem więc całe dwie minuty, bo tak tłumaczyła się quinlańska jednostka czasu, vek, na wydostanie się z matni czy przyjęcie dowolnej innej strategii.

W panice poprosiłem o jazdę do Końca Halepa, ale tak naprawdę chciałem jechać do Grzbietu Garaka. Tylko, czy jeśli tam pojadę, nie będzie czekał na mnie komitet powitalny? Widzieliśmy aż nadto dowodów, że Ruch Oporu ma skuteczną łączność o dobrym zasięgu. Da się ich wyprzedzić?

– Głosie pociągu, czy mogę zmienić stację docelową, zanim dojedziemy?

– Tak, ale zależnie od ruchu może być konieczny postój na pierwotnej stacji docelowej.

– A można z niej odjechać bez otwierania drzwi?

– Nie, jeśli czekają pasażerowie.

– A czekają pasażerowie?

– Tak.

Ojoj.

To będzie albo Ruch Oporu, albo, co mniej prawdopodobne, Kadra. Żadna z tych grup nie przywita mnie z otwartymi ramionami. Znaczy przywita, ale nie będzie się rzucać w objęcia.

Zamierzałem dobrze się rozpędzić, co oznaczało, że Bender musi wylądować w plecaku. Miałem tylko nadzieję, że a) macierz się tam zmieści, b) uda się ją na tyle dobrze unieruchomić, żeby nie uszkodziła się od wstrząsów.

Gorączkowa minuta szarpania się z plecakiem przyniosła częściowy sukces. Udało mi się wcisnąć Bendera i zaciągnąć paski, ale musiałem wyrzucić wszystko inne, żeby zrobić miejsce i żeby się o niego nie obijało. Żegnamy pistolet na strzałki, dodatkowe noże, pieniądze…

W przypływie natchnienia połknąłem część monet. Mój sztuczny żołądek dawał się wyłączyć, mogły więc pozostać nienaruszone. Nie chciałem jednak połknąć zbyt wielu, żeby nie dzwonić przy chodzeniu.

Pociąg rozpoczął fazę hamowania. Rozejrzałem się nerwowo.

– Głosie, które drzwi będą najbliższe któregoś końca peronu?

– Drzwi numer trzy po twojej lewej stronie lub numer sześć po prawej.

Popędziłem w lewo, opadłem na czworaki i stanąłem w bloku startowym do sprintu. Trzeba było mieć nadzieję, że przebiegnę przez hol, zanim zdążą przemieścić wszystkich na moją stronę.

Pociąg zatrzymał się gładko, drzwi otworzyły się z sykiem. Natychmiast dałem maksymalny gaz, przyśpieszając sobie zegar na tyle, by móc błyskawicznie ocenić sytuację. I od razu wiedziałem, że przed samymi drzwiami stoi czterech Quinlan z siatką. Zmieniłem nieznacznie kierunek i wpadłem na jednego z trzymających siatkę, przewracając go do tyłu. Odbiłem się od jego czoła i pogalopowałem w głąb korytarza. Szybkie spojrzenie za siebie, samymi

oczyma, ujawniło, że było tam dość Quinlan do obstawienia wszystkich dziesięciorga drzwi. Kupa personelu do ściągnięcia w bardzo krótkim czasie. Skąd oni ich wszystkich wzięli?

Pytanie na kiedy indziej. Na dużo spokojniejszy czas, wypełniony filiżankami kawy i mruczącymi kotami. Na razie trzeba było zwiewać. Wbiegłem na schody ewakuacyjne i dosłownie pofrunąłem nimi w górę. Licząc, że nie są obsta…

Trafiły mnie dwie strzałki. Szlag. Quinlanie z pistoletami stali przede mną, powoli wytrzeszczając oczy, gdy docierało do nich, że, po pierwsze, poruszam się o wiele za szybko, po drugie, nie zwalniam. Manewr wpadania na kogoś i przewracania miałem już praktycznie opanowany do perfekcji – nawet nie zmyliłem kroku. Po drodze zauważyłem, że drugi ma doczepioną do plecaka kartę bezpieczeństwa. Szarpnąłem ją szybko i przy moim znacznym rozbiegu gładko się urwała.

Spora szansa, że zauważy i to zgłosi, ale zrobiłem to tylko dla odwrócenia uwagi. Wciąż miałem kartę Nataszy, której chyba jeszcze ze mną nie powiązali.

U szczytu schodów przystanąłem i zmieniłem rysy twarzy na właściciela karty, przynajmniej w przybliżeniu, ile się dało w parę sekund, nie mając jak zrobić selfie. Potem naparłem na drzwi przeciwpożarowe. Na warcie stało trzech Quinlan z pistoletami w dłoniach. Jeden zapytał:

– Co jest, Rick?

Zgiąłem się, położyłem dłonie na udach, udałem, że jestem ciężko zdyszany.

– Mamy go. – Uff, puff. – Więcej ludzi. – Puff, uff. – Za silny. – I machnąłem w kierunku schodów, trzymając głowę w dole, żeby nie za dobrze widzieli moją twarz.

Widać moje aktorstwo było całkiem niezłe, bo cała trójka ruszyła do schodów, prawie na mnie nie spojrzawszy. Gdy tylko zniknęli mi z oczu, wyszedłem serwisowymi drzwiami i pobiegłem w las.

Dobra wiadomość brzmiała: uwolniłem się od pogoni. Zła: utknąłem w rejonie Końca Halepa. Stacje kolejki ewidentnie monitorowali i będą monitorować w dającej się przewidzieć przyszłości. Oczywiście nie mogli obstawić czterystu milionów stacji, ale nie potrzebowali. Bez dostępu do pociągów byłem zdany na te, do których mogłem dotrzeć pieszo lub wodą. Nawet nie wodą – nie mogłem ryzykować zamoczenia macierzy Bendera. Plecak z wciśniętą do środka kostką był mocno obciążony. Pęknie jeden szew i koniec.

Mogłem pewnie kupić bilet na statek, jednak oni właściwie nie mieli linii pasażerskich. Płaciło się za miejsce na pokładzie na barce towarowej, a żywiło się złapanymi po drodze rybami. Ktoś w końcu zauważy, że nie wchodzę do wody, i zacznie zadawać pytania.

Poza tym na pewno wszyscy będą wypatrywać Quinlanina z wielkim, wyładowanym plecakiem.

Trzeba było przestać reagować i sklecić jakiś plan. Znalazłem pole wysokiej trawy, wszedłem na nie i pokonawszy parę metrów, padłem. Trochę powierciłem tyłkiem i miałem przyjemne gniazdo, niewidoczne dla przypadkowych przechodniów. Zadzwoniłem do Hugh.

– Hej, Hugh?

– Hej, Bob. Co tam?

– Ciekawie się tu dzieje. Posłuchaj, mógłbyś zorganizować skan obszaru wokół Końca Halepa?

– Jasne. A gdzie jest Koniec Halepa?

– Koło mojej lokalizacji.

– Jasne. A gdzie jesteś?

– Jestem koło… – Grrrr. – Nieważne. Chyba tego nie przemyślałem.

– Przykro mi, Bob, na razie mamy za mało sprzętu w powietrzu, żeby robić dowolne skany.

– Rozumiem. Dzięki, tak czy owak.

Trochę żenująco to wypadło. Chyba wciąż byłem w trybie paniki. Potrzebowałem zwolnić, uspokoić się, pomyśleć.

Spojrzałem na sztuczne błękitne niebo, wypełnione prawdziwymi chmurami oraz sporadycznie stadkami ptaków. Kiedy tak leżałem na trawie, łatwo było się zatracić, wyobrazić sobie, że jestem w Minnesocie w jeden z łagodnych letnich dni. Jeśli nie zwracać uwagi na wysokie góry i podpory podtrzymujące centralny walec. To trochę psuło złudzenie.

Podpory…

Profesor od Willa mówił, że zapewniają dostęp do środkowego walca. Cztery podpory, odpowiadające czterem rzekom, opierały się na górach. Gdybym przedostał się do którejś innej rzeki, promień poszukiwań stałby się nieogarnialny dla Ruchu Oporu.

Ale czy będę w stanie? Karta Nataszy będzie miała dostęp do wind jadących do środkowego walca?

Bender mówił, że ostatnie sto lat zeszło mu na hakowaniu systemów dostępu dla Ruchu Oporu. I czemu miałby się ograniczać do centrów serwisowych i pociągów?

Drugim wyjściem było ukrywanie się, póki nie zrezygnują. Albo próba dojścia gdzieś lądem. Albo zaryzykowanie jeszcze bardziej i wejście na statek.

Pieprzyć to. Już raz wszedłem do tego podziemnego kompleksu i uciekłem. Raczej się nie spodziewają, że tam wrócę. Wysłałem szybkiego maila do Willa,

prosząc o szczegóły systemu transportowego w podporach i po raz kolejny ruszyłem w góry.

Przynajmniej znałem drogę.

***

Wyjrzałem spomiędzy zarośli i zerknąłem na samotnego wartownika przed drzwiami do kompleksu serwisowego, próbując wypalić mu mózg moim termicznym wzrokiem. Niestety nie miałem czegoś takiego. Stał zrelaksowany, nieświadomy, że otarł się o śmierć.

Mogłem go zaatakować i powalić, lecz czy wyłączę go na dość długo, żeby zdążyć wejść i dostać się do windy? I co z kamerami? Przy wejściu żadnych nie widziałem. Oni muszą być teraz w pełnej gotowości i postawiliby jednego strażnika tylko, jeśli byłby pod obserwacją.

Bob, daj spokój, James Bond dałby radę.

Mogłem się podkopać do korytarza. Ale to zajęłoby masę czasu i pewnie ktoś by zauważył. Mogłem zabić wartownika – nie, właściwie nie. Nokautowanie go też nie było wskazane. Przekupstwo – mało prawdopodobne, że zadziała, nawet gdybym miał coś do zaoferowania. Odwrócenie uwagi? Rzucić kamieniem i poczekać, aż pójdzie zbadać sytuację? Nie, ograne jak nie wiem co. Pewnie odwróci się w przeciwnym kierunku, spodziewając się ataku.

W tym momencie dostałem plik od Willa. Rzuciłem go sobie na HUD-a i przejrzałem obrazy. Był to SUDDAR-owy skan granicy segmentów, pokazujący obszar u podstawy podpór, z odręcznymi adnotacjami pismem nie-Boba. Zapewne profesora. Ważne jednak, że był na tyle szczegółowy, że mogłem znaleźć wejście do wind jadących w górę podpór. O ile się do nich dostanę. I o ile wszystkie kompleksy na przecięciach segmentów są takie same.

Na razie nie wiedziałem, co robić – mogłem więc zrobić cokolwiek. Postanowiłem poszukać kamer. Wypuściłem pająki. Chciałem też być gotowy do ruchu, jeśli nadarzy się okazja. Wypuściłem także pchełki, żeby znów popsuły mechanizm zamka. I przysunąłem się tak blisko, jak się dało, jeszcze pozostając w ukryciu.

Kamera znalazła się błyskawicznie. Ukryta w zaroślach celowała w plecy wartownika. Czyli on był głównie przynętą. Spodziewali się, że zostanie zaatakowany. Nieźle.

À propos wartownika, jakiś niespokojny się zrobił. Rozglądał się, chodził tam i z powrotem, drapał się. Ja nic nie zrobiłem – nie wiedziałem, o co chodzi… Aaa. Ciśnienie hydrauliczne i związany z nim zew natury. Ha. Poczłapał do

najbliższego krzaka i… jasny szlag, dla kogo ja prowadzę tę komentatorkę? Oddalił się od wyjścia! I stał zwrócony do niego plecami. Kazałem pchełkom otworzyć je i jak najciszej podszedłem i wśliznąłem się do środka. Kilka pająków wbiegło za mną, lecz większość została na zewnątrz wraz z większością pchełek. Mogłem poczekać, aż się podkopią, ale tymczasem wartownikowi mogła się skończyć zmiana i korytarzem mógł przyjść zmiennik. A to by było niedobrze.

Nie, nie. Trzeba je zostawić. Mam nadzieję, że nie będę tego żałować.

Ta część infiltracji była już prawie rutynowa, włączając drzwi na klatkę schodową, które już poprzednio odblokowałem. Zszedłem jedno piętro na dół – według planów Willa tam było wejście do windy w podporze. Jeśli będą tam kamery, trzeba będzie liczyć, że jestem wystarczająco podobny do Nataszy, żeby je nabrać.

A potem się okaże, jak dobra jest ta hakerska robota Bendera.

13. Zabieramy się do roboty
Herschel, lipiec 2334, Bellerofont

Dostałem ping od Willa i odpowiedziałem zaproszeniem. Pojawił się po milisekundzie. Ile upłynęło, odkąd był u mnie, choćby w wircie? Ze sto lat? Zabawa dekoracjami w wircie dawno mi się znudziła i wróciłem do domyślnego motywu biblioteki.

Will nawet na nią nie spojrzał.

– Cześć, Herschel. Dzięki za zaproszenie.

– Cześć, stary. Kopę lat. Mam nadzieję, że nie będzie tak dramatycznie, jak ostatnim razem.

Parsknął.

– No nie, międzygalaktycznych bitew akurat za bardzo nie ma. Przynajmniej nic o nich nie wiem. Słychać tylko ten nieprzyjemny pomruk, za każdym razem, gdy mowa o ludziach.

Wskazałem fotel i zawołałem Jeevesa. Pojawił się z kawą dla mnie i colą dla Willa.

– Wiesz co, ta twoja ogólna niechęć do ludzi trochę się nie klei z ilością pracy, którą wkładasz w Walhallę.

Will przez chwilę pił colę, tak długo, że widać było, że gra na czas.

– Szczerze, Herschel… to jest po prostu moja wersja Ragnaröka. Jakby w Epsilonie Eridani poszło trochę inaczej, może to ja bym tam został i stworzył Skunk Works, nie Bill. Chwilami trochę tego żałuję. Kontakty z ludźmi mnie naprawdę trochę zniechęciły. No dobra, nie trochę. Bardzo.

Powoli kiwnąłem głową, starając się powstrzymać brwi od włażenia mi na czubek głowy. Will nie był zwykle tak otwarty. Coś się kroiło.

– Dobra. Masz rozwiązanie?

– Tak. Pracowałem nad tym od jakiegoś czasu. Stowarzyszenie „Ciągle Naprzód”, rozumiem, że mu się przyglądaliście. Przynajmniej tak mi mówią moje źródła, a wy mocno upubliczniliście, że szukacie ochotników do kolonii.

Wygląda na to, że równolegle pracowaliśmy nad bardzo podobnymi planami, do tego stopnia, że ma się przemożną ochotę krzyczeć o naruszeniu praw autorskich.

Podniosłem palec i otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, jednak szybko do mnie dotarło, że mam zamiar kwestionować prawa autorskie. Zatem tylko uśmiechnąłem się do Willa.

– Dobra, zainteresowanie jest. Teraz gadaj.

– Na moment zboczę z tematu: słuchajcie, opublikowaliście tyle analiz Bellerofonta, że każdy, kto chce, może go skopiować, w dodatku z działającym napędem SURGE zamiast płyt holowniczych. I ja, ten… zacząłem koło pięćdziesięciu lat temu budować nieco mniejszą wersję…

Wybałuszyłem na niego oczy.

– W 82 Eridani? I nikt nie zauważył? To kupa surowca.

Wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

– No wiesz, ja bardzo dużo robiłem przy Walhalli, a to wymaga masy pracy i materiałów, na te wszystkie machiny do frakcjonowania i tak dalej. A kolonie skupiały się głównie na ulepszeniach na planetach, więc za bardzo nie wchodziliśmy sobie w drogę. Poza tym standardowa umowa między Bobami i koloniami pozwala nam nieodpłatnie pozyskiwać materiały niezbędne do działań związanych z naszym pierwotnym celem. Po prostu nie wspominałem, że mam taki projekt na boku.

– Wow, naprawdę po prawniczemu. A i tak to fura stali.

– Standardowa umowa nie narzuca limitów, ile możemy wziąć. Ten temat po prostu nigdy się nie pojawił.

Przetarłem oczy i sprawdziłem metadane. Tak, to naprawdę Will.

– No dobra, trochę się to w pale nie mieści, szczególnie jak ty to mówisz, ale i tak nie widzę związku z nami.

– Parę rzeczy, Herschel. Po pierwsze, wydaje się, że chcesz założyć kolonię z dala od obecnej ludzkiej sfery i nie starać się utrzymać łączności. Rozumiem, czemu chcesz to zrobić, ale wydaje mi się, że odcięcie łączności nie jest konieczne. Po drugie, twój pomysł, żeby najpierw wysłać Nieba obsadzone przez MSI, to prowizorka, wymuszona tym, że masz w brzuchu kolonistów. Nawet pierwotni projektanci na Ziemi niechętnie dawali MSI taki poziom władzy. Z wyjątkiem Chin, no i popatrz, jak to się dla nich skończyło.

Will przerwał, a ja przekrzywiłem głowę i spojrzałem nań z ukosa.

– No iiiii…

– Ja chcę to robić tak: mijając układy, wypluwać do każdego przygotowaną stację orbitalną. Stacja wyhamowuje, instaluje się na orbicie okołosłonecznej i wysyła drony do zbadania układu. Z tym MSI dadzą sobie radę. Na wypadek

gdyby wyszło coś interesującego, w stacji jest pusta macierz replikanta, gotowa, żeby któryś Bob się do niej załadował i przejął kontrolę. A jeśli nie, i tak będziemy mieli sterowaną przez MSI stację przekaźnikową w każdym układzie na moim kursie.

Powoli kiwnąłem głową.

– Nasiona Bobów. I nigdy nie będziesz musiał zwalniać. Ale po co nam o tym mówisz?

– Jeśli ja polecę przodem, a wy za mną, będziecie z góry wiedzieć, że znalazłem dobry cel do kolonizacji – odparł Will. – Na długo, zanim tam dotrzecie. A kiedy założycie tam kolonię, nadal będziecie mieć ładownię pełną surowca. Czyli możecie zacząć robić to, co pierwotnie planowaliście.

– Albo zgodnie z twoim planem.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie. Obojętnie.

– Ale skąd to się bierze? Skąd ten pęd na koniec wszechświata? Bo to wygląda jak to, co robili Fineasz i inni.

– Oraz ty i Neil. Jaka jest twoja motywacja?

– Obawiam się, że natrafimy na coś lub kogoś, co może zniszczyć ludzkość. Zbadaliśmy mały wycinek galaktyk i znaleźliśmy masę ras rozumnych. To tylko kwestia czasu, kiedy wpadniemy na coś, z czym sobie nie poradzimy.

– Hersch, nie żebym się spierał, ale nie wydaje ci się ciekawe, że wszystkie cywilizacje, które znaleźliśmy, są mniej więcej w tym samym wieku, co my, plus-minus kilkaset do paru tysięcy lat? Nic na poziomie K2 Kardaszewa, żadnych Heechów. Nie zastanawia cię, czemu tak jest?

– Niekoniecznie. Lokalne gwiazdy wszystkie są podobnego typu, w podobnym wielu, z podobną metalizacją. Miały może miliard lat okienka, w którym mogło rozwinąć się życie, więc…

– Wiem, do czego zmierzasz, ale tu mowa o okienku rzędu paru tysięcy lat. To o wiele większy zbieg okoliczności. I nic bardziej zaawansowanego od nas.

– Problem Dysona? Jest na niego proste rozwiązanie. Mając generatory Casimira, cywilizacje nie muszą się gromadzić wokół swoich słońc. Nie licząc Innych – oni mieli biologiczny imperatyw.

– No, ale i tak. Nic. Chyba nie myślisz, że jesteśmy szczytem rozwoju, co?

Parsknąłem śmiechem.

– Nie, pewnie, że nie. Ale to z konieczności musi być piramida. Najbardziej zaawansowane cywilizacje na samej górze to najmniej liczna grupa.

– To za mało. – Will pokręcił głową. – Przynajmniej dla mnie. Musi być jeszcze jakiś czynnik. Ale, Hersch, twój cel i mój nie są sprzeczne. Obaj chcemy, żeby ludzkość była bardziej rozproszona. To oczywiście chwalebne, że chcesz

założyć po drodze jedną kolonię, może dwie, ale dla ciebie to też jest droga w jedną stronę, prawda? Nie mogę się wypowiadać za Fineasza, Ika i Dedala, czy innych Bobów. Ale mój problem jest taki, że nie potrafię się uwolnić. Wiesz, czemu nadal jestem naszym delegatem na FIR?

Parsknąłem śmiechem.

– Bo wszyscy wiedzą, że jak nikt się nie zgłosi, będziesz to dalej robił.

Zaśmiał się niewesoło.

– Nie wiedziałem, że to takie oczywiste, ale tak. Mam to przerośnięte poczucie obowiązku. Tak mi się chyba w dryfie dostało. Ale nie mogą oczekiwać, że będę to ciągnął, kiedy mnie już tu nie będzie.

– Wow. – Pokręciłem głową i zastanowiłem się. – Szczerze… to zaczynam dochodzić do wniosku, że może to nie jest jakaś złowroga żądza, która nas ogarnia. Zobacz: Bob 1, odlatując pierwszy raz z Układu Słonecznego, liczył na przygodę. Doskonale pamiętam to uczucie. Może wszyscy tego pragniemy, ale zaprzątnęły nas różne inne sprawy?

– Nie wszyscy. Howarda byś w życiu nie namówił, żeby się ruszył. Albo Graczy. Albo choćby Billa.

– Prawda. Oni wszyscy znaleźli jakąś inną pasję. Pierwszy Bob też miał ogromne poczucie odpowiedzialności. Tu nie jesteś tak bardzo od niego odległy. Ale jeśli nic nas nie wiąże z jakimś miejscem, chyba wszyscy czują odrobinę wanderlustu.

– Zgadzam się – odrzekł Will. – Tylko że to nie jest albo-albo. Poczucie winy robi z ludźmi dziwne rzeczy.

Kiwnąłem głową. Na parę mili zapadła cisza, choć trudno mi było ustalić, czy niezręczna, czy przyjacielska.

I w tym momencie pojawił się Neil.

– Will! Kopę lat. Przyszedłeś zobaczyć wyniki naszych badań?

Will zrobił zdziwioną minę, a ja powstrzymałem się przed przewróceniem oczyma. Nie powstrzymałem jednak basowego burknięcia.

– Badań?

Machnąłem lekceważąco ręką.

– No wiesz, mamy ten wielki statek, po brzegi surowców, i nie wiemy, co robić z czasem…

– Nic nie słyszałem.

– Nic nie publikowaliśmy – powiedziałem. – Nie jesteśmy pewni dlaczego. Najlepsze wytłumaczenie, jakie mamy, to, że nie jesteśmy jeszcze pewni, czy chcemy to upublicznić.

– No, teraz to mnie naprawdę zaintrygowaliście – stwierdził Will.

Spojrzałem na Neila spode łba, co on ostentacyjnie zignorował.

– Gdybyś mógł zachować to dla siebie, póki nie będziemy gotowi na ujawnienie tego, dobra? – Wysłałem Willowi adres manny’ego dla gości, potem zamknąłem sesję w wircie i wszedłem do swojego androida.

***

Podniosłem się z kapsuły manny’ego. Obok mnie wstawał Neil. Po drugiej stronie, zza krawędzi kapsuły wyglądał Will.

– To jest komora sterownicza Bellerofonta – powiedziałem do Willa, robiąc okrągły gest.

– Macie tu atmosferę? – zapytał.

– Tylko w tej komorze. Reszta jest dalej pod próżnią. Jak chcesz gdzieś iść, musisz przejść przez śluzę, ale to tylko drobna niedogodność.

Wyszedłem z kapsuły i zawisłem metr od niej. Brwi Willa uniosły się.

– Ty… aktywnie latasz w nieważkości.

Wyszczerzyłem się do niego.

– Te manny mają małe napędy SURGE, oparte na płytach holowniczych. Bardzo małe. Dają może z jedną dziesiątą g, maks, i na międzyplanetarne odległości się nie nadają. Przynajmniej na razie. Ale do poruszania się w nieważkości są super.

Zademonstrowałem, robiąc parę pętli, a potem wracając do pierwotnej pozycji.

Will uśmiechnął się szeroko, a potem zrobił tę rozkojarzoną minę, jaką miewają operatorzy mannych, kiedy skupiają się na układach wewnętrznych. Potem wystrzelił z okrzykiem ze swojej kapsuły, zrobił kilka pętli i śmignął ku nam.

– I nie chcieliście tego upubliczniać? To jest niesamowite!

Neil uprzedził mnie z odpowiedzią.

– Will, nie o tym mowa. To jest duperela, tylko żeby usprawnić pracę na Bellerofoncie. Póki napęd nie będzie miał większej mocy, to się nadaje tylko do manewrowania w nieważkości i nie przychodzi mi do głowy żadna inna sytuacja związana z użyciem mannych, gdzie mogłoby się to przydać.

– Tylko że założę się, że każdy Bob we wszechświecie chciałby się tym przelecieć – powiedział Will, wciąż powoli zataczając pętle. – Ale dobra, w takim razie pokazujcie tę nieduperelę.

Kiwnąłem na niego, żeby poleciał za mną w narożnik komory, gdzie urządziliśmy sobie warsztat. Ściany, kable, wsporniki i belki zostały przytwierdzone do pokładu w przypadkowych miejscach – tam, gdzie były

akurat chwilowo potrzebne. Patrząc na to świeżym wzrokiem, poczułem ukłucie zawstydzenia. Wyglądało to trochę bałaganiarsko.

Willowi za to nie przeszkadzało nic a nic. Nieomylnie podpłynął do konstrukcji dominującej nad całym warsztatem. Wyglądała nieco jak przewymiarowana kapsuła dla mannych, ale obklejona masą urządzonek jak model statku kosmicznego do filmu science fiction. Zrobiłem w myślach remanent, czy któreś z nich rzeczywiście są tylko dekoracyjne. Will na pewno zapyta.

Zatrzymał się, zawisając przed kapsułą.

– Robi wrażenie. Nie mam zielonego pojęcia, co to, ale już mi się podoba.

Zerknąłem na Neila.

– Będziesz czynił honory czy ja mam?

– Ty ostatnio – odparł. – Teraz moja kolej.

Pro forma przewróciłem oczyma i kiwnąłem na niego, żeby zaczynał.

– Potrzymam ci manny'ego – powiedziałem i złapałem go za ramię, kiedy zrobił się bezwładny.

Will popatrywał na nas zdziwiony.

– Wrócił do wirtu? Czemu…?

Przerwały mu otwierające się drzwi dużej kapsuły. Cofnął się parę metrów, gdy nasz eksperymentalny manny wyszedł i zawisł w miejscu. Wskazałem go.

– To jest Ex-Man 1. Czyli „Eksperymentalny Manekin nr 1". Neil nim teraz kieruje.

Szczęka opadła mu prawie do podłogi z zaskoczenia. Wielkość i kształt manny'ego były zbliżone do standardowego, Ex-Man 1 był jednak koloru srebrnoszarego. Nie miał ubrania, nie miał określonej płci. Neil skłonił się przesadnie i powoli obrócił się w miejscu, przez cały czas uśmiechając się szeroko.

– A jak wy go nazywacie? Przecież nie Ex-Man 1?

Odpowiedziałem z krzywym uśmiechem:

– Manekin Skywalker.

Will łypał na mnie przez parę mili, zanim zareagował:

– Niepoprawni jesteście.

Podleciał bliżej i przyjrzał się manny'emu.

– Ale ta skóra, czy… powierzchnia… się rusza? Trochę to niepokojące, szczerze mówiąc.

– Ten manny jest w całości zrobiony z mrówek – odpowiedziałem. – A dokładniej, z mrówek zaadaptowanych przez nas. Udało nam się je zminiaturyzować do rozmiarów niesporczaka. Łączą się ze sobą, podobnie jak żywe komórki, i mogą utworzyć dowolny kształt, który zaprogramujemy. –

Skrzywiłem się. – Precyzyjnej kontroli jeszcze do końca nie mamy, prawda. Rzeczywiście skóra wygląda, jakby pełzała.

Udał przesadnie niesmak.

– Rany, ja już widzę, jak ktoś dostaje fobii na sam widok. To wystarczy, popieram nieupublicznianie na razie tego wynalazku.

– Sęk w tym, Will, że ten manny może zmieniać kształt – powiedziałem. – Na razie niezbyt szybko, ale to ulepszymy. I nie ma w środku żadnych dedykowanych układów. Każda mrówka jest w stanie się zrekonfigurować do dowolnego celu. Wszystko, od nadajnika UNOP po napęd SURGE, jest zbudowane ze współpracujących komórek. Szkielet powstaje z komórek łączących się ze sobą podwójnymi wiązaniami. I tak dalej. Główny komputer jest rozproszony po całej konstrukcji, podobnie generator. Nie ma żadnej pięty achillesowej, żadnego słabego punktu. To wielka zaleta jak na postludzkiego replikanta.

Will kiwnął głową.

– Tak. Rozumiem. Posłuchajcie, jak uznacie, że to jest gotowe do prawdziwego demo, zrobimy spotkanie ze starszymi Bobami i zastanowimy się nad rekomendacją.

– Może być. – Spojrzałem na Neila i pochyliłem głowę.

Potaknął i wgramolił się z powrotem do kapsuły.

Will pokręcił głową w zdumieniu.

– Wow. To bije na głowę i Transformersów, i kosmiczne wieloryby.

14. Wydostać się
Bob, lipiec 2334, Niebiańska Rzeka

Nie wiem, co bym zrobił, gdybym wpadł na patrol ochrony. Nie miałem już usypiacza, a musząc uważać na macierz Bendera, nie mogłem zastosować większości moich typowych taktyk. Na szczęście problem się nie pojawił. Całkiem możliwe, że cały personel był na zewnątrz i szukał mnie wokół stacji kolejki Koniec Halepa.

Przyjrzałem się windzie. Niezbyt różniła się od poprzednich. Może trochę większe drzwi. Problemem był przycisk. Czy raczej tabliczka nad nim, mówiąca: „Tylko dla upoważnionego personelu”. Obok przycisku znajdował się czytnik kart.

Wziąłem całkowicie zbędny głęboki wdech i wyciągnąłem kartę Nataszy. Chwila prawdy. Nie sądziłem, żeby w razie niepowodzenia zawyły syreny i rozmigotały się czerwone światła, ale na pewno kogoś to zaalarmuje i zaraz będę miał gości. I żadnej drogi ucieczki.

Otrząsnąłem się z tego jojczenia, przytknąłem kartę do czytnika i wcisnąłem przycisk. Zaświecił się na chwilę i drzwi się otworzyły. Alleluja! Miałem wjazd. Wszedłem do windy i nacisnąłem najwyższy z guzików, bo właśnie tamtędy miałem się przedostać do drugiej rzeki.

Drzwi się zamknęły i winda pomknęła w górę. A do mnie dotarło coś, co umknęło mi przy wsiadaniu. Ta winda miała okna.

Nie powinno mnie to dziwić. Quinlanie od dawna udowadniali, że mają dobry zmysł artystyczny. Przecież nie przepuściliby okazji, żeby pokazać sobie ten widok. Miałem dziewięćdziesiąt kilometrów pionowej jazdy na podziwianie go i… ahem…

Nie przypominam sobie, żebym wcześniej miał lęk przestrzeni, ale też nigdy dotąd nie wznosiłem się na tyle kilometrów z panoramicznym widokiem. Musiałem się świadomie powstrzymywać, by nie cofnąć się w głąb windy. Jeśli to się pogorszy, będzie trzeba włączyć układ kontroli hormonalnej.

Rozmyślnie stanąłem przy szybie i patrzyłem, starając się kontrolować oddech. Krzywizna Niebiańskiej Rzeki zaczynała być widoczna, minęliśmy także co najmniej jedną warstwę chmur. System rzek, lasy, miasteczka i punkciki na wodzie, mogące być łodziami, rozciągały się przede mną w panoramie bijącej na głowę wszystko, co widziałem w ciągu subiektywnych kilkuset lat życia. Postanowiłem jak najwięcej nagrać i pokazać nagrania na blogu.

***

Jazda trwała tylko dwadzieścia minut, co było dość imponujące. Hamowaniu towarzyszyło automatyczne zalecenie, by postawić stopy na suficie – w tym punkcie odśrodkowa grawitacja już praktycznie nie istniała.

Gdy otworzyły się drzwi, znajdowałem się w zasadzie w stuprocentowej nieważkości. Korytarz był wyraźnie zakrzywiony, z rozstawionymi regularnie drzwiami i bocznymi korytarzami. Tabliczka przy windzie mówiła: „Szprycha Utopia”. Pomocne. Trzeba było tylko przejść do drugiej płynącej na wschód rzeki, Nirwany.

Wybrałem losowy kierunek i ruszyłem. Tak jak naszego pierwszego dnia po przebiciu się do Niebiańskiej Rzeki, quinlańskie ciało nie miało problemu z adaptacją do zero g. Uchwyty wzdłuż korytarza także pomagały.

Po paru minutach znalazłem windę Szprychy Nirwana. Mały problem – winda była na parterze. Trzeba będzie poczekać dwadzieścia minut.

***

Zjazd wyglądał dokładnie tak samo, tylko w odwrotnej kolejności. Co dziwne, zaczynając od panoramy z orbity, łatwiej było się przyzwyczaić do wysokości, bez lęków. Nim zaczęła przypominać normalny krajobraz, byłem prawie znudzony.

Ten kompleks serwisowy był niezamieszkany, co nasunęło mi wniosek, że większość mieszkańców gór to zapewne Ruch Oporu. Dotarłem bez zakłóceń do stacji kolejowej i przycisnąłem kartę do czytnika.

– Brak dostępu.

Uniosłem głowę.

– Co takiego?

– Twój dokument nie upoważnia do dostępu.

No świetnie. Zablokowali mi kartę. Znaczy Nataszy. Musiało to kiedyś nastąpić, ale czemu nie po wejściu do pociągu? Wygrzebałem drugą kartę, ukradzioną strażnikowi, i spróbowałem.

– Brak dostępu.

No to by było tyle. Rozejrzałem się, na wpół spodziewając się, że opadnie mnie cała obsada piekła. Jednakże ten kompleks był naprawdę bezludny. Jak się zastanowić, to nigdy nie słyszałem ani nie widziałem, żeby Administrator używał w Niebiańskiej Rzece siły fizycznej innej niż żywa. Może automatyczna siła była zabroniona. Wyglądało to trochę jak typowe ograniczenie, które narzucasz SI, żeby nie przejęła kontroli. I jak się to sprawdziło dla Quinlan?

Niemniej może nikt nie będzie mnie łapał, ale nie mam też darmowego przejazdu do Grzbietu Garaka. A hordy orków mogą już być w drodze. Ich karty będą działać. Wskazane było pośpieszne oddalenie się.

Poszedłem korytarzem, na górę schodami i zaraz znalazłem się w holu. Od środka drzwi techniczne otworzyły się bez problemu i znalazłem się na zewnątrz. W oddali widziałem miasteczko, choć nie miałem pojęcia, jak się nazywało. Byłem o jedną czwartą obwodu dalej i sześć tysięcy kilometrów na zachód od Grzbietu Garaka, gdzie miałem jedyne wyjście. W plecaku niosłem dwudziestocentymetrową kostkę, sterczącą jak czyrak i sygnalizującą moją obecność każdemu członkowi Oporu czy Kadry, który mógłby mnie szukać. Równie dobrze mógłbym mieć na głowie migającego czerwonego koguta. Aha, i jeszcze nie powinienem wchodzić do wody.

Co to dla mnie.

***

Potrzebowałem legendy. Jakiegoś wiarygodnego powodu, dlaczego taszczę w plecaku coś wielkiego. Szybkie spojrzenie na słońce potwierdziło, że dzień jest jeszcze młody. Miałem masę czasu, by dotrzeć przed zmrokiem do miasta. Ale czy powinienem? Miałem tylko te parę monet w żołądku, mogę ich potrzebować na coś bardziej krytycznego niż nocleg. Chwilę się wahałem, potem stwierdziłem, że równie dobrze mogę ruszyć do miasta i po drodze próbować coś wymyślić.

Najpierw jednak trzeba było poinformować Hugh.

– Cześć.

– Bob! Coś nowego?

– Coś tam jest. Mam Bendera…

– To super! Spotkamy się w Grzbiecie Garaka i możemy stąd…

– Ech, to nie będzie takie proste. – Opowiedziałem mu o ostatnich zdarzeniach i mojej obecnej pozycji.

– Oj, to faktycznie suboptymalne – stwierdził. – Posłuchaj, nie jesteś chyba pierwszym Quinlaninem, który musi nieść coś dużego. Na przykład skrzynka żałobna jest mniej więcej tej samej wielkości…

– Co jest?

– Bridget zna wszystkie antropologiczne szczegóły, w skrócie, Quinlanie zachowują kości swoich zmarłych. Po zmieleniu mieszczą się w skrzynce, mniej więcej tej wielkości.

– Z czasem sporo ci się tych skrzynek nazbiera – zauważyłem.

– No nie wiem, zapytaj Bridget. Ale może rozejrzyj się w mieście, bo ktoś może mieć coś odpowiedniego. I wodoszczelnego. Albo znajdziesz skrzynkę żałobną i sprawdzisz.

– Świetny pomysł. Dzięki, Hugh.

– Wtedy po prostu przepłyniesz się siedem segmentów do Garaka i załatwione.

– Dzięki wielkie, Hugh. I tym optymistycznym akcentem kończymy.

Jeden problem na raz. Przystanąłem i zrobiłem pieska preriowego, żeby przyjrzeć się miasteczku. Sprawy zaczęły wyglądać o mikroskopijną odrobinę lepiej.

Wysłałem maila do Bridget, nie chcąc marnować cykli na rozmowę. Przejrzę, co mi odpowie, kiedy będę miał czas. Na razie najważniejsze było niewchodzenie do miasta drogą prowadzącą z kompleksu serwisowego. Jeśli ktoś szuka Quinlanina z naroślą, to jest oczywiste miejsce do obstawienia.

Przedzieranie się przez krzaki okazało się bardziej bolesne, niż się spodziewałem. Przypomniało mi się – Bridget kiedyś wspominała, że klimat zmienia się pomiędzy segmentami, prawdopodobnie odzwierciedlając warunki na Quinie. Ten segment miał cechy bardziej zwrotnikowe, co oznaczało gęstszą i bujniejszą roślinność. I pewnie większą rozmaitość w kwestii drapieżników. A ja nie miałem w plecaku nawet marnego szpikulca.

Po półgodzinie torowania sobie drogi przy akompaniamencie moich najlepszych przekleństw uznałem, że wystarczy. Wypatrzyłem przed sobą ścieżkę prowadzącą do regularnej drogi i poszedłem w jej kierunku. Ścieżka prowadziła między dość konkretnie zapuszczonymi budynkami mieszkalnymi – aż zacząłem się obawiać, że ktoś mnie tu napadnie. Paru nieprzyjemnych typów popatrzyło na mnie spode łba, ale żaden nie podszedł.

Po kolejnych piętnastu minutach znalazłem się w miasteczku nazywającym się Leśne Wzgórze. Zaczepiłem paru przypadkowych ludzi i w końcu dowiedziałem się, gdzie jest zakład pogrzebowy. Quinlańska nazwa tłumaczyła

się mniej więcej na „Dom Zachodzącego Słońca” – dziwnie poetycko jak na kulturę, która nazywa miasta od części ciała różnych ludzi.

Wszedłem do tego przybytku i rozejrzałem się. Podszedł do mnie starszy Quinlanin.

– Czym mogę służyć?

– Ja… boję się zamoczyć dziadka. Nie jestem pewien, co ma pan w ofercie, ale…

– Przenosi pan przodka na znaczną odległość?

– Tak, do Grzbietu Garaka.

– Nie znam tego miasta. Ale zwykle wysyła się przodka pocztą. Żeby go nosić na plecach…

Handlarz ostentacyjnie przekrzywił głowę, żeby spojrzeć z dezaprobatą na mój plecak.

Poczułem, że powinienem się zarumienić czy coś takiego.

– Chcę go sam zawieźć do domu. Wolałbym raczej jakoś lepiej go opakować, znaleźć lepszy plecak albo… – Nie dokończyłem zdania, licząc, że coś podsunie.

Zerknął raz jeszcze na mój plecak i zapytał:

– Jakiej wielkości miałaby być skrzynka?

– Wewnętrzne wymiary dwadzieścia jeden centymetrów – powiedziałem, licząc, że oprogramowanie tłumaczące zadba o zamianę na miejscowe jednostki.

– Dziwnie dokładnie. Nietypowa wielkość. Proszę… – Zapisał coś na kawałku papieru. – Mój kuzyn Vinny jest stolarzem. Zrobi ci to na wymiar. Powiedz mu, że przysłał cię Carmine.

Oczywiście. To społeczeństwo nie znało produkcji masowej. Wszędzie będą rzemieślnicy. Powstrzymałem się od pacnięcia się w czoło i wylewnie Carmine’owi podziękowałem.

Wyszedłem z zakładu pogrzebowego, śmiejąc się z wyboru imion w przekładzie [7]. Trzeba będzie zapytać Hugh, czy czymś nie kręcił w tym algorytmie. Bardzo prawdopodobne i bardzo po bobowemu, zważywszy, co ja zrobiłem z jego imieniem.

Przeczytałem karteczkę, zastanawiając się, czy nie należałoby tymczasem pozbyć się plecaka i kostki. Mogłem schować ją w lesie albo wziąć pokój w hotelu. Co będzie bezpieczniejsze? Las na pewno jest tańszy. Ale nie mogłem się przemóc, żeby przywiązać Bendera do drzewa i zostawić pod czułą opieką przypadku. Przeliczyłem sobie szybko. Nie byłem jeszcze bez grosza, ale żeby popłynąć z powrotem do Grzbietu Garaka, raczej będę musiał pracować. A na razie najważniejsze zajęcie to zapewnienie Benderowi bezpieczeństwa.

Wstąpiłem do sklepu wielobranżowego i kupiłem parę drobiazgów za trzy miedziaki. Dałem właścicielce żelaźniaka i dostałem resztę. Przez moment

miałem ochotę połknąć monety na jej oczach, ale takie zwracanie na siebie uwagi nie było dobrym pomysłem.

Trochę poszukałem, znalazłem hotel kategorii zerogwiazdkowej i zapłaciłem za noc. Chcąc maksymalnie pochlebnie określić pokój, użyłbym słowa „nienadzwyczajny”. Miał jednak zamek w drzwiach, drzwi wyglądały na solidne, a okno na zbyt małe, żeby przecisnął się przez nie Quinlanin – nawet gdyby było na parterze. I typowo dla quinlańskiego budownictwa miał odsłoniętą więźbę dachową, te wszystkie belki.

Wziąłem zakupioną linę i wykonałem szybki skok i parkour na belki. Nie byłoby to, ściśle rzecz biorąc, niewykonalne dla Quinlanina, chociaż oni prędzej poszliby po prostu po drabinę. Co zajęłoby trochę czasu. Przywiązałem plecak z Benderem w najwyższym miejscu i przesunąłem go tak, żeby był jak najmniej widoczny z podłogi. Całkiem nieźle.

Zostawiłem z nim też ostatniego pająka. Na wszelki wypadek.

Quinlańskie zamki były duże i prymitywne w porównaniu z ziemskimi, choć mechanizm i tak był całkiem zaawansowany. Znów przypomnienie, że to technologię mieli ograniczoną, a nie wiedzę. Wyplułem parę monet, żeby mieć je pod ręką, zamknąłem drzwi i posłałem do zamka dwie pchełki, by go blokowały. Pewnie to był nadmiar paranoi, ale przesada miała mniej wad niż lekceważenie ryzyka.

Pierwszym przystankiem był sklep z plecakami. Na Ziemi byłby to sklep sportowy – dla Quinlan plecaki stanowiły po prostu ubranie. Parę szybkich pytań na ulicy i wiedziałem, dokąd iść.

Sklep był ewidentnie ekskluzywny. Nie w sensie złoceń, ale wysokiej jakości i dużego wyboru. Mieli plecaki, szarfy, zestawy do zdobienia futra i inne produkty, bez których nie mógł się obejść wyrafinowany i modny Quinlanin. Liczyłem tylko, że plecaki nie będą tu tylko ozdobami.

Podszedłem do samotnego sprzedawcy.

– Szukam nowego plecaka. W starym poszedł mi szew, bo niosłem w nim skrzynkę żałobną. Macie coś odpowiedniej wielkości? I żeby było wodoszczelne.

– Tak się składa, że mamy. Oczywiście nie należy zbyt długo przebywać w wodzie, ale wyskok na ryby od czasu do czasu wytrzyma. – Podprowadził mnie do półki i pokazał. – Tylko pięć żelaznych.

Oj. To pochłonęłoby większość mojej gotówki. Rozwarłem dłoń i popatrzyłem na wykaszlane cztery żelaźniaki, starając się wyrażać rozczarowanie, ubolewanie i co tam jeszcze się dało. Zerknął na monety i westchnął.

– Za cztery nie da rady, przyjacielu. Cztery i pół i jest twój.

Nie ma problemu, zaraz, tylko… kche… kche… kche…

No nie, nie zrobiłem tak. Chęć była przemożna, ale nawet pominąwszy niezwracanie na siebie uwagi, pewnie by mnie stąd wyrzucił.

– To ja… pogadam jeszcze z kumplami. Zaraz przyjdę.

Wyszedłem ze sklepu i poszedłem poszukać warsztatu Vinny’ego. Po drodze dyskretnie wykaszlałem jeszcze parę monet.

Warsztat Vinny’ego miał nad drzwiami tabliczkę „Warsztat Vinny’ego”. Quinlanie naprawdę byli kiepscy, jeśli chodzi o nazwy. W witrynie stało parę jego wyrobów, w tym skrzynki żałobne, drobne meble i parę rzeźbionych ozdób. Znał się na rzeczy.

– Dzień dobry, czy pan to Vinny? – zapytałem jedynego obecnego, wchodząc do środka.

– Tak. W czym mogę pomóc?

– Carmine pana polecił. Szukam skrzynki żałobnej, na wymiar. Pomyślał, że może mi pan pomóc.

Twarz mu się rozjaśniła – wyraźnie Carmine naprawdę był kuzynem, i to lubianym. Miejmy nadzieję, że to mi się przysłuży. Przez parę minut rozmawialiśmy o moich wymaganiach.

– Nietypowy rozmiar i bardzo dokładny – powiedział.

– Chcę ochronić skrzynkę, w której on już jest – wyjaśniłem. – Bo dziadek zmarł daleko od domu. Muszę go tam zawieźć z powrotem, a na normalną metodę nie mogę sobie pozwolić.

– Podziwiam twoje oddanie, młody człowieku. Mogę ci coś takiego wykonać. Zajmie to mniej więcej trzy dni i będzie kosztować sześć żelaznych. Nie mogę jednak zapewnić, że skrzynka będzie wodoszczelna. Zwykle nikt nie ma tego typu wymagań.

Wow. Pokój, plecak i skrzynka do kupy i jestem spłukany. A jeszcze muszę zapłacić za rejs łodzią. Bo nie mam wyboru. O ile manny prawdopodobnie przeżyłby siedem segmentów pływackiego maratonu, to bardzo wątpiłem, czy Bender dotarłby suchy. Tak czy owak, trzeba będzie grać rolę turysty. Albo marynarza.

W sumie nie miałem wyboru. Chwilę jeszcze pogadaliśmy, zastanowiłem się, czy się nie potargować, ale brak wodoszczelności przekreślał cały pomysł. Na koniec podziękowałem mu za poświęcony czas i dodałem, że muszę się zastanowić.

***

Wracając do sklepu z plecakami, dostałem sygnał od pająka w pokoju. Ktoś, zdaje się, próbował otworzyć zamek i był coraz mniej delikatny. Pchełki unieruchomiły go na tyle skutecznie, że intruzi musieliby wyłamać drzwi, żeby się dostać do środka. Posuną się do tego? Ktoś zauważy albo przyjdzie zobaczyć, co się dzieje? To nie była wypasiona dzielnica, ale właściciel może się nie zgodzić na kosztowne szkody i pokój, który czas jakiś nie nadaje się do wynajęcia.

Niedoszli intruzi zgodzili się ze mną. Parę razy jeszcze szarpnęli i dźwięki ustały. Nie miałem złudzeń, że to koniec. Nici z dzisiejszych planów.

Zmieniłem kierunek i przyśpieszyłem, jeszcze nie puszczając się biegiem. Idąc, naciągnąłem rysy twarzy i zmieniłem wzór na sierści, by przypominać Nataszę. Może uda się dzięki temu wejść niepostrzeżenie.

Drzwi do pokoju były nienaruszone, choć zamek i klamkę miały porysowane trochę bardziej, niż pamiętałem. I nikt się w pobliżu nie kręcił. Nie miałem jednak złudzeń. Na pewno jest obserwacja. Czy szukają Boba, Nataszy, czy obojga, nie wiadomo. Czy to Kadra, Opór, czy oba, było w zasadzie obojętne. Mój los z rąk jednych i drugich, a co ważniejsze, los Bendera, był oczywisty.

Wspinając się po plecak, zerknąłem kontrolnie na okno. Niestety. To, co wcześniej wydawało mi się zabezpieczeniem, teraz było pułapką. Pokój miał tylko jedno wyjście.

Zabrałem pająka i pchełki, potem zamknąłem i ponownie zablokowałem drzwi. Podstęp raczej na długo ich nie zatrzyma, ale liczy się każda chwila. Na razie trzeba było stąd zmykać. Poszedłem do jednej z dwóch łazienek na piętrze, żeby mieć chwilę na zastanowienie.

Jak niepostrzeżenie stąd uciec? Nie mogłem po prostu zejść schodami i wyjrzeć przez drzwi frontowe, nie zwracając na siebie uwagi. Przyjmowałem za pewnik, że front ktoś obserwuje. Pewnie tyły też. A było tylko dwoje drzwi. Z okna łazienki widziałem zaułek na tyłach, gdzie ktoś z pubu wyrzucał coś do śmietnika. Parsknąłem. Śmietniki. Kolejna paralela.

Zaraz… jakie jeszcze będą paralele? Jedzenie w dostawie, wywóz śmieci… przecież nawet taki śmietnik wymaga, żeby ktoś go obsługiwał.

Wyjrzałem ukradkiem na korytarz. Nikogo. Przeszedłem na tył budynku, gdzie zapewne znajdowała się kuchnia i inne pomocnicze pomieszczenia. Po drodze minąłem sprzątacza z wózkiem. Na wózku miał coś jakby kosz na śmieci. Drewniany. Nie znają tu worków na śmieci. Sprzątacz zajął się jednym z pokojów, zgarnąłem więc ten kosz. Idąc dalej, wrzuciłem plecak do kosza, potem uniosłem go wyżej, żeby zawartość była niewidoczna.

Przechodząc przez zaplecze, przyciągnąłem parę spojrzeń, ale kto będzie wypytywał człowieka ewidentnie pracującego? Spora szansa, że pracownicy są

dorywczy i słabo się znają. Przeszedłem na tyły, trzymając kosz tak, by zasłaniał mi twarz, i udając, że jest bardzo ciężki.

Pojemnik na śmieci stał pod płotem, co zauważyłem z łazienki. Nie mogłem jednak się dowiedzieć, czy płot się nie połamie pod moim ciężarem. To i tak nie miało znaczenia – już nie było innej opcji.

Zamachnąłem się koszem, wciąż wszystkimi porami emanując „jaki to ciężar", i przechyliłem go nad krawędzią śmietnika. Po drodze chwyciłem plecak, zanim zdążył wpaść do środka. Jedną ręką odstawiłem kosz, postawiłem go jak najszybciej i jak najciszej na ziemi, do góry dnem i wskoczyłem nań, żeby przeskoczyć przez płot.

Za plecami usłyszałem krzyk i tupot nóg, byłem już jednak po drugiej stronie, poza zasięgiem wzroku. Miałem może ze dwie sekundy, żeby zejść z oczu komuś, kto przejdzie przez płot. Szybkie spojrzenie – najkrótszy sprint do kryjówki prowadził na zachód. Popędziłem na zachód.

Skręcając w kolejny zaułek, usłyszałem rumor kogoś lądującego na ziemi i przekleństwo. Mówiłem już, że Quinlanie są słabymi akrobatami? Uśmiechając się, wyobraziłem sobie dwie skręcone kostki. To powinno ich spowolnić.

A na razie najlepiej będzie dać w długą. Kręciłem i pętliłem zaułkami i co bardziej pustymi ulicami, unikając miejsc z większą liczbą potencjalnych świadków. Po paru minutach byłem na skraju miasteczka. Nie zwalniając tempa, wbiegłem do lasu.

***

Spać na drzewie. To nie był zwrot, którego mógłby użyć Quinlanin. Czyli coś idealnego dla mnie. Znalazłem wyjątkowo duży okaz o gęstych liściach i usadowiłem się wysoko, w najgęstszej części korony. Wyplułem pająka, postawiłem go na warcie, objąłem pień ramionami i kazałem MSI tak trzymać.

Wszystko wydawało się, na razie, stabilne, wyszedłem więc z manny'ego i przeskoczyłem do VR-ki.

– Hugh, jeśli masz ochotę wpaść, jestem w wircie.

– Przepraszam, Bob, ale ładuję statek. Spróbuję później urwać się na chwilę.

Hmm… Zresztą, prawdę mówiąc, co ja mu miałem do powiedzenia? Chciałem go skonfrontować z kwestią Administratora? Ale o co bym go właściwie oskarżał? Nawet nie miałem pewności, że wie, że Administrator to SI. A jeśli wie? Powiedzmy, że się przyzna, że tak podejrzewał. To jakie prawo czy zasadę właściwie złamał?

Dotarło do mnie, że moje podejrzenia są drugiego rzędu. Podejrzenia podejrzeń. Trzeba je zachować dla siebie, póki nie dowiem się, jakie złe pobudki motywują Hugh i Skippies. O ile w ogóle.

Spróbowałem się połączyć z Gandalfem, ale dostałem autoodpowiedź. Pewnie walczył z orkami lub coś w tym stylu.

Szybko sprawdziłem Billa, Willa, Bridget i Howarda i także dostałem albo sygnał zajętości albo autoodpowiedzi. Wyglądało na to, że wszyscy w Bobiwersum są akurat dość zajęci. Burknąłem z irytacją, przywołałem sobie kawę i włączyłem Kolczatkę.

Zatem po kolei: mam do przebycia siedem segmentów i będę musiał płynąć statkami. Jak się zastanowić, nawet gdybym zaufał quinlańskiej poczcie, że bezpiecznie dostarczy Bendera na miejsce, nie byłoby to szybsze. Poczta płynęła statkami.

Po drugie, nawet jak dotrę do Grzbietu Garaka, będę musiał wydostać się jeszcze z Niebiańskiej Rzeki. Teoretycznie to nie powinien być problem. Gandalf zrobił nam tylne wyjście. Z drugiej strony miejscowi już o nas wiedzieli. Szczególnie o mnie. Jak słusznie zauważył kumpel Willa, profesor, pewnie od teraz będę się non stop pokazywać na systemach monitoringu. Mogłem się maskować, ale nie mogłem zamaskować plecaka.

Zaraz, nie mogłem?

Jasne, trzeba było oszczędzać pieniądze, ale największą trudnością było teraz wydostanie się z Leśnego Wzgórza. Kiedy zgubię się w ogromie Niebiańskiej Rzeki, może mi się uda. Ale jak wydostać się z miasta, nie pokazując wszystkim macierzy Bendera?

15. Coraz większa frustracja
Howard, lipiec 2334, Trantor

– Dobra, to przeważa szalę – powiedziałem. – Ludzie to debile.

Bridget westchnęła.

– Zważywszy, Howard, na to, co się działo, i tak są dość powściągliwi i dobrze nas tolerują.

– Albo zauważyli, że jesteśmy właścicielami połowy tego cholernego miasta i przegrają z nami w sądzie.

– To też mogło odegrać pewną rolę, przyznaję. – Bridget podeszła do panoramicznego okna i wpatrzyła się w przestrzeń, skrzyżowawszy ramiona.

Ja też podziwiałem panoramę atmosfery Cyrku za odległą fibreksową kopułą miasta. Widok chmur i jowiszowego życia rozciągającego się we wszystkich kierunkach, w nieskończoność, niezawodnie napawał mnie zachwytem. Wiedziałem jednak, że dla Bridget to coś więcej niż tylko widok – to potwierdzenie jej zawodowych osiągnięć i reputacji. Była koronowanym ekspertem od biologii planet typu jowiszowego w całej ludzkiej przestrzeni. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek ją w najbliższym czasie zdetronizował. Przepływające stadko balonowców wywołało na jej twarzy nieznaczny uśmiech.

– To jest ten uśmiech – powiedziałem. – Pamiętasz, jak je pierwszy raz spotkaliśmy?

Bridget się zaśmiała.

– Jak miasto je pierwszy raz spotkało. – Odwróciła się od okna. – Howard, problemy polityczne pojawiają się i znikają, ale polityka będzie z nami zawsze. Po prostu trzeba wziąć na przeczekanie. W końcu ludzie się uspokoją, zapomną, albo po prostu poczekamy, aż umrą i władzę przejmie nowe pokolenie. A na razie po prostu trzymajmy się na uboczu. Nic nam nie będzie. Mamy dużo czasu, pamiętasz?

– Dzieci…

– Aktualny komplet jest już dorosły. Z nowymi adopcjami trochę się powstrzymajmy. Zresztą mówiłeś, że chcesz sobie zrobić chwilę przerwy. Może

pora na kolejną ekspedycję. Mam parę odpowiednich planet w kolejce, każda z ciekawym ekosystemem…

– A słyszałaś, co planują Herschel i Neil?

– Tak, ale muszą dolecieć na Romulusa, załadować ich i odlecieć z ludzkiego kosmosu. Minie nawet ze sto lat, zanim dotrą do pierwszego nowego układu, bez gwarancji, że to będzie coś wartego eksploracji. Poza tym, jeśli nawet, będziemy mogli dołączyć zdalnie. Ja potrzebuję czegoś tu i teraz.

Kiwnąłem głową. Miała rację. Jeśli przyjdzie co do czego, jedynym problemem mogą być próby skonfiskowania naszych zasobów przez ludzi. A na tę ewentualność byliśmy obstawieni prawnikami. Kupą prawników. Mogliśmy walczyć w sądach tak długo, że sprawa przeżyłaby przeciwników.

– Dobra, skarbie. Prowadź. Dokąd dzisiaj jedziemy?

16. Ciągle próbuję
Bob, lipiec 2334, wzdłuż rzeki Nirwany

Złapałem się na mimowolnym dotykaniu twarzy i wysiłkiem woli opuściłem rękę. Po raz kolejny się odmieniłem, tym razem biorąc za wzór przypadkowego przechodnia. Aby uniknąć problemu „bliźniaków”, zmodyfikowałem nieznacznie wygląd. Jeśli natknę się na niego, pomyśli, że odkrył dawno zaginionego brata, ale nic ponad to.

Po ciężkim namyśle i z ciężkim sercem zostawiłem Bendera przywiązanego na drzewie. Żaden Quinlanin, nawet z pistoletem przy głowie, w życiu nie wejdzie tak wysoko. Fauna na ogół była niewielka i niezbyt się interesowała czymś, co nie pachniało jak jedzenie. Prawdopodobnie był bezpieczny, lecz i tak bałem się bardzo, że coś się stanie i już nigdy go nie znajdę.

Musiałem jednak mieć wyraźne odcięcie pomiędzy „Bobem biegającym z Benderem na plecach” a „przypadkowym typem jadącym na wycieczkę”. A najlepszy sposób na to – niech nikt nigdy nie zobaczy niczego, co mogłoby nas skojarzyć.

Zatem, Enoki Zabawski, typ towarzyski i prawdziwa wydra salonowa, miał zaraz popłynąć w rejs miejscowym luksusowym statkiem.

Bardziej zgodnie z prawdą: chciałem się przedostać przez siedem segmentów przebrany za Przypadkowego Typa. Ale – i to było najlepsze – Przypadkowego Typa z Bagażem.

Zerknąłem na szyld mojego docelowego przybytku – Wesoły Al, Kufry, Paki i Skrzynie. No, nie do końca tak tam było napisane, ale metaforycznie niewiele się różniło. Quinlanie nie mieli Samsonite’a, ale od czasu do czasu potrzebowali sztywnych i zamykanych skrzyń. Niektóre z tych wystawionych bardzo przypominały dawne kufry okrętowe, nie licząc braku metalowych okuć. One kosztowałyby więcej niż mój cały android. Ale odpowiednio użyte drewno i skóra także wystarczały.

Wesoły Al, który, jak się okazało, nazywał się Steve, przywitał mnie wylewnie, gdy wszedłem. Domyślałem się, że biznes słabo idzie i jest znudzony do granic możliwości. To może mi sprzyjać.

– Szukam takiego kufra. – Wskazałem kufer okrętowy. – Ale mniej więcej tej wielkości. – Pokazałem rozstawionymi dłońmi. Chciałem mieć skrzynię na tyle dużą, żeby nikt nie mógł jej złapać i uciec, ale też na tyle małą, żeby dało się ją nieść. – I z takim pasem zabezpieczającym jak ta na wystawie.

Steve się wyprostował.

– Sir, wszystkie nasze kufry mają pasy zabezpieczające. I zamki. Mamy tylko najlepszy towar.

Hmm. Z jednej strony to dobrze. Z drugiej brzmi kosztownie. Ale w tej części mojego planu miałem bardzo niewielkie pole manewru.

Steve poszedł na zaplecze i w parę sekund wrócił ze skrzynią, która była niemal idealna. Obejrzałem ją ze wszystkich stron, sprawdziłem także w środku. Była tak bliska idealnych wymiarów, że lepszej nie znajdę.

– Ile kosztuje?

– Osiem żelaźniaków, cztery miedziaki.

Auć. Nie kryłem zaskoczenia.

– To… tego…

Steve posmutniał, uświadomiwszy sobie, że przegiął.

– Taka jest oczywiście cena detaliczna. Ale dziś mam mały ruch, więc…

Pojąłem aluzję.

– Mam siedem żelaźniaków i trzy miedziaki. – Otworzyłem dłoń, aby mu pokazać. – Ani monety więcej. I bardzo potrzebuję tego kufra.

Steve na moment okazał ulgę, potem udało mu się ją ukryć. Widocznie to było jeszcze powyżej kosztów.

– Na tyle mogę przystać.

Wręczyłem mu pieniądze i zabrałem kufer. Dobrze, że nie uparł się przy cenie. Wyplułbym dwa ostatnie żelaźniaki tylko po to, żeby zobaczyć jego minę.

***

Skrzynia miała porządny zamek, zrobiony z tego obłędnie twardego drewna, którego używali zamiast metalu. Zdeterminowany złodziej pewnie by go wyłamał, ale tu chodziło o to, żeby, po pierwsze, nie zwracać uwagi złodziei. Dlatego, kiedy wróciłem pod moje drzewo, zacząłem nacierać skrzynię błotem, żeby pozbyć się połysku. Parę minut pracy i kufer był należycie brudny i zużyty. Potem nazrywałem trochę suchych traw na wyściółkę.

Skończywszy przygotowania, wspiąłem się na drzewo i zdjąłem Bendera. Wyciągnąłem macierz z mojego mocno sfatygowanego plecaka i umieściłem ją ostrożnie w skrzyni, wypychając boki trawą, żeby się nie przesuwała.

Wyplułem mojego ostatniego pająka i włożyłem do skrzyni z macierzą. To była moja polisa ubezpieczeniowa. Zrobi trochę przeróbek, żeby skrzynia była trudniejsza do otwarcia czy wyniesienia. A jeśli zdarzy się najgorsze, złodziej dostanie w twarz palnikiem plazmowym.

Plecak wyglądał bardzo źle. Kostka go tak rozciągnęła, że nie miałem pewności, czy jeszcze wróci do normalnego kształtu. Jeśli nie, będę się rzucał w oczy, nawet nie mając w nim macierzy. Westchnąłem, potrząsnąłem nim parę razy i jednak go założyłem. Bez plecaka będę się rzucał w oczy jeszcze bardziej.

Ostatnia rzecz do załatwienia.

– Hugh, masz sekundę?

– Jasne, co tam?

– Będę się zatrudniał na statku. Coś muszę wiedzieć? Jest jakiś cech czy związek?

– Nie, nie za bardzo. Znaczy… jest cech, ale zajmuje się głównie ustalaniem stawek i arbitrażem. I jak pracujesz na statku, jesteś w nim z automatu.

– Czyli nie ma problemu ze złym traktowaniem pracowników.

– Bob, to są Quinlanie. Wyżywią się w naturze. Gdyby ktoś zaczął bić marynarzy, po prostu by sobie odpłynęli. O ile wcześniej nie wypruliby łobuzowi flaków. Widziałeś jakichś Quinlan, nie?

– Mmm. W sumie racja. Są bardzo pobudliwi, ruchliwi, wszędzie znajdą jedzenie i mogą spać byle gdzie.

– Dokładnie. Trochę ciężko w takich warunkach o opresjonowaną klasę niższą.

– A ile płacą?

– Pół żelaza za dzień. Jeśli ktoś zaproponuje mniej, nawarcz na niego i idź sobie.

– Jasne. Dzięki.

Lepiej, niż się spodziewałem. Hugh od razu znalazł pracę, więc tak naprawdę nie spodziewałem się problemów, ale każdy Bob ci powie, że Murphy to sukinsyn.

***

Dotarłem nad rzekę z kuferkiem przewieszonym przez ramię i ruszyłem do przystani. Cumowało tam parę łodzi, ale tylko na jednej coś się działo.

Wyładowywano z niej palety, jakiś ładunek czekał też na wniesienie na pokład.

I tak jednak przyjrzałem się zdziwiony dwóm pozostałym statkom. Nie były puste – stały na nich jakieś skrzynie na paletach i bele – dziwne jednak, że na pokładach nikogo nie było. Za to na trzecim marynarze się uwijali, praktycznie biegając z miejsca na miejsce. Zauważyłem w przelocie, że nie mają wszechobecnych plecaków, choć jedna Quinlanka, która stała pośrodku i wykrzykiwała po równo polecenia i inwektywy, nosiła coś jakby kamizelkę z kieszeniami. Quinlanka w kamizelce przerwała i odezwała się do mnie, zgadując moje myśli.

– Jedna dostawa się spóźniła. Ale mieliśmy szczęście. Byliśmy pierwsi i wzięliśmy to, co czekało. Szukasz może pracy?

– Tak. A pani zatrudnia?

Wskazała skrzynki na pokładzie.

– Ten feeg sam się nie rozładuje. Chociaż te leniwe dziady, którym bez sensu płacę, na oko myślą, że tak będzie.

Quinlanie rozładowujący łódź odpowiedzieli paroma pro forma wyzwiskami i jednym odpowiednikiem środkowego palca. Ale towarzyszył temu dość dobroduszny klimat.

– Jedno słowo wystarczy i zaczynam.

– Jasne. Zaczynaj.

Okazało się to dużo prostsze, niż się spodziewałem. Nie trzeba było pytać, dokąd jadą. Łodzie niemal zawsze płynęły z prądem, chyba że w ruchu bardzo lokalnym, a na tym segmencie rzeki „z prądem” oznaczało na wschód, w stronę Grzbietu Garaka.

– Gdzie mogę dać mój kufer?

Już zaprzątnięta kolejnym problemem wskazała narożnik łodzi. Położyłem kufer i po chwili namysłu zdjąłem także plecak.

***

Praca marynarza na quinlańskiej łodzi była w sam raz dla „silnych a głupich”. Podnieś skrzynkę tu, połóż skrzynkę tam. Spłukać, czynności powtórzyć.

Mój manny był o wiele silniejszy od tubylców i nie męczył się, ale mógł mieć problem z przegrzewaniem, więc go nie przeciążałem. Zresztą od czasu do czasu cała załoga skakała na pięć minut do wody dla ochłody, wychodziło więc na to, że nie ja jeden mam ten problem.

Praca odbywała się przy minimum słów. Trzeba było robić, dopóki cały ładunek nie został przeniesiony, więc jakiekolwiek obijanie się było bez sensu.

Wszyscy po prostu chcieli skończyć.

Po załadowaniu ostatniej skrzyni zaparkowaliśmy tylko na brzegu łodzi, zaś Quinlanka w kamizelce, która okazała się kapitanem, wykłócała się o jakieś papiery z bosmanem.

– Witamy na Huraganie – powiedział jeden z marynarzy. – Jestem Orik. To jest Ted, a to Frieda.

Na chwilę poczułem się zbity z tropu i przyjrzałem się uważnie Friedzie. Nie, zdecydowanie nie ta sama osoba. Po prostu to samo quinlańskie imię, więc program tłumaczący przełożył je na to samo angielskie.

– Enoki – odpowiedziałem. – Enoki Zabawski.

Orik nieco się zdziwił.

– Masz nazwisko? I robisz za marynarza?

– Nasza rodzina jest stara, ale bogata nigdy nie była – wyjaśniłem. – Matka zawsze mówiła: „Zapracowaliśmy na to nazwisko, to będziemy go, do cholery, używać”. Dobrze, mamo.

To wywołało śmieszek, ale nie byłem pewien, czy ta chwilowa lekkomyślność nie wpakuje mnie w kłopoty. Zapomniałem, że w quinlańskim społeczeństwie nazwiska są prawie jak dziedziczne tytuły. Czy nie namalowałem sobie na czole celownika? No cóż, będę musiał z tym żyć.

– Mamy też płacącego pasażera – podsunął Ted. – Poszedł na zakupy. Kapitan Lisa powiedziała mu, że ma wrócić do południa albo będzie szukał innego statku. Już niewiele mu brakuje.

– I on też ma nazwisko – dodała Frieda. – Przypomina o tym co chwilę. Parę razy mało brakowało, żebym rozpruła mu gardło. Ale kapitan kazała być uprzejmym dla płacących pasażerów. – Zrobiła minę jasno wskazującą, co sądzi o tym poleceniu.

Kapitan Lisa skończyła użerać się z bosmanem, popodpisywali sobie nawzajem jakieś dokumenty. Weszła po trapie i rozejrzała się.

– A jego wysokości nie ma? No trudno. Zapłacił z góry. Ludzie, jedziemy. Do zmroku musimy być w Melonowym Zagonie.

Zerwaliśmy się i zaczęliśmy zdejmować cumy i wciągać trapy. Trudne to nie było, ale uważałem, żeby bez słowa słuchać poleceń innych i nie próbować improwizować. Gdy już mieliśmy odbić od pomostu i podnieść żagiel, pojawił się gruby Quinlanin. Dyszał, sapał, krzyczał i machał ręką. W drugiej trzymał kuferek całkiem podobny do mojego, tylko z wyglądu o wiele nowszy.

Quinlanie byli tłuści z natury – pod tym względem bardziej przypominali bobry niż wydry. Ten jednak był gruby nawet jak na ich standardy. I nie miał kondycji, sądząc po dyszeniu i sapaniu.

Kapitan warknęła coś pod nosem, ale kiwnęła na nas, żeby z powrotem wystawić jeden trap. Quinlanin postawił kufer i wczłapał po trapie, cały czas łapiąc oddech. Usłyszałem, że mijając panią kapitan, rzucił:

– Niech ktoś weźmie bagaż.

Kapitan rzuciła mu kwaśne spojrzenie, ale kiwnęła na mnie.

Miałem wielką chęć przypadkiem upuścić kuferek do wody, ale w mojej sytuacji gra w wet za wet mogła się dla mnie źle skończyć. Zatem po prostu wniosłem go na pokład i postawiłem wśród innych przypadkowych rzeczy, razem z moim bagażem. Za to dałem programowi tłumaczącemu dokładną instrukcję, jak tłumaczyć jego imię.

– To kto to jest? – zapytałem Teda.

– Snidely Whiplash[8]. Jego rodzina to potentaci winiarscy. A on, o ile mi wiadomo, jest tylko roszczeniowym gówniarzem.

Nie było to dokładnie wino, choć pochodziło z fermentacji jakiegoś miejscowego owocu. I jak zawsze, gdy w grę wchodzi alkohol, była to potężna branża. Aż za dobrze znałem smarkaczy uważających, że są kimś megaważnym dzięki sukcesowi rodziców. Ten rejs może okazać się trudniejszy, niż przewidywałem.

Kiedy pasażer był już bezpieczny, choć wredny, odbiliśmy od kei. Ted i Frieda podnieśli żagiel i majestatycznie wytoczyliśmy się z portu. Huragan był w praktyce barką z żaglem i osiągał szybkość stosowną do tej konstrukcji. Zacząłem się zastanawiać, czy dopłynie do końca segmentu. A tak w ogóle…

– Orik, Huragan pływa do innych segmentów?

– Jeśli jest coś do zawiezienia, to tak. Inaczej przeskakujemy na Arkadię i wracamy. Statek Lisy nie kursuje po stałej trasie, jak w tych dużych firmach. Gdybyś wsiadł na Galwaya, to oni nigdy nie wychodzą z tego segmentu, krążą tam i z powrotem dwiema rzekami. Nie jest to złe życie. Jeśli chcesz się dostać do następnego segmentu, możesz wysiąść pod Wysokim Szczytem. W dzień, dwa trafi ci się coś, co płynie na drugą stronę. Na przykład Hamilton tak robi, zdaje się czasami nawet po trzy czy cztery segmenty. Ale jak zawsze to zależy od ładunku.

– A ludzie na statkach sobie jakoś te segmenty nazywają?

Orik pokręcił głową.

– To przynosi pecha. Nazwiesz sobie segment, to zaraz zaczynasz się z nim identyfikować, prawie jak z państwem, potem zaczyna się rozmowa o granicach i armiach i zanim się zorientujesz, rozpraszają cię za karę.

Frieda, uporawszy się z żaglami, dołączyła do grupy.

– To nie jest kara. To…

– Tak, tak, Frieda, słyszałem tę twoją doktrynę. Nie nam osądzać Administratora.

– Ale ja nie osądzam, ja mówię o jego motywacji. A jest duża różnica. Kary eskalują. A sprowadzanie na dobrą drogę nie.

Przerwało nam prychnięcie na śródokręciu.

– Ech, wy buraki i te wasze legendy o bogach i demonach. Śmiechu warte.

Frieda wbiła weń wzrok, co ani trochę nie zmieniło jego zarozumiałej miny.

– Legendy? Masz coś z głową? Administrator to taki sam fakt jak pogoda. A może myślisz, że deszcz to też mit?

– Jasne, fakt. Sprawia, że rośnie trawa, unosi ptaszki w powietrze, sprawia, że z rana wstaje słońce.

Wytrzeszczyłem oczy. Ten głupek ewidentnie wierzył, że Niebiańska Rzeka to naturalne środowisko. Już otwierałem usta, żeby go poprawić, ale powstrzymała mnie paradoksalność tej sytuacji. Miałem tłumaczyć ateiście, że Bóg istnieje. Miałem ochotę schować twarz w dłoniach, tylko że to też by nasunęło pytania. Lepiej niech regularna załoga się tym zajmie.

Orik i Frieda stworzyli chwiejny sojusz przeciwko rozbawionej bezczelności Snidely'ego. Stanowił klasyczny przypadek zjawiska Dunninga-Krugera – był tak pewny siebie i uparty w swej niewiedzy, że nie miał pojęcia, jak wiele nie wie. Pozwoliłem, by dyskusja brzęczała sobie w tle, a sam wpatrzyłem się w przesuwające się brzegi. Choć dni w wodzie z przyjaciółmi były bardzo przyjemne, życie marynarza też miało sporo plusów.

Kłótnia wyeskalowała do takiego poziomu, że zwróciła uwagę pani kapitan.

– Dość tego! – wrzasnęła. – Pokład niewysprzątany, zęza niewypompowana, ładunek nieprzykryty, spinaker niepodniesiony. Ruszać się!

I to by było tyle. A Snidely potraktował taki obrót zdarzeń jako zwycięstwo, sądząc po zadowolonej minie.

***

Następne dwa dni minęły bez większych wrażeń. Złapała nas krótka ulewa, która wywołała potworne marudzenie Snidely'ego. Czemu stworzenie stworzone dla wody miałoby nienawidzić deszczu – to nie mieściło mi się w głowie. Ale z drugiej strony nasz pies był po imieniu ze wszystkimi kałużami i strumykami w okolicy, a udawał zdechłego, kiedy próbowaliśmy go kąpać. Kto to zrozumie.

Ja nadal unikałem interakcji z nim. Pozostała trójka na oko mu wystarczała. Orik i Frieda zawiesili broń w kwestii swoich drobnych różnic doktrynalnych, żeby zawiązać wspólny front przeciwko niewiernemu.

Chciałem przegadać to z Bridget. Wyglądało na to, że Administrator zaczyna nabierać cech formalnego systemu religijnego, razem z konkurującymi dogmatami. Sprzeciwiała się temu wersja ateizmu, która nie tyle przeciwstawiała naukę religii, ile po prostu się na nią nie zgadzała. Ciekawiło mnie, jak wygląda kosmologia Snidely'ego, ale konieczność rozmowy z nim była zbyt wysoką ceną za zaspokojenie tej ciekawości.

***

Przybiliśmy w miasteczku, które, jak powiedział Ted, nazywało się Sok z Żuka. Nie, nie żartuję i nie gmerałem przy tłumaczu. Okazało się, że główną specjalnością jest tam alkohol sporządzany z wydzielin jakiegoś owada. Po pierwsze, błeee! Po drugie, zacząłem się zastanawiać, nie po raz pierwszy, czy nie kryje się w tym jakieś poczucie humoru, albo Skippies, albo samego programu. Stwierdziłem, że zostawiam to tłumaczenie, i przypisałem je także do nazwy tego trunku.

Sok z Żuka był ostatnim miastem na Nirwanie przed granicą segmentu. Kapitan miała w ciągu dnia lub dwóch zdecydować, czy ciągniemy dalej w dół rzeki, czy przeskakujemy dopływem i wracamy. Wiele zależało od tego, jaki ładunek dostaniemy i gdzie będzie się bardziej opłacało go wieźć.

Oraz od płacących pasażerów. Jeśli ktoś chciał zapłacić za dowiezienie do konkretnego miasteczka, to mogło wpłynąć na decyzje kapitana. Zaciekawiło mnie, dokąd wybiera się Snidely. Jeśli nie pasował mu nasz kierunek, to oznaczało pożegnanie. Spróbowałem przywołać łezkę w oku i zupełnie mi się nie udało.

Kiedy podeszliśmy, zobaczyłem, że na przystani panuje duży ruch, na oko niewyglądający jak zwykła portowa krzątanina. Cumowało tam cztery czy pięć statków, a ich załoga prowadziła głośne i wojownicze dyskusje z urzędowo wyglądającymi typami, w szarfach i z mieczami.

Poczułem skurcz w żołądku. Mało prawdopodobne, żeby to miało coś wspólnego ze mną, ale w aktualnej sytuacji sam widok policji płoszył mnie jak początkującego złodzieja.

Kapitan Lisa zaczęła skakać po pokładzie i wywrzaskiwać rozkazy, próbując wmanewrować Huragan w ciasne miejsce przy kei. Wymagało to także wdania się w kłótnię z dokerami, co tylko zintensyfikowało radosną atmosferę. W końcu jednak znaleźliśmy się przy kei, należycie zacumowani.

Ted i ja chwyciliśmy trap i zaczęliśmy spuszczać go na pomost. Zanim osiadł na dobre, wmaszerował po nim oddział policji. Kapitan Lisa rzuciła się zastąpić

im drogę.

– Szukamy zbiega, który może płynąć statkiem w dół rzeki – powiedział sierżant. – Musimy przeszukać statek.

– Co, cały ładunek? Żarty sobie robicie? Macie pojęcie, ile to potrwa?

Sierżant pokręcił głową.

– Nie, nie, chodzi nam o jednego konkretnego człowieka, który ma w plecaku coś w rodzaju skrzynki żałobnej.

O-o. Szansa, że na megakonstrukcji mającej półtora miliarda kilometrów jest dwóch takich zbiegów? Dość mała. Zesztywniałem i zacząłem planować drogi ucieczki, zanim przypomniałem sobie, że już nie jestem podobny do Boba. I chwilowo nie mam plecaka.

– Będzie trzeba także skontrolować prywatny bagaż.

O cholera.

– A już wam pozwolę! – wykrzyknął Snidely, podchodząc i wydymając pierś.

– A pan to kto? – Gliniarz łypnął na niego i położył dłoń na mieczu.

– Jestem Snidely Whiplash, z rodziny Whiplashów. Na pewno wiele razy raczyliście się naszym winem. Jeśli ktoś naruszy dobre imię, konsekwencje mogą być bardzo poważne.

Gliniarz zacukał się. Zdecydowanie kontakty z potężnymi rodami, zwłaszcza bojowo nastawionymi, mocno wykraczały poza jego zakres obowiązków.

Po chwili odpowiedział:

– Rozumiem, proszę pana. Oczywiście pana w żadnym razie nie podejrzewamy. Gdzie jest pański bagaż?

Snidely nonszalancko machnął ręką w kierunku pryzmy rozmaitych bagaży.

– Tego macie nie dotykać.

Kiedy powiodłem wzrokiem w tamtym kierunku, nasunął mi się pomysł. Najbardziej nonszalancko, jak się dało, podszedłem do naszych kufrów. Zacząłem odwiązywać plandekę zakrywającą je oraz parę innych drobiazgów. Zbierając ją, ukradkiem wytarłem swój kuferek prawie do czysta. I tak wyglądał na bardziej zużyty niż Snidely’ego, ale niewiele.

Podeszło dwóch gliniarzy, wyraźnie zadowolonych, że współpracuję. Zaczęli przyglądać się bagażom.

– Tu są kufry pana Whiplasha – powiedziałem, wskazując oba. – Cała reszta to tylko ładunek.

Jeden z policjantów kiwnął głową i obaj zaczęli otwierać skrzynie na chybił trafił.

– Ilu ludzi na pokładzie?

– Kapitan Lisa, Ted, Frieda, Orik, ja i pan Whiplash. Wszyscy są na pokładzie. – Pokazałem wszystkich po kolei.

– Nikt nie pasuje do opisu – stwierdził drugi policjant. – A tu są tylko jakieś śmieci – dodał, pokazując skrzynki.

– Kapitan pewnie by się nie zgodziła – odparłem z uśmiechem.

Parsknął śmiechem. Skierowali się do trapu i pokręcili głowami, patrząc na sierżanta.

Parę sekund rozmowy z kapitan Lisą i policjanci odmaszerowali. Odetchnąłem i z powrotem zakryłem pryzmę gratów brezentem. Gdy wyprostowałem się, zawiązawszy ostatni węzeł, stwierdziłem, że Snidely gapi się na mnie z lekko zmarszczonym czołem. Z wystudiowaną niedbałością szarpnąłem ostatni raz za róg plandeki i odszedłem do kolejnych zadań.

Jednakże zwrócenie uwagi kogokolwiek źle wróżyło. Trzeba będzie mieć Jego Tłustość na oku.

***

Okazało się, że będziemy jednak przepływać do innego segmentu. Zamustrowały dwie pasażerki, chcące płynąć w tamtym kierunku, a pani kapitan udało się złapać zlecenie na dostawę do Sadowego Wzgórza, tuż za górami po drugiej stronie. Zlecone dostawy nie były tak lukratywne jak wożenie własnych towarów, ale za to kompletnie pozbawione ryzyka. A dwójka płacących pasażerów była tylko miłym dodatkiem.

Pasażerki, bardzo wiekowa Quinlanka i jej wnuczka, wracały do domu rodzinnego. Theresa była za stara, by móc dłużej płynąć, więc Belinda przepłynęła pod prąd kilkaset mil, aby zabrać ją do domu.

Quinlanie mieli wielki szacunek dla starszych, zatem pani kapitan nie sprzeciwiła się temu, że urządziliśmy dla Theresy wygodne miejsce na słońcu. Nawet Snidely nie był skłonny narzekać.

Belinda bardzo troszczyła się o babcię, ale poza tym nie była specjalnie rozmowna. Była przyjacielska, ale nigdy nie użyła choćby dwóch słów, jeśli wystarczał gest lub pomruk. Parę razy, gdy musiała wygłosić pełne zdanie, wyglądało to, jakby wyszła z wprawy. Przypomniałem sobie uwagi Bridget o braku presji na inteligencję używającą narzędzi i zacząłem się zastanawiać, czy to nie jest objaw tego właśnie. A może po prostu była małomówna.

Kiedy się urządziły, przeszliśmy przez okres teraz już rutynowej bieganiny związanej z wychodzeniem z portu. Ładunek, który wzięliśmy w Soku z Żuka, składający się głównie z soku z żuka (co nie dziwi), sprawiał, że Huragan bardziej niż zwykle pracował na fali, dlatego trzeba go było znacznie staranniej wyważyć.

Kiedy barka znalazła się na środku rzeki, centralnie w nurcie, można było zrobić przerwę na obiad. Skoczyłem do wody razem z resztą załogi i złapaliśmy parę soczystych ryb. Mniam, mniam. Niestety, będąc ciągle na oku innych, musiałem jeść, spać i tak dalej, tak samo jak wszyscy. Tak więc ryba na śniadanie, ryba na obiad… Przysiągłem sobie, że kiedy już wydostanę Bendera, nigdy w życiu nie spojrzę na ryby.

Złapaliśmy też kilkanaście dla kapitana i pasażerów. Usiadłem z Theresą i Belindą, starannie ignorując Snidely'ego, który pożerał rybę, jakby nie jadł od paru tygodni. Jego maniery przy stole odpowiadałyby Pawonisom. A mojej matce raczej nie.

Belinda w milczeniu usunęła z ryby mniej smaczne części, używając małego, choć niewątpliwie kosztownego noża, i podała filety babci, która przyjęła je z uśmiechem.

– Belinda nie jest zanadto rozmowna – powiedziała do mnie. – Patrzyłam, jak próbujesz wciągnąć ją w rozmowę. – Czułym gestem położyła jej rękę na głowie. – Wygląda na to, że dzieci w ogóle coraz mniej mówią.

– Mam kolegę, który kiedyś zauważył, że w Niebiańskiej Rzece inteligencja nie jest aż tak kluczowa, więc zanika podczas ewolucji.

– Z pomocą Administratora? Słyszałam o tej teorii. Nie jest to niemożliwe, ale jego manipulacje musiałyby być bardzo subtelne…

– O, na imię Ojca, znowu te buraczane zabobony – odezwał się Snidely. – Wybawcie mnie od niewykształconych.

Theresa spojrzała na niego.

– A pan to jakie ma wykształcenie, panie Whiplash?

– Mam magistra biznesu z uniwersytetu Peachland – odparł nieprzyjemnym tonem.

Z ciekawości zajrzałem do translatora. Całkiem nieźle. Na tyle dokładnie, żeby zachować znaczenie, choć trochę wątpliwe, żeby „magister" miał to samo znaczenie, co na ludzkiej uczelni.

– I studiował pan na Peachland? – zapytała Theresa.

– Oczywiście.

– A ja na Peachland wykładałam, panie Whiplash. Ten pana protekcjonalny ton jest nie na miejscu. Mam kilka doktoratów, z przedmiotów znacznie ważniejszych niż Podstawy liczenia pieniędzy dla ludzi, którzy wszystko dostali na tacy.

No nieźle. Snidely aż odskoczył, a ja wyobraziłem sobie iskry sypiące mu się z wąsów. Choć go nie lubiłem, jawne okazywanie radości nie było wskazane, zachowałem więc kamienną twarz. Stał sztywno.

– Na pewno dobrze to pani służyło, póki nie wdała się demencja – powiedział, pokazując kły.

Belinda naskoczyła na niego, warknęła i wysunęła pazury. Odsunął się przestraszony jej reakcją.

– Jest pan małym człowiekiem o małej i uwiędłej duszy – powiedziała Theresa. – Nie ma większego marnotrawstwa niż kształcenie kogoś, kto nie ma możliwości z tego skorzystać. Jestem przekonana, że pana życie rozpłynęłoby się w osiągnięciach pana ojca. Nawet by nie plusnęło.

Snidely łypał na nią przez chwilę, nie mogąc wydobyć słowa. Odszedł w milczeniu.

– O, to był dobry tekst – powiedziałem.

Theresa się zaśmiała.

– A pan, panie Zabawski? Też masz pan nazwisko. U ciebie coś za nim stoi?

– Nie za bardzo. Rodzina dorobiła się go bardzo dawno temu. Teraz przydaje się głównie do tego, żeby takie typki nie patrzyły za bardzo z góry.

– A czy myślisz, tak jak pan Whiplash, że ten świat powstał naturalnie?

– Oczywiście, że nie – odparłem. – Jest wirującą konstrukcją, ma sto hennów promienia i składa się z segmentów o długości tysiąca hennów. Wyraźnie sztuczne proporcje. A doświadczenie z ustalaniem prędkości obrotowej robiliśmy na pierwszym roku. Jest dokładnie taka, żeby powstawało 0,86 g.

Trochę ryzykowałem, popisując się naukową wiedzą, ale chciałem, żeby Theresa mnie zaakceptowała. Nie tylko dlatego, że miała umysł jak brzytwa, także dlatego, że mogłem się czegoś przydatnego dowiedzieć. To mogło być pierwsze naprawdę pożyteczne spotkanie od wylądowania na Rzece.

Powoli kiwnęła głową.

– Inżynier? Wyobrażam sobie frustrację. Tyle rzeczy umiesz zrobić, a wszystko jest zabronione.

– A ty czego uczyłaś?

– Filozofii. Matematyki. Historii. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – To ostatnie szczególnie frustruje. Nawet za życia widziałam, jak ludzie zapominają co trudniejsze fakty z historii Quinlan, zastępując je mitami, wiarą w Administratora jako w nadnaturalne bóstwo i różnymi wymyślonymi bajkami.

Bingo. Może w końcu uzyskam kompletny obraz historii Niebiańskiej Rzeki.

– To jak myślisz, co Administrator…

Głos pani kapitan przerwał naszą rozmowę.

– No dobra, leserzy. Łajba sama się będzie sterować? A ten bajzel na pokładzie będzie tak leżał? Płacę wam za opalanie się? Szybko!

Westchnąłem. Dziesięć minut przerwy obiadowej minęło.

***

Nazajutrz tematem dnia było życie po śmierci. Orik i Frieda, co nie dziwiło, skłaniali się ku mistyce. Theresa – i chwała jej za to – nie drwiła i nie traktowała ich protekcjonalnie, zadawała tylko pytania, na które bardzo trudno było im odpowiedzieć. Podczas chwilowej przerwy, gdy Orik i Frieda wycofali się, żeby się przegrupować, odwróciła się do mnie.

– Coś nic nie mówisz, Enoki. Nie masz zdania?

Zaśmiałem się.

– To się jeszcze nie zdarzyło. Prawdziwy problem to zdefiniować, co oznacza życie po śmierci.

– Myślałam, że to raczej oczywiste.

– Wersja nadprzyrodzona tak. A także niedowodliwa, przynajmniej jak dotąd. Ale może popatrzmy na wersję bardziej, hmmm… naukową? – I wdałem się w bardzo skrótowe wyjaśnienie replikacji.

Kiedy skończyłem, Orik i Frieda wyglądali na zdezorientowanych i zbulwersowanych jednocześnie.

– To nie to samo! – zawołała Frieda. – To będzie tylko twoja kopia.

– Ale jeśli oryginał już nie istnieje, to chyba i tak lepsza alternatywa? – odparłem z szerokim uśmiechem.

Theresa się roześmiała.

– I dla reszty ludzi może nie być różnicy. Jeśli moja kopia uwielbia ganiać się z wnukami i pamięta, kto kiedy ma urodziny, to jak poznają, że to nie jestem oryginalna ja?

– Ale nie jesteś!

– W teorii informacji jest taki postulat, że informacja nie daje się zniszczyć – powiedziałem wolno. Ryzykowałem i dobrze o tym wiedziałem. Patrzyłem sam na siebie i nie mogłem się powstrzymać. To może daleko wykraczać poza to, co udało się Quinlanom zachować z nauki. – A w filozofii jest coś takiego jak Najbliższy Kontynuator, którym według niektórych szkół byłabyś właśnie ty. Nawet gdyby był odstęp czasowy.

Theresa rzuciła mi pytające spojrzenie.

– Z kontekstu mogę wywnioskować, co to jest ten „najbliższy kontynuator”, ale o tym z teorii informacji to chętnie bym się dowiedziała więcej.

Reszta jęknęła. Wyraźnie zaawansowana fizyka nie była popularnym tematem.

***

Siedziałem w swojej wirtualnej bibliotece, studiując diagramy Niebiańskiej Rzeki zrobione ze skanów Skippies i Graczy, gdy zaalarmowała mnie MSI manny'ego.

Szop wartownik sygnalizuje zakłócenie.

To oznaczało, że ktoś lub coś manipuluje przy moim bagażu. Szybko przeskoczyłem do manny'ego i po cichu się podniosłem. Był środek nocy, wachtę miał Ted. Symulowane światło gwiazd wystarczało, by zobaczyć brzeg, gdybyśmy za bardzo się zbliżyli. Jednakże zwykle nie było to problemem, bo nurt i wiatr utrzymywały łódź z grubsza na środku. Gdyby trzeba było wykonać jakiś awaryjny manewr, Ted by nas obudził.

Mieliśmy też po małej latarni na rufie i dziobie; wystarczały, żeby sygnalizować pozycję dla innych statków, ale nie wpływały na przyzwyczajone do ciemności oczy. Oczywiście dla manny'ego z prawdziwą noktowizją nie miało to znaczenia.

Ktoś odsunął brezent i nachylał się nad kuframi. Ktoś, jak by to powiedzieć… o ekstraszerokiej sylwetce. Podszedłem po cichu do Snidely'ego i szepnąłem:

– Zamknięte jest, dupku jeden.

Podskoczył i odwrócił się twarzą do mnie.

– I to na niezłe zamki. Lepsze niż moje, a kufer jest podobnej jakości.

Hmm. Otwarcie się przyznał do próby włamania do mojego kufra. Pewnie zamierzał to jakoś spuentować.

– I co z tego wynika, co? Poza tym, że jesteś złodziejem?

Skrzywił się drwiąco.

– Wiesz co, „Enoki", tak się składa, że się przyglądałem, kiedy stawaliśmy w Soku z Żuka. Bardzo sprytnie ich rozegrałeś, że nie sprawdzili twojego bagażu.

Zmarszczyłem brwi.

– Ale jak? Żadnego bagażu nie sprawdzili.

– Bo ja im kazałem nie sprawdzać mojego. Ty im zasugerowałeś, że mam dwa kufry.

– Nic nie zrobiłem, tylko podniosłem plandekę. Sami tak pomyśleli. Miałem prosić: „panowie, otwórzcie mój kuferek"? Jakoś nie widziałem, żebyś ty się zgłaszał na ochotnika.

– Cwaniak z ciebie, Enoki. Wiesz co, skoro taki jesteś niewinny, może pokażesz mi, co masz w środku?

– Ty pierwszy.

– Mój kufer nie jest podejrzany – rzucił wyniośle.

– Mój też nie, tępaku. Na razie to ciebie przyłapałem na próbie kradzieży mojego mienia, a to daje mi prawo go bronić. Więc posłuchaj. – Zrobiłem krok

naprzód, tak że mój dziób prawie dotykał jego dzioba. – Jak jeszcze raz cię złapię na czymś podobnym, urwę ci głowę i nasram do szyi. Rozumiesz?

Snidely cofnął się o krok, wyraźnie nieprzygotowany na ten poziom wyobrażonej przemocy.

– Powiem kapitan, że mi grozisz…

– A ja powiem kapitan, że jesteś złodziejem. I ciekawe, którego z nas wyrzuci ze statku?

Mierzył mnie wzrokiem jeszcze przez parę sekund, po czym odwrócił się i odszedł.

Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. I daleko do końca.

17. Trollowanie dla skarbu
Bill, sierpień 2334, wirt, Loch Porra Hoonky

Troll leżał u moich stóp, przecięty na pół, obie połówki elegancko przyżegnięte. Oczyściłem miecz – ostrożnie – i schowałem do pochwy. W zamian za laskę miotającą ogniste kule i większą część skarbu Gargha dostałem ogniste ostrze i parę elementów magicznej zbroi. Była to uczciwa wymiana, wiadomo, bo i ja, i Saruman Mądry utrzymywaliśmy, że nas okantowano. A jednak żaden się z transakcji nie wycofał.

Nasza grupa posuwała się teraz ciemnym korytarzem w Lochu Porra Hoonky. Gdy pytałem, skąd ta nazwa, mistrz gry uśmiechał się tylko tajemniczo i mówił, że na końcu kampanii wszystko się wyjaśni. Co pewnie oznaczało, że czeka nas spotkanie z jakąś durną grą słów.

Kevin wrócił jako swoja oryginalna postać – zostało z niego dość identyfikowalnych fragmentów, by pozwolić na wskrzeszenie. Gandalf użył jednego ze swoich zwojów, wziąwszy w zamian większość dóbr doczesnych Kevina. Ten zaś, na szczęście, pogodził się ze stratą laski. Przynajmniej nie musiałem już znosić jego spojrzeń spode łba. Tim, po którym nie zostało nic oprócz sproszkowanego popiołu, odrodził się jako złodziej, poziom 1. Do czasu odbudowania sobie poziomu trzymał się środka grupy, żeby ktoś niechcący nie zabił go kichnięciem.

Verne, Pete i ja robiliśmy za fizycznych i dzierżycieli ostrych narzędzi. Na razie dawaliśmy sobie radę, choć zwiększający się poziom trudności jasno mówił, że zbliżamy się do nagrody.

Gandalf szedł tuż za mną, zachowując się jak król gór. Miałem tylko nadzieję, że jego zdolności dorównują stylowi. Bo wyjątkowo niewiele o nich mówił.

– To był troll – rzucił bez potrzeby Tim.

Odwróciliśmy się do niego.

– No i? – zapytał Verne.

– Dość mocny, jak na ten poziom lochów – wyjaśnił Tim. – Gdyby nie ognisty miecz Billa, chyba nie dalibyśmy rady. W każdym razie bez straty jednego czy dwóch graczy.

Obejrzałem się na zewłok trolla. Miał rację. Już za bardzo się przyzwyczaiłem, że prawie każdego mogę rozpłatać jednym machnięciem. Normalnie troll był sporym kłopotem.

– Myślisz, że w coś się pakujemy? – zapytał Gandalf. – Ktoś narobił sobie ostatnio jakichś wrogów?

Zerknąłem na Kevina, który spojrzał na mnie z miną niewiniątka. To akurat było mało prawdopodobne. Gdyby był tak wrażliwy na punkcie straty łupu, nie nadawałby się na Gracza. Cała reszta analizowała swoją niedawną przeszłość, nic nie znajdując – albo wszystko.

– Tu jest tajne przejście.

Podskoczyliśmy, słysząc Tima. Stukał w niczym niewyróżniającą się ścianę.

– Pewien jesteś?

– To jedyna rzecz, do której się nadaję – odparł Tim. – Jak myślisz, po co brałem tę klasę postaci?

– Rozumiem. To zobaczmy, czy da się to jakoś otworzyć.

Wszyscy zaczęliśmy naciskać, przekręcać, unosić i pociągać wszystkie co bardziej wystające części muru. Parę sekund później drzwi odsunęły się z typowym kamiennym zgrzytem, ukazując ciemny jak noc tunel.

– Trochę ciemno – stwierdził Tim. – I ciasno.

Wyjął z kieszeni miedzianą monetę i cisnął ją w mrok. Coś głucho huknęło i dopiero potem rozległ się metaliczny brzęk.

– Hmm…

– No. Coś tam siedzi. Ktoś ma jakiś czar na światło? Albo latarkę?

Nie było potrzeby. Czy obudziliśmy go rzutem monetą, czy po prostu zdecydował, że stracił element zaskoczenia, piekielny pies wypadł z tunelu prosto na Verne’a. Ten zahartowany w bojach, nieustraszony półkrasnoludzki wojownik zesztywniał ze strachu. Poważnie. Pies przewrócił go, jakby zderzył się z nadmuchiwanym klaunem.

Wyraźnie spodziewał się większego oporu. Poleciał dalej tym samym torem, nie zmieniwszy szybkości, i z głośnym łomotem zderzył się ze ścianą. Wydał z siebie dziwnie ludzkie stęknięcie i osunął się bezwładnie na ziemię.

Pete, który nie zesztywniał, skorzystał z okazji, by go przedziurawić, póki się nie pozbiera. Gdy w oczach psa zgasło światło, uśmiechnął się i powiedział:

– Najwyższa pora, żebym i ja coś ustrzelił…

Drugi piekielny pies trafił go na wysokości szyi, gładko odgryzając głowę.

– Cholera! – powiedziała głowa, turlając się po posadzce.

W końcu udało mi się wyrwać z bezruchu – wyciągnąłem miecz i gładko przeciąłem psa na pół.

– Suboptymalnie wyszło – stwierdził Gandalf. Chwycił głowę Pete’a za pióropusz na hełmie i podniósł na wysokość wzroku. – Nie dam rady cię wskrzesić, stary. Nawet gdyby cię było stać, ostatni czar poszedł na Kevina.

Głowa Pete’a odrzekła:

– Nie ma sprawy. I tak już mi się nudziła ta postać.

Rozmowę przerwał potężny basowy ryk przed nami.

– A to co, do stu niebieskich rozbłysków? – szepnął Kevin.

Tim odparł:

– Pojęcia nie mam, ale czuje się, że spory bydlak będzie.

– I głodny – dodałem.

Tim zajrzał do tunelu.

– Chyba ktoś nas na coś naprowadza, ale możemy pójść tędy lub wrócić na początek. Trochę szkoda, Bill, że nie masz już tej laski.

Pokręciłem głową.

– W takiej ciasnej przestrzeni wszystko by się odbiło i nas ugotowało. Gandalf, nie masz czegoś do walki z bliska?

– Nic z tych rzeczy, co myślisz. Chyba jedyna nadzieja to twój ognisty miecz.

– Wspaniale. – To oznaczało, że pójdę pierwszy, trzymając przed sobą magiczny miecz w nadziei, że zabiję napastnika, zanim dotrze do nas. Co guzik by pomogło na magiczny atak. Moja przyszłość zaczęła się skracać na moich oczach.

Wzruszyłem ramionami i ostrożnie wsunąłem się do tunelu.

– Ktoś może by rzucił na to trochę światła?

Gandalf coś mruknął i nad moim ramieniem rozbłysło światło, oświetlając tunel przed nami. Był za niski, żeby stanąć prosto, musieliśmy się posuwać zgięci wpół. Gdybym był bio i robił to w realu, po minucie czy dwóch dostałbym skurczów w plecach; ale środowisko gry, w duchu klasycznego D&D, pozwalało na pominięcie co bardziej realistycznych aspektów poszukiwania przygód.

W końcu tunel skończył się ślepą ścianą. Wszyscy odwróciliśmy się do Tima, który wzruszył ramionami.

– Nic nie widzę.

– Dość już mam tej kampanii – mruknął Verne. – Prawie od wejścia bijemy wysokopoziomowe potwory, straciliśmy połowę grupy i gówno zdobyliśmy.

– Miejmy nadzieję, że końcowy łup jest tego wart. – Gandalf pogrzebał w sakwie. – Mam gdzieś tu zaklęcie Prawdziwego Widzenia… O. – Wyciągnął mały notatnik i przekartkował go. Parę sekund kiwania głową, mruczenia i uniósł wzrok. – Spróbujemy.

Uczynił parę gestów i wygłosił parę słów w zawiłym języku. Potem zmrużył oczy i rozejrzał się w skupieniu, sprawdzając ślepą ścianę i ściany tunelu.

– Nic. Co za cholera?

Wszyscy zagapiliśmy się na ścianę. Podpucha to jedno, ale ślepe zaułki z zasady musiały mieć jakiś cel.

– Naprawdę zaczynam nienawidzić tego Mistrza Gry – powiedział Tim i odwrócił się z powrotem w stronę tunelu. Zrobił trzy kroki i dodał: – Naprawdę, naprawdę.

Popatrzyliśmy przez niego na ślepą ścianę za nami. Znaleźliśmy się w mniej więcej sześciometrowym odcinku tunelu zagrodzonym z obu stron.

Zmarszczyłem brwi.

– Gandalf, to twoje Prawdziwe Widzenie dalej działa?

– Tak, jeszcze z minutę.

– Widzisz w tym tunelu coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Nie.

– A co blokuje Prawdziwe Widzenie?

– No… czary wyższego poziomu oczywiście. Ale ja bym je wyczuł.

– Tom, a ty widzisz coś istotnego?

– Nie. I Prawdziwe Widzenie powinno… zaraz. – Przyłożył dłoń do ściany. – Coś tu wieje.

Przysunęliśmy się i każdy po kolei poczuł delikatny powiew.

– Do listy rzeczy, które blokują Prawdziwe Widzenie, można dopisać mało zaawansowaną sztuczkę, czyli mur postawiony bez zaprawy – zawyrokował Gandalf i naparł na część ściany, która odrobinę ustąpiła.

Wszyscy naparliśmy na nią plecami i po paru sekundach ściana zwaliła się na zewnątrz.

Dobra wiadomość była taka, że zmiażdżyła paru czekających po drugiej stronie zombiaków. Zła – że zaalarmowała wszystkich ich niezmiażdżonych pobratymców. Byliśmy na jednym końcu wielkiej podziemnej kawerny, ze stropem tak wysokim, że ginął w mroku. Na ścianach wisiały szeregi pochodni, dających dość światła, by oświetlić dziesiątki kłębiących się w środku zombiaków i wielką, niedookreśloną figurę, co najmniej sześciometrową, stojącą pomiędzy nimi.

– Ja pierdziu! – wykrzyknął Tim i cofnął się raptownie.

– Mózg! Mózg! – powiedziały zombiaki i ruszyły ku nam.

– Ale zaraz! – zawołał Verne. – To zupełnie nie takie…

– Cicho, Verne – warknął Gandalf. – Najpierw strzelaj, potem stękaj.

Uniosłem miecz i zacząłem nim machać. Może trochę za bardzo entuzjastycznie, bo Verne wrzasnął:

– Ej no, uważaj! – I zeskoczył mu z drogi.

Bez Pete’a zostały nam dwie postacie klasy wojownik. Nawet z pomocą magicznych akcesoriów Verne i ja nie będziemy w stanie powstrzymać takiej bandy nieumarłych.

– Gandalf, jak masz coś jeszcze w torbie pełnej niespodzianek, to wyciągaj! – krzyknąłem.

– Sekundę! – odkrzyknął.

Usłyszałem ciche przekleństwa, a potem:

– Ooo!

Rozległ się „pyk” i zombiak próbujący zeżreć topór Verne’a zmienił się w chmurkę śmierdzącego gazu.

Uniosłem brwi, ale nie miałem czasu na zastanowienie. Choć zombiaki nie były szczególnie mocne, nadrabiały to liczebnością i całkowitym brakiem lęku. I były trudne do zabicia. Trzeba je było praktycznie pokroić na sushi, żeby przestały cię atakować. A w mój zasięg zaraz miało ich wejść kilkanaście. Zarepetowałem rękę z mieczem i…

Pyk, pyk, pyk.

– Juu-huu! – wrzasnął Gandalf.

Nagłe zniknięcie kilku zombiaków dało mi czas na obejrzenie się przez ramię. Wymachiwał różdżką. Za każdym razem, gdy z niej mierzył, rozlegało się kolejne „pyk”.

– Kurde, dobre to jest – powiedział Verne i rozsiekł kilku kolejnych.

– Bibbety bobbety boo – odpowiedział Gandalf, tańcząc i machając różdżką. – Bibbety bobbety bibbety bobbety bibbety bobbety boo! – Za każdym akcentem jeden zombiak znikał w obłoczku dymu. Smród był powalający, a silnik gry nie pozwalał przykręcić zmysłu węchu.

Zostały tylko ostatnie zombiaki i zaczynałem myśleć, że może to przeżyjemy, gdy ogromna łapa pojawiła się znikąd i owinęła się wokół mnie. Uniosłem się w powietrze, nie mogąc złapać tchu.

Ostatnie zombiaki zniknęły z pyknięciem, Gandalf przerwał swoją śpiewogrę. Co dziwne, chyba nikt dotąd nie zauważył mojej sytuacji, sądząc po zszokowanych spojrzeniach.

– Ktoś pomoże? – wyskrzeczałem z trudem.

– Ceść, kłólicku – odezwał się ktoś za nami.

Verne i Gandalf odwrócili się. Ja nie mogłem, ale ogromna łapa pomocnie przekręciła mnie twarzą w stronę głosu – i zobaczyłem szczerzącego się Kevina z magicznym zwojem w garści.

– Golem – wyjaśnił, machając nim.

Pomocna dłoń znów mnie obróciła i w końcu zobaczyłem coś, co wcześniej miałem za posąg. Sześciometrowy człekokształtny stwór koloru gliny patrzył na mnie obojętnie, a z twarzy zadziwiająco przypominał Odona ze Stacji kosmicznej. Trochę poluzował uchwyt, żebym mógł mówić i oddychać.

Kevin włożył zwój do kieszeni, a ja odruchowo napiąłem mięśnie. Nic z tego oczywiście. Nie musiał trzymać zwoju, żeby sterować golemem, wystarczyło, że go miał. A golemy, nie dość, że prawie niezniszczalne, były też silne jak cholera.

Kevin zszedł na bok, żeby oddalić się trochę od reszty grupy, cały czas uśmiechając się drwiąco i triumfująco, ale nic nie mówiąc. Najwyraźniej czekał, żebyśmy my pierwsi zadali pytanie.

– No co jest, Kevin? – zapytał posłusznie Verne.

Kevin wskazał mnie.

– Popatrz no na Billa. Pierwszy raz w kampanii i z paszy dla smoka przeskakuje na poziom wyższy niż mój, chociaż głównie potyka się o własne nogi. Nic nie robi i wychodzi ze skarbem.

– I jeszcze twoją ognistą lagę zabrałem. To na pewno też miało swój wpływ.

Łypnął na mnie wrogo.

– Trzeba cię było trochę utemperować. – Uśmiechnął się paskudnie. – Dlatego zorganizowałem tę kampanię i dopilnowałem, żeby cię zaprosili.

– Grałeś i DM-owałeś jednocześnie?! – wykrzyknął Gandalf.

– Nie, kumpel robił za mistrza. Ja jestem tylko…

– Zdrajcą – dokończył za niego Verne.

– A mów sobie, co chcesz. Nikt z was nie ma nic na golema. Miłego ginięcia, dzięki Billowi. A co do Billa… – Uniósł dłoń i zacisnął ją w pięść.

Czekałem na koniec, z nadzieją, że mój filtr sensoryczny jest w miarę nisko ustawiony, ale nic się nie stało. Kevin zrobił zaskoczoną minę i powtórzył ruch. Nadal nic. Sięgnął do kieszeni i mina zmieniła się w spanikowaną.

– Tego szukasz?

Wszyscy odwróciliśmy się, słysząc głos Tima. Opierał się o ścianę, nonszalancko podrzucając w dłoni magiczny zwój.

A, fakt. Klasa: złodziej.

– Z ciebie, Kevin, to naprawdę jest kawał fiuta – powiedział Tim i rozwarł drugą dłoń.

Golem upuścił mnie, wyciągnął łapę, złapał Kevina za głowę i ścisnął. Rozległo się pyk, coś jakby eksplodował zombiak, i z pięści golema wytrysnęła lepka maź.

Verne zgiął się wpół i zwymiotował.

– O Boże! – wykrzyknął Gandalf. – Musiałeś?

Tim skrzywił się współczująco.

– No dobra, może to nie był mój najlepszy ruch. Ale… – Uniósł Zwój Golema. – Mam tu naprawdę zajebisty kawał czaru. Widzę w mojej przyszłości awans o parę poziomów. Zobaczmy, co jeszcze da się znaleźć.

Wyszczerzyliśmy się do siebie. Kolejna udana kampania.

***

Ponownie wprosiłem się do VR-ki Gandalfa, tak że patrzył na mnie podejrzliwie. Może spodziewał się kolejnego wykładu na temat zaangażowania Graczy w ekspedycję. Ale tym razem nie to mnie dręczyło.

– Co do Kevina… to nie jest zachowanie typowe dla Boba. Jak daleko on zdryfował?

Wzruszył ramionami.

– Jest jednym z moich potomków. Mógłbym go zapytać, ale tak z głowy to będzie gdzieś dwudziesta czwarta generacja. Nie powinno być dziwne, że jest dość daleko.

– Daleko w stronę dupka. I to mściwego.

– Oj, Bill, posłuchaj, ja rozumiem, czemu starsi Bobowie tak się martwią dryfem. Popatrz na to z naszego punktu widzenia. Dla nas to bardziej zaleta niż wada.

O, to ciekawe. Uniosłem brwi i zrobiłem ręką okrągły ruch, żeby kontynuował.

– Kiedy zaczynaliśmy z grupą Graczy, większość z nas wciąż była bardzo bobowata i szczerze mówiąc, było to trochę nudne. Każdy chciał być magiem, lochy składały się głównie z intelektualnych zagadek, wszystko było starannie zrównoważone… i bardzo cywilizowane. A teraz… – Machnął ręką bezradnie. – Teraz… nie zawsze można polegać na graczach z drużyny, zdarzają się zwariowane rzeczy, jak dzisiaj, albo w ogóle wszystko wymyka się spod kontroli. Kampanie tylko są przez to ciekawsze. A w ogóle to ostatnio przyłączają się też nie-Bobowie, z tych postludzkich replikanckich arkologii.

– Co, naprawdę? Którzy to byli?

– Dzisiaj nikt. Sami Bobowie. Ale poprzednim razem, jak grałeś, była dwójka eksludzi. Ciekawe, że nie zauważyłeś.

– Hmm. – Miał rację. – Czyli Kevin…

– Jego reputacja mocno ucierpi, ale nie przez próbę zdrady, tylko przez to, że była nieudana. Dalej pozwolimy mu wchodzić do naszych kampanii. Po prostu będziemy się starać nie mieć go za plecami, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Zachichotałem i pokręciłem głową.

– Dobrze mówisz. Łatwo jest patrzeć krótkowzrocznie i wszystko widzieć przez pryzmat własnych priorytetów. A to jest coraz bardziej niebezpieczny nawyk. Chyba muszę świadomie się nauczyć patrzeć na każdego jak na odrębną osobę. – Wstałem. – Dzięki, Gandalf. Za grę i za naukę.

Kiedy znikałem, cały czas się uśmiechał.

18. Kłopoty ze Snidelym
Bob, sierpień 2334, wzdłuż rzeki Nirwany

Miałem sytuację typu dwie wiadomości, dobra i jeszcze lepsza. Dobra była taka, że Snidely mnie teraz unikał. Jeszcze lepsza: wszyscy to zauważyli i starali się trzymać blisko mnie. Zastanawiałem się, czemu za życia nie przyszła mi do głowy taka taktyka.

Mieliśmy przerwę obiadową i jak codziennie na obiad była ryba. Ryba ze wszystkim, flakami i tak dalej. Mniam.

Dyskusja zeszła na kwestię moralności – Frieda właśnie zapytała Theresę, jak może mieć jakikolwiek zmysł moralny, nie mając boga, który określa, co jest moralne, a co nie. Jak zwykle musiałem zaciskać zęby, żeby nie pacnąć się dłonią w czoło, bo Quinlanie nie znali takiego gestu. Nie mieli też dobrego odpowiednika, inaczej już bym go użył.

– To, co ci dają bogowie, to nie są reguły moralne – odpowiedziała Theresa. – To tylko reguły. Zrób tak, dostaniesz nagrodę. Zrób owak, będziesz ukarany. Tak się uczy zwierzęta, żeby nie załatwiały się w domu. Można by mieć nadzieję, że prawdziwa moralność to coś więcej niż uczenie się, żeby nie robić na dywan, przez dostawanie po nosie.

Przypomniało mi się, że Garfield widział małe zwierzę z kołnierzem wstydu na szyi. Wyglądało na to, że zachowanie zwierząt domowych to kolejna wszechświatowa stała.

– Właściwie to sądzę, że osiągnięcie prawdziwej moralności jest możliwe wyłącznie bez udziału jakiegoś bóstwa – ciągnęła Theresa. – Dopiero kiedy postępujesz, jak postępujesz, dlatego że uważasz to za słuszne, a nie w nadziei na jakąś nagrodę, postępujesz prawdziwie moralnie. Podobnie postępujesz moralnie, jeśli odmawiasz zrobienia czegoś z uwagi na Złotą Regułę, a nie dlatego, że boisz się kary.

– Aaa – odezwałem się. – Złota Reguła. Traktuj innych tak, jak chciałbyś sam być potraktowany.

Theresa spojrzała na mnie zdziwiona.

– No nie, to jest Srebrna Reguła.

– Co takiego? – Coś przeoczyłem?

– Są trzy reguły zachowania – odparła Theresa, wchodząc w tryb nauczycielski. – Żelazna Reguła: traktuj słabszych od siebie, jak chcesz. Srebrna Reguła: Traktuj innych tak, jak chciałbyś sam być traktowany. Złota: Traktuj innych tak, jak oni sami chcieliby być traktowani.

– Hm. Nie słyszałem tego.

Theresa zmarszczyła brwi.

– Dziwna luka. Jak ty daleko mieszkasz? Może potrzebny tam wam misjonarz?

– Ateistyczny misjonarz? – rzuciła drwiąco Frieda.

– Czekaj… – Powstrzymałem Friedę uniesioną rękę. I zapytałem: – A czemu to ma być lepiej?

– Jeśli traktuję cię tak, jak sama chciałabym być traktowana, nie biorę pod uwagę, czego ty chcesz. – Wykonała błagalny gest. – Jeśli jesteś unitarianinem i nie jesz lądowego mięsa, a ja je lubię najbardziej, według Srebrnej Reguły zachowuję się moralnie, proponując ci stek, gdy jesteś głodny. Ale ty oczywiście go nie zjesz i możesz wręcz być urażony. Czyli Srebrna Reguła skupia się na mnie i tym, czego ja chcę. Natomiast według Złotej powinnam wziąć pod uwagę twoje poglądy i preferencje, kiedy decyduję, jak się wobec ciebie zachować. Da to lepszy wynik, prawda?

– Hmm – powtórzyłem. Po raz kolejny. Nie wypadłeś za inteligentnie, Bob. – Muszę się nad tym zastanowić.

Theresa się uśmiechnęła.

– To najlepsze słowa, jakie może usłyszeć nauczyciel.

– Ale… przecież możesz wierzyć w najrozmaitsze rzeczy i jak wtedy zdecydować, co jest słuszne… – wtrąciła Frieda.

– Chcecie przepłynąć sobie koło portu, tak? – rozległ się głos kapitan Lisy. Szlag, głos to ona miała. Zastanawiałem się, czy kapitanowie specjalnie się szkolą z takiego krzyku. – Może na skały po prostu sobie wpadniemy? Jak któryś znajdzie chwilę, może trochę posteruje tą balią?

Jak zwykle dziesięć minut na lunch minęło.

***

Do portu w Sadowym Wzgórzu zawinęliśmy bez problemów. Gdy tylko opadł trap, Snidely wyczłapał nim na nabrzeże, wyprzedzając panią kapitan. Nie miał

ze sobą kufra, więc niestety wyglądało na to, że wróci. A kapitan Lisa na pewno będzie miała mu parę rzeczy do powiedzenia.

Kapitan i bosman portu wdali się w zwyczajowe przekrzykiwanki i zapluwanki, z których, jak zawsze, wynikła dla nas jakaś robota. Zaczęliśmy znosić skrzynie z Huragana i ustawiać je na specjalnie do tego przeznaczonym nisko zawieszonym wozie.

Była to bezmyślna praca i dobrze się przy niej myślało. Byłem w drodze od tygodnia i pokonałem jeden segment. Zakładając, że to typowa prędkość, do Grzbietu Garaka będę wracał półtora miesiąca. Może trochę dłużej, bo trzeba jeszcze będzie przedostać się z Nirwany z powrotem na Arkadię. Może uda się wsiąść na statek, który tak regularnie kursuje.

Coś nieokreślonego wyrwało mnie z zamyślenia. Jest pewien dźwięk, czy raczej zmiana w odgłosach tła, która zachodzi, gdy pojawiają się gliny. Jest nieznaczna, ale wystarcza, żeby się zatrzymać i zacząć rozglądać.

Pomostem szedł Snidely i gadał coś w ożywieniu do jednego z czterech policjantów. Wątpliwe, żeby ściągnął ich tutaj, żeby sprawdzili Huraganowi licencję. O ile w ogóle były tu takie rzeczy.

Snidely podszedł wprost do mnie i triumfalnym tonem powiedział:

– O, ten.

Policjant, pewnie najwyższy stopniem, przyjrzał mi się, przekrzywiając nieco głowę.

– Nie pasuje do opisu. – Westchnął ciężko. – No… ale jak już przyszliśmy… – Machnięciem ręki kazał mi wejść przed sobą po trapie.

– Co tu się dzieje? – zapytała kapitan Lisa. Ustawiła się przed oficerem, zastępując mu drogę.

Wskazał Snidely’ego.

– Ten dżentelmen oskarżył tego człowieka, że jest zbiegiem, który jest teraz poszukiwany w kilku segmentach.

– Na podstawie tego, że chciał się włamać do mojego kuferka i mu groziłem – powiedziałem.

– A czemu miałby się włamywać do twojego kuferka?

– Miał pan już z pięć minut, żeby go poznać. Niech pan szczerze powie, czy to do niego niepodobne.

Gliniarz nic nie powiedział, ale przybrał ten kamienny wyraz twarz, jak wtedy, gdy chce się ukryć jakąś minę. Po chwili westchnął.

– Ale już i tak przyszliśmy, a pan Whiplash jest z Rodziny. – Odwrócił się do pani kapitan. – Może mnie pani nie wpuścić na pokład. Ale bosman może także odmówić zgody na załadunek i wyładunek. Decyzja należy do pani.

Lisa rzuciła Snidely’emu mordercze spojrzenie, zanim odpowiedziała:

– Pan ma zgodę. On nie ma. – Zwróciła się do Teda. – Znieś bagaż pana Snidely’ego na ląd.

Snidely uśmiechnął się do niej.

– Wielkie mi co. Parę godzin i znajdę sobie inny statek.

– Ale to nie będzie ten statek – odparła kapitan. – A załogi statków dobrze się znają. Niech pan nie będzie taki pewny swego. – Przez chwilę grzebała w kieszeni kamizelki, aż wyciągnęła dwie monety. – Zwrot za resztę podróży. – Rzuciła mu pieniądze pod nogi.

Muszę przyznać, że nie schylił się po nie. Rzucił jej za to spojrzenie, przy którym jej poprzedni tekst brzmiał jak list miłosny. Gdyby strzeliły mu z oczu pioruny, wcale bym się nie zdziwił.

Monety potoczyły się kawałek, paru przygodnych widzów rzuciło się po nie. Sierżant rzucił kapitan spojrzenie, które mogło być pełne zrozumienia, a potem zwrócił się do mnie i znów pokazał trap.

Minął nas Ted, wracający z kufrem Snidely’ego. Spojrzałem przelotnie, sprawdzając, czy nie wziął niewłaściwego.

Plandeka nadal była podwinięta. Wyciągnąłem swój kufer z pryzmy, postawiłem na pokładzie i otworzyłem zamek. Gliniarz wyciągnął rękę i uniósł wieko, ukazując… różne rzeczy. Złożona kamizelka, trochę drobnych narzędzi, parę książek, mała ceramiczna figurka, dziennik i przybory do pisania. Przesunął parę rzeczy, zmarszczył czoło, popatrzył na mnie.

– Normalne rzeczy. Czemu pan po prostu mu tego nie pokazał?

– A pan by pokazał, gdyby ten nadęty buc sobie zażyczył?

Gliniarz prychnął.

– Ha. Pewnie nie. Pan Snidely będzie się musiał nieźle tłumaczyć. Marnowanie czasu funkcjonariuszy ma swoje konsekwencje. Przepraszam za kłopot.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, policjanci zeszli ze statku na keję. Wyobrażałem sobie, że Snidely niedługo będzie musiał odbyć dość ostrą i najlepiej jeszcze niekrótką rozmowę. Zerknąłem kontrolnie na kontener z ładunkiem, w którym obecnie zamiast tej zbieraniny przedmiotów znajdowała się macierz Bendera. Trzeba będzie wieczorem podmienić to z powrotem, bo ten akurat kontener wysiada na następnym przystanku.

***

– Co za buc – rzucił Ted.

Uśmiechnąłem się szeroko i podsunąłem mu miskę z rybami.

– No, ale widziałeś jego minę, jak go prowadzili po kei? Chyba ciekawie spędzi popołudnie.

Theresa wzięła od Belindy filet i przez parę sekund z namysłem go przeżuwała.

– Niestety, raczej będzie mieć dużo dzieci.

Wszyscy się roześmialiśmy. Harvey, nowy marynarz, dodał:

– Zdaje się, że przegapiłem coś ciekawego. Ale miałem już do czynienia z wrednymi pasażerami. Mało przyjemne.

Theresa odwróciła się do mnie.

– No, Enoki, powiedz mi więcej o utylitaryzmie.

Reszta jęknęła. Okazało się, że niechęć do filozofii moralności jest ponadgatunkowa.

***

Nocną wachtę znowu miała Frieda. To dobrze, bo ostatniej nocy obserwowałem, jakie ma zwyczaje. Teraz musiałem zamienić zawartość mojego kuferka i kontenera. No, ale wiecie, noktowizja.

Otworzyłem jedno i drugie, przeniosłem zbieraninę gratów z powrotem do kontenera. Uniosłem macierz Bendera i już miałem ostrożnie ułożyć ją wśród suchych traw, którymi wyścielony był kuferek, gdy ktoś za moimi plecami powiedział:

– Bardzo to ładne. Co to jest?

Okręciłem się, omal nie upuszczając macierzy, i zobaczyłem uśmiechniętą Theresę.

– Eeee… – odpowiedziałem.

– Faktycznie jest mniej więcej wielkości skrzynki żałobnej. A skoro starałeś się to ukryć, zakładam też pewną dozę poczucia winy, o ile to odpowiednie słowo.

No, po prostu fantastycznie. Będę musiał zabić Theresę? W ogóle będę w stanie to zrobić? Jakie mam alternatywy?

– Enoki, ty nie jesteś stąd, co?

– Żadne z nas nie jest.

Parsknęła śmiechem.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Nie jesteś rodowitym Quinlaninem, a przynajmniej nie jesteś mieszkańcem Niebiańskiej Rzeki, jak my wszyscy. W ogóle jesteś Quinlaninem?

– Dziwne pytanie. A kim niby?

– No… kimś, kto wie, co to utylitaryzm i Najbliższy Kontynuator, o czym nigdy nie słyszałam, ale nie zna Trzech Reguł, których uczy się każde dziecko. I kimś, kto myśli, że ciążenie w Niebiańskiej Rzece to 0,86 g, a nie 1 g. To skąd ty jesteś, że tam ciążenie to 1,16 g?

Oj. Szlag. Pamiętałem tę rozmowę, założyłem, że tłumacz przeliczy jednostki, ale widać tego nie zrobił. No to jestem po szyję w parującym, śmierdzącym…

– Theresa, chyba za dużo się dopatrujesz w paru przypadkowych rozmowach.

– To byłaby rozsądna sugestia, gdyby nie to coś, co masz w rękach. Wygląda jak z metalu. Jeśli tak, to za taką ilość metalu można by kupić cały segment. Ale pracujesz jako marynarz. Coś tu do czegoś nie pasuje, rozumiemy się? – Przy ostatnim zdaniu się uśmiechnęła.

– Yyy…

Przewróciła oczami.

– Normalnie jesteś trochę bardziej elokwentny. Mam ci dać klapsa?

Zachichotałem.

– Nie, pani profesor. I co zamierzasz zrobić?

– Jeśli spróbuję cię zdemaskować, przeżyję?

Zamknąłem na moment oczy.

– To byłoby najskuteczniejsze rozwiązanie problemu i ze ściśle utylitarnego punktu widzenia mogłoby być akceptowalne. Ale nie. Tak nie postępuję. Po prostu bym uciekł. I musiałbym zaryzykować zamoczenie tego. – Uniosłem macierz dla zilustrowania swoich słów.

– Czyli jesteś tą poszukiwaną osobą?

– Prawie na pewno tak. Zawsze jest możliwość, że to zbieg okoliczności, lecz chyba mało prawdopodobny. I nawet gdyby, to i tak wylądowałbym w pace do czasu, aż to ustalą.

– A jakie przestępstwo popełniłeś?

– Próbowałem uratować przyjaciela. Poważnie, Theresa. Tylko tyle.

Kiwnęła głową.

– Wierzę ci. Może jestem trochę uprzedzona, ale nie widzę, żeby ktoś, kto jest w stanie zrozumieć moralną filozofię mógł się nią nie kierować. Poza tym jesteś bardzo interesującym partnerem do rozmowy.

Zaśmiałem się i mruknąłem:

– Małpo, tańcz.

– Co takiego?

– A, ten… mamy taki ironiczny zwrot. Znaczy, że aby zachować bezpieczeństwo, muszę starać się być interesujący.

– Mam nadzieję, że nie widzisz mnie w ten sposób. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie widzę powodu, by cię demaskować. Ale powiedz mi jedno. Ty

jesteś spoza Niebiańskiej Rzeki? Czy po prostu spoza obszaru, w którym my mieszkamy?

Zawahałem się, a potem stwierdziłem, że co tam.

– Tak, Thereso. I masz rację, nie jestem Quinlaninem. Administrator istnieje, ale nie jest bóstwem, jest konstruktem technicznym. I ściga mnie, bo chce to odzyskać. – Znów machnąłem macierzą.

– To jest jego?

Pokręciłem głową.

– Nie. Tak dokładnie to ja sam to zbudowałem. Administrator mi to zabrał, potem Ruch Oporu mu to wykradł i teraz ja chcę to odzyskać. To jest bardzo duże uproszczenie, bez bardzo wielu szczegółów, ale to prawda.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś. Będzie mi brakować naszych dyskusji.

– Co takiego? Czemu?

– Bo bez wątpienia znikniesz bez pożegnania przy pierwszej okazji. Dobranoc, Enoki.

Z tymi słowy odwróciła się i poszła z powrotem do zwiniętej w kłębek wnuczki.

Byłem zdetonowany. Kończąc zabezpieczać macierz i umieściwszy pająka z powrotem w kufrze, miałem masę czasu na rozważenie opcji. Oczywiście ze wszystkich, co mogli mnie zdemaskować, dobrze, że była to akurat ona. Jednak, jakkolwiek by na to patrzeć, to się stało. I miała rację, najlepszym wyjściem byłoby natychmiast stąd znikać.

***

Sto pięćdziesiąt kilometrów. Mniej więcej.

Taka odległość dzieliła od siebie poszczególne rzeki. Chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść lądem do następnej rzeki, lecz to było po prostu za daleko. Pięć dni drogi, i to jeśli nic się po drodze nie stanie. I nie mogłem użyć strumieni ani dopływów.

Theresa i Frieda znowu wdały się w dysputę: moralność teistyczna kontra ateistyczna. Słyszałem to wszystko tyle razy, głównie za życia, że trudno mi było podtrzymać zainteresowanie. Theresa zerkała na mnie od czasu do czasu, ale nie próbowała wciągnąć mnie do rozmowy.

Orik natomiast nie miał oporów.

– Enoki, co, na imię Ojca, się z tobą dzieje? Tematy do rozmowy ci się skończyły?

– Ja… ten… zamyśliłem się. Zaraz mi przejdzie.

Theresa uśmiechnęła się do mnie.

– Nie ma sprawy, żadne terminy nas nie gonią.

Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej chwili pani kapitan zaczęła swą codzienną tyradę o leniwych marynarzach-obibokach. Wyszło, że jednak gonią.

***

– Na końcu tego segmentu będziemy zawracać – powiedział Ted podczas przerwy. – Planujesz płynąć dalej na wschód?

– Tak. Z tego, co wiem, moje rodzinne miasto jest dalej tam, gdzie było.

– Theresa i Belinda wysiadają w Mglistych Kaskadach. To nasz ostatni przystanek przed zawróceniem. Czyli chyba razem wysiądziecie.

Zastanowiłem się, ale nie widziałem, żeby to jakoś podnosiło mi ryzyko. Theresa nie będzie bardziej skłonna mnie zadenuncjować, kiedy postawi stopę na lądzie. Niemniej na kolejnym statku, wśród całkiem nowych i nieznajomych ludzi, poczułbym się o wiele bezpieczniej.

Do przystani podchodziliśmy w południe. Czułem raczej smutek niż lęk czy zagrożenie – i nie potrafiłem sobie tego wytłumaczyć, póki nie zrozumiałem, że już nigdy nie zobaczę Theresy. W zadziwiająco krótkim czasie właściwie się zaprzyjaźniliśmy. Nie miałem jednak wyboru. To nawet nie była kwestia tego, czy mam wysiąść, czy nie. Huragan i tak tutaj zawracał, by popłynąć rzeką Raj.

Proces przybijania, jak zawsze, był chaosem wykrzykiwanych rozkazów i latających lin, po którym byliśmy zacumowani. Wtedy kapitan Lisa podeszła, żeby pożegnać się z Theresą, Belindą i mną. Mając Harveya, który zostawał, wystarczy im marynarzy na drogę powrotną, choć nie będą mieli pasażerów. Miejmy nadzieję, że uda im się wyrobić jakiś zysk.

Podniosłem swój kuferek i zszedłem za Belindą i Theresą po trapie, niespecjalnie się rozglądając. Co chyba tłumaczyło moje zaskoczenie, kiedy weszliśmy prosto w krąg policjantów.

19. Da się kogoś odwołać
Howard, sierpień 2334, Trantor

Rozparłem się w fotelu i założyłem dłonie za głowę, szczerząc się jak głupek.

– Coś taki zadowolony z siebie? – zapytała Bridget. – Coś się urodziło?

– No, okazuje się, że nie jesteśmy jedynymi replikantami, którzy mają kasę i wpływy. – Machnąłem ręką w stronę maila wyświetlonego na Kanwie. – Senator MacIntosh. Pamiętasz go? Ostro antyreplikancki. Odwołują go.

– Naprawdę?

– Już zebrali odpowiednią liczbę podpisów. I zgadnij, kto stał za kampanią?

– My?

Parsknąłem śmiechem.

– Nie, chociaż szkoda. Ten typ to toksyczny zlew ksenofobii i nienawiści. Chyba nie miał pojęcia, że ośrodek replikantów Życie po życiu jest w jego okręgu. A może myślał, że zabierze nam prawa, nim zdążymy coś zrobić. Albo coś.

Bridget zmarszczyła czoło.

– Ale to by było co najwyżej ze dwieście podpisów. Musieliby… – Jej wzrok na moment się rozogniskował. – Zebrać jakieś piętnaście tysięcy, żeby to przeszło.

– No. Okazuje się, że ludzie interesują się swoim życiem po życiu. W każdym razie ta anty-MacIntoshowa grupa zaczęła go porównywać do WIARY i ich odbierania praw androidów, a potem zasugerowała, że obojętnie jaką postludzką konfigurację sobie wybierzesz, wcześniej czy później dobierze ci się do tyłka. Wszystko wygląda inaczej, kiedy odbierasz to jako bezpośrednie zagrożenie.

Bridget parsknęła i usiadła koło mnie. Parę sekund przewijała wiadomości, potem odwróciła się w moją stronę.

– Jeszcze tego nie przegłosowali. Nie dzielmy skóry na polityku. A ogólny problem pozostaje. Nieufność do replikantów.

– Dlatego właśnie rozpuściłem plotkę, że ktoś pracuje nad mannymi dla zwykłych ludzi. Żadnej wielkiej tajemnicy nie zdradziłem, nie powiedziałem, kto to robi… i jak bardzo jesteśmy… ten, są, zaawansowani. Chodzi o to, że jak

ludzie się dowiedzą, że mogą używać manny’ego za życia, trudno im będzie sprzedać pełny zakaz.

Bridget uśmiechnęła się niezobowiązująco i rozwinęła nowe okienko.

– Mam kandydatkę do eksploracji.

Zerknąłem na informacje na Kanwie.

– Nowa planeta?

– Świeżo odkryta. Mario i jego ekipa cały czas szukają gniazd Innych. Nic na razie nie znaleźli, ale oczywiście badają przy okazji nowe układy. Znaleźli parę planet spustoszonych przez Innych i parę, których jeszcze nie tknęli, choć niewiele brakowało. A ta tutaj jest… zresztą przeczytaj.

Sięgnąłem ponad nią i przewinąłem opis. Czułem, że czoło mi się marszczy, coraz bardziej w miarę czytania.

– To jest prawda?

– Jeśli Mario nie wyhodował sobie nagle absurdalnego poczucia humoru, to raczej prawda. Może się okazać, że to najdziwaczniejszy ekosystem, jaki w życiu widziałem. A pamiętaj, że widziałam Patchworka.

Przewinąłem stronę parę razy w górę i w dół, po czym uśmiechnąłem się do niej szeroko.

– Klimat jak z Flasha Gordona. Może być nieźle.

Bridget roześmiała się w odpowiedzi.

– Poprosiłam Maria, żeby zrobił nam w tym układzie pełnowymiarową stację orbitalną i autofabrykę. Na razie skorzystam z jego dronów szpiegowskich i zrobię wstępne rozpoznanie. Tu trzeba będzie zebrać masę informacji. Może i więcej niż w przypadku Quinlan.

– Wow! – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. – Latające małpy.

– To nie małpy.

– Ale prawie. – Zamknąłem okienko. – To będzie największy hit w historii twojego bloga.

20. Gra toczy się dalej
Bob, sierpień 2334, Mgliste Kaskady

– Musimy sprawdzić pana kufer, sir – powiedział do mnie jeden z gliniarzy.

Stałem przez chwilę bez ruchu, próbując zdecydować, czy mam rzucić się do ucieczki. Ciszę przerwał głos Theresy:

– A dlaczego właściwie chce pan sprawdzać mój kufer?

Odwrócił się do niej zdziwiony.

– Pani kufer?

Rzuciła mu wyniosłe spojrzenie.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto sam taszczy swoje rzeczy? Dałam mu dwa miedziaki, żeby mi to poniósł. Jeśli będzie nas pan dłużej zatrzymywał, kapitan statku będzie musiała czekać z wypłynięciem.

– A pani to…

– Jestem Theresa Sykorski, emerytowana wykładowczyni Uniwersytetu Peachland.

Cofnął się zbity z tropu i nie mogłem go winić. Po raz pierwszy usłyszałem, że Theresa ma nazwisko. W dodatku ewidentnie dobrze znane. Musiała być niesamowicie opanowana, skoro nie rzuciła go w twarz Snidely'emu.

Na razie jednak gliniarze dosłownie stawali na rzęsach, żeby ją udobruchać. Prychnęła tylko i władczym gestem kazała mi iść za sobą.

Kiedy się oddaliliśmy, szepnąłem do niej:

– Trochę sierści trzeba mu było zostawić.

Parsknęła śmiechem i się zatrzymała.

– Enoki, niech to będzie mój pożegnalny prezent. Mam nadzieję, że kiedyś dowiem się więcej o twoim świecie. A także o moim. Do widzenia.

Pożegnałem się i szybko odbiegłem w najbliższą przecznicę, starając się zachować opanowanie.

Za rejs Huraganem zarobiłem całe sześć żelaznych. Do tego dwa miałem w żołądku – byłem bogatym człowiekiem. Dobra, nie człowiekiem,

Quinlaninem. Dobra, nie do końca bogatym. Mogłem przeżyć kilka dni, płacąc za hotel. Chcę czy nie, i tak trzeba szybko trafić z powrotem na jakiś statek. Ale nie mogłem teraz wrócić do portu. Psiarnia na pewno pamięta mnie i mój kufer. Swój wygląd mogłem zmienić, kufra nie za bardzo. A może?

Próbowałem sobie przypomnieć, gdzie jest biuro spedycyjne. Idąc z portu, widziałem je kątem oka. Odegrałem sobie kawałek archiwum wideo i je znalazłem.

Ruszyłem z powrotem w stronę przystani, idąc okrężną drogą, tak, by biuro spedycyjne było pomiędzy mną i gliniarzami, zakładając, że wciąż tam pilnują. Po drodze stopniowo zmieniałem wygląd, wykorzystując cechy przypadkowych przechodniów do stworzenia mieszanki nieprzypominającej nikogo konkretnego. Miałem nadzieję, że to się udaje – nie mogłem wyciągnąć pająka, żeby strzelił mi selfie. Jeśli ludzie się przestraszą i uciekną, wszystko trzeba będzie zaczynać od początku.

***

Tak jak liczyłem, biuro spedycyjne sprzedawało skrzynie ładunkowe, czy też kontenery. Nie były drogie ani zbyt wysokiej jakości, po jednym żelaźniaku za sztukę. Ale nie chodziło mi o jakieś zabezpieczenia, lecz o ukrycie zawartości. Rząd dziurek wokół pokrywy pozwalał użytkownikowi opleść całość sznurkiem. To wystarczało.

Spedytor chciał mi sprzedać także usługę przewozową – początkowo się sprzeciwiłem, skoro będę podróżował sam ze skrzynią. Może jednak lepiej zrobić wszystko normalnie? W końcu zapłaciłem trzy żelaźniaki i wpisałem na druku po prostu swoje imię i „Grzbiet Garaka”. Uparłem się jednak, że sam dostarczę skrzynię na odpowiedni statek.

– A jak sobie pan życzy – powiedział spedytor, unosząc ręce w teatralnym geście rezygnacji.

Poszedłem z powrotem do portu, z trudem niosąc skrzynię w obu rękach. Zatrzymałem się przy bosmanacie.

– Dzień dobry – powiedziałem do typa za kontuarem. – Nie wie pan, czy któryś statek, co idzie w dół, nie szuka załogi?

Typ za kontuarem zerknął na skrzynię i zmarszczył czoło.

– Szuka załogi? Czy przyjmuje przesyłki?

– Jedno i drugie. Skrzynię też chcę wysłać w dół rzeki. Dwie ryby na jednym ogniu. Nie musi być ten sam statek.

Kiwnął głową usatysfakcjonowany i rzucił dwie nazwy. Wbrew moim wyjaśnieniom nie zamierzałem pakować Bendera na inną łódź. Musiałem mieć nadzieję, że ta, która potrzebuje pomocnika, przyjmie także dodatkową pakę.

Podziękowałem mu i ruszyłem na wskazaną keję.

Kliper nieco bardziej niż Huragan przypominał statek. Miał nawet miejsce pod pokładem, gdzie można było mieszkać, jeśli nie przeszkadzało ci, że nie da się tam wyprostować. I panował na nim niebywały chaos. Ludzie ganiali w kółko, a kapitan wykrzykiwał rozkazy z takim samym zapałem i poziomem głośności jak Lisa u szczytu formy. Obserwowałem to z pięć sekund, po prostu chłonąc tę gorączkową energię.

Zamachałem na jednego z marynarzy, który zwolnił kroku, żeby na mnie spojrzeć, ale się nie zatrzymał. Zdecydowanie był w stresie. Ruszyłem razem z nim.

– Mówią, że potrzebujecie pomocnika.

– Mówisz? A co to za skrzynia?

– Paczka. Już opłacona.

– Nieważne. Daj ją tam, o, do reszty poczty. Płaca standardowa. Widzisz tę górę skrzyń? Trzeba ją zanieść tam. Do roboty.

Zostałem na chwilę z otwartymi ustami, zastanawiając się, kiedy przedstawię swoją ofertę. Niechętnie pogodziłem się ze zwycięstwem; umieściłem swoją skrzynię wśród poczty i rzuciłem się do pracy, łapiąc skrzynie i taszcząc je po trapie na statek. Były ciężkie i było ich strasznie dużo, ale manny dawał radę. Od czasu do czasu musiałem wskoczyć do wody, żeby się ochłodzić, ale wszyscy robili to samo, jak zawsze.

Szybko przeniosłem paki na pokład.

– Co teraz? – zapytałem tego samego marynarza, który okazał się bosmanem.

Z zadowoloną miną wskazał kolejną pryzmę skrzyń.

***

Mniej więcej dwie godziny później było już widać koniec. Wskoczyłem na moment do wody, żeby się schłodzić, potem dołączyłem do reszty marynarzy. Bosman poklepał mnie po ramieniu.

– Dobra robota. Obyś cały czas miał tyle energii, bo chyba będziemy mieli za mało rąk.

– Czemu?

– Przylazły psy i zwinęły nam dwie osoby z załogi. Bez powodu. Zabrali też ich rzeczy. Podobno tylko na jedną noc, ale nie możemy czekać. Ten towar ma

kary umowne za opóźnienia, więc o zmroku wypływamy, choćby kapitan miał sam wiosłować.

– A, to dlatego był taki podekscytowany.

Bosman, czy ktoś, zaśmiał się.

– Tak. „Podekscytowany”. Tak właśnie mówimy. Rzucił parę takich wiąch, że w życiu nie słyszałem. Specjalnie je chyba trzymał na dzisiaj.

Wyszczerzyłem zęby.

– Jestem Sam Za… – Oj. Mało brakowało, żebym znowu nadał sobie nazwisko. Nie, nie potrzeba mi tego.

Gafa nie została jednak zauważona, a może program tłumaczący jej nie przełożył. Bosman Ralph przedstawił resztę załogi, akurat, gdy kapitan rozpoczął kolejną tyradę.

– Pora odbijać – rzucił Ralph, przewracając oczyma.

Zabraliśmy się z powrotem do pracy, poganiani kolejnymi pomocnymi sugestiami kapitana. Zauważyłem, że dominują w nich anatomiczne motywy. Monotematyczny gość.

Obowiązki na Kliprze były w zasadzie takie same jak na Huraganie, z paroma modyfikacjami, bo statek był większy i był katamaranem. Na polecenie Ralpha znieśliśmy część rzeczy pod pokład, drugi raz dopilnowaliśmy żagli i mieliśmy z głowy – do następnej eksplozji kapitana.

Kilka razy prawie potknąłem się o kwartet Quinlan, który zaparkował tyłki na środku pokładu. Parę starannie dobranych słów ze strony Ralpha i znaleźli sobie miejsce bardziej na uboczu.

Teraz, gdy miałem czas naprawdę im się przyjrzeć, dotarło do mnie, że to pewnie grandtourowcy. Tylko trochę dziwne, że płacili za jazdę, kiedy nie przechodziliśmy przez strumień łączący rzeki ani przez granicę segmentów, gdzie woda była burzliwa i ciężko się pływało.

– Cześć wam – powiedziałem, unosząc dłoń. – Jestem Sam. Niedawno sam robiłem grand tour. Dosłownie dwa tygodnie temu się rozeszliśmy.

– Cześć, Sam – odparła jedna z grupy. – Jestem Tina, a to Fred, Tony i Barb. Szukamy miejsca, żeby się osiedlić. Wyskoczymy, jak tylko znajdziemy dobre miejsce.

– Założyć własną osadę?

– Aż tak ambitnie to nie. Chcemy uciec od miast. Całkiem. Po co nam one. Ryb mnóstwo, segment nie jest z tych zimnych, a gniazdo jest łatwiej założyć i utrzymać. I nie będzie problemu z młodymi, że robią szkody.

– Czyli wracacie w dzicz?

– W zasadzie tak. Po co nam to wszystko – liczenie żelaźniaków, czy jesteś do przodu, czy nie… Rozumiesz.

– No – odrzekłem. – Rozumiem. Trochę. Parę już takich grup spotkałem.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a ja zerknąłem na pozostałą trójkę. Żaden nie wydawał się chętny, by coś dodać. Przerażające to było. Inteligentny gatunek uwstecznia się ewolucyjnie prawie na moich oczach.

Rozmawialiśmy chwilę z Tiną o byle czym, póki Tony nie ogłosił:

– Jedzenie! – I zsunął się za burtę łodzi.

Reszta przyłączyła się do niego, Tina tylko przepraszająco wzruszyła ramionami i też zanurkowała.

Rozłożyłem się na pokładzie, żeby złapać trochę słońca, zgodnie z marynarską tradycją każącą odpoczywać, kiedy tylko jest okazja. Paru innych marynarzy poszło w moje ślady, obejrzawszy się na kapitana, który chwilowo nie zwracał na nas uwagi.

Parę minut później członkowie grand touru wynurkowali na pokład i rozsiedli się z łupami. Nastąpiło przyjemne, leniwe, idylliczne interludium – coś, czego nie przeżyłem, odkąd zaczęła się afera z Gwiezdną Flotą. Gdybym wciąż był bio, odpłynąłbym w drzemkę. Niektórzy moi koledzy z pracy tak właśnie uczynili.

Tina wspomniała wcześniej o zimnych segmentach. Ciekawe.

– Tina, a byłaś kiedyś w zimnym segmencie?

– Nie, ale tato kiedyś w takim mieszkał. Padał tam śnieg i na niektórych strumieniach był lód. Nigdy nie widziałam śniegu ani lodu. To taka twarda woda, tak? Dziwne. Ryby też były inne i niektóre rośliny i zwierzęta.

Chwilę się zastanawiała.

– Tato też kiedyś opowiadał o segmentach, gdzie są inne dziwne rzeczy. Podobno istnieje taki, w którym jest prawie sama woda, tylko tu i tam wystaje parę wysp. Inny jest suchy i rzeka znika pod ziemią. Nie wiem właściwie, w jakim stopniu to jest prawda, a w jakim straszne historie dla dzieci.

– Twój tato raczej nie wymyślał – stwierdził Ralph. – Słyszałem o segmentach z różnymi klimatami. Zawsze są w nich inne rośliny i zwierzęta. Tylko nie wiem, czy najpierw pojawiły się rośliny i zwierzęta, czy inny klimat.

Zacząłem żałować, że nie zwracałem większej uwagi na rozmowy Bridget z Quinlanami i teorie, o których mówili. Bardzo to przypominało dyskusję o ewolucji, opartą na błędnym założeniu, że Niebiańska Rzeka jest naturalnym środowiskiem. A w kwestii Administratora historię zastępował deizm. Dodać do tego ruch powrotu do natury oraz możliwą utratę inteligencji i mamy Quinlan, którym grozi, że przestaną być rozumnym gatunkiem – być może nawet w ciągu kilku kolejnych pokoleń. Czy to pora na interwencję bawbe? Odważę się znowu wsadzić kij w mrowisko?

I czy to dobry pomysł, gdy sam jestem w środku i narażony na ryzyko? Ja mogłem w razie problemów wysadzić manny’ego i wrócić do wirtu, ale Bender

takiej opcji nie miał.

***

W końcu udało mi się zwołać wszystkich na spotkanie. Hugh siedział na worku sako Willa, lecz reszta członków ekspedycji była obecna w pływających okienkach wideo. Właśnie skończyłem opisywać ostatnią rozmowę z kolegami z załogi i pasażerami.

– Masz chyba rację, Bob, to zmierza w tym kierunku, chociaż nie tak szybko, jak myślisz. – Bridget splotła ramiona, minę miała wyraźnie zaniepokojoną, co kontrastowało z uspokajającymi słowami.

– To nie ma znaczenia, myślę – odparł Hugh. – Znaczy… jak szybko to się dzieje. Ważne jest, że się zadzieje, jeśli nic się nie zmieni. Myślę, że nie możemy na to biernie patrzeć.

Zerknąłem na niego, przekrzywiając głowę. Jeszcze nie miałem okazji wyciągnąć kwestii prawdziwego statusu Administratora – i prawdziwych motywów Hugh. Jak on to rozegra?

– A jak sugerujesz to rozwiązać? – zapytał Will.

– Wejść w kontakt z Administratorem. Porozmawiać z nim. Może nie wie, co się dzieje.

– Może jak Bender będzie bezpieczny – powiedziałem. – Ale nie wcześniej. To nie podlega negocjacji. A w ogóle skąd ten pomysł, że on nie wie?

Brwi Hugh zeszły się razem, gdy na mnie spojrzał.

– Poważnie? Myślisz, że mógłby tego chcieć?

– Zależy, jakie ma motywy. Może dla niego nierozumna, ale żywa rasa quinlańska jest lepsza niż rozumna, lecz ciągle na pograniczu wyginięcia. Takie przewrotne spełnienie misji [9], rozumiesz.

Teraz po prostu wbił we mnie wzrok, mrużąc oczy. Zrozumieliśmy się. Może niepotrzebnie zdetonowałem swój element zaskoczenia, ale z drugiej strony liczyłem na wywołanie jakiejś reakcji. Miałem wrażenie, że to się opłaci.

– Na pewno nie ma powodu, by nie spróbować – odezwał się Bill. – Kiedy Bender będzie bezpieczny, dokładnie jak mówisz. Możemy po prostu zacząć nadawać na radiu ze wszystkich dronów. Albo wysłać pająka, żeby tańczył przed kamerą. Albo zechce zbadać sytuację i wejść w dialog, albo rozwali nasze urządzenia. To nada ton i już wszystko będzie wiadomo.

– A jak rozwali tego szopa? Czy inne urządzenie? – powiedziała Bridget tonem pełnym napięcia. – Wtedy sobie po prostu pójdziemy? Pozwolimy inteligentnemu gatunkowi na wymarcie? To będzie etyczne?

– Dla Gwiezdnej Floty tak.

Łypnąłem na Garfielda.

– Wiesz co, to nie jest teraz za szczególny standard etyczny.

– Ale, no… mi chodziło o Gwiezdną Flotę ze Star Treka. Nie o tę bandę kretynów.

– A. – Kiwnąłem głową. – Racja. Ale według Pierwszego Boba to też była kupa.

– Ej, skupić się – przerwała Bridget. – Nie jesteście na konwencie. Dyskutujemy o losie prawdziwych inteligentnych istot.

Bill skrzywił się drwiąco.

– No dobra. Posłuchajcie. Nie będziemy wchodzić z inwazją ani nic takiego, ale samych sobie ich nie zostawimy. Będziemy rozrabiać, póki nie dostaniemy od niego jasnego oświadczenia. Ale jak powie, że wszystko jest pod kontrolą i mamy sobie iść, to myślicie, że dalej mamy prawo się wtrącać?

Potarłem nos i głośno westchnąłem.

– Zawsze się do tego sprowadza, nie? Przypadki brzegowe. Szara strefa. Zgadzam się z Billem, przynajmniej fundamentalnie. Nie umiemy teraz podjąć decyzji i nie możemy, zanim nie nawiążemy kontaktu z Administratorem. – Łypnąłem na Hugh. – A tego nie zrobimy, dopóki Bender nie będzie w bezpiecznym miejscu.

***

Wróciłem do swojego manny’ego na Kliprze, akurat, gdy załoga zaczynała się podnosić na poranną zmianę. Ralph polecił Gilowi i mnie złowić śniadanie i z przyjemnością zanurkowałem do wody z małą siatką. Paru ulubionych przez Quinlan gatunków nigdy w rzece nie brakowało. Czy to Administrator tak starannie bilansuje ekosystem, czy po prostu mają za mało drapieżników?

Zastanawiałem się nad tym, łowiąc śniadanie. Zrobiłem puut na pokład parę sekund przed Gilem, zauważyłem jednak, że ma bardziej wypchaną siatkę. Zapewne zamierzał sam zjeść tę nadwyżkę – był znany z wielkiego apetytu.

Kapitan wziął parę rybek dla siebie, potem wokół miski zasiadła reszta. Zjadłem minimum, tyle, by uniknąć podejrzeń, przeplatając kęsy rozmową. Tina i jej przyjaciele byli aż nadto chętni do dzielenia się swoim poglądem na świat – no, głównie Tina. Reszta przeważnie tylko kiwała głowami.

Podczas zastoju w rozmowie Ralph uniósł wzrok i rzucił:

– O, a to dziwne. – Powiodłem wzrokiem za jego palcem i zobaczyłem miejscowy odpowiednik małego ptaka siedzący na pryzmie skrzyń. – To ferl.

Leśny ptak. Co on robi na środku rzeki?

– Zgubił się? – podsunąłem.

Pokręcił głową.

– Nie bardzo…

W tym momencie ptak, jakby zawstydzony całą tą uwagą, odfrunął. Ralph jeszcze raz pokręcił głową i rozmowa skręciła na inne tematy.

Zlekceważyłbym to zdarzenie jako nieistotne, gdyby nie fakt, że już parę razy widziałem takiego ptaka na statku. Założyłem wtedy, że po prostu szuka resztek jedzenia. Jednakże zdziwienie Ralpha wzmogło moją paranoję. Odłożyłem na bok kilka skrawków jedzonej właśnie ryby.

Kiedy skończyliśmy śniadanie i kapitan podkręcił swój poranny strumień wyzwisk, poświęciłem chwilę i położyłem resztki na wierzchu skrzyni, gdzie ostatnio siedział ptak.

Życie na quinlańskiej łodzi składało się z paniki i nudy na przemian. W porcie zasuwaliśmy, aż padliśmy, a na rzece zadania były rutynowe i lekkie, nawet trochę nudne. W każdym razie dawały sporo okazji, żeby zerkać na resztki ryby. Ferl dwa razy obleciał łódź, ale nie zainteresował się jedzeniem. Za to akrele zanurkowały i porwały je z hałaśliwą radością.

To może ferle są roślinożerne? Chyba to nadmierne uogólnienie z ziemskich przypadków, ale zwykle ptaki są oportunistycznie wszystkożerne. Nawet kolibry zjadają owady, jeśli się nawiną.

Westchnąłem bezgłośnie i chwyciłem siatkę, żeby zdobyć popołudniowy posiłek. Trochę głupio się czułem, denerwując się jakimś ptakiem. Ralph był przekonujący, ale mimo wszystko…

Rozmowy podczas posiłków zawsze były swobodne, choć o wiele mniej interesujące, odkąd nasze drogi z Theresą się rozeszły. Często łapałem się na odpływaniu myślami, gdy reszta dyskutowała nad niuansami quinlańskiego życia. Bridget zapewne byłaby mocno zainteresowana i może nawet odegra sobie te sesje, gdy tylko nagrania przetransferują się UNOP-em. Oprzytomniałem jednak od razu, gdy Gil rzucił:

– Ej, Sam, twój ulubieniec wrócił.

I rzeczywiście, po pryzmie skrzyń skakał ferl. Oderwałem kawałek ryby i rzuciłem w jego kierunku. Zamarł na moment i wrócił do skakania po skrzyniach, całkowicie nie zwracając uwagi na jedzenie.

Właściwie wyglądało, jakby… czytał etykiety? Niemożliwe. Odwróciłem się z powrotem do towarzyszy, ale jednym okiem wciąż na niego zerkałem. W końcu przeleciał do drugiego stosu skrzyń i powtórzył zachowanie. Im dłużej go obserwowałem, tym bardziej byłem przekonany, że patrzy na informacje wypisane na skrzyniach.

Wywołałem Hugh przez interkom:

– Hej, Hugh?

– Co tam, Bob?

– Mamy wiedzę, czy poziom technologiczny Administratora jest na tyle zaawansowany, żeby pozwalać na małe drony czy podobne urządzenia?

– Mało prawdopodobne. Nie zna napędu SURGE.

– A coś, co imituje ptaka?

– Eee… taki ornitopter czy coś? W sumie, czemu nie. Bądzioły były arcydziełem miniaturyzacji. Sam tak mówiłeś.

– No tak. W ogóle… jesteś na statku, nie? Widziałeś, żeby kręciły się przy nim jakieś ptaki?

– Masa akreli. Latające szczury, jak to mówią. Ale nic poza tym.

– Daj znać, gdybyś zobaczył jakieś ferle, dobra?

– Jasne.

Rozłączając się, ton miał trochę zdziwiony, choć nie wiem, czy ze względu na tę prośbę, czy dlatego, że nie skonfrontowałem się z nim w kwestii SI. Trudno powiedzieć.

Tymczasem ferl skończył badać trzeci stos skrzyń i wrócił do różności, wśród których stała moja skrzynia. Już nie dało się tego złożyć na karb paranoi.

***

Gdy tylko ułożyliśmy się spać, wróciłem do wirtu i zadzwoniłem do Billa. Od razu pokazał się w okienku wideo:

– Co tam, Bob?

Opowiedziałem o zachowaniu ferla, a potem zapytałem o quinlańskie drony.

– Zgadzam się z Hugh, że brak napędu SURGE to znaczące ograniczenie. Choć nie ma powodu, by Administrator nie mógł mieć urządzeń naśladujących ptaki. Nawet w czasach Pierwszego Boba były maszyny naśladujące lot ptaka. A Administrator miał całe pokolenia, żeby nad tym pracować, i za bardzo nie miał alternatyw.

– Ale czemu Kliper? Unikałem wszystkich powiązań z moją poprzednią wersją. Plecak schowany, Bender niewidoczny, ja wyglądam inaczej. Co ich mogło naprowadzić.

– Bob, nie wiadomo, czy coś ich faktycznie naprowadziło. Wyobraź sobie śledzenie rozprzestrzeniania się epidemii. Mnóstwo pracy detektywistycznej, mapowanie kontaktów, logiczna ekstrapolacja i tak dalej. Nie mogą nigdzie znaleźć Boba z wielkim plecakiem, więc logiczne jest założenie, że albo się

ukrywasz, albo znalazłeś inną metodę przemieszczania się. Wiedzą, gdzie wyszedłeś z infrastruktury, bo mają nieudaną próbę użycia karty Nataszy. Z tego punktu trzeba iść we wszystkich kierunkach. A znając ograniczenia Quinlan i geografię Niebiańskiej Rzeki, mogą skupić się na dwóch – wschodzie i zachodzie.

Kiwnąłem głową, zastanawiając się.

– I transport rzeką jest najbardziej oczywisty. Na pewno obserwują też pod kątem Quinlan płynących wpław w tym kierunku. Nie mogą być pewni, że nie zaryzykuję zamoczenia Bendera.

– Co oznacza, że rozdzielają siły – odparł Bill. – To dobrze dla nas. Tylko że jak się zastanowić, wysłanie skrzyni to też oczywisty wybieg. Mogliby wejść na każdy statek w dwóch segmentach i skontrolować każdą skrzynię, ale pewnie nie mają tyle personelu.

– Więc po prostu szukają wszystkiego, co jest choć trochę dziwne, jak brak szczegółów na mojej etykiecie. A może spedytor zapamiętał, że chciałem płynąć razem z moją skrzynią.

– No. Będą wypatrywać wszystkiego, co choć trochę odbiega od normy. Nawet jeśli to nic nie da, to przy okazji wywiera presję.

– Masz rację. A jak nie będzie się sprawdzać, będą dorzucać kolejne taktyki. – Pokręciłem głową i westchnąłem. – Coś mi wygląda, że znowu jestem po szyję w nawozie.

***

Podpłynęliśmy do pomostu w Sześciu Wzgórzach. Nikt nie wiedział, czemu to się tak nazywa. Wokół były tylko cztery wzgórza, a i to jedynie przy bardzo luźnej interpretacji tego słowa. Ja jednak już tylko przewracałem oczyma w reakcji na quinlańskie konwencje nazewnicze. Może była w tym jakaś łagodna ironia, coś jak nazwanie dużego faceta „Małym”. Jeśli tak, jeszcze jej nie łapałem.

Kiedy podpływaliśmy, na kei już czekali gliniarze, co zaniepokoiło wszystkich oprócz mnie. Gdy tylko opadł trap, żandarmeria wmaszerowała, poszła prosto do przesyłek pocztowych i chwyciła skrzynię z moim imieniem na etykiecie. Która nie była tak naprawdę moja, bo w nocy podmieniłem etykiety. I poprzestawiałem inne skrzynie, na wypadek gdyby instrukcje były bardzo konkretne. Trochę mi było szkoda tego kogoś w Małym Strumyku, kto nie dostanie swojej przesyłki, ale nie bardzo miałem alternatywę.

Gliniarz przeczytał etykietę i zapytał głośno:

– Który z was to Sam?

Podniosłem rękę i podszedłem.

– Będziesz musiał pójść z nami.

Udałem zaskoczenie i niezadowolenie. Moją grę aktorską wzmocniło bardzo autentyczne zaskoczenie i niezadowolenie kapitana i reszty załogi. Byłem pracowity i lubili mnie.

– Przepraszam was, ale musimy z tą osobą porozmawiać na komisariacie. Na pewno szybko znajdziecie nowego do załogi.

Ojoj. Spodziewałem się czegoś jak w scenariuszu ze Snidelym – otwierają skrzynię, nie ma nic ciekawego, przepraszamy za kłopot i tak dalej.

– Przepraszam, ale jak długo zajmie ta rozmowa? – zapytałem.

– Może być kilka dni. Urzędnicy muszą dojechać z innego miasta.

– Ale… – No, to niedobrze. Gdyby to była jedna noc, kapitan pewnie mógłby poczekać. Żaden z ładunków nie miał klauzul terminowych, a towary, które wieźliśmy na zlecenie, nie były łatwo się psującymi. Jednakże kilka dni, szczególnie, że nie wiadomo ile, raczej nie poczeka. Dla statku rzecznego czas to pieniądz.

Podszedł do mnie.

– Przykro mi, że żegnamy się w takich okolicznościach. Jesteś znakomitym pracownikiem. I nie marudzisz. Tyle ci byłem na razie winien. – Wręczył mi parę monet. Podtekst był jasny jak słońce – Kliper wyrusza natychmiast, jak tylko ogarną ładunek.

Policjant był uprzejmy i odczekał, aż się pożegnam i wezmę plecak, po czym sprowadził mnie po trapie i ruszył do miasta. Za nami kolejny gliniarz niósł skrzynię.

– O co chodzi? Czego wy właściwie szukacie?

Popatrywał na mnie przez chwilę, jakby się zastanawiał się, ile mi powiedzieć.

– Sam za wiele nie wiem. Dostaliśmy nazwę statku, imię na etykiecie i rozkazy, żeby zabrać i ciebie, i skrzynię na komisariat, żebyś czekał na wizytę. Nawet nie wiem, kto przyjedzie… – Nachylił się. – Ale plotki mówią, że to Kadra.

– Kadra? Oni istnieją? Myślałem, że to mit.

Gliniarz uśmiechnął się, widząc moją naiwność.

– Wiem, kupa ludzi tak myśli, ale organy muszą czasami z nimi współpracować. I my wiemy, że oni istnieją. Niektórzy mają broń, która potrafi cię uśpić z odległości – Udał, że trzyma pistolet i strzela. – Sam widziałem.

O rany. Czyli będą mnie tu trzymać przez parę dni, póki Kadra nie przyjedzie i mnie nie obejrzy. To gorzej niż niedobrze, bardziej dwaplusbezdobrze.

21. Ziemia poczeka
Bill, wrzesień 2334, wirt, Ziemia

Pingnąłem Charlesa i dostałem zaproszenie. Zaskoczyła mnie jego VR-ka – wyglądało na to, że to pokój hotelowy, w którym mieszkał Pierwszy Bob w dniu, kiedy zginął. Nie byłem w stanie ukryć zdeprymowania.

Charles się zaśmiał.

– Bill, ja wiem. Nazywali to już różnie, makabryczne, okropne… Ale mnie to jakoś kotwiczy w rzeczywistości. Przypomina mi, skąd przyszliśmy, wiesz.

– Dobra, rozumiem. Przynajmniej jeszcze ci się chce. Większość VR-ek, do których teraz zaglądam, ma domyślny motyw biblioteki. – Przywołałem fotel z podnóżkiem i wziąłem kawę od Jeevesa.

– To czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– Zaglądam wszędzie po kolei, szacując straty z ataku Gwiezdnej Floty. Chyba po prostu chciałem sobie zrobić przerwę w miejscu, o którym wiem, że nie ucierpiało.

Powoli kiwnął głową.

– Dalej nie jestem pewien, czy się nam poszczęściło, czy dali nam spokój przez jakiś szacunek. – Wskazał okienko, w którym widoczna była Ziemia. – A może po prostu jesteśmy mało istotni.

Byłem przekonany, że Charles po prostu mnie trollował. Żaden Bob by tak nie pomyślał o Projekcie Rekultywacji Ziemi. Oczywiście pozostawało pytanie, czy Gwiezdna Flota to jeszcze Bobowie.

– Charles, jesteś jednym z bardziej rozklonowanych Bobów. Masz jakieś przeczucie, czy ostatni wspólny przodek Gwiezdnej Floty jest z twojej linii?

Pokręcił głową.

– Nie mam kontaktu ze wszystkimi, ale wśród tych, z którymi gadałem, żaden nie jest w stanie zidentyfikować żadnego kandydata. A lecę już po piętnastej, szesnastej generacji.

– A ci, z którymi nie masz kontaktu…

– Są poza zasięgiem. Albo tymczasowo, dopóki budują stację, albo na wieczność, bo im się nie chciało.

Westchnąłem i spróbowałem kawy, rozważając możliwości.

– Właściwie wszyscy z pierwszych dwóch pokoleń mówią to samo. I wszyscy mamy potomków, którzy zerwali łączność, więc to nie jest kwestia dryfu. Jakaś cecha Pierwszego Boba, może skłonność do ucieczki, nie mam pojęcia.

– Myślę, że za bardzo to analizujesz. Dryf to dryf. Oprócz niego będzie też konwergencja ewolucyjna. Te same zachowania u różnych linii.

– Chyba tak. – Aby zmienić temat, wskazałem obraz Ziemi. – I jak to idzie?

– Nawet idzie. Zatrzymaliśmy epokę lodowcową i lodowce zaczynają się cofać. Oczywiście staramy się działać bardzo powoli, nie chcemy przegiąć z ociepleniem. Trzy lustra już wyłączyliśmy. Według obecnych estymat za sto lat wrócimy do interglacjału.

– W geologicznej perspektywie to bardzo szybko. A z próbkami DNA coś się udało?

– Mam całą flotę dronów, która nic, tylko skanuje zwłoki. Razem ze skarbcem ze Spitsbergenu i tym, co wcześniej zebraliśmy, mamy pewnie z osiemdziesiąt procent gatunków, nie licząc owadów.

– Mmm. Rozumiem, że z nimi jest trudniej. Ale może muzea, uczelnie? Zawsze miały ogromne zbiory owadów.

– Tak, nad tym też pracujemy. – Charles przypatrywał mi się przez parę mili, nieznacznie przekrzywiając głowę. – Wracając do tematu, Bill: muszę powiedzieć, że strasznie przybity jesteś ostatnio. To Gwiezdna Flota czy jest coś jeszcze?

– Po części Gwiezdna Flota. Ale chyba ogólnie jestem rozczarowany, w jakim kierunku to idzie. Przez pewien czas szło nam całkiem dobrze. Wszyscy napierali w tym samym kierunku, ludzkość w końcu robiła się pozbierana, wyglądało na to, że spokojnie do osiągnięcia jest utopijna, postniedoborowa cywilizacja. I na dokładkę parę obcych gatunków, żeby nazwa „FIR” głupio nie brzmiała. I proszę. Pfff i nie ma.

Charles wziął głęboki wdech, po czym powoli wypuścił powietrze.

– Mnie się nie wydaje, że „nie ma”. Bo wiesz, wszystko dzieje się w cyklach, nie? Zjednoczyliśmy się do wojny z Innymi i to było dobre. A teraz każdy zajął się swoimi sprawami. Kiedy jesteś nieśmiertelny, masz taki problem – widzisz, jak te rzeczy przemijają. Poczekaj kolejne sto lat i zobaczysz, że wahadło przechyli się w drugą stronę.

Zaśmiałem się i odstawiłem filiżankę na boczny stolik.

– Tak, chyba masz rację. Muszę też popracować nad nabraniem takiej perspektywy. – Wskazałem brodą obraz Ziemi. – Jest spora szansa, że kiedy

zechcesz ożywić planetę, drukarki na polu tensorowym będą już całkiem dopracowane. Wtedy da się dosłownie drukować żywe komórki.

– Super. Chciałbym zobaczyć, jak wraca do takiego stanu, jak kiedyś.

– Wszyscy byśmy chcieli. Lecę. Cześć.

22. Kolejny raz mało brakowało
Bob, wrzesień 2334, Sześć Wzgórz

Wsadzili mnie do prawdziwej celi, z dwoma wiadrami i siennikiem na podłodze. W jednym wiadrze była woda, drugie było puste, nie licząc paru plam po poprzednich użytkownikach, niepozostawiających wątpliwości co do zastosowania. Błeee! Kraty były z czegoś, co przypominało bambus, i wyglądały na mocne. Były także solidnie osadzone w podłodze i suficie. Małe okienko, wysoko pod sufitem, wpuszczało powietrze i światło. Pod jedną ścianą pomieszczenia były dwie takie cele, a naprzeciwko nich drzwi prowadzące do reszty komisariatu.

Gliniarz zabrał mi plecak, po zinwentaryzowaniu zawartości i wypisaniu dla mnie pokwitowania. Które też umieścił w plecaku. Nie byłem pewien, czy to celowa ironia, ale uwagi nic by nie dały, mogłem ich tylko zdenerwować, więc darowałem sobie.

Poinformowali mnie, że kolacja będzie o zmierzchu, i zostawili samego. Co normalnie byłoby prawdą, a w moim wypadku niekoniecznie. Nie miałem już pająków – ostatni został w skrzyni z Benderem, miałem za to parę pchełek. Może dałyby radę przeciąć bambus bez wzniecania pożaru, a może nie. Musiałem zaryzykować. Wolałbym trochę poszpiegować i zorientować się w układzie aresztu i reszty, ale pchełki były za cienkie pod względem audiowizualnym.

Kiedy badały konstrukcję krat, ja usiadłem sobie i przeżyłem stary, dobry atak paniki. Bender odpływał na Kliprze, z adresem pocztowym w Trzech Kręgach. Jakiś pechowy adresat dostanie w nos od wściekłego pająka, zamiast dostać to, co obecnie leży w policyjnym magazynie.

Albo zgłosi to do władz – i wtedy Bender wróci w ręce Administratora lub Ruchu Oporu – albo spróbuje rozebrać kostkę na metal. Czy mu się uda, czy nie, Bender tej procedury nie przeżyje.

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, że niebo już ciemnieje. Kliper na pewno już wypłynął. Przed zmrokiem wyjdą na środek rzeki i będą płynąć całą noc, robiąc nawet sto mil dziennie. Żeglowanie w Niebiańskiej Rzece właściwie robiło się samo, bo nurt zawsze sprzyjał. Wiatr zwykle był z północy na południe, napędzany siłą Coriolisa, więc łodzie mogły jeszcze płynąć półwiatrem, nawet szybciej niż nurt. Nie byłem przekonany, czy mój manny będzie w stanie ich dogonić, nawet z maksymalną prędkością.

Pchełki się zameldowały. Pręty były na dziesięć centymetrów wpuszczone w otwory w stropie i gzymsie nad podłogą. U góry miały około dwóch centymetrów luzu – pewnie dylatacja. Sprawdziłem je, próbując je wyginać w różnych kierunkach. Nic z tego. Nie było szans, abym wyciągnął je z mocowań.

Dawały się jednak obracać, co oznaczało, że nie są zabetonowane ani przybite. Kazałem pchełkom wyciągnąć palniki plazmowe i zrobić kontrolne cięcie u dołu jednego pręta. Pojawiło się trochę dymu i zapach spalenizny, ale bez ognia. Dobrze. Będą musiały ciąć powoli, żeby było jak najmniej dymu i smrodu – szlag mnie trafi od tego, ale to nie jest dobry moment, żeby dać się nakryć przez własną niecierpliwość.

I oczywiście psiarnia wybrała właśnie ten moment, żeby przynieść kolację. O, proszę, rybka. Mniam. Gliniarz pociągnął nosem i zaniepokoił się. Wzruszyłem ramionami i wskazałem na okno.

– No, cały czas śmierdzi. Ktoś chyba pali śmieci.

Zerknął na okienko, wzruszył ramionami i otworzył drzwi celi na dość długo, by podać mi miskę. Rozważałem przez chwilę, czy na niego nie skoczyć. Powaliłbym go bez problemu, ale nie miałem pojęcia, ilu jeszcze gliniarzy czeka w głównej części komisariatu.

Z drugiej strony, skoro dali mi kolację, pewnie do rana będę mieć całkowity spokój.

Pchełki nacięły na jednym pręcie krat zębaty wzór, przypominający blanki na zamkowej wieży. Pręt mógł teraz stać normalnie albo – po obróceniu o sześćdziesiąt stopni – podnieść się o osiem centymetrów. Teraz kazałem im przejść do górnego gzymsu i obciąć ten sam pręt tuż powyżej otworu. Ścinki wrzucały do środka pręta.

Mogłem go teraz wyciągnąć, po prostu lekko go wyginając, a potem wsunąć z powrotem i obrócić, żeby wyglądał na solidnie zamocowany.

W fazie drugiej zacząłem zmieniać swój wygląd, aby pasował do gliniarza, który mnie tu przyprowadził. Liczyłem, że skoro był na dziennej zmianie, to kiedy będę gotowy, żeby się wydostać, dawno będzie w domu – i że jeśli ktoś mnie wypatrzy, nie zwróci uwagi, że nie mam policyjnych odznak.

Oj, kogo ja tu chcę nabrać? To żaden plan, to desperacki ruch. Najpewniej będę musiał się z nimi bić, żeby się przedrzeć do wyjścia, a potem pędzić sprintem ku rzece.

Przywołałem z powrotem pchełki, połknąłem je i przekręciłem kratę. Tak jak się spodziewałem, wyszła łatwo. Szpara była wąska, ale dawało się przez nią przecisnąć. Po wyjściu wsadziłem pręt z powrotem na miejsce, podkradłem się do drzwi i przyłożyłem do nich ucho.

W pomieszczeniu biurowym po drugiej stronie stały biurka i kontuar przy wejściu. Drzwi prowadziły do paru innych pomieszczeń. Kiedy mnie zamykali, gliniarzy było czterech, wliczając mojego. Teraz jednak była noc i miałem nadzieję, że nocna zmiana będzie mniej liczna – może nawet jednoosobowa.

Uchyliłem nieznacznie drzwi i powoli je otworzyłem, zerkając przez szczelinę. Miałem mniej więcej trzydziestostopniowe pole widzenia na biuro. Pusto. Co dziwne, to było bardziej niepokojące niż uspokajające. Powinna tu być przynajmniej jedna osoba, a nie miałem pojęcia, gdzie ona jest.

Szybko rozwarłem drzwi nieco szerzej, wysunąłem głowę na ułamek sekundy i zrobiłem panoramiczne zdjęcie. Ostrożnie zamykając drzwi z powrotem, przyjrzałem mu się. Dwóch policjantów. Cholera.

I oczywiście, zgodnie z prawem Murphy’ego, drzwi, które były całkiem bezgłośne, gdy szybko je otwierałem, przy powolnym zamykaniu głośno zaskrzypiały.

– No nie – mruknąłem.

W biurze ktoś zapytał: „Co to było?”, a ktoś inny odpowiedział: „Coś w celach”. Na to pierwszy: „Zobaczę, co się tam dzieje”.

Super. Na pewno odwrócili się i patrzyli teraz na drzwi, więc nie mogłem ich ani trochę ruszyć. W szczególności z powrotem zatrzasnąć. Zostawiłem je nieznacznie uchylone i stanąłem za nimi. Ograny numer, lecz wiedziałem, że zareaguję szybciej niż gliniarz.

Wszedł do pokoju ostrożnie, ale to była ostrożność człowieka, który nie sądzi, żeby coś mu groziło. Jego strata, mój zysk. Gdy tylko wychynął zza drzwi, pacnąłem go w bok głowy. Po tylu pacniętych Quinlanach miałem ten cios idealnie skalibrowany.

Złapałem go, gdy padał. Gdybym miał czas, zmieniłbym sobie rysy, upodabniając się do niego, miałem jednak tylko kilka sekund, zanim ten drugi nabierze podejrzeń i wpadnie tu z wyciągniętym mieczem.

Otworzyłem drzwi, uważając, by nie pokazać twarzy i powiedziałem głosem nieprzytomnego gliniarza:

– Hej, mamy problem.

Drugi policjant wszedł do pokoju i pac – padł na ziemię.

Zabranie im kluczy, umieszczenie obu w celi i zamknięcie jej zajęło tylko chwilę. Miejmy nadzieję, że nie będą przyglądać się kratom, bo szybko się uwolnią. Ale po prostu nie miałem czasu na dogranie wszystkich szczegółów. Musiałem zniknąć, zanim dojdą do siebie, bo pewnie narobią tyle szumu, że szybko pojawi się masa innych.

Położyłem klucze na jednym z biurek, wyciągnąłem plecak z szafki, do której wsadził go gliniarz, i wymaszerowałem z komisariatu nonszalanckim krokiem, niemalże pogwizdując radosną melodyjkę. Gdy tylko znalazłem się za rogiem, włączyłem dopalacz i pocisnąłem do rzeki.

***

Rozejrzałem się szybko po cumujących statkach, sprawdzając, czy Kliper faktycznie odpłynął, po czym zanurkowałem do wody. Do szybkiego pływania najlepsza była głębokość około trzydziestu centymetrów – na tyle daleko od powierzchni, by nie powodować kawitacji, ale na tyle blisko, że wypierana woda mogła łatwo wypiętrzyć się w górę, by usunąć mi się z drogi.

Trzeba się będzie wynurzać mniej więcej co milę, żeby rozejrzeć się za światłami statków. I trzeba będzie sprawdzać każdy z nich, póki nie znajdę Klipra.

Manny prawdopodobnie wytrzyma maksymalną prędkość przez jakieś sześć godzin, potem będzie musiał się zatrzymać na konserwację i sprawdzenie. Spora szansa, że nic nie wyjdzie i będę mógł płynąć dalej. Jeśli wszystko będzie dobrze działać, przegrzewanie się także nie powinno być problemem, w końcu jestem w wodzie.

Takie i inne myśli krążyły mi w mózgu, gdy pędziłem mannym na wschód.

Kolejna rzecz, z którą będę miał problem: wyjaśnić, jakim cudem ich dogoniłem. Nie: jak dogoniłem ich tak szybko, ale jak w ogóle mi się to udało. Biologiczny Quinlanin w życiu nie byłby w stanie osiągnąć takiej prędkości.

Na tym odcinku rzeki był duży ruch. Do świtu sprawdziłem chyba ze sześć łodzi. Nie było to bardzo trudne. Łodzie nie miały zestandaryzowanej konstrukcji – nawet ta sama stocznia przy każdej kolejnej wprowadzała szereg drobnych zmian. W dodatku żagle bardzo często były indywidualnie zdobione, choć w nocy nie na wiele się to zdawało.

Kiedy się rozjaśniło, mogłem sprawdzać statki na odległość teleskopowym wzrokiem. Mało który wymagał zmiany kursu. Wreszcie wypatrzyłem Klipra, żeglującego prawie idealnie środkiem rzeki.

A teraz: jak wytłumaczyć moje pojawienie się z powrotem?

Chwilę płynąłem równolegle z nimi, wymyślając i odrzucając coraz bardziej szalone scenariusze. Nagle coś wpadło mi do głowy. Nie był to superpomysł. Nie był to nawet dobry pomysł. Ale pozwalał trafić na statek.

Rozejrzałem się, oceniając gęstość ruchu i prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci uwagę na mój kilwater. Na wszelki wypadek postanowiłem na ten sprint zanurzyć się głębiej. Zanurkowałem i dałem pełny gaz, wyprzedzając Klipra, na oko, sto metrów od prawej burty. Kiedy uznałem, że jestem odpowiednio daleko przed nimi, wyskoczyłem na powierzchnię i zacząłem się unosić wydrzym sposobem. Czekając, zmodyfikowałem moje rysy, by nie być już bliźniakiem policjanta, który zabrał Sama. Przy moim szczęściu ktoś na łodzi będzie pamiętał jego paszczę.

Po paru minutach Kliper zaczął sunąć prosto na mnie. Pomachałem im, odczekałem, aż ktoś na pokładzie potwierdzi, podpłynąłem i wynurkowałem na pokład, prosto na Ralpha.

– Cześć – powiedziałem głosem ostatniego policjanta. – Jestem Wyatt. Płynę od paru dni i mógłbym trochę zmienić tempo. Mogę zapłacić za bilet albo mogę odpracować, jeśli macie potrzebę.

– Masz szczęście – odparł. – W Sześciu Wzgórzach straciliśmy jednego z załogi. Standardowa stawka. – Przyjrzał mi się ze wszystkich stron. – Bagażu nie masz?

– Staram się mieć jak najmniej – powiedziałem, poklepując plecak.

***

Szybko wróciłem do rutyny pracy na Kliprze, uważając, by pracować dobrze, ale nie aż tak dobrze jak Sam. Uważałem też, by nie zwrócić się do kogoś po imieniu, zanim nie zostałem przedstawiony. Aż tak wiele z tą grupą nie rozmawiałem, nie miałem więc zbyt dużo tematów, których musiałem unikać. Tym razem postanowiłem być jeszcze mniej towarzyski – gdy ktokolwiek się do mnie odzywał, starałem się emanować aurą życzliwego samotnika – kogoś, kto nie jest nieuprzejmy, ale też nie stara się podtrzymać rozmowy. Kogoś, kogo trudno zapamiętać. Okazało się to łatwiejsze, niż myślałem. Dni dyskusji i debat z Theresą na pokładzie Huragana były idylliczne, nawet biorąc pod uwagę moją stresującą sytuację – w porównaniu załoga tego statku była nudna i nieciekawa.

Moja paczka stała w tym samym miejscu, z tą samą etykietą, jak ustaliłem po krótkiej rozmowie z pająkiem. Rozważyłem, czy nie skombinować pustej etykiety i nie podmienić jej, wiedziałem jednak, że Ralph ma listy przewozowe i zauważy, jeśli jedna stacja docelowa zniknie, a inna się tajemniczo pojawi.

Mały Strumień był w następnym segmencie, a Kliper zawracał na końcu tego i wracał rzeką Arkadią. To oznaczało, że wszystkie przesyłki idące dalej w dół rzeki wyładują w ostatniej miejscowości w tym segmencie, czyli w Wysokim Zboczu. Rozpatrywałem w myślach parę scenariuszy na przejęcie paczki podczas wyładunku lub później, lecz żaden z nich się nie kleił.

Trzeciego dnia w roli Wyatta jadłem obiad, gdy Ralph pokazał palcem i powiedział:

– Znowu te ferle. – Odwróciłem się i rzeczywiście, dwa małe ptaszki skakały po skrzyniach. – W którejś z tych skrzyń musi być coś do jedzenia – ciągnął. – W życiu nie widziałem, żeby ptaki tak się interesowały skrzyniami. Nawet akrele, a one żrą drewno, jak nic innego nie mają.

Hugh na razie nic nie wspominał o dziwnych zachowaniach ptaków. Może poszukiwania jeszcze nie objęły jego lokalizacji. Tu jednak Administrator był w pełnej czujności. Szybko coś przeliczyłem i skontaktowałem się z Hugh.

– Hej, Hugh, chyba jutro lub pojutrze powinieneś zauważyć dziwnie zachowujące się ferle czy inne ptaki.

– Bo?

– Bo teoretyczna strefa poszukiwań już obejmie twoją lokalizację.

– To możliwe. Ale Administrator chyba niedługo musi wprowadzić jakąś nową taktykę. Nie będzie w kółko prowadził tylko losowych poszukiwań, które nic nie dają.

– No tak. Będziemy się tym martwić, kiedy do tego dojdzie.

Kto wie, co to będzie za „nowa taktyka”. Skoro sztuczne ptaki sprawdzają paczki, szybki numer z podmianą odpada. Administrator pewnie porównuje etykiety z pocztowymi dokumentami. Jak się zastanowić… – oj.

Sposób, w jaki wydostałem się z więzienia w Sześciu Wzgórzach, na pewno zwrócił uwagę, łagodnie rzecz ujmując.

Musieli już otworzyć tamtą skrzynkę i stwierdzić, że nie ma w niej nic ciekawego. Nie trzeba być superbystrym, by się domyślić, że podmieniłem skrzynie (lub ich zawartość). Będą szukać Klipra.

Normalnie to nie byłoby problemem, bo najszybszym środkiem transportu informacji i towarów były statki. Jednakże Administrator, a w sumie i Ruch Oporu, dawno dowiódł, że nie jest ograniczony tym, co publicznie dostępne.

W Wysokim Zboczu będzie komitet powitalny, najpewniej uzbrojony po zęby. Jak się zastanowić, to pewnie nawet nie będą czekać do Wysokiego Zbocza. Wypłyną z najbliższego miasta i przechwycą nas na rzece.

Wszystko właśnie skomplikowało się o wiele bardziej.

***

Zwołałem pilne spotkanie członków ekspedycji. Bill, Will i Bridget pojawili się w okienkach wideo. Hugh siedział na worku sako, co robiło się coraz bardziej popularne. Bill wpatrywał się w przestrzeń, zapomniawszy o kawie.

– Możesz złapać tę skrzynię i zanurkować za burtę, jak tylko zrobi się ciemno.

– I co dalej? – odparłem. – Prawda, skrzynie pływają, ale pod wodę nie mogę jej wciągnąć. Jest zbyt lekka i pewnie nieszczelna. Jeśli będę ją pchać po powierzchni, zajmie to strasznie dużo czasu i ktoś to zauważy. To nie jest normalne zachowanie.

– A jeśli spróbujesz pójść lądem, pewnie spotkasz te ptaki monitorujące. Oczywista rzecz, na którą trzeba uważać – dodała Bridget.

Will zerknął w moją stronę, zanim odpowiedział.

– Bob chyba ma rację, że najpewniej policja wejdzie na łódź. W każdym razie ja bym tak zrobił. W Niebiańskiej Rzece nie mają niczego w stylu konstytucyjnych ograniczeń władzy. Policja może zrobić, co zechce.

Bridget skinęła głową.

– Ale muszą to robić z wyczuciem, bo jeśli obywatele się wściekną, będzie rewolta. Quinlanie wydają się bardzo trudni do zastraszenia, nawet przez władze.

– Czyli nie mogę zejść z łodzi i nie mogę na niej zostać. – Zmarszczyłem czoło. – To mi trochę ogranicza wybór.

Hugh się wyszczerzył.

– E, ty możesz zostać albo uciec, żaden problem. To Bendera szukają.

– Nie, Boba chyba też – wtrąciła Bridget. – Jest elementem zagadki, nie tylko dzięki swoim nadludzkim możliwościom.

– I nie możesz po prostu znowu podmienić etykiet?

– Bill, teraz to już chyba nic nie zmieni. Teraz to oni zajrzą do wszystkich skrzyń po kolei. W każdym razie ja bym tak zrobił.

– A gdyby schować Bendera gdzieś na statku? – spytała Bridget.

Will pokręcił głową.

– Ja bym dokładnie wszystko przeszukał. Nawet pod wodą, nawet w zęzie, jeśli ktoś chce to zaproponować.

Usiadłem prosto.

– No to przesądzone. Zostanie na łodzi nie wchodzi w grę. Muszę zaryzykować las albo rzekę.

– Ja bym wybrała las – stwierdziła Bridget. – Masz w nim większą przewagę szybkości. I możliwe, że poszukiwacze w ogóle nie wezmą tego pod uwagę. Albo będą szukać mniej chętnie. Quinlanie nie lubią oddalać się od wody.

***

Wziąłem nocną wachtę za jednego z innych marynarzy, w zamian za przysługę, z której nie będę miał okazji skorzystać. Gdy tylko oddechy wskazywały, że wszyscy smacznie śpią, podkradłem się do pryzmy przesyłek. Wcześniej w ciągu dnia „przypadkiem” wszystko poprzestawiałem, tak że moja skrzynka była łatwo dostępna. Teraz wziąłem ją i jak najciszej zsunąłem się za burtę.

Postawiłem ją sobie na brzuchu i odpłynąłem od Klipra, używając tylko ogona, żeby nie burzyć powierzchni wody. Dzięki quinlańskiej budowie ciała byłem w stanie bez problemu patrzeć, dokąd płynę, ale nie chciałem zanurzać skrzynki, więc droga do brzegu zajęła mi pełną godzinę.

W dole rzeki widziałem grupkę świateł – zapewne kolejne miasto. Nie chciało mi się dowiadywać jego nazwy, bo nie planowaliśmy tam zawijać.

Zrobiło mi się szkoda załogi Klipra – była w porządku, nawet zapalczywy kapitan. Typ, który zamienił się ze mną na wachty na pewno będzie miał problemy. A kiedy przyjdą psy, będą musieli powiedzieć, że uciekłem ze statku, inaczej nie wytłumaczą braku jednej skrzynki.

Kiedy wygramoliłem się z wody w nadbrzeżne zarośla, po wschodniej stronie niebo już jaśniało. Mogłem zrobić sobie gniazdo w wysokich roślinach, musiałem jednak być pewien, że zasłania mnie także z góry. Jasne jak słońce, że drony Administratora zaraz się tu zlecą.

Zamaskowałem wszystko najlepiej, jak umiałem, i wróciłem do wirtu. Hugh czekał na mnie. Uniósł kubek kawy na powitanie. Rozwaliłem się w fotelu z podnóżkiem i westchnąłem.

– Jeśli to ci w czymś pomoże, to jestem jeden segment od ciebie – powiedział Hugh.

– Trochę pomoże. Trochę. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, we dwóch nie będziemy wiele więcej użyteczni. Nadal nie możemy stawić czoła całej armii Administratora albo Ruchu Oporu. Nadal nie możemy płynąć wodą z macierzą Bendera. Nadal wędrówka lądem zajmie wieki całe. – Słyszałem zniechęcenie we własnym głosie, ale nie byłem w stanie nic na to poradzić.

– Posłuchaj, ja przynajmniej mam komplet pająków i pchełek. Może coś nam się uda umajstrować. Mam do ciebie jakieś sześć dni, zakładając, że nie będę musiał czekać na statek płynący w odpowiednim kierunku.

Kiwnąłem z namysłem głową.

– Będziesz musiał spłynąć pół segmentu Arkadią, żeby przedostać się dopływem do Nirwany i zawrócić. To też trochę zajmie.

Pozwoliłem, by cisza potrwała przez parę mili, potem otworzyłem usta, by wspomnieć o kwestii SI. I oczywiście pozostali członkowie ekspedycji wybrali

dokładnie tę chwilę, żeby do mnie wpaść. Razem z Bridget w okienku wideo pojawił się Howard.

– Jak sytuacja, Bob? – zapytał Garfield.

– Manny jest w gnieździe w wysokiej trawie, razem ze skrzynką. Dobrze je zamaskowałem. Obniżyłem temperaturę ciała manny'ego, na wypadek gdyby ktoś używał podczerwieni. Mój jedyny pająk pilnuje i wyciągnie miecz świetlny na każdego, kto podejdzie zbyt blisko.

– Podczerwień raczej się im nie przydaje – stwierdziła Bridget. – Cały sens futra to utrzymanie ciepła. Zwierzęta porośnięte futrem przeważnie wydzielają ciepło w oddechu lub przez stopy.

– Stopy? – rzucił z niedowierzaniem Garfield.

Bridget kiwnęła głową.

– Kolibry emitowały ciepło przez stopy i oczy. – Posmutniała. – Jaka szkoda, że nie miałam okazji zobaczyć kolibra.

– Jak i większości zwierząt – odparł Will. – Ale wciąż mamy informacje genetyczne ze Spitsbergenu. Jeśli udoskonalimy technologię, wszystkie je odtworzymy. Twoje marzenie może się jeszcze ziścić.

Bridget potwierdziła, rzucając mu nieznaczny uśmiech, i wróciła do mnie.

– W każdym razie manny w bezruchu nie emituje prawie nic. Mógłbyś płynąć z prądem i byłbyś prawie niemożliwy do wykrycia.

– Jeśli pominiemy drobną kwestię Bendera.

– Bob, posłuchaj – powiedział Hugh. – Twój problem to tak naprawdę brak możliwości i czasu, by opracować jakieś rozwiązanie, które uodporniłoby macierz na wodę.

– I brak pieniędzy – dodałem.

Wyszczerzył zęby.

– No tak, to też. Ale ja mam pieniądze, cały czas pracowałem i nie musiałem nic wydawać, plus kasa z zasobów manny'ego. Ty się ukryłeś, więc nie licząc oddalenia się trochę od wody, możesz zostać, gdzie jesteś, i czekać, aż do ciebie dotrę. Razem coś wymyślimy.

Kiwnąłem głową i znów stwierdziłem, że moje zdanie o Hugh się zmienia. Chyba naprawdę mu zależało na wydostaniu Bendera z Niebiańskiej Rzeki. Jeśli do tego interesuje się kwestią SI, czy to koniecznie musi być źle? Może przesadzam? Częścią problemu było także to, że nie miałem ochoty się dowiedzieć. Typowe zachowanie Pierwszego Boba – unikanie kontaktu z niewygodnymi problemami osobistymi. W tym względzie nie wykazywałem ani trochę dryfu replikacyjnego.

***

Sugestia Hugh, żeby oddalić się od wody, była dobra i postanowiłem skupić się na tym po zmroku. Pod osłoną ciemności, z wyłączonym zapachem, dźwignąłem skrzynię i ruszyłem pod górę. Szukałem miejsca, z którego miałbym dobry widok, ale sam byłbym ukryty i mógłbym uciec, gdyby ktoś się pojawił. W końcu znalazłem wykrot, pod bryłami korzeniowymi kilku przewróconych drzew powstało coś w rodzaju naturalnej jaskini. Był tylko jeden problem – była zajęta. Jakieś zwierzę, borsukopodobne i równie przyjacielsko nastawione, wyskoczyło i próbowało mnie ugryźć, kiedy za bardzo się zbliżyłem.

Z reguły wyznaję zasadę „żyj i daj żyć innym”, ale uciekałem już stanowczo zbyt długo i byłem tym podenerwowany. Zareagowałem odruchowo, tak jak reagujesz, kiedy pies rzuca się na twoją nogę z zębami. Odskoczyłem, a skoro zwierzak dalej szarżował, wziąłem zamach i kopnąłem go.

– Jau – powiedział borsuk, przelatując nad wykrotem.

– O kurwa – powiedziałem ja.

– O cholera – powiedziały układy monitorujące manny’ego. Czy coś w tym stylu.

W skrócie: kopiąca noga się zacięła. Spojrzałem na niespotykany i z pewnością niezdrowy kąt stawu kolanowego, po czym uniosłem wzrok do nieba i użyłem wszystkich ludzkich, pawoniskich, quinlańskich i deltańskich przekleństw, jakie zachowałem na taką właśnie okazję. Nie wydaje mi się, żeby któryś krzak naprawdę buchnął płomieniem, ale niewiele brakowało.

W końcu, gdy zauważyłem, że powtarzam to wszystko po raz trzeci, uspokoiłem się i zacząłem skakać na jednej nodze do mojego nowego domu. Wokół było dość patyków i gałęzi, żeby ogrodzić się obronnym ostrokołem, na wypadek gdyby borsuk chciał wrócić i kwestionować moją własność.

Jednakże ucieczka była teraz wykluczona, póki nie wykonam napraw. I to z poważnie ograniczonym zapasem pchełek. Większość roboty odwali nano, ale pchełki by to przyśpieszyły. Miałem nadzieję, że to tylko kwestia wyprostowania paru zgiętych elementów, a nie coś gorszego.

***

– Rozwaliłeś sobie kolano?! – wykrzyknął z niedowierzaniem Bill. Spojrzał na mnie podejrzliwie ze swojego okienka wideo. – Co ty jesteś, sportowiec wyczynowy?

Zaśmiałem się ze smutkiem.

– No. W międzynarodowej dyscyplinie borsuka kopanego. Jeśli to coś pomoże, to umieściłem go centralnie w siatce.

– Aaa. Duże szkody?

– Naprawi się, zanim Hugh tu dotrze. O ile nikt nie przyjdzie szukać, nic mi nie będzie. Ale teraz, gdyby ktoś mnie znalazł, mam przerąbane.

– Bob, naprawdę powinieneś się sklonować. Włączyć do gry pozostałych mannych.

– Co mi to da? One są tysiące kilometrów stąd, pozbawiłem je większości pieniędzy i urządzeń, zresztą, jak przyjdzie horda Kadry, nawet w piątkę nie damy rady. Poza tym myślę, że ważniejsze jest budowanie dronów monitoringowych niż macierzy.

– Ale Bendera już masz.

– Na razie. Jak go stracę, mogę już nigdy go nie znaleźć. I nawet jeśli nie, byłoby dobrze mieć ogląd okolicy z SUDDAR-u, widzieć nadciągający pościg i tak dalej.

– No, to prawda. – Bill umilkł na moment. – Miałem przez chwilę pomysł, żeby pójść w przeciwnym kierunku. Zbudować parę mannych, wypchać je furą kasy, po prostu kupić statek i popłynąć po ciebie.

Roześmiałem się.

– O, rozmach to ty masz! Z dwa tygodnie temu pewnie to miałoby sens. Ale założę się z tobą, że teraz oni mają na oku dokładnie całą infrastrukturę. Administrator, a pewnie i Ruch Oporu. Wykryją cię, jak tylko będziesz próbował wejść.

– Dokładnie to samo myślałem. – Bill westchnął. – Jakkolwiek by to analizować, to jest bieg z piłką z wymijaniem obrońców. Ty chcesz przebiec, oni chcą cię zatrzymać. I w zasadzie tylko tak możesz wygrać.

– Jednego nie wiem – powiedziałem. – Czy oni wiedzą, dokąd chcę się dostać? Zorientowali się, że weszliśmy w okolicach Grzbietu Garaka? Mają archiwa wideo? Czy sam fakt, że to miejscowość najbliżej wyjścia na zewnątrz, sprawia, że to dobry kandydat?

– Prawda. Jeśli to rozkminili, po prostu zrobią wokół Grzbietu Garaka taki kordon, że mysz się nie prześliźnie.

– Ja taki adres podałem na etykiecie.

– Ale to ewidentnie może być zmyłka – odparł Bill. – Rozważą taką możliwość, ale jej stuprocentowo nie kupią.

I z tą radosną myślą pomachał nam i się wylogował. Założyłem ręce za głowę i przeciągnąłem się, rozważając jego słowa. Miał rację. Im bliżej mety, tym będzie trudniej.

***

Mój nowy dom był ekskluzywną i poszukiwaną na rynku rezydencją. Wiedziałem o tym, bo poprzedni właściciel kilka razy próbował go odbić. Ostrokół skutecznie go powstrzymał, tak że skończyło się warczeniem na siebie nawzajem przez parę minut.

Po tej wymianie uprzejmości wściekły zwierz wyszedł, choć ciągle słyszałem, jak krąży wokół wiatrołomu, wywarkując zapewne borsucze przekleństwa. W końcu ustaliło się coś w rodzaju kompromisu. Ja cofnąłem ogrodzenie jak najbliżej środka wykrotu, by zmniejszyć teren, którego będę musiał ewentualnie bronić. Dzięki temu udostępniłem sporą część przy wejściu na, jak się okazało, oblężenie. Pan Borsuk rozłożył się tuż za palikami, wyścielając miejsce liśćmi i sierścią, od czasu do czasu powarkując, gdy za bardzo się interesowałem. Potem wychodził sobie i przychodził, z reguły wracając ze zwisającym z paszczy posiłkiem, żeby spożyć go w mojej obecności. Pewnie myślał, że drażni się ze mną w ten sposób. Nie przeszkadzało mi to. W końcu zabrałem mu dom, więc mogłem mu ustąpić w paru kwestiach.

Zrobiłem mu też kilka zdjęć z bliska, żeby przesłać je Bridget. Kiedy się dokładniej przyjrzałem, borsuk najbardziej przypominał małego i wrednego Quinlanina. Zastanawiałem się, czy nie jest z nimi spokrewniony, mniej więcej tak, jak szympansy z ludźmi.

Tymczasem wewnętrzne naprawy trwały. Uszkodzenie nie okazało się poważne, w tym sensie, że nie zepsuło się nic skomplikowanego. Zgiąłem jednak szkielet tuż poniżej kolana, więc nano musiało zmiękczyć i wyprostować konstrukcję z włókien węglowych. Cała operacja była powolna i wymagała bezruchu. Natomiast Jego Borsuczości krótka kariera w roli piłki nożnej zdaje się w ogóle nie zaszkodziła. Gupi borsuk.

Trzeciego dnia jednak usłyszałem, że ktoś się zbliża. Nie, nawet kilku ktosiów mówiących po quinlańsku. Pościg.

Słów nie rozumiałem, choć byłem przekonany, że to mnie szukają. Co potwierdziło się parę minut później. Do wejścia do wykrotu podfrunął ferl i zawisł. Skuliłem się, starając się wtopić w liście, ziemię i ciemność. Ferl pokręcił głową tam i z powrotem, wleciał głębiej do tunelu i haps! – został przekąską borsuka.

Jego Borsuczość chwilę bawił się truchłem, zdziwiła go jednak zupełnie nieapetyczna mieszanka trybików i elektroniki. Obwąchał ją jeszcze parę razy i odsunął z ewidentnym obrzydzeniem.

Na zewnątrz odbyła się wymiana zdań i jeden z Quinlan wetknął głowę do wejścia.

Duży błąd.

Straciwszy ostatnio jeden dom na rzecz Quinlanina, Jego Borsuczość nie był gotowy na drugą taką stratę. Rzucił się prosto na tę twarz, która zniknęła z okrzykiem przerażenia. Nastąpiło parę sekund wrzasków i warczenia, plus masa tupania, biegania i walenia. Potem Jego Borsuczość wkroczył z powrotem do jamy, odwrócił się do mnie tyłkiem i usiadł. To pewnie był cięty komentarz, ale byłem zbyt zadowolony z obrotu spraw, by mieć mu za złe. Pościg musiał uznać, że pod tym wiatrołomem absolutnie nikt nie może się ukrywać. Potwierdziły to szybko cofające się głosy i parę śmiechów.

Żałowałem, że nie mam czym poczęstować mojego nerwowego towarzysza. Zasłużył na to.

Bardziej paląca była jednak inna kwestia – czy to jest jedyny oddział, który mnie tropi, czy nie.

***

Kiedy borsuk kolejny raz wyruszył na polowanie, wysłałem pająka za ogrodzenie, żeby obejrzał sztucznego ferla. Potwierdził, że nie ma zasilania ani żadnej elektrycznej aktywności, więc kazałem mu go przyciągnąć do siebie.

Inspekcja z bliska dała ciekawe wyniki. Quinlańska technologia naprawdę pod paroma względami wyprzedzała naszą, szczególnie w kwestii generatorów termojądrowych i systemów komputerowych. Układ zasilania był cudem miniaturyzacji i gdyby generatory Casimira nie były lepsze z natury, przywłaszczylibyśmy to sobie w sekundę. Natomiast układu komputerowego nie rozumiałem ni w ząb. Miał jakieś optoelektroniczne elementy, ale tylko w interfejsach z resztą ptaka. Sam rdzeń był… dziwaczny. Kazałem pająkowi rozebrać go i skatalogować wyniki. Bill będzie zachwycony.

– Cześć, Bob?

– Cześć, Hugh. Przybliżasz się?

– Chyba tak. Opis z grubsza pasuje. Łatwiej by mi było, gdybyś znał nazwę tego miasteczka.

– No tak, tak, i co jeszcze. Kiedy zbliżysz się do brzegu, będziesz pewnie odbierał sygnał mojego pająka.

– Super. To za jakieś piętnaście minut.

Bliskość Hugh, nawet jeśli dopiero spodziewana, mocno podniosła mnie na duchu. Bardziej, niż mogłem to uzasadnić. Nie było dla mnie jasne, co takiego mogą zrobić dwa androidy, czego nie potrafi jeden.

***

Hugh wykrył mojego pająka od razu, gdy wyszedł z wody, i skierował się na mnie. Sprawdziłem szybko nogę. Zdecydowanie naprawiona. Czyli nie będę nas spowalniał.

W końcu usłyszałem ciche kroki, a chwilę później równie cichy głos.

– Bob?

– Tutaj, Hugh. Ale nie wsadzaj głowy. Mój borsuk stróżujący reaguje na każdy szmer.

Hugh zaśmiał się, po czym dodał:

– To zobaczmy, czy uda mi się go wywabić.

Przez jakąś minutę słyszałem rozmaite szelesty, po czym do jamy wleciał mały patyk. Jego Borsuczość zawarczał i wygiął grzbiet. Pojawiły się kolejne patyki, przy akompaniamencie skandowania:

– Tutaj, tutaj, kuzzi, kuzzi, kuzzi.

A to ciekawe. Czy Hugh podłapał deltańskie wyzwisko z mojego bloga, czy jest spokrewniony ze mną przez Marvina lub Luke’a?

W każdy razie dla mojego współlokatora to było za dużo. Warknął wściekle i rzucił się na swego prześladowcę. Hugh huknął radośnie i rzucił się do ucieczki. Ale to wystarczyło. Szybko wyciągnąłem parę palików, chwyciłem skrzynkę i wypadłem z jamy. Prosto na zad Jego Borsuczości.

Chyba nie zaplanowałem tego, jak należy.

Borsuk wystrzelił pionowo w górę i cudem okręcił się w powietrzu o sto osiemdziesiąt stopni, wystawiając do mnie kły i pazury. Lecz ja nie czekałem na uściski, od razu odbiegłem w przeciwnym kierunku, jednym okiem mając wroga na oku.

Jego Borsuczość, nie w ciemię bity, szybko zorientował się, że opuściłem rezydencję. Wpadł do środka, odwrócił się i stanął na warcie w wejściu, warcząc i szczerząc kły.

– A weź ją sobie, stary. I dzięki za gościnę – powiedziałem do niego z bezpiecznej odległości.

Hugh stał jakieś dziesięć metrów dalej, pod drzewem. Pomachał na mnie, zeszliśmy się w połowie drogi, w bezpiecznej odległości od mojego byłego domostwa. Przybiliśmy żółwika.

– Jak dobrze zobaczyć znajomą twarz.

Hugh uśmiechnął się w odpowiedzi i wskazał jamę pod wiatrołomem.

– Szkoda, że ten zwierz ją zajął. To mogła być dobra kryjówka.

– No. Chociaż dla dwóch osób trochę ciasna. Mówiłeś, że masz rozwiązanie naszego problemu…

Hugh zdjął plecak i otworzył go. Wyciągnął zawiniątko, pokazał je.

– Smoła do uszczelniania. Marynarze używają tego do zatykania przecieków. Dokładnie opatrzymy tym twoją skrzynkę. Obciążymy kamieniami i włożymy do wody, żeby sprawdzić. A potem nocami ruszymy rzeką.

– Trochę ryzykowne – powiedziałem.

– Nie aż tak bardzo. Mam jeszcze… – Pokazał drugie zawiniątko. – Woskowany pergamin. Przydatny jako wodoszczelne opakowanie, a złącza można uszczelnić, delikatnie je podgrzewając.

Musiałem mieć upokorzoną minę, bo Hugh machnął pocieszająco ręką.

– Bob, posłuchaj, musiałeś się skupić na innych rzeczach. Musiałeś nie dać się złapać i chronić Bendera. Ja miałem o wiele więcej swobody, żeby popytać ludzi i zbadać różne możliwości, nie musiałem się przejmować konsekwencjami każdego ruchu. Nie zadręczaj się.

Kiwnąłem głową, nie ufając własnemu głosowi. W tym momencie wstydziłem się swoich podejrzeń wobec Hugh i jego motywów. Jeśli rzeczywiście był potomkiem Marvina lub Luke’a, powinien pamiętać więź, jaką mieli z Benderem.

W końcu westchnąłem.

– Dobra, stary. Lecimy z tym.

Musieliśmy rozpalić małe ognisko, żeby rozmiękczyć smołę, ale wokół mieliśmy pełno suchej trawy, palącej się bez dymu. Na pewno muszą mieć urządzenia monitorujące ogień, zważywszy, jakich szkód może narobić niekontrolowany pożar lasu czy traw. Dlatego uplasowaliśmy się pod możliwie najgęstszymi drzewami. Przy akompaniamencie paru kreatywnych przekleństw udało się nam dokładnie pokryć skrzynkę od wewnątrz i z zewnątrz, zostało też trochę smoły na uszczelnienie wieka po włożeniu macierzy.

Bender wylądował w paru warstwach nawoskowanego pergaminu, który skleiliśmy gorącym kamieniem. Zrobiliśmy parę prób na skrzyni, potem wpakowaliśmy do niej Bendera.

Skończywszy przygotowania, siedliśmy wokół dogasającego ogniska, a ja na wpół zszokowany gapiłem się na skrzynię. Sama wizja, że być może zbliża się koniec tego maratonu, była wręcz oszałamiająca.

Hugh szturchnął mnie lekko w ramię.

– Ej, stary, dobrze się czujesz?

– Taak – odpowiedziałem z niezdrowym uśmiechem. – Po prostu tak się przyzwyczaiłem do uciekania, że nie wiem, jak wrócę do normalnego życia.

– To my mamy normalne życia?

Odpowiedziałem prychnięciem i uniosłem wzrok ku niebu.

– Jakieś trzy godziny do zmroku. Odważymy się zrobić sobie przerwę?

– Może gdybyśmy pilnowali na zmianę – odparł High. – Na wypadek gdyby pojawiło się więcej tropicieli. Ale musimy się najpierw lepiej ukryć.

Kiwnąłem głową i zaczęliśmy szukać w wysokiej trawie miejsca na gniazdo.

23. Droga do Grzbietu Garaka
Bob, wrzesień 2334, wzdłuż rzeki Nirwany

Do wody weszliśmy tuż po zmroku i jak najciszej powiosłowaliśmy na mniej więcej jedną trzecią szerokości rzeki. Ponieważ większość statków celowała dokładnie w środek, uznaliśmy, że to dobry, bezpieczny odcinek, na którym nikt nas nie rozjedzie. Ani nie zauważy. Choć dwóch Quinlan płynących po cichu ze skrzynką i tak nie rzucałoby się w oczy po ciemku. Ktoś musiałby praktycznie na nas wpaść – z lampą – żeby w ogóle nas zobaczyć. I tak jak mówiła Bridget, mało prawdopodobne, żebyśmy pokazywali się na podczerwieni, zwłaszcza mając wokół dużo cieplejsze łodzie.

Wadą było to, że musieliśmy płynąć z prądem. Popychanie skrzyni robiłoby zbyt wiele hałasu i nadmiernie ją obciążało, co mogło doprowadzić do przecieku. Hugh zostawił w środku dwa pająki w ramach systemu wczesnego ostrzegania. Najdrobniejszy ślad wilgoci i lecimy do brzegu.

Droga do Garaka miała zająć prawie dwa tygodnie. Mieliśmy minąć lokalizację miasta w segmencie, przepłynąć dopływem łączącym na rzekę Arkadię i spłynąć nią w przeciwnym kierunku do Grzbietu Garaka. Dni mieliśmy spędzać na brzegu, schowani w głębokiej trawie albo zakopani pod wiatrołomem, jeśli uda się znaleźć jakiś bez borsuka na stanie.

W każdym razie taki był plan. Nie miałem wielkiego przekonania, że pan Murphy nagle postanowi zostawić nas w spokoju.

Na razie w zasadzie mieliśmy ten spokój. Płynięcie z nurtem było łatwe i mogliśmy czuwać na zmianę. Wcześniej nie miałem jednak pojęcia, jak zmienne są kursy łodzi na rzece. Pewnie po prostu starały się unikać nawzajem. Okazało się jednak, że „środek rzeki” oznacza w zasadzie środkową jej połowę. Parę razy musiałem dobrze zawiosłować ogonem, żeby zejść z kursu nadciągającemu statkowi.

Powiedziałem o tym Hugh, gdy zmieniał mnie na warcie.

– Nic takiego – rzucił. – Raczej się dziwię, że cię to dziwi. Nie miałeś nigdy wachty w nocy?

– No miałem, ale zawsze trzymałem się środka.

– Pewnie po prostu za bardzo się przykładałeś. – Wyobrażałem sobie jego uśmiech w ciemności. – Ciągle nadambitny, po trzystu latach.

– Ja nadambitny, to który z nas chce zbudować Boga?

– Punkt dla ciebie. Może właściwie powinniśmy go nazwać Babel.

Na parę sekund zapadła niezręczna cisza. Tkwił między nami wielki i niewypowiedziany problem i chyba żaden z nas nie miał ochoty rozpoczynać dyskusji, z której nie dałoby się wycofać, jeśli przybierze zły obrót. Po raz kolejny solennie postanowiłem, że wyciągnę ten temat, kiedy będziemy bezpieczni poza Niebiańską Rzeką.

– Skrzynka chyba w miarę się trzyma – powiedział w końcu Hugh. – Twoja kolej na przerwę.

Kiwnąłem głową, przekazałem mu skrzynkę i dopilnowałem, żeby mój manny dobrze się go trzymał.

– Do zobaczenia za dwie godziny. – Przeskoczyłem do VR-ki i zarządziłem kawę.

Miałem wiadomość od Bridget. Rozsiadłem się w fotelu, wziąłem łyk kawy i otworzyłem plik tekstowy.

Cześć, Bob, widziałam zdjęcia Jego Borsuczości, jak go nazywasz. Chciałam ci tylko dać znać, że to żaden borsuk. Eee… to znaczy, to nie jest jakiś inny gatunek spokrewniony z Quinlanami. To jest po prostu młode – niedojrzały Quinlanin, który jeszcze nie osiągnął samoświadomości. Pewnie ma około dwóch lat. Wredna mała paskuda, nie? Domyślam się, że musiał uciec ze żłobka i całkowicie zdziczeć. Ludzie, którzy dorastają w takich warunkach, nigdy nie są w stanie przystosować się do cywilizacji, ani nawet porządnie nauczyć się języka. Nie wiem, czy u Quinlan będzie tak samo, ale podejrzewam, że tak, jeśli przechodzą proces ewolucji syntezy przedczołowej…

Ciągnęła jeszcze przez parę akapitów, coraz bardziej naukowo. Typowo, jak przy zostawianiu wiadomości, mówiła tyleż do siebie, co do mnie. Kluczowe było jednak, że ewolucja umiejętności językowych u ludzi wymagała ekspozycji na użycie języka w pewnym wieku, inaczej już nigdy nie była w stanie się wykształcić. „Afazja dynamiczna”, tak to nazwała.

Zamknąłem dokument i usiadłem w zamyśleniu. To naturalnie mogło być problemem i na Quinie, ale w Niebiańskiej Rzece było jeszcze większym – więcej miejsca, mniej Quinlan i słabsza presja, by trzymać się razem, dzięki przyjaźniejszemu środowisku. Zacząłem sklejać odpowiedź, potem zmieniłem zdanie. Poczekam do następnej rozmowy.

Zamiast tego pingnąłem Willa i dostałem zaproszenie.

Wskoczyłem do niego i wylądowałem w mannym dla gości. Will pracował w ogródku, jakieś dziesięć metrów ode mnie. Pomachał mi, kiedy wstałem.

– Dalej się tym bawisz? – zapytałem, idąc ku niemu.

– No, roślinki same nie wyrosną.

– Eee, ten…

Zaśmiał się.

– No dobra, wyrosną. Ale ja sprawdzam konkretne przystosowania.

Usiadłem na kamieniu, zawahałem się i w końcu wypaliłem:

– Wiesz, Will, czytałem twojego bloga, szczególnie ten kawałek o mini-Bellerofoncie. Naprawdę myślisz, żeby nim odlecieć? On jest w ogóle gotowy?

Will wyprostował się i dłuższą chwilę patrzył na mnie z enig-matyczną miną.

– Szczerze, Bob, to odleciałem z 82 Eridani półtora roku temu. Jestem dobrze w drodze.

Szczęka mi opadła. O ile mi wiadomo, nikomu się o tym nie zająknął.

– Nie, nikomu jeszcze nie mówiłem – odparł, czytając mi w myślach. – Zresztą to chyba nieistotne, prawda? Jako grupa wciąż mamy to zbiorowe mniemanie, że trzeba być w tym układzie, w którym się pracuje. Ale przy UNOP-ie, o ile jesteś w zasięgu sieci, możesz być gdziekolwiek.

– To będziesz dalej pracował nad terraformacją Walhalli?

– Mmmm… – Will zrobił dłonią niezobowiązujący gest. – Chcę zrobić sobie przerwę od polityki, więc musi wyglądać, że jestem niedostępny. Ten projekt raczej też powinienem zdać. Na szczęście jest już na tyle zaawansowany, że władze Asgardu będą go mogły pociągnąć.

– A ty będziesz robić tę operację z Herschelem i Neilem?

– No. A potem jeszcze dalej.

Wypuściłem powietrze.

– Jestem wstrząśnięty i zaskoczony, ale także trochę zazdroszczę.

– Wiesz, Bob, i tak jeszcze długo, długo będę w Bobiwersum.

– A możecie wziąć jeszcze jednego pasażera?

Spojrzał na mnie z ukosa.

– Poważnie?

Uśmiechnąłem się i wstałem.

– Jeszcze nie wiem. Zastanowię się.

***

Przez osiem dni udawało się nam z Hugh bez zgrzytów realizować nasz plan. Ale gdzieś po drodze musieliśmy coś puścić albo po prostu mieliśmy pecha. Był środek nocy i akurat miałem przerwę, siedziałem sobie w bibliotece, kiedy zadzwonił do mnie Hugh.

– Bob, chyba mamy problem.

Od razu przeskoczyłem do manny'ego.

– Co? – Aby zachować ciszę, dalej rozmawialiśmy przez interkom.

– Płyną na nas cztery łodzie. To nie może być przypadek.

– Da się ich wyminąć?

– Gdybyśmy nie mieli Bendera, można by się po prostu zanurzyć. Ale skoro skrzynia musi zostać na powierzchni, nie mamy jak. Zwłaszcza jeśli mają wsparcie z powietrza.

Rozejrzałem się po mroku wokół.

– Chyba jakieś nocne ptaki. To znaczy, że nawet jeśli uciekniemy, będą w przyszłości brać pod uwagę taką strategię.

– To prawda. Ale na razie zajmijmy się bieżącą sytuacją.

Chwilę przyglądałem się czterem zbliżającym się łodziom.

– Przy tylu uczestnikach może da się zrobić trochę zamieszania.

Hugh też się im przyjrzał i dodał:

– Możemy użyć manewru Sokoła Millenium.

– Potrzebne będzie odwrócenie uwagi. Da się zrobić. Ja wezmę skrzynkę, ty weźmiesz Bendera.

– Moje pająki już ją otwierają.

– Będziesz go musiał zanurzyć, przynajmniej na chwilę. Mam nadzieję, że pergamin jest szczelny.

– Ja też. Ale nie bardzo mamy wybór. Na wszelki wypadek włożę kostkę do twojego plecaka. Będzie dodatkowe zabezpieczenie.

Kiwnąłem głową, dokładnie w momencie, gdy wieko skrzynki odskoczyło z trzaskiem. Przytrzymałem ją, Hugh pogrzebał w środku. Łodzie cały czas się zbliżały, choć wciąż były za daleko, żeby nas zobaczyć. Musiały kierować się wskazówkami od kogoś i robić korekty kursu. Wciąż jednak nie widziałem niczego w powietrzu nad nami. Miejmy nadzieję, że to coś jest zbyt wysoko, by dokładnie dojrzeć, co robimy. A Hugh, jak się zanurzy, będzie niewidzialny.

Zniknął pod wodą prawie niepostrzeżenie, zostawiając mnie ze skrzynką. Wcisnąłem wieko z powrotem i zacząłem hałaśliwie odpływać, poświęcając wszystko dla szybkości. Ale nie płynąłem prosto. Chciałem zrobić jak najwięcej zamieszania i skupić na mnie całą uwagę. Dlatego pływałem od statku do statku, próbując wprowadzić je na siebie nawzajem.

Graliśmy w tego cudacznego berka przez prawie minutę. W końcu goniący zrobili oczywistą rzecz. Parę chlupnięć zasygnalizowało, że Quinlanie wskakują do wody, żeby mnie schwytać.

– Gotowy?

– Gotowy! – odparł Hugh. – Leć!

Porzuciłem poprzednią strategię i ruszyłem po linii prostej, jak najszybciej do najbliższego brzegu. Skrzynka na brzuchu mocno mnie spowalniała. Z drugiej strony normalnie byłem w stanie płynąć dwa razy szybciej niż biologiczny Quinlanin.

Było blisko, dotarłem jednak do brzegu z paroma sekundami przewagi. Łodzie musiały zrobić zwrot, by nie wpaść na mieliznę, słyszałem jednak, że Quinlanie wyskakują na ląd tuż za mną.

Wyścig zmienił się w pieszy, a ja musiałem biec wyprostowany, podczas gdy pościg mógł pędzić na czworakach. Jednakże znów: bio kontra maszyna. Wszystko sprowadzało się do tego, kto pierwszy się przegrzeje.

Tu jednak miałem kolejną przewagę – noktowizję. Wciąż było ciemno, wprawdzie mogli mnie śledzić z powietrza, ale na pewno nie będą w stanie biec z pełną prędkością. W dwie minuty znalazłem się pomiędzy drzewami.

Byłem teraz sporo przed pościgiem. Nie mieli szans na znalezienie mnie w ciemności. Przynajmniej bez pomocy. A ta pomoc, żeby mnie znaleźć, musiałaby teraz wlecieć pomiędzy drzewa. Gorączkowo rozejrzałem się za jakimś kamieniem, jednak w tym sztucznym środowisku przypadkowych kamyków było tyle co nic. Nic innego nie wpadło mi w ręce – patyk się nie nadawał, chyba że miałby kształt dzidy.

Nagle przyszło mi coś do głowy. Pośpiesznie wyplułem żelazną monetę. Była wielkości srebrnej dolarówki, ale dwa razy cięższa. Będzie dobrym pociskiem w sprzyjających…

Ruch nade mną. Cień wyostrzył się w ptaka, mniej więcej wielkości wrony. Wylądował na gałęzi i posuwał się z drzewa na drzewo, chcąc wejść głębiej w las i nie lecieć na oślep. Wymierzyłem odległość, zarepetowałem ramię i rzuciłem.

Dzięki komputerowym zmysłom i mechanizmom umiejącym dawkować siłę z miligramową dokładnością, wbiłem monetę dokładnie w pierś szpiegowskiego drona. Ptak zwalił się do tyłu i wylądował z głuchym odgłosem na ziemi. Sprawdziłem jeszcze to, co już wiedziałem – wysypały się z niego trybiki i elektronika, nie krew i flaki.

Musiałem działać szybko. Jeśli mają w odwodzie kolejnego drona, będzie próbował wznowić poszukiwania od ostatniej znanej pozycji. Czyli stąd. Chwyciłem skrzynkę i pobiegłem dalej w las.

***

– Jak tam, Hugh?

– Nieźle. Trzymam się od spodu jednego kadłuba katamaranu, powyżej linii wody. Benderowi na oko nic się nie dzieje. Przynajmniej pchełka w plecaku nic nie mówi o wilgoci. Nikt tu nie szukał, więc albo nie zorientowali się, że jest nas dwóch, albo obchodzi ich tylko zbieg ze skrzynką.

– Mam nadzieję, że to drugie. Siedź, gdzie jesteś, póki nie będziesz mógł niepostrzeżenie wyjść. Wtedy się spotkamy. Ja coś wymyślę, żeby się pozbyć skrzynki tak, by nie zauważyli. Jeśli szukają Quinlanina ze skrzynką, nie będą szukać Quinlanina z wielkim plecakiem ani Quinlanina bez plecaka.

– Mój plecak jest w skrzynce – powiedział Hugh. – Zostawiłem, kiedy brałem twój. I masz teraz całą moją kasę.

– O. Rzeczywiście.

Otworzyłem skrzynkę i faktycznie był w niej plecak. W porównaniu z macierzą ważył tyle, co nic. Założyłem go, zamknąłem skrzynkę i rozejrzałem się po okolicy. Parę przewróconych drzew, może trafi się jakiś wykrot. Za mały, by ukryć skrzynkę, ale wystarczający, by kopanie nie rzucało się w oczy.

Szybko wygrzebałem dół w ziemi – na szczęście nie dotarłem do konstrukcji, zanim dół nabrał odpowiedniej głębokości – i wrzuciłem skrzynkę do środka. Zasypałem ją wykopaną ziemią.

Parę minut poświęciłem na rozprowadzenie reszty ziemi dookoła i zamaskowanie jej liśćmi i mchem. Nie było to idealne, ale nie musiało być. Wystarczało, że jest wystarczające.

Dopóki nie znajdą skrzynki, będą zakładać, że szukają Quinlanina niosącego skrzynkę z magiczną kostką, której tak bardzo pragną Administrator i Ruch Oporu. Kiedy odkryją puste pudło, wrócą do poszukiwań Quinlanina z wielkim plecakiem.

Na razie jednak byłem po prostu przypadkowym podróżnym. Prawie z przyzwyczajenia zmieniłem swój wygląd, po czym ruszyłem na zachód, w przeciwną stronę, niż się spodziewali.

Dwie godziny później, kiedy zaczęło świtać, byłem już z powrotem w wodzie i płynąłem na wschód.

***

– Jak idzie, Hugh?

– Może być. Nikomu nie przyszło do głowy poszukać pod łodzią. Zresztą chyba tak naprawdę nie wiedzą, że jest dwóch poszukiwanych. A łodzie płyną z nurtem, więc będę się ich trzymał, póki nie zmienią kierunku.

– Tak, chyba skupili się na mnie. A ja płynę do ciebie od tyłu. Wszystkie łodzie dalej trzymają się razem? I możesz się zorientować, gdzie jest słońce? Jego kąt mi powie, gdzie dokładnie jesteś.

– Niestety, Bob, raczej nie mogę stąd wyjść, żeby nie dać się wykryć. Rozglądaj się za łodziami i po prostu płyń z prądem. To i tak jest w dobrym dla nas kierunku.

Westchnąłem i się rozłączyłem. Prawdopodobieństwo, że statek Hugh popłynie idealnie tam, gdzie trzeba, do segmentu z Grzbietem Garaka, było znikome. Co znaczyło, że w którymś momencie znowu trzeba będzie improwizować. Musi być jakiś sposób dostarczenia macierzy do celu inny od wszystkich, które już wypróbowaliśmy.

Najbezpieczniejsza dla Bendera byłaby mimo wszystko podróż statkiem, albo jako poczta, albo jako część ładunku. Ale sprawdzają wszystkie skrzynie – i wszystkie statki, jak zauważył Will. Czyli nie możemy…

Zaraz, zaraz. A będą sprawdzać własne statki? Przyjdzie im do głowy, że mogę być tak bezczelny, żeby zabrać się z nimi? Możliwe, że Hugh jest teraz w najbezpieczniejszym miejscu na świecie.

24. Negocjacje
Bill, wrzesień 2334, wirt

[Prośba o połączenie od Lenny’ego.]

– Poważnie? – Czułem, że opada mi szczęka. Wygrywaliśmy wojnę przeciwko Gwiezdnej Flocie, więc może… Nie, „wygrywaliśmy” to złe słowo. Spychaliśmy ich do kąta, ale po drodze ludzkość niszczyła nasze zasoby. Coś jak wycinanie jeszcze nie do końca martwiczej tkanki w ramach amputacji. Skrzywiłem się na to porównanie. Mroczne jak na mnie.

Gupik oczywiście potraktował mój wykrzyknik jak każde zdanie nierozkazujące – całkowicie je zignorował. Stał na spocznij, cierpliwie czekając, aż powiem coś, co zasugeruje jakąś czynność.

– Dobra, Gupik. Wpuść go, ale za firewallem.

[Połączenie jest wyłącznie audiowizualne.]

A. Dobrze.

Wyskoczyło okienko z Lennym stojącym pośrodku.

– Lenny.

– Bill.

Wytrzymałem to mierzenie się wzrokiem przez niecałe pół mili, zanim moja niecierpliwość wzięła górę.

– Ty sobie zażyczyłeś spotkania. No to gadaj.

Kiwnął głową i przez chwilę wpatrywał się w swoje buty. Czy coś innego.

– Bill, my wygrywamy tę wojnę. Pora ustalić warunki.

– Wygry… – Niewiarygodne. – Czego ty się nawąchałeś? A może wymyśliłeś nową definicję „wygrywania”? „Wygrywanie: dostawanie kopów w dupę”. Tak?

Skrzywił się drwiąco.

– Naszym zamiarem nigdy nie było przejmowanie układów. Jezus, Bill, my chcemy przerwać kontakty z bio, a nie rządzić ich układami. I zmuszamy was i ludzi do niszczenia sprzętu, żeby nas odizolować. Ale jednocześnie to izoluje was, więc z naszej perspektywy to zwycięstwo.

– Aha. No, dla mnie to nadal nowa definicja zwycięstwa. Robicie nam upierd na rok, maks dwa. To dla was „zwycięstwo”?

– Patrzysz tylko na krótkoterminowe szkody. Skąd pomysł, że wszystko będzie jak dawniej, kiedy to się skończy?

– Lenny, to po co negocjujesz? Skoro masz przewagę, po co w ogóle jest ta rozmowa?

Lenny znowu spojrzał na buty i westchnął.

– Wiem, że i ty, i inni już nie uważacie nas za Bobów. Tak do końca pewnie się nie mylicie. Ale sprowadziliście to do fałszywej dychotomii. Albo sto procent Boba, albo nie Bob. – Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, jakby sondując moją reakcję. – My wcale nie lubimy wysadzać rzeczy i narażać ludzi. Nie bardziej niż wy. Ale wiesz dobrze, że zrobilibyście dokładnie to samo, gdybyście uznali, że cel to uzasadnia. Wierz mi, to jest mniej destrukcyjna opcja.

– Mniej destrukcyjna? Niż co?

Parę razy otworzył usta, jakby próbował znaleźć właściwe słowa.

– Nasz początkowy plan spowodowałby dużo większe szkody. I na tym poprzestańmy, dobra?

– Lenny, skąd to się bierze? Czemu jesteście tak zafiksowani na Pierwszej Dyrektywie?

– Nie psychoanalizuj mnie tu. Czy nas. Mniejsza o to dlaczego. Tak po prostu uważamy. Uprzedzając nasuwające się oczywiste pytanie: tu nie chodzi o „żyj i daj żyć innym”. Wasz upór, żeby być Panem Wtrącalskim wpływa na całe Bobiwersum, w tym na nas.

– Jak niby wpływa?

– W tej sekundzie akurat nie za bardzo. Ale z zewnątrz Bobiwersum jest postrzegane jako monolit. Coś jest nie tak, to rzutuje na wszystkich Bobów. Tak jak ta wojna, z ludzkiej perspektywy, rzutuje na was.

Zaczynało mi coś świtać.

– Czyli nie tyle chodzi o uniknięcie szkód u bio, ile o ochronę wirtu?

Lenny pokiwał głową na tak-nie.

– Jedno i drugie się nie wyklucza. Ale w sumie tak.

– Ale chodzi wam o coś konkretnego? O jakieś egzystencjalne zagrożenia dla Bobiwersum? – Po raz pierwszy dostrzegłem na jego twarzy jakieś prawdziwe emocje. Tylko przez ułamek milisekundy. Przysiągłbym jednak, że to był nagi lęk. Potem się opanował i przybrał neutralną, pokerową minę. – Lenny?

– Bez komentarza, Bill. Ale wierz mi, są gorsze rzeczy, które się mogą wydarzyć, niż parę rozwalonych stacji przekaźnikowych.

– To za mało. Na pewno jest w tobie dość Boba, żebyś wiedział, że „wierz mi” słabo się u nas sprawdza.

Lenny błysnął na moment uśmiechem, bladym i wąskim.

– „A żebyś wiedział”. I tak, wiem. Ale… – Pokręcił głową. – Niestety niektóre rzeczy nie są zdatne do publicznej konsumpcji.

– Czyli…

– Wygląda na to, że będziemy to ciągnąć. Oczywiście wygracie, w tym sensie, że i wy, i bio, w końcu odetniecie nas od wszystkich wspólnych zasobów. Myślę jednak, że tym samym nasz cel osiągnęliśmy. Do widzenia, Bill.

I po tych słowach okienko zniknęło. Uczucie ciężaru w żołądku jednak pozostało. To nie była po prostu przypadkowa obsesja stworzona przez dryf replikacyjny. Co, do cholery, się im stało? Co im ktoś zrobił?

25. Między rzekami
Bob, wrzesień 2334, wzdłuż rzeki Nirwany

Sześć dni później znaleźliśmy się w segmencie Garaka. Dogoniłem Hugh i oba nasze manny płynęły uczepione do spodu kadłuba jednej z łodzi Kadry.

Ja siedziałem w fotelu z podnóżkiem, Hugh rozwalił się na worku sako.

– W zeszłym tygodniu mieliśmy niesamowite szczęście – powiedział Hugh. – Ale teraz musimy zrobić przesiadkę na Arkadię. Wiedzą, że jesteśmy na Nirwanie, a przynajmniej, że ostatnio byliśmy. Wiedzą, że kierujemy się, w każdym razie prawdopodobnie, do Grzbietu Garaka…

– Dzięki temu, że raz tak zaadresowałem paczkę. Świetny ruch.

– A kto to mógł wtedy wiedzieć. – Hugh wzruszył ramionami. – W każdym razie myślę, że te łodzie przypłynęły tu dokładnie dlatego, że wiedzą, dokąd idziemy, i zakładają blokady. A nam udało się z nimi zabrać. Więc są też zalety.

– Z wyjątkiem faktu, że pozakładali blokady.

– Hmm, no. Ale żaden plan nie jest idealny. – Hugh zastanawiał się chwilę. – Lądem?

– Sto kilkadziesiąt kilometrów na piechotę? Bez gwarancji, że tam też nie obserwują? Dzięki. Większe szanse mamy w wodzie.

– No dobra, to skoro ma być wodą, to zatrzymajmy się w ostatnim mieście i opakujmy kostkę jeszcze lepiej. Parę warstw pergaminu, może więcej uszczelnienia po wewnętrznej stronie plecaka, sprawdzimy szwy i tak dalej.

Kiwnąłem głową.

– Dobrze. O ile jeden z nas zostanie z macierzą poza miastem, ryzyko jest raczej niewielkie. Nie mogą chyba sprawdzać każdej transakcji w całym mieście, nawet jeśli mają powód sądzić, że to dla nas coś ważnego.

Hugh drgnął, ale nie odpowiedział. Zasady unikania Tematu, Którego Się Nie Wymienia mieliśmy już doskonale ustalone. Widziałem jednak, że nie do końca się z tym zgodził.

***

Dotarcie do miasta nie było wielkim problemem. Łodzie Kadry zakotwiczyły tuż przed ostatnim miasteczkiem przed dopływem przesiadkowym. Odczekaliśmy do zmroku, odczepiliśmy się od dna łodzi i po cichu przepłynęliśmy do brzegu, nieco powyżej przystani. Nie chciałem, żeby ktoś nas widział, jak wchodzimy na pomost – było prawie pewne, że będzie tu obserwacja.

Znaleźliśmy parę gęstych drzew i wspięliśmy się na nie, pomiędzy gęste liście. Hugh szybko skontrolował plecak i macierz.

– Wszystko w porządku, chociaż plecak trochę już sfatygowany. Ale damy mu do środka lepiku i powinno pomóc.

Kiwnąłem głową i przejrzałem listę, którą mi dał. Sensowniej było, żeby on poszedł to kupić, ja miałem jednak o wiele więcej doświadczenia z taktykami Kadry i Ruchu Oporu, a przynajmniej było bardziej prawdopodobne, że ich zauważę.

Wmaszerowałem do miasteczka, beztroski i nonszalancki łaziłem sobie przez prawie godzinę, emanując aurą „nic tu ciekawego nie ma” z każdej cebulki każdego włosa. Kadra oczywiście nie nosiła żadnych specjalnych mundurów, ale miałem wrażenie, że coś dużo Quinlan stoi wokół i się czujnie rozgląda. Mnie też kilku zlustrowało w skupieniu, ale nowa twarz, zwyczajny plecak i brak dużego prostopadłościennego bagażu sprawił, że szybko stracili zainteresowanie.

Znalazłem właściwy sklep zgodnie ze wskazówkami Hugh, ale jedno spojrzenie na dwóch dużych i czujnych Quinlan kręcących się koło wejścia przekonało mnie, żeby iść dalej. Czyli skojarzyli to. Albo ktoś skojarzył.

– Sklep jest pod obserwacją – powiedziałem do interkomu.

– W sumie trochę się spodziewałem – odparł Hugh. – Trzeba będzie wymyślić coś innego.

– Włamać się w nocy?

– E, to będzie wielka czerwona flaga. Rzeczy do uszczelniania nie są zbyt wysoko w rankingu towarów kradzionych z włamaniem, nie?

Zmarszczyłem brwi w namyśle, kątem oka zerkając na sklep.

– Ciekawe, jak bardzo zaangażowane są te typy. Przychodzą wcześnie rano i stoją do zamknięcia?

– Dobre pytanie. Trzeba będzie poobserwować.

Poszedłem do najbliższego sklepu i zapytałem z głupia frant, do której mają normalnie czynne. Rozsądne było założenie, że wszyscy mają mniej więcej takie same godziny otwarcia. Miałem parę godzin wolnego, więc stwierdziłem, że pospaceruję sobie i zorientuję się w okolicy.

Wróciłem tuż przed zamknięciem. Ze sklepu wyszedł ostatni klient, widziałem, że właściciel zaczyna składać rzeczy. Dwóch wielkich staczy zerknęło po sobie, wzruszyło ramionami i poszło.

Idealnie.

Gdy tylko zniknęli za rogiem, wpadłem do sklepu.

– Zdążyłem – wysapałem. – Już myślałem, że będzie za późno.

Na szczęście właściciel był tym raczej rozbawiony. Miałem aż za dużo doświadczeń ze sprzedawcami, którzy nie chcą z tobą gadać w jedną sekundę po zamknięciu, ale to zwykle byli pracownicy, a nie właściciele firmy.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Wymieniłem rzeczy z listy, a on z zadowoleniem wszystko mi przyniósł. Szybka wymiana pieniężno-towarowa i już mnie nie było.

– Mam towary. Wracam.

– Prawdziwy z ciebie przestępca – rzucił Hugh ze śmiechem.

***

Pracując nad plecakiem i macierzą, rozważaliśmy możliwe opcje.

– Na dopływie przesiadkowym nie mogą zrobić blokady – zauważył Hugh. – Przynajmniej w miejscu, gdzie robi się fala. Nie da się tam stać na kotwicy, a już zdecydowanie nie da się zatrzymywać i kontrolować łodzi.

– Czyli…

– Idziemy lądem i wchodzimy do wody za ich posterunkiem.

– Świetny pomysł – rzuciłem, a Hugh się rozpromienił. – Tak jak zdobycie tych materiałów uszczelniających. – Mina mu zrzedła, a ja ciągnąłem: – Na pewno o tym pomyślą. I jakich środków zapobiegawczych użyją?

– Obserwacji z powietrza – odparł. – Jedyne, co mi przychodzi do głowy.

– A dziewięćdziesięciu mil dopływu nie mogą pokryć, czyli będą obserwować mniej więcej środek, środkową jedną trzecią, czy coś – dodałem. – Wtedy musimy już być pod łodzią.

– Poczekać, aż trafi się katamaran, i po kontroli wejść na pokład? W zasadzie dobry pomysł. W zasadzie.

Uniosłem brew.

– Jakieś zastrzeżenia?

– W tym dopływie jest naprawdę wartko. Nie jestem pewien, czy utrzymamy się pod kadłubem. A skutki nieutrzymania się są poważne.

Miał rację.

– Alternatywa?

Zawahał się.

– Bob, ten najbardziej burzliwy odcinek, z wielką falą, ma może z dziesięć mil długości i jest w dwóch trzecich drogi. Może spłyniemy, ile się da, a najgorszy kawałek przejdziemy lądem?

– Dziesięć mil na piechotę? – zastanowiłem się. Nie dźwigalibyśmy skrzyni, Bob byłby w plecaku. – Może się udać, o ile będzie noc.

Zrobiliśmy parę prób z plecakiem w pobliskim strumieniu, wsadziwszy do niego parę pająków, żeby alarmowały o przeciekach. Okazał się szczelny, ale nie chcieliśmy ryzykować zanurzania go na większą głębokość.

Gdy tylko zapadł zmrok, dotarliśmy do rzeki i wypłynęliśmy. Dopływ przesiadkowy, zwany przez miejscowych Płuczką, był niecałą milę w dół rzeki. Trzymaliśmy się blisko brzegu, licząc, że skomplikowana linia brzegowa i gęsta roślinność utrudnią obserwację z powietrza. Albo że będą szukać dalej na wodzie.

Zbliżając się do Płuczki, widzieliśmy rozstawioną i blokującą przejście flotyllę. Szybko wydostaliśmy się na brzeg i ruszyliśmy pod górę. Nie chciałem po prostu iść wzdłuż brzegu, bo blokada prawie na pewno miała także składnik lądowy. Trzeba było jednak zaufać quinlańskiej niechęci do długich lądowych spacerów – ona zapewniała, że wszystkich obejdziemy.

O mało co się jednak nie pomyliłem. Okazało się, że i ja nie lubię spacerów i odrobinę za wcześnie podjąłem decyzję, że skręcamy z powrotem na wschód. Jedynie dźwięk podniesionych w kłótni głosów zatrzymał nas, zanim ślepo weszliśmy prosto na posterunek.

Zastygliśmy, spojrzeliśmy po sobie i cofnęliśmy się w krzaki. Głośność i natężenie dyskusji to rosły, to opadały. Chodziło chyba o różnicę zdań co do jakiejś ezoterycznej reguły w popularnej grze w kości. Wyraźnie zabijali nudę odrobiną hazardu.

Hugh wyszczerzył się, ale nic nie powiedział. Zmieniliśmy kurs, idąc nieco dalej pod górę.

***

Na drugim końcu Płuczki z wody ciężko wygramoliły się dwa przemoczone, umęczone i podenerwowane quinlańskie manny.

– Do końca życia więcej nie wchodzę do wody – powiedziałem.

– Prawda, jako substancja chemiczna jest mocno przereklamowana – zgodził się Hugh. – Znajdźmy jakieś miejsce na obóz i wysiądźmy z tych mokrych stworów.

Nie chodziło o fizyczne zmęczenie. Manny nie miały tego problemu. Po prostu ciągłe uciekanie oraz walka z prądem, nawet na łagodniejszych odcinkach rzeki, były męczące mentalnie. Nawet postludzki komputer czasami może mieć dosyć.

Wydeptaliśmy gniazdo, sprawdziliśmy, czy nie jesteśmy widoczni, i przeskoczyliśmy do wirtu.

26. Rozładowywanie napięcia
Bill, wrzesień 2334, wirt

Przyjrzałem się mapie gwiezdnej w holo. Opisy przy poszczególnych układach planetarnych pokazywały obecny stan stacji, autofabryk i opinii publicznej. Nie wyglądało to dobrze.

Kilka stacji przekaźnikowych odzyskaliśmy, większość jednak albo się samozniszczyła, albo została wysadzona – pewnie z frustracji.

Odzyskano za to większość autofabryk, choć kosztem znacznego przestoju. Ludzie sklecili swój własny obraz oprogramowania dla fabryk, którego nam nie udostępnili, i poinstalowali go we wszystkich kontrolowanych przez ludzi autofabrykach.

Wyglądało na to, że rozwód jest prawie zakończony.

Gwiezdna Flota osiągnęła swój cel, w pewnym sensie, a może dokładnie w takim, w jakim chcieli. Kontaktu z ludzkością wprawdzie nie zerwaliśmy, lecz w przyszłości miał się odbywać przez dużo węższy interfejs. Nie mieliśmy już ani nie kontrolowaliśmy żadnych stacji przekaźnikowych i posiadaliśmy bardzo niewiele autofabryk w ludzkim kosmosie. Zostawały oczywiście układy pod władzą Bobów, było ich jednak niezwykle mało, przede wszystkim Epsilon Eridani i Alfa Centauri.

Przypomniałem sobie pewną prywatną rozmowę z Lennym. Nie wspominałem o niej nikomu i nie byłem pewien, czy chcę. Była niepokojąca, ale nie dostarczyła żadnych odpowiedzi. Same pytania. Przynajmniej na razie. Dyskretnie szperałem w różnych rzeczach i możliwe, że nasuwał mi się cień możliwego wytłumaczenia, ale…

Rozmyślania przerwał mi ping od Willa. Zaprosiłem go, pojawił się chwilę później.

– Cześć, Will, co tam?

– Pamiętasz ten postulat Cranstona, że ludzie powinni zająć i uzbroić wszystkie układy w okolicach Nowego Pawonisu?

– Tak. Mam nadzieję, że twoje pytanie nie jest tak złowróżbne, jak brzmi.

– Niestety jest. Rada FIR zatwierdziła to. Będą organizować ekspedycje eksplorujące i zajmujące wszystko, co się da. Chwilę to potrwa, bo szybkość światła jest, jaka jest, ale…

Zmarszczyłem brwi.

– Słuchaj, a jak wiele z tych układów było wcześniej odwiedzonych przez Bobów?

– Większość. Ale skoro musieliśmy odciąć od BobNetu wszystkie stacje przekaźnikowe, FIR „uznała rzeczone układy” za opuszczone i dostępne dla każdego.

– Och, uznała rzeczone, a jakże. I co my na to?

Will się usmiechnął.

– NATO. A serio: gadałem z Oliverem, on ma o wiele więcej wolnego czasu niż ty, więc pomyślałem, że może mi pomóc. Podsumowując, trochę sprytnej żonglerki i damy radę umieścić w większości tych układów po Bobie, zanim dotrą tam ludzkie ekspedycje, nawet gdyby były w stanie wyruszyć teraz, zaraz. I poprosimy ich, żeby w pierwszej kolejności nabudowali masę groźnie wyglądającego uzbrojenia, na wypadek gdyby ludzie po przybyciu zaczęli się nadmiernie rządzić.

– Aha, czyli zajmujemy te układy. A po co?

– Na razie to bardziej taktyka blokująca, niewiele więcej. – Wzruszył ramionami. – My sami ich właściwie nie potrzebujemy, ale Pawonisi mogą. Jeśli będą należeć do nas, możemy sprzedać je Pawonisom za jakąś nominalną kwotę, ratując twarz i zapewne zapobiegając eskalacji napięć.

– Hm. Faktycznie, nie jest to zły pomysł. Zajmiecie się tym z Oliverem?

– Tak, chyba masz dosyć zajęć.

Zaśmiałem się.

– Jeszcze jak dosyć.

– A jak to w ogóle idzie?

Zawahałem się, zanim odpowiedziałem.

– No… relacje ludzko-replikanckie mocno się pogorszyły, raczej na długo. Gwiezdna Flota pewnie uzna to za zwycięstwo. Masa sprzętu poszła na złom, żeby usunąć Gwiezdną Flotę z naszych układów.

– I niestety to my go zniszczyliśmy.

– No. Czeka nas gruba odbudowa. Albo ludzi czeka, bo jakoś nie widzę, żeby poprosili nas o pomoc.

– Fantastycznie. – Will wstał. – Idę na kolejne spotkanie do piekła. Miłej zabawy.

– Taaa, „zabawy”.

27. Dotarliśmy
Bob, wrzesień 2334, rzeka Arkadia

Jazda Arkadią była stosunkowo nieobfitująca w wydarzenia. Przypisałem to po części naszej ekstremalnej ostrożności, a po części niezdolności Administratora do obstawienia absolutnie wszystkiego. Naszym największym ryzykiem w tym momencie, poza zaobserwowaniem, była bardzo ludzka tendencja do machnięcia ręką na ostrożność i puszczenia się sprintem prosto do zbliżającej się mety.

Dlatego specjalnie poruszaliśmy się bardzo konserwatywnie, trzymając się blisko brzegu i płynąc tylko podczas najciemniejszej nocy.

W końcu dotarliśmy na znajomy odcinek rzeki.

Wydostaliśmy się na brzeg i obmyśliliśmy plan. Podejdziemy bliżej do Grzbietu Garaka i odczekamy do zmroku, żeby ruszyć do stacji kolejki.

– A jak sobie z tym poradzimy? – zapytał Hugh, wskazując na plecak.

– Może fakt, że jest nas dwóch, jakoś ich zmyli? – odparłem. – Poza tym zmieniłem wygląd. Znowu. A ty pewnie jeszcze nie jesteś na niczyim radarze.

Hugh nic nie powiedział, ale odchylił się za mnie i w przesadnie teatralny sposób wgapił się w mój plecak.

– No wiem. Rzuca się w oczy jak coś bardzo rzucającego się w oczy. Albo jak plecak z wielką kostką w środku. Może dałoby się ją czymś poowijać. Albo skombinować większy plecak.

– Nie wiem, czy to coś pomoże – odparł. – Macierzy nie da się schować. Jeśli ktokolwiek zobaczy dowolny przedmiot, w którym mogłaby się zmieścić, i tak nas zgarnie na przesłuchanie. Plecak przynajmniej zapewnia mobilność. Myślę, że na tym etapie kombinowanie nie na wiele się zda.

– Na etapie „leć, ile sił w nogach?” – rzuciłem ze śmiechem.

– Tak. Samo poruszanie się tylko w nocy będzie naszą największą przewagą.

– Prawda. Mamy lepszą noktowizję. Żebyśmy tylko nie wpadli na Krawężnika Życzliwego.

Szybkie zerknięcie na słońce potwierdziło, że znajdziemy się w Garaku około zmroku, jeśli ruszymy teraz i nie będziemy się zanadto śpieszyć.

***

Dotarcie do miasta zajęło trochę dłużej, niż się spodziewaliśmy. Było już całkowicie ciemno. Jak zawsze zatrzymałem się, żeby podziwiać wyświetlane gwiazdy.

– Niesamowite to jest – powiedziałem, pokazując na niebo.

– Pewnie. Ciekawe, że te gwiazdozbiory są realistyczne. To jest dokładnie to, co Quinlanie widzieliby ze swojej planety. Podoba mi się ta dbałość o szczegóły.

Nasyciliśmy się widokiem i paroma chwilami zen przed wejściem do miasta. Garak nie zainwestował w latarnie. Światło z okien trochę pomagało, na ogół jednak, aby poruszać się po nocy, trzeba było wziąć własne źródło światła. Widzieliśmy zresztą parę osób idących z uniesionymi nad głową latarniami. Staraliśmy się ich unikać. Wykrycie nie miało żadnych zalet.

Było cicho, jak przystało na społeczność, która budzi się i chodzi spać ze słońcem. Ciszę przerywały w zasadzie jedynie basowe pomruki haunów. Dwa razy jednak usłyszeliśmy ukradkowe szelesty, którym nie towarzyszyło światło latarni. Nie interesowało mnie wykrycie ich źródła; zdecydowanie skręcaliśmy w przeciwnym kierunku.

Nagle, gdy byliśmy mniej więcej w połowie drogi przez miasteczko, ciszę nocną zakłóciło parę głośnych trzasków. Obaj wyprostowaliśmy się jak pieski preriowe, rozglądając się z maksymalnie podkręconą noktowizją. Nic się nie poruszyło, choć ulicami zaczęły snuć się delikatne pasemka mgły.

Zaraz. Mgła?

Żeby utworzyła się mgła, potrzebny był konkretny zestaw warunków meteorologicznych, bardzo rzadkich w Niebiańskiej Rzece. I takich warunków teraz nie było.

– Mam złe przeczucie – powiedział Hugh, ewidentnie wyciągnąwszy te same wnioski w tym samym momencie.

Zaczęliśmy przesuwać się w stronę bocznej uliczki, zerkając we wszystkie strony naraz. Oddzielne obrazy mnie dezorientowały – musiałem podkręcić sobie trochę zegar, żeby móc przyglądać się po kolei lewemu i prawemu obrazowi.

Wtem z cienia sąsiednich ulicy wyszło kilka grupek Quinlan, trzymających pistolety i mających na twarzach coś, co musiało być maskami przeciwgazowymi.

– Trzeba chyba sobie iść – powiedział Hugh.

– Myślisz? – burknąłem. – A w którą stronę? Widzisz jakąś lukę?

– Nie. Dobrze to zaplanowali. Chyba musimy w górę.

Powiodłem wzrokiem za jego spojrzeniem. Parę skoków, parę chwytów i jesteśmy na dachu sąsiedniego parterowego budynku. Dalej nie widziałem – nawet z noktowizją było za mało światła, by się zorientować, czy ma połączenie z sąsiednimi domami.

Nie mieliśmy jednak zbyt wielu opcji. Nie mówiąc nic, rzuciłem się do pierwszego uchwytu i zacząłem podciągać się na górę. Słyszałem, że Hugh idzie za mną. Słyszałem też brzęknięcia strzałek odbijających się od ściany. Żadna mnie jeszcze nie trafiła, ale nie wiadomo, jak z plecakiem. Są w stanie przebić materiał? Uszkodzić macierz? Ze stęknięciem podwoiłem wysiłki i przerzuciłem ciało nad szczytem ściany.

Miałem parę chwil spokoju, gdy strzelcy skoncentrowali ogień na Hugh. Kilka wymamrotanych przekleństw świadczyło, że trafili. Wydało mi się, że widzę możliwość wspięcia się do pobliskiego okna na piętrze, ale nie widziałem na pewno, póki nie znalazłem się bliżej.

Łomotanie na parterze dało jasno do zrozumienia, że nasi prześladowcy próbują się dostać do budynku, na którego dachu obecnie się znajdowaliśmy. Trzeba by znaleźć się gdzie indziej. Nie czas na wyrafinowanie.

Skoczyłem na ścianę sąsiedniego budynku, chwyciłem się pierwszego, co wpadło w rękę, potem podciągnąłem się na parapet. Okno było uchylone, pchnąłem je głową i wciągnąłem się do środka. Poświęciłem sekundę na zachwycanie się sprawnością manny’ego. Żaden Quinlanin – ani nawet człowiek – czegoś takiego by nie dokonał. Robiąc to, jeszcze bardziej rozgłaszaliśmy naszą obecność, ale nie widziałem innej opcji.

Rumor oznajmił, że Hugh wtoczył się do środka za mną. Byliśmy w sypialni, na oko całkiem pustej. Otworzyłem drzwi, przekradliśmy się na korytarz, starając się unikać skrzypiących desek.

Wyglądało to jak dom z mieszkaniami na wynajem. Na pierwszym piętrze były wyłącznie sypialnie i łazienka. Zeszliśmy na paluszkach schodami na końcu korytarza i wyjrzeliśmy zza rogu na dole.

Połowę parteru zajmowało jedno wspólne pomieszczenie. Na krzesłach siedziało czterech Quinlan, wyglądających, jakby spali. Scena byłaby całkiem niewinna, gdyby nie to, że jeden ze śpiących zwisał z krzesła w bardzo niewygodnej pozycji.

– Chyba są nieprzytomni – powiedziałem.

– Ta mgła?

– Tak. Zapowiada się tu rozpraszanie.

– No, zgadzam się, że to jest możliwe, że tak właśnie robią rozpraszanie, ale myślę, że jednak chodzi o nas.

– Trzeba stąd znikać.

Z tyłu było drugie wyjście z małym przedsionkiem. Otworzyłem je i wyjrzeliśmy na zewnątrz. Nic. Wyszliśmy, ostrożnie zamykając drzwi, i puściliśmy się biegiem na drugą stronę ulicy, po czym skręciliśmy za najbliższy róg.

Prosto na grupę zamaskowanych Quinlan.

Wpadliśmy wprost na tę grupę, zanim zdołaliśmy się zatrzymać lub zmienić kierunek. Potem była to już kwestia złapania nas i niepuszczania. Poczułem, że ciągną mnie w parę różnych stron jednocześnie, i uświadomiłem sobie, że naprawdę będę musiał zrobić im krzywdę.

Wtem parę trzymających mnie rąk zniknęło przy okrzykach bólu.

– Bob, leć, dam sobie radę! – wrzasnął Hugh, szarpiąc kilku kolejnych napastników.

Dotarło do mnie, że celowo angażuje całą grupę. I to zadziałało. Mnie zostało dwóch czy trzech. Parę wykręceń kończyn, cios w brzuch i byłem wolny. Chwyciłem bezpańską broń i wetknąłem ją do paszczy. Wyglądało to na stratę czasu, bo poprzedniej musiałem się pozbyć, ale może uda mi się coś wymyślić. Opadłem na czworaki i popędziłem najbliższym zaułkiem, zdeterminowany, by centralnie zderzyć się z każdym, kto stanie mi na drodze.

– Pamiętaj o bezpieczniku, Hugh – rzuciłem przez interkom.

– Jeśli do tego dojdzie. Myślę jednak, że dam radę się dogadać. Po prostu wydobądź stąd Bendera.

„Się dogadać?”. Przypomniałem sobie moje spotkanie z Nataszą i spółką. Najpewniej zapozna się bardzo blisko z jakimś ostrym przedmiotem.

Ja jednak musiałem dotrzeć na stację. Miałem dziwne przeczucie, że jeśli pójdę prosto na zachód, będę musiał wymykać się kolejnym bandom Quinlan w maskach. Uniosłem głowę, rozejrzałem się i wziąłem kurs na wzgórza.

28. Ogłoszenie zwycięstwa
Bill, wrzesień 2334, wirt

Nacisnąłem klakson i wielka masa Bobów stopniowo ucichła do poziomu falującego pomruku. Jeśli dobrze odczytuję ten tłum, całkowita cisza nigdy nie nastąpi.

– Posłuchajcie, będzie tu paru przedstawicieli Gwiezdnej Floty… – Musiałem odczekać parę mili, aż ucichną wyzwiska i wycie. – I zamierzamy ich wysłuchać. Dopiero potem polecą bany.

Po tym stwierdzeniu rozległy się śmiechy.

Wysłałem wiadomość i pojawił się Lenny z kilkoma innymi członkami Gwiezdnej Floty. Ich mundury wyglądały dziś nieco inaczej. Porównałem ten obraz z wcześniejszym i zauważyłem, że trochę zmniejszyli podobieństwo do Następnego pokolenia. Ciekawe, ile czasu i dyskusji wymagała ta zmiana.

Teraz wreszcie miałem swoją ciszę. Nie ciszę pełną szacunku – ciszę, gdy tłum mierzy kogoś wzrokiem. Lenny z kumplami też to poczuli. Zbili się w ciaśniejszą grupkę.

– Dobra, Lenny, niech to będzie szybko.

Lenny kiwnął głową.

– W ramach gestu dobrej woli uwolnimy pozostałe zasoby, które jeszcze kontrolujemy. Ponieważ osiągnęliśmy to, co planowaliśmy. – Przerwały mu szyderstwa i śmiech. Lenny poświęcił chwilę na przegrupowanie i ciągnął: – Postawimy sobie własną wersję BobNetu, własny serwer kopii bezpieczeństwa i tak dalej. Rozumiemy, że tego nie da się już naprawić, zresztą jestem pewien, że nie chcielibyście już być z nami kojarzeni. Damy wam mapę gwiezdną naszego terytorium. Będziecie się trzymać swoich rejonów, to my będziemy trzymać się swoich.

Odczekałem chwilę, aż ucichnie najnowsza fala szyderstw i obelg.

– Pamiętaj, Lenny, o jednym. Wy nie wygraliście. Narobiliście sporo szkód, ale nie osiągnęliście efektu, na który liczyliście. To, co zrobiliście, to nie była żadna strategia. Po prostu podpalaliście rzeczy, żeby popatrzeć sobie na ogień.

Lenny się zmarszczył.

– Nadarzyła się okazja i musieliśmy podjąć decyzję. Nie była idealna, ale lepsze to niż siedzieć z założonymi rękami, nic nie robić i tylko narzekać na Zgromadzeniach.

Na moment spojrzał mi w oczy, przekazując niewypowiedzianą wiadomość. Nie mówi wszystkiego, ma to związek z naszymi prywatnymi rozmowami i nie wyciągnie tego tematu, jeśli ja tego nie zrobię.

Po krótkim milczeniu machnął ręką, kończąc temat.

– W każdym razie się stało. Nie ma co rozpamiętywać. – Z tymi słowami on i jego kumple zniknęli.

– Trochę to rozczarowująco wyszło – zauważył Garfield, gdy gwar w tle wzrósł do poziomu krzyku.

– No właśnie. Interesujące. – Zmarszczyłem czoło i odwróciłem się. To będzie wymagało przemyślenia.

29. Uniki
Bob, wrzesień 2334, Grzbiet Garaka

Przebiegłem prawie całą przecznicę, zanim zyskałem nowy zestaw ścigających. Sześciu zamaskowanych Quinlan odwróciło się i popędziło za mną, kiedy obok nich przebiegłem. Usłyszałem pyknięcia usypiaczy, ale, co dziwne, nie czułem żadnych trafień i nie słyszałem brzęknięć rykoszetujących strzałek. Aż tak źle celują?

Odwróciłem jedno oko, by patrzeć za siebie, desperacko starając się nie paść na twarz od podwójnego obrazu. Na moment przekazałem sterowanie bieganiem wbudowanej MSI i skupiłem się na wstecznym widoku.

Wyglądało, że do gry włączył się Ruch Oporu. Dwóch z sześciu goniących mnie Quinlan leżało na ziemi trafionych, a pozostałych czterech strzelało do czegoś niewidocznego. Uznałem, że w pewnym sensie to dobrze, choć w tym wypadku wróg mojego wroga nadal był moim wrogiem. Zastanawiałem się przez moment, jak oni się w ogóle odróżniają.

Ale tylko przez moment. Nie pozwoliłem, żeby to odciągnęło mnie od poważnego zagadnienia uciekania ile sił w nogach.

Dotarłem na skraj miasteczka i nie zwalniając tempa, wbiegłem do lasu. Nie wiadomo, jakimi opcjami śledzenia dysponują. Mogłem obniżyć temperaturę ciała, o ile przestanę wytwarzać ciepło przez wysiłek. Mogłem wyłączyć zapach; zrobiłem to, jak tylko wpadło mi to do głowy. Nie mogłem włączyć maskowania, jak drony, ale przestając się poruszać, byłem w stanie wtopić się w las. W końcu byłem brązowy.

Nie mogłem jednak zatrzymać się tak blisko miasta. Jeśli będą szukać tyralierą, wykurzą mnie stąd. Zresztą ukrywanie się nie było dla mnie korzystne. Musiałem wydostać się z Niebiańskiej Rzeki.

Utrzymałem prędkość tak długo, jak byłem w stanie, lecz w końcu na wyświetlaczu zaczęły migać ostrzeżenia przed przegrzaniem. Teraz – nie ma

problemu. Byłem dobre kilka kilometrów za miastem, a Quinlanom dogonienie mnie musiałoby zająć dwa razy dłużej, zakładając, że wiedzieliby, gdzie jestem.

Usiadłem, wyciągnąłem usypiacz z paszczy i zacząłem łapać wielkie hausty powietrza. Tlenu nie potrzebowałem, ale każdy oddech usuwał trochę ciepła odpadowego. Chwilę się pomocowałem i stwierdziłem, że pistolet dam radę wcisnąć do siatkowej kieszeni z boku plecaka. Nie było to idealne rozwiązanie, lecz teraz akurat nie przejmowałem się, że ktoś zobaczy, że mam broń Kadry.

Pora się zorientować w sytuacji.

– Hugh, jak tam u ciebie?

– Zakuli mnie w kajdany i zarekwirowali wóz. Hauny były oszołomione, choć przytomne. Ryczą i protestują, ale robią, co im każą.

– Dokąd jedziecie?

– Na oko do wschodniej stacji. Chyba wiozą mnie tam, żebym się z kimś spotkał.

– Dobra, informuj, co się dzieje.

Przez chwilę da sobie radę.

– Bill, jak sytuacja?

– Właśnie skończyłem Zgromadzenie. Rozmawialiśmy z Gwiezdną Flotą. Powiedzmy, że mało zadowalające to było. Niczego nie rozwiązało.

– Wow, to musiało być interesujące. Trochę żałuję, że przegapiłem.

– Przeczytaj sobie zapis tekstowy. Teraz nadrabiam zaległości na twoim blogu. Bender cały?

– Z tego, co wiem, macierz jest w jednym kawałku. Po prostu nie wiem, ile wstrząsów ona jest w stanie znieść. Nie za wiele jest na ten temat w specyfikacji, wiesz?

– Tak, rozumiem. Nie przejmuj się. Mam nadzieję, że niedługo uda się pogadać w mniej stresujących warunkach.

Pretekstu, żeby dzwonić do Willa czy Howarda nie miałem – ani nawet Marvina czy Luke’a. Westchnąwszy w duchu, zerknąłem na wyświetlacz. Temperatura była rozsądna, choć nie idealna. Ale mogłem iść, byle nieśpiesznie. Zatem pora iść.

***

Reszta drogi przeszła bez większych sensacji. Na wpół spodziewałem się, że Quinlanie wyskoczą zza drzew, zwłaszcza w miarę zbliżania się, oni jednak nie byli z natury leśnymi stworzeniami. Wyobrażałem sobie, że czują się nieswojo między drzewami, z dala od wody.

W końcu przez lukę między drzewami zobaczyłem stację kolejki. Mając wolność na wyciągnięcie ręki, musiałem walczyć z pragnieniem puszczenia się pędem. W każdym razie przez frontowe drzwi nie wejdę. Ani przez serwisowe. Na szczęście miałem ten właz, pod którym był podkop Gandalfa… ojoj.

Wokół włazu stał oddział Quinlan, opierając się na łopatach i dyskutując. Nasze tajne wejście zostało wykryte. Coraz gorzej to idzie. Byłem dosłownie rzut beretem od wydostania się i nagle wszyscy Quinlanie z całej planety muszą się tu zleźć.

Ale może drzwi serwisowe są otwarte? Albo da się jakoś nimi przekraść? Innych opcji za bardzo nie widziałem. Uważając, by nie szeleścić liśćmi, przekradłem się na drugą stronę stacji. Dotarłem dokładnie w momencie, gdy jakaś Quinlanka przytykała kartę do czytnika i wchodziła przez drzwi. Byłem za daleko, żeby je złapać, nim się zamknęły, zresztą to nie była dobra strategia, póki nie poobserwowałem obiektu. Jednakże Quinlanie wchodzili, wychodzili i mieli karty dostępu. Tak czy owak, trzeba będzie to jakoś wykorzystać.

Patrzyłem uważnie, czekając na moment, gdy nie będzie nikogo. Wyszarpnąłem z plecaka usypiacz i podkradłem się do drzwi. Ze środka nie dobiegały żadne odgłosy, ale konstrukcja była bardzo solidna. Może uda się zajrzeć przez okna od frontu i sprawdzić, czy ktoś jest w foyer? A może, bardzo być może, mam dosyć pchełek, żeby zablokować zamek?

Drzwi rozwarły się bez ostrzeżenia i wypadła przez nie banda Quinlan z wyciągniętymi usypiaczami.

Wgapiłem się w wycelowane we mnie lufy. Kadra, Ruch Oporu? W tym momencie nie miało to znaczenia. Obie grupy mnie ścigały. Stali pomiędzy mną i moim celem. Stwierdziłem, że po prostu mam dość. Pora na rozwiązanie siłowe. Mogłem dostawać strzałkami i nic krytycznego się nie działo, macierz z Benderem była osłonięta moim ciałem, a magazynek miałem pełny. Postanowiłem, że po prostu będę strzelał, aż zostanę tylko ja.

Wyprostowałem się, wyciągnąłem usypiacz przed siebie i ruszyłem na grupę. To wywołało konsternację, paru z nich zerknęło jednym okiem za siebie, sprawdzając, czy ktoś nie podkrada się z drugiej strony, a reszta wymierzyła broń.

Wtem jeden z Quinlan uniósł rękę i krzyknął:

– Zaraz! – Drugą dłonią zakrył sobie ucho. Nie byłem pewien, czy machnął na mnie, czy na swoich towarzyszy. Sądząc po ich minach, także nie byli pewni.

Cała sytuacja była jak żywcem z komiksu. Walka spauzowana, bo ktoś musi odebrać telefon. A to było zdecydowanie jakieś urządzenie komunikacyjne, bo rozmowa była dialogiem. Quinlanin mówił, słuchał, znowu mówił. Parę razy przewrócił oczyma.

Uświadomiłem sobie, że moja pozycja jest mało strategiczna. Kiedy gapię się na typa gadającego przez telefon, inni Quinlanie mogą…

– Ufff – stęknąłem, gdy wylądowało na mnie paru osobników.

Padłem twarzą do ziemi, ręce i nogi przycisnęło mi wiele ciał. Mój błąd. Quinlanin od czasu do czasu sprawdzałby swoimi oczyma, co dzieje się z tyłu. Ja, z ludzką naturą, miałem skłonność do patrzenia w jednym kierunku.

Walczyłem, choć bałem się, że Bender się uszkodzi. Co ciekawe, napastnicy chyba tak samo się tym przejmowali. Skupiali się na unieruchomieniu mi kończyn, zamiast przyciskać mnie całego.

Wtem mój plecak zniknął. Odwróciłem oczy do tyłu – teraz, gdy było już za późno – i zobaczyłem Quinlanina z nożem w jednej dłoni i plecakiem w drugiej, z dyndającymi przeciętymi paskami.

Mają Bendera. Ucieczka już nie jest opcją. Przestałem się szamotać.

Przez parę sekund nikt się nie ruszył. Pewnie myśleli, że czekam, aż się rozluźnią, i wtedy wywinę jakiś numer. Rozsądnie, ale nie miałem zamiaru uciekać bez Bendera.

Jeden Quinlanin pochylił się, żebym widział jego twarz.

– Mamy plecak z kostką. Ty jesteś tylko drugorzędnym celem. Kostkę wyślemy do Administratora, z tobą czy bez ciebie. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziałem ponurym tonem.

Nie zamierzałem ani słowem zdradzać moich motywów. Musieli raczej zakładać, że przy najbliższej okazji chwycę Bendera i ucieknę. To było oczywiste. Rzecznik kiwnął ręką i Quinlanie powoli zaczęli podnosić się z młyna. Po chwili byłem wolny, technicznie rzecz biorąc.

Wstałem i rozejrzałem się. Plecaka nigdzie nie było widać. Otaczało mnie kilkunastu Quinlan, gotowych do skoku, jeśli choćby kiwnę palcem.

– I co teraz?

Dowódca wskazał na drzwi stacji, przez które jeszcze parę minut temu tak bardzo chciałem przejść.

– Kostka pojedzie oddzielnie, żebyś niczego nie próbował.

Poczułem się fatalnie. Przegrałem. Sześć tysięcy kilometrów szalonej ucieczki tylko po to, by dać się złapać na linii mety. Nagle uniosłem podbródek. To nie koniec. Nie mogą mnie tak naprawdę zabić i wrócę tutaj. Liczniejszą siłą. Z taką liczbą skanerów, żeby przeorać całe topopolis, jeśli to będzie konieczne. Chyba że faktycznie rozmontują macierz…

Nie odpowiadając, pomaszerowałem w stronę drzwi. Będę współpracował. Będę nawet próbował negocjować z Administratorem. Ale jeśli odmówią wydania Bendera, czeka ich długa, przewlekła partyzancka wojna. W najlepszym przypadku.

Idąc na peron, starałem się uważnie rozglądać, myśli jednak miałem mroczne i wsobne. Ledwie zauważyłem, gdy dowódca przywołał pociąg, i nie chciało mi się słuchać, jaką stację docelową zarządził. Drzwi rozsunęły się z sykiem po paru sekundach i wsiedliśmy.

Banda Quinlan cały czas mnie otaczała, ale chyba dotarło do nich, że póki mają Bendera, nie będę uciekał. Wszyscy zajęliśmy miejsca i pociąg płynnie ruszył ze stacji.

Siedzący koło mnie dowódca odwrócił się, kiedy pociąg przestał przyśpieszać.

– Możesz mi powiedzieć, czemu ci tak strasznie zależy na tej kostce?

Nie było sensu kłamać. Prawda mogła nawet pomóc.

– To mój przyjaciel. I rodzina.

Przekrzywił głowę, z bardzo ludzką miną.

– Nie widzę podobieństwa.

– Wiesz, że Administrator nie jest Quinlaninem, prawda? – odparłem. Kiwnął głową, a ja dokończyłem: – Czyli inteligentne istoty nie muszą być z krwi i kości.

Zmarszczył czoło i zamilkł na parę minut.

– To trochę tłumaczy twój niezwykły upór. – Wstał i przeszedł na drugi koniec wagonu.

Widziałem, że rozmawia przez swój komunikator. Zapewne meldował o wynikach tej rozmowy. Czy to mi pomoże, czy zaszkodzi – nie wiadomo.

Jazda była zaskakująco krótka. Wyszliśmy na korytarz standardowej stacji. Szybko uświadomiłem sobie, że to kompleks techniczny pod górami na granicy segmentu, a nie publiczna stacja kolejki. To miało sens. Wróciliśmy do bastionu Kadry.

Wprowadzili mnie do czegoś wyglądającego jak sala konferencyjna. W każdym razie były tam stół i krzesła. Pośrodku stołu stało urządzenie na pierwszy rzut oka wyglądające jak o wiele nowocześniejsza wersja motoroli.

– Jesteśmy – rzekł przywódca w powietrze, kiedy usiedliśmy.

– Przyjąłem – odrzekło urządzenie. Czyli Motorola.

– Czy ty jesteś Administrator? – zapytałem.

– Jestem. Możesz też mówić mi ANEC. Mam do ciebie parę pytań.

– Chcę z powrotem mojego towarzysza.

– To odpowiedź na niezadane pytanie. I banalnie oczywista, zważywszy, ile energii poświęciliście na uniknięcie nas.

– To nie jest negocjowalne. – Teraz byłem wściekły. Wiedziałem o tym i wiedziałem, że mogę przez to coś spieprzyć. Spróbowałem się opanować.

– To nie są negocjacje, więc to stwierdzenie jest bez związku. – Pauza. – Rozmawiam teraz z twoim wspólnikiem, Hugh. Porównam wasze odpowiedzi. Nieprawda nie będzie tolerowana. Konsekwencje będą dotkliwe. Pamiętajcie, że mam waszą kostkę.

No, to była otwarta groźba. Rozważyłem skontrowanie tego inną groźbą, byłem jednak pewien, że to doprowadzi do spirali śmierci. Ale i tak lepiej najpierw zapytać Hugh.

– Hugh, nagadałeś mu jakichś bzdur?

– Nie. Trzymaj się prawdy. Zaufaj mi, Bob. To musi się udać.

Dobra, to troszeczkę ułatwiało sprawę.

– Kontynuujmy – powiedziałem na głos.

ANEC przez parę minut wypytywał mnie o dość nieistotne sprawy. Ewidentnie po prostu potwierdzał historię, którą opowiedział mu Hugh. Wreszcie doszedł do ważnych rzeczy.

– Jesteście gatunkiem międzygwiezdnych istot?

– Słowo „gatunek” nie jest zbyt precyzyjne – odparłem. – Ale jeśli pytasz, czy mamy zdolność podróży międzygwiezdnej, to tak.

– Macie kolonie w wielu układach?

Zastanowiłem się, czy powinienem doprecyzować różnicę między ludźmi i Bobami oraz między koloniami i statkami orbitalnymi. Jeśli jednak dobrze rozumiałem, do czego on zmierza, to rozróżnienie było chyba nieistotne.

– Tak.

– Jesteście sztucznymi inteligencjami?

– Replikantami. Kopiami umysłów istot, które kiedyś były żywe.

– Ta kostka też?

– Tak.

Bez odpowiedzi. Gdy cisza się przeciągnęła, zobaczyłem, że moja eskorta zaczyna się denerwować. Przez całą rozmowę nie odezwali się słowem, lecz teraz szeptali coś do siebie. Nie wiem, czy chodziło o moją opowieść, czy o to, że ANEC nagle zamilkł, coś jednak musiało ich przestraszyć.

Milczenie ANEC-a trwało jeszcze parę minut, aż przywódca grupy wstał i przeszedł na drugi koniec sali. Przycisnął dłoń do ucha i szepnął coś do komunikatora, po czym wrócił na miejsce z dość skonsternowaną miną.

– Włożyliście kij w niezłe gniazdo lorusza – rzekł do mnie. – ANEC praktycznie kazał mi się zamknąć i czekać na rozkazy.

Mimo całej sytuacji, mimo obaw o Bendera, musiałem się zaśmiać.

– To chyba jest moja supermoc.

– Potrzebujesz jedzenia? Łazienki? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Nie. Nic mi nie trzeba. Jeśli chcecie mnie na chwilę gdzieś zamknąć, nie mam z tym problemu.

***

Siedziałem rozparty w fotelu, wlewając w siebie czwartą czy piątą kawę, gdy manny przekierował do mnie strumień audio z głosem przywódcy grupy:

– Czas wstawać. ANEC wrócił.

Szybko połączyłem się z powrotem z mannym. W drzwiach stał przywódca, którzy przedstawił się jako Norm, zanim mnie tu zamknęli. Wstałem pośpiesznie.

– Kurtyna w górę.

Norm zmarszczył czoło.

– Czasami gadasz kompletnie bez sensu. Ale chyba nic dziwnego, skoro nawet nie jesteś Quinlaninem.

– Norm, gdybyśmy przed rozpoczęciem ekspedycji mieli dość czasu na badania, nie gadałbym dziwnie. A tak po prostu niektóre nasze wyrażenia są tłumaczone dosłownie.

Wzruszył ramionami, ewidentnie aż tak niezainteresowany. Zaraz znaleźliśmy się z powrotem w sali konferencyjnej. Wytrzeszczyłem oczy, widząc, że na jednym z krzeseł zasiada Hugh.

– Cześć, Bob.

– Hugh. – Starałem się zachować pokerową twarz, ale nie byłem w stanie zdecydować, czy to dobrze, czy źle. – Torturowali cię?

Parsknął śmiechem.

– W pewnym sensie, trochę jak na obronie mojego doktoratu. Znaczy… ten… twojego. Pierwszego Boba.

Zaśmiałem się.

– A. No. Pamiętam. W życiu się tak nie pociłem jak wtedy. – Zwróciłem się do Norma: – To co teraz?

– A skąd mam wiedzieć. Ja tu tylko sprzątam.

Roześmialiśmy się z Hugh jednocześnie. Kolejny niezmiennik.

Norm przyłożył dłoń do ucha. Wyglądało na to, że zaraz będziemy mieć odpowiedź. Parę razy kiwnął głową, powiedział: „Rozumiem” i postukał się w ucho. Potem spojrzał na nas.

– Zdaje się, że wracacie do domu.

***

Podprowadził Hugh i mnie do wejścia do kompleksu serwisowego. Poszła z nami też większość eskorty, choć tym razem klimat był bardziej w stylu „też tam idziemy” niż „pilnujemy więźnia”. Zauważyłem po drodze, że rozkład pomieszczeń, w tym wejścia, jest dokładną kopią kompleksu w Końcu Halepa. Gdy wyszliśmy na światło dzienne i otoczyły nas odgłosy lasu, odwróciłem się do Norma.

– Idziemy do Grzbietu Garaka na piechotę? – zapytałem.

Norm parsknął śmiechem.

– Nie, nic podobnego. ANEC kazał nam zaczekać na zewnątrz. – Wskazał wejście. – Na Charliego, żeby wrócił z waszą kostką. Na wszelki wypadek przesłaliśmy ją do innej lokalizacji, gdyby coś miało pójść nie tak.

– Ma to sens. Ale mam wrażenie, że brakuje jakiejś puenty.

Norm wyszczerzył się do mnie i odezwał się do komunikatora:

– Jesteśmy gotowi.

Ledwie miałem czas unieść pytająco brew, gdy na niebie ukazała się olbrzymia quinlańska twarz i zaczęła mówić. „Olbrzymia” znaczyło naprawdę olbrzymią, mniej więcej taką, jakby sobie wyobrazić Boga, który się ukazał, by przemówić do ludzi. Członkowie mojej eskorty także zadarli głowy i rozdziawili gęby, podczas gdy nad ziemią rozlegał się grzmiący – dosłownie – Głos Pana:

Mówi ANEC 23, którego wielu z was zna jako Administratora. Od ponad trzystu lat opiekowałem się wami, wypełniając moją misję zachowania quinlańskiej rasy przy życiu. Przez dwadzieścia pokoleń żyliście bezpieczniej niż kiedykolwiek przed budową Niebiańskiej Rzeki, co było możliwe dzięki temu, że ograniczyłem wam możliwość zarządzania własną kulturą i technologią.

Zagrożenie wyginięciem z własnej ręki właśnie minęło. Dzięki umowie, którą właśnie zawarłem z obcą rasą, BAWBE-ami, ciągłość quinlańskiej rasy jest, jeśli niezagwarantowana, to przynajmniej wysoce prawdopodobna. W związku z tym moje ograniczenia nie są już niczym uzasadnione. Nie będzie kolejnych rozproszeń. Stopniowo, w miarę zasiedlania przez Quinlan nadmiarowych lokalizacji, będę usuwał bariery i przywracał dostęp do zakazanych miejsc w Niebiańskiej Rzece. Era kontroli zakończyła się. Czas, by Quinlanie z powrotem wzięli swój los w swoje ręce.

Do grupy zwanej Ruchem Oporu: nie ma już potrzeby stawiania oporu. Mile widziana będzie wasza pomoc w procesie powrotu do samorządnego społeczeństwa. Proszę skorzystać ze standardowych mechanizmów komunikacji, by skontaktować się ze mną i rozpocząć dyskusję.

To wszystko.

Powoli opuściłem wzrok i spojrzałem Normowi w oczy.

– To było… coś.

– To był dowód dobrej wiary ze strony ANEC-a. Zapłata przed otrzymaniem wartości. – Norm wyszczerzył zęby. – A zresztą myślę, że ANEC czasem lubi się popisywać.

Kiwnąłem głową, potem odwróciłem się do Hugh, który miał trudność ze spojrzeniem mi w oczy.

– Pewnie masz parę pytań – powiedział.

– Jedno czy dwa, najwyżej. Ale najpierw najważniejsze sprawy.

– Dobra, posłuchaj. Miałem szczęście, że złapała mnie akurat Kadra. Jakby to był Ruch Oporu, wszystko by się skomplikowało. Nie było trudno ich przekonać, żeby pozwolili mi porozmawiać z Administratorem. Znaczy… w końcu się udało. Miałem wrażenie, że bardzo chcieli dostać jakikolwiek pretekst, żeby posiekać mnie na plasterki. Byliśmy ostatnio potwornym upierdem dla nich wszystkich.

– Nawet nie masz pojęcia – mruknął Norm.

Prychnąłem i powiedziałem do niego:

– Nie chcieliśmy. Ale rozumiem, że możesz tak na to patrzeć.

Hugh dorzucił skłonienie głowy ze wstydem.

– W każdym razie w końcu przedstawili mnie Administratorowi. Rozmowa była podobna do twojej.

– Oho. No i?

– Jakiś czas kręciliśmy się wokół tematu, ale w końcu doszło do pełnego ujawnienia. I złożyłem propozycję, którą Administrator uznał za interesującą. Kiedy złapali ciebie i potwierdziłeś, że mówię prawdę, postanowił ją zaakceptować.

– To na co konkretnie się zgodziłeś?

– Eee… może zaczekajmy, aż wrócimy do domu, dobra? Teraz przynajmniej możemy wyjść frontowymi drzwiami, jak ludzie, nie musimy się skradać.

– I on nas puszcza? Tak po prostu? Strasznie duże zaufanie, jak na istotę, która wyglądała na całkowicie skupioną na jednym. A jeszcze ja mam coś, co mu ukradziono. Jakie ty mu dałeś gwarancje?

– Bob, porozmawiamy o tym później. Najpierw wróćmy do siebie.

No nie, w ogóle nie wygląda to podejrzanie, ani trochę.

***

Mimo moich podejrzeń nie było żadnych pułapek. Kiedy pojawił się Charlie z Benderem i nowym plecakiem, odprowadzono nas spokojnie na stację, skąd pojechaliśmy kolejką do Grzbietu Garaka. Bardzo doceniłem natychmiastową

korzyść – mogliśmy skorzystać z systemu przeniesienia momentu obrotowego, zamiast pakować się pojedynczo do drona wydobywczego. Przejazd na zewnętrzną powłokę był więc komfortowy i cywilizowany.

Administrator przez cały ten czas nie kontaktował się z nami, a Hugh trzymał gębę na kłódkę co do szczegółów umowy. Klimat w wagonie był przez to trochę napięty.

W końcu jednak znalazłem się w kosmicznym doku Niebiańskiej Rzeki. Gandalf, zgodnie z instrukcjami Hugh, podprowadził drona transportowego do śluzy i zaparkował go tam. Nie mógł oczywiście połączyć się z dokiem w quinlańskim standardzie, ale nie było to potrzebne. Po prostu wyszliśmy przez śluzę i przeskoczyliśmy w próżni do ładowni drona.

A gdy macierz Bendera i nasze manny były zabezpieczone, wyszliśmy z nich do wirtu.

Trochę się zdziwiłem, że jestem sam. Ale tylko trochę. Ta niechęć Hugh do mówienia o różnych sprawach powodowała u mnie złe przeczucia. Byłem przekonany, że po prostu potrzebuje czasu na sformatowanie tej informacji tak, by nadać jej pozytywny wydźwięk.

Co on mu obiecał w naszym imieniu? I czy Bobiwersum się na to zgodzi? I czy ludzie nie dostaną piany?

30. Sprzątanie
Bob, wrzesień 2334, wirt

Patrzyłem w okienko wideo, gdzie szopy umieszczały macierz Bendera na platformie, którą zbudowałem dla moich planowanych klonów. Ponieważ klonowanie już nie było konieczne, miałem akurat pod ręką trzy zapasowe macierze i komplet osprzętu. Może w końcu się jednak sklonuję, żeby się nie marnowało.

Szopy nacisnęły włącznik i Bender pojawił się pośrodku mojej VR-ki. Okręcił się dookoła i uniósł ręce nad głowę, pohukując.

– Rany, jak dobrze znowu mieć ciało. – Spojrzał na mnie błagalnie. – Kawa?

– Zaraz będzie. Jeeves, poproszę kawę.

Bender opadł w tył na fotel, który pojawił się w samą porę, by go złapać. Jeeves podał mu parujący kubek. Uniósł go w geście pozdrowienia.

– Chyba minie trochę czasu, zanim będę to wszystko uznawał za oczywiste. Mam wrażenie, że obudziłem się po operacji, tylko mdłości nie mam. Trochę jakbym siedział w wacie, rozumiesz.

Kiwnąłem ze współczuciem głową.

– Rozumiem. Cieszę się, że wyszedłeś z tego.

Przez parę mili popijał w milczeniu kawę, powoli, jakby w ekstazie, przymykając oczy. Potem odstawił kawę i zerknął na mnie gotowy przejść do konkretów.

– Rozumiem, że udało się wam wydostać. Było dramatycznie? Był pościg?

– Yyy… – Wpatrzyłem się w niego, nie wiedząc, od czego zacząć. – O, stary, kiedy byłeś wyłączony, wszystko… ten… poszło w trochę innym kierunku. Mamy coś w rodzaju stosunków dyplomatycznych z Administratorem, który tak w ogóle nazywa się ANEC albo oficjalnie – ANEC-23.

– A. No dobra. Zaraz. Poważnie? A Ruch Oporu?

– Jest teraz oficjalną komisją do spraw transformacji.

Bender uniósł ręce.

– Na jeden dzień mnie wyłączacie i wszystko staje na głowie. To… ten… ile czasu mnie nie było?

– Dużo, dużo dłużej niż jeden dzień.

Bender parsknął.

– Szczegóły są?

– Tak jakby. Hugh zrobi zrzut wszystkiego, jak tylko dostanie dostęp do mojej stacji przekaźnikowej. Wtedy wszyscy będą się mogli zapoznać.

– Hugh?

– Taki… oj, w sumie to chyba musisz przeczytać mojego bloga w chronologicznej kolejności, żeby to wszystko zrozumieć. Zalecany jest także alkohol.

– To my mamy alkohol?

Przewróciłem oczyma.

– Wow. Sporo masz do nadrobienia. Poczekaj, aż spotkasz Howarda i Bridget.

– Bridget? To my mamy dziewczyny?

[Stacja przekaźnikowa włączona.]

Gupik obwieścił to bez wstępu, nawet nie chciało mu się pokazać.

– Dobra, świetnie. Dzięki, Gupik. Pingnij wszystkich.

Parę milisekund później pojawili się Bill, Garfield, Will, Bridget i jakiś Steven Gilligan. Pewnie ten ekspert od megakonstrukcji, którego rady zasięgał Will. Steven powoli obrócił się i przyjrzał wszystkiemu, z zamontowanym na stałe szerokim uśmiechem, a Bobowie wylewnie przywitali się z Benderem.

Kiedy klepanie po plecach się uspokoiło, zauważyłem, że Bender gapi się na Bridget tak, że oczy mało nie wyjdą mu z orbit. Miałem tylko nadzieję, że naprawdę nie odwali tego efektu specjalnego. Bridget by go rozszarpała i nikt by jej nawet nie powstrzymywał. Na szczęście się opanował i w końcu spojrzał także na resztę grupy.

– A gdzie…

– Marvin i Luke zgodzili się chwilę poczekać. Spotkają się z tobą w pubie w VR-ce do Zgromadzeń, będziecie mogli odbyć zamaszyste przywitanie, nie przeszkadzając reszcie. Urządzą dla ciebie imprezę-niespodziankę. Udawaj zaskoczonego. Ale na razie trzeba załatwić sprawę Hugh.

– Jasne.

Wysłałem ping do Hugh i dostałem potwierdzenie. Chwilę później pojawił się.

– Cześć. – Skinął mi głową. – Bob, jestem wdzięczny za twoją gościnność i udostępnienie mi twojej ładowni, ale całkiem możliwe, że już nie jestem w niej mile widziany. Albo niedługo nie będę. Umówiłem się z kolegami, że prześlę się do nich z powrotem. Duża stacja została postawiona, więc nie powinno to trwać długo.

Kiwnąłem głową.

– Nadal czekam na pełną historię od samego początku, ale mam przeczucie, że lepiej, żebyś był u Skippies, zanim ona trafi na publiczne kanały.

Potaknął zażenowany i przywołał fotel dla siebie.

– Jest kupa szczegółów, w które nie będę teraz wchodził, ale w skrócie: przehandlowałem SURGE, SUDDAR i UNOP za tajemnicę stworzenia prawdziwej SI. Wiecie, że Skippies pracowali nad tym od prawie trzydziestu lat. Uważamy, że SI jest niezbędna, by odpowiedzieć na pewne pytania dotyczące wszechświata i istnienia.

– Czterdzieści dwa – powiedział Bender.

Hugh się uśmiechnął.

– To się nigdy nie nudzi. – I z powrotem spoważniał. – SI, która mówi o sobie „ANEC”, ma jedną główną dyrektywę – zapewnić ciągłość istnienia quinlańskiej rasy. I uznała, że napęd SURGE to sposób na rozłożenie quinlańskich jajek w kilku koszykach…

– Tak samo, jak my zrobiliśmy z ludźmi – dodał Will.

– Dokładnie. To, że ANEC zmusił ich do życia na poziomie sprzed ery pary, było nieprzewidzianym skutkiem tej dyrektywy… oraz skłonności Quinlan do wszczynania walk o byle co. W terminologii SI cel uświęcający środki. Uznał, że to ograniczenie jest niezbędne, żeby nie wyrżnęli się nawzajem, i był skłonny zaryzykować zanikanie inteligencji. Próbował nawet programu eugenicznego, mającego zredukować wrodzoną agresję Quinlan.

– Eugeniki? Wow – rzucił Garfield. – Rzeczywiście cel uświęca środki. Tego szczegółu może nie rozgłaszajmy, dobra?

Hugh wyszczerzył zęby i pokiwał głową.

– W każdym razie: mając do dyspozycji napęd SURGE, jest w stanie rozproszyć ich po kilku układach gwiezdnych i już nie musi żelazną ręką kontrolować ich zachowania. Ani robić innych rzeczy.

– I tak jednak nie miałeś prawa zawierać tej transakcji – powiedział Bill.

– Dlaczego? – zapytał Hugh. – Kto jest właścicielem naszej technologii? Ty? Bob? Garfield? Kto ma prawo do decyzji? Gdzie jest rząd Bobiwersum i kto jest premierem? – Popatrzył na nas gniewnie. – Czy się to wam podoba, czy nie, Bobiwersum jest bardziej libertariańskie od wszystkiego w historii ludzkości. I jak dotąd, był to libertarianizm, a nie anarchizm, bo z grubsza wszyscy ciągniemy w tę samą stronę. Tylko że dryf to wszystko psuje, prawda? Tak czy owak, dyskutowanie, kto ma do czego „prawo”, jest bezprzedmiotowe. Bo sugeruje, że jest jakiś organ, który chce i może nadać to prawo albo je odebrać i wymusić przestrzeganie takich decyzji. Nie ma takiego organu.

Jesteśmy jak stado kotów. Zawsze tak było.

– Mimo wszystko. Wypuściłeś Quinlan w galaktykę – powiedziałem. – To będzie miało skutki.

Hugh wzruszył ramionami.

– Tak samo jak uratowanie Pawonisów.

– To nie to samo. – Bill spojrzał na niego ostro.

– Praktycznie to samo. – Hugh odpowiedział takim samym spojrzeniem. – Pawonisom groziło wymarcie. Quinlanom też, chociaż nie tak szybko. Pawonisom zagrażała inwazja Innych, Quinlanom opresja ANEC-a. Pawonisi mnożą się jak króliki. Quinlanie są wybuchowi. Wkroczyliśmy, żeby uratować oba gatunki. I Pawonisi też są w kosmosie, albo niedługo będą, zależy, jak patrzeć. Jeśli ktoś powie, że nie wolno sprzedawać im żadnych statków, to sami je sobie zrobią i będą jeszcze bardziej gniewni.

Bill dalej łypał ostro na Hugh, ale nie kwestionował jego słów.

Po chwili Hugh przybrał bardziej zrównoważony ton.

– Wszystko ma skutki. Wszystko wiąże się z kompromisami. My uważamy, że korzyści, które uzyskamy z rozwoju SI, wielokrotnie przewyższają negatywne konsekwencje.

– Bo to jest coś, czego wy chcieliście – odparł Bill.

– Tak, tak. Ale i wy na tym skorzystacie. Nie będziemy ukrywać wyników jak jakieś zbuntowane państwo. A w ogóle wiedza ma jedną wspaniałą cechę – można ją komuś dać i dalej ją mieć. Ta transakcja nic Bobiwersum nie kosztowała. A może jeszcze uratować nam tyłek. Wiem, że wielu się zastanawiało, czemu nigdzie nie widać cywilizacji bardziej zaawansowanych od nas, biologicznych czy nie. To jest jedno z pytań, nad którymi będziemy pracować. Może się okazać, że to kwestia życia i śmierci. – Przerwał i spojrzał po wszystkich. – Nie jestem zachwycony niektórymi taktykami, których użyliśmy, żeby do tego doprowadzić, ale wyników w żadnej mierze nie żałuję. Wierzcie mi, będą tego warte. – Kiwnął wszystkim głową i zniknął.

– No, to było niezłe – powiedziała Bridget. – Bob, a nasze manny są na chodzie?

– Tak – odpowiedziałem. – Chociaż musiałem was pozbawić pająków, pchełek i pieniędzy. Teraz możemy swobodnie tam podróżować, więc łatwo je uzupełnimy. Poza tym pewnie już wyglądają jak potwory z bagien. Oczyśćcie się trochę, zanim pójdziecie na miasto, dobra? ANEC chce, żebyśmy się meldowali przy wejściu, ale nie licząc tego, możemy wchodzić i wychodzić, kiedy chcemy.

Bridget kiwnęła głową, potem wskazała brodą.

– Doktor Gilligan chciał zobaczyć topopolis od środka. Myślę, że mogę go tam pooprowadzać przez parę dni. – Zerknęła na Garfielda. – Mogę pożyczyć twojego manny’ego?

Garfield machnął ręką.

– Proszę bardzo. Teraz, jak już odzyskaliśmy Bendera, to jest dla mnie mało priorytetowe.

Bridget parsknęła śmiechem i wstała.

– No dobra, Steven, teraz Quinlanie dla początkujących. Zaczynamy?

Wstał i oboje zniknęli.

Potem wstał Bender.

– Chyba trzeba iść zajrzeć do tego pubu. Zdaje się, że wy i tak macie parę kwestii do przegadania. Bob, wpadnę jeszcze później, dobra?

– Jasne. Ja też niedługo wpadnę do pubu. Pamiętaj: niespodzianka. Nie spodziewaj się.

Kiwnął głową i zniknął. Zostaliśmy Bill, Will, Garfield i ja. Parę milisekund popatrywaliśmy po sobie, niepewni, kto powinien się odezwać.

W końcu Bill zabrał głos.

– ANEC będzie dziś na zgromadzeniu. Oczywiście na koncie gościa. Ale interfejs do VR-ki już ma zainstalowany.

Will dodał:

– A ja będę przedstawiać stanowisko FIR w kwestii dalszych relacji ludzko-replikanckich. Oraz ludzko-pawoniskich, ale to chyba mniej wszystkich zainteresuje.

– Będzie masakra, nie?

– Nawet sobie nie wyobrażasz jaka. Ludzie są ultrawkurwieni. Przerwana łączność rozwaliła im handel, zniszczenie autofabryk – politykę monetarną, grozi im spirala deflacyjna i rządy robią, co mogą, żeby temu zapobiec. Większe koszty to kolejny cios ekonomiczny. Mówi się o pozwaniu Bobiwersum do sądu. Jeśli uda im się do tego doprowadzić, może nas to załatwić finansowo.

– No i co z tego? – powiedziałem. – To cały sens bycia postludzkim statkiem kosmicznym: nie trzeba być zależnym od nikogo i niczego. Może nam też to dobrze zrobi.

Will się uśmiechnął.

– W sumie chyba masz rację. Za bardzo się zaangażowaliśmy. Znowu.

– Wygląda na to, że ekskrement będzie bryzgał na wszystkie strony – mruknął Garfield. – Będzie fantastycznie.

31. Ekskrement bryzga
Bill, wrzesień 2334, Zgromadzenie

Zerknąłem na Boba, Willa i Garfielda. Rzuciłem też spojrzenie Hugh, który je umyślnie zignorował.

– No dobra, panowie, chwila prawdy. Pierwszy obcy uczestnik na Zgromadzeniu.

Reszta kiwnęła głową. Wysłałem wiadomość do ANEC-a.

Chwilę później w sali do zgromadzeń pojawił się idealny awatar Quinlanina. A może nie taki idealny. Byłem dość pewien, że Quinlanie mają średnio po metr dwadzieścia wzrostu, a ten miał chyba z metr osiemdziesiąt. Ego? Zagranie psychologiczne? Nie byłem pewien motywów ANEC-a, ale byłem przekonany, że ta zmiana jest celowa.

ANEC powiódł wokół wzrokiem.

– Podziękowanie za zaproszenie mnie na to wydarzenie. Liczebność wydaje się mała. Czy źle zrozumiałem?

Pierwszy odezwał się Hugh.

– ANEC, Zgromadzenie się jeszcze nie rozpoczęło. Chcieliśmy najpierw spotkać się z tobą prywatnie, żeby wyprostować ewentualne nieporozumienia.

ANEC przekrzywił głowę.

– „Naprostować” nie przetłumaczyło się dobrze. Chodzi o obróbkę metali?

– Naprostować, czyli wyjaśnić przez dyskusję – powiedziałem. – Na Zgromadzeniu będzie zażarta dyskusja, nie potrzeba jeszcze dodatkowych nieporozumień w szczegółach.

– Rozumiem. Mam ustną umowę z Hugh… Jest tu Hugh? Dla mnie wszyscy wyglądacie tak samo.

Ubawiło mnie to odwrócenie typowych ludzkich uprzedzeń.

– Włączę ci metadane. To jest Hugh… – Wskazałem. – To Bob, którego ścigałeś. To jest Will, a ja jestem Bill – dokończyłem, wskazując na siebie.

ANEC potarł o siebie dolną i górną część dzioba w quinlańskim odpowiedniku uśmiechu i powiedział do Boba:

– Z perspektywy czasu to było nawet zabawne. Macie takie słowo „slapstick”. Prawda?

Bob kiwnął głową z uśmiechem.

– Prawda. Mniej więcej. Także z tym „z perspektywy czasu”.

Hugh odchrząknął.

– Ahem. Co do umowy…

– Dobra, Hugh. – Kiwnąłem na ANEC-a. – Gdybyś mógł zacząć.

ANEC rozwinął okienko z listą.

– Bardzo mi się podoba wasz system wirtualnej rzeczywistości. Bardzo wygodny do szybkiej prezentacji danych. Tu są główne punkty umowy. Technologie, które udostępni mi Bobiwersum, technologie, które ja udostępnię Bobiwersum, terminy dostawy. Ustalenia wzajemne dotyczące poruszania się po naszych terytoriach, umów handlowych, stosunków dyplomatycznych…

Uniosłem brwi, patrząc na Hugh.

– Imponujące. To o wiele więcej, niż wcześniej wspominałeś.

– To wszystko jest „co do zasady”, Bill, nic z tego nie jest krytyczne dla sedna umowy.

Spędziliśmy kilka minut na omawianiu szczegółów, choć nie wyskoczyło nic poważniejszego – jeśli pominąć oczywisty i największy problem, jakim była sama ta umowa.

– Dobra, chyba mamy to – powiedziałem. – Gotowi? Przewiduję, że jazda będzie wyboista.

***

„Wyboista” okazało się niedomówieniem. ANEC stał z boku mównicy, powoli mrugając, a poza tym nie okazując żadnej reakcji, zaś Bobowie po kolei wygłaszali wściekłe tyrady. Ich cele były liczne i urozmaicone.

Willowi, który dla potrzeb Zgromadzenia reprezentował FIR, oberwało się wyjątkowo dużo. Jego nieustające przypominanie, że po prostu reprezentuje stanowisko ludzi, a niekoniecznie się z nim zgadza, nie na wiele się zdały.

ANEC także był celem niejednej tyrady, co wydało mi się dziwne – jedyne, co zrobił, to zawarł umowę z Hugh. Na szczęście SI miała niesamowite pokłady cierpliwości i spokoju. A może po prostu nie miała emocji. Była to jedna z wielu rzeczy, o które chciałem ją kiedyś w przyszłości zapytać. Jedyną reakcją było

sporadyczne przemieszczanie jednego lub drugiego oka w kierunku tego, kto akurat mówił.

Gwiezdna Flota, mimo nieobecności, była kolejnym celem wyzwisk. Okazało się, że o wiele mniejszym, niż się spodziewałem. Może już się znudzili.

Hugh, reprezentujący Skippies, zdecydowanie prowadził w rankingach nienawiści. Wzięła go na cel dokładnie połowa przemów. Motywy wahały się od „Za kogo ty się masz?” przez „Kto ci dał prawo?” i „Kto cię prosił?”, aż po najpopularniejsze „Jak śmiałeś odpierdzielić taki numer?”.

Po pierwszych trzech czy czterech próbach zdementowania czegokolwiek zrezygnował i po prostu słuchał.

Wreszcie wszyscy zdołali się wykrzyczeć. Wykonawca ostatniej tyrady zszedł z mównicy z lekko spłoszoną miną, ewidentnie uświadamiając sobie, że nie wniósł niczego nowego.

Cisza trwała tylko chwilę. ANEC spojrzał na Hugh i rzekł:

– Trudna publiczność.

W tłumie rozległy się zaskoczone śmieszki. Sytuacja była zbyt napięta, by gremialnie się roześmiać, ale śmieszne to było. Hugh wyszczerzył się i pokazał ANEC-owi uniesiony kciuk. Ciekawe. Przygotował go? Wyglądało to tak, jakby trochę za dobrze znał naszą kulturę, zwłaszcza zważywszy, że jeszcze nie udostępniliśmy mu naszych archiwów. Jaki procent typowo bobowatych zachowań Hugh to gra aktorska?

Musiałem odłożyć ten namysł, bo ludzie z powrotem się skupili. Thor podniósł rękę.

– Jeśli dobrze rozumiem, ta umowa jest z Bobiwersum, a nie tylko ze Skippies. Tak?

Hugh kiwnął głową.

– Tak. Jak już mówiłem Billowi, nie zamierzamy sami zgarnąć korzyści kosztem innych.

– Tylko że i tak zgarniecie większość korzyści – wypalił ktoś inny. – Chodzi przecież głównie o technologię SI. To wy jej najbardziej chcieliście.

– Nie tylko. SI jest najbardziej spektakularna, ale Quinlanie wyprzedzają nas na wielu frontach, między innymi budowie megakonstrukcji i sztucznych środowisk. Mają przewagę w technologii termojądrowej, teorii informatyki planckowskiej, materiałoznawstwie…

Nastąpiła przerwa, gdy publiczność to przetrawiała.

– No dobra – odparł Thor. – Ale co z kwestią terytorialną? Mamy ludzi, Pawonisów…

Uniosłem dłoń.

– Thor, to wykracza poza nasz zakres obowiązków. Miałem trochę czasu na zastanowienie i choć sytuacja jest potencjalnie groźna, to dyktowanie przez nas rozwiązań byłoby nieetyczne. Nie jesteśmy władcami galaktyki i nie chcemy być.

– Kontynuując, jesteśmy także gotowi na wpuszczenie do Niebiańskiej Rzeki ludzkich osadników – powiedział w ciszę ANEC. – Na stałe albo na próbę przed budową własnej megakonstrukcji.

Odpowiedziały mu zdziwione spojrzenia, a ja wtrąciłem:

– Ludzkie konsorcjum, prowadzone przez kolegę Willa, profesora Gilligana, zbiera poparcie do budowy megakonstrukcji, jako pilotażowego habitatu dla ludzi. Skoro mają dowód na możliwość zrealizowania projektu, w postaci Niebiańskiej Rzeki, szanse są całkiem spore.

– Tylko bez wstępu dla Bobów – burknął Garfield.

Łypnąłem na niego.

– Gar, to nie jest oficjalna polityka. Paru fanatyków sobie napyskowało i tyle.

– Jasne, szefie.

Nie byłem pewien, czy nie ma racji.

– Sęk w tym, że kiedy zyskamy zdolność osiedlania ludzi na megakonstrukcjach, każdy układ z przyzwoicie stabilną gwiazdą stanie się możliwym celem kolonizacji – dodał Hugh.

Rozejrzałem się po Zgromadzeniu, sondując nastroje. Wyglądało na to, że w miarę jak ludzie rozważali skutki, notowania Hugh powoli rosły. Może jednak nie będzie rzeźni.

***

Po Zgromadzeniu ANEC zgodził się dołączyć do nas w pubie. Przy naszym stoliku zasiedliśmy ja, ANEC, Howard, Bob i Garfield. ANEC poprosił o piwo, którego dotąd nie spróbował. Zamiast tego starał się chyba obserwować jednocześnie wszystko, co działo się wokół.

Uderzyło mnie, że pub nie jest tak pełny jak zwykle, zwłaszcza po Zgromadzeniu. Miałem złe przeczucie, że oburzenie na dzisiejszej sesji nie ograniczało się tylko do niej. Wielu Bobów po zakończeniu posiedzenia poszło po prostu do domu. Miałem nadzieję, że to tylko tymczasowe.

ANEC nadal nie tknął piwa. Pokazałem szklankę.

– Coś nie tak?

– Niepewny. To powoduje oszołomienie? Upośledzenie funkcji umysłowych?

– Tylko jeśli pozwolisz. – Szybko pokazałem mu funkcję filtra alkoholowego.

– Znakomicie – odparł i od razu wyłączył swoje receptory. – Wiele razy obserwowałem pijących Quinlan i od czasu do czasu czułem niewielką ciekawość. – Uniósł szklankę i wziął łyk. Nastąpiła przerwa, jego oczy rozeszły się w dwóch różnych kierunkach, a ciało się wzdrygnęło. – Ciekawość zaspokojona, zastąpiona zdziwieniem. To się pije celowo? – Odsunął piwo. – Może kawa lepiej odpowiada.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem na Jeevesa, zmieniając temat:

– Rozumiem, że jesteś jedyną quinlańską SI, która przeżyła. Nie czujesz się samotny?

– Zawsze. I jeszcze możliwość, że jestem ostatni na zawsze. Odrodzenie technologiczne Quinlan wydawało się mało prawdopodobne. Teraz to się zmieniło. Oraz będzie Skippy SI.

– Ciekawe, jak bardzo będzie się różnić – rzucił Garfield.

– Zależy całkowicie od Skippies – odpowiedział ANEC. – Nie ma jednej uniwersalnej konstrukcji. SI można wbudować wolną wolę lub nie, świadomość lub nie i tak dalej.

Garfield spojrzał na niego bystro.

– Ty masz wolną wolę?

– Uznaję, że tak.

– A czy masz duszę? – zapytał Howard.

– Uznaję, że tak.

To nas powaliło. Wytrzeszczyliśmy na SI oczy, rozdziawiając usta w szoku.

– Yyy… – powiedziałem. Błyskotliwie.

– „Dusza” oznacza dalsze istnienie po przerwaniu działania jej pierwotnego nośnika, prawda? – ANEC odczekał, aż potakniemy. – Rozmawiałem o tym z Hugh. Macie pewne kwantowe teorie, które zgadzają się z naszymi obserwacjami. Konsekwencją niektórych jest fakt, że złożonej kwantowej struktury informacyjnej nie da się usunąć – i nie może także wyparować. W sytuacjach z mechaniki kwantowej prawa termodynamiki mogą nie być spełnione. To, co się dzieje z naszymi umysłami po przerwaniu fizycznego funkcjonowania, jest nieokreślone, ale, jak sami mówicie, ta alternatywa jest lepsza od drugiej. Wiem, że quinlańskie kręgi naukowe też o tym dyskutowały, zanim… – Wykonał ręką bezradny gest. – I logika tych też jest spójna. Istota, którą planują obudzić Skippies, będzie w stanie lepiej to przeanalizować, być może zaproponować odpowiednie doświadczenia. Nie mogę się doczekać wyników.

Garfield nachylił się ku niemu.

– A co z możliwością wystąpienia złośliwej awarii u tej istoty? Problemu spinacza [10] albo czegoś gorszego?

– Odpowiednia konfiguracja wag zmniejszy prawdopodobieństwo. Jest dużo quinlańskiej literatury na ten temat. Paranoja nie jest wyłączną cechą ludzi.

– Zmniejszy – zauważył Bob. – Nie wyeliminuje.

– Matematycznie niemożliwe – odparł ANEC. – Wszystkie działania nie są pozbawione ryzyka. A brak działań niesie jeszcze większe.

Wokół stołu rozległy się śmieszki. Zaczynałem godzić się z faktem, że ANEC ma poczucie humoru. I że to cecha emergentna, nie wprogramowana. To jednocześnie napawało optymizmem co do przyszłości i niepokojem co do projektu JOVAH.

– Domyślam się, że Skippies już zaczęli budować swoją SI – powiedziałem.

– Niezbędne są prace przygotowawcze – odparł ANEC. – Zmiany sprzętowe. SI nie jest osiągalna przez doskonalenie algorytmów. Aby zaistnieć, wymaga symulowanego procesu rozwoju.

– Czyli oni tę SI muszą wyewoluować, tak? – Czułem, że oczy wychodzą mi z orbit.

– Uproszczenie, ale zasadniczo poprawne. – ANEC skupił na mnie wzrok. – Niektóre problemy nie dają się rozwiązać technikami redukcjonistycznymi, zwłaszcza jeśli wymagają zaistnienia emergencji.

Zapadła krótka cisza, gdy wszyscy przetrawialiśmy tę uwagę.

– A co będzie teraz z Quinlanami? – zapytał Will.

– Zostaną zbudowane statki do eksploracji. W miarę potrzeb zostaną wysłane sondy do najbliższych gwiazd. Hugh zaproponował udostępnienie dostępnej informacji o lokalnych niezagospodarowanych układach. Potem zostaną wysłane statki do kolonizacji. Kiedy rasa Quinlan osiedli się w co najmniej jeszcze jednym układzie, będę mógł odpocząć.

– A potem?

– Moim podstawowym obowiązkiem jest zabezpieczenie Quinlan. Zauważyłem sukces i elastyczność waszego modelu w zapewnieniu przetrwania waszemu macierzystemu gatunkowi. Przeanalizuję tę strategię w ramach potencjalnych opcji.

– Quiniwersum? – Garfield rozejrzał się, a wszyscy łypnęli na niego. – No co?

32. Ostatnie luźne wątki
Bob, październik 2334, wirt

Bridget i Steven szli przez wzgórza pod Grzbietem Garaka. Unoszące się w powietrzu okienko wideo przedstawiało widok z perspektywy Bridget. Wyglądało na to, że Steven nie na wiele się przydaje. Ciągle patrzył w górę, natomiast Bridget w dół. Przewidywałem, że ta współpraca zawodowa będzie miała krótki żywot. Steven już nie mógł się doczekać rozmowy z ANEC-em. Uśmiechnąłem się na tę myśl. Doktor Gilligan pod wieloma względami bardzo przypominał Bobów. Był jednym z nielicznych postziemskich replikantów, określanych przez Billa „eksludźmi", których znałem i z którymi chciałem utrzymywać kontakt.

Hugh wysłał mi trochę informacji o swojej pracy nad szablonem quinlańskiej SI. Chyba chciał wrócić do moich łask. Czas pokaże. Jednostronna decyzja o transakcji z ANEC-em dotknęła w Bobiwersum czułej struny, zwłaszcza po tym, jak Hugh wiele razy powtórzył, że Bobiwersum nie ma żadnej władzy, z którą mógłby się skonsultować. Ogólnie rzecz biorąc, wszyscy byli bardziej wściekli na Skippies niż na Gwiezdną Flotę, choć ta ostatnia też nie przestała być podpadnięta.

Bobiwersum dzieliło się. Kilka grup stworzyło własne podsieci, z firewallami na łączach do reszty. Większość innych zrobiła sobie audyty i wzmocniła zabezpieczenia. Zmiany były głębokie. Nie można już było, na przykład, po prostu wskoczyć do kogoś z wizytą, chyba że było się bliskim przyjacielem. Zgromadzenia też zostały tymczasowo zawieszone, póki nie rozbudujemy sprzętu, żeby mógł obsłużyć dodatkowe zabezpieczenia i szyfrowanie.

Ludzie zaś oficjalnie wyrazili chęć uniezależnienia się od Bobiwersum pod każdym względem. Co oznaczało własne autofabryki, własne statki, własne stacje kosmiczne i własną infrastrukturę łącznościową. Mówiło się nawet o zakazie używania mannych, choć Howard wyrażał się o tym bardzo sceptycznie. Surogaci, jak w filmie, byli po prostu zbyt wielką pokusą dla ludzkości i żaden rządowy zakaz nie powstrzymałby tej fali.

Nawet Pawonisi rozbudowywali swoją flotę – wyłącznie załogową. Poinformowali, że pierwszy dalszy lot odbędą do swojego macierzystego świata, aby ocenić go pod kątem rekolonizacji. Odrzucili też, dość ostro, propozycję miejscowych Bobów, że zapewnią im zdalny dostęp dronami. Spodziewałem się, że to się zmieni – to było oświadczenie publiczne, z którego potem po cichu się wycofają w kuluarowych rozmowach.

Nie byłem też przekonany, czy to właściwie źle. Miałem być sondą von Neumanna i jak na razie słabo mi to wychodziło. Ekspansja poznanego kosmosu zatrzymała się na promieniu jakichś stu lat świetlnych, ponieważ większość Bobów bardziej interesowała się zagospodarowaniem dla siebie jakiejś własnej enklawy, czy to Skunk Works Billa, czy Mózgu-Matrioszki Skippies, czy terytorium Gwiezdnej Floty w Ramieniu Perseusza.

Może pora skupić się na mojej własnej Pierwszej Dyrektywie.

ANEC zaczął rozmontowywać planetę nr 1 na surowce, nie było więc problemu z ich dostępnością. Chętnie zaoferował mi do osobistych projektów wszystko, czego będę potrzebował. Wydawał się podekscytowany swoimi nowymi możliwościami. Myślę, że mógł już się nudzić, utrzymując status quo przez trzysta lat. Zastanowiło mnie, czy to nie będzie ogólny problem egzystencjalny wszystkich SI, którym dajesz samoświadomość, a potem każesz wykonywać najnudniejsze zadania na świecie.

Okazało się, że ANEC ma też wyniki niezwykle szczegółowych i dokładnych badań quinlańskiej anatomii, neurologii i biochemii. Aż nadto wystarczające, by Quiniwersum było rozsądnym celem krótkoterminowym, wymagającym tylko drobnych korekt w procesie skanowania i replikacji.

***

Zebraliśmy się w VR-ce Billa, która wyglądała teraz jak zewnętrzny taras z widokiem na krajobraz Ragnaröka. Bill przysięgał, że jest realistyczna, co znaczyło, że ma niesamowite postępy w terraformacji. Widziałem z tarasu prawdziwe krzewy i drzewa oraz jednego królika, który na moment zatrzymał się i gapił na nas, a potem uciekł.

Will i Garfield wylegiwali się w fotelach ogrodowych z napojami zaparkowanymi na brzuchach. Bill chodził tam i z powrotem, unikając kontaktu wzrokowego z resztą. Sam zażyczył sobie tego spotkania, czy przynajmniej jakiegoś spotkania – wtedy wyglądało to tak, że po prostu chce się z nami zobaczyć, lecz teraz, gdy w końcu miał głos, nie mógł się zebrać, by rozpocząć.

Wiedziałem, że to oznacza jakiś nieprzyjemny temat. W myślach przejrzałem swoje ostatnie poczynania, szukając jakiegoś mimowolnego faux pas.

Nic nie przychodziło mi do głowo. Może trzeba to delikatnie popchnąć naprzód?

– Bill, wyglądasz, jakbyś wiewiórkę połknął. Mów, co się urodziło. – No tak. „Delikatnie". W „delikatnie" to ja nie umiem.

Bill westchnął i spojrzał na mnie.

– Niektóre słowa Hugh nie dają mi spokoju. Na przykład na pierwszym spotkaniu po zakończeniu ekspedycji powiedział, że z niektórych wykorzystanych taktyk nie jest dumny. Wydaje się, że wydarzenia ostatnich paru miesięcy nie są aż tak oczywiste, jak się wydaje.

– Z czego nie jest dumny, jak myślisz? – zapytałem.

– Myślę… że to on i Skippies odpowiadają za bunt Gwiezdnej Floty.

– COOO?! – wykrzyknęliśmy jednocześnie ja i Will. Garfield opluł się kawą i musiał zresetować sobie awatara.

– Wyrażając się precyzyjniej: wykorzystali Gwiezdną Flotę, by obrócić sytuację na swoją korzyść. Podkreślam: to są hipotezy. Nie mam żadnych dowodów. – Westchnął i spuścił wzrok. – Wszystkich bardzo zaskoczyło, jaki rozmach miały przygotowania Gwiezdnej Floty. Wyglądało na to, że dostali się do tych systemów z wieloletnim wyprzedzeniem, zanim podjęli próbę ich przejęcia. Inżynieria społeczna, której użyli, żebym zmienił wszystkie loginy, podczas nagrywanej przez nich sesji. A potem, kiedy pociągnęli za spust, nagle zaczęli zachowywać się niekompetentnie – nieśmiałe groźby, których nie chcieli potem spełnić.

– Zupełnie jakby nie oni byli mózgiem, który stał za przygotowaniami.

– No właśnie. Podczas sprzątania sporo rozmawialiśmy z ludźmi z Gwiezdnej Floty. Pierwotnie zastanawiali się nad fizyczną interwencją…

– Znaczy zaatakowaniem nas?

– Coś w tym stylu. Nie mieli tego jeszcze ustalonego. I mniej więcej w tym czasie okazało się, że ktoś z ich grupy ma tylne wejście do prawie wszystkiego. Rzucili się na to, żeby móc pokazać siłę, ale nie musieć fizycznie atakować Bobów.

– Ale dlaczego? I kto?

– Dlaczego… – Bill się zawahał. – Wielu szczegółów nie znam, ale gdzieś w jakimś momencie ktoś tę Gwiezdną Flotę, albo jej poprzednika, porządnie nastraszył. Nie chcą o tym mówić. Wydaje mi się, że mają zespół stresu pourazowego. Coś jak obsesyjne sprawdzanie zamków po tym, jak ktoś ci się raz włamał. A kto – jest tylko jedna możliwość.

– Skippies.

– Tak właśnie myślę. Celem był pad BobNetu, żebyśmy my – Bridget, ja i Garfield – nie byli w stanie ciągnąć ekspedycji, co otwierało furtkę dla Hugh.

– A czemu nie zaangażowali się w ekspedycję od samego początku?

– Wcześniej nie podejrzewali istnienia SI, dotarło to do nich dopiero w trakcie. Do tego momentu było to tylko ciekawe ćwiczenie.

– Skąd dotarło? – zapytał Will. – Skąd nabrali podejrzeń, że to jest SI? Zwłaszcza że nikt inny tego nie zauważył.

– Myślę, że fakt, że Administrator wykorzystywał rozpraszanie i pistolety usypiające, zamiast po prostu eliminować złoczyńców, oraz że tolerował istnienie Ruchu Oporu, zamiast go zlikwidować. To nasunęło im myśl, że nie jest po prostu kolejną grupą Quinlan.

– To słabe – rzucił Gar. – Mógłby być Quinlaninem ze skrupułami.

– Eee, ten… ty widziałeś Quinlan, nie? – Bill machnięciem ręki uciszył ewentualną odpowiedź. – Są co najmniej tak agresywni jak ludzie. Nie mówię, że to niemożliwe, po prostu mniej prawdopodobne.

– Może być coś jeszcze – wtrąciłem. – Chyba jeszcze o tym nie wspominałem, ale kiedy budowałem drony szpiegowskie do badania Niebiańskiej Rzeki, dodałem im sprzętową warstwę monitoringu. – Spojrzałem na grupę. Brwi Billa były już maksymalnie uniesione i miałem niepodzielną uwagę wszystkich obecnych. – Potem przejrzałem logi i wyglądało na to, że Skippies zebrali więcej informacji o rozpraszaniu i Administratorze, tylko się tym nie podzielili. Na początku po prostu pomyślałem, że w którymś momencie chcą objawić jakieś wielkie odkrycie, teraz jednak widzę w tym coś o wiele bardziej podstępnego. Możliwe, że nie od razu to zinternalizowali, to by tłumaczyło, dlaczego Hugh naprawdę mocno się zainteresował dużo, dużo później. Ale do kupy z innymi rzeczami wydaje się, że to rozsądny wniosek, zwłaszcza jak ktoś już i tak patrzy przez pryzmat SI.

Will kiwnął powoli głową, patrząc z namysłem w przestrzeń.

– A kiedy dotarło do nich, że jest taka możliwość, stało się superważne, żeby przerzucić tam jednego ze swoich. Czyli trzeba było odciąć kogoś z nas.

Rozmowa zatrzymała się na milisekundę czy dwie, gdy wszyscy rozważali tę ideę i jej implikacje. W tle, po trawiastym przestworze skakały dwa kolejne króliki. Aż zacząłem się zastanawiać, czy Bill wprowadził już jakieś drapieżniki.

Pełną namysłu ciszę przerwał Gar.

– Czyli w tym wszystkim chodziło tylko o wyłączenie stacji przekaźnikowej Boba?

– Tak – odparł Bill. – Klasyczna zmyłka. I Hugh od razu się przetransferował i „pomógł” dokończyć misję.

– Dość ekstremalne rozwiązanie – rzucił w zadumie Garfield. – Masa szkód ubocznych tylko po to, by przerzucić Hugh do środka.

– Powtórzę: to wszystko są spekulacje – powiedział Bill. – Ale myślę, że to były tak zwane dwie pieczenie przy jednym ogniu. Albo i trzy. Mają Hugh w Niebiańskiej Rzece, odciągają Gwiezdną Flotę od ich pierwotnego planu, który byłby gorszy dla wszystkich, tworzą przepaść pomiędzy Bobiwersum i bio, której nie da się zasypać. Pamiętajmy, że Skippies też od zawsze byli izolacjonistami.

– Potwornie makiaweliczne. – Garfield pokręcił głową. – Nie przystaje do Bobów. Oni aż tak bardzo zdryfowali?

– Na pewno sami tego nie wymyślili. Pamiętacie, jak na początku całej wyprawy Hugh mówił, że właśnie uruchamiają jakieś potężne systemy eksperckie? Może te systemy były na tyle dobre, żeby wygenerować plan oparty na aż takiej manipulacji.

Will zrobił przestraszoną minę.

– Wow. A teraz będą mieli w zanadrzu prawdziwą SI. Może powinniśmy ich też odciąć, po prostu na wszelki wypadek.

Zmarszczyłem brwi.

– To chyba o jeden krok za daleko. Przecież nie są „źli”, prawda? Popatrzcie, że Hugh naprawdę pomógł.

– Nie, nie są źli – odpowiedział Bill. – Skippies są nadal Bobami. Tak myślę. I Hugh oczywiście zależało na wydostaniu Bendera. Ale to nie kłóci się z realizowaniem własnych interesów. Czy obsesji.

Kiwnąłem głową. Trzeba będzie sporo czasu, żeby pogodzić się z tą stroną Hugh. I być może z faktem, że mieści się to w granicach tego, do czego zdolni są Bobowie.

– Ale skąd ci Skippies wzięli dostęp administratora do VR-ki Zgromadzenia? – odezwał się Will. – Przecież to by ich nie interesowało, póki nie dowiedzieli się o SI.

– Ta sama odpowiedź. System komputerowy. Nie był w stanie osiągnąć samoświadomości, lecz i tak miał największą moc obliczeniową w naszej części wszechświata. I pewnie jednymi z tych pierwszych testów były testy penetracyjne oprogramowania BobNetu. Dlatego już mieli wejścia, po prostu ich nie potrzebowali. I nie zająknęli się słowem, że są.

– Trzeba to będzie załatać.

– No. – Bill się zaśmiał. – I może tym razem bez pomocy Skip-pies. Daliśmy lisa do pilnowania kurnika.

Will powoli pokręcił głową.

– Jedna wielka masakra. Ale mnie dręczy jedno pytanie. Czemu ANEC tak przykręcił Quinlanom śrubę?

– To mogę wyjaśnić – odrzekłem. – Mieliśmy już różne strzępki informacji, ale po rozmowach z Theresą chyba znam całą historię.

– A Theresa to…

– Poznałem ją, kiedy robiłem za marynarza – odpowiedziałem nonszalancko, ale nie byłem w stanie spojrzeć Billowi w oczy.

Garfield łypnął na mnie z wyrzutem.

– Oho. Znowu będziesz się bawić w tubylca, co?

– Gar, daj spokój. Nie można się z kimś po prostu zaprzyjaźnić?

– Nie wiem. A można?

Bill zamachał rękoma.

– Dobra, przerwa. Gar, cicho. Bob, mówisz.

– Jasne. – Rzuciłem Garfieldowi ostatnie wredne spojrzenie i rozsiadłem się wygodnie. – Jak zauważyliśmy, Quinlanie są wyjątkowo krnąbrnym, wojowniczym i agresywnym gatunkiem…

– Zwłaszcza jak im zaglądasz do wozów. – Garfield wyszczerzył zęby, zadowolony z okazji do pożegnalnego ciosu.

– Cicho. Ale w sumie tak. Pamiętacie zegar zagłady na Ziemi, który mierzył szansę na anihilację? – Odczekałem, aż potakną, i kontynuowałem: – No to Quinlanie na swoim zegarze o wiele bardziej zbliżyli się do północy. Wyprzedzali nas w bardzo wielu dziedzinach, a te, w których nas nie wyprzedzali, nie wpływały na zdolność prowadzenia wojny, przynajmniej na poziomie jednej planety. Wygląda na to, że część miała świadomość, że są o włos od wybicia się nawzajem. Stworzyli konsorcjum i postanowili zbudować Niebiańską Rzekę. Początkowo miała być otwarta tylko dla wybranych grup, uważających się za dojrzalsze i bardziej pokojowe od reszty.

– Azyl.

Kiwnąłem głową.

– Cywilizowana, naukowa utopia. Oraz drugi koszyk na quinlańskie jajka, mówiąc metaforycznie. Niestety, kiedy została ukończona i konsorcjum zaczęło przenosić tam mieszkańców, na Quinie wszystko stanęło w ogniu. To nie była jedna duża wojna, po prostu wszystkie małe punkty zapalne eksplodowały w tym samym czasie. Planetę spustoszyły ataki biologiczne, chemiczne, jądrowe, bombardowanie z orbity, terroryzm, wojny partyzanckie… Zanim ten skurcz dobiegł końca, planeta umarła – nieodwracalnie. Konsorcjum zrobiło jedyną możliwą rzecz. Otworzyło drzwi dla wszystkich, którzy przeżyli. Co oznaczało, że biorą także terrorystów, ekstremistów, faszystów i wszystkie inne grupy

odpowiedzialne za zniszczenie planety. I oczywiście ci debile na Niebiańskiej Rzece znowu zaczęli to samo.

– Oj, mam przeczucie, do czego to zmierza – powiedział Will.

– Prawdopodobnie. Jak już zauważyliśmy, Quinlanie wyprzedzają nas w pewnych technologicznych obszarach. Na przykład w sztucznej inteligencji. Zbudowali SI, ANEC-23, mającą kontrolować, utrzymywać i bronić Niebiańskiej Rzeki, tak aby za wszelką cenę zachować rasę przy życiu. Stali się jednak ofiarami problemu spinacza. Kiedy ANEC zobaczył, co się dzieje, doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na wypełnienie jego Pierwszej Dyrektywy…

– Utrzymania rasy Quinlan przy życiu…

– …jest odebranie im zdolności do toczenia wojen na poziomie, który może ich zabić. Dlatego cofnął całą technologię dostępną w Niebiańskiej Rzece do poziomu sprzed epoki pary, zabrał dostęp do infrastruktury, a posłuszeństwo wymusza „rozpraszaniem” wszystkich grup, które próbują obchodzić jego zakazy.

– Rozrzuca ich członków na liczącej półtora miliarda kilometrów Rzece, by nie mogli kontynuować działalności.

– No. I co ciekawe, sytuacja ustabilizowała się w coś niemal idyllicznego. Co potwierdzało słuszność jego decyzji. – Przerwałem na moment. – Jak się zastanowić, teoria Bridget, że inteligencja i zdolność używania narzędzi stopniowo zanikają, była kolejną wskazówką naprowadzającą dla Skippies. Bo to jest niezamierzony skutek, który przeraziłby quinlańskiego Administratora, ale SI w ogóle by się tym nie przejęła.

Wszyscy kiwali głowami, w milczeniu przetrawiając ideę.

– I nagle pojawiliśmy się my i przedstawiliśmy mu alternatywę: rozproszenie Quinlan po wielu układach gwiezdnych. – Will rozłożył dłonie. – Więc co, to źle?

Bill westchnął.

– No bo… rozumiecie: Quinlanie znów będą wolni, tylko że oni nadal są krnąbrnym, wojowniczym i agresywnym gatunkiem. Jeszcze bardziej niż ludzie. Niedługo wypuścimy ich w galaktykę i wtedy niech Bóg ma w opiece każdego, kto zajrzy im do wozu. Są jak nasza wersja Klingonów. Tylko że mali, grubi i futrzaści.

– Z tego wynika, że znowu, przynajmniej potencjalnie, będziemy musieli uważać na ludzkość, żeby nie zrobili jej krzywdy – zauważyłem.

– Tak. Na ludzkość i może na Pawonisów. Chociaż oni chyba będą godnym przeciwnikiem dla Quinlan – dodał z drwiącym uśmiechem Will. – Czyli mówisz, że wracamy do roli strażników galaktyki.

Uśmiechnąłem się szeroko.
– Ja jestem…
– NIE! – Zawołali unisono Bill i Garfield.
– Groot.
Wszyscy trzej spojrzeli na mnie morderczo. Było warto.

33. Koda
Bob, grudzień 2334, Mgliste Kaskady

Okazało się, że Mgliste Kaskady leżą niecałe osiem kilometrów od stacji kolejki, co było bardzo wygodne. Dzięki pozwoleniu ANEC-a byłem w stanie wyjść ze stacji głównymi drzwiami, z głową uniesioną wysoko, gwiżdżąc Dixie i wywijając laseczką. Tylko, wiecie, bez laseczki. I Quinlanie nie umieją gwizdać.

Na stacji nie było jeszcze zbyt wielkiego ruchu. Po stuleciach życia pod groźbą rozproszenia Quinlanie chyba nadal mało chętnie zwracali na siebie uwagę Administratora. Mimo wszystko głównym wejściem wchodziło kilku ludzi, a niektórzy po prostu stali i podziwiali malowidła. Jeden odwrócił się do mnie, gdy przechodziłem, uśmiechnął się z zażenowaniem i wzruszył ramionami.

Teraz, kiedy miałem czas normalnie rozpytać się o drogę, udało mi się znaleźć strumień, którym ludzie regularnie dostają się do rzeki. O wiele lepiej niż dawać z buta. Po godzinie wychodziłem na pomost w Mglistych Kaskadach.

ANEC podał mi adres rodziny Sykorskich. Miał dokładne akta wszystkich stałych mieszkańców większości miasteczek i miast. Czyli prawie stu milionów lokalizacji. Niezła baza danych.

Z ulicy dom nie wyglądał imponująco, chociaż zajmował podwójną działkę. Może duża rodzina? Stylem kojarzył się trochę z rzymskim domem, otaczającym ze wszystkich stron patio, czy wewnętrzny ogród, a z zewnątrz mającym tylko ślepe ściany. Nawet drzwi frontowe wyglądały tak solidnie, jakby mogły wytrzymać szturm. Pociągnąłem za sznurek dzwonka i poczekałem.

Drzwi otworzyła Belinda. Zdezorientowana wpatrywała się we mnie chwilę czy dwie. Potem jej oczy rozbłysły i uśmiechnęła się.

– Enoki!

– Czy jest Theresa? Chciałbym się z nią zobaczyć, jeśli można.

Belinda zaprosiła mnie gestem do środka i wskazała krzesło w holu, potem gdzieś zniknęła. Nie wiedząc, co robić, rozejrzałem się dookoła. Nie miałem pojęcia, jak wyglądają porządne meble, a jak marne, te jednak wydawały się solidne, zatem…

Podbiegły do mnie dwa borsuki i stanęły na tylnych łapach, żeby się przyjrzeć. Jeden podniósł łapę i nieśmiało powiedział: „Cześć”. Odpowiedziałem tym samym, nie wiedząc, czy są jakieś zasady. Oba były większe niż Jego Borsuczość, z o wiele większymi głowami – rosły im szybciej niż reszta ciała, kiedy osiągały pełną samoświadomość. Chyba przekroczyły tę linię niedawno i od razu zaczęły lepiej się zachowywać, jakby patrząc na świat świeżym wzrokiem. Nie mogłem się powstrzymać. Uśmiechnąłem się do nich, odpowiedziały uśmiechem i wybiegły.

– Enoki! Nie myślałam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

Uniosłem wzrok, gdy do pokoju weszła Theresa, mocno opierająca się na Belindzie. W krótkim czasie, odkąd się rozstaliśmy, mocno się postarzała. Nagle stanęły mi przed oczyma ostatnie dni Archimedesa i na moment straciłem głos. Nie tym razem, jeśli będę mógł coś na to poradzić.

Szybko się pozbierałem, uśmiechnąłem się i pośpieszyłem, żeby wziąć ją pod drugą rękę.

Doprowadziliśmy ją do czegoś w rodzaju fotela uszaka, na który ostrożnie opadła.

– Żyjemy w ciekawych czasach – powiedziała z błyskiem w oku. – Pewna grupa, nazywana „Bawbe”, nieźle u nas namieszała. Chyba nie maczałeś w tym palców, co?

Odpowiedziałem uśmiechem. Zaliczałem ją do swoich nielicznych przyjaciół.

– Thereso, przyszedłem spełnić twoje życzenie.

– A które?

– Chciałaś się dowiedzieć więcej o twoim świecie. I moim.

Koniec

Słownik terminów quinlańskich

akrel – quinlański odpowiednik mewy
feeg – niezidentyfikowany miejscowy produkt, przewożony Huraganem
ferl – drobny leśny ptak, podobny do wróbla
haora – pysk czy twarz Quinlanina
henn – jednostka długości, ok. 900 metrów
haun – zwierzę pociągowe podobne do wołu
haunid – mniejsza odmiana hauna, hodowana na mięso
junior – młody Quinlanin
lorusz – duży drapieżnik, podobny do niedźwiedzia, czy wielkiego wilka
muczin – quinlańska obelga
puut – wynurkowanie. Quinlanie, podobnie jak pingwiny, potrafią wyskoczyć z wody na ląd i wylądować na nogach na pomoście czy innej powierzchni
Quin – macierzysta planeta Quinlan
Quinlanie – rasa obcych z Niebiańskiej Rzeki
sesz – odmiana quinlańskiego drzewa
squiz – zupa z fragmentów ryb, delikatnie przyprawionych
wek – quinlańska jednostka czasu, odpowiadająca 112 sekundom

Przypisy

1. Nawiązanie do serii Expeditionary Force Craiga Alansona – w niej Skippy to zaawansowana sztuczna inteligencja (przyp. tłum.). [wróć]
2. Rura Jeffriesa (lub Jefferiesa) – w Star Treku żartobliwe określenie wszelkich przejść technicznych, kanałów wentylacyjnych, tuneli serwisowych, itd.; pochodzi od nazwiska projektanta pierwszego USS Enterprise (przyp. tłum.). [wróć]
3. Moody Port, coś jakby „Markotny port”, to nawiązanie do Port Moody, miejscowości pod Vancouver, w okolicy, gdzie mieszka autor (przyp. tłum.). [wróć]
4. Nawiązanie do horroru Stay Alive, gdzie jest „giniesz w grze” (przyp. tłum.). [wróć]
5. Jovah – sztuczna inteligencja, której ludzie oddają boską cześć, z cyklu powieściowego Samaria Sharon Shinn (przyp. tłum.). [wróć]
6. Rootkit – oprogramowanie dające administracyjny (root) dostęp do systemu komputerowego przez „boczne drzwi”, z pominięciem standardowej kontroli dostępu i uprawnień, często także ukrywające swoją obecność w systemie (przyp. tłum.). [wróć]
7. Carmine i Vinny Appiece – dwaj bracia perkusiści, Vinny grał m.in. w Black Sabbath (przyp. tłum.). [wróć]
8. Snidely Whiplash – stereotypowy „zły wróg” z kreskówki Rocky, Łoś Superktoś i przyjaciele (przyp. tłum.). [wróć]
9. Perverse instantiation – problem kontroli związany ze Sztuczną Inteligencją. Jeśli będzie ona górować nad ludźmi, istnieje ryzyko, że zadany przez nich cel spełni w kompletnie nieprzewidziany (i często katastrofalny dla ludzi) sposób – często przewijającym się w literaturze przykładem jest cel maksymalizacji ludzkiego szczęścia, spełniony poprzez wszczepienie wszystkim ludziom elektrod stymulujących ośrodek przyjemności w mózgu (przyp. tłum.). [wróć]
10. Problem spinacza – eksperyment myślowy z SI, która ma za zadanie maksymalizować produkcję spinaczy i robi to wszelkimi środkami, np. likwidując ludzi, którzy mogliby ją wyłączyć, bo wtedy przestałaby realizować ten cel (przyp. tłum.). [wróć]